

# RED RISING

TOM II

## ZŁOTY SYN



PIERCE BROWN

Pierce Brown

Red Rising Tom 2

Złoty Syn

tytuł oryginału Golden Son

Przekład Małgorzata Koczańska

*Dla Matki, która nauczyła mnie mówić*

*Prolog*

Dawno, dawno temu z nieba zstąpił mężczyzna i zabił mi żonę. Kroczę teraz obok niego po zboczach góry, która wznosi się nad naszym światem. Pada śnieg. Blanki z białego kamienia i lśniącego szkła wystają ze skał.

Wokół nas kłębi się chaos chciwości. Wszyscy wielcy Złoci z Marsa przybyli do Instytutu, aby zabrać najlepszych i najbystrzejszych z naszego rocznika. Ich okręty tłoczą się na nieboskłonie o poranku, promy przecinają śnieżne pola i mijają płonące twierdze pod

Olimpem, który zdobyłem ledwie parę godzin temu.

– Przyjrzyj się po raz ostatni – mówi mężczyzna, gdy dochodzimy do jego promu. –

Wszystko, co stało się wcześniej, było tylko szeptem w naszym świecie. Kiedy opuścisz tę górę, wszelkie więzi zostaną zerwane, a przysięgi stracą ważność. Nie jesteś na to gotów. Nikt nie jest.

W tłumie widzę Cassiusa z ojcem i krewnymi. Idą do swojego promu. Ich palące

spojrzenia mierzą nas znad bieli, a ja przypominam sobie uderzenie serca Juliana... Ostatnie uderzenie. Twarda ręka opada na moje ramię, kościste palce zaciskają się zaborczo.

Augustus spogląda na swoich wrogów.

– Bellona nie wybacza ani nie zapomina. Jest ich wielu, ale nie mogą cię skrzywdzić. –

Jego zimne oczy wbijają się we mnie, nowo zdobyte trofeum. – Ponieważ należysz do mnie, Darrow, a ja chronię to, co moje.

Jako i ja.

Przez siedemset lat moi ludzie żyli w niewoli, bez prawa głosu, bez nadziei. Stałem się ich mieczem. I nie wybaczam. Ani nie zapominam. Zatem niech Augustus zaprowadzi mnie do

swojego promu. Niech myśli, że mnie posiadał. Niech zaprosi mnie do swojego domu, żebym mógł spalić tę siedzibę na popiół.

Wtedy jednak córka Augustusa ujmuje mnie za rękę i czuję, jak brzemień moich kłamstw

przygniata mi barki. Powiada się, że królestwo rozdarte wewnątrz nie przetrwa. O

rozdartym sercu nie wspomniał nikt.

## **CZEŚĆ PIERWSZA**

### **Pokłon**

*Hic sunt leones.*

*Tu są lwy.*

– Nero au Augustus

*Rozdział pierwszy*

*Dowódcy*

Moje milczenie jest jak grzmot. Stoję na mostku swojego okrętu, złamane ramię zostało

zabezpieczone w żelusztynieniu, na szyi wciąż mam otwarte rany. Jestem piekielnie zmęczony. Ostrze mojego slinga owija się wokół zdrowego, prawego ramienia jak zimny, metalowy wąż. Przedemną otwiera się przestrzeń kosmiczna, bezkresna i straszna. Niewielkie okruchy światła przebijają mrok, odwieczny cień spowija gwiazdy na granicy pola widzenia. Asteroidy. Przepływają powoli wokół mojego okrętu wojennego, „Quietusa”. Rozglądam się wśród czerni w poszukiwaniu zdobyczy.

– Odnieś zwycięstwo – powiedział mój pan. – Wygraj ty, skoro moje dzieci nie potrafią, a przyniesiesz zaszczyt nazwisku Augustus. Odnieś zwycięstwo w Akademii, a zasłużysz sobie na flotę.

Lubi dramatyczne powtórzenia. Podkreśla tak większość swoich stwierdzeń.

Chciałby, abym zwyciężał dla niego, lecz ja zrobię to dla dziewczyny zrodzonej wśród

Czerwonych, która miała marzenie ponad własną miarę, marzenie wielkie jak świat.

Zwycięzę, a wtedy Augustus zginie i przesłanie tej dziewczyny wyryje się w pamięci pokoleń na wieki.

Mam dwadzieścia lat. Jestem wysoki i szeroki w ramionach. Noszę czarny, pognieciony

mundur. Mam długie włosy oraz oczy Złotego, teraz nabiegłe krwią. Mustang powiedziała kiedyś, że rysy mojej twarzy są ostre, a kości policzkowe i nos chyba wykuto z marmuru pełnego złości. Unikam luster. Lepiej zapomnieć o masce, którą noszę, masce skrywającej bliznę Aureatów rządzących od Merkurego po Pluton.

Jestem jednym z Niezrównanych Naznaczonych. Najbardziej okrutnych i wspaniałych

spośród ludzi. Brakuje mi jednak tej, która prosiła, żebym został, gdy żegnałem się z nią na balkonie prawie rok temu – Mustang. Dałem jej wtedy złoty pierścień z wyrzeźbionym koniem, a ona podarowała mi nóż. Stosownie.

Smak jej łez wyrył mi się w pamięci. Od opuszczenia Marsa nie miałem od niej wieści. Co gorsza, nie miałem także wieści od Synów Aresa, odkąd ponad dwa lata temu zwyciężyłem w Instytucie Marsjańskim. Tancerz obiecał, że skontaktuje się, gdy tylko skończę szkołę, ale porwały mnie wtedy tłumy Złotych.

Jakże daleko odszedłem od przyszłości, którą wyobrażałem sobie jako chłopiec. I jakże daleko od przyszłości, którą pragnąłem zapewnić swojemu ludowi, kiedy pozwoliłem, aby wyrzeźbili mnie Synowie Aresa. Myślałem, że zmienię całe światy. Któryż z młodych głupców tak nie myśli? Lecz tylko wpadłem w tryby maszyny bezkresnego imperium, nieuchronnie

miażdżącej wszystko i wszystkich.

W Instytucie uczono nas przetrwać i zwyciężać. Tutaj, w Akademii, uczymy się wojny.

Sprawdza się nasz potencjał. Prowadzę flotę wojenną przeciwko innym Złotym. Strzelamy ślepakami i posyłamy oddziały bojowe z okrętu na okręt zgodnie z prawidłami kosmicznych bitew. Nie ma sensu niszczyć okrętu, którego budowa pochłonęła większość rocznego dochodu dwudziestu miast, skoro do jego zdobycia wystarczy posłać niewielką jednostkę wypchaną Obsydianami, Złotymi i Szarymi, aby zniszczyli najważniejsze systemy.

Oprócz lekcji z taktyki walk międzygwiazdnych nauczyciele wbili nam do głów

fundamentalne maksymy naszej rasy. Przeżyją tylko najsilniejsi. Tylko najbystrzejsi będą

sprawować władzę. A potem zostawili nas na pastwę losu i pozwolili, abyśmy skakali z asteroidy na asteroidę, szukali zaopatrzenia i baz, polowali na innych studentów do chwili, aż pozostaną tylko dwie floty.

Wciąż balansuję na krawędzi. Jednak ta rozgrywka nie jest jeszcze śmiertelna.

– To pułapka – stwierdza Roque u mego boku.

Jego włosy urosły, podobnie zresztą jak moje, ale twarz mu zmiękła jak u kobiety i

złagodniała jak u filozofa. Zabijanie w przestrzeni kosmicznej różni się od tego na ziemi.

Roque osiągnął w tym pierwszym wybitną sprawność. Jest w takiej walce poezja, zapewnia.

Poezja sfer niebieskich i żeglujących pośród nich okrętów. Gdy to mówi, przypomina jednego z Niebieskich, którzy zajmują się nawigacją międzygwiazdną, również na pokładzie tej

jednostki – zwiewnych ludzi polatujących jak zjawy przez logicznie uporządkowane metalowe korytarze.

– Ale nie tak elegancka pułapka, jak mogło się wydawać Karnusowi – mówi dalej Roque.

– Wie, że chcemy jak najszybciej zakończyć grę, więc po prostu czeka po drugiej stronie.

Zamierza ściągnąć nas tam, gdzie będziemy łatwym celem dla jego pocisków. Skuteczna

taktyka, wypróbowana i stara jak świat.

Roque wskazuje przestrzeń między dwoma dużymi asteroidami.

– Pułapki są wszędzie – ziewa Tactus. Opiera się o panel iluminatora, spleta ramiona i krzywi nos, bawiąc się pierścieniem na palcu. Wyrzuca zużyta baterię na podłogę. – Karnus wie, że jest zgubiony. Tylko nas męczy. Bawi się w berka, byle nie dać nam spać, samolubny drań.

– Ależ z ciebie Pixie, tylko paplasz i jęczysz – prycha Victra au Julii z miejsca naprzeciw

iluminatora. Jej nierówne, postrzępione włosy sięgają uszu z jadeitowymi kolczykami.

Porywczą i okrutną, ale nigdy do przesady, gardzi makijażem i z dumą prezentuje blizny zdobyte przez dwadzieścia siedem lat swojego życia. Wiele blizn. Oczy ma głęboko osadzone, przymknięte, usta wydatne i zmysłowe, o wargach stworzonych do obelg wypowiedzianych

niemal pieszczotliwie. Victrę łączy większe podobieństwo ze sławną matką niż młodszą siostrą Antonią, ale w zdolnościach do siania chaosu przewyższa je obie.

– Pułapki są nieważne – zapewnia. – Jego flota została rozgromiona. Został mu tylko jeden okręt. My mamy siedem. Może po prostu zaatakujemy i rozwalimy Karnusa?

– To Darrow ma siedem okrętów – przypomina Victrze Roque.

– Mówiłeś coś? – Poprawka wyraźnie ją drażni.

– Darrow ma siedem okrętów. Powiedziałaś, że to my je mamy. Nie mamy. To Darrow jest Prymusem.

– Pedantyczny poeta kontratakuję. Ale to nie zmienia sytuacji, drogi *panie*.

– Że powinniśmy działać brawurowo zamiast rozważnie? – rzuca Roque.

– Że to walka siedem na jednego. I że pozwalamy się haniebnie długo wodzić za nos.

Rozdepczmy tę jednostkę Bellony, wracajmy do bazy, odbierzmy nagrodę od starego, dobrego Augustusa i zabawmy się jak należy. – Wymownie rozgnięta wysokim obcasem wyimaginowanego robaka dla podkreślenia wypowiedzi.

– Właśnie – popiera ją natychmiast Tactus. – Królestwo za gram pyłu demonów.

– Czy to nie twoja piąta dawka, Tactusie? – pyta Roque.

– Tak! Dziękuję, że liczyłeś. Matko kochana, męczy mnie ten wojskowy chłam. Tęsknię do Perłowych klubów i ogromnych ilości porządnych dopalaczy.

– Szybko się wypalisz.

Tactus uderza się w uda.

– Żyj krótko, umieraj młodo. Zanim zmienisz się w nudnego, zasuszonego starucha.

Pozostanę wspomnieniem lepszych czasów i wspanialszej epoki.

Roque kręci głową.

– Pewnego dnia, mój lekkomyślny przyjacielu, spotkasz kogoś, kogo pokochasz, a wtedy będziesz się śmiał ze swojej obecnej głupoty. Doczekasz się dzieci. Będziesz miał posiadłość.

I przekonasz się, że w życiu liczy się coś więcej niż tylko Róż i narkotyki.

– Na Jupitera. – Tactus spogląda na Roque'a z nieskrywaną grozą. – Co za żaloszny i nędzny los!

Ignoruję ich przekomarzania. Zerkam na ekran taktyczny.

Zdobyczą, którą ścigamy, jest Karnus au Bellona, starszy brat mojego dawnego przyjaciela, Cassiusa, oraz Juliana – chłopaka, którego zabiłem podczas Chrztu. W tej rodzinie o kręconych włosach Cassius jest ulubionym synem, ale Julian okazał się najbardziej przyjazny. A Karnus?

Moja złamana ręka to świadectwo, że Karnus jest potworem wypuszczonym z rodowych lochów, aby zabijał bez opamiętania.

Po Instytucie stałem się sławny i kiedy wieść o mnie dotarła do Fioletowych, zaczęły

krążyć pogłoski, że ArcyGubernator w końcu posłał mnie na dalsze studia. Wówczas Karnus au Bellona i paru starannie dobranych krewniaków również zostało wydelegowanych przez matkę Cassiusa na dalsze „studia”. Ród Bellona zapragnął dostać moją głowę na tacy.

Dosłownie. Powstrzymuje ich tylko to, że służę teraz Augustusowi. Gdyby mnie zaatakowali, byłby to akt agresji wobec ArcyGubernatora.

Ani trochę nie obeszlaby mnie zemsta Bellony, a potem krwawy odwet mojego pana.

Pragnę mieć flotę, którą wykorzystam dla Synów Aresa. Cóż za szaleństwo i chaos mógłbym rozpętać! Zapoznałem się dokładnie z liniami zaopatrzenia, stanowiskami czujników,

kluczowymi bazami danych i węzłami ich przepływu – wszystkimi wrażliwymi obszarami, od których zależy spokojna egzystencja społeczeństwa.

– Darrow... – Roque podchodzi bliżej. *Strzeż się nadmiernej pewności siebie. Pamiętaj Paxa. Duma zabija.*

– Chcę, żeby to była pułapka – mówię mu. – Niech Karnus zawróci i stawi nam czoła.

Mój przyboczny przechyla głowę.

– Zastawiłeś własne sidła. Na niego.

– Skąd to przypuszczenie?

– Mogłeś nam powiedzieć. Przygotowałbym...

– Karnus dzisiaj poniesie klęskę, bracie. I tylko to się liczy.

– Oczywiście. Chcę jedynie pomóc. Wiesz o tym.

– Wiem. – Opanowuję ziewnięcie i omiatam spojrzeniem stanowiska na mostku, zarówno

te poniżej, jak i za mną. Pracują tu Niebiescy o wielu różnych odcieniach, którzy obsługują systemy mojego okrętu. Mówią wolniej niż inne Kolory, oprócz Obsydianów, preferują

komunikację cyfrową. Wszyscy są ode mnie starsi i wszyscy ukończyli Szkołę Północy. Za nimi stoją na straży Szarzy komandosi i kilku Obsydianów.

– Już czas. – Klepię Roque’a po plecach. – Żeglarze kosmosu – zwracam się do

Niebieskich w dole – przygotujcie się. Zachowajcie czujność. Oto wbijemy wkrótce ostatni gwóźdź do trumny rodu Bellona. Gdy tylko wyrzucimy tego drania Karnusa w eter, przyrzekam wam najwspanialszy prezent, jaki władny jestem dać: tydzień porządnego snu. Najwyższa jakość!

Kilku Szarych na końcu mostka wybucha śmiechem. Niebiescy tylko bębnią palcami w swoje konsole i panele sterownicze. Oddałbym połowę zawartości mojego rachunku

bankowego, który zawdzięczam hojności ArcyGubernatora, żeby zobaczyć uśmiech choć

jednego z tych bladych jajogłowych.

– Dość już zwlekania – mówię. – Działa na pozycje. Roque, zewrzyj niszczyciele w szyk.

Victro, zajmij się namierzaniem. Tactusie, rozłokuj obronę. Zakończymy to jeszcze dzisiaj.

Spoglądam na drobnego sternika z Niebieskich. Stoi na środku sterowni pod pomostem z

moim stanowiskiem dowodzenia, otoczony pięćdziesięcioma innymi. Wężowy Sigil, który

znaczy łyse czaszki i pajęczę dłonie, lśni odcieniami błękitu i srebra, gdy nawigatorzy synchronizują umysły z komputerami okrętu. Spojrzenia Niebieskich stają się nieobecne, gdy ich nerwy wzrokowe przełączają się na widzenie w rzeczywistości wirtualnej. Do nas

odzywają się tylko z uprzejmości.

– Sternik, moc napędu na sześćdziesiąt procent.

– Tak jest, *domine*. – Sternik ma głos jak maszyna. Zerka na ekran taktyczny, kulisty hologram unoszący się nad jego głową. – Zwracam uwagę, że koncentracja metali w

asteroidach utrudnia uzyskanie odczytów spektralnych. Jesteśmy trochę ślepi. Flota może się ukrywać po drugiej stronie asteroid.



– Karnus nie ma floty. Cała naprzód – rozkazuję.

Silniki okrętu ozywają z rykiem. Podnoszę wzrok na Roque’a i mówię:

– *Hic sunt leones*. – Słowa naszego pana, Nerona au Augustusa, ArcyGubernatora Marsa, trzynastego przedstawiciela rodu na tym stanowisku. Moi dowódcy powtarzają tę frazę.

*Tu są lwy.*

## *Rozdział drugi*

### *Wylom*

Na ekranie taktycznym sześć zwinnych niszczycieli krąży wokół mojego okrętu flagowego.

Nienaturalnie milczący Niebiescy zajmują się obsługą systemów bojowych. W obszarze, gdzie teraz dryfują ich umysły, zwykłe słowa są wolniejsze niż pływające góry lodowe. Porucznicy monitorują moją flotę. W innej sytuacji znajdowałiby się na mostkach swoich niszczycieli lub prowadzili eskadry szturmowców, ale w chwili zwycięstwa chcę mieć swoich towarzyszy

broni blisko. Jednak nawet gdy stoją tutaj, przy moim boku, dzieli nas dystans, głęboka przepaść między ich światem a moim.

– Sygnatura pocisku – odzywa się Niebieski łącznik. Na mostku nie wybucha krzątanina.

Żadne alarmowe światła nie straszą załogi. Żaden krzyk nie zakłóca ciszy. Niebiescy to opanowani osobnicy, od narodzin wychowywani w komunalnych sektorach, gdzie uczy się ich logicznego myślenia i wypełniania zadań z zimną skutecznością. Mawia się często, że

Niebiescy bardziej przypominają komputery niż ludzi.

Mroczną przestrzeń za panoramicznymi iluminatorami na mostku rozświetlają małe iskry. Z

naszych dział strzelają wielkie białe chmury. Nadlatujące pociski wybuchają, gdy ostrzał

artylerii detonuje przedwcześnie uzbrojone ładunki wroga. Jeden pocisk się przedostaje i niszczyciel na skrzydle rozpada się w symulowanej eksplozji nuklearnej. Z okrętu wyleją się ludzie. Zaczną ulatniać się gazy. Wybuchy mogą wybić dziury w metalowym kadłubie, a

spalający się tlen buchnie wtedy jak krew z wieloryba i w okamgnieniu pochłonie go czern.

Na szczęście to tylko gra wojenna i nie mamy prawdziwych głowic jądrowych. Najbardziej śmiertelnością broń stanowią tutaj studenci.

Kolejny niszczyciel pada ofiarą pocisków, które przedostały się przez obronę przeciwlotniczą.

– Darrow... – Victra wyraźnie się niepokoi.

Stoję pogrążony w myślach i odruchowo przesuwam palcem po miejscu, gdzie kiedyś nosiłem obrączkę Eo.

Victra odwraca się do mnie.

– Darrow... Rozrywa nas na części, gdybyś jeszcze nie zauważył.

– Ta pani ma rację, Kosiarzu – dodaje Tactus. Jego twarz spowija niebieska poświata ekranu taktycznego. – Jeżeli coś przygotowałeś, pora to wykorzystać.

– Łączność. Przekazać eskadrom Żniwiarza i Szpona, żeby zaatakowały wroga.

Obserwuję ekran taktyczny, gdy eskadry, które wysłałem pół godziny temu, wylatują łukiem zza asteroid i ruszają, żeby oskrzydlić Karnusa. Nie można ich zobaczyć gołym okiem z takiej odległości, ale na wyświetlaczu pulsują złotem.

– Gratulacje, przyjacielu – szepcze Roque, zanim jeszcze zadanie zostanie wykonane. W

jego głosie słyszę, co zaskakujące, szacunek. Zniknęło też zdenerwowanie. – To zmienia wszystko. – Roque dotyka mojego ramienia. – Wszystko.

Patrzę, jak moja pułapka się zamyka, zbliżające się zwycięstwo sprawia, że trochę się rozluźniam. Szarzy na mostku robią krok w moją stronę. Nawet Obsydianowi pochylają się nad ekranem, gdy na okręcie Karnusa wykrywają sygnatury moich eskadr. Karnus próbuje

uciec, daje pełny ciąg silników, byle oddalić się od tego, co ma się stać. Ale wszystko jest przeciwko niemu. Moje eskadry wypuszczają pociski, zanim zdąży uruchomić działa albo

wystrzelić własną salwę. Trzydzieści symulowanych wybuchów głowic jądrowych dziurawi jego ostatnią jednostkę. Na tym etapie gry nie ma sensu przejmować tego okrętu, nie warto przesadzać.

I tak właśnie odnoszę zwycięstwo.

Na mostku podnosi się gwar i okrzyki Szarych oraz Pomarańczowych z obsługi technicznej.

Niebiescy tak żywiołowo bębnią palcami, aż bieleją im kłykcie. W przeciwieństwie do załogi zajmującej się zaawansowanymi technicznie systemami Obsydianowi milczą. Moja służąca, Teodora, uśmiecha się do podwładnych na stanowisku służby. Dawna kurtyzana z Różowych, która lata świetności ma już dawno za sobą, poznała niejedyn sekret i doradza mi w sprawach kontaktów interpersonalnych.

Przez wszystkie pokłady, od maszynowni po kubryk, zwycięstwo pokazywane jest na

holoekranach. To nie tylko moja wygrana. Każdy członek załogi ma w tym swój udział. W tym właśnie kryje się podstęp społeczeństwa. Aby powodziło się niższym grupom, ich zwierzchnik musi prosperować. Kiedy znalazłem się pod patronatem Augustusa, PodKolory musiały

poszukać patrona we mnie. W ten sposób tworzy się wobec Złotych lojalność z konieczności, jaka nie powstaje tylko na fundamencie reguł systemu Kolorów.

Teraz, gdy moja gwiazda wschodzi, skorzystają na tym wszyscy na pokładzie.

Władza i obietnice w tej kulturze odgrywają najważniejszą rolę. Nie tak dawno temu, gdy ArcyGubernator ogłosił, że będzie sponsorował moje studia na Akademii, na kanałach

holowizji wybuchły ogniste dyskusje i spekulacje. Czy ktoś tak młody, ktoś z tak pośledniego rodu, wygra? Ale spójrzcie, co zrobił w Instytucie. Złamał zasady gry. Wyzwał Cenzorów, zabił jednego, a resztę wyłapał jak dzieci. Ale może to był tylko przypadkowy sukces, pojedynczy zryw? Teraz ci paplający dranie mieli na to odpowiedź.

– Sternik, kurs do Akademii. Mamy do odebrania laury – ogłaszam wśród wiwatów.

*Laury.* Słowo odbija się echem znaczeń z mojej przeszłości, smakuje goryczą w moich ustach.

Pomimo uśmiechu nie czuję wielkiej radości z tego zwycięstwa. Tylko ponurą satysfakcję.

Krok po kroku, Eo. Jeden krok naraz.

– *Pretor Darrow au Andromedus* – Tactus wypróbował wymowę tytułu. – Bellona się wścieknie. Ciekawe, czy mógłbym wykorzystać to w dowództwie? I czy musiałbym dołączyć do twojej floty? Nigdy nie wiadomo. Przekłeta biurokracja jest nudna. Miedziaki na łapówki.

Złoto na politykę. Moi bracia pewnie będą chcieli wydać dla nas ucztę. – Szturcha mnie. – Na braterskim przyjęciu nawet ty w końcu znajdziesz sobie dziewczynę.

– Jakby w ogóle chciał dotykać twoich przyjaciółek. – Victra ściska mi rękę, muska mnie palcami, jakby nosiła suknię, nie zbroję. – Choć przyznaję to niechętnie, Antonia nie myliła się co do ciebie.

Czuję, że Roque się wzdraga, i przypominam sobie charczenie, gdy Antonia poderznęła

gardło Lei, żeby w Instytucie wywabić mnie z kryjówki. Ukrywałem się w mroku i tylko

słyszałem, jak moja mała przyjaciółka upadła na mech. Roque kochał Leę na swój nerwowy, pośpieszny sposób.

– Mówiłem ci już, abyś nie wspominała imienia swojej siostry w naszej obecności – napominam cicho, a Victra krzywi się na tę uprzejmą odprawę.

Odwracam się do Roque’a.

– O ile dobrze pamiętam, jako Pretorowi wolno mi zaciągnąć do swojej floty załogę, którą sam wybiorę. Może powinniśmy ściągnąć paru starych znajomych? Sevra z Plutona, Wyjców, choć nie mam pojęcia, gdzie ich posłano, i może... Quinn z Ganimesa?

Roque rumieni się na wzmiankę o Quinn.

Osobiście najbardziej zależy mi na Sevrze. Żaden z nas nie starał się utrzymywać

kontaktów, zwłaszcza ja, ponieważ nie miałem dostępu do holosieci od rozpoczęcia nauki na Akademii. Tak czy inaczej, Sevro od czasu do czasu przysyłał mi wiadomości z wyjątkowo perwersyjnymi jednorózcami i filmy, na których opowiada dowcipy. Pluton sprawił, że stał się niemal obcy.

– *Domine*. – Głos Niebieskiego sternika przywraca mnie do rzeczywistości i do ekranów taktycznych.

– O co chodzi? – pytam.

Oczy mu płoną. Spojrzenie ma nieobecne, połączone z czujnikami okrętu i skupione na czystej informacji, którą po obróbce widzę na monitorach.

– Nie wiadomo, *domine*. Zakłócenia czujników. Rozproszenie danych.

Na wielkim ekranie centralnym asteroidy widoczne są w kolorze niebieskim. My w złotym.

Wrogowie – w czerwieni. Tych ostatnich powinno już nie być. A jednak czerwona kropka drży na wyświetlaczu. Roque i Victra podchodzą bliżej. Roque ruchem ręki przenosi dane na swój tablet i wyświetla mniejszą kulę. Powiększa obraz i przepuszcza cyklicznie przez filtry analityczne.

– Promieniowanie? – zgaduje Victra. – Szczątki?

– Złoża metali na asteroidzie powinny spowodować mniejszą refrakcję naszych sygnałów

– zauważa Roque. – Nie może to być oprogramowanie... Już go nie ma.

Czerwona kropka mignęła i znikła, ale na mostku narasta napięcie. Spojrzenia wbite są w hologram taktyczny. Nic. Nie ma tam nikogo poza moją flotą i pokonanym okrętem flagowym Karnusa.

Chyba że...

Roque odwraca się do mnie z twarzą bladą i przerażoną.

– Uciekaj... – udaje mu się wydusić, zanim rozbłyśka czerwony sygnał alarmu.

– Silniki pełna moc! – ryczę. – Trzydzieści stopni powyżej naszej linii.

– Wystrzelić pozostałe pociski w powierzchnię asteroidy – rozkazuje Tactus.

Za późno.

Victra łapie nerwowy oddech, a ja na własne oczy widzę już, co nasze czujniki próbowały wychwycić. Zamaskowany niszczyciel wynurza się z zagłębienia w asteroidzie. Okręt, który, jak sądziłem, pokonaliśmy trzy dni temu. Jakby czeka, silniki ma wyłączone. Dziób jest rozdarty i czarny od osmaleń. Włącza silniki na pełną moc. I rusza kursem prosto w mój okręt.

Zamierza nas staranować.

– Skafandry ewakuacyjne i szalupy! – rozkazuję. Ktoś krzyczy, abyśmy przygotowali się na zderzenie. Gnam pod ścianę mostka, gdzie wbudowany jest panel mojej kapsuły ratunkowej.

Otwiera się na mój głos. Tactus, Victra i Roque pędzą do środka. Zatrzymuję się i wołam na Niebieskich, aby się pośpieszyli i rozłączyli. Są logiczni, ale dla swojego okrętu poświęciłiby życie.

Wychylam się, krzyczę, żeby aktywowali swoją szalupę ratunkową, a sternik wreszcie

reaguje i wciska guzik, który sprawia, że podłoga w dole się rozmywa, ukazując otwór. Jeden po drugim Niebiescy odłączają się od wirtualnej rzeczywistości i spadają w grawitacyjny tunel, a potem do swoich kapsuł.

– Teodora! – Dostrzegam, jak szarpie się z młodym Niebieskim, wciąż ściskającym w przerażeniu swój panel. Kłykcie mu pobiełały, tak kurczowo się trzyma. – Szlag, uciekaj do kapsuły!

Teodora nie słucha. Niebieski też, bo nie puszcza panelu. Rzucam się do nich, a czujniki zbliżeniowe po raz ostatni sygnalizują alarm.

Świat zwalnia.

Światła mostka ciemnieją do czerwieni.

A niszczyciel wroga uderza w środek mojego okrętu.

Przyciskam Teodorę do piersi, gdy impet kolizji rzuca mnie trzydzieści metrów przez

mostek. Uderzam w metalową ścianę. Lewe ramię eksploduje bólem, usztywniony opatrunek pęka. Ogarnia mnie ciemność. Światła tańczą, najpierw jak gwiazdy, potem niczym kołyszące się tumany piasku wzburzonego wiatrem.

Przez powieki sączy się czerwony blask. Delikatna dłoń szarpie mnie za ubranie.

Otwieram oczy. Leżę pod zniszczoną kolumną elektryczną. Okręt drży jak umierająca starożytna bestia, zapada się w mrok. Kolumna trzęsie się coraz mocniej, obija mi brzuch, podczas gdy kadłub pęka i rozwiera się coraz bardziej. Z powolnym okrucieństwem.

Słyszę swoje imię. Powraca mi słuch.

Mostek zalewa zmienna poświata we wszystkich morderczo krwistych odcieniach czerwieni. Wyją syreny. Łabędzi śpiew okrętu. Pomarszczone dłonie Teodory zaciskają się na moim ubraniu niczym szpony ptaka na zwałonym pomniku. Po czole spływa mi krew. Mam złamany nos. Wycieram oczy i przewracam się na bok. Nieopodal migocze uszkodzony wyświetlacz. Widać na nim smugi mojej krwi. Spadł na mnie? Obok leży poprzeczka.

Spoglądam na Teodorę. Odsunęła ją. Ale przecież jest taka drobna. Ujmuje moją twarz w dłonie.

– Wstań, *domine*. Jeżeli chcesz przeżyć, musisz wstać. – Ręce starej kobiety drżą ze strachu. – Proszę, wstań.

Jęcząc, dźwigam się z podłogi. Moja kapsuła ratunkowa znikła. Musiała automatycznie wystrzelić się podczas kolizji. Albo towarzysze mnie porzucili. Szalupa Niebieskich również się już oderwała. Przerażony operator zmienił się w smugę na iluminatorze. Teodora nie może oderwać wzroku od tego makabrycznego widoku. Łzy zasnuwają jej oczy.

– W mojej kabinie jest jeszcze jedna kapsuła – mamroczę. I wtedy dostrzegam, dlaczego Teodora się krzywi. Nie ze strachu, lecz z bólu. Ma zmiążdżoną nogę. Różowi nie zostali stworzeni do takich obciążeń.

– Nie dotrę tam, *domine*. Idź.

Przyklękam i zarzucam ją sobie na nieuszkodzone ramię. Jęczy straszliwie, gdy noga jej zwisa, szczęka zębami. A ja zrywam się do biegu. Przecinam zniszczony mostek i gnam do rany, która zabija mój okręt. Korytarz na poziomie dowodzenia otwiera się na chaos. Ludzie tłoczą się na głównych pokładach, porzuciwszy swoje stanowiska i zadania, próbują dotrzeć do kapsuł ratunkowych i transportowców w hangarach na dziobie. Ludzie, którzy dla mnie walczyli – elektrycy, woźni, żołnierze, kucharze, służący. Nie zdołają się uratować. Wielu odwraca się na mój widok. Ruszają do mnie w szalonej panice, byle znaleźć drogę ucieczki.

Napierają na mnie z krzykiem, błagają. Odpycham ich. Serce mi się ściska, że muszę ich tak zostawić. Ale nie mogę ich ocalić. Nie mogę! Jakiś Pomarańczowy chwyta Teodorę za zdrową nogę, a sierżant Szarych bije go w głowę, aż nieszczęśnik wreszcie pada.

– Zróbcie przejście! – krzyczy do tłumów muskularna Szara. Wrywa zza pasa broń i

strzela w sufit. Kolejny Szary, opamiętawszy się lub może uznawszy, że ucieknie ze mną, przyłącza się do towarzyski broni. Wkrótce jeszcze dwóch żołnierzy toruje mi drogę przez

zamieszanie.

Z ich pomocą udaje mi się dotrzeć do kajuty. Drzwi rozsuwają się z sykiem na dotyk z

moim DNA. Szarzy za nami celują do trzydziestu zdesperowanych członków załogi,

próbujących przepchnąć się bliżej. Wejście już ma się zamknąć, gdy jedna z Obsydianów wrywa się z tłumem i rzuca na framugę. Dołącza do niej Pomarańczowy, a potem Niebieski niskiej rangi. Bez wahania sierżant Szarych strzela Obsydianowej w głowę. Pozostali Szarzy zdejmują Niebieskiego i Pomarańczowego, po czym odpychają ich z przejścia, żeby drzwi mogły się zamknąć. Odwracam oczy od krwi na podłodze i kładę Teodorę na jednej z sof.

– *Domine*, ile miejsc znajduje się w kapsule ratunkowej? – pyta Szara sierżant, gdy podchodzę do pryzmatu otwierającego przy ścianie. Włosy ma ścięte krótko, po żołniersku, spod kołnierza na opalanej szyi widać część tatuażu. Przesuwam dłońmi nad pryzmatem,

wprowadzając hasło określoną sekwencją ruchów.

– Cztery. Dwa są dla was. Wybierzcie sami, kto poleci.

Jest nas sześcioro.

– Dwa? – powtarza zimno sierżant.

– Ale Różowa to niewolnica! – syczy inny Szary.

– Nic niewarte gównu – dodaje kolejny.

– To *moja* niewolnica – warczę. – Róbcie, co mówię.

– Pieprzyć to... – Milczenie, które zapada, nie tylko słyszę, lecz także czuję. Wiem, że jeden z Szarych właśnie wycelował we mnie broń. Muskularny starszy Szary nie jest głupi.

Cofnął się poza zasięg moich rąk. Nie mam pancerza, tylko sling. Ale mógłbym zabić tego żołnierza. Pozostali pytają, co, u diabła, robi?

– Jestem wolnym człowiekiem. Powinienem polecieć. – Głos Szarego drży. – Mam

rodzinę. Mam prawo polecić.

Spogląda na swoich towarzyszy skąpanych w jaskrawej, czerwonej poświacie alarmu.

– To tylko dziwka. Zwykła dziwka.

– Marcel, opuść broń – rozkazuje ciemnoskóry kapral. Spogląda karcąco na starszego przyjaciela. – Pamiętaj o przysiędze. Sporo już przeżyliśmy.

– To nie fair! Ona nawet nie może mieć dzieci!

– A co twoje dzieci sobie pomyślą? – wtrącam.

Oczy Marcela wypełniają się łzami. Pistolet drży w jego potężnej dłoni. Pada strzał. Ciało Szarego sztywnieje i bezwładnie opada na pokład, gdy pocisk przebija mu głowę i rykoszetuje na stalowej ramie iluminatora.

– Polecą najwyżsi rangą – oznajmia sierżant, po czym chowa broń do kabury.

Gdybym wciąż był mężczyzną, jakiego znała Eo, zamarłbym ze zgrozy. Lecz tamten

człowiek już umarł. Opłakuję go każdego dnia, ponieważ zapominam stopniowo, kim byłem, jakie miałem marzenia, co kochałem. Smutek rozwiewa się coraz bardziej z każdym dniem. A ja podążam dalej przez życie, niepomny na cień, jaki rzuca na mnie przeszłość.

Kapsuła ratunkowa otwiera się, magnetyczne zamki puszczają z hukiem, sycząc, uchyla się właz. Podnoszę Teodorę z sofy i przypinam pasami do jednego z foteli. Pasy są za długie, przystosowane dla Złotych. I wtedy z trzewi mojego okrętu dobywa się ryk – pewnie z

odległości pół kilometra lub więcej. Wybuchły nasze składy torped.

Znika sztuczna grawitacja. Znikają stabilne ściany. I to nieprzyjemne doznanie. Wszystko zaczyna wirować. Uderzam w ścianę albo sufit kapsuły ratunkowej – nie wiem. Z okrętu

ulatuje powietrze, ciśnienie spada. Ktoś wymiotuje. Nie tyle słyszę to, ile wyczuwam. Wołam

do Szarych, aby weszli do kapsuły. Teraz zostaje tylko jeden. Twarz ma pustą i spokojną, gdy sierżant i kapral wciskają się do środka. Przypinają się do foteli naprzeciw mnie. Włączam funkcję odpalenia szalupy i salutuję Szaremu, który został. Odpowiada na salut z dumą i lojalnością, chociaż w ostatnich chwilach pewnie myślami jest daleko – przy ostatniej miłości, zmarnowanych okazjach, może przy rozważaniach, dlaczego nie urodził się Złotym.

Drzwi kapsuły zasuwają się i Szary znika z mojego życia.

Przyspieszenie wciska mnie w fotel, gdy kapsuła oddala się od umierającego okrętu.



Przebija się przez szczątki. A potem znowu jesteśmy w nieważkości i kłopoty się kończą, gdy włącza się wewnętrzna sztuczna grawitacja. Przez iluminator dostrzegam, jak z mojego okrętu buchają błękitne i czerwone płomienie. Zmodyfikowane helium-3, które napędza oba okręty, zapala się w sekcji napędu i wywołuje reakcję łańcuchową. Eksplozja rozrywa kadłub na strzępy. I wtedy uświadamiam sobie, że to nie szczątki okrętu obijały się o kapsułę podczas ucieczki, lecz ludzie. Moja załoga. Setki niższych rangą Kolorów rozrzucone w przestrzeni kosmicznej.

Szarzy siedzą naprzeciw mnie.

– Miał trzy dziewczynki – mówi ciemnoskóry kapral. Trzęsie się, gdy adrenalina przestaje działać. – Za dwa lata przeszedłby na emeryturę. A ty strzeliłaś mu w głowę.

– Po moim raporcie ten tchórz nie dostałby nawet głodowej zapomogi – syczy sierżant.

Kapral mruga zaskoczony.

– Ty zimnokrwista suko.

Ich rozmowę zagłusza łomot krwi w skroniach. To moja wina. Złamałem zasady w

Instytucie. Zmieniłem wzorzec i sądziłem, że nikt tego nie wykorzysta, że nie zmieni dla mnie strategii.

A teraz przeze mnie tak wielu ludzi straciło życie. Pewnie nigdy nie dowiem się ilu.

W okamgnieniu zginęło ich więcej niż przez rok w Instytucie – ich śmierć otwiera pustkę w moim wnętrzu.

Roque i Victra wzywają mnie przez komunikatory. Prześledzili dane z okrętu i wiedzą, że jestem bezpieczny. Ledwie ich słyszę. Gniew gotuje się we mnie, wywołuje drżenie rąk i ucisk w piersi.

Jednostce Karnusa, pomimo uszkodzeń i zniszczeń, jakich doznała po rozbiciu mostka na moim okręcie, udaje się lecieć dalej. Rozpinam pasy, podnoszę się z fotela w kapsule. Na końcu kabiny znajduje się pancerny skafander z załadowanym programem wspomagającym –

strój pozwalający zmienić człowieka w żywy pocisk. Jest przeznaczony do wystrzeliwania Złotych na powierzchnię asteroid lub planet, ponieważ kapsuła nie zawsze przetrwa ponowne wejście w atmosferę. Jednak ja zamierzam wykorzystać skafander do zemsty. Wystrzelę się w mostek tego cholernego drania od Bellony.

Teodora nadal pozostaje nieprzytomna. To dobrze.

Rozkazuję, żeby kapral pomógł mi ze skafandrem. Dwie minuty później mam na sobie

metalowy pancerz. Dwie kolejne minuty tracę na kłótnię z komputerem o obliczenia potrzebne do ustalenia mojej trajektorii na zderzenie z jednostką Karnusa, co pozwoli mi przebić się na mostek przez iluminator. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tak zrobił. Nie wiem, czy ktokolwiek podjął choćby

próbę. To szaleństwo. Ale Karnus zapłaci.

Rozpaczam własne odliczanie.

*Trzy...* Wrogi okręt oddala się arogancko o setki kilometrów. Przypomina czarnego węża z niebieskim ogonem i mostkiem w miejscu oczu. Między nami setki szalup ratunkowych

migoczą jak rubiny w słońcu. *Dwa...* Modłę się, żebym odnalazł zieloną Dolinę, jeżeli tego nie przeżyję. *Jeden.* Kontrolki gasną, na wyświetlaczu po wewnętrznej stronie hełmu błyska czerwień. Cenzorzy przejęli sterowanie nad moim komputerem i wyłączyli mi dostęp.

– Nie! – ryczę, patrząc, jak okręt Karnusa znika w mroku kosmicznej pustki.

## *Rozdział trzeci*

### *Krew i mocz*

Ośmiuset trzydziestu trzech ludzi. Mężczyzn i kobiet. Ośmiuset trzydziestu trzech zabitych dla gry. Żałuję, że poznałem to zestawienie. Powtarzam tę liczbę raz po raz, gdy siedzę w fotelu pasażera na pokładzie jednostki ratowniczej, która przetransportuje mnie do Akademii.

Moi porucznicy boją się spojrzeć mi w oczy. Nawet Roque zostawia mnie w spokoju.

Instruktorzy wyłączyli mój skafander, zanim zdążyłem się wystrzelić. Powiedzieli, że

zrobili to, aby uchronić mnie od błędu. Gambit był pośpieszny, bezmyślny i niestosowny dla Złotego Pretora. Spoglądałem na nich beznamiętnie, gdy wyjaśniali mi to przez holosiec.

Docieramy do Akademii o zmierzchu według dobowego cyklu na pokładzie mojego okrętu.

Na miejscu wznosi się wielka metalowa kopuła kosmoportu na skraju pola asteroid, otoczona pierścieniem doków dla niszczycieli i okrętów flagowych. Większość jest zajęta. Znajduje się tutaj Akademia oraz sztab dowództwa środkowych planet Układu Słonecznego, czyli Marsa, Jowisza i Neptuna, choć port służy też jednostkom z pozostałych światów, gdy ich orbity przebiegają akurat w pobliżu. To również jeden z ośrodków spotkań militarnej elity. Inni studenci zapewne będą obserwować mój powrót ze swoich kwater, podobnie jak wielu

oficerów floty i Niezrównanych, którzy przybyli, aby zobaczyć ostatnie tygodnie gry i zabawić się w gronie śmietanki towarzyskiej.

Nikt nie wspomni o ofiarach, które zapłaciły najwyższą cenę za zwycięstwo Karnusa. Ta klęska na dodatek spowolni moją misję. Synowie Aresa mają szpiegów. Mają też hakerów i kurtyzany do wykradania sekretów. Brakowało im tylko floty. I nadal brakuje.

W dokach nikt nie wita ani mnie, ani moich podwładnych.

Czerwoni i Brązowi krzątają się pod rozkazami dwóch Fioletowych i Miedzianego, który zajmuje się przygotowaniem wielkiej sali na Uroczystość Zwycięstwa Karnusa. Błękit i srebro rodu Bellona króluje w metalowych korytarzach. Herb rodowy z orłem zdobi ściany.

Rozsypano dla Karnusa płatki białych róż. Czerwone są zarezerwowane na Triumf,

prawdziwą wiktoryę, podczas której przelana została Złota krew. Krew ośmiuset trzydziestu trzech PodKolorów nie liczy się ani trochę. To tylko statystyki.

Moi porucznicy przespałi podróż do portu. Ja nie. Tactus i Victra wloką się przede mną w milczeniu, jakby nadal jeszcze spali. Pomimo brzemienia spoczywającego na barkach

nieśpieszno mi do snu. Żal skrywam pod przekrwionymi powiekami. Gdybym zasnął,

ujrzałbym twarze tych, których zostawiłem na pokładzie okrętu. Wiem też, że ujrzałbym Eo.

Dzisiaj nie mógłbym spojrzeć jej w oczy.

W Akademii unosi się zapach środków czystości i kwiatów. Płatki białych róż spoczywają w koszach pod ścianami. Filtry w górze z pomrukiem oczyszczają powietrze. Fluorescencyjne strugi światła sączą się z sufitu, jakby miały nam przypomnieć, że to nie miejsce dla dzieci lub marzycieli. Światło, podobnie jak tutejsi ludzie, jest zimne i nieprzyjazne.

Roque idzie u mojego boku, choć wygląda jak trup. Nakazuję, żeby się przespał. Zasłużył.

– A na co ty zasłużyłeś? – prycha. – Nie na ponure myśli. Nie na samooskarżenia. Ze

wszystkich studentów zdobyłeś drugie miejsce. *Drugie!* Dlaczego, bracie, nie jesteś z tego dumny?

– Nie teraz, Roque.

– Daj spokój – nie daje za wygraną. – To nie zwycięstwo czyni mężczyzną, lecz porażka.

Myślisz, że nasi przodkowie nigdy nie przegrywali? Nie unosi się dumą i nie powtarzaj tych banałów po starożytnych Grekach. Przestań się dąsać. To była tylko gra.

– Myślisz, że obchodzi mnie gra? – Odwracam się do niego. – Zginęli ludzie.

– Wybrali życie w służbie floty. Znali ryzyko i zginęli za sprawę.

– Jaką sprawę?

– Dopilnowania, aby nasze społeczeństwo było silne.

Spoglądam na Roque'a. Jak mój przyjaciel, mój życzliwy i dobry przyjaciel może być tak ślepy? Jakież niby wybór mieli tamci ludzie? Zostali wcieleni do floty. Potrząsam głową.

– Nic nie rozumiesz, prawda?

– Jasne, że nie rozumiem. Nikogo do siebie nie dopuszczasz. Nie mnie. Nie Sevra. Spójrz, jak traktujesz Mustang. Odpychasz swoich przyjaciół, jakbyś miał do czynienia z wrogami.

Gdyby Roque tylko wiedział.

Ogród okazuje się pusty. Znajduje się na szczycie budowli, umiejscowiony w wielkiej, przeszklonej sali. Ziemia i zieleń zostały zaprojektowane jako azyl dla zmęczonych fluorescencyjnym oświetleniem żołnierzy. Karłowate drzewa kołyszą się na sztucznym wietrze. Zdejmuję buty i skarpety. Wzdycham, gdy pod bosymi stopami czuję trawę.

Lampy nad drzewami imitują słońce. Wchodzę między pnie i zanurzam się w małym

gorącym źródle na środku niedużej polany. Sińce, w większości już znikające, plamią moją skórę niczym błękitne jeziorka otoczone czerwonym i żółtawym piaskiem. Ciepła woda koi mój ból. Schudłem bardziej, niż powinienem, ale ciało mam napięte niczym struna. Gdyby nie złamane ramię, mógłbym powiedzieć, że jestem w lepszej kondycji niż w Instytucie.

Jajecznicza na bekonie w Akademii bije na głowę tamtejszą na wpół surową kozinę.

Na skraju gorącego źródła znajduję kwitnący haemanthus. Wyrósł tam, gdzie nie sięgały fale. Kwiat, podobnie jak ja, pochodzi z Marsa, dlatego go nie zrywam. Pochowałem Eo w miejscu podobnym do tego. Złożyłem ją w sztucznym lesie nad kopalniami Lykos, tam, gdzie kochaliśmy się ostatni raz. Byliśmy wtedy chudzi, niezdarni i niewinni. Jak w tak kruchej dziewczynie mógł się zrodzić tak mocarny duch, marzenie wielkie jak wolność, gdy tak wiele silnych dusz garbiło się i ze strachem chyliło karki?

Wrzasnąłem na Roque'a, że nie obchodzi mnie porażka. A jednak obchodziła i miałem z

tego powodu poczucie winy, ponieważ powinienem opłakiwać zmarłych, którzy się dla mnie poświęcili. Jednak wcześniej, przed porażką, cieszyło mnie zwycięstwo, ponieważ każda wiktoria przybliżała mnie do urzeczywistnienia marzeń Eo. Niedawna klęska zaś ograbiła mnie z tej bliskości – wiedziałem, że dzisiaj zawiodłem zmarłą żonę.

Jakby znając moje myśli, unipad łaskocze moje ramię. Augustus mnie wywołuje.

Przesuwam palcem po cienkim jak włos wyświetlaczu i zamykam oczy.

Słowa Augustusa odbijają się echem w moich wspomnieniach.

„Jeśli przegrasz albo nie zdołasz zwyciężyć sam, nie dopuść przynajmniej, aby

zatriumfowała Bellona. Jeszcze jedna flota w rękach tego rodzaju zmieni znacząco układ sił”.

No i tyle, jeśli chodzi o przestrogi. Unoszę się na wodzie, przysypiam niemal, a skóra na palcach marszczy mi się od wilgoci. Ogarnia mnie znudzenie. Nie przywykłem do takich

spokojnych chwil. Wstaję, żeby się ubrać. Nie mogę pozwolić, aby Augustus czekał zbyt długo. Pora stawić czoła staremu lwu. A potem porządnie się przespać. Może. Najpierw będę musiał stać i patrzeć na świętowanie zwycięstwa przez Karnusa, ale potem nareszcie będę mógł opuścić to paskudne miejsce i wrócić na Marsa. I chyba do Mustang.

Mojego ubrania nie ma, noża również.

I wtedy ich wyczuwam.

Za plecami słyszę tupot nóg w wojskowych butach. Głośne, podniecone oddechy. Zgaduję, że intruzów jest czterech. Podnoszę z ziemi kamień. Gdy się odwracam, dostrzegam siedmiu Złotych blokujących jedyne drzwi do ogrodu. Wszyscy z rodu Bellona. Moi śmiertelni

wrogowie.

Wraz z nimi nadchodzi Karnus, prosto z pokładu swojego okrętu. Twarz ma równie

wychudzoną jak ja, barki już nie tak szerokie jak kiedyś. Spogląda na mnie z góry – Obsydian w każdym calu, poza urodzeniem i umysłowością. Jego uśmiech skrywa rzadko spotykaną

inteligencję. Pociera się w policzek z dołeczkiem, napięte mięśnie przedramienia wyglądają jak wyrzeźbione z wygładzonego drewna. Bliskość kogoś tak ogromnego, że czuje się w

kościach wibracje jego głosu, odruchowo budzi strach.

– Zdaje się, że złapaliśmy złotą rybkę Augustusa. Witaj, Kosiarzu.

– Goliacie – używam jego kryptonimu z pola bitwy.

Goliat rębacz. Goliat, syn zabójcy. Goliat dzikus. Mustang twierdzi, że kiedyś złamał kark jednemu ze Złotych, podopiecznemu rodu Lune, ponieważ smarkacz śmiał ochlapać mu twarz drinkiem w jakimś nocnym klubie. Matka Karnusa przekupiła potem Sędziego, żeby pozwolił

jej synowi uniknąć wyroku.

Lista łapówek, jakie zapłacono, aby zatuszować morderstwa, jest dłuższa niż moje ramię.

Szarzy, Różowi, nawet Fioletowi. Jednak reputację Karnus zawdzięcza zamordowaniu

Claudiusa au Augustusa, ukochanego syna i dziedzica ArcyGubernatora. Brata Mustang.

Krewniacy Karnusa orbitują wokół niego. Wszyscy z rodu Bellona. Wszyscy urodzeni pod

błękitno-srebrnym godłem zwycięskiego orła. Bracia, siostry i kuzyni Cassiusa. Włosy mają kręcone i bujne, twarze nieskazitelnie piękne. Ich wpływy rozciągają się na całe

społeczeństwo.

Jeden jest starszy ode mnie, niższy, ale silniejszej budowy, przypomina pniak pokryty jasnym mchem. Zbliża się już do trzydziestki. Przypominam sobie jego imię – Kellan. To Legat wysokiej rangi. Ale przybył tutaj ze swoim rodzeństwem i krewnymi ze względu na mnie. Bije od niego arogancja. Udaje ziewnięcie, jakby brał udział w nudnej, szkolnej bójce.

Moją pierś ściska strach.

Trudno mi nabrać tchu. A jednak uśmiecham się, a za plecami głaszczę komunikator, aby go włączyć.

– Siedmioro z rodu Bellona – chichoczę. – Po co ci aż siedmioro, Karnusie?

– Było siedem twoich okrętów przeciw jednemu mojemu – odpowiada Karnus. –

Przyszedłem kontynuować naszą grę.

Przechyla głowę.

– Myślałeś, że to się skończy po zniszczeniu twojego okrętu?

– Gra skończona. – Wzruszam ramionami. – Wygrałeś.

– Doprawdy, Kosiarzu?

– Za cenę życia ośmiuset trzydziestu trzech ludzi.

– Jęczysz, bo przegrałeś? – wtrąca się Cagney. To najmniejsza z grupy, około

dwudziestoletnia przyboczna ojca Karnusa. Właśnie ona trzyma mój nóż, ten, który

podarowała mi Mustang. Przecina nim powietrze. – Chyba zatrzymam to ostrze. Nie słyszałam, żebyś choć raz go użył. Nic dziwnego. Noże są ryzykowne. Niebezpieczne dla niewprawnych i niewyszkolonych.

– Zajmij się lepiej swoimi kuzynami – syczę. – Nie bez powodu wszyscy wyglądacie tak samo.

– Musimy wysłuchiwać, jak się odszczekuje, Karnusie? – marudzi Cagney.

– Nauczyłem Juliana, jak się łowi, *Kosiarzu* – odzywa się niespodziewanie Legat Kellan.

– W dzieciństwie tego nie lubił, bo uważał, że łowienie sprawia rybom zbyt wiele bólu.

Sądził, że jestem okrutny. Taki był chłopiec, którego zabiłeś dla swojego pana. To właśnie miara okrucieństwa Augustusa. Poczuleś się wtedy wielki i odważny?

– Nie chciałem go zabić.

– Za to my chcemy zabić ciebie – dudni Karnus. Kiwa głową na swoich krewnych. Dwaj odłamują konary drzew i rzucają swoim towarzyszom. Mają noże, ale najwyraźniej nie zamierzają ich użyć.

– Jeżeli mnie zabijecie, nie ujdzie wam to płazem. – Z rękoma za plecami dotykam mojego unipada. – To nieusankcjonowany pojedynek, a ja jestem Niezrównanym. I chroni mnie

konwencja. To będzie morderstwo. Rycerze Olimpijscy złapią was. Staniecie przed sądem.

Zostaniecie skazani na śmierć.

– Kto mówi o morderstwie? – prychnął Karnus.

– Należysz do Cassiusa – dodaje Cagney, a jej lisią twarz rozciąga uśmiech.

– Na razie chroni cię Augustus – stwierdza Karnus. – Jesteś jego wybrańcem. Zabicie cię oznaczałoby wojnę. Ale nikt nie rozpocznie wojny z powodu zwykłej bójki.

Cagney oszczędza lewą nogę – zranione kolano. Jej kuzyn odchyła się nieco. Boi się mnie.

Karnus prostuje się, co znaczy, że nie obchodzi go, czy przeżyję. Kellan uśmiecha się, rozluźniony. Nie znoszę takich ludzi, trudno ich rozgryźć. Oceniam swoje szanse. A potem przypominam sobie, że mam złamane ramię i popękane żebra. Moje szanse spadają o połowę.

Boję się. Członkowie rodu Bellona nie mogą mnie zabić, a mnie nie uda się zabić ich. Nie tutaj. Nie teraz. Wszyscy wiemy, jak skończy się ten taniec. A jednak tańczymy.

Na pstryknięcie Karnusa grupa rzuca się na mnie jak jeden mąż. Ciskam kamień w twarz

Cagney. Upada. Ruszam na Karnusa, wyjąc jak szalony wilk, robię unik przed jego pięścią, po czym puszczam serię ciosów w unerwione, wrażliwe punkty – wbijam łokieć w prawy biceps przeciwnika, rozdieram tkankę. Karnus zatacza się, więc nacieram mocniej, wykorzystując wielkoluda jak tarczę do osłony przed resztą krewnych i ich kijami. Wyrwam konar jednej z kuzynek, powalam ją ciosem z łokcia w skroń, po czym z obrotu uderzam Karnusa kijem w twarz.

Jednak atak nie sięga celu. Dostaję w kark. Gałąź pęka. Drzazgi wbijają mi się w głowę. Nie zataczam się. Padam dopiero po ciosie Karnusa łokciem w twarz – uderzenie jest tak silne, że wybija mi zęby.

Bellona nie podchodzą do mnie pojedynczo. Otaczają mnie i wymierzają mi karę przy

pomocy skutecznej i śmiertelnej sztuki walki zwanej Kravat. Mierzą w sploty nerwowe i organy wewnętrzne. Udaje mi się podnieść, uderzyć paru napastników. Ale nie utrzymuję się długo w tej pozycji. Dostaję kijem w kręgosłup, uderzenie paraliżuje mi obwodowy układ nerwowy. Opadam na ziemię jak roztopiony wosk, a Karnus kopie mnie w głowę.

Przygryzam sobie język.

Ziemia wydaje się miękka.

Czuję w ustach smak soli.

Nacisk stopy Karnusa na mój żołądek, a potem na gardło wypycha mi z płuc powietrze wraz z krwią.

– Jak rzekł Lorn au Arcos, skoro musisz pozostawić człowieka przy życiu, lepiej najpierw zabij w nim dumę.

Charczę, próbując nabrać tchu.

Cagney zastępuje Karnusa, siada mi na piersi, kolanami unieruchamia ramiona. Łapie

płatki oddech. Cagney uśmiecha się, rozchyła usta podniecona dominującą pozycją. Chwyta mnie za włosy. Jej gorący oddech pachnie miętą.

– Co my tu mamy? – Ściąga mi unipad z przedramienia. – Niech to! Przesłał wszystko

Augustusowi. Wolę nie walczyć z suką ArcyGubernatora bez zbroi.

– Więc nie zwlekaj – warczy Karnus. – Zrób to.

– Cii... – szepcze Cagney, gdy próbuję się odezwać. Przesuwa nożem po moich wargach, wciska mi ostrze do ust, aż metal zgrzyta na zębach. – Dobry gnojek, cichy gnojek.

A potem szarpnięciem wyrywa mi garść włosów.

– Cichy i spokojny. Dobry Kosiarz. Dobry.

Krew szczypie mnie w oczy, gdy Karnus odpycha Cagney i podrywa mnie z ziemi lewą ręką. Cofa prawą z przekleństwem, bo zmiażdżony biceps nie pozwala mu wyprowadzić



mocnego ciosu, ale zaraz uśmiecha się i uderza mnie głową w pierś, a potem w podbrzusze.

Świat wywraca się na nice. Słyszę trzask. Z ust wyrywa mi się świszczący, nieludzki charkot.

Karnus uderza mnie jeszcze raz, po czym ponownie rzuca na ziemię.

Czuję ciepłą ciecz na skórze i ostry zapach moczu. Członkowie rodu Bellona śmieją się, a Karnus szepcze mi w ucho:

– Matka kazała ci przekazać, że żebrak nigdy nie zostanie księciem. Za każdym razem, gdy popatrzysz w lustro, przypomnij sobie, co ci zrobiliśmy. Żyjesz tylko dlatego, że ci na to pozwalamy. I pamiętaj, że twoje serce pewnego dnia znajdzie się na naszym stole. Wspinasz się tak wysoko, że upadniesz w błoto.

## *Rozdział czwarty*

### *Upadły*

Stoję przed swoim panem, ale jego to nie obchodzi.

Ściany gabinetu wyłożone są drewnem, a podłogę wyściela dywan, który waleczny

przodek Augustusa zabrał z pałacu na Ziemi po upadku Imperium Hinduskiego, ostatniego wielkiego państwa walczącego przeciwko Żłotym. Cóż za zgrozę musieli czuć ci naturalnie urodzeni ludzie na widok zdobywców spadających z nieba – ludzi udoskonalonych, którzy jednak nie przynieśli nadziei, lecz okowy.

Stoję przed biurkiem Augustusa, surowym meblem z żelaza i drewna. Dostrzegam na

krawędzi blatu siedemsetletnią smugę krwi w miejscu, gdzie ostatni władca Hindusów został

pozbawiony głowy przez wprawnego Żłotego zabójcę.

Nero au Augustus głaszcze lwa leżącego obok biurka. Wyglądają obaj jak bliźniacze

posągi. Za nimi znajduje się wolna przestrzeń. Iluminator panoramiczny pokazuje ciemność, w której niczym uśpione olbrzymy spoczywają okręty Wielkiej Armady. Minęliśmy je podczas ostatniego etapu trzytygodniowej podróży z Marsa.

Augustus spogląda na biurko, po blacie przepływa strumień danych.

Wydaje się, że minęło już tyle czasu, odkąd wziął mnie na obchód Marsa, aby pokazać

nasze włości – od latyfundiów, gdzie Czerwoni wysokiej rangi pracują wśród łąnów pszenicy, po górskie pasma polarne, gdzie w średniowiecznej izolacji mieszkają Obsydiani. Wtedy Augustus mnie faworyzował, trzymał blisko, uczył mnie tego, czego sam dowiedział się od ojca. Byłem ulubieńcem, pierwszym po Leto. Teraz traktuje mnie jak obcego, przynoszę mu wstyd.

Minęły dwa miesiące od dnia, gdy Karnus pobił mnie w Akademii. Chociaż włosy mi odrosły, a połamane kości są już całe, nie odzyskałem reputacji. I z tego powodu życie pod rozkazami ArcyGubernatora Augustusa stało się, mówiąc oględnie, trudne. Od tamtego dnia liczba moich wrogów tylko rośnie. Lecz ci nowi wolą szeptać za plecami, niż użyć noża.

Coraz mocniej zaczynam wierzyć, że Synowie Aresa nie wybrali dobrze. Nie jestem

stworzony do zimnej wojny ani do polityki. Nie znam się na subtelnościach. Do diabła, umiałbym pokonać każdego w otwartym starciu, ale nie potrafiłbym nikogo przekupić, nawet gdyby od tego zależało moje życie.

Cichy, ciepły głos, dopasowany do mówienia półprawdy, niesie się po gabinecie

ArcyGubernatora.

– Trzy rafinerie, dwa kluby nocne. Dwa posterunki policyjne Szarych. Wszędzie podłożono bomby, odkąd opuściliśmy Marsa. Siedem ataków, panie mój. Pięćdziesiąt dziewięć ofiar śmiertelnych wśród Złotych.

Pliniusz. Szczupły i zwinny jak salamandra, o skórze gładkiej niczym u Różowego. Ten

polityk nie należy do Niezrównanych Naznaczonych, nigdy nawet nie był w Instytucie. Jego błyszczące oczy przesłaniają długie rzęsy. Wyciszająca szminka pokrywa cienkie wargi.

Włosy Pliniusz nosi utrefione i uperfumowane. Drobne, choć zapewne silne mięśnie rysują się pod zbyt przylegającą, jedwabną tuniką. Dziecko pokonałoby tego mężczyznę, bardziej

przypominającego kociaka. Jednak to on stoi za większością pogłosek i paszkwilów. Ma siłę innego rodzaju niż moja. Ja wykorzystuję energię kinetyczną, on – potencjalną.

Słyszałem też, że to właśnie on odpowiada za zrujnowanie mi reputacji. Tactus

podejrzewał nawet, że to Pliniusz mógł podjudzić Karnusa do incydentu w ogrodzie, albo przynajmniej tak ustawił holokamery, aby zarejestrować najlepsze momenty z mojego

poniżenia.

U boku Pliniusza stoi czwarty mężczyzna – Leto. To dumny wojownik, starszy ode mnie o dziesięć lat, z włosami zaplecionymi w warkocz i na wpół rozmarzonym uśmiechem. To także poeta z bronią, przez niektórych uważany za młodsze wcielenie Lorna au Arcosa.

Prawdopodobnie właśnie Leto odziedziczył włości ArcyGubernatora, a nie rodzone dzieci

Augustusa – Mustang i Szakał. Lubię Leta.

– Synowie Aresa stali się nazbyt bezczelni – mruczy Augustus.

– Tak, suzerenie. – Pliniusz mruży oczy. – O ile to właśnie oni dopuścili się tych występków.

– Któż inny by się ośmielił?

– Nikt, o kim mielibyśmy pojęcie. Ale na tym świecie wiele jest szcurów, pajaków i lisów. Podkładanie bomb to dość prymitywna zagrywka, jak na Aresa, zbyt bezpośrednia i nietypowo brutalna. Odbiega od wzorca, nie pasuje do profilu. Ares wcześniej dokonywał głównie sabotaży technicznych i rozpowszechniał wrogą propagandę. Nigdy nie uciekał się do bezpośredniej przemocy, dlatego trudno mi uwierzyć, że zaplanował te ataki.

Augustus marszczy brwi.

– Więc kogo podejrzewasz?

– Może istnieje inna grupa terrorystyczna, suzerenie. Trudno oczekiwać, że wśród osiemnastu miliardów ludzi tylko jeden człowiek będzie miał monopol na terroryzm. Ani że będzie to tylko jeden syndykat zbrodni. Przygotowuję bazę danych, którymi mogę się podzielić...

Pliniusz ma rację. Ataki terrorystyczne, które spadły na Marsa i inne planety, nie mają sensu. Tancerz mówił o sprawiedliwości, nie o zemście. A te akty przemocy są przerażające –

podkładanie bomb pod baraki, magazyny, bazary, sklepy i restauracje Kolorów wyższych

rangą. Ares nigdy by ich nie zlecił. Przyciągają za wiele uwagi i nie przynoszą

proporcjonalnych korzyści, prowokują tylko Złoty do działania, do zniszczenia Synów Aresa.

Posyłałem wiadomości do Tancerza, ale bez skutku. Zginął? A może Ares mnie opuścił i

wybrał strategię podkładania bomb?

Pliniusz ziewa.

– Może Ares zmienił taktykę? To przebiegły facet.

– O ile to w ogóle facet – wtrąca Leto.

– Intrygujące. – Augustus obraca się szybko. – Co każe ci podejrzewać, że Ares to nie mężczyzna?

– Dlaczego zakładamy, że to mężczyzna? Przecież to może być kobieta. Albo jakaś grupa.

To ostatnie zwłaszcza może stanowić wyjaśnienie niejasności i odmiennej natury ostatnich ataków. –

Leto zwraca się do mnie, a gdy mówi, patrzy mi w oczy. – Darrow, co o tym

sądzisz?

– Nie obciążaj Darrowa skomplikowanymi pytaniami – skrzeczy Pliniusz z udawaną

troską. – Sformułuj to jak najprościej, aby można było odpowiedzieć „tak” lub „nie”, inaczej nie zrozumie.

Posyła mi fałszywie współczujący uśmiech i pokrzepiająco ściska ramię.

– Chyba wiesz, że Darrow to uczciwa, prosta bestia, ale poza tym potrafi się tylko

grzecznie uśmiechać.

Słyszę to i przyjmuję bez drgnienia powieki. Pliniusz odsuwa się ode mnie i mówi dalej:

– Zapominasz zresztą, Leto, że zorganizowaliśmy społeczność Czerwonych jako silnie

patriarchalną. Ich tożsamość jako ludzi koncentruje się wokół wydobycia złóż surowców stanowiących podstawę procesu terraformowania Marsa. Tym żmudnym i wyczerpującym

zadaniem, wymagającym siły fizycznej, zajmują się *mężczyźni*. Nie dopuszczamy do niego kobiet. Nawet gdyby umiały sobie poradzić, zakazuje tego Protokół Stratygraficzny. Jak widzisz zatem, nie może to być kobieta, ponieważ żaden osiłkowaty Rdzawy nie posłuchałby rozkazów kobiety ani mężczyzny, który nigdy nie sterował świdrem.

Leto uśmiecha się przebiegle.

– *O ile* Ares to Czerwony.

Pliniusz i Augustus wybuchają śmiechem.

– Może to jakiś obłąkany Fioletowy, którego szaleństwo przejawia się eskalacją przemocy

– podsuwa Pliniusz.

– Albo cinkciarz oburzony spadkiem zysków z lokalnych haraczy – dodaje Leto.

– Skądże! Powiedziałbym raczej śmiało, że to Obsydian, który przełamał swój lęk przed techniką i nauczył się wreszcie obsługiwać holokamerę! – Pliniusz klepie się w uda. –

Oddałbym jedną z moich Róż, żeby zobaczyć...

– Niech to zaraza, wystarczy – przerywa im Augustus. Bębni palcami po blacie. Pliniusz i Leto wymieniają szerokie uśmiechy, po czym skupiają uwagę na ArcyGubernatorze. – Co

doradzasz, Pliniuszu?

– Oczywiście, już mówię – odchrząkuje Pliniusz. – W przeciwieństwie do propagandy i

cyberataków przeciwdziałanie aktom przemocy jest dość łatwe. To kwestia prostej

odpowiedzi na brutalność. Nasze oddziały czekają w gotowości do taktycznego uderzenia na kilka terrorystycznych obozów szkoleniowych, ukrytych pod powierzchnią Marsa. Powinniśmy uderzyć jak najszybciej. Jeżeli będziemy zwlekać, obawiam się, że Pretorianie Władczyni wezmą sprawy w swoje ręce. A to przecież obcy, nie pochodzą stąd i nie rozumieją Marsa. Po ich przejściu zostaną tylko zgliszcza.

– Głupiec zrywa liście. Osiołek łamie gałęzie. Mędrzec wykopuje korzenie. – Augustus

zamyśla się. – Lorn au Arcos powiedział to kiedyś mojemu ojcu. Wykuto te słowa w Sali Ostrzy w Nowych Tebach. Uderzenie w ośrodki szkoleniowe nie przyniesie żadnych korzyści, tylko wypełni wiadomości w holosieci nagraniami z eksplozji. Mam dość rozgrywek

politycznych. Pora zmienić strategię. Z każdą podłożoną bombą rośnie niezadowolenie

Władczyni moim zarządzaniem.

– Rządzisz *Marsem* – stwierdza Leto z naciskiem. – To nie Wenus ani Ziemia. Mars nie jest tak uległy. Czego oczekuje Władczyni?

– Efektów.

– Jaki masz pomysł, suzerenie? – pyta Pliniusz.

– Zamierzam wytruć korzenie Synów Aresa. Nie chcę mieć Szarych, lecz zamachowców

samobójców. Znajdźcie najgorszych, najbardziej wrednych Czerwonych na Marsie, porwijcie ich bliskich, a potem zagroźcie, że synowie i córki zginą, jeżeli ojcowie nie wykonają naszych rozkazów. Poślijcie zamachowców samobójców na powierzchnię, w obszary, gdzie przebywa najwięcej młodych, oraz do dwóch wybranych kopalni. Żadnych kobiet z bombami. Chcę, aby społeczeństwo się podzieliło. Kobiety przeciw przemocy.

Jakże niewiele znaczy tutaj życie. To tylko słowa rzucone w przestrzeń.

– I na obszary miejskie – ciągnie ArcyGubernator. – Nie tylko na Brązowych i Czerwonych górników czy rolników. Chcę śmierci Niebieskich i Zielonych dzieci w szkołach lub centrach rozrywki, w pobliżu symboli Synów Aresa. I wtedy zobaczymy, czy inne Kolory nadal będą śpiewać piosenkę tej przeklętej dziewczyny.

Serce mi zamiera. Piosenka Eo rozniosła się dalej, niż moja żona się spodziewała, dotarła do holosieci i pomknęła przez Układ Słoneczny. Odsłuchano ją miliardy razy dzięki grupom hakerów-anarchistów. Znowu wzbiera we mnie lęk, że zostanę rozpoznany. Może jakiś Złoty przeszuka pliki i odkryje, że mąż Eo też miał na imię Darrow? Jednak nawet mnie trudno byłoby rozpoznać siebie w tamtym kościstym chłopaku. A jeżeli chodzi o imię... Tak naprawdę nie prowadzi się ewidencji imion niższych rangą Kolorów. Miałem numer ewidencyjny,

przydzielony mi przez jakiegoś Miedzianego urzędnika administracji. L17L6363. A L17L6363

zawisł na stryczku, dopóki nie umarł, po czym jego zwłoki zostały skradzione przez

nieznanego sprawcę i najprawdopodobniej pogrzebane głęboko w sztolni.

– Planujesz wyalienowanie Czerwonych od innych Kolorów, a potem odizolowanie Synów

Aresa od Czerwonych – uśmiecha się Pliniusz. – Panie mój, zastanawiam się czasami, po co ci jestem potrzebny.

– Nie traktuj mnie protekcyjnie, Pliniuszu. To poniżej godności nas obu.

Pliniusz kłania się uniżenie.

– Istotnie. Proszę o wybaczenie, panie mój.

Augustus przenosi spojrzenie na Leta.

– Wiercisz się jak szczeniak.

– Martwię się, że to tylko pogorszy sprawę. – Leto marszczy brwi z namysłem. – W tej

chwili Synowie Aresa stanowią utrapienie, owszem, ale bynajmniej nie nasz główny problem.

Jeżeli postąpimy zgodnie z twoim planem, możemy zaognić sytuację. I co gorsza, będziemy wtedy tak samo winni jak Synowie Aresa. Staniemy się terrorystami.

– Nie poniesiemy żadnej odpowiedzialności. – Pliniusz śledzi nerwowo strumień danych na swoim unipadzie. – Nie wtedy, gdy będziemy sędziami.

Letowi to nie wystarcza.

– Nasze prawo do sprawowania rządów opiera się na przekonaniu, że jesteśmy najlepiej

przygotowani do przewodzenia ludzkości. Jesteśmy władcami, jakich wyobrażał sobie filozof Platon. Naszym celem jest porządek. Zapewniamy stabilność. Synowie Aresa to anarchiści.

Ich celem jest chaos. I właśnie tego powinniśmy użyć jako naszej broni. Nie Szarych w mroku nocy i zamachowców poszczutych na dzieci.

– Powinniśmy aspirować do wyższych celów? – prycha Pliniusz.

– Tak! Może przeprowadzić kampanię w mediach skierowaną przeciwko Synom Aresa.

Nie sądzisz, Darrow?

Ponownie nie odpowiadam. Milczę, dopóki ArcyGubernator nie zauważy mojej obecności.

Augustus nie pozwala na bezczelność lub brak manier, chyba że przynosi mu to korzyści.

– Idealizm – wzdycha Pliniusz. – Godne podziwu u młodych, nawet jeżeli się mylą.

– Wysił się i mów do mnie, Polityku – warczy Leto, obrzuciwszy spojrzeniem uśmiechniętą i gładką, pozbawioną blizny Naznaczonych twarz Pliniusza. – Twój plan powinien być mniej brutalny, ArcyGubernatorze. Tylko o to mi chodzi.

– Brutalność... – Augustus pozwala, aby to słowo zawisło w powietrzu. – Nie jest ani

dobra, ani zła. To po prostu opis danego aktu, w tym przypadku naszych działań. Należy jednak przede wszystkim zanalizować naturę tych działań. Czy powstrzymanie terrorystów, którzy mordują niewinnych, jest dobre, czy złe?

– Dobre, jak sądzę.

– Więc jakie znaczenie mają nasze metody? Wyrządźmy mniejszą krzywdę niewinnym niż

Synowie Aresa, gdybyśmy nadal pozwalali im działać. – Augustus splata długie palce. –

Jednak to nie jest właściwie kwestia filozoficzna. To kwestia polityczna. Synowie Aresa nie stanowią zagrożenia. Wcale. Są jedynie bronią dla naszych wrogów politycznych, a dokładniej dla rodu Bellona, idealnym powodem, by twierdzić, że nie potrafisz rządzić Marsem.

Spogląda Letowi w oczy.

– Bellona już szuka sposobu, aby pozbawić mnie stanowiska. Jak wiadomo, Władczyni ma prawo usunąć mnie ze stanowiska nawet bez głosowania Senatu. Jeżeli zechce, może

przekazać władzę nad Marsem innemu rodowi – albo Bellonie, albo naszym sprzymierzeńcom, Julii,

albo nawet rodowi, który nie pochodzi z Marsa. Nikt z nich nie zdoła władać Marsem równie skutecznie jak ja. A kiedy władza nad planetą jest skuteczna, wszyscy czerpią z tego korzyści – i ci najwyżej, i ci najniżej. Nie jestem despotą. Ojciec jednak musi szarpnąć za ucho dzieci, które podłożyły ogień pod dom. Dlatego jeżeli będę musiał, w imię wyższych celów zabiję kilka tysięcy ludzi. Uczynię to dla stałego napływu helium-3 oraz dla obywateli tego świata, aby mogli wieść życie w pokoju.

Rysy jego twarzy twardnieją.

– Co prowadzi nas do Darrowa au Andromedusa. – Jego zimne spojrzenie opada na mnie, rozpalone wydanym właśnie rozkazem zamordowania tysięcy niewinnych, a ja nie mogę opanować drżenia, gdy wzbiera we mnie mroczna nienawiść. Opuszczam głowę w obojętnie uprzejmym ukłonie.

– Wezwałeś mnie, panie?

– Owszem. I twój pobyt tutaj będzie krótki. Byłeś rozgrywającym, gdy zabrałem cię z Instytutu i zatrudniłem. Wiesz o tym?

– Tak.

– Uznałem, że korzyści z ciebie będą wystarczające, a twoja rywalizacja z Cassiusem au Belloną wydawała mi się na swój szkolny sposób zabawna. Ale zadeklarowana waśń między waszymi rodami stała się – zerka na Pliniusza – ciężarem dla moich interesów, zarówno pod względem ekonomicznym, jak i politycznym. Szlaki transportowe zostały utracone przez

wzrost podatków w Centrum, gdzie Bellona ma swoich popleczników. Rody rozważają, czy dotrzymać zobowiązań zawartych wiele lat temu przy zawieraniu traktatów handlowych.

Dlatego dla złagodzenia niepokojów tych stron postanowiłem sprzedać twój kontrakt innemu rodowi.

Wzdrygam się wewnętrznie.

– Panie mój... – próbuję przerwać. To nie dzieje się naprawdę. Jeżeli Augustus pozbawi mnie pozycji, prawie trzy lata pracy pójdą na marne. – Jeżeli mogę...

– Nie możesz. – ArcyGubernator otwiera szufladę i rzuca lwu kawałek mięsa. Lew czeka, aż jego pan pstryknie palcami, zanim weźmie się do jedzenia. – Decyzja zapadła miesiąc temu.

Nie ma potrzeby o tym ze mną dyskutować. Nie jestem Żywym Srebrem, żeby negocjować cenę litu w oparciu o przyszłe korzyści. Pliniuszu...



- Szczegóły są dość proste, Darrow, więc powinieneś zrozumieć je bez trudu. – Pliniusz nie spuszcza ze mnie wzroku. – ArcyGubernator okazał wielką życzliwość, dając ci uczciwy okres wypowiedzenia kontraktu przed jego zakończeniem.
- W moim kontrakcie okres wypowiedzenia wynosi pół roku.
- Przypomnij sobie punkt osiem, podpunkt c, który stwierdza, że należy ci się sześciomiesięczny okres wypowiedzenia, *chyba że* narazisz swoim niestosownym dla podopiecznego zachowaniem... honor szacownego rodu Augustus.
- To jakiś żart? – Spoglądam na Leta i Augustusa.
- A czy ktoś się śmieje? – pyta surowo Pliniusz. – Nie? Słyszałeś, żeby ktoś choć zachichotał?
- Ze wszystkich podopiecznych zająłem drugie miejsce w Akademii! Ty nie zdołałbyś nawet przejść przez Instytut!
- Och, nie chodzi o *to*. Spisałeś się... dość dobrze.
- Więc o co?
- Chodzi o twoją nieustanną obecność w holowizyjnych programach.
- Nigdy nie chodziłem do holowizji! Nawet jej nie oglądam!
- Och, błagam. Napawasz się swoją sławą. Nawet gdy się z ciebie drwi, puszysz się w światłach reflektorów i sprowadzasz hańbę na ród, który cię wziął pod opiekę. Znamy historię wyszukiwarki z twojego unipada. Widzieliśmy, jak się wdzięczysz przed holokamerami jak przed lustrem. Krążą plotki o tobie i córce ArcyGubernatora...
- Mustang przebywa na dworze na Księżycu!
- Do czego zapewne ją zachęcałeś. Poprosiłeś ją, aby dołączyła do dworu Władczyni? To część twojego planu, aby rozłączyć ojca z córką?
- Pleciesz bzdury, Pliniuszu.
- A ty szargasz dobre imię rodu Augustus. Prowokujesz bójkę z członkami rodu Bellona w łaźniach przeznaczonych do odświeżenia i kontemplacji. Dłużej nie możemy tego tolerować.
- Nawet nie wiem, co odpowiedzieć. On to wszystko zmyślił. Miałby dość prawdziwych materiałów, aby mnie oskarżyć, ale wybrał kłamstwo, aby cisnąć mi to w twarz i pokazać, że ma

mnie w garści.

– Kontrakt zostanie zerwany za trzy dni – kończy Pliniusz.

– Trzy dni – powtarzam.

– Zanim to nastąpi, udasz się z nami na powierzchnię Księżyca i zostaniesz w rezydencji przygotowanej dla rodu Augustus na Zgromadzenie, jednak od tej chwili nie jesteś już

podopiecznym tej rodziny. Nie reprezentujesz już ArcyGubernatora i nie wolno ci powoływać się na jego nazwisko, aby otrzymać dostęp do wygód albo wkraść się w łaski młodych dam lub młodzieńców przy pomocy przechwałek, obietnic lub gróźb. Rodowy unipad zostanie ci odebrany. Unieważniono ci już kody dostępu do sieci i hasła, nie wolno ci uczestniczyć w żadnym projekcie, do którego zostałeś wcześniej przydzielony.

– Miałem przydział tylko do zadań konstrukcyjnych.

Usta Pliniusza rozciągają się w gadzim uśmiechu.

– Zatem zamknięcie tego nie będzie trudne.

– Komu zostaną sprzedany? – udaje mi się wykrztusić. Augustus nie patrzy mi w oczy, gdy mnie porzuca. Głaszcze swojego lwa. Można by pomyśleć, że nie ma mnie w tym gabinecie.

Leto wbija wzrok w podłogę. Zawstydzony. Jest zbyt szlachetny na tę szaradę, ale Augustus chciał, aby był przy tym i patrzył, żeby nauczyć się, jak amputować gnijącą kończynę.

– Nie zostaniesz sprzedany, Darrow. Pomimo twojego niskiego urodzenia oczekiwałem, że wiesz, gdzie twoje miejsce. Nie jesteśmy Różowymi lub Obsydianowymi, żeby nas

sprzedawać jak niewolników. Twoje *usługi* zostaną *sprzedane* na aukcji – wyjaśnia Pliniusz.

– Żadna różnica – syczę. – Porzucacie mnie. Ktokolwiek kupi moje *usługi*, nie zdoła mnie

ochronić przed Belloną. Ci kędzierzawi dranie zapolują na mnie i zabijają. Nie zrobili tego dwa miesiące temu tylko dlatego, że byłem...

– ...reprezentantem rodu Augustus? – podsuwa Pliniusz. – Lecz ArcyGubernator nic ci nie zawdzięcza, Darrow. Wydaje ci się, że wręcz przeciwnie? W rzeczywistości to ty jesteś mu coś winien! Straciliśmy sporo pieniędzy, aby zapewnić ci ochronę. Straciliśmy też okazje do zysków, umowy i porozumienia handlowe. I właśnie te straty okazały się za duże. Musimy być postrzegani jako ci, którzy dążą do pokoju z rodem Bellona. Władczyni życzy sobie *pokoju*. A ty? Ty stanowisz źródło zamieszania, niepokoju, przysłowiowy wrzód na tyłku. Dlatego teraz przekuwamy nasz miecz na lemiesz.

– Ale wcześniej użyjecie go jeszcze do ścięcia mi głowy.

– Darrow, nie błagaj – wzdycha Pliniusz. – Okaż trochę stanowczości, młody człowieku.

Twój czas tutaj dobiegł końca, ale nabrałeś dojrzałości i młodzieńczego wigoru. Dlatego teraz wyprostuj się i odejdź z godnością Złotego, który wie, że starał się najlepiej jak potrafił.

Jego oczy śmieją się ze mnie.

– Co znaczy: opuść ten gabinet. *Już*, do diabła. Zanim Leto wyrzuci cię na ten poblížniony, zбитy pysk.

Zwracam spojrzenie na ArcyGubernatora.

– Czy właśnie tak mnie postrzegasz? Bierzesz mnie za smarkacza, którego posyła się do kąta?

– Darrow, będzie lepiej, jeżeli... – zaczyna Leto.

– To ty posłałeś nas do kąta – odpowiada Pliniusz i kładzie mi dłoń na ramieniu. – Jeżeli martwisz się, że nie otrzymasz stosownej odprawy, niepotrzebnie. Zapewnimy ci dość

pieniędzy, żebyś...

– Ostatnim razem, kiedy dotknął mnie jeden z ArcyGubernatorskich przydupasów, wbiłem mu nóż w mózg. Sześć razy. – Spoglądam znacząco na rękę Pliniusza, którą ten szybko cofa.

Prostuję plecy. – Nie będę odpowiadał gładkolicemu, bezwartościowemu Pixie. Jestem Niezrównanym Naznaczonym. ArcyPrymusem z Pięćset Czterdziestej Drugiej Klasy w Instytucie Marsjańskim. Odpowiadam tylko przed ArcyGubernatorem.

Robię krok do Augustusa, przez co zmuszam Leta, by zajął pozycję obronną na skrzydle.

Mój temperament jest dobrze znany.

– Postawiłeś Juliana au Bellonę przeciwko mnie na Chrzcie, mój suzerenie. – Wbijam w niego wzrok. – Dla *ciebie* zabiłem tego chłopca. Ścierałem się z Karnusem dla *ciebie*.

Trzymałem język za zębami i nakazałem to samo moim ludziom, gdy próbowałeś w Instytucie kupić zwycięstwo dla swojego syna.

Leto krzywi się na ostatnie słowa.

– Wymazałem nagrania. Dowiodłem, że jestem lepszy niż twoje rodzone potomstwo. A jednak, panie mój, mówisz, że jestem *ciężarem*.

– Jesteś Niezrównanym Naznaczonym – przyznaje ArcyGubernator, nie podnosząc oczu

znad przepływających po blacie biurka strumieni danych. – Ale niewiele posiadasz. Twój bliscy nie żyją. Zostawili cię bez ziemi, bez złóż surowców lub przemysłu, bez żadnej pozycji w rządzie. Wszystko zostało przejęte, gdy nadeszła pora, by spłacić długi, nawet honor. Szanuj te okrawki, jakimi zostałeś obdarowany przez lepszych od siebie. Pamiętaj przysługi, jakie ci wyświadczono.

– Myślałem, że cenisz bardziej uczynki niż tytuły. Mustang cię opuściła, panie mój. Nie popełniaj błędów i nie odcinaj się ode mnie tak, jak od niej.

Nareszcie Augustus podnosi głowę i spogląda mi w twarz. Jego oczy nie są ludzkie – lśnią oderwanym, nieczułym wyrachowaniem podsycanym przez monstrualną, bezduszną dumę.

Dumą, która obejmuje nie tylko Nerona ani Augustusa, lecz sięga w całą jego przeszłość, aż do człowieka, który zrobił pierwszy, niepewny krok w kosmos. To duma dziesiątek pokoleń

ojców i dziadów, sióstr i braci, wszystko to skupione w jednym lśniącem i doskonałym

naczyniu, Aureacie, który nie ma żadnej skazy i nie znosi żadnych porażek.

– Moi wrogowie poniżyli cię, a to znaczy, że poniżyli też mnie, Darrow. Powiedziałeś mi, że zwyciężysz, ale przegrałeś. A to wszystko zmienia.

## *Rozdział piąty*

### *Porzucony*

Wkrótce umrę.

Ta myśl towarzyszy mi, gdy prom odcumowuje od okrętu flagowego Augustusa i oddala się od Wielkiej Armady. Siedzę pomiędzy Lansjerami, ale nie jestem jednym z nich. A oni to wiedzą. Z pewnością, ponieważ ze mną nie rozmawiają. Wszelkie nasze więzi straciły

znaczenie. Nie mam żadnej politycznej siły. Podśledzałem, jak Tactusowi proponowano

zakład, ile czasu przeżyję bez ochrony Arcygubernatora. Jeden z przybocznych stwierdził, że trzy dni. Tactus kłócił się z tym głośno – i w ten sposób ujawnił prawdziwą głębię lojalności, na jaką zasłużyłem sobie u niego w Instytucie.

– Dziesięć dni – deklaruje. – Minimum dziesięć dni.

To właśnie on wystrzelił kapsułę ratunkową beze mnie. Zawsze wiedziałem, że jego

wierność jest warunkowa. Jednak czuję się mocno zraniony, ale nie potrafię wyrazić tej samotności, która mnie gryzie. Samotności, jaką zawsze odczuwałem wśród Żłoty, choć udało mi się o tym zapominać. Nie jestem jednym z nich. Dlatego siedzę w milczeniu i

spoglądam w iluminator, gdy mijamy zgromadzoną flotę i zbliżamy się do Księżyca.

Mój kontrakt kończy się ostatniego wieczoru Zgromadzenia, podczas którego wszystkie

rządzące rody zbierają się na Księżycu, aby rozwiązać pilne problemy oraz zabawić się we własnym gronie. Mam zatem trzy dni, żeby podnieść swoją wartość rynkową i sprawić, aby inni myśleli, że ArcyGubernator mnie nie docenił i mimo wszystko warto mnie zatrudnić.

Jednak niezależnie od wartości, jestem napiętnowany – zatrudniono mnie, a potem zwolniono.

Kto chciałby zużytego Lansjera?

Taki mój los. Pomimo twarzy Aureata i wielu talentów jestem tylko *towarem*. Przez to mam ochotę zedrzcć sobie ze skóry Sigile. Jeżeli mam być niewolnikiem, niech przynajmniej na takiego wyglądam.

Co gorsza, wyznaczono nagrodę za moją głowę. Oczywiście nieoficjalnie. To nielegalne, ponieważ nie jestem wrogiem publicznym. Jednak mój przeciwnik to ktoś o wiele groźniejszy i bardziej okrutny niż jakikolwiek rząd. To kobieta, która posłała Karnusa i Cagney do Akademii.

Podobno każdego wieczoru od czasu, gdy odebrałem Julianowi życie podczas Chrztu, jego matka, Julia au Bellona, siada przy długim stole w głównej siedzibie swojego rodu na zboczu Olympus Mons i podnosi wieczko półokrągłej szkatułki ze srebra, którą przynoszą jej Różowi słudzy. Każdego wieczoru szkatułka okazuje się pusta. I każdego wieczoru Julia au Bellona wdycha smętnie, spogląda na członków swojej wielkiej rodziny, po czym powtarza te same mściwe słowa:

– Z pewnością nie jestem kochana. Gdybym była, w tej szkatule ujrzałabym serce, które zaspokoiłoby żądzę mojej zemsty. Gdybym była kochana, morderca mojego syna dawno

oddałby ostatnie tchnienie. Gdybym była kochana, rodzina uczciłaby śmierć brata. Ale nie jestem kochana. Julian także. Czym sobie zasłużyłam na tak nienawistną rodzinę?

A potem możni z rodu Bellona patrzą, jak ich przywódczyni wstaje. Jej ciało zwiędło z braku jedzenia, karmione tylko nienawiścią i pragnieniem zemsty. Domownicy zachowują

milczenie, gdy ta kobieta, bardziej podobna teraz do upiora, opuszcza salę.

Tylko siły ArcyGubernatora, jego pieniądze i reputacja utrzymują moje serce z dala od

srebrnej szkatułki. Polityka, której tak nienawidzę, chroni moje życie. Za trzy dni jednak sytuacja diametralnie się zmieni, a jedyne, co będzie mnie chronić, to nauki wpojone mi przez pedagogów.

– Będzie pojedynek – oznajmia jeden z Lansjerów, po czym podnosi głos. – Nie uda się od niego wykręcić i zachować przy tym honoru. Nie wtedy, gdy wyzwanie rzuca sam Cassius.

– Kosiarz zna kilka sztuczek – zauważa Tactus. – Nie było cię przy tym, ale nie zabił

Apolla tylko uśmiechem.

– Użył noża, prawda, Darrow? – rzuca inny Lansjer z drwiną. – Nie widziałem cię ostatnio na placu ćwiczeń szermierki.

– Nigdy go tam nie widzieliśmy – wtrąca ktoś. – Unika tego, w czym nie jest dobry, co?

Roque napina się gniewnie obok mnie. Kładę mu rękę na ramieniu, a potem odwracam się

powoli, żeby przyjrzeć się Lansjerowi, który mnie prowokuje. Victra siedzi za nim i w napięciu przygląda się zajściu.

– Nie ćwiczę szermierki – stwierdzam.

– Nie ćwiczysz czy nie umiesz? – prychna ktoś z drwiną.

– Zostaw go w spokoju. Nożownicy są kosztowni – zauważa Tactus.

– Doprawdy, Tactusie? – pytam.

Tactus krzywi się.

– Och, przestań, po prostu żartuję. Zrobiłeś się tak nieznośnie poważny. Wcześniej było z tobą więcej zabawy.

Roque mówi mu coś, czego nie słyszę. Tactus marszczy brwi, a potem się odwraca.

Wspominam czasy, gdy ta gra Złotych wydawała mi się taka łatwa. Co się zmieniło? Mustang.

– Jesteś wart więcej – szepnęła, gdy opuszczałem ją, by udać się do Akademii. Łzy

wzbierały jej w oczach, ale głos pozostał spokojny. – Nie musisz być zabójcą. Nie musisz poświęcać się wojnie.

– A jaki inny mam wybór? – zapytałem wtedy.

– Mnie. Ja jestem innym wyborem. Zostań ze mną. Zostań i przekonaj się, co by było

gdyby. W Instytucie uczyniłeś z dzieciaków, które nigdy nie znały lojalności, wiernych towarzyszy. Jeżeli wstąpisz do Akademii, aby stać się wodzem u mojego ojca, porzucisz to, co osiągnąłeś w Instytucie. A przecież nie jesteś taki. Nie takiego mężczyznę... – Nie odwróciła się, ale wyraz jej twarzy się zmienił, gdy urwała wyznanie i zacisnęła usta.

Pokochała? Czy właśnie to narodziło się między nami?

Jeżeli tak, słowa uwięzły jej w gardle, ponieważ wiedziała równie dobrze jak ja, że nie oddałem się całkowicie temu uczuciu. Nie ujawniłem do końca, jaki naprawdę jestem.

Chciwie trzymałem przy sobie sekrety. Jak więc kobieta taka jak Mustang, znająca swoją wartość, mogłaby obnażyć swoje serce i ujawnić uczucia mężczyźnie, który tak niewiele dawał w zamian? Dlatego Mustang przymknęła złote oczy, wcisnęła mi nóż w dłoń i kazała odejść.

Nie winię jej. Wybrała politykę, rząd – pokój, ponieważ uważa, że tego właśnie ludzie potrzebują. Ja wybrałem miecz, ponieważ tego właśnie potrzeba moim ludziom. Ogarnia mnie dziwna pustka na myśl, że wystarczyło jej to, czego Eo było za mało. Roque miał rację –

odtrąciłem Mustang.

Ale nie odtrąciłem Sevra. Poprosiłem, żeby stacjonował ze mną, a potem nagle dostał

nowy przydział na Plutona, jak większość Wyjców – posłano ich do ochrony odległej budowy przed najazdami piratów. Podejrzewam, że Pliniusz maczał w tym palce.

Nigdy nie czułem się bardziej samotny.

– Nie zostaniesz osamotniony i porzucony – mówi cicho Roque, pochyliwszy się do mnie.

– Inne rody będą chciały cię przyjąć. Nie wierz w prowokacje Tactusa. Bellona nie podejmie przeciwko tobie kroków.

– Jasne, że nie – kłamię. Roque nadal wyczuwa mój strach.

– Przemoc w Cytadeli jest zabroniona, Darrow. Zwłaszcza rodowe waśnie. Prawo

zakazuje nawet pojedynków, chyba że Władczyni na to zezwoli. Wystarczy, że pozostaniesz na terenie Cytadeli, dopóki nie znajdziesz nowego domu, a wszystko będzie dobrze. Nie śpiesz się, rób, co musisz, a za rok ArcyGubernator wyjdzie na głupca, gdy wybijesz się pod

przewodnictwem innego rodu. Na szczyt wiedzie więcej niż jedna ścieżka. Nigdy o tym nie zapominaj, bracie.

Ściska moje ramię.

– Wiesz, że poprosiłbym rodziców, aby cię przyjęli... ale oni nie wystąpią przeciwko

Augustusowi.

– Wiem. – Mogliby wydać na kontrakt miliony i nie zauważyć nawet uszczerbku w fortunie, jednak matka Roque'a nie utrzymała stanowiska Senatora przez dwadzieścia lat dzięki

dobroczynności. Bogactwa i wpływy zyskała za sprawą Augustusa. Wspiera więc każde przedsięwzięcie ArcyGubernatora.

– Masz rację, nic mi nie grozi – zapewniam, gdy w iluminatorze pojawia się glob.

Rozmowy milkną, a mnie znowu ogarnia przerażenie. Miasto na Księżycu. Otaczają je satelity i stacje niczym stalowa aureola wokół kuli skąpanej w promieniach słońca. – Nic mi nie będzie.

## *Rozdział szósty*

### *Ikar*

Łądujemy w pobliżu Cytadeli. Lepki, zanieczyszczony podmuch przygina do ziemi wysokie drzewa w pobliżu lądowiska. Na wysokim kołnierzu od razu zaczyna się zbierać pot. Ogarnia mnie niechęć do tego paskudnego miejsca, choć dopiero co wyszedłem z promu. Pomimo że znalazłem się na terenach Cytadeli, którą od miasta oddzielają rozległe lasy i jeziora, powietrze wydaje się tutaj gęste i klei się w płucach.

Nad horyzontem za iglicami zachodnich zabudowań Cytadeli góruje Ziemia, błękitna i

napuchnięta. Przypomina mi, że jestem bardzo daleko od domu. Panuje tu grawitacja o wiele słabsza niż na Marsie, sześciokrotnie mniejsza od ziemskiej, co sprawia, że czuję się niezdarny i niepewny. Mam wrażenie, że gdy idę, unoszę się przy każdym kroku. A chociaż koordynacja ruchów szybko powraca, ciało nadal cierpi z powodu niewielkiego ciężenia, wywołującego dziwną klaustrofobię.

Na północy ląduje kolejny prom.

– Zdaje się, że to srebro Bellony – stwierdza cicho Roque, mrużąc oczy przed słońcem.

Parskam śmiechem. Zwraca na mnie spojrzenie.

– No co?

– Wyobraź sobie tylko, gdybyśmy mieli teraz pod ręką pocisk pulsacyjny...

– Cóż, to po prostu... miło z twojej strony. – Roque rusza dalej wolnym krokiem. Idę za nim, ale spojrzeniem wracam do lądującego promu. – Uwielbiam zachody słońca nad



Księżycem. Wydaje się, jakbyśmy byli w świecie Homera. Niebo ma barwę świeżo odlanego brązu.

Nad obce, miedziane niebo nadciąga noc, lecz świetliste smugi zachodu jeszcze nie znikają. Na dwa tygodnie zapadnie teraz ciemność po tej stronie Księżyca. Dwa tygodnie nocy.

Luksusowe jachty płyną na granicy tego dziwnego zmierzchu, podczas gdy zwinne, pilotowane przez Niebieskich maszyny mkną na patrol w mrok niczym stado nietoperzy.

Niewielka grawitacja pozwala mieszkańcom Luny na budowanie wszystkiego, co dusza zapragnie. I tak właśnie budują. Za terenami Cytadeli na horyzoncie wznoszą się wieże i budynki miasta. Trotuary ciągną się na każdym poziomie, więc bez trudu można wszędzie się dostać. Sieć jezdni oplata wieże niczym pędy bluszczu, łączy piekło niskich dzielnic z niebem luksusu, a pomiędzy nimi miliony kobiet i mężczyzn krzątają się jak mrówki, podczas gdy patrole Szarych krążą wokół po arteriach komunikacyjnych.

Siedziba Augustusa na terenie Cytadeli wygląda jak willa otoczona trzydziestoma akrami sosen. Piękna budowla w pięknym krajobrazie. Wokół znajdują się też ogrody, ścieżki i fontanny z rzeźbionymi w kamieniu skrzydłatymi chłopcami oraz mnóstwo innych, frywolnych ozdób.

– Masz ochotę na trening Kravat? – pytam Roque’a, skinieniem głowy wskazując salę ćwiczeń przy willi. – Myśli mi się kłębią jak szalone.

– Nie mogę – krzywi się Roque. Schodzi z drogi innym przybocznym zmierzającym do willi i ich służbie. – Muszę wziąć udział w konferencji „Kapitalizm w epoce silnych rządów”.

– Jeżeli chciałeś się zdrzemnąć, w willi na pewno są łóżka.

– Żartujesz? Regulus ag Sun ma główny wykład.

Niemal gwizdzę z podziwu.

– Żywe Srebro we własnej osobie. Zamierzasz nauczyć się, jak ze żwiru tworzyć diamenty? Słyszałeś plotki, że wziął na kontrakt dwóch Rycerzy Olimpijskich?

– To nie plotki. Przynajmniej nie według mojej matki. Przypomina mi to, co Augustus powiedział podczas koronacji Władczyni: „Mężczyzna nigdy nie jest zbyt młody, by zabić, nigdy nie jest zbyt mądry, nigdy zbyt silny, ale zawsze może być zbyt bogaty”.

– To słowa Arcosa.

– Nie, to na pewno Augustus.

Potrząsam głową.

– Sprawdź swoje dane, bracie. Powiedział to Lorn au Arcos, a Władczyni odwróciła się i odpowiedziała: „Zapominasz, Rycerzu Gniewu, że jestem kobietą”.

Arcos dla mojego pokolenia stał się już legendą. Żyje teraz na uboczu, ale był Mieczem Marsa i Rycerzem Gniewu przez ponad sześćdziesiąt lat. Rycerze Niezłomni z całego

imperium oferowali gwiazdkę z nieba, żeby raczył ich uczyć przez tydzień swojej sztuki Kravat, Drogi Wierzby. On sam zaproponował mi miejsce w swoim domu, ale odmówiłem, wybrałem służbę u Augustusa, nie u starca.

– „Zapominasz, że jestem kobietą” – powtarza Roque. Uwielbia takie anegdoty, podobnie jak ja niegdyś ceniłem sobie opowieści o kosiarzu i Dolinie. – Kiedy wrócę, porozmawiajmy.

Bez zwykłych przekomarzań.

– Chcesz powiedzieć, że nie będziesz wzdychał nad ukochaną z dzieciństwa, nie wypijesz za dużo wina i nie spróbujesz układać wiersza o kształcie uśmiechu Quinn ani pięknie

etruskich cmentarzy, zanim padniesz i zaśniesz? – pryham.

Policzki Roque’a ciemnieją, ale przyciska dłoń do piersi.

– Przysięgam na honor.

– Więc przynieś butelkę niewyobrażalnie drogiego wina i możemy rozmawiać.

– Przyniosę trzy.

Patrzę, jak odchodzi, a spojrzenie mam zimne, choć uśmiech serdeczny.

Kilku przybocznych uczestniczy w konferencji wraz z nim. Reszta urządza się w kwaterach u Augustusa, podczas gdy grupy Szarych patrolują teren. Obsydianowi ochroniarze chodzą za swoimi Żłotymi jak cienie. Różowi z gracją płyną do willi nieustannym strumieniem, wezwani z Ogrodów Cytadeli przez członków personelu ArcyGubernatora, którzy zapragnęli trochę rozrywki.

Pokojuowy pochodzący z Różowych prowadzi mnie do przydzielonej kwatery. Wybucham śmiechem na widok pomieszczenia.

– Zaszła chyba pomyłka. – Rozglądam się po małym pokoju z szafą i przylegającą łazienką.

– Nie jestem miotłą.

– Nie rozu...

– Nie jest miotłą, więc nie nadaje się do tego schowka na miotły. – Teodora staje za moimi plecami przy drzwiach. – To poniżej jego pozycji.

Rozgląda się, marszczy nos z odrazą.

– To pomieszczenie nie nadawałoby się na schowek nawet w moim domu na Marsie.

– To Cytadela, nie Mars. – Różowe oczy pokojowego przesuwają się po zmarszczkach na twarzy starej kobiety. – Nie ma wiele miejsca na bezużyteczne sprzęty.

Teodora uśmiecha się słodko i wskazuje kwarcową różę z symbolem drzewa przyczepioną do piersi mężczyzny.

– Co ty nie powiesz? Czy to czarna topola z Ogrodu Dryope?

– Przypuszczam, że wcześniej takiej nie widziałaś – odgryza się pokojowy i zwraca do mnie: – Nie wiem, jak wychowuje się Różowych w Ogrodach Marsa, ale na Księżycu

niewolnice powinny starać się ze wszystkich sił, aby nie pokazywać, jak bardzo dotknął je czas.

– Oczywiście, co za niegrzeczność z mojej strony – przeprasza Teodora. – Zastanawiałam się tylko, czy znasz matronę Carenę.

Pokojowy sztywnieje.

– Matronę Carenę...

– Spędziłyśmy razem dzieciństwo w Ogrodach. Przekaż jej, że Teodora przesyła pozdrowienia i skontaktuje się, jeśli czas pozwoli.

– Jesteś Różą. – Twarz służącego bieleje jak płótno.

– *Byłam*. Wszystkie moje płatki zwiędły. Och, ale zdradź mi swoje imię, chętnie pochwalę cię przed Careną za twoją gościnność.

Pokojowy mamrocze coś niemal niesłyszalnie i niezrozumiale, po czym kłania się Teodorze niżej niż mnie i ucieka.

– To było zabawne? – Unoszę brew.

– Dobrze jest czasem poćwiczyć, żeby nie wyjść z wprawy. Nawet gdy wszystko inne zaczyna się walić.

– Zdaje się, że moja kariera skończy się tam, gdzie twoja się zaczęła – chichoczę ponuro i podchodzę

do holowyswietlacza przy łóżku.

– Nie radziłabym – ostrzega Teodora.

Przygryzam dolną wargę, nasz sygnał dotyczący urządzeń szpiegujących.

– Cóż, to oczywiste. Ale holosieć... nie chciałbyś jej teraz oglądać, wierz mi.

– Co się o mnie mówi?

– Wszyscy zastanawiają się, gdzie zostaniesz pochowany.

Nie udaje mi się odpowiedzieć, ponieważ przerywa mi pukanie do drzwi.

Idę za Różowym Victry do kwater z prywatnym tarasem. Zdaje się, że wanna tutaj jest większa od mojego łóżka.

– To niesprawiedliwe – rozlega się głos zza biało-beżowego pnia drzewa lawendowego.

Odwracam się. Victra bawi się przyciętymi w koronę cierniową gałęziami krzewów. –

Zostałeś odprawiony jak Szary najemnik.

– Od kiedy to obchodzi cię, co jest sprawiedliwe, a co nie, Victro?

– Zawsze musisz się ze mną ścierać? Chodź, usiądź. – Nawet z bliźniami, które odróżniają ją od siostry, smukłe ciało i świetliste oblicze są bez skazy. Siada i rozpala jakieś kadzidło, które pachnie niczym zachód słońca nad gęstym lasem. Victra ma mocniejsze kości niż

Antonia, jest wyższa i wydaje się roztopiać jak kute ostrze włóczni, które zniekształca się podczas oziębiania. W jej oczach błyska złość. – Daleko mi do tego, aby być twoim wrogiem, Darrow.

– Więc kim jesteś? Przyjacielem?

– Komuś w twojej sytuacji przydałby się przyjaciel, prawda?

– Wolałbym mieć tuzin ochroniarzy w odpowiednim Kolorze.

– A kogo na to stać? – Parska śmiechem.

– Ciebie.

– Cóż, przed sobą samym nie ochronią cię nawet oni.

– Bardziej się martwię o ostrza Bellony.

– Martwisz się? Czy na twojej twarzy widziałam zmartwienie, gdy lądowaliśmy? –

Pozwala sobie na radosny śmiech. – Intrygujące. Bo widzisz, mnie się wydawało, że to przerażenie. Groza. I głęboki niepokój, ponieważ wiesz, że ten księżyc będzie twoim grobem.

– Ty też? A myślałem, że już się nie ścieramy – zauważam.

– Masz rację. Po prostu wydajesz mi się bardzo dziwny. A przynajmniej dziwny wydaje mi się twój dobór przyjaciół. – Podchodzi bliżej i przysiada naprzeciw mnie na ocembrowaniu fontanny. Obcasy stukają na starym kamieniu. – Zawsze trzymałeś mnie na dystans, pozwoliłeś jednak zbliżyć się Roque'owi i Tactusowi. Rozumiem, dlaczego wybrałeś Roque'a, mimo że jest miękki jak masło. Ale Tactus? To jak drażnić zmięę i sądzić, że nie ukąsi. Czy uważasz go za przyjaciela, ponieważ był twoim towarzyszem w Instytucie?

– Przyjaciela? – Wybucham śmiechem na samą myśl. – Po tym, jak Tactus opowiedział mi, jak bracia zniszczyli mu ulubione skrzypce, gdy był dzieckiem, kazałem Teodorze na wpół opróżnić moje konto bankowe i kupić w domu aukcyjnym Żywego Srebra stradivariususa. Tactus mi za to nie podziękował. Jakbym podarował mu kamień. Zapytał, po co mu je daję.

Odpowiedziałem: „Żebyś na nich grał”. Zapytał dlaczego. „Bo jesteśmy przyjaciółmi”.

Spojrzał na skrzypce jeszcze raz i odszedł. Dwa tygodnie później dowiedziałem się, że zabrał skrzypce, sprzedał je, a pieniądze przepuścił na Różowe i narkotyki. On nie jest moim przyjacielem.

– Jest taki, jakim uczynili go bracia – stwierdza Victra niepewnie, jakby wahała się, czy ujawnić mi, co wie. – Myślisz, że choć raz dostał coś za darmo i nikt od niego nic nie chciał w zamian? Sprawileś, że poczuł się niezręcznie.

– Myślisz, że dlaczego jestem tak czujny w twoim przypadku? – Pochyliam się bardziej. – Ponieważ ty zawsze czegoś chcesz, Victro. Zupełnie jak twoja siostra.

– Ach, tak podejrzewałam, że może chodzić o Antonię. Ta wilczyca zawsze wszystko niszczy, odkąd tylko wyrwała się z łona matki i ukradła ludzkie ubrania. Dobrze, że urodziłam się pierwsza, bo pewnie udusiłaby mnie w kołysce. Zresztą Antonia jest tylko moją siostrą przyrodnią. Mamy różnych ojców. Matka nigdy nie ceniła sobie monogamii. Wiesz, że Antonia używa nawet nazwiska Severus zamiast Julii, byle tylko dopiec matce? Nieznośna smarkula. A na mnie pozostaje piętno jej moralności. Śmieszne.

Victra zabawia się teraz pierścionkami z jadeitu, które zdobią większość jej palców.

Wyglądają dziwnie w zestawieniu z surowością twarzy.

– Dlaczego ze mną rozmawiasz, Victro? Nie mogę nic dla ciebie zrobić. Nie mam żadnej

pozycji. Nie mam władzy. Nie mam pieniędzy. I nie mam także reputacji. Nie posiadam niczego, co uważasz za cenne.

– Och, nie tylko to uważam za cenne, kochanie. A ty posiadasz reputację, wierz mi. Pliniusz o to zadbał.

– Więc naprawdę miał swój udział w plotkach. Myślałem, że Tactus po prostu paplał, co mu ślina na język przyniesie.

– Udział? Darrow, Pliniusz wypowiedział ci wojnę od chwili, gdy ukląkłeś przed

Augustusem – mówi Victra ze śmiechem. – Albo jeszcze wcześniej. Doradzał Augustusowi, żeby cię zabić, a przynajmniej wytoczyć ci proces za zabicie Apolla. Nie wiedziałeś?

Potrząsa głową na moje pełne niezrozumienia spojrzenie.

– To, że dopiero teraz się o tym dowiadujesz, dowodzi tylko, jak słabo jesteś

przygotowany do jego gry. I zapewne z tego powodu stracisz życie. Właśnie dlatego z tobą rozmawiam. Wolalabym, żebyś coś wymyślił, zamiast uzalać się nad sobą w nędznej kwaterze,

jaką ci przydzielono. Inaczej przyjdzie Cassius au Bellona i wbije ci nóż dokładnie tutaj... –

Palcem o długim paznokciu pieszczotliwie przesuwając mi po torsie, obrysowując serce. – Czym zapewni swojej matce pierwszy porządny posiłek po długiej głodówce.

– Jakie masz propozycje?

– Przestanieś się mazać. – Uśmiecha się i wyciąga w moją stronę kartę danych. Niechętnie chwytam za krawędź metalicznego arkusza, ale Victra nie puszcza, ciągnie mnie do krawędzi fontanny, między swoje uda. Rozchyła usta, wysuwa koniuszek języka, spogląda mi w twarz i w oczy, oczekuje błysku pożądania. Ale dla niej nie zdołałbym go wykrzesać. Próbuję się cofnąć.

– Nie wahaj się. – Z kocim pomrukiem puszcza kartę. Wsuwam ją do swojego unipada i na wyświetlaczu pojawia się reklama tawerny.

– Ten lokal nie znajduje się na terenach Cytadeli – zauważam.

– Co z tego?

– To z tego, że jeżeli opuścę Cytadelę, rozpocznie się polowanie na moją głowę.

– Więc nie ogłaszaj, że ją opuszczasz.

Cofam się o krok.

– Ile ci zapłacili?

– Myślisz, że to pułapka?

– A nie?

– Nie.

– Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

– Większości ludzi nie stać na prawdę, mnie tak.

– Och, rzeczywiście, zapomniałem. Ty nigdy nie kłamiesz.

– Jestem z *gens* Julii . – Victra podnosi się powoli, gniew wzbiera w niej jak przyływ. –

Mój ród ma dość bogactw, by kupować całe kontynenty. Kto mógłby sobie pozwolić na

kupienie mojego honoru? *Jeżeli...* jeżeli pewnego dnia stanę się twoim wrogiem, powiem ci o tym. I powiem dlaczego.

– Każdy jest prawdomówny, dopóki nie zostanie przyłapany na kłamstwie.

Jej śmiech brzmi ochryple i namiętne, ale sprawia, że czuję się niedojrzały i słaby, przypomina mi, że ta kobieta jest ode mnie starsza o siedem lat.

– Zatem zostań, Kosiarzu. Zaufaj szczęściu. Zaufaj *przyjaciółom*. Ukrywaj się tutaj, dopóki ktoś nie wykupi twojego kontraktu, i módl się, żeby nie zrobił tego tylko w jednym celu – żeby poprowadzić cię do Bellony jak jagnię na rzeź.

Rozważam swoje szanse.

– Cóż, skoro stawiasz sprawę w ten sposób...

– Pułkownik Valentin? – zwraca się Victra do niższego z dwóch Szarych, którzy czekają na nas przy rampie promu. Właściwie to złom, nie prom. Jedna z najbrzydszych jednostek

latających, jakie w życiu widziałem. Przypomina z przodu rekina młota. Czujnie obserwuję wyższego z Szarych.

– Tak, *domina*. – Valentin kiwa kanciastą głową ze sztywną precyzją kogoś wychowanego w wojsku.

– Na pewno nie byliście śledzeni?

– Ręczę głową – zapewnia Victra.

– Zatem powinniśmy ruszać jak najszybciej.

Wchodzę za Victrą na pokład, obejrzawszy się jeszcze na otoczenie. Zaraz po wyjściu z willi

Augustusa założyliśmy peleryny Niewidki. Tuzin ukrytych korytarzy i sześć starych wind grawitacyjnych później dotarliśmy do zakurzonego, rzadko używanego lądowiska w Cytadeli. Tam zostawiłem Teodorę. Chciała iść ze mną, ale się nie zgodziłem. Na promie Szary skanuje Victre i mnie w poszukiwaniu pluskiew. Rampa zamyka się za naszymi plecami. Dwunastu zwalistych Szarych tłoczy się w niewielkim przedziale pasażerskim. Nie należą do przystojnych. To po prostu rzemieślnicy od czarnej roboty.

Chociaż Kolory opierają się na uśrednieniu, występuje w ich obrębie zróżnicowanie w zależności od genetyki i wpływu ekosystemów na ludzi. Szarzy z Wenus zwykle są ciemniejsi i drobniejsi niż ci z Marsa, jednak rody się przenoszą. Zróżnicowanie talentów w obrębie każdego Koloru jest nawet większe niż różnice w wyglądzie. Większość Szarych nie nadaje się do niczego poza patrolowaniem centrów handlowych i ulic. Niektórzy wstępują do wojska, niektórzy zatrudniają się w kopalniach. Jednak są też Szarzy wyjątkowego rodzaju, z wrodzoną przebiegłością i sprytem, których szkoli się przez całe życie, aby polowali na Złotych wrogów swoich panów, Aureatów. Jak ci, którzy towarzyszą nam na promie. Nazywa się ich brytanami

– po psach, mieszkańcach z Ziemi o wyjątkowej zdolności do podkradania się, tropienia i pogoni, które tresowano tylko w jednym celu: do zabijania większej od nich zdobyczy.

– Lecimy do Zaginionego Miasta i jest was tylko dwunastu? – rzucam ze zdziwieniem.

Wiem, że tylu wystarczy. Po prostu nie przepadam za Szarymi. Dlatego ich drażnię.

Zerkają na mnie ze spokojną rezerwą, jak zgrana rodzina, która spotyka na drodze samotnego obcego. Valentin zachowuje się jak ojciec. Z postury przypomina blok lodu ociosany zardzewiałym nożem, ma smagłą twarz i bystre oczy. Jego adiutantka, Sun-hwa, która się do nas pochyła, wygląda niczym twarde i sękatte drzewo oliwne.

Oboje pochodzą z Ziemi, sądząc po wyglądzie i etnicznie kontynentalnych rysach. Żaden z tych Szarych nie nosi trójkątnej oznaki Legionu Imperium na cywilnym, zwykłym ubraniu.

– Nakazano nam was chronić, *domine* – stwierdza Valentin, podczas gdy Sun-hwa ładuje egzotyczną, owalną broń przymocowaną po wewnętrznej stronie lewego nadgarstka. Zdaje się, że to jakiś rodzaj miotacza plazmy. – Mój zespół przygotował bezpieczną drogę. Szacowany czas lotu wynosi dwadzieścia cztery minuty.

– Jeżeli Pliniusz odkryje, dokąd się wybieram, albo Bellona dowie się, że opuściłem



Cytadelę...

– Brytani znają sytuację – wtrąca Victra.

– Nie widzę symboli Żółtych. Najemnicy?

– Co znaczy, że jesteśmy na tyle dobrzy, aby wciąż żyć, *domine* – oznajmia Valentin beznamiętnie. – Jesteśmy przygotowani na każdą ewentualność. Mamy plany awaryjne i

wsparcie.

– Jak duże wsparcie?

– Wystarczające. My zajmujemy się tylko transportem. – Jego usta wykrzywiają się w lekkim uśmiechu i zaczynam mu wierzyć na słowo. – O wiele większym problemem niż

Bellona są inni, którym wydaje się, że okazja sama pcha im się w ręce. Tam, dokąd

zmierzamy, będzie piekielnie dużo właśnie takich przeciwników, *domine*. Przez takich gnojków spadają nam zyski. Sun-hwa?

– Włóż to. – Sun-hwa rzuca mi zawiniątko ze zwyczajnym ubraniem. Jej głos brzmi nieco monotonie, jak z automatu. – Jesteś wysoki i nic z tym się nie da zrobić, ale postaramy się trochę cię przefarbować.

Rzuca Victrze drugie zawiniątko.

– Dla ciebie, szefowo. Twoje ubranie za bardzo przyciąga uwagę.

Victra wybucha na to śmiechem.

– Odcumowujemy, chłopaki – warczy Valentin, a prom drży przy wznoszeniu się w powietrze. – Przeżyjemy.

Wprawne ręce szykują broń i sprzęt. Słysząc staccato stali uderzającej w stal. Trzaskają metalowe zamki, gdy magazynki magnetycznych pocisków wskakują na miejsce. Brytani

chowają broń w ukrytych kaburach pod przylegającymi kombinezonami ze zmodyfikowanej

chityny. Troje nosi nielegalną broń na nadgarstkach. Zerkam na nią, gdy wsuwam się w

podarowany mi pancerz. Pochłania światło, przez co wydaje się czarny, bez żadnych

refleksów – to bardziej brak koloru niż jakakolwiek barwa. Pancerz jest lepszy od twardej zbroi, jaką nosiłem w Instytucie, chroni przed większością ostrzy i może wytrzymać nawet trafienie pociskiem dużego kalibru.

Prom trzęsie się, gdy włącza się główny napęd, a wyłączają dysze startowe.

– Uwaga, Szpon i Minotaur. Ikar wystartował – chrypi Valentin do swojego komunikatora.

– Powtarzam, Ikar wystartował.

## *Rozdział siódmy*

### *Po narodzinach*

Na Księżycu nie ma ciemności. A przynajmniej naprawdę głębokiej. Światła w milionach odcieni zlewają się w łunę nad stalowym miastem oraz na poszarpanej i spękanej

powierzchni. Wijące się pociągi i arterie powietrzne, błyskające centra komunikacji oraz lokale i restauracje, a także surowe posterunki policji wplatają się w metalową skórę metropolii niczym naczynia krwionośne, zakończenia nerwowe i mieszki włosowe.

Omijamy wysokie rejony miasta, gdzie przy centrach rozrywki stacjonują promy i pojazdy Aureatów. Schodzimy poniżej bogatych dzielnic Srebrnych i Miedzianych, meandrując

między pasażami i arteriami ruchu pociągów, potem niżej przez średnie dzielnice

zamieszkane przez Żółtych, Zielonych, Niebieskich i Fioletowych, aż do najniższych, gdzie żyją Szarzy i Pomarańczowi.

Niżej, coraz niżej. Zanurzamy się w trzewia miasta, gdzie stalowe korzenie olbrzyma

wgryzają się w grunt. Miriady PodKolorów wracają publicznym transportem z fabryk do

pozbawionych okien mieszkań, często nie większych niż metr na trzy – na łóżko wystarczy.

Samochody terkoczą powoli po oświetlonych brudnymi latarniami uliczkach. Im głębiej

schodzimy, tym mniej wokół światła, tym brudniejsze domy i dziwniejsze zwierzęta, ale za to coraz barwniejsze graffiti. Dostrzegam Szarego policjanta przy złapanych wandalach z

Brązowych, którzy wymalowali na ścianie bloku wizerunek powieszony dziewczyny. Mojej żony. Wysokiej na dziesięć kondygnacji, z płomiennymi włosami. Obraz renderowany

cyfrowymi farbami. Serce mi się ściska, gdy mijamy graffiti, a na murze, który wzniosłem wokół tych wspomnień, pojawiają się pęknięcia. Widziałem już ten wizerunek tysiące razy, gdy męczeństwo Eo rozprzestrzeniało się wśród światów z miasta na miasto, jednak zawsze taki widok uderza mnie niemal fizycznie, zakończenia nerwowe skrzą, tętno przyśpiesza, mięśnie szyi napinają się tuż pod szczęką. Co to za życie, skoro obraz mojej martwej żony niesie nadzieję?

Nieważne, jaką mamy reputację, żaden wróg nie pomyśli, aby nas tutaj szukać. Nikt też nas nie podsłucha. Nikt nie podpatrzy. Tutaj odbywają się wojny gangów, napady, rozboje i handel narkotykami. To, że moja nowa przyjaciółka pragnie prywatności, jakiej nawet pola

zakłócające w Cytadeli i Wysokim Mieście nie mogą zapewnić, jest bardzo znaczące. A to mnie martwi. Ponieważ okazuje się, że prawo nie działa. Jednak to Victra miała rację, a Roque się mylił – cierpliwość nic mi nie pomoże. Muszę podjąć ryzyko.

Zespół brytanów przejął opuszczony garaż. Zajmują się zabezpieczeniem promu, podczas

gdy oddział Valentina prowadzi mnie w zgiełk i harmider na brudnych uliczkach. Woda i nieczystości tworzą wszędzie błoto, gęste wilgotne powietrze przenika słodki odór rozkładu i śmierdzący popiół palonych śmieci. Straganiarze zachwalają okrzykami towary wystawione przy popękanych chodnikach, tłoczą się tam wszelkiego rodzaju Czerwoni, Brązowi, Szarzy i Pomarańczowi – wyrostki, kaleki, robotnicy, gangsterzy, sutenerzy, matki, ojcowie, żebracy i dzieci. Porzuceni.

Eo powiedziała by, że to piekło, na którym wzniesiono niebo. I miałaby rację. Gdy unoszę głowę, dostrzegam wysokie na pół kilometra bloki mieszkalne, a powyżej zanieczyszczone powietrze, które tworzy sklepienie nad tą ludzką dżunglą. Niżej krzyżują się przewody elektryczne i sznury do suszenia ubrań, co przypomina splecione liany. Widok powoduje

poczucie beznadziei. Bo co by tu można zmienić? Tylko wszystko.

Mamy spotkanie w Zagubionej Norce. To wielka i wysoka gospoda z migoczącym

czerwonym neonem i wulgarnym graffiti. Wewnątrz piętnaście kondygnacji wznosi się nad otwartą salą wypełnioną stolikami i budkami zajętymi przez co najmniej dwustu klientów.

Wyczuwam odór moczu zza metalowych przepierzeń. Szczęk butelek i szklanek zagłusza hałas rozmów. Błękitne i różowe lampy migoczą na piętnastym piętrze, gdzie występują tancerki oraz znajdują się zamknięte łóżka dla bogatszej klienteli.

Mijamy z Valentinem dwóch bramkarzy z biomodfikowanymi rękoma – jeden to Obsydian

o skórze tak bladej jak najbielszy marmur i barkami szerszymi niż moje, drugi to ciemnoskóry Szary z miotaczem wbudowanym w ramię.

Reszta mojej Szarej obstawy wchodzi z nierównymi przerwami, po kilku. Niektórzy

założyli szkła kontaktowe, żeby udawać inne Kolory. Jedna nosi nawet twarząskę i wygląda jak śliczna Różowa. Nie można odróżnić jej twarzy od prawdziwej, chyba że zbliży się do niej magnes.

Wszyscy sprawiają wrażenie bywalców takich miejsc. Wątpię, czy mnie też się to udaje, pomimo przebrania za Obsydiana.

Sigile na rękach zostały przesłonięte protezami Obsydianów. Włosy mam białe, oczy

czarne. Dzięki kosmetykom moja cera wydaje się jaśniejsza. Victra i ja jesteśmy zbyt rośli, żeby podszyc się pod jakiś inny Kolor. Na szczęście Obsydianowi nie wydają się tutaj nie na miejscu. W ślad za Valentinem podchodzę do stolika w niszy na tyłach sali, gdzie za grupą najemników i jednym Obsydianem siedzi młodzieniec. Opada na mnie głęboka cisza, gdy

widzę, jak Obsydian wstaje i zajmuje miejsce przy stoliku obok. Inni też mu się przyglądają, zanim się nie otrząsną, a wtedy szybko odwracają oczy i wbijają je w swoje drinki. Obsydian jest ode mnie o głowę wyższy, a twarz przesłania mu wytatuowana czaszka.

*Skalany.*

Tyle, jeżeli chodzi o zachowanie tajemnicy.

– Lepiej rządzić w piekle, niż służyć w niebiosach? – pytam samotnika.

– Kosiarz! Nawet Milton wiedział, że Lucyfer to wredny sukinsyn. – Uśmiecha się enigmatycznie i wskazuje krzesło naprzeciw. – Przestań na mnie patrzeć z góry.

Nie nosi nawet przebrania. Zerkam na Victrę.

– Myślałem, że to będzie jakiś nowy przyjaciel.

– Bo jest nowy w tym względzie. Przecież wcześniej nie byliście *przyjaciółmi*. To dla was nowy etap. Bawcie się dobrze, chłopaki.

– Nie zostajesz?

– Wskazałam ci drzwi. Sam musisz przez nie przejść. – Ścisła mi figlarnie pośladek i

wycofuje się, kołysząc biodrami. Szakal obserwuje jej odejście, odchyła się nawet, żeby mieć lepszy widok.

– Nie sądziłem, że obchodzą cię kobiety.

– Nawet martwy wciąż bym ją doceniał. Ale nie muszę ci tego mówić. Samotny w próżni przez wiele miesięcy. Cały okręt tylko dla siebie. Co jeszcze można by tam robić?

Zajmuję miejsce naprzeciwko. Szakal podsuwa mi butelkę z zielonkawym płynem.

Kręcę głową.

– Piję tylko po to, by zapamiętać o ludziach takich jak ty.

– Ha! Arcosowska obelga, jeśli się nie mylę. Jedna z najlepszych Lorna. Chociaż jest z czego wybierać. – Rozpiera się na krześle, nieprzenikniony i zagadkowy w swojej

beznamiętności. Opanowana twarz. Oczy jak gładkie, wytarte monety. Włosy barwy

pustynnego piasku. Dłoń obracająca srebrny stylus z szybkością insekta umykającego po pękającym gruncie. – Szakal od Augustusa i Kosiarz z Marsa znowu razem po tak długim

czasie. Jakże nisko upadliśmy.

– Sam wybrałeś takie miejsce – stwierdzam. Szakal wsuwa sobie rylec za ucho i bierze z półmiska kurze udko. Ogryza skórkę.

– Denerwuje cię to?

– Dlaczego? Obaj wiemy, jak bardzo lubisz ciemność.

Szakal nieoczekiwanie wybucha śmiechem, jękliwym skamleniem jak u zranionego psa.

– Darrow au Andromedus, tak pełen dumy. Cała rodzina nie żyje. Zhańbiony, bez grosza

przy duszy. Tak przeciętny, że rodzice nie próbowali nawet wprowadzić go do Elity. Bez przyjaciół. Nikomu nieznanym, dopóki nie wślizgnął się do Instytutu, tak niepostrzeżenie. Lecz jakże się wzniosł, gdy tylko dano mu szansę.

– A ty nadal lubisz dużo gadać – mamrocę pod nosem.

– Ty natomiast nadal lubisz robić sobie wrogów.

– Każdy ma jakieś hobby. – Przyglądam się kikutowi jego prawej ręki. – Rozpaczliwie

domagasz się uwagi? Jesteś chyba jedynym żywym Złotym, który nie pofatygował się, żeby sprawić sobie nową rękę.

– Zastanawiam się, dlaczego wciąż mnie prowokujesz, choć straciłeś reputację. I twoje rachunki bankowe zostały opróżnione.

Prostuję się na te słowa.

– O tak. Pliniusz jest dokładny, kiedy odcina człowieka od źródła. Zamknął wszystkie twoje fundusze. Dlatego tak naprawdę niewiele z ciebie zostało. Ale oto siedzisz tutaj, na dnie Księżyca. Sam. Ze mną, wśród moich. I rzucasz obelgi.

– Ci ludzie są twoi? – Rozglądam się po PodKolorach wokół nas. – Można by pomyśleć,

że się nimi brzydysz.

– Kto powiedział, że trzeba lubić swoje dzieci? – rzuca Szakal z zadowoleniem. – To produkty naszych Złotych łędźwi.

Odgryza kęsy kurzego udka, kruszy kości zębami, zanim je wypluje.

– Wiesz, co robiłem, gdy miałem czas?

– Masturbowałeś się w krzakach?

– Niestety nie. Nieźle mnie załatwiłeś w Instytucie. Nie boję się tego przyznać. Zraniłeś mnie i popsuleś mi plany. Siostra również mnie zraniła. Zakneblować mnie? Związać i rzucić nago do twoich stóp? To zabolalo, zwłaszcza gdy wszyscy wielcy panowie i panie z naszej Niezrównanej kasty mieli ze mnie niezły ubaw.

– Obaj wiemy, że nie czujesz bólu, Adriusie.

– Och, mów mi Szakal. Adrius w twoich ustach brzmi jak jakieś szczekanie. – Wzdraga

się, lecz z zachwytem pochyła się na swoim krześle, kiedy Brązowa z umięśnionymi ramionami i tatuażami oplatającymi jej bladą, dziobatą skórę wychodzi z kuchni, niosąc trzy parujące miski. Stawia je przed nami.

– Dziękuję – rzuca Szakal i od razu przysuwa sobie dwie porcje.

Zerkam na danie podejrzliwie.

– Nie jestem trucicielem – zapewnia mnie. – Mógłbym przecież otruć swojego ojca w dowolnym momencie, ale tego nie zrobiłem. Wiesz dlaczego?

– Ponieważ nie dostałeś od niego tego, czego potrzebowałeś.

– Czyli czego?

– Jego aprobaty.

Szakal spogląda na mnie przez parujące pasma znad misek.

– Właśnie. Proponowano mi sporo kontraktów. Przekazywano je na ręce mojego ojca, nie moje. Mną pogardzano, ponieważ zjadłem uczniów. Lecz to hipokryzja. Cóż innego mogłem uczynić? Nakazano nam zwyciężyć, więc starałem się najlepiej jak mogłem. A potem zostałem skrytykowany. Powinienem zachować się szlachetnie, honorowo. Jakby inni nigdy nie

popelniali morderstw. Szaleństwo. – Potrząsa głową i cicho wzdycha. – Tak, mogłem zająć się studiowaniem rzemiosła wojennego w Akademii, jak ty. Mógłbym też studiować politykę w Schola Politica na Księżycu. Albo zostałemby całkiem przyzwoitym Sędzią, gdybym był w

stanie polubić Wenus. Ale zamierzam wznieść się na wyżyny bez hipokryzji Złotych. I bez ich szkół.

– Słyszałem pogłoski. Są choć trochę prawdziwe?

– W większości. – Nakłada sobie makaron z miski i polewa go czerwonym ostrym sosem.

– Teraz jestem biznesmenem, Darrow. Kupuję. Posiadam. Tworzę. Oczywiście w oczach tych pretensjonalnych Niezrównanych jestem jak ściubiący każdy grosz Srebrny. Nie przypominam jednak ani trochę żadnego z tych zanikających możliwych z dwudziestego stulecia w Europie.

Rozumiem, jaką władzę skrywa praktyczne podejście do działań i jaką władzę daje

posiadanie. Posiadanie rzeczy, ludzi, pomysłów, infrastruktury. To o wiele ważniejsze niż pieniądze. I o wiele bardziej zdradliwe... – Wykonuje zabawny gest kikutem. – *Okręty kosmiczne i ostrza.* Powiedz mi, czy okręt się liczy, jeżeli nie można dostarczyć jedzenia dla załogi? Ja ze wszystkich wiem najlepiej, jak ważne jest jedzenie.

– To miejsce należy do ciebie, prawda? – pytam.

– W pewnym sensie. – Uśmiecha się, ukazując zbyt wiele zębów. – Czuję, że muszę być

wobec ciebie bardzo bezpośredni. Mieliśmy prawie osiemnaście lat, gdy opuszczaliśmy

Instytut. Teraz mamy dwadzieścia. Dwa lata przebywałem na wygnaniu, ale teraz pragnąłbym powrócić do domu.

– Żeby nawiązać stosunki towarzyskie z pretensjonalnymi Niezrównanymi? – Parskam

śmiechem. – Gdybyś słuchał mnie uważnie, wiedziałbyś, że twój ojciec już nie przychyła się do moich rad.

– Uważne słuchanie... – Szakal pochyla się do mnie. – Kosiarzu, słucham bardzo uważnie.

Wiesz, ile już zdobyłem infrastruktur komunikacyjnych?

– Nie.

– I dobrze. To znaczy, że robię to jak należy. Przejąłem już ponad dwadzieścia procent. Z

moim cichym współnikiem mamy prawie trzydzieści. Zastanawiasz się dlaczego? Z pewnością rody takie jak Victry nie zniżają się do brudzenia sobie rąk takimi interesami. Zwłaszcza że członkowie rodu Julii zajmują się zwyczajnym handlem od wieków. Ale media to dla nas co innego. Media są śliskie. Zostawiamy je Żywemu Srebru i jemu podobnym. Dlaczego zatem ktoś tak wysoko urodzony

jak ja miałby sobie brudzić tym rękę? Cóż, chciałbym, abyś

wyobraził sobie media jako rurociąg do miasta na pustyni. – Macha ręką. – Naszej

metaforycznej pustyni. Mogę wprawdzie dostarczyć tylko trzydzieści procent z tego, co płynie tym rurociągiem, ale mam realny wpływ na sto procent dostawy. Jeżeli zanieczyszczę swoją wodę, zanieczyszczę też resztę. Taka jest właśnie natura mediów. Czy chcę, żeby mieszkańcy tego miasta na pustyni mieli halucynacje? Czy chcę, żeby wili się z bólu? Czy chcę, żeby powstali?

Szakał odkłada pałeczki.

– Wszystko zaczyna się od tego, czego chcę.

– A czego chcesz? – pytam spokojnie.

– Twojej głowy – odpowiada Szakał.

Nasze spojrzenia krzyżują się jak dwie klingi, uderzają o siebie i posyłają kłujące

wibracje w nasze ciała. Czuję niemal namacalny dyskomfort w jego bliskiej obecności, a jeszcze większy, gdy patrzę w te martwe Złote oczy. Jest taki młody. W moim wieku, ale kryje się w nim dziecinna ciekawość, pomimo starego, wręcz starodawnego spojrzenia, co wydaje się niemal perwersyjne. Od Szakala nie emanuje okrucieństwo ani zło. To raczej uczucie, jakie ogarnęło mnie, gdy Mustang opowiedziała, jak Szakał, jeszcze jako chłopiec, zabił lwiątko, ponieważ chciał zobaczyć jego wnętrze i zrozumieć, jak działa.

– Masz dziwaczne poczucie humoru.

– Wiem. Ale bardzo się cieszę, że rozumiesz moje żarty. Zbyt wielu jest dzisiaj nadętych Niezrównanych. Pojedynek! Honor! Krew! A wszystko dlatego, że się nudzą. *Niech nie pozostanie nikt zdolny do walki.* To takie koszmarnie nudne.

– Zdaje się, że chciałeś mi coś wyjaśnić.

– Ach tak. – Szakał przeczesuje palcami swoje gładkie włosy. Często widywałem, jak jego ojciec robił to dokładnie tak samo. – Sprowadziłem cię tutaj, ponieważ Pliniusz jest moim wrogiem. Wyjątkowo utrudnił mi życie. Nawet przeniknął do mojego haremu. Wiesz, ilu jego szpiegów musiałem zabić? Pozbyłem się tylu sług... Nie próbuję wzbudzać w tobie

współczucia – zaznacza szybko.

– A już zaczynałem cię żałować.

– Jednak pomożesz mi najlepiej, gdy zrozumiesz moje położenie. Jak na razie Pliniusz

wkradł się w łaski mojego ojca. Syczy mu do ucha niczym wąż. Wiedziałeś, że Leto to jego projekt?



Nie wiedziałem.

– Znalazł go i uznał, że ten drogi chłopczyk podbija zimne serce mojego ojca, ponieważ tak bardzo przypomina mojego zmarłego brata Claudiusa. Dlatego Pliniusz wychowywał Leta,

szkolił i przekonał ojca, żeby chłopaka adoptował. Zaplanował, że w przyszłości uczyni z Leta następcę ojca i jego dziedzica. Ale wtedy ty wkroczyłeś w nasze życie i pokrzyżowałeś plany Pliniusza. Dwa lata zajęło mu pozbycie się ciebie, ale osiągnął to cierpliwością. Zupełnie jak w moim przypadku. Teraz Leto zostanie dziedzicem mojego ojca, a Pliniusz będzie panem Leta.

Ta wiedza była dla mnie jak bolesny cios. Wiedziałem, że Pliniusz jest niebezpieczny, nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo.

– Jaki zatem masz plan? – Rozglądam się ukradkiem po sali. – Zamierzasz odzyskać łaski ojca dzięki plebejuszom z widłami?

– Jak każdy przyzwoicie wykształcony Złoty wie, władzę nad Zaginionym Miastem

sprawuje pewien syndykat zbrodni. To ogromne przestępcze przedsiębiorstwo, a jeżeli

prześledzi się jego powiązania do samego szczytu, widać, że ulega wpływom gabinetu

Władczynie. Octavia au Lune może wydawać się niedościgłym wzorem Złotych cnót, ale

zasmakowała też w nieco brudniejszych sprawach – zabójstwach na zlecenie, organizowaniu strajków robotniczych w swoich ArcyGuberniach, kupczeniu stanowiskami. Jej rządy nad

Zaginionym Miastem niczym się od tego nie różnią. Ona i jej Furie wzięły pod pantofel przywódców zbrodniczych rodzin, te trzy indywidua są na jej usługach. Ale pozostaje jeden przemiły szczegół. Znalazłem pewnych członków tej samej organizacji, którzy są...

niespokojni.

Marszczę brwi.

– Nie lubią Octavii au Lune?

– To wredna suka. Splunęła mojemu ojcu w twarz i schroniła się wygodnie w ramionach

rodu Bellona. Ale nie o to chodzi. Moi wybrańcy nie myślą na tak zaawansowanym poziomie.

To PodKolory, Darrow. Chcą się znaleźć na szczycie tej sterty gówna.

– Dlaczego Zaginione Miasto? – pytam. – Co to ma za znaczenie?

– To jedynie element układanki. Zamierzam pomóc tym ambitnym Kolorom wspiąć się

wyżej, zdobyć nagrodę. A kiedy znajdą się u władzy, zapragną zniszczyć to zło, które dręczy nasze społeczeństwo – Aresa i jego Synów.

## *Rozdział ósmy*

### *Berło i miecz*

Czuję, jak ogarnia mnie chłód.

– Synów Aresa? Nie zdawałem sobie sprawy, że stanowią aż tak poważne zagrożenie.

– Jeszcze nie, ale wkrótce tak będzie – zapewnia Szakal. – Władczyni to rozumie.

Podobnie jak mój ojciec, chociaż nie wypada o tym niebezpieczeństwie mówić głośno na

salonach. Elita stawiała już czoła terrorystom. Wystarczy rzucić na nich oddziały zbrojne, aby łatwo się pozbyć zbrodniarzy. Jednak Synowie Aresa są inni. To nie szczury kłusujące nas po łądkach, lecz kolonia termitów powoli podgryzająca nasze fundamenty, najciszej jak to możliwe, dopóki nie wykonają pracy na tyle skutecznie, że domostwo zwali nam się na głowy.

Mój ojciec powierzył Pliniuszowi zadanie likwidacji Synów Aresa. Ale Pliniusz zawiódł. I nadal tak będzie, ponieważ Synowie Aresa są sprytni, a moje media uwielbiają poświęcać im uwagę. Kiedy jednak staną się prawdziwym zagrożeniem dla szlachetnie urodzonych, dla

Władczyni i dla mojego ojca, kiedy cała machina rządowa się zatrzyma, wtedy wystąpię i powiem: „Zduszę tę zarazę w trzy tygodnie”. I tak właśnie zrobię, dzięki swoim mediom i syndykatom, który wybije systematycznie wszystkich Synów Aresa, oraz dzięki tobie, który w blasku chwały zetniesz głowę samemu Aresowi.

– Potrzebujesz figuranta.

– Nie jestem czarujący, nie potrafię inspirować. A ty przypominasz jednego z Dawnych

Zdobywców, charyzmatycznych i pełnych cnót. Nie widać w tobie dekadencjonalnej miękkości

naszych nędznych czasów, nie ma w tobie politycznej trucizny, która przesączyła się na Księżyc, odkąd ród Lune doszedł do władzy. Gdy ludzie na ciebie patrzą, widzą lśniące ostrze i nowy świt kolejnego Złotego Wieku.

- Jaki ojciec, taki syn. Obaj wzięli na cel Synów Aresa z podobnych pobudek. Myśl o wojnie, jaka wybuchnie między zabójcami z syndykatu zbrodni i agentami Aresa, mrozi krew w żyłach. Taka wojna zniszczy Synów.
- Synowie Aresa to zaledwie początek. Punkt przyłożenia dźwigni. Ty chcesz rządzić.
  - A można mieć inne ambicje?
  - Lecz nie tylko Marsem...
  - To, że jestem teraz mały, nie oznacza, że mam małe marzenia. Chcę wszystkiego. I aby to osiągnąć, jestem gotów zrobić wszystko. Nawet się podzielić.
  - Chyba nie wiesz, co się stało dwa miesiące temu – rzucam. – Zatrzymaj jakiegoś Złotego i zapytaj. Opowie ci, co ród Bellona zrobił Kosiarczowi z Marsa. Nie mam reputacji. Jedyne, co mogę zagwarantować, to śmiech.
  - Cassius został zhańbiony. – Szakał nie kryje irytacji. – Osikany. Pobity w Instytucie.
- Zawstydzony. Teraz sieje postrach i śmierć w pojedynkach, ma reputację najgroźniejszego wojownika na Księżycu. Walczył z każdym, kto podważał jego wartość. I dzięki temu Cassius jest teraz nowym ulubieńcem Władczyni. Wiesz, że ta stara wrona postanowiła uczynić go Rycerzem? W tym roku Lorn au Arcos i Venetia au Rein przeszli w stan spoczynku. Co oznacza, że pozycje Rycerza Gniewu i Rycerza Świtu są otwarte.
- Władczyni mianuje go jednym z dwunastu?
  - Jest pionkiem na jej szachownicy. – Szakał pochyła się. – Ale mnie zmęczyło już odgrywanie roli pionka dla starszych.
  - Mnie także. Czuję się przez to jak Różowa – przyznaję.
  - Zatem powstańmy razem. Ja jako berło, ty jako miecz.
  - Ty się nie dzielisz. To wbrew twojej naturze.

– Zrobię, co muszę. Nic więcej. I nic mniej. A potrzebuję naczelnego dowódcy. Będę

Odyseuszem, a ty Achillesem.

– Achilles na końcu umiera.

– Więc ucz się na jego błędach.

– Dobry pomysł. – Urywam, gdy Szakal rozciąga wargi w uśmiechu. – Ale pozostaje jeden problem... Jesteś socjopata, Adriusie. Nie robisz tylko tego, co musisz. Przybierasz maskę, jakiej potrzebujesz, tak samo wyrażasz emocje. Zmieniasz to jak rękawiczki. Jak mógłbym ci zaufać? Zabiłeś Paxa.

Moje słowa zawisają między nami.

– Zabiłeś mojego przyjaciela i obrońcę twojej siostry.

– Pax i ja nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. Postrzegałem go tylko jako przeszkodę.

Oczywiście znałem Telemanusów, ale kiedy mózg Claudiusa rozprysnął się po ścianach,

ojciec rozdzielił mnie i Mustang, żeby nas chronić. Mnie izolował bardziej niż ją, ponieważ byłem jego *dzieńcem*. Nie miałem przyjaciół, tylko nauczycieli. Zrujnował mi młodość. A potem pozbył się mnie, ponieważ przegraliśmy. Ty i ja jesteśmy jak zwierciadlane odbicia.

Na kondygnacji wyżej rozpoczyna się bijatyka. Belki trzeszczą. Ochroniarze ruszają tam z wydobytą bronią. Większość klientów nie zwraca na to uwagi.

– Co u twojej siostry? – pytam z wahaniem, choć w głębi duszy wiem, że nie zostały mi żadne inne możliwości oprócz propozycji Szakala.

– Chcesz wiedzieć, jak się jej powodzi? – pyta beznamiętnie. – Z kim dzieli łożę? Mogę dostarczyć ci wszystkich informacji, jakich tylko zapragniesz. Mam oczy wszędzie.

– Nie o to pytałem. – Kręcę głową, starając się nie myśleć, że ktoś mógłby dzielić łożę z Mustang. Ani o tym, że Mustang mogłaby czerpać radość z towarzystwa kogoś innego, nawet jeżeli na to zasługiwała. – Chciałem wiedzieć, czy jest w to zamieszana.

– Nie – śmieje się tubalnie Szakal. – Wiesz, że teraz jest z rodem Lune. Aż trudno uwierzyć. Kto by pomyślał, że z nas dwojga to właśnie ona okaże się genialnym dzieckiem?

No, *bardziej* genialnym.

– Nie wolno ci jej skrzywdzić – podkreślam. – Jeżeli tak się stanie, zetnę ci głowę.

– Co za agresja. Ale mamy umowę. Jesteś zatem ze mną.

– Byłem z tobą, gdy tylko wszedłem na pokład wahadłowca. Wiesz, że nie mam innego

wyjścia. I wiem, że nikt inny nie wezwałby mnie *tutaj*. Z tego równania wynikało tylko jedno rozwiązanie. – I dlaczego nie?

Zabrałem mu rękę, on odebrał mi przyjaciela. Gryzł i drapał, byle przetrwać. Patrzę na niego, tak małego i zwyczajnego w świecie bogów – to niemal jakby był bohaterem

szlachetnie zmagającym się z ojcem, który go odrzucił, i z Elitą, która wyśmiewa jego wzrost i słabości oraz potępia go za kanibalizm, chociaż to właśnie Elita kazała mu zwyciężyć za wszelką cenę. W pewnym pokrętnym sensie Szakal rzeczywiście *jest* taki jak ja. Mógłby sobie naprawić rękę, ale postanowił, że nie – swoje kalectwo ukazuje dumnie, jakby to był jakiś order, nie powód do wstydu.

Zatem przyłączę się do Szakala. A potem, na koniec, może go zabiję. Za Paxa.

– Tak się cieszę, Darrow, tak się cieszę. I szczerze mówiąc, trochę mi ulżyło – uśmiecha się szeroko Szakal.

– Ale co dalej? – pytam. – Na pewno potrzebujesz czegoś ode mnie już teraz.

– Złoty nazwiskiem Fencor au Drusilla dowiedział się o moich... umowach z syndykatem.

Próbuje mnie szantażować. Chcę, żebyś go zabił.

Oczywiście.

– Kiedy?

– Na pewno nie w tym tygodniu. Prawdziwym celem tego zabójstwa będzie zyskanie przychylności jednego z krewniaków Władczyni, którego Fencor obraził. Kiedy zginie, zyskasz... przychylność krewniaka.

Staram się zdusić śmiech.

– Chcesz, żebym odegrał rolę jakiegoś Pixie-dandysa, który szwenda się po dworze i sypia z panienkami? Mustang pomyśli, że robię jej na złość.

W oczach Szakala błyskają psotne iskry.

– Kto mówił o panienkach?

– Och... – Dopiero teraz rozumiem, co ma na myśli. – Och, to bardziej... skomplikowane.

Do tego lepiej nadawałby się Tactus...

Szakal chichocze z mojego zmieszania.

– Zapewniam cię, że nadasz się doskonale. Ale tym będziemy się martwić później. Na

razie możesz się rozluźnić. Wykupię twój kontrakt przez kogoś podstawionego, gdy tylko rozpocznie się aukcja.

– Bellona spróbuje go kupić.

– Mam wsparcie. Przelicytujemy ich.

– Masz za sobą Vitrę?

– Nie, ona robi w tym tylko za pośrednika. Musisz wiedzieć o Vitrze jedno: nie jest i nigdy nie będzie... jak ty to określasz... partyzantem. Ona tylko lubi mieszać. A moje wsparcie niedługo spotkasz.

– Nic z tego – protestuję. – Chcę go spotkać teraz. Nie jestem twoją marionetką. Podzielę się z tobą wszystkim, co wiem, jeżeli ty podzielisz się wszystkim, co wiesz, ze mną.

– Ale ja wiem o wiele więcej... *Dobrze*. – Pochyliła się znowu. – Spotkacie się dzisiaj wieczorem. Nie chodzi o to, że ci nie ufam. Sądzę po prostu, że powinien sam się przedstawić.

– W porządku. Chcę sprowadzić z powrotem Wyjce. I Sevra.

– Załatwione. Będziesz też potrzebował fechmistrza, trzeba wybrać kogoś, kto nauczy cię walki nożem. Będziesz musiał zabić paru ludzi publicznie.

– Wiem, jak sobie radzić z ostrzem – zauważam.

– Nie z tego, co słyszałem. No, przestań, nie ma się czego wstydzić. Podam ci parę

nazwisk. Co za szkoda, że Arcos już nie uczy. Miałbym dość funduszy, żeby pozwolić sobie na Kamiennoskórego i jego Drogę Wierzby...

Głos Szakala cichnie, a oczy uciekają ode mnie, przyciągnięte widokiem smukłej sylwetki kobiety, która wynurzyła się z dymu i kręci się po knajpie niby bursztyn toczący się w kłębach mgły. Kiedy mijają nasz stół, wyczuwam migdałowy aromat jej skóry, cytrynowy smak ust.

Zwinna i ulotna jak podmuch na Letnim Wybrzeżu Wenus. Kruche, drobne kości – ptasie. Nosi czarną suknię, która odsłania tylko ramiona.

A potem napotykam jej spojrzenie i omal nie spadam z krzesła. Jakbym otrzymał cios

prosto w serce. Puls mi przyśpiesza. To ona. Dziewczyna ze skrzydłami, na których nie mogłaby latać. Ale teraz... wygląda na to, że jednak odleciała od Mickeya. Nie ma już skrzydeł, rozkwitła w swojej kobiecości. Ale dlaczego Evey tutaj przyszła? Czy przysłali ją

Synowie Aresa? Ledwie udaje mi się zachować zimną krew. Dziewczyna mnie nie rozpoznaje.

– Nie wiedziałem, że Róże kwitną tak głęboko na gnoju – mówi do niej Szakal.

Jej śmiech przypomina szmer skrzydeł motyla. Dziewczyna przesuwając palcami po dolnej krawędzi starego blatu i nieznacznie wzrusza ramionami.

– Zwykli mężczyźni nie mogą sobie pozwolić na niezwykłość. Ale moja mistrzyni słyszała, że w Zagubionym Mieście są niezwykli mężczyźni, więc wysłała mnie jako... ambasadorkę.

– Ach. – Szakal odchyła się, żeby lepiej się przyjrzeć pięknej kobiecie. – Jesteś

dziewczyną z syndykatu. Od Vebonny?

Na jej lekkie skinienie głowy Szakal przenosi uwagę na mnie. Moje zaskoczenie widokiem Evey bierze za pożądanie.

– Zabierz ją na górę, Darrow. Na mój koszt. Niech to będzie prezent powitalny. Daj mi potem znać, czy chcesz ją kupić. Jutro będziemy mogli porozmawiać o interesach.

Na dźwięk mojego imienia Evey lekko się napina. Cofa się, słysząc zmianę rytmu jej

oddechu. A kiedy podnosi na mnie oczy, wiem, że nie tylko rozpoznaje mnie w przebraniu Obsydiana, lecz dostrzega także przebłyski Czerwieni pod warstwami kłamstw. Jednak jej zaskoczenie oznacza, że nie przysłano Evey do mnie. Przyszła do Szakala, ale dlaczego? Czy pracuje dla Synów Aresa? Czy też Mickey wreszcie sprzedał swoje najlepsze dzieło

gangsterom Vebonny?

– Nie zadaję się z niewolnikami – mówi Evey do Szakala, wskazując moje Obsydianowe

Sigile.

– Przekonasz się, że ten skrywa więcej, niż widać na pierwszy rzut oka.

– *Domine*, ja...

Szakal chwyta ją za rękę i wykręca mocno.

– Zamknij się i rób, co ci kazano, dziewczyno, albo weźmiemy sami, czego nam

odmawiasz. – Puszcza ją z szerokim uśmiechem. Evey przyciska dłoń do piersi, drży.

Nietrudno jest zranić Różową.

Wstaję.

– Chyba resztą zajmę się sam, przyjacielu.

– Na pewno!

Kiwnięciem ręki odsyłam ochroniarzy, którzy próbują iść za mną.

Ruszam za Evey po sznurowych schodach prowadzących na czwartą kondygnację, za

plecami słyszę pohukiwania klientów. Zauważam też puszkę holowizora nad barem. Pokazuje trójwymiarowe obrazy wybuchu. Zdaje się, że eksplozja zniszczyła kawiarnię. Wytrzeszczam oczy, bo zniszczenia są naprawdę duże. Czyżby to dzieło Synów Aresa?

Kolejny wybuch błyska na innym ekranie. I jeszcze jeden. I jeszcze. Z tuzin zamachów...

Wszystkie oczy wbijają się w monitory, nad wielką salą zapada cisza. Dłoń Evey zaciska się na mojej i już wiem, że to rzeczywiście dzieło Synów Aresa. To oni podłożyli bomby. I wysłali Evey. Ale dlaczego właśnie na Księżyc? Dlaczego do Szakala? Dlaczego nie

skontaktowali się ze mną?

– Szybko – poganiam mnie, gdy docieramy na piętnastą kondygnację. Ciągnie mnie wśród

różowej poświaty, obok tancerek i głodnych klientów, do ostatnich drzwi w wąskim korytarzu.

Wchodzę za nią do ciemnego pomieszczenia i natychmiast wyczuwam kwaśny zapach

przypalonego oleju. Powietrze wokół mnie gęstnieje, gdy mężczyzna w pelerynie Niewidce podkrada się bliżej. Ze sporym wysiłkiem opanowuję odruch, aby go zabić.

– To jeden z naszych – syczy Evey. Włącza światło. Widzę sześciu Czerwonych w ciężkich

kombinezonach wojskowej obsługi technicznej. Noszą demonie hełmy z soczewkami o wysokiej rozdzielczości.

– Włączyć skanery.

– To nie Adrius au Augustus – warczy jeden z nich.

– To cholerny Obsydian.

– Ale dziwnie wygląda... – Inny Czerwony odskakuje zaraz, unosząc miotacz. – Gęstość

kości wskazuje, że to Złoty!

– Dość! – krzyczy Evey. – To przyjaciel. Harmony go szukała.

*Nie Ares ani Tancerz?*



– Nie przyszedł do mnie – stwierdzam, nie spuszczać oka z broni. – Polowałaś.

Evey odwraca się do mnie.

– Wyjaśnię później, teraz musimy iść.

– Co robisz? – pytam Czerwonego, który wymierzył miotacz plazmowy i wyciął dziurę w

ścianie. Do pokoju wdziera się wilgotny cuchnący podmuch, gdy niewielki lądowik opada tuż obok i otwiera właz równoległe do zaimprovizowanych drzwi.

– Darrow, nie ma czasu.

Chwytam ją za ramię.

– Evey, dlaczego tu jesteś?

Jej oczy błyszczą triumfalnie.

– Adrius au Augustus zamordował piętnaścioro naszych braci i sióstr. Zostałam posłana, aby go pojmać albo zabić. Wybrałam to drugie. Za dwanaście sekund nie zostanie z niego nawet popiół.

Zdzieram z ramienia jednego z Czerwonych jego unipad i uruchamiam ukryte buty

grawitacyjne. Evey krzyczy. Buty wyją żałośnie, gdy mnie unoszą. Ruszam drogą, którą tu przyszedliśmy, nie otwieram drzwi, lecz się przez nie przebijam, przelatuję przez korytarze niczym nietoperz z piekła rodem. Przewracam tancerkę, potracam dwóch Pomarańczowych

klientów i skręcam ostro w prawo, potem wzdłuż poręczy do stolika, gdzie siedzi Szakal i kończy swój trunek. Jego Skalani i Szarzy próbują mnie powstrzymać, ale są za wolni.

Na ekranach nad obrazami eksplozji trzaskają statyczne zakłócenia, pojawiają się płomienie.

– *Zbierzcie żniwo tego, coście zasiali* – warczący głos Aresa niesie się przez tuzin głośników. Stół roztapia się pod dłonią Szakala, zniszczony przez bombę, którą podłożyła tam Evey. Jeden ze Skalanych odrzuca Szakala od stołu jak szmacianą lalkę i osłania własnym potężnym ciałem wzbierający grzyb eksplozji. Jego usta poruszają się, gdy szepcze ostatnie słowa:

– *Skirnir al fal njir.*

Energia niesie się we wszystkie strony od Skalanego, który wydaje się rozplýwać, jego ciało wyparowuje, rozprzestrzenia się po podłodze jak rozprysk rtęci, po czym ciemnieje, cofa się do epicentrum, wciągając ludzi, krzesła i butelki. Wreszcie następuje detonacja przy akompaniamencie głębokiego, koszmarnego ryku.

Chwytam Szakala za kołnierz i przelatuję przez ścianę, przebiwszy ją ramieniem, a za nami ścieli się szkło, drewno, metal, przenikliwy łomot i ludzkie szczątki.

Moje buty grawitacyjne zawodzą. Przelatujemy nad ulicą i uderzamy w budynek

naprzeciwko. Beton pęka, a ja i Szakal spadamy na ziemię, podczas gdy Zagubiona Norka zapada się niczym winogrono zmieniające się w rodzynek, a potem w pył. Gospoda wydaje ostatnie tchnienie z trzaskającym staccato płomieni i popiołu, nim wreszcie wali się w ruinę.

Szakal jest nieprzytomny, nogi ma poparzone. Wymiotuję, gdy próbuję wstać, szkielet

trzeszczy mi niczym pień młodego drzewa po pierwszym uderzeniu silnego wiatru. Podnoszę się tylko po to, żeby upaść znowu, a wstrząs wywołuje kolejne torsje. Ból w głowie. Krew z nosa. Łaskoczące strugi krwi z uszu. Gałki oczne zaćmione eksplozją. Wybite ramię. Udaje mi się dźwignąć na kolana, opieram bark o ścianę i nastawiam go, oddycham z drzeniem. Czuję klucie w palcach. Wycieram brud z rąk i wreszcie udaje mi się wstać. Podnoszę Szakala i mrużę oczy, gdy rozglądam się w kłębach dymu.

Nic nie słyszę oprócz jednostajnego wycia w uchu wewnętrznym, dołącza się do tego

bardzo przenikliwy i bolesny pisk. Ludzie przebiegają obok, mijają mnie, śpieszą pomóc uwięzionym w gruzach. Znajdą tylko pył, tylko śmierć. Soniczne wybuchy przebijają noc.

Oddział wspierający Szakala pędzi nad miastem. Kiedy zbrojni lądują, żeby zabrać

zwierzchnika z tego piekła, dźwięki w moich uszach nieco cichną, zagłuszone trzaskiem płomieni i krzykiem konających.

Stoję przed opuszczoną fabryką, czterysta kilometrów od Cytadeli, głęboko w Starym

Sektorze Przemysłowym. Świeża tkanka nowoczesnego przemysłu pogrzebała stare

wytwórnie. Miejsce obleka brud. Drapieżny mech. Przerdzewiała wilgoć. Uznałbym to za

ślepią uliczkę, gdybym lepiej nie znał swojej zdobyczy.

Unipad, który zabrałem Czerwonemu, przetrwał eksplozję. Zostawiłem Szakala jego ludziom i prześlizgnąłem się dalej ulicą, skąd ukradłem policyjny pojazd Szarych. Po usunięciu modułów namierzających włamałem się do historii współrzędnych unipada.

Pukam głośno w zamknięte drzwi prowadzące na główną kondygnację fabryki. Nic. Pewnie się boją. Klękam zatem z rękami za głową i czekam. Po paru minutach drzwi się uchylają.

Wewnątrz jest ciemno. A potem wysuwa się kilka postaci. Krępują mi ręce, narzucają worek na głowę i wciągają do wnętrza.

Zjeżdżamy starą, hydrauliczną windą, prowadzą mnie powoli w kierunku, z którego dochodzi muzyka. Koncert fortepianowy Brahmsa, opus 2. Komputery pomrukują. Oświetlenie jest wystarczająco jasne, by przenikać przez tkaninę worka.

– Och, zdejmijcie mu to, brutale – syczy znajomy głos.

– Ostrożnie, klaunie – dudni jakiś Czerwony.

– Paplaj, ile dusza zapragnie, ty Rdzawy małopoludzie, ale on jest wart więcej niż tysiące takich skundlonych łajdaków...

– Dalo, cofnij się – mówi cicho Evey. – Już.

Łomot butów się oddala.

– Mogę już przestać udawać? – pytam.

– Jak najbardziej – odpowiada Mickey.

Rozrywam okowy, których użyli, by skrupować mi nadgarstki na plecach, i ściągam worek z głowy. Betonowo-metalowe laboratorium jest czyste i ciche, wciąż rozbrzmiewa kojąca muzyka. Ledwie widoczna smużka dymu unosi się z fajki wodnej Mickeya w kącie. Staję nad nim i Evey. Dziewczyna nie posiada się z radości.

Nie jest już uwodzicielską Różą z tawerny. RzUCA mi się w ramiona jak mała dziewczynka, witająca dawno niewidzianego wuja. Jej dłonie dotykają mnie jeszcze w pasie, gdy Evey się cofa, aby popatrzeć w moje Złote oczy swoimi Różowymi. Chociaż chichocze, jest w niej zmysłowość i piękno – te smukłe ramiona, ten zamyślony uśmiech... Wygląda, jakby

zapomniała, że zabiła prawie dwustu ludzi. Skrzydlata dziewczyna zmieniła się w ptaka padlinożercę i chyba nawet tego nie zauważyła. Ciekawe, czy uśmiechałaby się tak

promiennie, gdyby musiała zamordować wszystkich tych ludzi nożem. Jakże łatwo przychodzi nam popełnić masowe morderstwo.

– Rozpoznałabym cię wszędzie – mówi Evey. – Kiedy zobaczyłam cię przy stole... serce mi podskoczyło. Zwłaszcza że byłeś w tym absurdalnym przebraniu Obsydiana. Darrow, co się stało?

Krztusi się z jękiem, gdy unoszę ją za poły zakietu i przyciskam do ściany.

– Zabiłaś właśnie dwustu ludzi. – Kręcę głową z bólem, bo nadal trudno mi uwierzyć w to, co przeżyłem. – Jak mogłaś, Evey?

Potrząsam nią. Znowu mam przed oczyma załogę mojego zniszczonego okrętu. Widzę wszystkich zabitych, których pozostawiłem na swojej drodze. Czuję zamierający puls Juliana.

– Darrow, kochany... – zaczyna Mickey.

– Zamknij się, Mickey.

– Tak, jasne. Dobra.

– To byli Czerwoni, Różowi... Niższe Kolory. Twoi ludzie. A ty potraktowałaś ich, jakby nie znaczyli zupełnie nic. – Dłonie mi się trzęsą.

– Wypełniałam rozkazy, Darrow – odpowiada Evey z naciskiem. – Adrius nas śledził.

Należało go powstrzymać.

A zatem pomimo całej przebiegłości został zauważony. Do oczu Evey napływają łzy. Nie

cofam się przed nimi. Kogo obchodziłoby, jak ona się czuje po tym, co zrobiła? A jednak puszczam ją, pozwalam, aby osunęła się żałośnie po ścianie. Mam nadzieję, że okaże choć odrobinę żalu. Pomyślałbym wtedy, że te łzy roni dla ludzi, których zabiła, nie dla siebie ani nie dlatego, że się mnie przestraszyła.

– Nie chciałam, aby tak się stało. – Wyciera oczy. – Nie tak mieliśmy się znowu spotkać.

Spoglądam na nią bez zrozumienia.

– Co ci się stało?

– Miała innego nauczyciela niż ty – wyjaśnia Mickey. – Odciąłem jej skrzydła, a Harmony dała w zamian pazury.

Odwracam się do Mickeya.

– Co się dzieje, do cholery?

– Wyjaśnienia trwałyby z rok. – Mickey krzyżuje ramiona na piersi i przygląda mi się

bacznie. – Po pierwsze, pozwól mi powiedzieć, że bardzo za tobą tęskniliśmy, mój drogi

książę. Po drugie, proszę, nie łącz mojej moralności z tą zagubioną duszą. Zgadza się, Evey jest trochę potworem.

Rzuca dziewczynie, która właśnie wstaje, groźne spojrzenie zza mojego ramienia.

– Może nareszcie zrozumiesz, kim ty jesteś.

Grymas znika z jego twarzy, oczy mierzą mnie od stóp do głów.

– Po trzecie, wyglądasz bosko, mój chłopcze. Absolutnie bosko.

Przygląda się mojej twarzy przenikliwie, jakby mogła mu coś powiedzieć. Sam ma ostre

rysy i przyglądzone włosy – jego wzrok ślizga się po mnie jak nóż po lodzie. Pod każdym kątem. Jego skóra napina się na drobnych kościach. Czy był tak chudy, gdy ostatnio go widziałem? A może po prostu nie użył swoich kosmetyków? Nie. Mruga powoli. Sennie. Jest zmęczony. Starszy. I chyba przybity. Garbi się i zerka nerwowo, jakby spodziewał się ciosu.

Sprawia wrażenie słabego, emanuje bezbronnością.

– Zadałem ci pytanie, Mickey.

– Nie mogę myśleć o całym lesie! Wciąż przyglądam się drzewu! Zdumiewające, jak twoje ciało się rozwinęło. Po prostu zdumiewające, mój drogi. Rozrosłeś się. Jak się sprawują twoje receptory bólu? Czy cebulki włosowe cię swędzą, jak się obawiałem? Co ze skurczem i rozkurczem mięśni? Jak sądzisz, dorównują mięśniom twoich rówieśników? Źrenice kurczą się wystarczająco szybko? Przez ostatnie miesiące słyszałem o tobie tylko w oficjalnych mediach. Oczywiście nie pokazywano Instytutu. Ale do holosieci wyciekały filmy. I to jakie nagrania! Jak zabijałeś Skalanych. I jak zdobyłeś fortecę na niebie niczym jeden z

niegdysiejszych bohaterów!

Nawet oni uwierzyli w mity o zdobywcach, szlachetnych herosach z dawnych czasów.

Mickey chwyta mnie desperacko za ramię, palce ma słabsze, niż pamiętam.

– Opowiedz mi o swoim życiu. Jak jest w Akademii? Powiedz wszystko. Wciąż jesteście

kochankami z tą śliczną Virginią au Augustus? – Marszczy brwi. – Och, oczywiście, że nie.

Ona jest teraz z...

– Mickey – przerywam mu – uspokój się.

Parska śmiechem, ale zaraz zaczyna kasłać. Odwraca się, aby wytrzeć oczy.

– Dobrze zobaczyć przyjazną twarz. Nie jest mi dane spotykać już tak życzliwego towarzystwa. Wcale. Doprawdy, potworne.

– Zamknij się, Mickey – prychna Evey.

Mickey mruży oczy. Evey stoi teraz daleko ode mnie i trzyma dłoń na miotaczu w kaburze przy biodrze, jakby ta broń mogła ją ochronić przede mną.

– Dlaczego jesteś na Księżycu? Co się dzieje? – pytam. – Przyłączyłeś się do Synów?

– Wiele się wydarzyło – mruży Mickey. – Nie jestem tutaj z...

– On pracuje teraz dla nas, Darrow – przerywa mu chłodno Evey. – Czy mu się to podoba, czy nie. Rozbiliśmy jego norę. Użyliśmy funduszy, które zgromadził ze sprzedaży ciał, aby wykupić sobie transport i wyposażyć armię. Bierzemy odwet, Darrow. Nareszcie.

– Różowa terrorystka i garstka Czerwonych zabawiających się bronią. – Nawet na nią nie patrzę, gdy to mówię. – To twoja armia?

– Przelewamy krew Żółtych, Darrow. Jeżeli nie szanujesz mnie, okaż przynajmniej temu

respekt. Zabiłam syna Arcygubernatora Marsa. A czego ty dokonałeś, skoro wydaje ci się, że możesz tu przyjść i pluć na wszystko, co zrobiliśmy?

– Nie zabiłaś go.

Evey spogląda na mnie bez zrozumienia.

– Nie żartuj.

Odpowiadam jej gniewnym grymasem.

– Ale jak... Bomba... – Kręci głową. – Kłamiesz.

– Wyprowadziłem go w porę.

– Dlaczego?

– Ponieważ moja misja jest skomplikowana. Potrzebuję go. Gdzie Tancerz? Kto dowodzi?

Mickey...

– Ja dowodzę – słyszę głos z przeszłości. Akcent jest taki jak mojej żony, ale brzmi jadem, goryczą i

gniewem. Odwracam się do Harmony w progu. Połowę jej twarzy nadal pokrywa ta straszna blizna. Druga połowa jest zimna i okrutna. I starsza, niż pamiętam.

– Harmony – witam ją beznamiętnie. Lata nie ociepliły naszych stosunków. – Dobrze cię widzieć. Potrzebuję ustaleń. Tak wiele jest do omówienia.

Nawet nie wiem, od czego miałbym zacząć. Wtedy jednak zauważam spojrzenie, jakie kobieta posyła Evey.

– Harmony, gdzie jest Tancerz?

– Tancerz nie żyje, Darrow.

Później Harmony zaprasza mnie do gabinetu Mickeya pełnego tanich, krzywych mebli i

słoików z hybrydowymi organami unoszącymi się w gazie konserwującym. Mickey siedzi za biurkiem i bawi się tą starą platońską łamigłówką. Dostrzega, że na nią patrzę, i mruga do mnie porozumiewawczo. Wygląda już lepiej. Evey opiera się o beczkę chemikaliów. A ja

czuję się całkowicie zagubiony. Tancerz miał dla mnie plan. Miał plan na wszystko. Nie powinien był umrzeć. To nie mogło się zdarzyć.

– Mickey wyrzeźbi dla nas armię. Było to ostatnie życzenie Tancerza. Armię, która

dorówna Złotym w szybkości i sile. Wybraliśmy naszych najlepszych ludzi i poddaliśmy ich rzeźbieniu. Nie mogliby przeżyć przemiany w Złotego jak ty, ale niektórzy zdołali wytrzymać ten nowy program. – Wskazuje na sto spoczywających na podłodze tub przypominających

trumny. Wewnątrz każdej znajduje się Czerwony w nowej postaci. – Wkrótce będziemy mieć stu żołnierzy, którzy uderzą w Złoty mocniej niż ktokolwiek wcześniej.

Jakby stu wystarczyło, aby zniszczyć maszynę wojenną Złoty. Moje Wyjście zmiażdżyłoby każdy oddział, jaki udałoby się zebrać tym terrorystom. A przecież nie należymy do

najgroźniejszych spośród Złoty.

Harmony używa nowego ramienia. Poprzednie, z ciała i kości, straciła w walce z

Obsydianem, kiedy zaatakowała arsenał, aby zdobyć broń. Teraz ma kończynę z metalu.

Zwinną i silną, z nielegalnymi, czarnorynkowymi gniazdami na broń. Dobra konstrukcja, ale nie wytrzymuje porównania z rzeźbami Mickeya. Oczywiście Harmony nigdy nie pozwoliłaby Mickeyowi pracować nad sobą.

– Zatem Mickey jest więźniem? – upewniam się.

– Raczej niewolnikiem – mamrocze Mickey z lekkim uśmiechem. – Nie dają mi nawet wina.

– Zamknij się – warczy Evey.

– Evey. – Harmony spogląda na młodszą kobietę spokojnie, a potem przenosi wzrok na Mickeya. – Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy, hę? Pilnuj języka.

Mickey kuli się, zerka na jej lewą rękę. Przy pasie Harmony znajduje się pusta kabura.

Coś, czego Mickey się boi. Harmony stara się zachować pozory ze względu na mnie.

– Obawiasz się, że Mickey powie mi, jak go pokonałaś?

Harmony wzrusza ramionami, z lekceważeniem zbywając moje domysły.

– Mickey sprzedawał chłopców i dziewczęta. Nie można zniewolić niewolnika. Miał cholerne szczęście, że nie dostał kulki w łeb. Mogłabym zatrudnić Snycerza, żeby mu dorobił rogi, skrzydła i ogon. Wtedy Mickey wyglądałby jak potwór, którym jest naprawdę. Nie zrobiłam tego jednak. Prawda, Mickey?

– Tak.

– Tak?...

– Tak, *domina*.

Ostatnie słowo sprawia, że krzywię się z niesmakiem.

– Tancerz zawsze go szanował – zauważam. – I ja również go szanuję, wbrew całej jego... ekscentryczności.

– Kupował ludzi. Sprzedawał ich – wtrąca Evey.

– Nikt z nas nie jest bez grzechu – odpowiadam. – Zwłaszcza ty. Teraz.

– Mówiłam, że on jest jeszcze większym świętoszkiem. Zachowuje się, jakby od przemiany nie musiał się liczyć z własnymi uczynkami. Szuka usprawiedliwień dla takich drani jak nasz Mickey. – Harmony uśmiecha się drwiąco do Evey, jakby dzieliła się żartem, który tylko one rozumieją. – Takie zachowanie jest w porządku tam na górze. Ale wkrótce zrozumiesz, że tutaj nie ma już kompromisów. Kompromisy należą do przeszłości.



– Zatem Tancerz naprawdę nie żyje.

– Tancerz był dobrym człowiekiem. – Harmony milczy zbyt krótko, aby to uznać za oznakę szacunku.  
– Ale dobrzy ludzie zwykle umierają pierwsi. Pół roku temu Tancerz zatrudnił

oddział Szarych najemników, aby uderzyć na węzeł komunikacyjny i wykraść dane. Mówiłam, że trzeba ich zabić po wykonaniu roboty. Tancerz odparł... jak to powiedział?... „Nie jesteśmy źli”. Ale gdy kapitan Szarych odebrał zapłatę, polazł do miejscowego sztabu policji Elity i podał miejsce, gdzie ukrywał się Tancerz. Cholerny oddział zwiadowców w dwie minuty starł

Tancerza i dwustu Synów na pył. Nigdy więcej. Jeżeli choć jeden z naszych zginie, zabijemy setki możnych. Nie ufamy Szarym. Nie płacimy Fioletowym. Żyli naszym kosztem przez

stulecia. Ufamy tylko Czerwonym.

Evey nerwowo przestępuje z nogi na nogę.

– W Instytucie był jeszcze jeden Czerwony – oznajmiam po krótkim milczeniu. – Titus. Był twoim dziełem? – Zerkam na Mickeya.

– Nie patrz na mnie.

– Jak się dowiedziałeś, że Titus to Czerwony? – pyta szybko Harmony. – Powiedział ci?

– Wymknęło mu się to i owo... Poza tym drobne odruchy. Nikt inny nie zauważył.

– Odnależliście się zatem? – Harmony nie uśmiecha się, ale wzdycha z ulgi, że ciężar, który tak długo dźwigała, spadł jej z barków. – Był dobrym młodzieńcem. Na pewno

zostaliście przyjaciółmi?

– Nigdy nie odkrył, kim jestem. Wyrzeźbiłeś go, Mickey?

Mickey za pozwoleniem Harmony odpowiada:

– Nie, kochany. Byłeś moim pierwszym. I jedynym. – Mruga do mnie. – Ale konsultowałem jego rzeźbienie. Pewien mój znajomy wykonał na Titusie proces na podstawie tego, co udało mi się po raz pierwszy osiągnąć dopiero w twoim przypadku.

– Tancerz znalazł ciebie – dodaje Harmony. – Ja znalazłam Titusa. Miał na imię Arlus, kiedy wyciągnęłam go z kopalni w Tebach. Nie zależało mu na zatrzymaniu tego imienia.

Stosowne, że to właśnie Harmony znalazła Titusa. Ciągnie swój do swego.

– Co się z nim stało? – pyta. – Wiemy, że zginął.

Co się z nim stało? Pozwoliłem, aby wyzwał Złotego na ubitą ziemię.

Spoglądam twardo na tych troje. Dobrze, że nie mogą odczytać moich myśli. Nic nie

wiedzą. Ledwie mogę sobie wyobrazić, co muszą o mnie teraz myśleć. Mają tak ograniczone pojęcie o tym, co uczyniłem i kim się stałem. Sądziłem, że istnieje plan, odległa perspektywa, która uzasadni moją udrękę. Ale nic takiego nie było. Teraz to zrozumiałem. Nawet Tancerz po prostu czekał, co się wydarzy. I miał nadzieję.

Spodziewałem się, że zostanę powitany z otwartymi ramionami. Spodziewałem się czekającej w gotowości armii. Wielkiego planu. Aresa, który uniesie swoją niesławną przyłbicę i oślepi mnie swoim intelektem oraz uzasadni pokładaną w nim przeze mnie wiarę.

Cholera, pragnąłem tylko odnaleźć znowu jego zwolenników i nie czuć się tak samotny. Jednak nigdy nie byłem bardziej osamotniony niż w tym betonowym pomieszczeniu z tą trójką bladych osobników siedzących na wykrzywionych, plastikowych krzesłach.

– Zabił go Złoty zwany Cassius au Bellona – oznajmiam.

– Była to przynajmniej godna śmierć?

– Powinnaś już wiedzieć, że nie ma nic takiego jak godna śmierć.

– Cassius. Ten sam, z którym masz rodową waśń. To dlatego? – wrywa się Evey. – Czy dlatego Bellona chce cię zabić?

Przeczesuję włosy palcami.

– Nie. Zabiłem brata Cassiusa. To jeden z powodów nienawiści rodu Bellona.

– Krew za krew – szepcze Evey, jakby wiedziała, o czym, do cholery, mówi.

– Dzisiaj uderzyliśmy ich mocno, Darrow. Dwanaście eksplozji na Księżycu i na Marsie.

Tancerz i Titus zostali pomszczeni – zapewnia Harmony. – A uderzymy jeszcze mocniej w nadchodzących dniach. Ta komórka to tylko jedna z wielu.

Przesuwa ręką nad biurkiem i gdy włącza się holowyświetlacz, pojawia się krajobraz. Z głośników płyną wiadomości o rzezi.

– Ma to na mnie zrobić wrażenie? – pytam. – Jesteście tacy sami jak oni. Wiecie to, prawda? Nieważne, jaka jest strategia. Nieważne, że drażnicie uspiętego smoka. Evey

zaledwie godzinę temu zabiła ponad stu ludzi z PodKolorów.

– Nie byli Czerwonymi – stwierdza Harmony, po czym dodaje z nieszczerością, gdy się opamiętuje: – Ani Różowymi.

– Owszem, byli!

– Zatem ich ofiara zostanie zapamiętana – zapewnia z powagą.

– *Vox clamantis in deserto* – cytuję.

Mickey milczy, ale pozwala sobie na lekki uśmiech.

– Próbujesz mi zaimponować wymyślną mową Złotych? – warczy Harmony.

– Darrow ma wrażenie, że jego głos jest jak ten wołającego na pustyni. Jakby krzyczał na próżno – wyjaśnia Mickey. – To zwykła łacina.

– Więc wiesz, co jest co – stwierdza Harmony. – Stałeś się Złotym i nagle znasz wszystkie odpowiedzi.

– Czy nie dlatego właśnie stałem się Złotym? Żebyśmy dowiedzieli się, jak myślą?

– Nie. Miałeś znaleźć się w miejscu, skąd łatwo ich uderzyć w słaby punkt. – Harmony

zaciska swoją metalową pięść i zamierza się jak do prawdziwego ciosu, aby podkreślić wagę słów.

– Nie zachowuj się, jakbyś urodził się lepszym ode mnie. Pamiętaj, wiem, kim jesteś w środku.

Przerażonym chłopcem, który próbował się zabić, kiedy okazało się, że jest zbyt słaby,

aby ocalić swoją żonę przed stryczkiem.

Sztywnieję. Brak mi słów.

– Harmony, on tylko próbuje pomóc – wtrąca cicho Evey. – Wiem, że to dla ciebie trudne, Darrow. Spędziłeś lata wśród Złotych. Ale musimy ich zranić. Oni tylko to rozumieją. Ból.

Władają nami, ponieważ potrafią zadawać ból.

Po chwili podejmuje z namysłem:

– Kiedy po raz pierwszy służyłam Złotym, była to największa przyjemność w moim życiu.

Nie potrafię tego wyjaśnić. To było jak spotkanie z bogiem. Teraz wiem, że wcale nie czułam przyjemności. Była to tylko nieobecność bólu.

Krzywi się lekko.

– Tak właśnie szkoli się Różowe do życia w niewoli, Darrow. Wychowuje się nas w

Ogrodach, z implantami, które sprawiają ból. Nazywa się je Pocałunkiem Kupidyna.

Wywołują pieczenie wzdłuż kręgosłupa i migreny. Nieprzerwanie. Nie przestają, nawet gdy się zamknie oczy. Nawet gdy się płacze. Ból znika, gdy okazuje się posłuszeństwo. Wreszcie Złoci odłączają Pocałunek Kupidyna, gdy kończymy dwanaście lat. Ale... nie potrafisz sobie wyobrazić, jak to jest, na czym polega ten strach przed ponownym podłączeniem implantu, Darrow.

Evey spogląda na swoje paznokcie.

– Złoci muszą poczuć ból. Muszą się go *bać*. I muszą się nauczyć, że wyrządzanie nam krzywdy wywołuje konsekwencje. Właśnie o to chodzi Harmony.

A ja sądziłem, że to Złoci są zepsuci. Wszyscy jednak jesteśmy zranionymi duszami,

potykającymi się w ciemności i rozpaczliwie próbującymi się poskładać w nadziei, że

wyleczymy zadane nam rany. Tylko dzięki Eo nie spotkał mnie ten los. Bez niej byłbym jak Harmony i reszta. Zagubiony.

– Nie chodzi o zranienie Złotych, Evey – wzdycham. – Chodzi o pokonanie ich. Nauczyła mnie tego Eo, a potem również Tancerz. Kradniemy jabłka, zamiast wydrzeć korzenie i

zniszczyć drzewo. Jak niby Złotym ma zaszkodzić podkładanie bomb? Co się osiągnie

zabijaniem? Musimy osłabić Elitę jako całość, podkopać ich styl życia.

– Straciłeś z oczu cel swojej misji, Darrow – napomina mnie Harmony.

– I kto to mówi? – prychem. – Jak niby miałabyś zrozumieć, co widziałem?

– Właśnie. Co widziałeś? Usiadłeś do uczy z panami i zapomniałeś o niewolnikach.

Możesz sobie pozwolić na sprawdzanie teorii o życiu. A co z tym, co ja widziałam? Toniemy w gównie. Umieramy. A co ty robisz? Filozofujesz. Żyjesz w aksamitach. Sypiasz z

Różowymi. Musiałam *śłuchać*, jak umierał Tancerz. Musiałam słuchać cholernych krzyków przez komunikator, gdy zwiadowcy przyszli go zabić. I nie mogłam nic zrobić, aby go ocalić.

Jego i innych. Gdybyś to przeżył, wiedziałbyś, że ogień można zwalczać tylko ogniem.

Wiem, dokąd zmierzają te słowa. Wyszarpują mi wnętrzności. Rzucają mnie szlochającego w błoto, a nade mną staje Cassius. Właśnie tak się to kończy.

– Straciłaś wszystko, co kochałaś, Harmony. I przykro mi z tego powodu. Ale ja wciąż

kocham moich bliskich. I nie pozwolę, aby cierpieli przez twój gniew. Moja żona marzyła o lepszym świecie. Nie o bardziej krwawym. – Wstaję. – Chcę porozmawiać z Aresem.

W pomieszczeniu zapada przytłaczająca cisza.

– Dajcie nam chwilę. – Harmony spogląda na Evey i Mickeya. Mickey wstaje niechętnie.

Zatrzymuje się, jakby chciał coś mi powiedzieć, ale czuje na sobie wzrok Harmony i woli nie ryzykować.

– Powodzenia, mój drogi – rzuca tylko krótko i klepie mnie po ramieniu.

– Pozwól mi zostać. – Evey podchodzi do Harmony. – Mogę z nim pomóc.

Harmony kładzie jej dłoń na biodrze.

– Ares by się na to nie zgodził.

– Po tym, co dziś zrobiłam... Nie ufasz mi? Nie jestem jak reszta.

– Ufam ci tak samo, jak każdemu Czerwonemu. Ale tu chodzi o coś, czego nie mogę ci zdradzić. – Całuje Evey w usta. – Idź.

Evey waha się w progu, zerka na mnie przez ramię.

– Nie jesteśmy twoimi wrogami, Darrow. Powinieneś o tym wiedzieć.

Drzwi się zamykają i zostaję z Harmony sam na sam w gabinecie Mickeya.

– Czy ona wie? – pytam cicho.

– O czym?

– Że wysłałaś ją na misję samobójczą.

– Nie. Nie jest jak my. Ufa.

– A ty chciałaś ją poświęcić?

– Poświęciłabym każdego, byle zabić Niezrównanego Naznaczonego. Dopadamy jednak tylko Pixie i Brązowych. Chcę dorwać prawdziwego tyrana.

– Wykorzystujesz ją gorzej niż Mickey.

– Ma wybór. – Harmony wzrusza ramionami.

– Doprawdy?

– Dość. – Harmony siada i gestem każe mi zrobić to samo. – Tancerz nie żyje, ale Ares ma wobec ciebie plany.

– Nie. O nie! Mam dość słuchania o jego planach od innych. Poświęciłem Aresowi trzy lata swojego życia. Chcę ujrzeć jego twarz.

– Niemożliwe.

– Zatem ze mną i z wami koniec.

– Jaki koniec, co? Jesteś w pułapce. Nie możesz wrócić do domu w Lykos, nie? Masz tylko jedno wyjście. Nie dać się wykryć i trzymać się założeń.

Słowa uderzają boleśnie. Nie mogę wrócić. Nie da się wyrazić mojej samotności. Gdzie jest mój dom? Dokąd pójdę, jeżeli wszystko skończy się zgodnie z planem i Złoci obrócą się w proch?

– Nie spotkasz Aresa. Nawet ja nie widziałam nigdy jego twarzy, Helldiverze.

– Nie widziałas. Pracujesz dla niego prawie tak długo jak Tancerz. Jak to możliwe, że właśnie ty mu ufasz?

– Ponieważ dał mi do ręki pierwszą broń. Nosił hełm, więc nie widziałam jego twarzy, kiedy wręczył mi miotacz czwartej generacji z pełnym magazynkiem jonowym.

– Ares to mężczyzna?

– Kogo to obchodzi? – Harmony podnosi wyświetlacz. Elektrony wirują w powietrzu, tworząc serię map. Rozpoznaję topografię terenu. Mars, Wenus i Księżyc, jak mi się zdaje.

Tuziny czerwonych kropek migoczą na tle planów miast, na kosmodromach i w innych

ważnych miejscach. Ładunki wybuchowe. Harmony spogląda na plany ze znużeniem. – To plan Aresa. Czteryście eksplozji. Sześćset napadów na składy broni, siedziby rządowe, węzły energetyczne i centra łączności. To właśnie dzieło Synów Aresa. Lata planowania. Lata gromadzenia w sekrecie sprzętu.

Nie miałem pojęcia, że potrafimy wykonać taką akcję. Spoglądam na mapy z podziwem.

– Podłożenie dzisiaj bomby miało na celu sprowokowanie odwetu. Żeby podgrzać nastroje Złotych i podkopać ich samozadowolenie. Chcemy, żeby się zmobilizowali. Jeżeli się

zmobilizują, będą się gromadzić. Łatwiej zniszczyć kłębowisko zmij jaskiniowych niż pojedyncze osobniki.

– Kiedy się to zacznie?

– Za trzy noce.

– Trzy noce – powtarzam. – Na zakończenie Zgromadzenia. Ares chyba nie chce, żebym...

– Owszem. Za trzy noce Zgromadzenie skończy się śliczną galą. Będzie wino, Różowi,

jedwab i wszystkie inne cholerstwa, które wy, Złociutcy, tak uwielbiacie. Pojawią się Gubernatorzy, Senatorzy, Pretorzy, Imperatorzy i Sędziowie. Potwory z całego Układu

Słonecznego przywołane przez Władczynię w jedno miejsce. Kolejna taka okazja może się nie powtórzyć wcześniej niż za dziesięć lat. Nie ma sposobu, żeby Synowie dostali się do środka, ale ty możesz wejść tam, gdzie my nie zdołamy. I uderzyć, gdzie my nie możemy.

Mam wrażenie, że słowa przetaczają się po mnie jak ciężki, gąsienicowy pojazd.

– Właśnie tam, gdzie zgromadzą się wszyscy Złoci. Kiedy Władczyni zacznie wygłaszać

mowę, zabijesz Złociutkich drani ukrytym ładunkiem promieniotwórczym. Mickey i jego

jajogłowi zbudowali odpowiednie urządzenie. Gdy tylko nadajnik, który też ci zamontujemy, prześle sygnał o zdetonowaniu bomby, rozpętamy piekło w całym układzie planetarnym.

Wypalimy Złotych raz na zawsze.

I tylko temu miały służyć moje działania?

– Musi być inny sposób.

– Zawsze istnieje plan główny i awaryjny, Helldiverze. Ares i Tancerz mówili, że jesteś naszą nadzieją, naszą szansą na inne rozwiązanie. Jak mali chłopcy wierzyli radośnie, że tobie uda się zniszczyć Złotych od wewnątrz. Ale, jak przewidziałam, zawiodłeś. Twierdzisz, że Evey ma krew na rękach. Cóż, twoje też są splamione krwią.

– Nie masz pojęcia, ile krwi przelałem, Harmony. Nie jestem jakimś cholernym świętym.

Ale atak Evey to zbrodnia.

– Będzie zbrodnią tylko wtedy, gdy przegramy.

Pochylałam ramiona, załamany.

– Ta gra toczy się o większą stawkę, niż ci się wydaje. Nie możemy stawić czoła Złotym.

Nieważne, jak wiele podłożymy bomb, zetrą nas w pył, ot tak. – Strzelam palcami.

– Więc tego nie zrobisz.

– Nie, nie zrobię, Harmony.

– Wojna zacznie się więc bez twojej pomocy. – Harmony się prostuje. – Mamy dwóch

Synów gotowych podjąć próbę wejścia na galę. To nie Złoci, więc łatwiej ich będzie

przyłapać i poszatkować na plasterki w izbach tortur. Co znaczy, że może się nie udać, a przywódcy Złotych przeżyją, zaś nasza niewielka szansa na zwycięstwo w tym cholernym

chaosie maleje. I wszystko tylko dlatego, że nie ufasz Aresowi.

– Wal się. Gdyby Ares tak bardzo chciał mojej pomocy, powinien mi powiedzieć o tym

osobiście!

– Jak? Jest na Marsie, gdzie przygotowuje rewolucję. Nie mamy komunikacji. Wszystkie

łącza są monitorowane. Jak Ares miałby się z tobą skontaktować i nie zdradzić, kim naprawdę jesteś? – Harmony pochyla się nad biurkiem i odsłania zęby. – Powiedz mi, Darrow. Wiesz chociaż, co ukradli ci Złoci?

W jej głosie brzmi coś takiego...

– Co masz na myśli?

– Sam się przekonaj. – Wbija serię komend do holokostki i na wyświetlaczu pojawia się obraz kopalni Lykos. Krew mi tężeje.

– Nagranie śmierci Eo, to, które spiratowaliśmy i nadawaliśmy...

Serce podchodzi mi do gardła.

– Nie było kompletne. – Harmony naciska odtwarzanie i pomieszczenie wokół nas zmienia się w kopalnię. Stoimy w środku trójwymiarowej projekcji holowizyjnej. Surowe nagranie, nie to z oficjalnych wiadomości ani też to nielegalne, które widziałem setki razy. Pokazuje egzekucję bez podkładu muzycznego.

Słyszę swoje krzyki bólu, gdy Szarzy biją chłopaka, którym kiedyś byłem. Szlochanie w tłumie. Napięta cisza niepoprawionego nagrania. Matka ma spuszczoną głowę, wujek Narol spluwa w pył. Kieran, mój brat, zasłania dziecinne oczy. Szuranie stóp. Dio, siostra Eo, potyka się na metalowej szubienicy. Buty zdzierają rdzę. Szlochanie. A potem Dio pochyla się do mojej żony. Eo wydaje się drobna, taka blada i chuda, zaledwie smuzka dymu po płomiennej dziewczynie, którą pamiętam. Jej



usta się poruszają. I znowu. Nie słyszę, tak jak nie słyszałem tamtego dnia. A Dio zaczyna głośniejsz płakać i przytula mocno Eo. Co zostało powiedziane?

– Użyj pokręteł. Właśnie po to je zamontowano, nie?

Zastanawiałem się nad tym tysiące razy, ale nigdy nie miałem dostępu do tego nagrania bez retuszu. Nie wiedziałem, jak je odszukać bez wzbudzania podejrzeń. Przerazała mnie także myśl – tak wtedy, jak i teraz – że nie okażę się wystarczająco silny, aby usłyszeć, co powiedziała moja żona. Czego dowiedziała się Dio i dlaczego mnie nie było to dane?

W spiratowanych nagraniach z wiadomości nawet nie pokazano Dio. Ale ten nieobrobiony zapis mogę przewinąć w tył. I tak właśnie robię. Mogę zwiększyć głośność. To również robię.

I oglądam od nowa. Matka spuszcza głowę. Narol splanuwa. Kieran zasłania oczy. Szuranie stóp. Dio wchodzi na szubienicę. Wszystkie dźwięki są wyraźne. Wyciszam suwakami szum tła i słyszę, co moja żona powiedziała Dio.

– *W naszej sypialni jest kołyska, którą zrobiłam. Ukryj ją, zanim Darrow wróci.*

– *Kołyska...* – powtarza Dio.

– *On nie może się nigdy dowiedzieć. To by go złamało.*

– *Nie mów tego, Eo. Nie mów mi.*

– *Jestem w ciąży.*

## *Rozdział dziesiąty*

### *Załamanie*

Trafiam w otchłań. Spoglądam na swoje dłonie. Ręce, które nie mogły ocalić mojej żony ani mojego dziecka. Eo miała rację. Nie byłem dość silny, aby znieść prawdę o tym, co poświęciła. Eo mogła

żyć. Eo mogła urodzić dziecko, którego tak bardzo pragnęliśmy. Uznała jednak, że przyszłość okupiona milczeniem jest nic niewarta. Że ja nie jestem wart...

Głęboko w piersi czuję zimny, pusty ból, zupełnie jakby w duszy otworzyła mi się mroczna przepaść i nawet ciało zaciskało się w bezdennym smutku. Ważę miliony funtów. Ciężar

przygniata mi ramiona. Nie mogę oddychać. Palce się kurczą. Zabawne, że te ręce

towarzyszyły mi od początku. Dotykały ust Eo. Pomagały unieść jej nogi. Zakopały ją w ziemi.

Ale pogrzebały nie tylko Eo, prawda?

Pogrzebały też drugie życie. Nienarodzone. Nasze dziecko, martwe, zanim przyszło na

świat. A ja nic nie wiedziałem. Opłakiwałem utraconą żonę, ale nie zdawałem sobie sprawy, jak wielka spotkała mnie niesprawiedliwość. Zawiodłem ich oboje – Eo i jej dziecko. Nasze dziecko.

Na nagraniu moja żona na szubienicy powtarza Dio raz po raz:

– *Jestem w ciąży. Jestem w ciąży.*

Odtwarzam to zdanie wielokrotnie i coraz głębiej zapadam się w tunel żałoby.

Złoci nie tylko ją zabili. Zabili wszystko, czego pragnąłem – zostać mężem i ojcem.

Gdybym tylko ją powstrzymał. Gdybym po stracie Lauru nie zachowywał się jak kapryśne

dziecko, Eo nie zabrałaby mnie do ogrodu. Gdybym tylko miał dość siły, aby udawać, że brak Lauru nie ma na mnie wpływu...

Mógłbym mieć rodzinę. Żonę. Synów. Córkę. Wnuki. Zostali zabici, zanim mieli szansę się narodzić. Eo nigdy nie przytuli naszej córeczki. Nigdy nie pocałuje naszego syna przed snem i nie uśmiechnie się do mnie, gdy jego małe rączki zacisną się na moim palcu. Tylko ja zostałem z tej rodziny, której nigdy nie będzie. Mroczny cień mężczyzny, którym miałem się stać.

Wzbiera we mnie gniew. Mieliśmy szansę, ale została zaprzepaszczona. Wszystko, czego

pragnąłem, znikło. Przeze mnie i przez *nich*. Złotych. Ich prawa. Ich niesprawiedliwość. Ich okrucieństwo. Przez nich kobieta wolała wybrać śmierć swoją i dziecka niż życie w niewoli. I wszystko to w imię władzy. Wszystko to, aby Złoci mogli utrzymać swój mały idealny świat.

– Nie byłeś wtedy dość silny – mówi Harmony. – A teraz jesteś, Helldiverze?

Podnoszę na nią oczy, wzrok przesłaniają mi łzy. Na widok mojego smutku Harmony

łagodnieje.

– Miałam kiedyś dzieci. Promieniowanie wyżerało im wnętrzności, a mnie nie dano dla

nich nawet leków przeciwbólowych. I nie próbowano powstrzymać wycieku. Powiedziano mi, że nie ma dość zasobów. Mój mąż mógł tylko siedzieć i patrzeć, jak jego dzieci umierają. W

końcu i jego dopadło promieniowanie. Był dobrym człowiekiem. Ale dobrzy ludzie umierają.

Aby ich wyzwolić i chronić, musimy stać się dzicy. Dlatego przyjmuję zło. Przyjmuję mrok.

Mogę stać się cholernym diabłem, jeżeli tylko w ten sposób pomogę i dam tym ludziom choć promyk słońca.

Wstaję i obejmuję ją mocno. Przypomniała mi koszmar, z jakim codziennie mierzą się nasi pobratymcy. Czy naprawdę już zapomniałem? Jestem dzieckiem piekieł, ale spędziłem zbyt wiele czasu w rajach Złoty.

– Zrobię wszystko, czego żąda Ares.

– Pliniusz przysłał tę sukę – syczy Szakal, gdy Żółty chirurg powoli wycina mu spaloną skórę z ramienia i aplikuje bakterie wzrostu na ranie. – To nie byli Synowie Aresa. Oni nie zabiliby tak wielu PodKolorów. To wbrew ich *modus operandi*. Zatem pozostaje Pliniusz.

Albo Pretorianie Władczynie wykorzystali tę dziwkę jako przykrywkę.

Światła przelatujących statków rzucają poświatę przez szyby. Szakal przeklina i krzyczy na swoich służących, żeby przyciemnili okna. Szarzy brytani przyprowadzili mnie tutaj, do prywatnego drapacza chmur, zamiast do Cytadeli, jak sobie życzyłem. W budynku roi się od najemników. Szakal woli Szarych niż Obsydianów, z wyjątkiem Skalanych. Jestem jedynym Złotym oprócz niego, co dobitnie świadczy, jak wielkim cieszę się zaufaniem. Jego imię z pewnością przyciąga chętnych do służby, ale Szakalowi odpowiada izolacja. Podobnie jak mnie.

– Może to Victra? – podsuwam. – Nie została z nami...

– Już dowiodła swojej lojalności. Zresztą nie użyłaby bomby. No i jest w tobie zakochana.

To nie ona.

– Zakochana we mnie? – powtarzam zaskoczony.

– Jesteś ślepy jak Niebieski – prychnął Szakal, ale nic więcej nie wyjaśnia. – Nasz sojusz musi pozostać w sekrecie, dopóki nie opuścimy tego przeklętego księżycy, co oznacza, że nigdy cię nie było w tamtym lokalu. Pliniusz nie spartaczyłby tym razem, zwłaszcza gdyby dowiedział się o naszych planach. Sądzę, że próbuje się pozbyć tylko mnie. Dlatego wrócisz do Cytadeli. Udawaj, że nic się nie stało. Ja będę nadal realizował swoje zadania z szefami syndykatu, a pod koniec Zgromadzenia wykupię twój kontrakt.

I właśnie wtedy świat się zmieni.

Odwracam się, żeby wyjść, ale głos Szakala zatrzymuje mnie:

– Ocaliłeś mi życie. Oprócz ciebie tylko jedna osoba zrobiła to samo. Dziękuję, Darrow.

– Zadbaj, żeby twoja nowa skóra szybko wyrosła. Nie chcesz przecież opuścić gali na zakończenie.

Trzy dni płyną mi jak transie. Myślę wciąż o Eo i tym, co straciłem. Nie potrafię się uwolnić od żalu. Dręczy mnie, nawet gdy wyciskam z siebie siódme poty na sali

gimnastycznej. Nie wdaję się w pogawędki. Odsuwam od przyjaciół. Nic z tego nie ma

znaczenia. Nie dla mnie. Życie przesłania mi ból. Teodora to zauważa. Próbuje mnie wyrwać z ponurego nastroju, proponuje nawet, żebym rozerwał się z Różami w Ogrodach Cytadeli i zapomniał choć na chwilę o zgryzocie.

– Lepiej ty, *domine*, niż jakiś brutal z Gazowych Gigantów – zapewnia.

Więści o podkładanych bombach rozprzestrzeniają się po Cytadeli, wypełniają dzienniki.

Elita dobrze to rozgrywa – nagłaśnia każdy akt przemocy. Wysyła instrukcje, jak poradzić sobie z możliwym kryzysem. Żółci psychologowie przeprowadzają na ekranach analizy

osobowości Aresa i podkreślają, że stłumiona w dzieciństwie trauma skłania go do agresji, przez co chce odzyskać władzę nad swoim otoczeniem. Aktorzy i przedsiębiorcy rozrywkowi spośród Fioletowych zbijają fortuny na rodzinach, które straciły bliskich. Żywe Srebro oferuje nawet trzy procent ze swojego osobistego majątku na pomoc dotkniętym tragedią. Obsydiani i Szarzy komandosi atakują bazy na asteroidach, gdzie „szkolą się” Synowie Aresa. Szarzy agenci z jednostek antyterrorystycznych zapewniają na konferencjach medialnych, że

wytypowali już odpowiedzialnych za zamachy, najpewniej paru Czerwonych, którzy uciekli z kopalń lub slumsów na Księżycu.

To farsa, ale Bogowie rozgrywają ją znakomicie. Nie pokazują się przed kamerami, żeby tylko stworzyć wrażenie, że wszystkie inne Kolory walczą przeciw Czerwonym terrorystom.

To nie jest wojna Bogów. To walka całego społeczeństwa. Co więcej, społeczeństwo

wygrywa, ponieważ nasze poświęcenie i posłuszeństwo pozwala, aby triumfowała jedyna i słuszna racja. Cholerne łajno.

Jednak trzeba kogoś obciążyć winą. Dlatego ArcyGubernatorowi stawia się pytania i

ocenia jego metody radzenia sobie z sytuacją. Na pewno pojawi się kwestia, w jaki sposób Synowie Aresa dostali się z Marsa na Księżyc. Rozdrażni to Żłote gniazdo szerszeni, zgodnie z przewidywaniami, lecz mimo to gala będzie trwać. Obserwuję, jak Żłoci knują swoje intrygi i

prowadzą rozgrywki dyplomatyczne na balach, konferencjach i zebraniach, nie brudząc sobie rąk starciem z terrorystami. Złoci są bezpieczni, chronieni przed grozą.

Powinienem się tym przejmować, ale Aureaci to dla mnie tylko cienie, jakby już stali się odległym wspomnieniem.

Z żalem dotykam bomby na piersi. Zrobił ją Mickey. Kopia medalionu w kształcie pegaza, który nosiłem w Instytucie. Tamten skrywał kosmyk włosów Eo i schowałem go wraz z innymi moimi pamiątkami. Wystarczy, że przekręcę głowę rumaka, a zmieni się w bombę. Zdetonuję ją pierścieniem, który dostałem od Mickeya.

Trzymam się z daleka od przyjaciół, zwłaszcza od Victry. Pytała Roque'a, co mi się stało.

Wiem, co odpowiedział – że jestem zmienny jak wiatr i mam różne nastroje. Albo coś w tym stylu. Roque stara się do mnie zbliżyć, odwiedza moje kwatery, gdy idę spać, próbuje mnie złapać w sali gimnastycznej. Nie potrafiłbym jednak śmiać się albo słuchać, jak czyta mi cicho wiersze, rozprawia o filozofii czy też nawet rzuca dowcipami. Nie mogę sobie pozwolić na uczucia do tego Złotego, ponieważ wiem, że wkrótce będzie martwy. Próbuję go zabić w

swoim sercu, zanim naprawdę pozbawię go życia.

Czy mogę już dodać go do grona tych, których posłałem do grobu?

Znajduję wreszcie odpowiedź – wieczorem, tuż przed galą, gdy Teodora przynosi mi

odprasowany strój. Kobieta nie mówi nic, co mogłoby przypomnieć mi o Roque'u, nie dzieli się trafnym przysłowiem lub przypowieścią. Za to robi coś, o co nigdy bym jej nie

podejrzewał. Popelnia błąd. Kiedy rozkłada mój mundur na oparciu krzesła, potrąca lampkę z winem na stoliku obok. Krople trunku plamią rękaw śnieżnobiałego uniformu. A w oczach Teodory błyska przerażenie. Ogarnia mnie chłód. Teodora jąka się, przepraszając

nieprzerwanie, jakby sądziła, że ją uderzę, jeśli nie okaże należytej skruchy. Mija trochę czasu, zanim udaje się jej opanować panikę. Kiedy strach wreszcie mija, Teodora siada na podłodze i zaczyna w milczeniu osuszać plamy na uniformie.

Nie wiem, co robić. Stoję nieruchomo, wreszcie niezdarnie kładę jej rękę na ramieniu i zapewniam, że wszystko jest w porządku. Wtedy Teodora wybucha płaczem, a jej drobnym

ciałem wstrząsają spazmy. Wrywa się z mojego uścisku, odzyskuje panowanie nad sobą, a potem oznajmia, że będę musiał włożyć czerń zamiast bieli. Teodora nie ma pojęcia, co się stanie, ale wyczuwa to we mnie i w powietrzu.

Podczas gdy inni Lansjerzy się zabawiają, zażywają kąpeli i poddają się zabiegom

kosmetycznym albo radzą się stylistów, jak przygotować się do wielkiej gali, ja sznuruję moje mocne wojskowe buty drżącymi rękami. Nigdy nie wychodziło mi dobrze ratowanie

przyjaciół. Zwykle wciągałem ich tylko w kłopoty. Sevro, jak sądzę, żyje tylko dlatego, że dzieli nas wielka odległość. Fitchner od początku obawiał się, że zabiję mu syna. Powiedział, że nic mojego losu jest tak mocna, że dusi wszystkich, którzy się w nią wplaczą. I kiedy widzę

Teodore w takim stanie... uświadamiam sobie, jak bardzo jesteśmy skomplikowani i jak kruche jest nasze życie. Nie wiem, dlaczego płakała. Jakiś uraz? Złe przeczucie? I ta niewiedza przypomina mi o ludziach wokół mnie. Sam jestem małomówny i zimny, ale Roque emanuje ciepłem... I na pewno wiedziałby, co powiedzieć w takiej sytuacji.

Pukam do jego drzwi na kilka minut przed wyjściem świty Augustusa na galę. Nikt nie

odpowiada, więc wchodzę. Zastaję przyjaciela na łóżku, ze starożytną księgą, którą ostrożnie podtrzymuje za grzbiet. Na jego gładkiej twarzy pojawia się uśmiech.

– Myślałem, że to Tactus, który postanowił pozbyć się trochę napięcia przed galą. Zawsze mu się wydaje, że nic nie robię, skoro czytam. Dla introwertyka nie ma większej plagi niż nachodzący go ekstrawertyk. Zwłaszcza taka bestia jak Tactus. Niedługo zamęczy się na śmierć.

Zmuszam się do śmiechu.

– Przynajmniej jest szczery w tym, co robi.

– Spotkałeś już jego braci? – pyta Roque. Kręcę tylko głową. – Przy nich Tactus wydaje się łagodny jak baranek.

– Wielkie nieba. – Unoszę brew i opieram się o framugę. – Tak źle?

– Bracia Tactusa są straszni. Strasznie bogaci. Strasznie uzdolnieni. A ich główną cnotę stanowi skłonność do popełniania grzechów. Osiągnęli w tym mistrzostwo. – Roque uśmiecha się porozumiewawczo. – Jeżeli wierzyć plotkom, a ja uwielbiam plotki, bo przypominają mi o Byronie i Wildzie, bracia Tactusa otworzyli burdel w Agei, gdy mieli po czternaście lat. Dom z klasą, dopóki nie zaczęli organizować... indywidualnych zleceń.

– I co się stało?

– Zhańbione córki i synowie. Obelgi. Pojedyunki. Zabici następcy. Zadłużenie. Trucizna. –

Roque wzrusza ramionami. – To właśnie szcurza rodzinka. Czego się spodziewać po takich łajdakach? Właśnie dlatego wszyscy byli bardzo zaskoczeni, że Tactus zbratał się z takim Żelaznym Złotym jak ty.

Przechyliła głowę i przygląda mi się uważnie.

– Wiesz, że bracia z niego drwili? Wyśmiewali się, że go przyćmiłeś. Dlatego zawsze był

taki sarkastyczny. Chciałby stać się taki jak ty, ale nie potrafi. Dlatego stosuje swój typowy mechanizm obronny. – Marszczy brwi. – Czasami mam wrażenie, że rozumiesz nas lepiej niż my

sami. A czasami wydaje się, że nic cię to nie obchodzi.

Spogląda na mnie wyczekująco, a kiedy nie odpowiadam, pyta:

– Jak jest naprawdę?

– Nijak.

– Nie należysz do tych, których zadowala nijakość. – Roque opiera książkę na piersi i klepie pośladki, zapraszając mnie do komnaty. – Usiądź, proszę.

– Przyszedłem, bo chcę przeprosić – mówię z namysłem, po czym przysiadam na skraju

łóżka. – Przez ostatnie miesiące trzymałem się na dystans, a zwłaszcza od paru dni. Nie wydaje mi się to wobec ciebie uczciwe. Jesteś moim najbardziej lojalnym przyjacielem. No, nie licząc Sevra, co nie powstrzymuje go jednak przed wysyłaniem mi dziwnych obrazków przez sieć.

– Coraz więcej jednorożców?

Parskam śmiechem.

– Wydaje mi się, że ma problem.

Roque klepie mnie po rękę.

– Dziękuję. Ale jesteś jak ogar, który przeprosza, że macha ogonem. Zawsze trzymasz się na dystans, Darrow. Nie musisz przeproszać za to, jaki jesteś. Nie mnie.

– Powiedzmy, że trzymałem się na dystans bardziej niż zwykle.

– Powiedzmy – zgadza się Roque. – Wszyscy mamy swoje przyływy i odpływy. Ale to mija.

Wzrusza ramionami.

– Nie panujemy nad tym. Wywołują to ludzie, którzy wokół nas orbitują, a przynajmniej mają na to większy wpływ, niż chcielibyśmy przyznać. – Znowu mierzy mnie uważnym

spojrzeniem, a potem marszczy brwi. – To przez Mustang? Wiem, że ciężko ci było się z nią rozstać, choć mówiłeś wtedy coś innego. Powinieneś ją odszukać, dopóki tu jeszcze jesteśmy.

Przyznaj się, tęsknisz za nią.

– Wcale.

– Kłamca.

– Mówiłem ci sto razy, nie będziemy o tym rozmawiać.

– Dobrze, dobrze. Zatem martwisz się, prawda? Licytacją. – Znowu przechyla głowę i uśmiecha się lekko. – Nie powinieneś. Już to załatwiłem. Postanowiłem cię wykupić.

– Roque, nie masz przecież pieniędzy.

– Wiesz, ile jest gotów zapłacić jeden Pixie, aby Naznaczony z moim rodowodem i koneksjami stał się jego dłużnikiem? Miliony. Mógłbym nawet pójść do Żywego Srebra,

gdybym musiał. Pożycza Złotym cały czas. Rzecz w tym, że będę miał pieniądze, nawet jeżeli rodzice mi nie pomogą. Przestań się zamartwiać, bracie. – Trąca mnie kolanem. – Dom Marsa jeszcze coś znaczy, co?

– Dziękuję – udaje mi się wydusić. Nie do końca pojmuję, co naprawdę zrobił Roque. I po co? Nadstawia tylko karku. W ten sposób naraża nie tylko siebie, lecz także sprzeciwia się rodzicom. – Nikt więcej nie wspomniał mi nawet o licytacji.

– Boją się, że twój pech okaże się zaraźliwy. Wiesz, jak jest. – Milknie wyczekująco, ponieważ zna mnie zbyt dobrze. – Coś jeszcze cię dręczy. Powiesz mi?

Potrząsam głową.

– Czy... – Nie potrafię znaleźć odpowiednich słów. – Czy czuleś się kiedyś zagubiony?

Pytanie zawisa między nami, intymne, niezręczne tylko dla mnie. Roque nie pryca, jak zrobiłby to Tactus albo Fitchner, nie drapie się w głowę jak Sevro ani nie chichocze jak Cassius, nie mruczy również jak Victra. Nie mam pewności, jak zachowałyby się Mustang.

Roque powoli wsuwa zakładkę do książki i odkłada tom na szafkę nocną przy łożu z

baldachimem. Nie śpieszy się, pozwala, aby odpowiedź rozwijała się między nami w ciszy.

Zastanawia się głęboko, zupełnie jak Tancerz, gdy jeszcze żył. Emanuje z niego spokój, ogromny i majestatyczny, ten sam, który wyczuwałem u swojego ojca.

– Quinn opowiedziała mi kiedyś bajkę. – Roque czeka na moje jęczenie i marudzenie, gdy tylko pada słowo „bajka”, a kiedy milczę, podejmuje z powagą: – Dawno, dawno temu, na Starej Ziemi, żyły dwa gołębie, które bardzo się kochały. W tamtych czasach ptaki tresowano do przenoszenia wiadomości na duże odległości. Te dwa gołębie wykluły się w tej samej klatce i zostały wyszkolone przez tego samego człowieka. Sprzedano je w tym samym dniu, ale różnym nabywcom. Było to w przededniu wielkiej wojny. Gołębie cierpiały z powodu rozłąki, każdy czuł się niepełny bez ukochanego. Ich właściciele zabrali je daleko i w różne strony.

Gołębie bały się, że już nigdy się nie odnajdą, ponieważ zaczęły dostrzegać, że świat jest ogromny i



pełen niebezpieczeństw. Przez wiele miesięcy ptaki przносиły wiadomości dla

swoich panów, przelatywały nad liniami wroga, nad głowami ludzi, którzy zabijali się dla skrawka ziemi. Kiedy wojna dobiegła końca, oba gołębie zostały wypuszczone na wolność.

Żaden z ptaków nie wiedział jednak, dokąd się udać ani co robić, dlatego oba poleciały do domu. I tam właśnie się odnalazły, jako że przeznaczone im było wrócić do domu i zamiast przeszłości odnaleźć swoją przyszłość.

Roque splata palce jak nauczyciel, który zaraz powie morał.

– Czy zatem czułem się kiedyś zagubiony? Nieustannie. Kiedy Lea zmarła w Instytucie... –

wykrzywia lekko usta ze smutkiem – czułem się jak Dante, zabłąkany w ciemnym lesie i

zupełnie ślepy, dopóki nie spotkał Wergiliusza. Ale Quinn mi pomogła. Jej wołanie wydobyło mnie z nędzy. Stała się moim domem. Jak to powiedziała: „Dom nie jest tam, skąd pochodzisz, to miejsce, gdzie znajdziesz światło, gdy wokół panuje mrok”.

Ujmuje mnie za rękę.

– Znajdź własny dom, Darrow. Może wcale nie znajduje się w przeszłości. Znajdź go, a

nigdy nie będziesz zagubiony.

Zawsze uważałem, że moim domem jest Lykos. I Eo. I może właśnie zmierzam jej na

spotkanie. Żeby ją zobaczyć. Umrzeć i znaleźć dom w Dolinie, obok mojej żony. Jeżeli jednak to prawda, dlaczego nie czuję się spełniony? Dlaczego im bardziej zbliżam się do Eo, tym większa narasta we mnie pustka?

– Czas iść. – Wstaję z posłania.

– To pewne jak moja przyjaźń. – Roque również zaczyna się podnosić. – Wydzwigniesz się z tego. Nie wiemy życia na stałej pozycji. Rozwijamy się nieustannie. Jesteśmy sumą naszych uczynków, naszych pragnień i ludzi, których trzymamy blisko. A ty jesteś moim najdroższym przyjacielem, Darrow. Pamiętaj o tym. Nieważne, co się okaże, będę cię chronił

tak samo, jak ty chroniłbyś mnie, gdyby zaszła taka potrzeba.

Zaskakuję go uściskiem dłoni.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Roque. O wiele za dobrym, jak na swój Kolor.

– Dziękuję. – Mruży oczy, gdy puszczam jego dłoń, a potem wygładza zagniecenia na

swoim stroju. – Ale co właściwie miałeś na myśli?

– Sądzę, że moglibyśmy zostać braćmi – wyznaję. – W innym życiu.

– Po co nam inne życie? – dziwi się, ale wtedy dostrzega automatyczną strzykawkę w

mojej lewej dłoni. Roque jest zbyt wolny, aby mnie powstrzymać, ale jego ufne oczy rozszerza strach jak u wiernego psa, usypianego na kolanach pana. Nie rozumie, ale wie, że nie dzieje się to bez powodu, strach jednak nie znika, podobnie jak zdrada, która rozdziera mi serce.

Strzykawka przebija szyję i Roque osuwa się na posłanie. Zamyka oczy. Kiedy się obudzi, wszyscy, z którymi i dla których pracował przez ostatnie dwa lata, będą martwi. Zapamięta, co mu zrobiłem po tym, jak wyznał, że jestem jego najbliższym przyjacielem. Domyśli się, że wiedziałem, co się wydarzy na gali. I nawet jeżeli nie zginę tej nocy, nawet jeżeli nikt nie zauważy, że to ja zdetonowałem bombę, ocalenie życia Roque'owi oznacza, że zostanę

zdemaskowany. Nie ma już powrotu.

## *Rozdział jedenasty*

### *Czerwony*

Dziś wieczorem zabiję dwa tysiące najmoźniejszych spośród ludzi. A jednak kroczę wraz nimi, nietknięty dekadencją i obojętny jak nigdy wcześniej. Arogancja Pliniusza nie burzy we mnie krwi. Nieskromna suknia Victry nie rozprasza mojej uwagi, nawet wtedy, gdy

dziewczyna bierze mnie pod rękę, choć Tactus oferuje jej ramię. Victra szepcze mi do ucha, że w swojej bezgranicznej głupocie zapomniała założyć bielizny. Wybucham śmiechem, jakby to był żart. Staram się ukryć chłód, który mną zawładnął.

Wewnątrz pozostaję niewzruszony.

– Zdaje się, że Darrow zasługuje na jakąś rekompensatę, zanim odejdzie – wzdycha Tactus.

– Widziałeś Roque'a, dobry człowieku?

– Mówił, że nie czuje się dobrze.

– Typowe dla niego. Pewnie garbi się nad książką. Powinienem go zabrać.

– Gdyby chciał przyjść, pojawiłby się – zauważam.

- Ale ja chcę, żeby się pojawił – marudzi Tactus. Roztrąca innych Lansjerów, którzy przepychają się, aby zająć pozycje bliżej naszego pana.
- Skoro tak ci jest potrzebny, przyprowadź go – rzucam z wyrachowaniem. Tactus krzywi się.
- Nie potrzebuję nikogo u mojego boku. Ale gdybym nie wiedział, myślałbym, że wciąż masz do mnie żal o ten incydent z kapsułą ratunkową.
- Chodzi ci o to, że odleciałeś bez Darrowa? – pyta Victra. – Dlaczego miałby się tym przejmować? Nawet teraz zdrada wciąż mnie boli.
- Myślałem, że nie żyje! To była prosta kalkulacja. – Tactus uderza mnie przyjacielsko pięścią w ramię, po czym kłania się nieznacznie Victrze. – Sam rozumiesz. Musiałem zadbać o tę damę.
- Wszak jest delikatna jak kwiat – odgryzam się i ciągnę Victrę dalej.
- *Żal mi boga mórz jedyne* – mruczy Tactus melodyjnie. – *Przyjaciele zostawili go jak mnie, samego.*

Victra poprawia złoty naramiennik złożony z kilku ozdobnych bransolet.

- Ten nieszczęsny chłopak jest tak próżny, że najchętniej wywołałby wokół siebie burzę. –

Zauważa mój brak zainteresowania. – Licytacja zacznie się dopiero po gali.

Skinieniem głowy wskazuje na lądujący właśnie pojazd.

- Zastanawiałam się, kiedy się pojawi.

Szakał wysiada z godnością. Na jego skórze ledwie widać zaróżowione łaty. Jego Żółty

dobrze się spisał. Szakał kłania się nieznacznie ojcu, ignorując szepty wśród świty

ArcyGubernatora.

- Ojczce. Uznałem, że wypada, aby ród Augustus reprezentowany był na gali nie tylko przez ciebie, ale i przez choć jednego z twoich potomków. Musimy przecież pokazać, że jesteśmy zjednoczeni.

- Adriusie. – Augustus przygląda się synowi uważnie, jakby szukał czegoś, co mógłby

skrytykować. – Nie wiedziałem, że polubiłeś bankiety. Obawiam się, że ucztą nie przypadnie ci do gustu.

Szakał teatralnie wybucha śmiechem.

– Zapewne dlatego nie dostałem zaproszenia! A może to przez zamieszanie wywołane tymi atakami terrorystów? Nieważne, jestem tutaj i z przyjemnością dotrzymam ci towarzystwa. –

Szakał staje obok ArcyGubernatora i uśmiecha się promiennie do zgromadzonych. Doskonale wie, że ojciec nigdy nie zniżyłby się do publicznego prania rodzinnych brudów. Na mój widok Szakał krzywi się wyjątkowo złośliwie, z pewnością wszyscy mogą to dostrzec, po czym

odwraca się z wyższością. Wszystko gotowe. – Idziemy?

Nie udzielam się i trzymam język za zębami, gdy wraz z Victrą ruszam na końcu długiego orszaku, który meandruje przez labirynt marmurowych sal i korytarzy wiodących z naszej willi do Ogródów Cytadeli, oddalonych o prawie dwa kilometry. Wznosi się tam wieża Władczyni, niczym olbrzymi dwukilometrowy miecz wbity pośród bujnych, wypielegnowanych krzewów

róż, drzew i strumyków.

Woda przepływa przez ogród tysiącami krętych koryt. Szemrzące potoki z kolorowymi rybami łączą się w laguny, gdzie wyrzeźbione Różowe syreny pływają pod kwitnącymi drzewami, po których wspinają się kotomałpy. Smukłe tygrysy odpoczywają w cieniu

konarów. Fioletowi muzycy wędrują przez te słoneczne zagajniki w powiewnych motylach szatach, skrzypce wygrywają niesamowity koncert. To obraz jak z bachanaliów nocą, tyle że bez obscenicznej seksualności, która tak cieszyła dawnych.

Wśród drzew dostrzegam inne orszaki. Widzę ich proporce, wielkie lśniące płachty tkaniny rozpiętej na metalowych stelażach. Nasz czerwono-złoty lew na półksiężycowym tle ryczy w milczącym wyzwaniu. Kruk na srebrzystym tle znaczy przejście rodu Falthe przez kamienny most. Czujnie zerkamy na Lansjerów i panów w tej procesji. Co oczywiste, wszyscy noszą ostrza, ale technologia jest zakazana – żadnych unipadów, butów grawitacyjnych czy

cyberZbroi. Taka tradycja.

Wieża góruje nad nami. Podstawę ogromnej budowli porasta purpurowy i zielony mech,

bluszcz w tysiącach odcieni owija się wokół szkła i kamienia niczym palce chciwego

kawalera wokół talii bogatej wdowy. Sześć dużych wind służy do przenoszenia rodów na szczyt.

Przepiękne Różowe służące i Brązowi lokaje obsługują windy, wszyscy w bieli. Złote trójkąty Elity zdobią ich liberie.

Winda jest prosta, marmurowa, z antygravitatorami. Spoczywa na środku trawnika. Kilku Miedzianych śpieszy do Pliniusza, który jako Polityk może przemawiać w imieniu

ArcyGubernatora. Zdaje się, że wynikło jakieś nieporozumienie. Ród Falthe wchodzi do windy przed nami.

– To pułapka towarzyska – mamrocze Augustus do swojego ulubionego oddziału. Leto przysuwa się bliżej. – Głupcy. Patrz, jak udają, że to wypadek. Wkrótce powiedzą, że musimy użyć windy z Falthe'ami, podczas gdy powinni się wycofać i puścić nas przodem.

– Zatem tak naprawdę to nie wypadek? – upewnia się Leto.

– Nie na Księżycu. – Augustus krzyżuje ramiona. – Tu wszystko jest polityką.

– Wiatr się zmienia.

– Już od jakiegoś czasu – mruczy Augustus. Unosi głowę i patrzy na swoich podwładnych, jakby przeliczał, ile mamy ostrzy. Niektórzy noszą je przy pasie, inni na przedramieniu, podobnie jak ja. Tactus i Victra przymocowali swoje do szarf.

– Niech trzech Lansjerów strzeże ArcyGubernatora bez przerwy – rozkazuje cicho Leto.

Potwierdzamy, że usłyszeliśmy, kiwając głowami. Ścieśniamy się. – Żadnego picia.

Tactus krzywi się z jękiem w proteście.

Szakał beznamiętnie przygląda się, jak Leto wydaje polecenia.

Pliniusz wraca z rozmowy z personelem Cytadeli. Oczywiście mamy pojechać windą z

rodem Falthe. Jednak w powietrzu wisi coś bardziej złowrogiego. Nasi Obsydiani i Szarzy mają zostać.

– Wszystkie rody mają przyjść na galę bez swoich ochroniarzy – wyjaśnia.

W naszych szeregach słycać szepty.

– No to nie pójdziemy – stwierdza Szakał.

– Nie bądź głupcem – prycha Augustus.

– Twój syn ma rację, Nero – wtrąca Leto. – Niebezpieczeństwo...

– Odrzucenie niektórych zaproszeń jest bardziej niebezpieczne niż ich przyjęcie. Alfrunie, Jopho. – Augustus wzywa skinieniem ręki swoich Skalanych. Obaj mężczyźni w milczeniu

skłaniają głowy i przyłączają się do Lansjerów. Szczere uczucie – zmartwienie – błyska w ich bystrych oczach, gdy dołączamy do Falthe'ów i winda rusza w górę. Głowa rodu Falthe skrywa uśmiech. Jego pozycja wzrosła.

Przyjęcie pod dachem wieży Władczyni wygląda jak zimowa kraina baśni. Śnieg pada z niewidzialnych chmur, prószy na smukłe świerki sztucznego lasu i zamarza na moich krótkich włosach w śnieżynki o smaku cynamonu i pomarańczy. Przy każdym oddechu unosi się obłoczek pary.

Wejście ArcyGubernatora obwieszcza sygnał trąb. Tactus i paru młodszych Lansjerów odpychają świętą Falthe'ów i blokują im przejście, aby Augustus wkroczył na galę pierwszy. W

blasku bladego złota i intensywnej czerwieni poruszamy się wśród wiecznie zielonych drzew i bieli śniegu. Wokół gromadzą się już inni dumni Aureaci. Przerazająca rzesza twarzy, które widziały cuda, o jakich nawet nie marzyli pierwsi ludzie. Można dostrzec w nich ślady naszej wspólnej przeszłości z Instytutu. Uwodziciele od Apolla. Zabójcy od Marsa. Piękności od Wenus.

Pod iglicą Cytadela rozciąga się na wiele mil, a poniżej w oddali widać miliony światła miast. Nikt nawet by się nie domyślił, że pod tym oceanem blasku czai się drugie miasto, brudne i nędzne. Świat pod światem.

– Postaraj się nie stracić głowy – szepcze Victra, po czym głaszcze mnie pazurzystą dłonią i odchodzi porozmawiać ze swoimi przyjaciółmi z Ziemi.

Zbliżam się do naszego stołu. Wielkie kandelabry unoszą się nad nim na małych antygravitatorach. W ich blasku migoczą klejnoty. Suknie spływają falami na doskonałych ludzkich ciałach. Różowi serwują przysmaki na tacach i trunki w kielichach z lodu i szkła.

Setki długich stołów ustawiono koncentrycznie wokół zamrożonego jeziora na środku tej baśniowej krainy. Różowe służące podjeżdżają na łyżwach, aby obsłużyć gości. Pod lodem poruszają się kształty. Można tu zaspokoić każdą perwersję i znaleźć chętnego Pixie albo kogoś z PodKolorów, nawet mityczne stworzenia z długimi ogonami i łuskami, które migoczą niczym gwiazdy. W innym życiu Mickey pewnie marzyłby, aby rzeźbić takie stwory na

podobne uroczystości. Uśmiecham się pod nosem. W pewnym sensie stworzył przynajmniej jednego...

Stoły nie są oznakowane ani numerowane, ale bez trudu znajdujemy miejsce, ponieważ na blacie siedzi nieruchomo wielki lew. Każdy ze stołów ozdobiony jest herbem rodowym.

Dostrzegam gryfy i orły, lodowe pięści i wielkie żelazne miecze. Lew mruży z

zadowoleniem, gdy Tactus podsuwa mu pod łapy z wielkimi pazurami tacę z przekąskami zabraną jednej z Różowych.

– Jedz, bestio, jedz! – zachęca.

Podchodzi do mnie Pliniusz. Włosy ma splecione w ciasny, skomplikowany warkocz. Jego

strój choć raz jest ascetyczny, podkreśla haczykowany nos. Zdaje się, że Pliniusz chce zrobić wrażenie na Niezrównanych swoimi ptasimi rysami i skromnością ubioru.

– Przedstawię cię później zainteresowanym gościom. Kiedy dam ci znak, masz się do mnie przyłączyć. – Rozgląda się, nie zwracając już na mnie uwagi, chyba szuka kogoś ważniejszego.

– Do tego czasu postaraj się nie wpakować w kłopoty. I uważaj na swoje maniery.

– Żadnych kłopotów. – Ujmuję mój medalion w kształcie pegaza. – Przysięgam na honor swojego rodu.

– Tak. – Pliniusz nawet nie raczy na mnie spojrzeć. – A cóż za szlachetny był to ród.

Rozglądam się po sali. Wypełniają ją setki gości, a wciąż przybywają nowi. Jak długo

powiniennem czekać? Trudno utrzymać wściekłość, która skłoniła mnie do podjęcia decyzji o przeprowadzeniu zamachu. A przecież to Złoci zabili mi żonę. I dziecko. Jednak choćbym nie wiem jak się starał przywołać to wspomnienie i gniew, jaki budzi, nie umiem zdusić obaw, że spycham bunt na skraj przepaści.

Mój czyn nie będzie przeznaczony dla Eo. Będzie służył zadowoleniu żyjących. Nie uczi tych, którzy poświęcili wszystko, lecz tylko zaspokoi żądzę zemsty buntowników. Jednak nie da się tego odwrócić. Los został już przypieczętowany.

A jednak targa mną tyle wątpliwości. Czy to znaczy, że jestem tchórzem? Czy staram się usprawiedliwić bezczynność?

Za dużo myślę. Jak źli żołnierze. A przecież jestem właśnie żołnierzem. Żołnierzem Aresa.

Jemu zawdzięczam to ciało. I powiniennem mu ufać. Dlatego ściągam pegaza i przyciskam go pod blatem stołu Augustusa, tuż przy skraju.

– Toast? – słyszę za plecami. Odwracam się i staję twarzą w twarz z Antonią. Nie

widziałem jej od czasów Instytutu, gdy Sevro uwolnił ją z krzyża, do którego została przybita przez Szakala. Cofam się lekko, ponieważ przypomina mi się tamta noc, gdy Antonia podcięła gardło Lei

tylko po to, aby wywabić mnie z ukrycia.

– Myślałem, że studiujesz politykę na Wenus.

– Skończyłam studia. I naprawdę ucieszył mnie twój *chrzest*. Oglądałam go kilkakrotnie z przyjaciółmi. Mocz okropnie cuchnie. – Wącha mnie. – Trudno się pozbyć tego odoru.

Natura w swoim okrucieństwie obdarzyła tę kobietę wyjątkową pięknnością. Pełne usta, nogi długie niemal jak moje, skóra gładka niczym powierzchnia otoczaka z górskiego strumienia, a włosy jak złota przędza z baśni o księżniczce w wysokiej wieży. Jakże wstrętne stworzenie skrywa się pod tą piękną powłoką.

– Nie widzieliśmy się tak długo, że na pewno się za mną stęskniłeś. – Antonia podaje mi czarę wina.  
– Wznieśmy zatem toast za dzisiejsze spotkanie.

Nie rozumiem, dlaczego żyjemy w świecie, gdzie ta kobieta może zarzucać swoją sieć zła, podczas gdy moja żona została zabita, a łagodni Złoci, jak Lea i Pax, spłonęli na popiół.

– Fitchner kiedyś mi powiedział coś, co teraz wydaje się stosowne do zacytowania. –

Unoszę uprzejmie czarę.

– Och, Fitchner – wzdycha Antonia, a jej piersi dosłownie próbują się wyrwać spod obcisłej złotej sukni. – Brązowiutki szczur zdobył tutaj trochę sławy. Co takiego powiedział?

– „Mężczyzna nigdy nie stęskni się za rzeźączką”. – Rzucam jej czarę pod nogi i

przechodzę obok. Antonia chwyta mnie za ramię i przyciąga tak blisko, że czuję na policzku ciepło jej oddechu.

– Idzie – syczy. – Bellona już po ciebie idzie. Powinieneś teraz uciekać.

Zerka na moje ostrze.

– Bo chyba nie myślisz, że pokonasz tym Cassiusa w pojedynku? – Puszcza mnie. –

Powodzenia, Darrow. Będzie mi brakowało obecności małpy na balu. Czego nie można powiedzieć o Mustang.

Nie zwracam uwagi na jej docinki i odchodzę. Coraz więcej rodów wypełnia salę, więc może już wkrótce będę mógł to zakończyć. Pretorzy, Kwestorzy, Sędziowie, Nadzorcy,



Senatorowie, a także głowy rodów, przywódcy, kupcy, dwaj Rycerze Olimpijscy i tysiące innych przyszło życzyć mojemu panu dobrej zabawy. Ci starsi mówili o atakach na Urana i Ariela, powtarzali głupie plotki o nowym Rycerzu Gniewu, który właśnie zdobył zbroję, rozmawiali o tajemniczej bazie Synów Aresa na Trytonie i odrodzonej epidemii na jednym z mrocznych kontynentów Ziemi. Mało ważne.

Wielu innych odciąga mojego pana na bok, jakby tysiące oczu nie obserwowało każdego ich ruchu, i mówi mu w tonie pełnym słodyczy o szeptach w nocy, zmianie wiatru i niebezpiecznych przyływach. Mieszanka metafor, ale chodzi wciąż o to samo. Augustus wypadł z łask Władczyni, tak jak ja wypadłem z jego łask.

Statki przecinają nocne niebo obojętne i dalekie. Skupiam uwagę na Władczyni. Dziwnie jest widzieć tę kobietę tutaj, na podium tuż przy parkiecie. Rozmawia z panami rodów i ludźmi, którzy władają życiem miliardów. Jest tak blisko, tak ludzka i tak krucha.

Octavia au Lune stoi w towarzystwie swoich dam, trzech Furii, sióstr, którym ufa najbardziej. Sama Władczyni nie wyróżnia się urodą. Obojętna jak skała, milcząca. W tym milczeniu kryje się jej moc. Rzadko słyszałem, aby mówiła, ale słucha, zawsze słucha całkowicie skoncentrowana.

Pod drzewem dostrzegam mężczyznę. Jest niemal tak masywny jak pień sosny, o którą się opiera. Czara prawie że znika w jego wielkiej dłoni. Na stroju nosi symbol miecza ze skrzydłami – Pretor z flotą. Podchodzę. Na mój widok wielkolud się uśmiecha.

– Darrow au Andromedus – warczy.

Pstrykam palcami na przechodzącą Różową. Biorę dwie czary z lodowej tacy, jedną podaję Karnusowi.

– Pomyślałem, że zanim mnie zabijesz, możemy się napić.

– Oto prawdziwie sportowa postawa. – Karnus dopija swoje wino, po czym bierze ode mnie czarę. Zerka znad naczynia. – Nie zamierzasz mnie otruć, prawda?

– Nie jestem tak subtelny.

– Podobnie jak ja. Pełno tu zmij... – Uśmiecha się jak krokodyl. Ciemne Złote oczy śledzą przechodzących w pobliżu mężczyzn i kobiety. Wino z czary znika w okamgnieniu. –

Zaskakująco dekadentkie przyjęcie.

– Podobno to Żywe Srebro przygotował ucztę i wystrój.

– Tylko na Księżyciu pozwala się Srebrnemu udawać, że jest Złotym – prycha Karnus. –

Nienawidzę tego miejsca.

Bierze z niesionej w pobliżu tacy przekąskę.

– Jedzenie jest za ciężkie. Wszystko inne za lekkie. Chociaż słyszałem, że za szóste danie warto będzie zabić.

Karnus jest dzisiaj zaskakująco otwarty. Krzyżuję ramiona na piersi i przyglądam się przyjęciu. Przebywanie obok człowieka, którego nienawidzę, sprawia mi zdumiewającą ulgę.

Żaden z nas nie musi udawać, że darzymy się sympatią. Żadnych masek, przynajmniej nie więcej niż zwykle.

Karnus śmieje się basowo.

– Julianowi podobałaby się taka fikuśna uczta. Był rozpieszczonym, podłym bachorem.

Spoglądam na tego zabójcę.

– Cassius wyrażał się o nim tylko dobrze.

– *Cassius* – Karnus prycha, jakby miał się roześmiać. – Cassius kiedyś strzelał z procy i zranił ptaka. Przyszedł do mnie z płaczem, ponieważ wiedział, że musi skrócić temu

stworzeniu cierpienie, ale nie mógł. Za niego strzaskałem zwierzakowi głowę. Zupełnie jak ty.

– Uśmiecha się krzywo. – Powinienem ci podziękować za usunięcie tego defektu genetycznego z naszego rodu.

– Człowieku, Julian był przecież twoim bratem.

– I wciąż moczył łóżko. Zawsze próbował ukryć mokrą pościel, więc zanosił ją do pralni.

Jakbyśmy nie mieli własnej. Julian był chłopakiem, który nie zasługiwał ani na przychyłność matki, ani na nazwisko ojca. – Bierze kolejną czarę wina od mijającej go Różowej. – Rodzina próbuje zrobić z jego śmierci tragedię. A to tylko prawo natury.

– Julian był lepszym człowiekiem niż ty, Karnusie.

Karnus wybucha śmiechem.

– Och, wyjaśnij mi to, proszę.

– W świecie zabójców o wiele trudniej zachować życzliwość, niż stać się złym. Ale to nie dla takich ludzi jak ty czy ja, my tylko wypełniamy sobie czas, zanim nie dosięgnie nas śmierć.

– Co dla ciebie nastąpi już wkrótce. – Skinieniem głowy wskazuje na moją klingę. –

Szkoda, że nie wychowałeś się w naszym domu. Uczymy się posługiwania ostrzem, zanim

zaczniemy czytać. Ojciec wymagał, abyśmy własnoręcznie wykonali nasze sztylety, nazwali je i trzymali nawet w łóżku. Gdybyś też to przeszedł, miałbyś szansę w starciu.

– Ciekawe, do czego byś doszedł, gdyby nauczył cię czegoś jeszcze.

– Jestem, jaki jestem. – Karnus bierze kolejną czarę. – Wysłano mnie za tobą. Ze

wszystkich synów i córek wybrano właśnie mnie, ponieważ jestem najlepszy w tym, jaki jestem.

Przyglądam mu się uważnie.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Masz wszystko, Karnusie. Bogactwo. Władzę. Siedmioro braci i sióstr. Jak wielu

krewnych? Bratanków, siostrzeńców? Ojca i matkę, którzy cię kochają, a jednak... stoisz tutaj, pijesz samotnie, mordujesz mi przyjaciół. A celem twojego życia jest zakończyć *moje*.

*Dlaczego?*

– Ponieważ obraziłeś moją rodzinę. Nikt nie obraża Bellony i żyje.

– Zatem chodzi o dumę.

– Zawsze chodzi o dumę.

– Duma to tylko krzyk na wietrze.

Karnus kręci głową. W jego głosie brzmi głęboka powaga.

– Ja umrę. Ty umrzesz. Wszyscy umrzemy, a wszechświata to nie obejdzie. Mamy tylko ten krzyk na wietrze – jak żyjemy, jak sobie radzimy. I jak walczymy, nim zginiemy. – Pochyla się do mnie. – Jak widzisz zatem, duma jest wszystkim.

Odwraca wzrok ode mnie i rozgląda się po sali.

– Duma oraz kobiety.

Podążam za jego spojrzeniem i wtedy ją dostrzegam.

Ubrała się na czarno. Wśród złota, bieli i czerwieni wygląda jak mroczne widmo.

Przechodzi obok windy przy sztucznym lesie. Przewraca błyszczącymi oczami, krzywi

uśmiechnięte usta na tych, którzy patrzą na jej pogrzebową suknię. Czarną. W kolorze

wyrażającym odrazę dla radosnych Złotych wokół. Czarną jak kolor militarnego uniformu, który mam na sobie. Przypomina mi się ciepło ciała tej kobiety, jej psotny głos, zapach skóry na szyi, dobroć w sercu. Przyglądam się dziewczynie tak uważnie, że nie od razu zauważam jej towarzysza.

Szkoda, że nie dostrzegłem go od razu.

To Cassius.

Właśnie ten złotowłosy drań musi towarzyszyć dziewczynie, która opiekowała się mną w

zimie, dopóki nie wyzdrowiałem, i która pomogła mi pamiętać o marzeniach Eo. Cassius

obejmuje talię Mustang. Szepcze jej do ucha. Jak wcześniej wbił mi miecz w brzuch, tak teraz sztyłem przebił mi serce.

Włosy ma gęste i lśniące. Głowę uniesioną wysoko, ręce pewne. Ramiona silne,

wytrenowane do wojny. Rysy twarzy wyrzeźbione do podboju dworu. I nosi znak

wschodzącego słońca, symbol Rycerza Świt. Plotki zatem mówiły prawdę. Szepty

przemykają przez salę. Władczyni mianowała Cassiusa jednym z dwunastu. Pomimo że to ja zwyciężyłem w Instytucie, on został wyniesiony i przebił się przez Krąg Pojedyneków na Księżycu jak opętany. Oglądałem go w holowizji, patrzyłem, jak schodzi z ubitej ziemi, a kolejny Złoty leży bliski śmierci.

Ale tutaj, na przyjęciu, Cassius błyszczy i czaruje. Z twarzy nie znika mu śnieżnobiały uśmiech. W swoim Złotym ciele ma wszystko to, co ja, i jeszcze więcej. Porusza się zwinnie, jest przystojniejszy i równie wysoki. Zdrowszy. Ładniej się śmieje i ludzie myślą, że z natury jest bardziej życzliwy. Nie spoczywa na nim jednak brzemień, jakim ja zostałem obarczony.

Dlaczego jeszcze musiał zdobyć dziewczynę, przy której inne, poza Eo, bledną? Czy Mustang nie zdaje sobie sprawy, że zadała się ze złym człowiekiem? Nie wie, jak okrutny jest Cassius?

Nie mogę do niej podejść, nie mogę się zbliżyć nawet wtedy, gdy znajduję się blisko i słyszę jej śmiech. Jeżeli Mustang by mnie zobaczyła, chyba bym się załamał. Czy w jej oczach dostrzegłbym poczucie winy? Skrępowanie? Czy rzuciłbym cień na jej szczęście? Czy w ogóle by się przejęła, że

widzę ją u boku Cassiusa? A może uznałaby, że jestem żaloszny, bo próbuję do niej podejść?

To boli. Nie podejrzewam, żeby Mustang spotykała się z moim wrogiem, aby mnie pognać. Wiem, że nie jest złośliwa. Skoro spotyka się z Cassiusem, musi jej na nim zależeć.

A to boli bardziej, niż się spodziewałem.

– Jak widzisz zatem. – Ręka Karnusa opada mi ciężko na ramię. – Nikt za tobą nie zatęskni.

Serce mi się ściska, gdy przepycham się przez tłum jak najdalej od gali. Mniejszą windą oddalam się od tych ludzi, którzy umieją tylko ranić. Wchodzę w zagajnik, przez mostek nad wartkim strumykiem. Pochyliam się oparty o wypolerowaną poręcz i z trudem nabieram tchu. Z

każdym oddechem powtarzam sobie w duchu:

Nie potrzebuję Mustang.

Nie potrzebuję nikogo z tej chciwej gromady.

Mam dość ich gry o władzę.

Mam dość zdobywania własnej pozycji.

Nie byłem zbyt dobrym mężem.

Nie na tyle, aby żona pozwoliła mi zostać ojcem.

Nie byłem zbyt dobrym Złotym.

A teraz nie jestem nawet dość dobry, aby zasłużyć na Mustang.

Zawiodłem i nie wykonałem tego, co miałem zrobić.

Zawiodłem i nie wspiąłem się na szczyty władzy.

Ale nie zawiodę teraz. Nie tym razem.

Ściągam pierścień, który dostałem od Synów Aresa. Dłoń mi drży. Nerwy mam napięte.

Robi mi się niedobrze, tyle jest we mnie zła. Podnoszę zimny pierścień do ust. Wystarczy wypowiedzieć słowa, a to zło i skażenie przepadnie. Wystarczy powiedzieć: „Zerwij pęta”, a Victra zniknie. Cassius wyparuje. Augustus się stopi. Karnus rozpadnie. Mustang zginie. W

całym Układzie Słonecznym wybuchną bomby, a Czerwoni powstaną do walki o niepewną

przyszłość. Wystarczy zaufać Aresowi. Tylko zaufać, że on wie, co robi.

Zerwać pęta.

Próbuję wypowiedzieć te słowa, ostatnie słowa Eo, zanim zawisła. Ale nie mogę.

Zmuszam się. Cholera. Zmuszam usta, aby się poruszyły. Ale nic z tego. Nie mogę, ponieważ w głębi duszy wiem, że postępuję źle. To nie przemoc. Nie współczucie dla ludzi, których zabiję. To gniew.

Zabicie ich niczego nie dowiedzie. Niczego nie rozwiąże.

Jak Ares mógł to zaplanować?

Eo mówiła, że jeżeli powstanę, inni pójdą za mną. Ale ja nie powstałem. Nie wykonałem tego, o co mnie prosiła. Nie jestem wzorem do naśladowania. Nie jestem zabójcą. Nie mam wymówki, aby się poddać. Nie mogę przekazać marzeń Eo innym. Ares nigdy nie poznał mojej żony. Nigdy nie widział blasku w jej oczach. A ja widziałem. I zanim wydam ostatnie

tchnienie, muszę zbudować świat, w jakim pragnęłyby wychować nasze dziecko. Takie miała marzenia. A ja nie pozwolę innym decydować o moim przeznaczeniu. Nie teraz. Nie zaufam Aresowi, jeżeli to oznacza, że muszę odtrącić Eo.

Nie zaufam, jeżeli to oznacza, że muszę poświęcić zaufanie do siebie.

Wycieram łzy z policzków, zamiast gniewu budzi się we mnie poczucie misji. Musi być

inny sposób. Lepszy. Widziałem rysy na nieskazitelnym wizerunku Elity i wiem, co należy zrobić. Wiem, czego Złoci boją się najbardziej. A nie ma to nic wspólnego z powstaniem Czerwonych. To, czego się boją Złoci, jest proste, okrutne i stare jak ludzkość.

Wojna domowa.

## **CZEŚĆ DRUGA**

### **Przełom**

*Jeżeli jesteś lisem, udawaj zająca.*

*Jeżeli jesteś zającem, udawaj lisa.*

– Lorn au Arcos

*Rozdział dwunasty*

*Krew za krew*

Przekradam się z powrotem na przyjęcie.

Złoci zajęli miejsca i zaczęły się formalności. Niezbyt subtelnie pochylam się pod stół i macam, aby znaleźć medalion. Wsuwam go do kieszeni, potem wygładzam marynarkę. Ignoruję pytające spojrzenia i ruszam śmiało do celu. Pliniusz syczy moje imię. Mijam go obojętnie.

Nie ma pojęcia, co zamierzam.

Przeciskam się do stołów, przy których siedzą różne rody. Patrzą na mnie, jakbym był

kamieniem, który spowoduje lawinę. Czuję te spojrzenia, ale tylko przyśpieszam kroku. Idę lekkomyślnie, a moje palce zaciskają się przed zagrożeniem niczym zwoje żmii jaskiniowej przed atakiem. Tysiące wbitych we mnie oczu. Szepty za plecami, gdy zgromadzeni

uświadamiają sobie, dokąd zmierzam. Mój cel siedzi przy długim stole w otoczeniu członków rodziny – doskonały Aureat uważnie wsłuchany w słowa swojej Władczynie. Mowa o jedności.

Porządek i tradycja są najważniejsze. Nikt jeszcze nie wstał, aby mnie powstrzymać. Może nikt nie rozumie. Albo nie ośmiela się stawić mi czoła.

Członkowie rodu Bellona zauważają wreszcie szepty i odwracają się jak jeden mąż.

Pięćdziesiąt osób, może więcej, wszyscy patrzą na mnie – wojskowego w czerni. Młodego, jeszcze nieznanego wojny. Młodzieńca, który nie przelał krwi poza salami Instytutu i asteroidami Akademii. Niektórzy uznają mnie pewnie za szaleńca. Niektórzy nazwaliby mnie odważnym. Dziś wieczorem jestem i odważny, i szalony. Zniknął przygniatający mnie ciężar.

Brzemie zmartwienia, że nie spełnię pokładanych we mnie oczekiwań. Teraz trzeba tylko iść, powtarzam sobie w duchu. Nie zatrzymywać się. Nie zamierać. Nigdy się nie zatrzymywać.

Głos Władczynie cichnie.

Już za późno, aby się wycofać. Ruszam śmieiej.

Uśmiech.

Goście zamierają w śmiertelnej ciszy, gdy skaczą na trzydzieści stóp w słabej grawitacji Księżyca i lądują na stole rodu Bellona. Talerze pękają. Sztućce brzęczą. Biesiadnicy odskakują. Ktoś na mnie krzyczy. Niektórzy ani drgną, choć chlapnęło na nich wino. Władczynie patrzy, zaskoczona, ale też zaciekawiona, a jej Furie przyciskają się do niej bliżej. Pliniusz sprawia wrażenie, jakby miał zaraz umrzeć. W panice ściska kolana. Obok niego Szakał

wygląda jak dziwnie nieprzeniknione, samotne stworzenie pustyni.

Nie noszę dzisiaj obuwia do tańca. Mam ciężkie, twarde buty. Ich podeszwy rozgniatają porcelanę, gdy idę po stole, niszcę zastawę i miażdżę delikatne steki. W skroniach łomocze mi krew. Odurzająco. Podnoszę głos.

– Chciałbym prosić o chwilę uwagi. – Miażdżę butem półmisek groszku. – Może mnie znacie.

Rozlega się nerwowy śmiech. Oczywiście, że mnie znają. Znają wszystkich, którzy się

liczą, chociaż w moim przypadku słyszeli tylko plotki, nic konkretnego. Widzę, że Furie szepczą do Władczynie. Widzę, że Tactus szczyrzy się jak wariat. Karnus pochyla się

zaniepokojony. Victra uśmiecha się do Szakała. Nawet Antonia szturcha wysokiego, surowego Złotego. Staram się nie patrzeć na Mustang. Pliniusz papie do ucha ArcyGubernatora. Augustus unosi rękę, aby go uciszyć.

– Przyciągnąłem waszą uwagę? – pytam.

O tak.

– Siadaj, chłopcze! – krzyczy ktoś.

– Zmus go – rzuca pijackim tonem Tactus. – Nie? Tak właśnie *zakładalem!*

– Pozwólcie, że przedstawię się tym, którzy mnie jeszcze nie znają. Jestem Lansjerem z rodu Augustus, przynajmniej jeszcze przez około godzinę. – Śmiech. – Nazywano mnie

Kosiarzem z Marsa, tym, który pokonał Niezrównanego Naznaczonego, zdobył Olimp i wziął



do niewoli swoich Cenzorów. Nazywam się Darrow au Andromedus i zostałem

pokrzywdzony.

Nabieram tchu.

– My, Niezrównani Naznaczeni, pochodzimy od Złoty przodków. Od zdobywców z żelaznym charakterem. Ludzi honorowych. Ale dziś wśród was widzę ród pozbawiony honoru.

Ludzi bez kręgosłupa. Przekupnych kłamców i tchórzy, spiskujących nad nieprawym pozbawieniem władzy mojego pana.

Rozbijam butem talerz. Kogo obchodzi, czy w ogóle istniał taki spisek? Brzmi dobrze.

Wydaje się, że ród Bellona spiskował. I właśnie tego chcę – niech noszą tę maskę. Karnus idealnie odpowiada na mój zarzut, wyciąga nóż i rusza na mnie. Jego ojciec, Imperator, powstrzymuje go gestem. Pretor Kellan wygląda, jakby chciał złapać mnie za nogę i

przewrócić, podczas gdy Cagney z przyjemnością podcięłaby mi gardło moim ostrzem.

Młodsze dziewczęta z Bellony uważają mnie za demona. Demona, który zabił im brata,

krewniaka. Nie mają pojęcia, kim jestem naprawdę. Ale może pani Bellony wie. Trupio błada w swojej żałobie siedzi otoczona potomstwem jak stara lwica. Wszyscy patrzą na nią jak na jej męża. Ostatnie, co zauważam, to drżenie długiej prawej ręki, jakby matka rodu Bellona pragnęła sięgnąć po sztylet i przebić mi serce.

– Dwukrotnie zostałem pokrzywdzony przez tę rodzinę. Po raz pierwszy w błocie Instytutu.

Po raz drugi w Akademii przez niego... i przez niego... i przez niego. – Wskazuję wszystkich, którzy pobili mnie w ogrodzie.

Dostrzegam Cassiusa blisko szczytu stołu, tuż obok rodziców. Przy nim siedzi Mustang z twarzą jak maska. Rozczarowana? Zmartwiona? Znudzona? Kiedy spogląda na mnie z

uniesioną brwią, krzyżujemy spojrzenia. Podchodzę bliżej i przysuwam stopę do karafki z winem stojącej przed Cassiusem. Wszystkie oczy wbijają się we mnie, jak promienie światła wpadające w czarną dziurę. Czas, który nie płynie, przestrzeń. Skupienie. Wstrzymany oddech.

– Wszystkie prawa Złoty pozwalają, aby człowiek bronił swojego honoru w starciu z

każdą siłą, która go zhańbi niesprawiedliwie. Od starych kontynentów Ziemi po lodowe

trzewia Plutona każdemu człowiekowi przysługuje prawo wyzwania. Nazywam się, szacowne damy i panowie, Darrow au Andromedus. Mój honor został splamiony. I żądam satysfakcji.

Zrzucam karafkę na kolana Cassiusa.

Mój wróg podrywa się. Złoci zgromadzeni na przyjęciu również wstają z miejsc z głośnym rykiem. Tactus pędzi od naszego stołu wraz z Letem, Victrą, obstawą i chorążymi wasalów ArcyGubernatora – z rodu Corvos, Julii, Volox i wielkich Telemanusów, rodu Paxa. Ostrza błyskają w dłoniach. Przekleństwa załamują się w mroźnym powietrzu. Aja, największa i najmroczniejsza z Furi, pochyła się do Władczyni z krzykiem:

– Powstrzymaj to szaleństwo!

Lecz to dopiero początek.

Ręce mi się trzęsą, zupełnie jak kiedyś w kopalni. Tak samo jak wtedy otaczają mnie węże.

Żmii jaskiniowej nigdy się nie usłyszy. Rzadko można ją dostrzec. Czarna jak żrenica,

prześlizguje się w mroku, a potem atakuje. Ale zanim się zbliży, poprzedza ją strach. Strach oddzielenia się od wiertła. Strach przed oddzieleniem się od przenikliwego, budzącego mdłości gorąca, urastający we wnętrzościach podczas przebijania się przez miliony ton skały, rozlewający się wyżej i sprawiający, że skafander wypełnia pot i smród. To strach przed zbliżającą się śmiercią. Niczym cień padający na duszę.

Ten sam strach ogarnia mnie teraz, gdy okrążają mnie Niezrównani, kłębowisko złotych węży. Szepczą. Syczą. Śmiercionośni jak grzech.

Śnieg na posadzce trzeszczy mi pod butami. Pochyliłam się w ukłonie, gdy Władczyni

zaczyna przemawiać. Mówi o tradycji i honorze. O wojennych pojedynkach, które znaczą

wielkość naszej rasy, dlatego dziś robi wyjątek. Możemy się pojedynkować tutaj, nie na wyznaczonej ubitej ziemi. Ta waśń musi się zakończyć tutaj, przed najdostojniejszymi spośród Aureatów. Jakże pewna jest swojego Rycerza Olimpijskiego. Ale dlaczego nie miałyby mieć pewności? Przecież już wcześniej mnie zabił.

– W przeciwieństwie do dawnych tchórzy będziecie walczyć blisko. Ciało z ciałem, kość z kością, krew z krwią. Zemsta umrze w miejscu przelanej krwi. *Virtute et armis* – wygłasza Władczyni.

Cnotą i bronią. Bez wątpienia Władczyni już porozumiała się ze swoimi doradcami. I na pewno zapewnili, że jestem słabszy, że Cassius walczy sprawniej i lepiej opanował

szermierkę. Nigdy nie dotarłbym tak daleko, gdyby nie była przekonana, że wynik będzie po jej myśli.

– I jak to czynili nasi przodkowie, będzie to walka na śmierć i życie – oznajmia Octavia au Lune. – Czy są sprzeczwy?

Na to miałem nadzieję.

Ani Cassius, ani ja nie odzywamy się. Mustang występuje, aby wyrazić sprzeciw, ale Furia Aja powstrzymuje ją ruchem głowy.

– A zatem dzisiaj *res, non verba*.

Czyny, nie słowa .

Zanim wejść w wyznaczony krąg, który uformowali Brązowi przez usunięcie stolików i wózków oraz stołów, mogę porozmawiać ze swoim panem. Pliniusz pochyła się do Augustusa.

Podobnie jak Leto, Tactus, Victra i najwięksi Pretorianie Marsa. Tyle znanych osób, tylu wojowników i polityków. Szakał stoi dalej, niższy niż reszta, obojętny. Nie rozmawia z nikim.

Ciekawe, co by mi powiedział, gdyby nie było tutaj tak wielu niepowołanych uszu? Nie wygląda na rozgniewanego. Może już nauczył się ufać moim planom. Kiwa głową, jakby czytał mi w myślach. Nadal jesteśmy sojusznikami.

– Czy to przedstawienie specjalnie dla mnie? Dla zaspokojenia próżności? Z miłości? –

pyta Augustus, gdy przed nim staje. Wbija we mnie wzrok, próbując zrozumieć, co to ma znaczyć. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie zerknąć na Mustang. Nawet w takiej chwili mnie rozprasza.

– Jesteś taki młody – szepcze ArcyGubernator. – To, czego ci naopowiadano w bajkach, jest złe. Miłość nie przetrwa w takiej sytuacji jak ta. Przynajmniej nie miłość mojej córki.

Urywa w zamyśleniu.

– Ma duszę jak jej matka.

– Nie robię tego dla miłości, panie mój.

– Nie?

– Nie. – Skłaniam przed ArcyGubernatorem głowę, przypomniawszy sobie naukę rytuałów u Mattea. – Obowiązkiem syna jest przysporzenie chwały ojcu. Czyż nie?

Opadam na kolano.

– Nie jesteś moim synem.

– Nie. Zabił go ród Bellona, odebrał ci na zawsze. Twój pierworodny, Claudius, był

człowiekiem, jakim miałem nadzieję się stać. Synem lepszym i mądrzejszym od ojca. Pozwól mi zatem złożyć ci w darze ukochanego syna rodu Bellona. Dość ich podstępów. Dość ich polityki. Krew za krew.

– Panie mój, Julian to jedno, ale Cassius... – próbuje się wtrącić Pliniusz.

Augustus go ignoruje.

– Błagam o twoje błogosławieństwo – naciskam ArcyGubernatora. – Jak długo

pozostaniesz w łaskach Władczyni? Miesiąc? Rok? Dwa lata? Wkrótce zastąpi cię kimś z

Bellony. Spójrz, jak faworyzuje Cassiusa. Spójrz, jak kradnie ci dziecko. Spójrz, jak inni podążają za Srebrnymi. Masz coraz mniej dziedziców. Twój czas jako ArcyGubernatora

dobiega końca. Pozwól na to. Nie jesteś człowiekiem, który powinien być ArcyGubernatorem Marsa. Ktoś taki powinien być królem Marsa.

W oczach Augustusa błyska zaintrygowanie.

– Nie mamy królów.

– Ponieważ nikt nie ośmielił się wykuć dla siebie korony – mówię z przekonaniem. –

Niech to będzie pierwszy krok. Splunięcie Władczyni w twarz. Uczyni ze mnie miecz swojego rodu.

Wyciągam nóż zza cholewy buta i szybko przecinam skórę pod swoim okiem. Krew spływa

jak łza. To stare błogosławieństwo, zwyczaj żelaznych przodków, Dawnych Zdobywców.

Zmrozi serca wszystkich, którzy je zobaczą – relikw z przeszłości, trudniejszej i bardziej krwawej. To marsjańskie błogosławieństwo. Błogosławieństwo żelaza i krwi.

Nadciągających okrętów, które spaliły sławną Brytyjską Armadę nad ziemskim biegunem

północnym i wyruszyły z krain Wschodzącego Słońca na podbój pasa asteroid. Oczy mojego pana rozpalają się jak przygasły żar, na który się dmuchnie, najpierw powoli, nim zabłyśnie w nim płomień.

Mam go.

– Daję błogosławieństwo z nieprzymuszonej woli. Wszystko, co uczynisz, zrobisz dla

mojego honoru. – Augustus pochyla się do mnie. – Powstań, zrodzony ze złota. Powstań, wykuty z żelaza.

Dotyka palcem krwi na moim policzku i znaczy swój własny pod okiem.

– Powstań, Synu Marsa, i ponieś ze sobą mój gniew.

Wstaję wśród szeptów. To już nie jest sprzeczka małych chłopców. To starcie rodów.

Najlepszy przeciw najlepszemu.

– *Hic sunt leones*. – ArcyGubernator przechyla głowę, na wpół wyzywająco, na wpół

pokornie. Cóż za próżny drań. Wie, że desperacko pragnę pozostać w jego łaskach. Wie, że stoi na becze prochu i bawi się zapalkami. A jednak w jego oczach błyska żądza krwi i obietnica władzy.

– *Hic sunt leones* – powtarzam.

Podchodzę do kręgu pokrytego jedynie śniegiem, kiwam głową Tactusowi i Victrze. Oboje opierają dłonie na rękojeściach sztyletów, podobnie jak inni podwładni. W naszej stadnej świadomości rządzi czujność.

– Życzę ci szczęścia – mówi Tactus.

Nad naszymi głowami statki przecinają niebo. Drzewa kołyszą się na wietrze. W oddali migoczą światła miast. Ziemia wznosi się nad horyzontem niczym spuchnięty księżyc, a ja wyciągam ostrze mojego slinga.

Mustang podchodzi do mnie, gdy matka Cassiusa całuje syna w czoło.

– Zatem stałeś się pionkiem? – pyta pośpiesznie dziewczyna.

– A ty trofeum?

Cofa się z urazą, zanim jej usta wykrzywia złośliwy grymas.

– I kto to mówi? Nie poznaję cię.

– Ani ja ciebie, *Virginio*. Służysz teraz Władczyni?

Ale to nieprawda, poznaję ją, pomimo że dzieli nas już przepaść i Mustang wydaje mi się obca. To przez nią ściska mi się serce. Przez nią sztywnieją mi ręce, jakby chciały się wyciągnąć i dotknąć jej skóry, pragnęły ją objąć. Chciałbym jej powiedzieć, że to tylko pozory. Nie jestem pionkiem jej ojca, lecz kimś więcej. I że to wszystko dla dobra... Tyle że nie dla dobra Żółtych.

– *Virginio*? – Mustang przekrzywia głowę, uśmiecha się smutno, a potem zerka na dwa tysiące oczekujących Niezrównanych. – Wiesz, zastanawiałam się przez te minione dwa lata...

Chyba powinnam zastanowić się już na początku, ale wydawało się, że miałeś tak wyjątkowy charakter... to mnie rozpraszało. Ale teraz muszę zapytać.

Jej lśniące oczy wydają się przebijać mnie na wylot, przenikliwe i osądzające.

– Oszalałeś?

Oglądam się wymownie na Cassiusa.

– A ty?

– Zazdrosny? Po prostu pięknie. – Pochyla się, jej szept brzmi ochryple. – Wstydź się, że nie szanujesz mnie dość, aby się domyślić, że mam własny plan. Zdaje ci się, że jestem tutaj, bo pożądanie pchnęło mnie w ramiona Bellony? Błagam. Nie jestem suką w rui. Chronię moją rodzinę tak, jak to konieczne. A kogo ty chronisz oprócz siebie?

– Zdradzasz swoją rodzinę, gdy się z nim zadajesz. – Nie mam żadnej fałszywej odpowiedzi, która ukryłaby prawdę. Muszę zatem znieść, że w oczach Mustang będę uchodził za łotra. A jednak nie potrafię spojrzeć w te oczy. – Cassius to zły człowiek.

– Dorośnij, Darrow. – Wygląda, jakby chciała powiedzieć coś ważniejszego, ale tylko kręci głową, a potem się odwraca. – On cię zabije. Spróbuję przekonać Octavię, aby zakończyła to szybko.

Głos ją jednak zawodzi.

– Szkoda, że przyleciałeś na Księżyc.

Mustang opuszcza mnie, po czym ściska dłonie Cassiusa i przyłącza się do świty

Władczyni na podwyższeniu.

– Nareszcie sami, mój stary przyjacielu – mówi Cassius, a jego uśmiech tnie niczym ostrze.

Kiedyś byliśmy jak bracia. Dzieliliśmy się jedzeniem i ścigaliśmy się tego pierwszego dnia w Instytucie. Nacieraliśmy na Dom Minerwa ramię w ramię. Jak się wtedy śmiał, gdy ja ukradłem kucharkę, a Sevro sztandar. Galopowaliśmy razem przez równiny tamtej nocy w

blasku dwóch księżyców. Pamiętam żal na jego twarzy, gdy porwano Quinn. I kiedy mój

podkomendny, Titus, pobił go i oddał na niego mocz. Poczulem wzbierające wtedy łzy, gdy byliśmy jak bracia, zanim wszystko się rozpadło.

Wciąż pada śnieg o smaku cynamonu i pomarańczy, zamarza na lokach Cassiusa i na jego

szerokich barkach. Ostatni raz również walczyliśmy w śniegu. Wbił mi wtedy zardzewiałe

ostrze w brzuch i zostawił mnie na śmierć. Nie zapomniałem, że przekręcił to ostrze, aby się upewnić, że rana się nie zamknie.

Teraz dzierży klingę czarną jak heban.

Ponadmetrowy cienki miecz, gdy jest usztywniony i zwinięty. Więcej niż dwa metry

giętkiego bicia, rozwijanego przełącznikiem na rękojeści, który uwalnia impuls chemiczny do struktury cząsteczkowej ostrza. Znaczą je złote symbole rodowodowe. Symbole podbojów.

Triumfów, jakimi je uczczono. Stare, aroganckie, potężne. Moje ostrze jest nagie, pozbawione ozdób.

– Odebrałem ci coś, co było twoje – rzuca Cassius, podchodząc bliżej. Skinieniem głowy wskazuje Mustang.

Parskam śmiechem.

– Nigdy nie była moja. I z pewnością nie jest twoja.

Przybywa Biały, szeleszcząc długą szatą, gdy przeciska się przez tłum. Łysa głowa.

Zgarbione plecy.

– Ale miałem ją tak, jak ty nie. – Cassius ścisza głos, żebym tylko ja go słyszał. – Ciekawe, czy leżysz nocami sam i myślisz o rozkoszach, jakie jej dajesz? Nie drażni cię, że znam smak jej pocałunków? Jej westchnienia, gdy dotykam jej szyi?

Nie odpowiadam.

– I jęczy moje imię, nie twoje? – Nie śmieje się. Może czuć wstręt do swoich słów, ale powie wszystko, byle mnie zranić. Pod wieloma względami Cassius nie jest złym

człowiekiem. Jest tylko *dla mnie* złym człowiekiem. – Wyjęczała je, gdy wszedłem w nią dziś rano.

– Co by powiedział Julian, gdyby cię teraz zobaczył? – rzucam.

– Błagałby jak matka, abym cię zabił.

– Albo zapłakałby, że stałeś się takim potworem.

Cassius rozwija swoje ostrze i włącza egidę. Moja tarcza mruczy, gdy ją aktywuję –

jonowo-błękitna przejrzysta bariera energii rozpina się z mojej lewej rękawicy długa na stopę, szeroka na dwie. Śnieg topnieje, gdy opuszczam egidę bliżej ziemi. Wokół tarczy powstaje błękitna poświata, odbijająca się w płatkach śniegu.

– Wszyscy jesteśmy potworami. – Jego śmiech unosi się pod sklepienie sali jak jedwabna wstążka porwana wiatrem. – Zawsze miałeś z tym problem. Masz o sobie zawyżone

mnienie. Wydaje ci się, że kryjesz w rękawie moralność. I myślisz, że jesteś przez to lepszy od

nas, a tak naprawdę jesteś gorszy. Prowadzisz grę, której nie potrafisz się nauczyć, z ludźmi, którym nie zdołasz nigdy dorównać.

– Julianowi dorównałem.

– *Drań*. – Twarz wykrzywia mu grymas. Cassius rzuca się z niemym krzykiem i przewraca mnie, zanim Biały zdążył udzielić zezwolenia na walkę. Widownia krzyczy, abyśmy przestali, ale gdy ostrze śwista, okrzyki cichną i wszystkie oczy wbijają się w broń przecinającą padający śnieg. Cassius używa sztuki Kravat. Cztery sekundy precyzyjnego, brutalnego uderzenia kinetycznego, potem cofnięcie. Ocena. Zwarcie.

Tylko odgłosy walki zakłócają ciszę w kręgu. Wysokie świsty biczów, brzęk twardych

ostrzy. Trzaskanie, gdy ostrze uderza w egidę i krzesze białe iskry. Skrzypienie śniegu pod naszymi nogami.

Pomimo gniewu Cassius jest doskonały w swojej postawie. Szura stopami, nigdy ich nie

krzyżuje, biodra poruszają się płynnie, gdy atakuje w kombinacji ciosów. Oddech ma

wyrównany, opanowany, spokojny. Uwalnia bicz zamachem, po czym utwardza ostrze i tnie w górę, mierząc mi w jądra. Porusza się szybko. Łatwo pojąć, dlaczego niszczył swoich

przeciwników już od dzieciństwa, dlaczego wypruł mi flaki w Instytucie. Ponieważ jego przeciwnicy walczą tak samo jak on, tylko wolniej. Lecz ja nie walczę jak on. Dostałem już nauczki.

Teraz pora na Cassiusa.

– Ćwiczyłeś. Możesz sprostować kombinacji sześciu ruchów – stwierdza, cofnąwszy się.

Skacze naprzód, markując atak z góry, ale zadając cios z dołu, aby podciąć mi kostki. – Nadal jednak jesteś nowicjuszem.

Posyła we mnie siedem szybkich pchnięć, niemal przebija mi prawe ramię. Rozpoznaję

wzór ataku, ale nadal nie dorównuję szybkością Cassiusowi. Ledwie udaje mi się uniknąć trafienia, gdy w ostatnim momencie rzucam się na ziemię. Kolejne dwie kombinacje siedmiu ciosów następują jedna po drugiej. Ledwie umykam przed ostatnią i opadam na kolano, ciężko dysząc. Rozglądam się po otaczających nas widzach.

– Słyszysz to? – pyta Cassius. Nie słyszę nic oprócz wiatru i bicia swojego serca. – Tak właśnie umiera się w samotności. Nikt nie zapłacze. Nikogo to nie obejdzie.

– Arcosa by obeszło – szepczę.

Cassius sztywnieje.



– Co powiedziałeś?

– Lorna au Arcosa by obeszło, gdyby jego ostatni uczeń zginął – odpowiadam, porzuciwszy udawany nierówny oddech. Prostuję się dumnie. Cassius przygląda mi się, jakby ujrzał ducha.

Waha się. Podobnie jak ci, którzy usłyszeli, co powiedziałem. – Kiedy ty jadłeś, ja ćwiczyłem.

Kiedy ty piłeś, ja ćwiczyłem. Kiedy szukałeś przyjemności, ćwiczyłem tygodniami, od wyjścia z Instytutu do dnia rozpoczęcia nauki w Akademii.

– Lorn au Arcos nie przyjmuje uczniów – syczy Cassius. – Nie wziął żadnego od trzydziestu lat.

– Zrobił wyjątek.

– Kłamiesz.

– Doprawdy? – Parskam śmiechem. – Myślisz, że przyszedłem tutaj, aby dać się zabić?

Wydaje ci się, że władasz moim życiem? Nie, Cassiusie. Przyszedłem tutaj, aby poderżnąć ci gardło na oczach twoich rodziców.

Cassius cofa się, po czym zerka na ojca i Karnusa. Przekrzywiam głowę.

– Chodź, bracie. Nie chcesz się przekonać, jak naprawdę potrafię walczyć?

Cassius czeka, a ja podkradam się do niego jak nocny drapieżca – ramiona pochylone w instynktownej ergonomii, krok bezszelestny niczym mrok.

Przypominają mi się słowa Lorna. „Głupiec obrywa liście. Brutal ścina pień. Mędrzec wykopuje korzenie”. Dlatego wytrącam go z równowagi, posyłając pchnięcie za pchnięciem.

Nie przez cztery sekundy, jak uczy się Złoty, lecz przez siedem. A potem przez sześć w zmiennym tempie, aby złamać wzorzec. Kombinacja dwunastu ruchów.

Obrona Cassiusa jest precyzyjna. I gdybym walczył tak, jak on mnie uczył, zginąłbym w tym starciu. Ale ruchów uczył mnie wuj, a zabijania legendarny wojownik. Nacieram i wiruję, odrywając stopy i uderzając nisko, bijąc w przeciwnika jak huragan. Smagam go, pcham i przygniatam. A kiedy atakuje, uginam się, dopóki nie nadejdzie pora, aby złamać przeciwnika, jak mi to wpoił Lorn au Arcos. Poruszać się po okręgu. Nigdy się nie odwracać. Nie atakować z otwartej pozycji, gdy przeciwnik pozwala się odepchnąć. Użyć siły wroga, aby stworzyć

nowe kierunki ataku. Przepływać obok niego. Droga Wierzyby. Piękna, płynna w obronie jak wiosenny szelest witek, bezwzględna i straszna niczym wizg wierzbowych gałęzi mroźną zimą na lodowatym

wietrze wyjącem wśród turni.

We mnie Czerwony spotyka się ze Złotym.

Moje ostrze błyska między uderzeniami i wije się jak bicz. Utwardza się w miecz, a egida na lewym ramieniu Cassiusa trzaska głośno pod impetem cięcia. Cassius opada. Jest mistrzem pokonanym przez ulicznika.

Śmieję się. Śmieję się jak szaleniec, a tłum wokół kręgu wiwatuje zdumiony. Niektórzy wrzeszczą, gdy uderzam z taką siłą, że tarcza Cassiusa się przeładowuje. Z urządzenia na jego nadgarstku z sykiem ulatują iskry. Tnę po łokciu, przez kolano w łydkę. Obracam ostrze i tnę przez twarz. Zatrzymuję się, cofam płynnie, prowadząc bicz, nim zmieni się w zakrzywiony sling. Ci, którzy to ujrzeli, nigdy nie zapomną.

Kobiety krzyczą. Kochanki, które miał za młodu, patrzą teraz, jak mężczyzna, z którym dorastały i z którym sypiały, zostawia je z fałszywymi obietnicami. Pewnie myślą, że właśnie tracą najsilniejszego ze swojego pokolenia. Patrzą, jak inny mężczyzna zmienia Cassiusa w roztrzęsiony, skrwawiony strzep.

Zawstydziłem go nie bez celu. Wszystko to, aby rozniecić nienawiść tłącą się między rodami Bellona i Augustus w płomienie wojny.

Kroczę wzdłuż kręgu jak lew w klatce, dopóki nie stoję przed Imperatorem Bellony.

– Twój syn umrze – rzucam dziko. Dzieli mnie od niego odległość najwyżej stopy. Jest

krępy, z kwadratową szczęką, przyjaznym spojrzeniem i trójkątną brodą. W jego oczach

błyszczą zapowiedź łez. Nie odpowiada. Jest człowiekiem szlachetnym i postąpi zgodnie z zasadami honoru, nawet jeżeli oznacza to patrzenie na śmierć ukochanego syna.

Pomimo wypełniającej mnie wściekłości czuję wstyd. Ogarnia mnie zgroza, że oto jestem człowiekiem, który wyszedł z ciemności, aby zniszczyć rodzinę.

– Będziecie tylko patrzeć? – krzyczę do innych z Bellony. Żona Imperatora nie jest równie szlachetna. Wrze w niej gniew, gdy zerka oskarżycielsko na Władczynię. Wiem, czego chce.

Wracam do Cassiusa. Bellona i reszta będą musieli patrzeć bezsilnie, jak ja patrzyłem na egzekucję Eo.

– Pani rodu Bellona, masz w sobie dość honoru, aby patrzeć na śmierć Cassiusa?

Przyglądać się, jak twój syn znika z tego świata?

Kobieta wykrzywia usta. Szepcze do Karnusa i Cagney.

– Czy ród Bellona ma choć odrobinę siły? Będziecie patrzeć jak owce, gdy wilk wchodzi do stada?

Robię z tego pokaz dla co bardziej porywczych i gorącogłowych. Cassius jeszcze próbuje walczyć. Zatacza się, gdy podcinam mu kolano, upada w śnieg i już nie może się sprawnie dźwignąć. Właśnie tak, powoli i z wyrachowaniem, zabijał Titusa. Panikuje, patrzy na rodzinę, wiedząc, że widzi ich po raz ostatni. A oni nie mają Doliny. Ich rajem jest to życie. Mimo wszystko to smutny widok i współczuję Cassiusowi.

Cagney, ponaglona przez panią Bellony, postąpiła już krok naprzód. Jej ostrą, śliczną twarz wykrzywia wściekłość. Niech tylko bardziej zranię jej ukochanego krewniaka. Jednak

Imperator zawraca ją surowym gestem. Spogląda ponuro na Augustusa, po czym rzuca do zgromadzonych:

– Nikt z rodu Bellona nie będzie się wtrącał.

Jednak jego żona wcale nie zamierza się na to godzić. Raz jeszcze wbija oskarżycielskie spojrzenie we Władczynię, a Octavia au Lune unosi dłoń.

– Czeka! – rozkazuje. – Wstrzymaj się, Andromedusie!

Zamieram zaskoczony, że mi przerwano.

Wszystkie oczy kierują się na podwyższenie. Cassius z trudem łapie oddech.

Władczyni nie mogłaby być tak głupia, prawda? Powstrzymanie mnie to przecież

potwierdzenie moich podejrzeń. I nie tylko moich. Władczyni właśnie ujawniła, że faworyzuje ród Bellona. Wybrała go. Członkowie tej rodziny mają zapewne wyprzeć Augustusa z Marsa.

A Cassius mógł być istotną osobą w tym planie. Teraz jednak Cassius zginie, ponieważ

Władczyni źle skalkulowała szanse, a plan się rozpadnie. I nie mam pojęcia, co Octavia au Lune zamierza z tym zrobić. To takie głupie. Tak krótkowzroczne. Pokonała ją własna duma.

– Do zasad był dodatek. Ponieważ Biały nie zdołał udzielić zwyczajowej zgody na

pojedynek, walkę rozstrzyga śmierć lub poddanie się przeciwnika – oznajmia, zerknąwszy na matkę Cassiusa. – Takie są zasady. Zbyt wiele naszych uzdolnionych dzieci ginie w szkole. Nie ma potrzeby marnować życia tych dwóch młodzieńców z powodu szkolnych waśni.

– Władczyni moja – woła Augustus, żądny swojej krwawej nagrody – prawo jest jasne.

Gdy pojedynek zostanie ogłoszony, żadnemu człowiekowi nie wolno zmieniać zasad walki.

– Cytujesz prawo. Miła ironia, gdy pada to z twoich ust, Nero.

W tłumie słychać chichoty, co potwierdza, że plotki o udziale ArcyGubernatora w ułatwianiu Szakalowi ukończenia Instytutu za wszelką cenę cieszą się popularnością.

– Władczyni, mój ród w tej sprawie popiera Augustusa – rozlega się okrzyk. Daxo au

Telemanus występuje przed zgromadzonych. Starszy brat Paxa, równie wysoki jak mój

przyjaciel, ale mniej bestialski. Podobnie jak jego ojciec Kavax, głowę ma wygoloną i wytatuowaną w złote anioły. Psotne iskierki tańczą w sennych oczach pod krzaczastymi

brwiami.

– Żadna niespodzianka – syczy matka Cassiusa.

– Co za perfidia! – ryczy Kavax, ojciec Daxa. Przestaje gładzić swoją rozwidloną rudą brodę i przytrzymuje mocniej dużego lisa, którego trzyma w zagięciu lewego ramienia. – To cuchnie perfidią i faworyzowaniem. Nie jestem człowiekiem porywczym, ale czuję się

obrażony. Obrażony!

– Ostrożnie, Kavaxie – odgryza się chłodno Octavia. – Niektórych słów nie da się cofnąć.

– Dlatego właśnie je wypowiedział, nieprawdaż? – Daxo zerka na rody z Gazowych

Gigantów, gdzie, jak wie, znajdzie sojuszników, którzy poprą go w tej debacie. – Sądzę jednak, że poradzimy się ciębie od razu, Władczyni moja. Nawet twoje słowa nie mogą

zmienić prawa. Twój ojciec przekonał się o tym na własnej skórze, czyż nie?

Furie Władczyni groźnie wysuwają się naprzód, ale Octavia pozwala sobie tylko na

wymuszony uśmiech.

– Zapomniałeś, młody Telemanusie, że moje słowo *jest* prawem.

Oto coś, czego się nie robi. Złoty może rządzić Złotymi, ale do władzy absolutnej przyznaje się na własną odpowiedzialność. Władczyni tak długo zasiada już na Tronie

Poranka, że chyba o tym zapomniała. Jej słowa nie są prawem. Stały się wyzwaniem.

Wyzwaniem, które przyjmuję z otwartymi ramionami.

Władczyni wie, że jej wypowiedź była błędem, kiedy patrzy mi w oczy. W tej chwili oboje uświadamiamy sobie, że możemy wykonać tylko jedno posunięcie, któremu nie zdoła

przeciwdziałać.

– Nie odbierzesz mi tego, co należy do mnie – warczę.

Ruszam do Cassiusa. Ten unosi ostrze. Nigdy nie pozwolił mi załamać się w błocie Instytutu. Wie, że ja nie pozwolę mu się załamać teraz. Twarz mu blednie, gdy nacieram. Myśli o tym, co straci. I jak cenne było jego życie. Złoty do końca. Widownia krzyczy, żebym się zatrzymał i że to nie jest sprawiedliwe.

A przecież to właśnie jest uczciwe.

Inni pozwoliliby mi zginąć.

Cassius mierzy mi w gardło. To zmyłka. Macha biczem, w który zmienił miecz, aby owinać ostrze wokół mojej nogi. Zakłada, że się cofnę. Nacieram prosto na niego, pod łukiem bicia, przeskakuję mu nad głową, co możliwe jest w niskiej grawitacji, po czym robię zamach

biczem w tył i nawet się nie oglądam. Moje ostrze owija się wokół wyciągniętego prawego ramienia przeciwnika. Naciskam guzik, który sprawia, że broń zmienia się w miecz, i z trzaskiem, jak przy łamaniu zamrożonych gałęzi, odcinam Cassiusowi au Bellonie rękę od miecza.

Najpierw zapada cisza, potem wybucha wrzask. Nie odwracam się od razu. Kiedy jednak

to robię, Cassius nadal stoi, trzymając się jeszcze, choć niedługo, na tym świecie. Nikt się nie rusza, gdy mój wróg upada. Jego ojciec patrzy w ziemię bez słowa.

– Kazałam ci przestać! – krzyczy Władczyni. Dwie z Furi zeskakują z podwyższenia, w ich dłoniach tańczą ostrza.

– Zakończ to – rozkazuje Augustus.

Ostrożnie zbliżam się do Cassiusa. Spluwa na mnie, usta mu drżą. Pogardliwy nawet w

ostatnich chwilach. Unoszę ostrze. Wtedy jednak czuję dotyk na nadgarstku. Nie żelazny uścisk. Delikatny. Ciepły. Miękki.

– Wygrałeś, Darrow – mówi cicho Mustang, po czym podchodzi i staje przede mną, aby spojrzeć mi w oczy. Furie zatrzymują się na granicy kręgu. – Nie daj się w to wciągnąć.

Nie potrafię sobie wyobrazić Eo spoglądającej na mnie z Doliny. W tym piekle straciłem wiarę. Mustang przyniosła mi ją znowu. Eo patrzy albo nie. Jedno tylko jest pewne. Teraz spogląda na mnie Mustang, a to, co dostrzegam w jej oczach, sprawia, że opuszczam rękę z bronią. A Mustang uśmiecha się, jakby ujrzała mnie znowu po raz pierwszy od lat.

– Właśnie tak.

– *Zabić go!* – krzyczy matka Cassiusa. – Zabić go już!

– Nie! – wrzeszczy Imperator Bellony. Za późno.

Mustang otwiera szerzej oczy.

Odwracam się w porę, aby zobaczyć, jak krąg zostaje przerwany, zdeptany niczym granica wyrysowana na piasku. Nie od razu w całości, lecz ostrożnie. Ktoś z rodu Bellona pędzi na mnie w milczeniu, nisko, śmiercionośnie. Kolejny idzie za nim. Od świty Augustusa odrywa się Tactus. A za nim następny Lansjer. Słyszę wojenne wycie przyjaciela. Dołączają do niego inni. Więcej niż jeden Złoty z mojej armii obecny jest na tej sali.

Cagney au Bellona dopada mnie pierwsza. Ukradzione mi ostrze świszcze przy mojej szyi.

Robię unik, ale straciłbym głowę, gdyby Mustang nie wyszarpnęła własnej broni i nie odbiła uderzenia. Na twarz padają mi iskry, a Tactus z boku przecina Cagney czysto w pół.

Wrzask.

Krąg pojedynkowy całkowicie się rozpada. Złoci z Bellony i Augustusa pędzą, aby chronić swoich. Inni uciekają. Karnus atakuje Tactusa – to za wiele na mojego przyjaciela. Pędzę mu z odsieczą, ratuję, nim Victra i inni staną między nami a zabójcą. W zamieszaniu tracę Mustang z oczu. Rozglądam się za nią nerwowo. Ostrze błyska mi nad głową.

Wybucha głośniejszy krzyk, gdy Władczyni wzywa, by się uspokoić. Jednak nie może już nic zrobić. Kobieta krzyczy nad rozplatanym ciałem Cagney. Dziesiątki ludzi z bronią atakują się nawzajem. Tactus rzuca mi ostrze ukradzione przez Cagney. A potem przyjmuje cięcie na ramię, aby znowu mnie osłonić. Odwracam się do przyjaciela i chwytam za ramię wojownika Bellony, gdy wyciąga ostrze z Tactusa. Przyciągam rannego, wycinam sobie przejście. Ostrze tnie mnie w przedramię. W skłębionym tłumie miga mi Mustang, osłaniająca rannego Cassiusa.

Nie wiem, czy członkowie rodu Bellona jej nie zabiją. Pozwolili jednak, aby siedziała przy ich stole. Mimo to nie mam pewności. Ruszam do niej, napieram ciężarem ciała na

oddzielający nas tłum. Tactus pomaga.

Zderzam się z jakąś kobietą. Antonia. W jej oczach pojawia się błysk, gdy unosi nóż, aby pchnąć mnie w brzuch, jednak Victra, jej siostra, bije ją pięścią w twarz. Gdy Antonia upada, Tactus kopie ją w głowę. Victra posyła mi uśmiech, lecz wtedy Karnus powala ją

szarpnięciem za włosy. Mimo to wielkolud przegrywa starcie, gdy do akcji wkracza Leto i przechyla szalę zwycięstwa na swoją stronę przy pomocy tęczowego ostrza. Dołączają do niego Telemanusowie, ojciec z synem dziesiątkują Żłoty, którzy ośmielili się stanąć im na drodze, używając ostrzy o wiele dłuższych od mojego.

– Tactusie, za mną! – wołam.

Tactus krwawi, ale stoi pewnie i wyje dziko, jakby nadal walczył u boku Sevra. Razem

wyskakujemy wysoko w tej niskiej grawitacji. Mój przyjaciel wie, że idę po Mustang. Ale Bellona są zbyt liczni. Ostrza zbyt śmiertelne.

– Mustang! – krzyczę. Odpieram ataki dwóch mężczyzn z rodu Bellona. Jednego tnę przez twarz, drugiego uderzam egidą w gardło. Do starcia dołącza następny, a za nim osiłek o szerokich barach blokuje mi drogę.

– Chronić ArcyGubernatora! – woła do mnie Mustang. Głos ma o wiele bardziej opanowany

niż ja, przez co czuję się jak głupiec ze swoją próbą, aby zachować się po rycersku.

Oczywiście Mustang nie potrzebuje ode mnie ratunku. – Chronić mojego ojca!

Słucham rozkazu.

Pozwalam, aby Tactus szarpnął mnie w tył za kołnierz i zmusił do odwrotu. Ktoś jeszcze woła, abyśmy chronili ArcyGubernatora. Inni krzyczą, aby bronić Imperatora Bellony i

Cassiusa. Wiele głów rodów zostało wyprowadzonych przez zbrojne oddziały członków

rodziny, ostrza błyskają w gotowości. Wycofują się z iglicy przy pomocy wind, ponieważ buty grawitacyjne zostały zabronione. Sala pustoszeje. Pretorianie Władczyni – odziani w purpurę i czerń Obsydianowi i Żłoci – otaczają ją i wyprowadzają ze zrujnowanego pomieszczenia. W

dłoniach migoczą ostrza, także te pulsacyjne. Szarzy prowadzeni przez Aureata w barwach Pretorianów idą nas rozdzielić. Mają broń do opanowania tłumów, strzelają z miotaczy

pociskami z farbą lub strugami wody. Rozdzielają walczące familie jak chmurę much.

– Augustusie! – krzyczy wielkolud Karnus, gdy jak szaleniec wyrywa się z szeregów

Bellony i gna przez powalony tłum. Przewraca i odpycha tych, którzy przypadkiem znajdują się na

jego drodze, rozbija twarz Lansjera egidą, po czym atakuje ArcyGubernatora w nadziei, że zabije rywala swojego rodu jednym celnym ciosem. – Augustusie!

Leto, nasz najlepszy szermierz i ochroniarz Augustusa, staje między wielkoludem a ArcyGubernatorem.

– *Hic sunt leones!* – woła w niebo.

Porusza się jak fala, płynnie i przerażająco w swojej gracji. Odpiera Karnusa i już ma rozpruć mu brzuch... ale sztywnieje. Zatrzymuje się w pół ruchu. Karnus zatacza się w tył, po czym prostuje, zapewne zaskoczony, że wciąż jeszcze żyje. Przekrzywia głowę. Leto sięga do uda, jakby został ukąszony.

A potem opada powoli na kolano. Ramiona ma bezwładne. Długie włosy opadają mu na czoło. Wydaje się, jakby zmarł – zupełnie się nie rusza, choć wokół panuje chaos. W smutnych oczach odbija się odrzut silników okrętu przelatującego spokojnie po nieboskłonie.

Leto jest piękny w tej ostatniej chwili, zanim Karnus nie zetnie mu głowy.

– Leto! – wrzeszczy Augustus.

Oczy ma wytrzeszczone, gdy przepycha się przez Telemanusów, którzy próbują go otoczyć kręgiem bezpieczeństwa. A ja dostrzegam, jak Szakał wsuwa swój srebrzysty stylus do rękawa, ten sam, którym bawił się, gdy zaproponował mi potajemny sojusz.

Nasze spojrzenia się krzyżują.

Szakał szczyrzy zęby w uśmiechu.

A ja wiem już, że zawarłem pakt z diabłem.

*Rozdział trzynasty*

*Wściekłe psy*



Uciekamy na szczyt iglicy. Muszę zostawić Mustang. Wie, co robi. Nie rozumiem, jak

mogłem o tym zapomnieć. Przecież Mustang zawsze wie, co, do cholery, robić.

– Nie skrzywdzą jej – zapewnia mnie Augustus, a ja chyba po raz pierwszy dostrzegam w jego twarzy uczucia. Nie. Po raz drugi. Kiedy krzyknął imię Leta, było to, jakby stracił syna. I właśnie tak wygląda, wydaje się starszy o dwadzieścia lat. Stracił najstarszego syna. Stracił

drugą żonę, matkę swoich dzieci. A teraz stracił młodzieńca, którego adoptował, aby zastąpił

zmarłego syna, na dodatek boi się o dziewczynę tak podobną do zmarłej małżonki.

Jeżeli naprawdę ją skrzywdzą, będą mieli ze mną do czynienia.

Puściłem w ruch kołowrót zdarzeń. Nie mogło potoczyć się lepiej. Z dłoni kapie mi krew, rozlewa się między palcami, zbiera się w zagłębieniach i zmarszczkach skóry. Kłyckie robią się białe, gdy brakuje krwi. Obrzydliwość, ale właśnie do tego te ręce zostały stworzone.

Przedzieramy się przez zimowe drzewa, plamimy śnieg czerwienią. Wielu niesie rannych, niemal tuzin. Siedmioro zginęło. Ledwie dwunastu z całej świty wyszło z zamieszania bez szwanku. Inni zniknęli. Co gorsza, Leto nie żyje, asystent Pliniusza został rozplątany, a jedna z naszych Pretorek dostała ostrzem w szyję od Kellana au Bellony.

Unoszę Pretorkę w ramionach, próbuję powstrzymać krwawienie, gdy zjeżdżamy windą z

iglicy. Marne szanse. Victra przyciska do rany skrawek oddarty z sukni.

Oddałbym wszystko za parę butów grawitacyjnych. Otaczamy ciasnym kręgiem naszego

pana. Ostrza trzymamy w gotowości. Pot perli się na czole i spływa po plecach. Czerwone krople znaczą podłogę tam, gdzie stoi nasza grupa, spływają z ran i ostrzy. Jednak wokół

siebie widzę tylko uśmiechnięte twarze.

Gorąco mi w uniformie, więc rozpinam górne guziki. Tactus krwawi obok mnie. Ma ranę w lewym barku. Czyste pchnięcie.

– To tylko krew – zapewnia Victrę, która próbuje go opatrzyć.

– Masz dziurę.

– Co z tego? – Tactus uśmiecha się do jej talii. – Trochę krwi. Ty też masz dziurę, ale wcale na to nie narzekam. Auuuć!

Krzywi się, gdy Victra wciska mu opatrunek z sukni w ranę. Zaraz potem Tactus wybucha śmiechem z bólu, a później podnosi na mnie wzrok i kręci głową. W oczach błyszczy mu

dzikość i szczęście.

– Szkolenie u Lorna au Arcosa... Ty przebiegły gogusiu.

Ocalił mnie przed Cagney. Kiwam głową, zaciskam zakrwawione pięści i zapominam na chwilę o wcześniejszych sporach i nastawaniu na moje życie.

Wielu innych Złotych, Pretorów, Rycerzy i Lansjerów w szczególności – a mamy ich

więcej niż inne rody w porównaniu z liczbą dyplomatów i ekonomistów – ociera pot z twarzy, pozostawiając krwawe smugi. To ten typ ludzi, którzy, gdyby ich zapytać, powiedzieliby, że największym problemem Złotych w dzisiejszych czasach jest to, że wszystko zostało już podbite. Co oznacza, że nie ma nikogo, z kim warto walczyć. Ani przeciwko komu można

wykorzystać wyszkolenie i zdobytą siłę. Cóż, dzięki mnie właśnie posmakowali prawdziwej harataniny. A chociaż najbliższy ochroniarz ArcyGubernatora zginął, chociaż główna Pretorka wykrwawia się w moich ramionach, a Mustang znajduje się w rękach wroga, chcą nadal brać udział w tej grze. A zostawianie za sobą jak największej liczby zwłok to dzisiaj najwspanialsza gra.

Starsi i młodszy spoglądają na mnie z wyczekiwaniem. Pragną się spełnić.

Właśnie tak czuje się alfa, Prymus. Inni spoglądają na niego i oczekują rozkazów.

Wyczuwają zapach krwi od przywódcy, zanim się pojawi. Wiek się nie liczy. Doświadczenie się nie liczy. Liczy się tylko to, że zapewnię tym sukinsynom świeżą zdobycz, którą będą mogli zaszlachtować.

Zaskoczony unoszę głowę, gdy słyszę płacz dzieci. Synowie i córki najmłodszej siostry Augustusa. Ich ojciec głaszcze je po włosach i stara się uspokoić. Jego żona prycha, przyklęka i uderza w twarz każde dziecko, dopóki nie przestaną szlochać i pojękiwać.

– Bądźcie odważne.

Nasi Obsydiani i Szarzy nie czekają na dole. Zostali chyba odesłani. Nie ma też

Obsydianów ani Złotych Władczyni. Co oznacza, że Octavia au Lune jeszcze nie zdecydowała, co zrobić. Tak jak myślałem. Nie może nas zabić. Wymordowanie rodu przez inny ród to

jedno, ale taki postępek dokonany przez przywódcę posiadającego władzę i fundusze

powierzone przez Senat? Raz już się to zdarzyło i Suzeren został ścięty przez własną córkę.

Tę, która teraz zasiada na tronie.

Och, jakże musi mnie za to nienawidzić.

Na dole światła lamp padają na brukowane ścieżki, które przecinają gęsty las kwitnących drzew. Nie ma już muzyków, słyszymy tylko krzyki rozdzielone interwałami przerażającej ciszy. Złoci biegają we wszystkie strony. Pędzą do kamiennych sal za lasem, gdzie mogą się schronić w swoich statkach i odlecieć do domu. Nie wszyscy jednak uciekają. Niektórzy polują.

Stało się coś, czego się nie spodziewałem. Odżyły rodowe waśnie, które dziś w nocy doczekają się rozwiązania. Podobnie działo się w Instytucie, kiedy inni uczniowie zrozumieli, że to nie gra. I że nie ma zasad. To niesamowite, jak w takiej sytuacji człowiek się zmienia.

Mogło się wydawać, że to nie ludzie, lecz diabły przemykają po ziemi. Kto wie co stanie się teraz, gdy wszyscy już wiedzą, że zasady przestały obowiązywać.

W oddali skrada się czterech łowców. Grupa złożona z trzech mężczyzn i młodziutkiej kobiety przedziera się śmiało przez las. Przeskakują strumyk, po czym jak wygłodniały pędzą za zdobyczą. Młodzi i ambitni, zdaje się, że z rodu Falthe. Rozpoznaję Lilath o oczach jak rodzynki, dziewczynę, którą Szakal posłał, aby dostarczyła Cassiusowi nagranie, jak zabijam Juliana. Wraz z nią jest Cipio, postawny młodzieniec, który kiedyś przychodził do sypialni Antonii.

Obserwujemy ich w milczeniu, gdy zjeżdżamy windą. Śmiercionośni łowcy tyralierą zbliżają się pod osłoną drzew do niczego niepodważających członków rodu Thorne, odzianych w czerwień i biel. Zaskoczone ofiary rzucają się do kamiennych sal. Na ich sztandarze widnieje róża. Proporzec upada, gdy zabójcy wybiegają zza drzew. Ród ginie.

Przerażające, jak cicho i szybko osiąga się to za pomocą ostrzy. I jak bardzo się to różni od mojego pojedynku. Ja wyczekiwałem cierpliwie. Oni nie. Widzę, jak dziesięciolatek zostaje niemal przepołowiony. Nie ma litości dla Złotych dzieci. Nie uznaje się ich za niewinne. To nasienie wroga. Albo się je zniszczy teraz, albo będzie trzeba walczyć, gdy potomkowie dorosną. Kobieta w balowej sukni odpowiada ciosem na cios i zabija jednego z Falthe'ów, zanim pada pod śmiertelnym cięciem. Dwoje dzieci ucieka. Jedno jednak zostaje złapane.

Drugiemu udaje się wymknąć. Dziewczynka. Zostaje zupełnie sama.

A potem Lansjerzy rodu Falthe ruszają w tan. Robią długie, przesadne kroki, tupią głośno.

Odwracają się w różne strony, wbijają pięty w czarną ziemię. Tyle że to wcale nie jest taniec.

– Niech mnie piekło – przeklina Tactus, pocierając policzek.

– Dzieci... – szepcze Victra.

Augustus się nie odzywa, zachowuje kamienną twarz.

– Ród Thorne ma piętnaścioro dzieci. – Łzy wzbierające w oczach Victry zupełnie mnie zaskakują.

– Potwory – szepcze Szakal, a mnie po plecach przechodzą zimne ciarki, ponieważ tak cholernie dobrze gra swoją rolę. Te dzieci gównu go obchodzą.

Dzieci. Czy Eo śpiewałaby, gdyby wiedziała, jaki towarzyszyłby jej chór? Wszyscy nosimy własne brzemie. I kiedy zabójcy odsuwają się od zamordowanego rodu, uświadamiam sobie, że pewnego dnia ugnę się pod swoim brzemieniem i już nie podniosę. Lecz jeszcze nie dziś.

– Przekazniki danych padły – oznajmia Daxo au Telemanus. Pokazuje mi unipad na nadgarstku. – Urządzenia łączności nie działają. Chodzi o to, abyśmy nie mogli się skontaktować z naszymi okrętami na orbicie.

Augustus zerka na ciemny wyświetlacz swojego unipada i mówi, że wkrótce inne rody

wezwą swoich Obsydianów, Złotych i Szarych pomocników. Musimy oddalić się z Księżyca i zająć mocne pozycje, zanim sytuacja obróci się przeciwko nam.

– Rozpętałeś ten chaos, Darrow, więc teraz mnie stąd wydostań.

Pochyla się do niesionej przeze mnie Pretorki i sprawdza jej puls.

– Zostaw ją, umrze za chwilę. – Wyciera dłonie. – Dzieci wystarczająco nas spowolnią.

Pretorka mamrocze coś do mnie, gdy kładę ją na podłodze windy. Nie wiem, co mówi.

Kiedy umrę, nie powiem nic, ponieważ wiem, że po drugiej stronie czeka na mnie Dolina. A co czeka na tę wojowniczkę? Tylko ciemność. Nie zrozumiałem nawet jej ostatnich słów, zostawiliśmy ją jak złamany miecz. Zamykam jej oczy zakrwawionymi palcami, zostawiam

długie, krwawe smugi na twarzy umierającej. Victra ściska mi ramię – zauważyła, że okazałem szacunek.

Wstaję, po czym zaczynam wydawać rozkazy Lansjerom i innym wojownikom. Piętnastu

mogę uznać za dobrych zabójców. Niektórzy są w moim wieku, inni bardzo posunięci w

latach, żaden jednak nie próbuje mi się sprzeciwić. Nawet Pliniusz. A Telemanusowie

wydają się szczególnie chętni do wykonania moich poleceń. Patrzą mi w oczy dłużej, niż to konieczne, skłaniają głowy niżej, niż wymaga oficjalna grzeczność.

– Mam nadzieję, że nikogo nie zanudziłem.

Parskają śmiechem.

– Będziemy mieć towarzystwo, jeżeli inne rody uznają, że pozbawienie ArcyGubernatora głowy może im zapewnić przychylność Bellony lub Władczyni – podkreślam. – Musimy pozbyć się tych nadgorliwców i przedrzeć do hangarów. Telemanusie, wraz z synem będziesz cieniem ArcyGubernatora. Na nic innego nie zwracajcie uwagi. Zrozumiano?

Obaj kiwają wielkimi głowami.

– *Hic sunt leones.*

– *Hic sunt leones.*

Na dole czeka już na nas czterdzieścioro mężczyzn i kobiet. Rody Norvo z Trytona i Codovan z księżyców Jowisza.

– Marne szanse – wzdycha Tactus.

– Codovan i Norvo są nasi – zapewnia Augustus. – Przekupieni i opłaceni.

– O, łotry! Codowanie, ty okrutna bestio! – huczy Kavax. – Myślałem, że trzymasz z Belloną!

– Ci z Bellony też tak myśleli! – Augustus spodziewał się takiej odpowiedzi.

Przejmuję dowodzenie nad nową grupą Złotych. Znowu oczekuję, że ktoś się sprzeciwi, ale wszyscy tylko patrzą na mnie wyczekująco. Wszyscy ci Pretorzy, Politycy i żyłaści wojownicy.

Powstrzymuję chichot. Jakże zdumiewająca jest władza nad ludźmi, którzy wcale nie należą do moich podwładnych.

Eskortujemy ArcyGubernatora z lasu. Trzy razy zostajemy napadnięci, ale kazałem

wcześniej Tactusowi założyć pelerynę Augustusa i teraz przyjaciel odciąga wrogów, którzy dali się nabrać na tę przynętę. Z drzew opada na walczących Złotych tysiące różanych płatków w różnych odcieniach. Kiedy dotykają ziemi, wszystkie stają się czerwone.

Troje myśliwych z rodu Falthe próbuje złapać wracającego do nas Tactusa w zasadzkę.

Mój przyjaciel przy niewielkiej pomocy powala wszystkich oprócz Lilath. Dziewczyna

odskakuje, gdy ginie Cipio, po czym przebiega po zwłokach.

– Dzieciobójcy – syczy Tactus raz po raz, dopóki Victra nie odciąga go do reszty orszaku.

Rozglądam się za Szakalem. Mam wrażenie, że w każdej chwili mogę dostać strzałką w

plecy i umrzeć jak Leto. Ale Szakal tylko idzie za ojcem wśród reszty. Nikt nie zauważył, że zabił Leta. A jeżeli nawet, nikt nie ośmieli się o tym powiedzieć.

Kiedy docieramy do budowli za lasem i wreszcie przechodzimy przez most z piaskowca,

wygląda na to, że zasady rządzące Elitą znowu obowiązują. PodKolory umykają nam z drogi, gdy maszerujemy przez korytarze do hangarów, aby opuścić Księżyc. Jest nas

siedemdziesięcioro.

Kiedy jednak wpadamy do hangaru, okazuje się, że statku nie ma. Pędzimy do stanowisk

oddzielonych miedzami i pasami drzew. Wszystkie okręty rodowe zniknęły. Eskadry Elity patrolują niebo.

Przepytyjemy wstrząśniętego Pomarańczowego. Tactus unosi go za kołnierz. Nieszczęśnik trzęsie się na widok zakrwawionych wojowników. Nigdy wcześniej nie odzywał się do

Złotych, tym bardziej do takich jak my. Victra odpycha rękę Tactusa i zaczyna cicho rozmawiać z Pomarańczowym.

– Mówi, że okrętom rozkazano powrót do domu dwie godziny temu.

– Najpierw zabrania się Obsydianom wejścia na galę, a teraz to – mamrocze Tactus.

– Co oznacza, że Władczyni coś uknuła – zauważa Szakal. – Coś, co nie miało nigdy wyjść na jaw. Usunęła naszych Obsydianów i pozbyła się okrętów, aby odciąć rody od źródeł ich władzy.

Zerka podejrzliwie na Telemasów.

– Chciała nas poróżnić. Jak myślisz, ojcze, co takiego zaplanowała nasza Władczyni?

Augustus ignoruje syna, spogląda w niebo.

– Niech to szlag – przeklina Victra.

– Przygotować się! – woła Kavax do swoich wojowników.

– A niech mnie. – Tactus obok mnie blednie.

Unoszę głowę i patrzę na nadchodzącą zagładę.

– *Pretorianie!* – Siedemdziesiąt ostrzy znika, rozbiegamy się na wypadek, gdyby wróg miał broń energetyczną.

– Darrow, za mną – rozkazuje Augustus.

Nieprzyjaciele to jeszcze zaledwie kropki na nocnym niebie, ale nasze oczy są czujne.

Mroczni dranie wynurzają się zza nocnych chmur i uderzają w grunt jak upadłe anioły.

Wrogowie zawsze chodzą trójkami.

*Łup-łup-łup. Łup-łup-łup. Łup-łup-łup.*

Łądują na trawie między drzewami. Blokują nam drogę powrotną do Cytadeli.

Obsydianowi Pretorianie i Złoty komendant. Obsydiani są ogromni jak golemi wykute z

wielkich głazów. Okrutniejsi niż ci, z którymi mieliśmy do czynienia w Akademii. I chodzą w pancerzach, jakim nie dorównują żadne inne. Ciemnoczerwone intarsje błyskają na

napierśnikach, opasują ciała tych tytanów niczym korale. Ustawiają się w ciasną formację, lojalni i związani tylko ze sobą wiarą i doświadczeniem.

*Łup-łup-łup.* Jest ich już pięćdziesięciu pięciu. *Łup.* Ostatni, Złoty komendant opada na jedno kolano przy lądowaniu. Wstaje. Na wysokim hełmie nosi wyszczerzoną

czaszkę wilka. Wiatr szarpie jego złotą pelerynę, ozdobioną wyhaftowaną piramidą, symbolem społeczeństwa. Rycerz Olimpijski. W Układzie Słonecznym jest ich dwunastu. Wszyscy

przysięgli bronić Konwencji Elity przeciwko wszystkim, którzy spróbują ją naruszyć. Ten, który właśnie wylądował, to Rycerz Gniewu. Lorn pełnił to stanowisko przez sześćdziesiąt lat, dopóki nie odleciał na Europę. Rycerze reprezentują to, co Złoci uważają za dominujące cechy człowieka

– Opowiedz się, Rycerzu! – wołam.

Mężczyzna pozwala, aby hełm roztopił się w kryzie jego pancerza i odsłonił brzydką,

grubo ciosaną twarz. Mokrą od potu, pobruźdowaną wiekiem i napięciem. Wybucham śmiechem, gdy Rycerz wyszczerza zęby w krzywym uśmiechu. Przyciągam uwagę. Pewnie wszyscy uznają mnie za jeszcze większego szaleńca, niż im się wydawało. Rycerz Gniewu spada z nieba, a ja się śmieję.

Rycerz chichocze.

– Nie rozpoznałeś mnie, ty mały gównojadzie?

– Fitchner, wyglądasz paskudniej, niż pamiętam!

– Fitchner – prycha Tactus. – Nostalgia mnie ogarnia.

– Hej, chłopczyku – śmieje się Fitchner na widok Tactusa w pelerynie naszego pana. –

Ładne okrycie, ale raczej nie przypominasz ArcyGubernatora Augustusa.

Cmoka z dezaprobatą i bierze się pod boki.

– ArcyGubernatorze! ArcyGubernatorze! Gdzie, u diabła, jesteś, kochany?

Augustus przewraca oczami i wysuwa się przede mnie.

– Cenzor Marsa.

– Tu się schowałeś, kochanećku! Ten tytuł jest już nieaktualny, wiesz?

– Widzę, że masz nowy hełm.

– Śliczny, prawda? Kobietom bardzo się podoba. Nie pamiętam, żebym dawniej tak często spotykał się ze Złotymi damami jak teraz. – Fitchner sugestywnie kręci biodrami. – Musiałem się sporo namęczyć, żeby go dostać. Myślałem, że tym pojedyńkom i próbom nie będzie końca!

Zrobiliśmy to przed Władczynią, chłopczyku. Każdy mężczyzna i każda kobieta stanęli w swoim imieniu. Każdy, kto uważał, że to stanowisko należy się jemu. Raz po raz. Ale los sprzyja wrednym!

– Jak... – zaczynam się głośno zastanawiać. – Pobiłeś *wszystkich*?

– Wątpliwe – krzywi się ArcyGubernator. – Tak się dzieje tylko w przypadku wielkich wojowników.

Spogląda na Fitchnera z góry.

– Ale ty się do takich nie zaliczasz, Fitchner. Co obiecałeś Władczyni za ten hełm? Z pewnością cena była wysoka.

– Och, pławiłem się w blasku Darrowa, gdy pokonał twojego chłopaka. Cześć, Szakal, ty mały szmaciarzu. A potem były przekłete zawody i... cóż, możesz zapytać starszego brata Tactusa i Cenzora Jupitera o szczegóły... – Z drwiną przyjmuje heroiczną pozę. – Nie wszystko widać na pierwszy rzut oka w moim przypadku, nie?

– Zatem z nowym hełmem nie dostałeś nowego pana? – upewnia się Augustus.

– Pana? Phi! – Fitchner komicznie wypręża pierś. – Rycerze Olimpijscy nie mają innego pana niż własne sumienie. Bronimy Konwencji Elity, podlegamy tylko naszym obowiązkom.

– Kiedyś. Teraz podlegacie Władczyni – stwierdza Daxo.



– Jak wszyscy, drogi Telemanusie – odgryza się Fitchner. – Przy okazji chciałbym

powiedzieć, że jestem wielkim wielbicielem twojego brata i twojej rodziny. Wspaniały młot bojowy nosiłeś na turnieju w Tebach. Piekielnie straszny rodowód. Zawsze chciałem zapytać, który z waszych przodków pieprzył nosorożce?

Daxo unosi brwi na znak lekkiej urazy. Kavax mamrocze niemal tak, jak tylko Pax potrafił.

– Wybacz, co mówiłeś, niedźwiedziu? – Fitchner znowu wybuchają śmiechem. – Taki żart.

Trafny? Wszyscy jesteśmy sługami, nie? Przebrzydłymi niewolnikami tej, która dzierży berło.

– Rozumiem zatem, że twoja lojalność wobec Marsa to przeszłość i nie należy o niej...

wspominać? – cedzi Augustus. – Zwłaszcza że jesteś sługą.

Fitchner składa ręce osłonięte rękawicami.

– Mars? Mars? A co to jest Mars? Tylko przeklęty kawał skały. Nic dla mnie nie zrobił.

– Mars to dom, Fitchner. – Augustus ruchem ręki wskazuje na nas. – Władczyni rozkazała ci nas znaleźć. No cóż... Oto jesteśmy. Pobratymcy z twojej rodzimej planety. Przyłączysz się do nas lojalnie? Czy też wolisz nas wydać?

– Och, żartowniś z ciebie, Augustusie! Pierwszorzędny żartowniś. Jestem lojalny wobec Konwencji i wobec siebie, podobnie jak ty jesteś lojalny wobec własnej osoby, panie mój.

Nie liczy się dla ciebie jakiś tam kawał skały. Ani fałszywi pobratymcy. Daruj więc sobie przemowy. Nakazano mi zamknąć ciebie i twoich ludzi w areszcie domowym. Pamiętasz tę

wille, którą przygotowaliśmy dla twojej wygody? Byłoby miło, gdybyś tam się pofatygował.

Ciesz się naszą gością. Twoja Władczyni nalega.

– Zapominasz się – syczy Augustus.

– Zapominam o wielu rzeczach. Gdzie położyłem spodnie, kogo całowałem, kogo zabiłem.

– Fitchner dotyka swoich ramion, brzucha i twarzy. – Ale zapomnieć się? *Nigdy!*

Kiwa ręką na otaczających go Obsydianów.

– A z pewnością nie zapominam o swoich psach.

– A gdzie są moje? Gdzie Alfrun?

– Zabiłem twoje Skalane kundle. Oba – uśmiecha się Fitchner. – Szczekały, Augustusie.

Szczekały bardzo głośno.

Na twarzy ArcyGubernatora płonie gniew.

– Mam nadzieję, że nie byli kosztowni, chłopczyku – rzuca Fitchner drwiąco.

– Mówisz, jakbyśmy byli krewniakami, *burku*.

– Jesteśmy krewniakami.

– I jakbyśmy byli sobie równi. Ale nie jesteśmy. Pochodzę od zdobywców, od Żelaznych

Złoty! Jestem władcą planety. A ty? Tylko...

– Człowiekiem z ogłuszaczem. – Fitchner strzela Augustusowi w pierś. ArcyGubernator pada w ramiona swoich Pretorów. – Tak się to kończy, gdy się nie zakłada zbroi na galę.

Rozgląda się po naszej gromadzie.

– No? Kto jeszcze chce ze mną dyskutować?

– Ja. – Szakal występuje z szeregu. – Jestem dziedzicem tego rodu.

– Hmm... proszę! Jesteś obrzydliwy.

Strzela Szakalowi w pierś z ogłuszacza.

– Głupota! Dość już tej głupoty! – Kavax występuje, odsunawszy swojego syna. –

Rozmawiaj ze mną lub z Darrowem. Twoje zamiary są przecież oczywiste.

– W rzeczy samej. Darrow, pójdiesz ze mną.

– Akurat – krzywi się Victra i staje między mną i Fitchnerem.

Fitchner tylko przewraca oczami.

– Telemanusie, zabierzcie wraz z synem ArcyGubernatora do jego willi, a potem wróćcie do swojej. Trzeba załatwić parę spraw. – Przygląda się łysemu Złotemu w milczeniu, zanim znowu się odzywa. Jego słowa są jak skrzypienie żelaza po wypalanej glinie. – To nie jest prośba, *Telemanusie*.

Telemanus patrzy na mnie.

– Mój chłopak mu ufał. Zatem i ja powinienem.

– Chcę twojego zapewnienia, że moi przyjaciele nie zostaną skrzywdzeni – zwracam się do Fitchnera.

Rycerz zerka na Victrę.

– Nie zostaną skrzywdzeni.

– Przekonaj mnie.

Fitchner wzdycha ze znużeniem.

– Władczyni nie może tak po prostu wymordować całego rodu bez procesu o zdradę.

Nieprawdaż? Naruszyłyby tym warunki Konwencji. A sam wiesz, jak by to mogło wpłynąć na samopoczucie Rycerzy Olimpijskich, nie wspominając o innych rodach. Pamiętaj, jak skończył

ojciec Władczyni. Ale jeżeli będziesz stawiał opór, cóż... to zupełnie inna kwestia. – Rycerz wkłada do ust kawałek gumy do żucia. – Będziesz stawiał opór?

– Nie dzisiaj – zapewniam.

## *Rozdział czternasty*

### *Władczyni*

– Dawno, dawno temu żyła sobie rodzina o silnej woli. – Słowa płyną powoli, rytmicznie, przypominając stukanie metronomu. – Nie kochała się, ale razem zarządzała gospodarstwem.

A w tym gospodarstwie były psy, suki, mleczne krowy, kury i koguty, a także owce, osły i konie. Rodzina zajmowała się swoim inwentarzem, a inwentarz przynosił bogactwo, żywność i szczęście. Zwierzęta były posłuszne, ponieważ wiedziały, że rodzina jest silna i

nieposłuszeństwo sprowadzi na krnąbrną bestię gniew wszystkich opiekunów. Jednak

pewnego dnia, kiedy jeden z braci podbił oko drugiemu, kogut powiedział do kury: „Kochana kwoko, co by się tak naprawdę stało, gdybyś przestała składać dla nich jaja?”.

Oczy czytającej wbijają się we mnie. Żadne z nas nie odwraca spojrzenia. Ciszę w

skromnym salonie zakłóca tylko szum deszczu za oknami wieżowca. Znajdujemy się ponad

chmurami. Statki przelatują obok raz po raz jak ciche, lśniące rekiny. Skóra skrzypi, gdy kobieta pochyla się i splata długie palce. Paznokcie ma pomalowane na czerwono, jedyny wyrazisty kolor w

otoczeniu. Potem wykrzywia protekcyjnie usta i zaczyna akcentować każdą sylabę, jakbym był ulicznikiem z Agei, który dopiero uczy się jej języka.

– Pod wieloma względami tak bardzo przypominasz mi ojca.

Tego, którego ścięła.

I wtedy uśmiecha się do mnie – to najbardziej enigmatyczny uśmiech, jaki w życiu

widziałem. W oczach tańczą jej psotne iskierki, stłamszone zimnymi okowami władzy. Gdzieś we wnętrzu kryje się ta dziewięcioletnia dziewczynka, która wywołała niesławne zamieszki, ponieważ zaczęła z pojazdu rzucać diamenty.

Stoję przed nią. A ona siedzi na sofie przy ogniu. Wszystko tutaj jest spartańskie. Twarde.

Zimne. Złota kobieta z żelaza i kamienia. Ten prymitywizm ma pokazać chyba, że nie potrzeba jej luksusu czy bogactwa, wystarczy sama władza.

Kobieta ma zmarszczki na czole, ale czas jej nie tknął. Sto lat, a przynajmniej tak

słyszałem, ani dworskie naciski nie odbiły się na jej twarzy. Jeżeli czas i naciski miały jakiś wpływ, zapewne upodobniły ją do diamentów, które rozrzuciła. Stała się niezłomna.

Ponadczasowa. I jeżeli Snycerze będą kontynuować u tej kobiety kurację odnowy komórek, czas jeszcze długo nie zdoła jej dopaść.

W tym problem. Władczyni zbyt długo pozostaje u steru. Król rządzi, a potem umiera – taka jest naturalna kolej rzeczy. Właśnie dlatego młodzi słuchają starszych – wiedzą, że nadejdzie ich kolej. Co się jednak dzieje, kiedy starsi nie ustępują ze stanowisk? Kiedy Władczyni rządzi przez czterdzieści lat i może sprawować władzę jeszcze przez wiek? Co wtedy?

Ta kobieta jest odpowiedzią na to pytanie. Nie odziedziczyła Tronu Poranka. Odebrała go władcy, który nie raczył umrzeć w stosownym czasie. Przez czterdzieści lat inni próbowali przejąć tron. A jednak ta kobieta nadal sprawuje władzę.

– Dlaczego mnie nie posłuchałeś? – pyta.

– Ponieważ mogłem.

– Wyjaśnij.

– Nepotyzm kurczy się w blasku słońca. Kiedy zmieniłaś zasady i zaczęłaś chronić

Cassiusa, tłum przestał wierzyć w twoją etykę i autorytet. Nie wspominając, że sama sobie zaprzeczyłaś. I choćby to stanowi oznakę słabości. Dlatego wykorzystałem ją, wiedząc, że

mogłem zdobyć to, czego chciałem, i nie ponieść konsekwencji.

Aja, ulubiona zabójczyni Władczyni, siedzi w zamyśleniu przy oknie – potężna kobieta-

pantera o skórze ciemniejszej niż jej krewniacy i oczach o zwężonych źrenicach. Należy do Rycerzy Olimpijskich, nosi tytuł Pani Przemian. Przede mną była ostatnią uczennicą Lorna.

Chociaż Lorn nie nauczył jej wszystkiego. Jej cyberZbroja jest złoto-granatowa z wijącymi się wężami morskimi.

Młody chłopiec wchodzi cicho z sąsiedniego pokoju i siada obok Ai. Rozpoznaje go od razu. Jedyne dziecko Władczyni, Lysander. Najwyżej ośmioletni, ale za to dobrze ułożony.

Królewski w swoim milczeniu, ale chudy jak sznurek. Jednak jego oczy... Jego oczy nie są złote, są bardziej niż złote. Niemal krystalicznie żółte i tak jasne, że wydają się świecić. Aja obserwuje mnie, gdy przyglądam się chłopcu. Sadza go sobie na kolanach i obejmuje

obronnie, po czym odsłania zęby, których biel ostro kontrastuje z ciemną skórą. Zachowuje się jak wielki kot, a to ma być powitanie z rozbawieniem. Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, odwracam wzrok od niebezpieczeństwa. A potem czuję palący wstyd. Równie dobrze

mógłbym przed nią klęknąć.

– Konsekwencje ponosi się zawsze – stwierdza Władczyni. – Ciekawi mnie jednak, co chciałeś osiągnąć tym pojedynkiem.

– To samo, co Cassius au Bellona. Wyrwać wrogowi serce.

– Tak bardzo go nienawidzisz?

– Nie. Ale mój instynkt przetrwania skłaniał mnie do pojedynku... z entuzjazmem. Cassius, o ile chodzi o mnie, to głupi chłopak, któremu wychowanie wyrządziło dużą krzywdę. Jego możliwości są ograniczone. Mówi wiele o honorze, ale zniża się do nieszlachetnych posunięć.

– Zatem nie chodziło o Virginie? – upewnia się Władczyni. – Nie zamierzałeś walczyć o jej rękę albo aby dać upust gniewnej zazdrości?

– Jestem rozgniewany, ale nie podły – pryham. – Poza tym Virginia nie jest kobietą, którą zdobywa się w taki sposób. Gdybym zrobił to dla niej, na pewno bym ją stracił.

– Już ją straciłeś – warczy Aja spod okna.

– Tak. Mam świadomość, że znalazła nowy dom, Ajo. Łatwo to dostrzec.

– Naskakujesz na mnie, młodzieńcze? – Aja dotyka swojego ostrza.

– Gdzieżbym śmiał, pani. – Uśmiecham się do niej lekko.

– Wyprułały ci flaki jak świni, chłopczyku – wtrąca się Fitchner. – Nawet nie myśl, że dałbyś jej radę, nawet jeśli Lorn nauczył cię podcierania tyłka. Dobrze się zastanów, kogo tutaj obrażasz. Prawdziwe ostrza Elity nie pojedynkują się dla sportu. Dlatego lepiej trzymaj swój przeklęty język za zębami.

Dotykam swojego ostrza.

Fitchner prycha.

– Myślisz, że wszedłbyś tutaj z bronią, gdybyś stanowił choćby niewielkie zagrożenie?

Kłaniam się Ai lekko.

– Może innym razem. – A potem prostuję się i odwracam do Władczyni. – Powinniśmy

chyba przedyskutować, dlaczego trzymasz mojego pana pod zbrojną strażą. Czy zostaliśmy aresztowani? Ja też?

– A widzisz kajdany?

Zerkam na Aję.

– Owszem.

Władczyni wybucha śmiechem.

– Jesteś tutaj, ponieważ tego chciałam.

Wtedy wpada mi do głowy pomysł. Próbuję się nie uśmiechnąć.

– Pani moja, powinienem przeprosić – oznajmiam stanowczo. Wszyscy czekają, aż

dokończę. – Moje maniery są... prowincjonalne. Dlatego zawsze okazuje się, że moje czyny mijają się z celem. Prawdą jest, że Cassius zasłużył na więcej, niż dostał ode mnie. Ani ja, ani ArcyGubernator nie zamierzaliśmy cię obrazić swoim nieposłuszeństwem. Gdyby był

świadom, że przysłałaś swojego psa – zerkam na Fitchnera – na pewno zrobiłby, co należy, aby ci to wynagrodzić.

– Wynagrodzić – powtarza Władczyni. – Co...?

– Zamieszanie.

Patrzy na Aję.

– Zamieszanie, mówi. Zamieszanie, Andromedusie, to przypadkowe upuszczenie naczynia.

Narzucanie się żonie innego, to też *zamieszanie*. Ale zabijanie moich gości i odcięcie ramienia

Rycerzowi Olimpijskiemu to nie zamieszanie. Wiesz, co to jest?

– Zabawa, pani moja?

Władczyni pochyla się lekko.

– Zdrada.

– A dobrze wiesz, jak traktuje się zdrajców – dodaje Aja. – Mój ojciec nauczył tego i mnie, i siostrę.

Jej ojciec, Pan Popiołów, który spalił Reę. Lorn się nim brzydził.

– Twoje przeprosiny są niewystarczające – stwierdza Władczyni.

– Przeprosiny? – pytam zdziwiony.

Ton mojego głosu ją zaskakuje.

– Powiedziałem, że *powiniennem* przeprosić. Problem jednak w tym, że nie mogę, ponieważ to ty winnaś przeprosić mnie.

Cisza.

– Ty smarkaczu... – Aja podnosi się powoli.

Władczyni powstrzymuje ją, padają słowa ostre i zimne.

– Nie przepraszałam ojca, gdy ścięłam mu głowę. Nie przeprosiłam wnuka, gdy statek jego matki został zniszczony przez wyrzutków. Nie przeprosiłam, gdy spaliłam księżyc. Dlaczego zatem miałabym przepraszać ciebie?

– Ponieważ złamałaś prawo.

– Zapewne nie słuchałeś. Prawo *to ja*.

– Niestety nie.

– Zatem jesteś jednak uczniem Lorna. Powiedział ci, dlaczego porzucił swoje stanowisko?

I swój obowiązek? – Zerka na Lysandra. – Dlaczego opuścił swojego wnuka?

Nie wiedziałem, że ten chłopiec to wnuk Lorna. Odejście mojego nauczyciela w stan

spoczynku nagle nabrało sensu. Zawsze mówił o gasnącej chwale Elity. O tym, jak ci ludzie zapomnieli, że są śmiertelni.

– Ponieważ ujrzał, kim się stałaś, pani moja. Nie jesteś Imperatorką. A to nie jest

imperium, choć może sądziś inaczej. Jesteśmy Elitą. Łączy nas prawo i hierarchia. Nikt nie stoi poza tą piramidą. – Spoglądam na jej zabójców. – Fitchnerze, Ajo, chronicie Elitę.

Zapewniacie pokój. Podążacie w najdalsze zakamarki Układu Słonecznego, aby zniszczyć załóżki chaosu. Ale oprócz tego jaki jest najważniejszy cel istnienia dwunastu Rycerzy Olimpijskich?

– Śmiało – zachęca Aja Fitchnera. – Weź udział w jego dziecinnej grze. Ja nie mam zamiaru.

– Zachowanie Konwencji – cedzi Fitchner przez zaciśnięte zęby.

– Zachowanie Konwencji – powtarzam. – A Konwencja mówi jasno: „Pojedynek, gdy raz

się zacznie, nie może zostać rozstrzygnięty, dopóki jego warunki nie zostaną spełnione”.

Warunkiem było „na śmierć i życie”. Ale Cassius żyje. Jego ramię nie wystarczy. Czczę żelaznych przodków i moje prawo pozostaje w mocy. Daj mi zatem to, co należy do mnie. Daj mi przeklętą głowę Cassiusa au Bellony. Albo odrzuć dziedzictwo naszego ludu.

– Nie.

– Zatem nie mamy o czym dyskutować. Znajdziesz mnie na Marsie.

Odwracam się na pięcie i ruszam do drzwi.

– Lwy upadną – rzuca za mną Władczyni. – Znajdź nowy ród. Tutaj.

Zatrzymuję się w pół kroku. Ci ludzie są tak cholernie przewidywalni. Zawsze chcą tego, czego nie mogą mieć.

– Dlaczego mam zostać? – pytam. Nawet nie odwracam głowy.

– Ponieważ mogę zapewnić ci środki, jakich Augustus nie zdoła. Ponieważ Virginia już się przekonała, że to prawda. Chcesz z nią być, prawda?

– Dlaczego chcesz mieć człowieka, który tak łatwo zmienia strony? – Odwracam się i

spoglądam nieruchomo w oczy Fitchnera. – Ktoś taki niczym nie różni się od pospolitej dziwki.

– Augustus porzucił cię, zanim ty to zrobiłeś – wytyka mi Władczyni. – Jego córka

dostrzegła to, nawet jeżeli sam nie zauważyłeś. Ja cię nie opuszczę. Zapytaj moje Furie.

Zapytaj ich ojca. Zapytaj Fitchnera. Daję szansę tym, którzy odstają od reszty. Dołącz do mnie.

Poprowadź moje legiony, a uczynię cię Rycerzem Olimpijskim.

– Jestem Aureatem. – Sплюwam na podłogę. – Nie trofeum.



I ruszam przed siebie.

– Jeżeli ja nie mogę, nikt inny cię nie dostanie.

A potem przychodzą oni. Trzej Skalani zastawiają drzwi. Każdy o stopę wyższy ode mnie.

Każdy odziany w purpurę i czerń, dzierżący ostrza pulsacyjne i pulsTopór. Twarze Skalanych skrywają maski jak z kości. Oczy zabójców wyszkolonych na mroźnych biegunach Ziemi i

Marsa świdrują mnie bezlitośnie. Czarne, lśniące, bezdenne. Wyciągam własne ostrze i

przyjmuję pozycję bojową. Gardłowa pieśń wojenna dudni spod masek niczym lament żałobny dla martwego boga.

– Śmiało. Śpiewajcie swoim bogom. – Zakręcam ostrzem. – Wkrótce pošę was na spotkanie z nimi.

– Kosiarzu, przestań, proszę – woła Lysander. Odwracam się. Chłopiec podchodzi do mnie z wyciągniętymi błagalnie rękoma. Jego strój jest prosty i czarny. Dzieciak sięga mi ledwie do pasa.

Jego głos płynie, drży jak u drobnego ptaka.

– Oglądałem twoje nagrania, Kosiarzu. Sześć, może siedem razy. Nawet te z Akademii.

Moi nauczyciele uważają cię za najbardziej Żelaznego Złotego od czasów Lorna au Arcosa.

Dopiero teraz dociera do mnie, dlaczego ten dzieciak wydaje się tak zdenerwowany.

Jestem dla tego małego drania idolem.

– Nie chcemy patrzeć, jak dzisiaj umierasz. Nie mógłbyś znaleźć tutaj domu, tak jak z Sevrem? Z Rokiem i Tactusem, i Paxem, z Wyjcami i wszystkimi swoimi wojownikami? My

także mamy wojowników. Szlachetnych i honorowych. Mógłbyś nimi dowodzić. Ale... – cofa się – jeżeli będziesz walczył, zginiesz, ponieważ mylnie sądzisz, że słusność wyłącza cię spod władzy mojej babki.

– Tak jest – zapewniam.

– Kosiarzu, jej władza sięga wszędzie.

Zatem tak to się robi. Dzieciom daje się idoli. Wychowuje się je w kłamstwie i przemocy, a potem pozwala, żeby wyrastały na bestie. Kim byłby Lysander bez takiego przewodnictwa?

– Chciał cię zobaczyć – mówi Władczyni. – Powiedziała mu, że legendy zawsze różnią

się od rzeczywistości. I lepiej nie spotkać swojego idola.

– A ty jak uważasz? – pytam małego Lysandra.

– Wszystko zależy, jakiego dokonasz wyboru – odpowiada cicho.

– Dołącz do nas, Darrow – mruczy Fitchner. – Teraz to miejsce dla ciebie. Augustus jest skończony.

Uśmiecham się w duchu, opuszczam nieco ostrze. Lysander radośnie zaciska pięść.

Podchodzę z nim do babki, odgrywając rolę, ale bez deklaracji, że zmieniam stronę.

– Zawsze każesz mi ulegać – rzucam Fitchnerowi, gdy go mijam. Wzrusza ramionami.

– Ponieważ nie chcę, abyś się złamał, chłopcze.

– Lysandrze, przynieś mi szkatułkę – prosi Władczyni. Chłopiec szybko wychodzi z pokoju, a ja zajmuję miejsce naprzeciw jego babki.

– Obawiam się, że Instytut udzielił ci złej nauki, że możesz zwyciężyć wszystko, jeśli tylko spróbujesz. To fałsz. W prawdziwym świecie musisz się dostosować. Musisz współpracować i iść na kompromis. Nie możesz dopasować światów do swojej etyki.

– Czy zauważyłaś, żebym nie próbował?

Władczyni uśmiecha się lekko.

– Zapewne nie.

Lysander wraca niedługo potem, niosąc małą drewnianą skrzynkę. Wręcza ją babce i czeka cierpliwie u jej boku, podjadając ciastko, które podsunęła mu Aja. Władczyni stawia skrzynkę na stole.

– Cenisz zaufanie. Ja również. Zagrajmy zatem w grę bez broni i pancerzy. Żadnych Pretorianów. Żadnych kłamstw. Żadnego oszukiwania. Tylko my i nasza naga prawda.

– Dlaczego?

– Jeżeli wygrasz, możesz mnie prosić o wszystko. Jeżeli ja wygram, zrobię to samo.

– A jeżeli poproszę o głowę Cassiusa?

– Odetnę ją własnoręcznie. A teraz otwórz szkatułkę.

Pochylam się. Trzeszczy skórzane obicie. Za oknami bębni deszcz. Lysander się uśmiecha.

Aja obserwuje moje dłonie. A Fitchner, jak ja, nie ma pojęcia, co znajduje się w tej cholernej skrzynce.

Otwieram ją.

## *Rozdział piętnasty*

### *Prawda*

Tylko nadludzkim wysiłkiem woli udaje mi się nie uciec. Ze skrzynki wysuwa się syczący koszmar, żywcem wyjęty z głębi mojej podświadomości. Niemal uwierzyłem, że Władczyni

wie, skąd pochodzę. Skąd *naprawdę* pochodzę.

– To gra w pytania – wyjaśnia Władczyni. – Lysandrze, proszę, czyn honoru.

Podaje wnukowi nóż. Chłopiec przecina mi rękaw uniformu do łokcia i podwija tkaninę, aby odsłonić przedramię. Ręce ma delikatne. Uśmiecha się do mnie przeprasząco.

– Nie obawiaj się – mówi. – Nic złego się nie stanie, dopóki nie skłamiesz.

Rzeźbione stworzenia ze szkatułki, dwa monstra, mają po troje ślepych oczu, które we mnie wbijają. Częściowo to skorpiony. Częściowo żmije jaskiniowe. Częściowo skolopendry.

Poruszają się jak płynne szkło – organy wewnętrzne i szkielet są widoczne przez skórę, chitynowe żuwaczki klekoczą i syczą równocześnie. Jeden z tych stworów wyslizguje się na stół.

– Żadnych kłamstw. – Zmuszam się do śmiechu. – Niełatwe polecenie dla dziecka.

– Lysander nigdy nie kłamie – odpowiada Aja z dumą. – Nikt z nas tego nie robi.

Kłamstwo to rdza na żelazie. Skaza na władzy.

Władzy, która tak ich upaja, że nie pamiętają nawet, ile razy już skłamali.

*Powiedz moim ludziom, że nie kłamiesz, ty brutalna suko, a przekonasz się, co ci zrobią.*

– Nazywam je Wyrocznie – mówi Władczyni. Jeden z jej pierścieni rozlewa się i powoli

formuje na palcu pancerz zakończony pazurem, długą igłą. Właśnie nią Władczyni nakłuwa mi nadgarstek ze słowami:

– Prawda ponad wszystko.

Jedna z Wyroczni zbliża się, prześlizguje mi się na przedramię, owija wokół nadgarstka.

Jej dziwna paszcza szuka krwi, przysysa się jak pijawka. Skorpion ogon unosi się na cztery cale, kołysząc się lekko niczym źdźbło trawy na wietrze. Władczyni nakłuwa własne

przedramię i powtarza przysięgę, a wtedy druga Wyrocznia wyslizguje się ze skrzynki.

– Zanzibar Snycerz zaprojektował je specjalnie dla mnie w swoich himalajskich

laboratoriach. Ich jad cię nie zabije, ale mam cele pełne ludzi, którzy grali ze mną i przegrali.

Jeżeli piekło istnieje, zawarte jest w tych żądlach, przynajmniej na tyle, na ile zdołała to osiągnąć nauka.

Tętno mi przyspiesza, gdy patrzę na kołysanie się skorpioniego ogona.

– Sześćdziesiąt pięć. – Aja zdążyła już zmierzyć mi puls. – Spoczynkowe wynosiło u niego dwadzieścia dziewięć uderzeń na minutę.

Władczyni unosi głowę na tę informację.

– Tak niskie? Dwadzieścia dziewięć?

– Czy choć raz mój słuch zawiódł?

– Uspokój się, Andromedusie – nakazuje Władczyni. – Wyrocznia została zaprojektowana

tak, aby mierzyć prawdę. Wykrywa ją w drobnych zmianach temperatury, związkach

chemicznych we krwi, w biciu serca.

– Nie musisz grać, jeżeli nie chcesz, Darrow – mruczy Aja pieszczotliwie. – Możesz

wybrać łatwiejszy sposób z Pretorianami. Śmierć nie jest taka zła.

Rzucam Władczyni groźne spojrzenie.

– Grajmy.

– Zabiłbyś mnie dzisiaj wieczorem, gdybyś mógł?

– Nie.

Wszyscy spoglądamy na Wyrocznię. Nawet ja. Gdy nic się nie dzieje, przełykam z ulgą.

Władczyni uśmiecha się do mnie.

– Ta gra nie ma końca – mamroczę. – Jak mam wygrać?

– Spraw, abym skłamała.

– Ile razy grałaś w tę grę? – pytam.

– Siedemdziesiąt jeden. W końcowym rozrachunku zaufałam tylko jeszcze jednej osobie.

Gdzie Augustus ukrywa swoją niezarejestrowaną broń elektromagnetyczną?

– Posterunki na asteroidach, ukryte arsenały we wszystkich miastach Marsa. – Wymieniam szczegółowe lokacje. – I pod podwyższeniem w swojej sali audiencyjnej.

To zaskakuje zebranych.

– Gdzie jest twoja?

Władczyni szybko wymienia sześćdziesiąt lokalizacji. Mówi wszystko, ponieważ nigdy nie przegrywa. Nie musi się martwić, że informacje wyjdą za drzwi jej pokoju. Co za pewność siebie.

– Co oznacza dla ciebie ten medalion z pegazem? – pyta. – Masz go od ojca?

Spuszczam wzrok. Medalion wysunął mi się spod koszuli.

– Oznacza nadzieję. Część dziedzictwa mojego ojca. Pomagałaś Karnusowi w Akademii?

– Tak. Dałam mu ten okręt, którym cię staranował. Naprawdę zamierzałeś wystrzelić się na jego mostek?

– Tak. Dlaczego wpuściłaś Virginie do swojego wewnętrznego kręgu?

– Z tych samych powodów, z jakich ty się w niej zakochałeś.

Puls mi przyśpiesza. Aja uśmiecha się, gdy to słyszy.

– Virginia jest wyjątkowa. I obie mamy ojców, którzy... pozostawiają wiele do życzenia.

Kiedy byłam dziewczynką, oddałabym wszystko, byle należeć do innej rodziny. Ale byłam córką Suzerena. Podarowałam jej coś, czego mnie nikt nie dał.

Spogląda na mnie uważnie.

– Bo widzisz, Andromedusie, kolekcjonuję ludzi, którzy sprawiają mi przyjemność. A przyjemność sprawia mi nawet obecny tutaj Fitchner. Wielu uważa, że jest odpychający.

Uznają jego pochodzenie za niestosowne, ale podobnie jak ty, Fitchner jest bardzo

utalentowany. Kiedy poprosiłam, aby ze mną zagrał, zanim zostanie jednym z moich Rycerzy Olimpijskich, wiesz, co mi odpowiedział?

– Mogę się domyślić.

– Fitchner...

Rycerz wzrusza tylko swoimi przygarbionymi ramionami.

– Powiedziałem, żebyś wsadziła sobie to pudełko w dupę. Nie jestem głupi.

– Myślę, że było to nawet bardziej wulgarne – prycha cicho Aja.

– Moja kolej. – Władczyni przygląda się uważnie swojemu Rycerzowi Gniewu. – Czy

Fitchner złamał swoją przysięgę Cenzora i oszukiwał w Instytucie Marsa, jak słyszałam z plotek?

– Tak. – Obserwuję Wyrocznieź zamiast swojego dawnego Cenzora. – Oszukiwał jak pozostali.

Wiem, że Fitchner nie dostałby swojego stanowiska, gdyby Władczyni nie była pewna, że

lojalność okazuje tylko jej, nie ArcyGubernatorowi. Co znaczy, że Fitchner musiał się oczyścić i wyjawiał swojej pani wszystkie złe uczynki Augustusa w Instytucie. Ze szczegółami.

– Chociaż nie wiem, czy był opłacany jak pozostali.

– Nie był. Ich błąd – zapewnia mnie Władczyni. – Dał nam dowody na nagraniach. Wideo i audio. Kwity bankowe. Użyteczna przewaga, której można użyć przeciwko każdemu z

Cenzorów.

Sevro musiał dać ojcu nagrania, kiedy się nimi zajmował na moje polecenie. Przebiegły mały drań. Jednak naprawdę zależało mu na ojcu. Augustus zabiłby ich obu, gdyby wiedział o tym podstępie.

Chcę przepytac Władczynię o posterunki wojskowe. Linie zaopatrzenia. Cele operacyjne i środki bezpieczeństwa. Ale wiem, że wzbudziłbym wtedy podejrzenia. Mogłoby ją to skłonić do zadawania niewygodnych pytań. Wyrocznia zaciska się nieznacznie na moim

przedramieniu, wysysa tylko niewielką kroplę krwi na raz. Nie wiem, jak dobrze to

stworzenie wykrywa nieprawdę. Ale co zrobię, gdy Władczyni zapyta, gdzie się urodziłem?

Kim jest mój ojciec? Dlaczego przed walką rozcieram w palcach pył? Cholera. Równie

dobrze może mnie zapytać, czy jestem Czerwonym. Ale jak miałyby się tego domyślić, jeżeli nie dam jej poznać, że coś jest ze mną... nie tak?

– Czy ktoś z mojego wewnętrznego kręgu szpieguje dla ciebie? – pytam.

– Bardzo sprytnie. Nie. Dokąd udałeś się z Victrą au Julii trzy dni temu? I co robiłeś? – rzuca pytanie Władczyni.

– Wybraliśmy się do Zagubionego Miasta. – Wyrocznia wyczuwa chyba, że nie mówię wszystkiego. – Żeby spotkać się z Szakalem, synem Augustusa. – Zaciska się mocniej. – Aby zawrzeć sojusz.

Po szyi ścieka mi pot, ale Wyrocznia się rozluźnia, odpowiedź okazuje się wystarczająca.

– Dlaczego nazwano Lorna Kamiennokórnym?

– Nie powiedział ci? Nie dlatego, że jest twardy jak kamień, choć teraz tak się mówi.

Dlatego, że w kampanii podczas buntu na Księżycu zasłynął z tego, że potrafił zjeść wszystko.

I pewnego razu jakiś Szary założył się, że Lorn nie zje kamieni. A Lorn się nie cofnął. Kiedy cię uczył?

– Co rano przed świtem, kiedy już zakończyłem naukę w Instytucie, a zanim wstąpiłem do Akademii.

– Nie do wiary, że nikt nie zauważył.

– Jak wielu jest Niezrównanych Naznaczonych? – pytam. – Wyjątkowo trudno dostać się do danych cenzorskich.

Zarząd Kontroli Jakości strzeże swoich tajnych danych jak stuoki potwór.

– Sto trzydzieści dwa tysiące sześciuset osiemdziesięciu dziewięciu na prawie czterdzieści milionów Złotych. Dlaczego Lorn wziął cię na ucznia?

– Ponieważ uważa, że jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Jakie są twoje dwa największe lęki?

– Octavio... – ostrzega Aja.

– Zamknij się, Ajo. Wszystko przebiega uczciwie. – Władczyni zerka na Lysandra i

uśmiecha się do chłopca. – Największym lękiem napawa mnie, że mój wnuk dorośnie i

upodobni się do mojego ojca. Tym drugim jest nieuchronność czasu. Dlaczego płakałeś, gdy zabiłeś Juliana au Bellona?

– Ponieważ był lepszy i bardziej życzliwy, niż świat mu na to pozwalał. Zaaranżowałam

załoty Cassiusa do Virginii?

– Nie, to był jej pomysł.

Miałem nadzieję, że to było zaaranżowane, że Mustang musiała ulec.

– Dlaczego w Instytucie zaśpiewałeś Virginii balladę Czerwonych?

– Ponieważ zapomniała słów, a uważam, że to najsmutniejsza pieśń, jaką znam.

Milknę przed zadaniem kolejnego pytania.

– Chcesz zapytać o Virginie, prawda? – Kącki ust Władczyni unoszą się w wyrazie

zadowolenia, że może pogłębić mój ból. – Chcesz wiedzieć, czy dam ci ją, jeżeli się do mnie przyłączysz? To możliwe.

– Ona nie jest przedmiotem, który można darować – oponuję.

Octavia wybuchła śmiechem na moją ignorancję.

– Skoro tak twierdzisz.

– Gdzie znajdują się trzy tajne Kosmiczne Centra Dowodzenia? – rzucam lekkomyślnie.

Dostaję współrzędne, a Władczyni nawet okiem nie mrugnie.

– Skąd znasz słowa Pieśni Persefony?

– Słyszałem ją jako chłopiec. Niewiele zapominam.

– Gdzie?

– To nie twoja kolej – przypominam surowo. – Dlaczego zadajesz mi te pytania?

– Ponieważ jedna z moich Furi podsunęła mi podejrzenie, że Synowie Aresa są inni, niż nam się wydawało. Bardziej niebezpieczni. Kim jest Ares?

Serce mi łomocze.

– Nie wiem. – Obserwuję ogon Wyroczni. Ani drgnie. – A myślisz, że kim jest Ares?

– Twoim panem.

– Trzydzieści dziewięć, czterdzieści dwa, pięćdziesiąt sześć... – wtrąca Aja.

Władczyni unosi długi palec i kiwa na mnie ostrzegawczo.



– Dziwne. Serce cię zdradza.

Oczyszczam umysł. Niech wszystko zblaknie. Wyobrażam sobie kopalnię. Wspominam

wiatr, który świszczy w tunelach. I dłonie Eo na swoich, gdy boszo szliśmy po zimnej, pylistej ziemi do miejsca, gdzie kochaliśmy się po raz pierwszy, wśród ruin opuszczonej dzielnicy. Jej szept. I jej śpiew, gdy nuciła kołysankę, którą i ja, i moje rodzeństwo słyszeliśmy w dzieciństwie od matki.

– Pięćdziesiąt pięć, czterdzieści dwa, trzydzieści dziewięć – liczy Aja.

– Czy Augustus to Ares? – pyta Octavia. Zalewa mnie fala ulgi.

– Nie. On nie jest Aresem.

Za moimi plecami trzaskają drzwi. Odwracamy się. Mustang wślizguje się do pokoju. Nosi złotobiałą uniformę rodu Lune i rodowy symbol półksiężyca. Na jej nadgarstku lśni unipad.

Dziewczyna kłania się Władczyni.

– Pani moja.

– Virginio, nadal jesteś w rozsypce – cedzi Aja.

– Wiń tego głupiego sukinsyna. – Mustang wskazuje mnie skinieniem głowy. – Zginęły siedemdziesiąt trzy osoby. Wyrżnięto dwa rody pochodzące z Ziemi, żaden nie miał nic wspólnego z Augustusem ani Belloną. Jest też ponad dwustu rannych.

Potrząsa głową.

– Uziemiłam wszystkie statki, jak prosiłaś, Octavio. Sztab Pretorianów ustanowił strefę zakazu lotów na orbicie. Wszystkie rody posiadające duże okręty otrzymały ponowny zakaz i

zostały odepchnięte poza Boję Rubikonu, dopóki nie wydamy innych poleceń. A Cassius żyje.

Jest z Żółtymi. Snycerze Cytadeli przygotowują plany zastąpienia mu ręki.

Władczyni dziękuje za raport i prosi, aby Mustang usiadła.

– Darrow i ja zaczynamy się bliżej poznawać. Czy są pytania, które powinno mu się zadać?

Mustang zajmuje miejsce obok Władczyni.

– Chcesz rady, pani moja? Nie próbuj rozgryźć Darrowa. To łamigłówka, w której brakuje kilku elementów.

– To trochę obraźliwe – rzucam z rozbawieniem. Ale słowa Mustang bołą.

– Uważasz zatem, że nie powinniśmy go zatrzymać?

– Cassius i jego matka będą... – zaczyna Mustang.

– Będą co? – przerywa Władczyni. – Uczyniłam Cassiusa Rycerzem Olimpijskim. Będzie wdzięczny i będzie się uczył walczyć, żeby sytuacja nie powtórzyła się ponownie.

Jej twarz łagodnieje, gdy dotyka kolana dziewczyny.

– Dobrze się czujesz, moja droga?

– Nic mi nie jest. Ale chyba przerwałam wam grę.

Nie potrafię stwierdzić, która z kobiet bardziej pogrywa z drugą, ale po słowach Karnusa na gali i dzięki wiedzy, że statki zostały uziemione, zanim jeszcze rozpocząłem zamieszanie, wiem, że Władczyni miała plany. I chyba już domyślam się, co to były za plany.

– Ostatnie pytanie. Specjalnie zachowałem je na koniec.

– Ależ pytaj, chłopcze. Nie mamy tutaj tajemnic. Jednak to naprawdę ostatnie. Agrippina au Julii zbyt długo już czeka. – Aja otwiera skrzynkę, żeby Wyrocznie mogły wrócić do swojego legowiska.

– Czy zaplanowałaś, że dziś wieczorem, na gali, przy szóstym daniu kolacji, pozwolisz, aby ród Bellona zamordował ArcyGubernatora Augustusa i wszystkich, którzy siedzieli przy jego stole?

Aja zamiera. Mustang powoli odwraca się, aby popatrzeć na Władczynię. Twarz Octavii au Lune nie zdradza żadnych oznak fałszu. Kobieta oddycha równo i z lekkim uśmiechem kłamię w żywe oczy:

– Nie, nie zaplanowałam.

Żądło na ogonie Wyroczni wbija się jej w przedramię.

*Rozdział szesnasty*

*Gra*

Ostrze Fitchnera buczy, gdy odcina ogon szybciej, niż pszczoła macha skrzydłem.

Przezroczyste żądło Wyroczeni spada na podłogę, z sykiem wylewa się z niego trucizna.

Zranione stworzenie na przedramieniu Władczynie krzyczy, jęczy i popiskuje. Władczynie

odrywa je od skóry i ciska na ścianę. Moja Wyroczenia uwalnia się powoli, jakby była

połączona z tą drugą. Pomiaukując załośnie, cofa się i ukrywa w mrocznym wnętrzu szkatułki.

Rozcieram słaby ślad krwi na nadgarstku.

– A jednak kłamiesz. – Uśmiecham się złośliwie.

Władczynie głęboko nabiera tchu i wzdycha. Mustang zrywa się gniewnie.

– Obiecałaś, że ich nie skrzywdzisz. Kłamałaś.

– Tak. – Octavia rozciera sobie skronie. – Wyższa konieczność.

– Powiedziałaś, że tu nie ma kłamstwa – syczy dziewczyna. – Był to warunek mojego przyłączenia się do ciebie. Jedyne, o co prosiłam. A ty zaplanowałaś wymordowanie mi rodziny na moich oczach?

– Usiądź. – Władczynie wstaje. Patrzą sobie w oczy, niemal dotykając się nosami. – Usiądź.

Mustang słucha polecenia, ale oddycha ciężko. Nie patrzy ani na mnie, ani na Octavię.

Otacza ją zdrada. Władczynie widzi to i zaczyna układać nową strategię, podczas gdy Mustang wyciąga z kieszeni złoty pierścionek i kręci nim na palcu.

– Wiesz, dlaczego chciałam się pozbyć twojej rodziny? – Octavia pyta Mustang.

Dziewczyna nie odpowiada. – Zadałam ci pytanie, Virginio. Nie obrażaj się, tylko odpowiedz.

– Mój ojciec zagraża pokojowi – odpowiada Mustang beznamiętnie, po czym wsuwa pierścień głębiej na palec. – Sprzeciwia się twoim rozkazom. Nie słucha poleceń finansowych. Opóźnia ekspertów od helium dla korzyści politycznych.

– Gdybym próbowała pozbawić go władzy, co by się stało?

Mustang podnosi głowę.

– Podniósłby bunt.

– Co zatem mam zrobić? Jeżeli zbuntuje się na Marsie, planeta stanie się jego fortecą.

Koszty, jakie wtedy bym poniosła, żeby go stamtąd wyciągnąć – znaleźć, zabić, ustanowić porządek – są... niewyobrażalne. Okręty, ludzie, jedzenie, amunicja, handel, braki helium-3.

Elita nie podniosłaby się z tego przez lata.

Władczyni wzdycha.

– Nie możemy sobie pozwolić na takiego wroga. Ale nie możemy także pozwolić sobie na

takiego sojusznika, ponieważ opinia publiczna będzie się sprzeciwiać. Co się stanie, jeżeli Gubernatorzy Gazowych Gigantów pomyślą, że mogą lekceważyć moje rozkazy, ponieważ

okazaliśmy łaskawość twojemu ojcu? Ponieważ pozwoliliśmy mu spekulować cenami helium

albo ignorować dyrektywy Władczyni? Czterdzieści lat temu, w pierwszym roku mojego

panowania, zbuntowały się księżycy Saturna. Wojna skończyła się dopiero wtedy, gdy

otwarciem zniszczyłam jeden z nich, Reę. Zginęło pięćdziesiąt milionów ludzi. Właśnie taka uparta jest nasza rasa. Wszyscy wiedzą, jak trudno mi wyciągnąć ręce na miliardy kilometrów od centrum Układu, ale i tak się boją. Rządzenie zależy od złudzeń i kaprysów ludzkiej wyobraźni. Moja władza to nie okręty, nie Pretorianie. Moja władza zależy od ich strachu. Ale poddanym wciąż trzeba o tym przypominać.

– A moja rodzina ma posłużyć właśnie takiemu przypomnieniu.

– Tak. Powiedz mi, że to nie ma sensu.

Mustang milknie na długo.

– To logiczne posunięcie polityczne. Ale chodzi o mojego ojca...

– I właśnie dlatego ci nie powiedziałam. Zastanów się nad tym.

Ruchem ręki Władczyni włącza holo. Trójwymiarowy obraz wyświetla się na pół pokoju.

Zamieszki. Dym kłębiący się z budynków. Szarzy powalający ludzi bronią pulsacyjną.

Władczyni zmienia obraz. Tuzin ludzi pędzi przez pokój. Kobieta upada przede mną – martwa.

Ma dziurę w czole.

Spoglądam na to z przerażeniem.

– Czy to Mars? – Boję się o swoich bliskich.

– Tak ci się wydaje, prawda? – Władczyni przesuwa palcem przez strzelbę pulsacyjną w chwili strzału. – To Wenus.

– Wenus? – szepcze Mustang. – Na Wenus nie ma Synów Aresa.

– Po dzisiejszej nocy na pewno nie będzie. Wieść poniesie się jak pożar, nawet do Jądra.

Dwie godziny temu zamachy bombowe wstrząsnęły Elitą. Moi Politycy i Pretorzy oraz inny wysokiej rangi personel myśleli, że imperium rozpoczęło Rozkaz Zero. Żadne media o tym nie wspomną. Gdzie tylko pojawią się zamachy, przeprowadzamy kwarantannę. Zdusimy ich. Coś, czego twój ojciec nie zrobił, Virginio. Tak naprawdę pozwolił Synom Aresa urosnąć.

Rozprzestrzenić się aż tutaj.

Ostrzegałem Harmony. Mam nadzieję, że nie wszyscy są zgubieni.

Władczyni przykuca przed Mustang.

– Twój ojciec musi umrzeć. To on powiesił kobietę, której Synowie Aresa użyli, aby mieć powód do rozpoczęcia zamieszek. Jego twarz pojawia się w ich propagandzie. Jeśli odejdzie, a my uderzymy w Synów, osłabną. Upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu. Wystarczy zaaranżować przejęcie rządów przez ród Bellona, a Mars po raz pierwszy za mojego

panowania zazna pokoju. I będzie to wymagało poświęcenia życia tylko pięćdziesięciu ludzi.

Wiem, że jednym z nich jest twój ojciec, ale nie bez powodu dołączyłaś do mojego stada.

Rozumiem, jaki był to powód, gdy patrzę na Mustang. I łamię mi to serce.

Dziewczyna wstaje powoli, podchodzi do okna, jakby ważyła swoją decyzję. Spogląda na statek przelatujący w dali wśród chmur.

– Kiedy matka żyła, ojciec jeździł ze mną przez las. Zatrzymywaliśmy się na polanie i kładliśmy się wśród dzikich, czerwonych kwiatów. Wyciągaliśmy ramiona na boki i

udawaliśmy, że jesteśmy aniołami. Ten człowiek już nie żyje. Z nowym zrób, co chcesz.

*Rozdział siedemnasty*

*Co przyniesie burza*

Obsydiani odprowadzają mnie do moich nowych kwater. Fitchner depcze im po piętach i uśmiecha się jowialnie. Nasze kroki odbijają się od marmurowej podłogi. Kiedy stajemy pod drzwiami, Fitchner ujmuję mnie za rękę.

– Dobrze rozegrane, chłopcze. Dobrze ją odczytałeś, zorientowałeś się, że pragnie tego, czego nie może mieć. Piekielnie sprytnie. Serce mi rosło, gdy wreszcie zobaczyłem, jak grasz i wygrywasz, ty mały szczyłu. – Ściska mnie za ramię. – Jutro pójdziemy na targ i kupimy ci służących. Różowe, Niebieskich, Obsydianów. Tylko dla ciebie. A na razie... zostawiłem ci prezent.

Pokazuje na drobną Różową, która leży na łóżku.

– Miłej zabawy.

– Wcale mnie nie znasz, co?

Fitchner wzdycha i pochyla się lekko.

– To karty, jakie rozdał ci los. Nie takie złe. Wyobraź sobie, co możesz zrobić jako osobisty emisariusz Władczyni. Przy niej Gubernator jest jak kacyk z zabitej dechami wioski.

Masz też dziewczynę. I masz okazję. Wykorzystaj swoje nowe życie.

Drzwi zamykają się z trzaskiem.

Nowe życie, ale jakim kosztem? Nie wiem, co się stanie z Synami Aresa. Nie mam na to wpływu. Ale czy Fitchner myśli, że pozwolę, aby Roque zginął? Albo zgodzę się, aby Tactus, Victra i Teodora zginęli z rąk Pretorianów?

Spaceruję po salonie, ignorując obecność Różowej. Jak okiem sięgnąć chmury nad

Księżycem przesłaniają nocne niebo. Panoramiczne okno pokoju wychodzi na północ.

Wieżowce przebijają obłoki niczym lśniące iglice.

Uwięziono mnie w złotej klatce.

Wciąż pada deszcz. Burze na Księżycu są zagadkowe. Dla człowieka z Marsa to lekki

deszcz, powolny. Letargiczny. Jakby krople męczyły się własnym upadkiem w tej niskiej grawitacji. Ale wichury, które towarzyszą opadom, mają siłę huraganów. W oknach Cytadeli nie ma szpar i szczelin, w których wiatr mógłby świstać. Brakuje mi jęków mojego starego zamku na Marsie. Brakuje mi lamentów w głębi tuneli. I tych chwil, gdy wiertło stygło, a ja siedziałem obok,

dotykałem obrączki ślubnej przez skafander i myślałem, ile jeszcze potrwa, zanim pocuję smak ust mojej żony, jej dłonie na ciele, jej ciało unoszące się lekko jak pył nad moim.

Lecz nie mogę wspominać tylko Czerwonej dziewczyny. Kiedy widzę Księżyc, myślę o

Słońcu – Mustang jaśnieje w moich myślach. Eo pachniała rdzą i ziemią, a Złota dziewczyna przypomina ogień i jesienne liście.

W głębi duszy pragnąłbym pamiętać tylko Eo. Gdyby moje myśli należały tylko do niej,

mógłbym być jak jeden z legendarnych rycerzy, który kocha tak mocno, że po stracie ukochanej na zawsze zamyka swoje serce. Jednak nie jestem kimś takim. Pod wieloma względami wciąż pozostaję chłopcem, zagubionym i przestraszonym, szukającym ciepła i miłości. Kiedy

dotykam ziemi, składam wyrazy szacunku dla Eo. A kiedy widzę ogień, przypominam sobie ciepło i migotliwy blask płomieni igrający na skórze Mustang, gdy leżeliśmy w swojej

komnacie z lodu i śniegu.

Rozglądam się uważnie po pustym salonie, w którym nie czuć ani zapachu ziemi, ani liści, lecz kardamon. Pokój jest za duży, jak na mój gust. Zbyt luksusowy. Kość słoniowa na

ścianach. Sauna. Pomieszczenie do masażu połączone z pokojem uciech. Jest tutaj fotel łączności, łóżko, niewielki basen. To teraz moja kwatery. Na unipadzie znajduję plik z informacją, że dostałem stypendium w wysokości pięćdziesięciu milionów, aby wybrać sobie służbę. Dodano również dziesięć milionów na harem. Oto cena, jaką mi zapłacono za zdradę przyjaciół. Niewystarczająca.

Spoglądam na Różową. Jest naga, okryta tylko narzutą. Przykryłem ją, aby zasłonić ciało, ponieważ przypomniałem sobie pierwsze spotkanie z nieszczęsną Evey. Jednak im dłużej

przyglądam się tej nowej dziewczynie, tym trudniej mi pamiętać o Evey, a nawet o Eo i Mustang. Przecież właśnie po to są Różowe – mają pomagać w zapomnieniu. Są tak skuteczne, że przestaje się pamiętać o ich smutnym losie. Kiedy ta dziewczyna dojrzeje, zostanie sprzedana przez personel Cytadeli do wysokiej klasy burdelu. A kiedy pojawią się pierwsze zmarszczki, będzie odsprzedawana do coraz gorszych domów uciech, aż nie pozostanie jej już nic. Zdarza się to mężczyznom, zdarza kobietom. I, jak zaczynam sobie właśnie uświadamiać, zdarza się to również Złotym.

Różowa zaprasza mnie, abym do niej dołączył. Chce ukoić moje nerwy. Nie odpowiadam.

Siedzę na parapecie z rękoma zaciśniętymi na udach. Czekam. Nie mam ostrza. Obsydianowi strażnicy stoją pod drzwiami. Nie zdołam stłuc szyby w oknie przy pomocy tego, czym teraz dysponuję, ale tym się nie przejmuję. Przyglądam się burzy i mam wrażenie, że we mnie też wrze kolejna.

Z sykiem otwierają się drzwi. Odwracam się z uśmiechem.

– Mustang, właśnie...

Do salonu wślizguje się poważny Różowy z białymi włosami i oczami, które złamały tysiące serc w Lykos. W tej chwili również moje. Myliłem się.

– Kim jesteś? – pytam.

Różowy, milcząc, stawia małą onyksową szkatułkę na łóżku przed Różową.

– Od kogo to? – dopytuję się.

– Przekonasz się, *domine* – odpowiada cicho Różowy, po czym wyciąga rękę do dziewczyny. Różowa zaskoczona ujmuje dłoń i daje się wyprowadzić z pokoju. Drzwi się zamykają. Jestem równie zaskoczony jak dziewczyna. Podchodzę szybko i otwieram szkatułkę. W środku znajduję tylko niewielką holokostkę. Włączam ją.

Pojawia się lśniąca twarz Mustang.

– Ukryj się – mówi tylko.

Światła gasną i zamki w drzwiach automatycznie się otwierają. Pomieszczenie spowija ciemność. Za oknem chmury przecina błyskawica, w oddali słychać grzmot. A ja słyszę coś jeszcze. Wycie. Bynajmniej nie wycie wiatru.

Pojawia się w kolejnym błysku, leci na skrzydłach burzy – najpaskudniejszy anioł, jakiego wypluło niebo. Z ramion zwisa mu wilcze futro, łopocze na wietrze. Hełm z czarnego metalu ma kształt głowy wilka. Przybysz jest uzbrojony po cholerne zęby.

Oto przybył Sevro. I przyprowadził przyjaciół.

Błyskawica. Tym razem w wyładowaniu dostrzegam krzywy uśmiech i ośmiu zabójców lecących za Sevrem. Wyjce w komplecie, cała dziewiątka. Małe, okrutne diabły czające się w ciemności i widoczne tylko w elektrycznych błyskach burzy. Jest z nimi również długonoga Quinn.

Chowam się w saunie, gdy Sevro dotyka szyby rękawicą pulsacyjną, ustawivszy uprzednio pole wygłuszające dźwięki. Szkło rozsypuje się w drobny mak, odłamki wpadają do pokoju.

Dziki łomot burzy wdziera się do środka, gdy Wyjce lądują na wyłożonej dywanem marmurowej posadzce. Wiatr szarpie pościel i arrasy na ścianach. Jeden po drugim klękają – pulchna Kamyczek, okrutna Oset, chudy Klaun o szczerzej twarzy i cała reszta.



– Przyjaciele, wstańcie! – wołam. – I bez tego jesteście niscy.

Podnoszą się ze śmiechem. Kamyczek i Klaun podbiegają do drzwi i zaczynają je spawać palnikami plazmowymi.

Woda kapie z haczykowatego nosa Sevra, gdy kiwa na mnie głową, jego wilczy hełm kryje się w kryzie pancerza. Włosy ma utrefione w loki. Cichy i tak pełen odrazy, trzyma wielką, ciężką torbę. Kiedy idzie, porusza się z pogardą dla tej niskiej grawitacji – wszak taka grawitacja jest dla słabych i głupich.

– Kosiarzu, *panie mój*. Wyglądasz jak gogusiowaty Pixie w tym buduarze. – Sevro wykonuje z teatralną przesadą dworski ukłon, po czym podsuwa mi torbę do stóp. – Zapewne dlatego Mustang była przekonana, że tak bardzo potrzebujesz swojego przeklętego stada.

– Sprowadziła cię z Obrzeży?

– Nas wszystkich – wyjaśnia Quinn. – Jesteśmy tutaj już od kilku tygodni i czekamy w gotowości. Mustang potrzebowała ludzi, którzy na pewno nie będą lojalni wobec Władczyni.

Polisa ubezpieczeniowa. Nie do wiary, że mogłem zwątpić w tę dziewczynę.

Nigdy nawet nie pomyślałaby o pomocy w zamordowaniu ojca. Uświadomiłem to sobie

podczas rozmowy z Władczynią – domyśliłem się wtedy, dlaczego Mustang dołączyła w ogóle do rodu Lune. Chciała infiltrować ród Władczyni tak samo, jak ja szpiegowałem Złotych. A kiedy weszła do salonu Octavii, przypomniałem sobie, co powiedziała mi przed pojedynkiem

– że ma swoje własne plany. Teraz nareszcie wszystkie elementy układanki złożyły się w całość. I Mustang, i Władczyni prowadziły własne rozgrywki, ale mnie się udało ujawnić, co uknuła Octavia au Lune.

Władczyni nie przejmowała się, że czegoś się dowiem, właśnie dlatego czemu nie miałyby ze mną zagrać? Kiedy jednak Mustang weszła do pokoju, wzorzec uległ zmianie. Octavia

powinna była oczywiście wtedy zakończyć grę, ale górę wzięła jej duma.

A jeżeli chodzi o Mustang, wiedziałem, że jest ze mną, gdy tylko wyjęła złoty pierścień z symbolem konia. Serce mi podskoczyło, gdy go ujrzałem, i wiedziałem, że Mustang znajdzie sposób, aby nas stąd wydostać.

– Sevro. – Uśmiecham się i ujmuję go za rękę. – Nasz ArcyGubernator jest...

– Wiem, Mustang już mi wszystko przekazała.

– Chodź tutaj, ty wysoki diable. – Quinn występuje przed pozostałych i obejmuje mnie w pasie

szczupłym ramieniem, a potem całuje w policzek. Pachnie domem. Tęskniłem za tą gromadą. Wiatr wyje, ocierając się o nasze pole zakłócające. Bioniczne oko Sevra lśni nienaturalnie. Quinn przyniosła mi buty grawitacyjne, czarne jak heban. Zakładam je.

– Mustang sprowadziła nas z Obrzeży, ale to nie dla niej wróciliśmy. Ani dla Augustusa.

Przybyliśmy dla ciebie, Kosiarzu – warczy Sevro. Quinn krzywi się, gdy Wyjec spluwa na piękny dywan. – Widzieliśmy, co zrobiłeś Cassiusowi. I chcemy tego, co próbujesz osiągnąć.

– Czyli czego? – pytam więcej niż trochę zmieszany.

– Tego, czego zawsze chcą biedni zabójcy. Wojny – syczy Sevro. – I wszystkich łupów, jakie możemy zdobyć.

– A co z twoim ojcem? Zajmuje teraz wysokie stanowisko.

– Fitchner to gównojad. – Krzywi się. – Jak sobie pościelił, niech tak się wyśpi. A my w tym czasie spalimy dom.

– No to skoro chcecie wojny i łupów, lepiej ruszajmy. Armię posiada przecież

ArcyGubernator.

Quinn kiwa głową.

– A na dole jest Roque. I Tactus.

– Tactus – mamrocze Sevro, chociaż wiem, że grymas na jego twarzy przeznaczony jest dla Roque’a. Zerka na Quinn i w jego oczach błyska smutek, zaraz jednak znika, gdy Wyjec

poprawia pancerz.

– To jaki jest plan? – Biorę ostrze podane mi przez Kamyczek.

Sevro i Quinn wymieniają spojrzenia i parszczą śmiechem.

– Mustang załatwi jakiś statek. Powiedziała, że reszty się domyślisz – odpowiada Quinn.

Właśnie wtedy drzwiami za mną wstrząsa uderzenie, a potem rozjarzają się na nich plamki topiącego się metalu. Na podłodze leży torba, którą cisnął tam Sevro. Porusza się.

Wyjec uśmiecha się do mnie. Znam ten uśmiech.

– Sevro?

– Kosiarzu.

– Co zrobiłeś?

– Mustang przyniosła nam paczkę. – Quinn uśmiecha się u mojego boku. – Powiedzmy, że to nie jest ich kucharka.

Rozpinam zamek i gapię się na zawartość torby.

– Oszalałeś? – pytam Sevra.

Sevro tylko wyje.

## *Rozdział osiemnasty*

### *Smugi krwi*

Ojciec powiedział mi kiedyś, że Helldiver nigdy się nie zatrzymuje. Wystarczy się zatrzymać, a wiertło utknie. Paliwo spali się za szybko, można nie zauważyć przekroczenia normy. Wystarczy nigdy się nie zatrzymywać, tylko zwalniać lub przyspieszać, jeżeli temperatura za bardzo się podniesie. Czujność staje się odruchem. Używa się własnej inercji, własnego pędu. Wuj Narol zawsze kazał mi się zatrzymywać. Mylił się. Straciliśmy przez niego wiele wiertel.

Jednak wuj Narol żył dłużej niż ojciec, zatem może nie tak całkiem się mylił.

Moje Wyjce wyskakują za mną przez okno i żaden z nas nie zatrzymuje się, gdy nurkujemy w burzowy mrok. Spadamy swobodnie, przecinając chmury bez używania butów

grawitacyjnych. Jak czarny deszcz zmierzający do ziemi. Ja prowadzę. Wyczuwam obecność Wyjców za swoimi plecami. *Moich* Wyjców. Początkowo brakuje tlenu. Wstrzymuję oddech.

Gałki oczne niemal mi zamarzają, pod powiekami wzbierają łzy. Trzęsę się z zimna i od mroźnego wiatru.

Używamy butów grawitacyjnych dopiero, gdy przemykamy się nad terenami Cytadeli.

Skrywamy się w chmurach, żeby nikt nas nie zauważył. Poniżej widać wille, ogrody i parki.

Baraki i place z posągami. Niebo przecina szturmowiec zwiadowczy. Wślizgujemy się za

iglicę i czekamy tam jak pająki, dopóki nasze skanery nie pokażą, że pojazd odleciał. Drzę wśród moich opancerzonych przyjaciół. A potem opadamy niżej. Od willi dzieli nas może kilometr. Chwast niesie prezent od Sevra. Przewieszony przez ramię, trochę dziewczynę spowalnia.

Ładuję na murze, który otacza willę i oddziela ją od innych budynków, gdzie tłoczą się w strachu pozostałe rodziny, niepewne, co przyniesie im noc.

Przy powierzchni jest cieplej. Wyjce przysiadają wokół mnie. Na murze wyglądają jak gargulce. Teren willi spowija mrok.

– Jesteśmy za wcześnie? – zastanawiam się. Nie ma żadnych śladów walki. Ale też nie pali się ani jedno światło.

– Albo za późno – stwierdza Sevro. – Może zostali zamordowani w łózkach.

– Za bardzo to wygląda na masakrę w wykonaniu Bellony. Władczynie nie chciałyby, aby to było tak oczywiste. – Ale co to właściwie znaczy? Złoci z Bellony mogli przyjść w obstawie Szarych i Obsydianów i pomimo, że tak głośno mówią o swoim honorze, dokonaliby rzezi

również kobiet i dzieci. Nie puszcza się wroga żywcem, jeżeli chce się zachować silną władzę, a ród Bellona dzierżył ją od setek lat.

Jednak mord odbyłby się w ciszy. Władczynie rządzi Cytadelą, ale chaos przyciągnąłby

niechcianą uwagę i niechciane zmienne, mógłby też sprawić, że wydawałaby się słaba. Lepiej mieć to z głowy. Lepiej nakazać załatwienie sprawy Bellonie i do diabła z tym, co myślą inni.

Nikt nie będzie płakał po śmierci Augustusa. Tak właśnie uważają Złoci. Jeżeli jednak Gubernator i jego świta przeżyli i uciekli... Cóż, wtedy wszystko wygląda inaczej.

– Quinn. – Pochyłam się do dziewczyny, żeby usłyszeć jej szept.

– Wizja jest za czysta. Gdyby mieli czujniki optyczne, już by nas zauważyli na tym murze. –

Quinn wskazuje dach. – Możemy zacząć od góry i przeszukiwać piętro po piętrze w dół.

W jej głosie słyszę troskę.

– Znajdziemy Roque'a. – Klepię ją po ramieniu. – Obiecuję.

A potem odwracam się do Sevra.

– Ile czasu zajmie przyrowadzenie promu?

– Mustang już się spóźnia.

Pocieram kark, czuję wilgoć między palcami.

– *Per aspera ad astra.*

– Przez ciernie do gwiazd – tłumaczy z chichotem Sevro. – Ty mały gogusiu. *Omnis vir lupus.*

Każdy człowiek wilkiem. Wyjce uśmiechają się do siebie, a potem odrywamy się od muru.

Łądujemy na dachu. Ciemność i cisza. Chwast zostaje na górze z prezentem wiercącym się w torbie. Jak przystało na drapieźniki, podkradamy się po glinianych dachówkach i

wchodzimy przez okno na siódmą kondygnację willi. Parami. Dom ma sporo zakamarków.

Dziesiątki pokoi. Siedem pięter. Podczerwień na nic się nie przyda – za dużo tu rur i zbiorników z gorącą wodą. Wewnątrz panuje cisza niczym w grobowcu.

Skradamy się i sprawdzamy sypialnie – przepływamy obok siebie niby strugi wody, tak

samo jak w Instytucie. Sevro i Oset wysuwają się na zwiad. Wyłączyliśmy buty grawitacyjne, aby nie było słycać szumu. Nie widać tu żywej duszy. Wszystkie pomieszczenia okazują się puste, łóżka niepościelone, również posłanie ArcyGubernatora. Augustian tu nie ma. Zatem gdzie są?

Nie znajdujemy żadnego wojskowego wyposażenia, poza paroma pancerzami i ostrzami

oraz pulsatorem. Strażników zabito, zanim jeszcze wrócili do willi. Augustus i jego świta nie wspięli się po ścianach. Może odlecieli w butach grawitacyjnych? Ale wtedy zostaliby

zauważeni i zestrzeleni. Nam udało się prześlizgnąć, ponieważ nikt się nas nie spodziewał.

– Wzięci do niewoli? – szepcze Sevro.

Nie. Dziś w nocy dla Pretorianów dobry Augustianin to martwy Augustianin.

*Puf!*

Patrzymy na siebie. Właśnie włączyło się pole wygłuszające. I to duże. Jesteśmy w nim.

Prawdopodobnie obejmuje całą willę. Coś zaraz się wydarzy. Zerkam przez okno, dostrzegam cień przemykający przez trawnik. Trzy cienie w deszczu. Cofam się i daję znak Sevrowi.

Pretorianie. W pelerynach Niewidkach. Serce trzepocze mi w piersi, jakby chciało się

wyrwać.

Sevro podchodzi do okna i chce skoczyć, aby zabić napastników. Odciągam go.

– Co, u diabła, zamierzasz? – szepczę.

Marszczy brwi.

– Chcę kogoś zabić.

– Jeszcze nie, niech to szlag. Nie jesteśmy armią.

Nikogo na siódmej kondygnacji. Schodzimy po spiralnych marmurowych schodach.

Naoliwione pancerze Wyjców skrzypią cichutko, echo odbija się wśród ścian. Ze schodów można zobaczyć marmury na dole, ponad sto stóp niżej. Żadnego ruchu. Za to na szóstym piętrze znajdujemy krew. Wypływa spod pokoju pełnego pary. Uchylam drzwi z duszą na

ramieniu, pewien, że zobaczę zaszlachtowanych Żółtych. Ale zastaję o wiele smutniejszy widok.

Ponad dwadzieścioro Różowych, Brązowych i Fioletowych wpadło na pomysł, aby ukryć się w tym pomieszczeniu. Jednak Pretorianie i Bellona ich znaleźli. I zabili. Paskudny widok.

Żłoci zarznęli ich jak bydło. Przyglądam się każdemu nerwowo w nadziei, że jej nie znajdę.

Modłę się. Nie ma jej! Teodora musiała przebywać z resztą świty ArcyGubernatora.

Ogarnia mnie zimny gniew. Czuję, jak udziela się też Wyjcom.

Pierwszego Żółtego znajdujemy na schodach piątego piętra. Stary wojownik z rodu. Jego śmierć nie była łatwa. Nieco dalej przy windzie grawitacyjnej leży kolejny zabity. Zginał

zapewne, broniąc przejścia, aby pozostali mogli zjechać na dół.

Za oknem dostrzegam Lansjerkę, która wyśmiewała zaledwie wczoraj moje umiejętności

walki z ostrzem. Kobieta wybiegła z domu do ogrodu. Kształt odcinający się w mroku. Żółty Pretorianin z purpurowymi lampasami na czarnym stroju pędzi za nią. Dwaj Obsydiani z

Bellony otaczają uciekinierkę, zmuszają do zwrotu prosto na ścigającego. A ten zabija ją jednym ciosem. Nic nie można poradzić. Jej śmierć jest taka szybka. Jeszcze przed chwilą Lansjerka oddychała, bała się i uciekała. Teraz jej rozpołowione ciało upada w trawę.

– Ci Pretorianie nie bawią się jedzeniem – mruczy Sevro. Quinn zerka na mnie, właśnie do niej dotarło, że nie mam pancerza ani hełmu. Proponuje swoje. Ignoruję ją.

– Nie przebyliśmy tak długiej drogi tylko po to, żeby zobaczyć, jak umierasz od uderzenia w głowę, Darrow.

– Daj spokój – mówię twardo. – Roque napisze tysiąc krwawych wierszy, jeżeli przytrafi ci się choć mały siniak.

– Zachowaj hełm, Q – błaga Sevro. – Przynajmniej ze względu na mnie. Nienawidzę wierszy.

Ujmuję pożyczone ostrze w dłoń i ruszam przez kondygnację. Przy drzwiach do kolejnych pomieszczeń krew tętni mi szybciej. Spodziewam się znaleźć ciało Roque'a. I zwłoki Victry.

Sevro unosi rękę na schodach przed czwartym piętrem, a potem przywołuje mnie gestem.

Podchodzę cicho z Quinn i spoglądam w dół. Ze schodów unosi się kurz. Poniżej, na

najniższej kondygnacji, cienie się poruszają. Ale nie dochodzi żaden dźwięk. Sevro przykuca i stawia odłamek tynku na poręczu, potem na migi każe mi obserwować. Wyjce tłoczą się,

również patrząc na odłamek. A ja sztywnieję. Chociaż nie ma dźwięku, kawałek tynku drży lekko.

Wibracje w budynku.

Przeskakuję przez balustradę, zanim Sevro i pozostali zdążą mnie zatrzymać. Spadam

prześwitem, wokół którego zakręcają spiralne schody, z prędkością dziesięciokrotnie większą, niż pozwala grawitacja. *Puf!* Trafiam w obszar objęty kolejnym polem wygłuszającym i prosto w odgłosy wojny. Wstrząsy uderzeń, krzyki, syk płomieni i pocisków, puls broni. Tuż przed lądowaniem zmieniam ustawienie butów grawitacyjnych, aby jak najszybciej wyhamować.

Uderzam podszwami w marmur i zataczam śmiertelną pętlę swoim ostrzem. Czterech Szarych Pretorianów ginie. Ośmiu przewraca się z łomotem. Ich peleryny Niewidki znikają jak szron na szybie pod wpływem ciepłego oddechu.

W korytarzu leżą ciała. Odłamki tynku. Ognie. Szarzy i Obsydiani ścigają Złotych

Augustusa. Sześciu Szarych ze strzelbami kinetycznymi otacza dwóch Złotych, magnetyczne pociski uderzają w egidy. Gdy jedna z tarcz zostaje przeładowana i gaśnie, Złoty traci lewe ramię. Kule odbijają się od pulsujących tarcz chroniących ciała Złotych. Szarzy chcą przerwać obwody, a gdy tak się staje, jeden z wprawą strzela w odpowiednie miejsce na hełmach

swoich ofiar. Najlepsze zbroje w Układzie Słonecznym rozpadają się i dwoje Złotych umiera.

Szarzy odwracają się w moją stronę, unoszą strzelby. Moje Wyjce lądują wokół mnie. Ich czarne egidy drżą w uchwytach na lewym przedramieniu. Osłaniają mnie przed ostrzałem.

Sevro wymyka się z szyku, za nim Quinn. Jak duchy pojawiają się i znikają, poruszając się jak bliźniacze smugi dymu. Widzę ich pośród Szarych, a potem nagle obok siebie, zanim jeszcze przeciwnicy upadną.

Coraz więcej strzałów pada w naszym kierunku. Jeden omal nie pozbawia mnie głowy.

Kryję się za opancerzonymi towarzyszami broni. Serce łomocze ze zgrozy. Szary wypada na korytarz i strzela z mikroBroni. Trzydzieści małych bomb spada na nas jak rój szerszeni.

Oset i Śrubokręt rozpraszają je rękawicami pulsacyjnymi. Między ścianami przetacza się fala błękitnego ognia. Po pierwszym roju bomb nadlatuje drugi. Quinn zmienia bieguny pola w swojej broni grawitacyjnej i odpycha bomby, zanim dotrą do celu. Zawracają do miejsca, skąd zostały wystrzelone, i wybuchają, niszcząc oddział Szarych.

Nie utrzymamy się tutaj. Nie ma szans. Podejmuję decyzję, gdy trzech Obsydianów Bellony naciera na nas, a tuż za nimi biegnie Karnus au Bellona. Niektórzy z moich przyjaciół zginą, jeżeli będziemy walczyć z każdym, kto nas zaatakuje. Jest lepszy sposób. Sprytniejszy.

– Sevro, zrób wyłom – wołam, wskazując siedem kondygnacji nad nami, w prześwicie

spiralnych schodów. Sevro strzela w górę z broni pulsacyjnej, kawałki kamienia spadają wokół nas i odbijają się od grawitacyjnej osłony Quinn. Sevro strzela po raz drugi i przez dziurę w dachu wpada deszcz, opływając grawitacyjny parasol, jakim otacza nas Quinn.

– Za mną! – rozkazuję.

Wznosimy się z chaosu, zanim Pretorianie nas dopadną. Zatrzymuję się na pułapie dwustu metrów nad willą. Wiatr zacina. Nie miałem planu, gdy zeskoczyłem na parter, myślałem tylko o swoich przyjaciółkach. Ale już się przekonałem, że mogę zginąć wraz z Wyjcami, jeżeli wmieszamy się do starcia. Pozwalam, aby ostrze owinęło mi się spokojnie wokół

przedramienia. Nakazuję Wyjcom zrobić to samo, po czym wrzeszczę w ciemność.

– Aju!

Wyjce skupiają się wokół mnie. Rozglądają się nerwowo, ponieważ jesteśmy odsłonięci, gdy tak unosimy się nad willą. Ulewa zacina coraz mocniej.

– Aju!

Horda Pretorianów włącza swoje peleryny Niewidki w pobliżu gorących źródeł i lagun,

gdzie podczerwień niknie w zamieszaniu i ciepłe wody. Dwaj wojownicy startują z ogrodu, przedzierają się przez korony sosen. Jeden z nich to Skalany. Podlatuje bliżej z jonowym ogłuszaczem wymierzonym w moją głowę.

– Zabierz tę przeklętą broń sprzed mojej twarzy, ty Skalany gnojku. Nie rozpoznajesz

lepszyc od siebie?



Dołącza do niego Złota Pretorianka. Nie znam tej kobiety. Jej hełm w kształcie głowy węża znika w kryzie purpurowo-czarnej zbroi, gładszej niż ta Obsydiana. Nieznajoma ma twarz ostrą i bezwzględną jak ostrze topora.

– Cofnij się, Varga.

Skalany opuszcza broń. Jego hełm znika również i dopiero teraz mogę się przekonać, że Varga to kobieta. Obsydiana jest o głowę niższa ode mnie, plemienny tatuaż przesłania jej bladą twarz. Białe włosy falują na wietrze. Ma na policzkach więcej blizn niż ja na całym ciele.

– Hebanowa suka – prycha Sevro. – Zastrzelę ją, jeżeli skrzywi się jeszcze raz.

– Byliście na schodach? – Złota zerka na nas, niepewna, co ma zrobić ze mną i z Wyjcami.

– Zabiliście moich Szarych.

– Nie rozpaczaj po Szarych. – Wzruszam ramionami. – Podnieśli na mnie rękę.

– Dlaczego tutaj jesteście? – Złota ściera krople deszczu z twarzy. – Władczyni zamknęła cię na noc w kwaterze. Czy to ty jesteś odpowiedzialny za awarię zasilania?

– Moje sprawy to sprawy Władczyni. – Wiem, że kobieta nie może sobie pozwolić na

luksus niewiary w moje słowa. Nieruchomieje na chwilę i dopiero wtedy orientuję się, że w oczach ma czujniki optyczne. Sprawdza bazę danych.

– Kłamca.

Skalana ponownie unosi broń.

– Wiesz, kim jestem, Pretorianko – rzucam najbardziej władczym tonem, na jaki potrafię się zdobyć. – Wiesz również, że nie zostałem wpisany na twoją listę osób do zlikwidowania.

Mam immunitet.

– Wycofany.

– Zatem zabierz mnie do Ai.

– Ai tu nie ma.

– Nie kłam.

Jej czujniki migają w źrenicach, gdy Złota odbiera wirtualny rozkaz.

– Chodź za mną.

Łądujemy na białych głazach i idziemy za Pretoriankami przez zagajnik, do laguny, gdzie tryska

gorące źródło.

– Co robisz? – pyta mnie szeptem Sevro, zerkając na Vargę. Wskazuje na kobietę skrzyżowanymi palcami wskazującym i środkowym.

– Wykorzystuję twoją dźwignię.

Aja stoi w ogrodzie otoczona przez Bellonę – dwóch Złotych oraz grupę Obsydianów.

Skalana jest tylko Varga. Z laguny unosi się para, która spowija Panią Przemian. Aja przygląda się obojętnie wodzie, zupełnie jak dziecko ognisku, gdy czeka, aż gałąź się spali.

– Darrow? – mruczy, nie odwracając głowy. – Nie jesteś w swoich kwaterach.

Potem kieruje uważne spojrzenie na Wyjce. Rozpoznaje ich.

– I na dodatek zabiłeś moich ludzi. Fitchner się co do ciebie pomylił.

– Mam coś, czego zapewne chcesz – rzucam ostro. – Ale musisz odwołać swoje psy.

– Próbowali uciec przed naszym przybyciem, choć skonfiskowano im nawet buty grawitacyjne. Głupie posunięcie. Próbowali skontaktować się z rodem Julii, ale zostali sprzedani.

– Victra? – pytam. To ona nas zdradziła.

– Żyje. Reszta też. Zostanie oszczędzona, ponieważ jej matka współpracowała. Dwa statki Augustusa próbowały sforsować blokadę na orbicie. Zestrzeliliśmy je. Zapędziliśmy

Augustian w kozi róg.

– To lwy – przypominam jej.

Aja strzepuje krew z ostrza.

– Niezupełnie.

– Czy ktoś jeszcze przeżył? – Staram się opanować panikę, aby nie zabrzmiała w moim głosie, i patrzę na wille.

– Najlepsi tak.

Oddycham z ulgą.

Aja usztywnia swoje ostrze i odwraca się do mnie. Pionowe źrenice pochłaniają światło.

– Twoi przyjaciele są w lagunie. Ukryli się tutaj, ponieważ nasze czujniki podczerwieni oślepiła ciepło wody. Desperacka próba. Systemy filtrowania powietrza przestały działać po

impulsie elektromagnetycznym. Zatem twoi znajomi mają tylko tyle powietrza, co w hełmach.

Czyli niewiele. Nie wytrzymają kwadransa. Ci bez hełmów... najwyżej sześć minut. Wkrótce wyskoczą spod wody. – Uśmiecha się z zadowoleniem. – Zostawię ich Karnusowi. Jest w

środku, kończy dywersję. Przyjemnie na niego popatrzeć, prawda?

Gorące krople bębnią o pancerze. Jedyne dźwięki, który zakłóca ciszę.

– Dlaczego tu jesteś, Andromedusie? Dlaczego nie zostałeś w swoim pokoju? – Aja bawi

się ostrzem, przecinając krople deszczu. – Władczyni wyraziła się jasno.

– Mam coś, czego może chcesz – powtarzam.

– Chcę tylko, aby wypełniano polecenia Octavii. Wracaj do swoich kwater, chłopcze, weź

prysznic i zajmij się Różową, którą ci zostawiłyśmy w łóżku. Przenieś swój gniew czy

cokolwiek czujesz na tę małą zabawkę. I dotrzymaj przysięgi. Nie podnoś na mnie ręki.

Zabiłeś tylko paru Szarych. O tym możemy łatwo zapomnieć, czyż nie? Wróc, a Władczyni pomyśli, że to tylko poryw młodości. Zostań, a dodam do stosu trupów zwłoki twoje i twoich Brązowych przyjaciół.

Wyjce jeźą się za moimi plecami.

– Tak jak zabiłaś służbę? – pytam ostro. – Jak bydło w rzeźni.

Aja odwraca się do laguny.

– Czas, żebyś odszedł, Kosiarzu.

– Jesteś odrażająca. – Podchodzę bliżej. – Masz taką władzę i jak jej używasz? Zabijasz rodziny w środku przekłętej nocy. Przede wszystkim przynosisz wstyd swojemu Kolorowi.

Mam nadzieję, że przypomnisz sobie cierpienie, jakie zadawałaś innym, gdy stanę nad twoimi zwłokami.

Odwraca się do mnie z wściekłością. Wsuwa ostrze. Oczy jej błyszczą. Ale nie może

mnie tknąć. Nie teraz. Nie tej nocy.

– Darrow – odzywa się Sevro z dziwną uprzejmością w głosie.

– Tak, Sevro?

– Rozmawiacie o *przypominaniu*. Ale chyba o czymś zapomniałeś, prawda?

– Też tak myślę – zgadza się Quinn. – Nasz mądry...

– ...lecz zapominalski *Kosiarz* – kończy Klaun żartobliwie.

– Ach, wybacz, Ajo. Zapomniałem, dlaczego przyszedłem z tobą porozmawiać. – Udaję zakłopotanego.

Quinn wzdycha dramatycznie.

– Torba.

– O, właśnie! Dziękuję za przypomnienie. – Uśmiecham się. Aja nie pojmuję, o co, do cholery, chodzi w tych dziwacznych przekomarzeniach.

– Sevro! – teatralnie podnoszę głos. – Wezwij tu Chwast.

Sevro przekazuje polecenie przez komunikator i po chwili Chwast wyłącza swoje maskowanie, zlatuje z budynku oddalonego o kilometr od nas. Obserwujemy, jak się zbliża.

Kamyczek pogwizduje wesołą melodyjkę, nie zwracając uwagi na grymas Oset i chichotanie Sevra, który zaraz się przyłącza do gwizdania. Pretorianie myślą, że tych dwoje oszalało –

wilcze futra na ramionach, zwykłe czarne zbroje bez oznak, hełmy w kształcie wilczych pysków. I żadne nie ma nawet dwóch metrów, poza Quinn i mną. Pewnie wyglądamy jak

obwoźna Fioletowa trupa cyrkowa.

– W co pogrywasz? – pyta zniecierpliwiona Aja.

– Nikt jeszcze się z tobą nie targował? – pytam ze zdziwieniem. – Jeszcze większa szkoda.

Chwast ląduje przede mną i wręcza torbę, którą Sevro dał mi jako prezent. Aja pyta, co jest w środku.

– Rozkaż swoim ludziom zaniechać zabijania, to ci powiem.

– Nie negocjuję z chłopcami.

Trącam torbę lekko stopą, aby pokazać Ai, że to, co znajduje się w środku, jest żywe.

Kobieta marszczy brwi, może zaczyna się domyślać, co tam ukrywam. Przez komunikator

rozkazuje swoim podwładnym przerwać akcję.

– Co jest w tej przeklętej torbie?

Otwieram ją i wyciągam dziedzica Tronu Poranka jak królika z kapelusza. Lysander ma związane ręce i nogi, ale nie za mocno, a usta zakneblowane szarfą z jedwabiu, aby nie narobił hałasu. Rozwiązuję ją.

– Cześć, Ajo – mówi Lysander.

Aja pochyla się do niego, ale odciągam chłopca.

– Ach, ach! – Zbliżam ostrze do jego szyi i pozwalam, aby owinęło się wokół niej z równą pieśczołliwością, jak wcześniej Wyrocznia wokół mojego przedramienia.

Aja zamiera. Jej Pretorianie czekają w milczeniu – czarne hełmy i purpurowe płaszcze upodabniają ich do cieni. Kilku z rodu Bellona robi krok naprzód. Aja gestem nakazuje im się cofnąć.

– Jeżeli jeszcze ktoś się ruszy, zabiję. Jak cię złapali, Lysandrze? Twoi strażnicy...

– To Mustang – wyjaśnia chłopiec. – Przyszła się przywitać. Rozcięła okno i przekazała mnie Wyjcom.

– Jesteś ranny?

– Twój czas na mówienie dobiegł końca, Ajo – przerywam jej. – Pozwolisz moim ludziom wyjść z wody. Pozwolisz im wsiąść na pokład promu, który wkrótce przyleci. Powiesz szturmowcom i okrętom na niebie oraz w kosmosie nad Księżycem, że mają nas przepuścić.

Albo moje Wyjce zabiją chłopca.

– Przyrzekłeś bronić Władczyni – szepcze Aja. – I robisz... coś takiego? To tylko chłopiec.

Jest bezbronny.

– To część gry – wtrąca z powagą Lysander. – Ty też w nią grasz, Ajo. Wszyscy znajdujemy się na planszy.

– Jak widzisz, nie jest tak bezbronny jak słudzy, których dziś zamordowałaś – stwierdza Quinn. – Ani tak jak ci, których twój ojciec spalił na Rei. Ale to jeden z twoich. Dlatego ci zależy.

– Zabiłabyś cały ród, aby zapewnić bezpieczeństwo swojej Władczyni – dodaje zimno. –

Ja zabiłbym dziecko, aby zapewnić bezpieczeństwo moim przyjaciołom. Odezwij się jeszcze raz, a odetnę mu lewą rękę.

Aja jest przekonana, że zabiłbym chłopca.

Ja wiem, że nie. Nie jestem Karnusem. Ani Evey czy Harmony, wbrew temu, co się wydaje tym Złotym. Dlatego nie posunąłbym się tak daleko. Zresztą gdybym zabił Lysandra, Złoci wymordowaliby wszystkich, których znam. Przełałbym krew na próżno.

I właśnie po to utrwaląłem swoją reputację zabójcy, aby uzyskać przewagę w sytuacjach podobnych do tej. Gdyby Złoci poznali mnie dobrze, zamordowaliby moich przyjaciół jednego po drugim. To gambit.

Wykorzystuję do jego rozegrania dumę dwojakiego rodzaju. Przede wszystkim dumę

Władczyni, która nie pozwoli mi zabić jej jedyne wnuka i dziedzica, od dzieciństwa

przyuczane do objęcia tronu, gdy nadejdzie pora. I pychę Octavii, w głębi duszy przekonanej, że ucieczka Augustusa i jego rodziny to niewielka strata. Przecież potem Władczyni na pewno będzie nas ścigać po całym Układzie Słonecznym, ma na to środki i

chęci. Po co sprawdzać, czy blefuję, i ryzykować życie wnuka? Wiem to, ponieważ tak

właśnie Octavia zamordowała swojego ojca – nie od razu, lecz dopiero wtedy, gdy zyskała poparcie jego dawnych sojuszników, dopiero gdy poproszono ją, aby zajęła miejsce tyrana i rządziła zamiast niego.

Władczyni jest cierpliwa. Gdyby kazała mi zrobić, co chcę, gdyby krzyknęła, abym zabił

chłopca i przyjął konsekwencje tego czynu, byłoby to posunięcie nierozważne. Lekkomysłna i brutalna demonstracja siły – jakby chciała powiedzieć: „Zabij mojego wnuka, ale mnie nie zdołasz tknąć”. Władczyni tego nie robi. Będzie raczej udawać słabość, pozwoli mi tym razem zwyciężyć, a potem doprowadzi do zagłady mnie i moich przyjaciół. Uczciwy układ.

Rozegramy tę grę kiedy indziej.

Nad naszymi głowami ryczą silniki promu. Jest pojemny, wystarczający, aby rozsyłać ludzi w skafandrach próżniowych na posterunki, ale przez to strasznie powolny. Śluza otwiera się dwieście metrów wyżej, zgodnie z moimi instrukcjami. Dopóki mamy chłopca, prędkość

promu nie ma żadnego znaczenia. Oczywiście Mustang tak to zaplanowała.

– Zabierzemy naszych ludzi, Ajo. Rozkaż swoim psom, żeby nie ważyły się przeszkadzać.

Aja tylko na mnie patrzy jak rozdrażniona pantera w zoo – jakby chciała wzrokiem przepalić dzielące nas kraty.

– Sevro i Śrubokręt, sprawdźcie willę. Zabierzcie wszystkich, którym udało się przeżyć. –

Oba Wyjce odlatują. – Quinn, pilnuj chłopaka. Reszta niech zabierze ArcyGubernatora i jego świtę z laguny. Lepiej będzie, jeżeli odwołasz szturmowce – zwracam się do Ai. Pojazdy bojowe przemykają w ciemności wiele kilometrów nad nami. – I postaraj się to załatwić cicho, inaczej sytuacja zmieni się w koszmar dla nas wszystkich. Władczyni szlachtuje cały ród... ale ród ucieka! Cóż za odrażające świadectwo jej żądz i impotencji. Zapewne

wywołałoby to interesującą debatę. – Uśmiecham się złośliwie. – Obawiam się, że niektóre rody mogłyby stanąć po stronie Augustusa. Niektóre zaczęłyby się obawiać, że zostaną

zdmuchnięte jak świeczki w środku nocy. I co wtedy się stanie z nieszczęsnym *Pax Solaris*?

Quinn stoi przy mnie w gotowości, gdy Aja posłusznie wypełnia polecenia. Trzymam się

blisko chłopca, a Wyjce wskakują do wody i wyciągają członków rodu Augustus. Uratowani wspierają się na swoich ratownikach. Z trudem łapią powietrze. Większość nosi stroje

wieczorowe, niektórzy zbroje, prawie nikt nie ma hełmu. Zdaje się, że dzielili się tlenem.

Augustus niemal zawisa na plecach Oset. Szakal z wysiłkiem opiera się o ramię Klauna.

Pliniusz chwieje się na nogach. Gdzie moi przyjaciele?

Wyjce pomagają wsiąść uratowanym do czekającego wysoko promu, po czym wracają, aby

zabrać resztę. Następna jest Victra. Bez hełmu, z raną na szyi. Ścisza jednak ostrze, jakby od tego zależało jej życie. Gniewnym spojrzeniem omiata zgromadzonych Pretorianów, ale kiedy dostrzega mnie, rozpromienia się wyraźnie. Gniew znika, na okamgnienie pojawia się szczery uśmiech, a potem Victra woła:

– Z radością zapamiętam wasze twarze! – Śmieje się jak szalona. – Zaczynając od ciebie, Ajo au Grimmus. Zrobię sobie wdzianko z twojej skóry.

Potem znika w trzewiach promu. Następny z przyprowadzonych to Roque. Jest z nim

Teodora. Odmawiam krótką modlitwę dziękczynną. Quinn dotyka mojego ramienia i macha do chłopaka. Na jej widok Roque uśmiecha się szeroko. Chyba nawet mnie nie widzi. Potem i on

znika we wnętrzu promu. Śrubokręt wkrótce dołącza do nas. Wyprowadził z willi kilku ocalałych, włącznie z Telemanusami i Tactusem, którzy krwawią z wielu ran. Tactus stawiał

twardy opór napastnikom.

– Darrow? Ty szalony draniu! – Dostrzega potomka Władczyni i chichocze radośnie. –

Och, to paradnie! Po prostu paradnie! Winien ci jestem drinka, przyjacielu...

Jego głos cichnie, gdy Tactus wznosi się do promu, ale udaje mu się jeszcze skrzyżować palce i pomachać do Ai.

– Tactus – szepcze Lysander. – Jest wyższy niż na filmach holo.

– To już ostatni – melduje mi Sevro.

– Przekaż swojej pani, że my z Marsa niechętnie zginamy kark – mówię do Ai.

Deszcz pada pomiędzy nami, spływa po jej ciemnej twarzy, przez co wydaje się, że jej niesamowite oczy płoną w ciemności. Aja przerywa milczenie, jakie jej narzuciłem.

– To samo powiedział Gubernator Rei, gdy mój Pan Popiołów przybył, aby zdusić jego rebelię. – Jej głos nie brzmi normalnie. Wydaje się, jakby przez Aję przemawiał ktoś inny. –

Popatrzył na drobnego mężczyznę, którego wysłałam z armadą, roześmiał się i zapytał, dlaczego miałby się pokłonić mnie, suce zabitego tyrana.

To Władczyni przekazuje słowa do ucha Ai, a ta je powtarza. Krew ścina mi się w żyłach.

– Gubernator Rei siedział na swoim Tronie Lodu w słynnym Szklanym Pałacu i zapytał jednego z moich sług: „Kim jesteś, aby straszyć człowieka takiego jak ja? Człowieka

pochodzącego z rodu, który wyrzeźbił raj w miejscu, gdzie kiedyś nie było nic oprócz lodu i kamienia? Kim jesteś, że żadasz, abym ci się pokłonił?”. A potem uderzył swoim berłem Pana Popiołów. Trafił pod oko. „Wracaj do domu, na Księżyc. Wracaj do Centrum. Zewnątrz to miejsce dla stworzeń ulepionych z twardszej gliny”. Gubernator Rei nie uległ. Teraz jego księżyc obrócił się w popiół. Jego ród obrócił się w popiół. On sam obrócił się w popiół.

Zatem uciekaj, Darrow au Andromedusie. Uciekaj do domu, na Marsa, ponieważ moje legiony ruszą za tobą na krańce wszechświata.

– Liczę na to – odpowiadam spokojnie.

– Masz tylko jedną kartę przetargową – przypomina mi Władczyni przez Aję. – Mój wnuk to twoja przepustka. Jeżeli umrze, strącę twój prom z nieba. Rozporządzaj Lysandrem rozważnie.

Dlaczego mówi mi coś, co doskonale wiem?

– Czas na nas, Darrow. – Quinn pochyła się do mnie. Kładzie mi rękę na plecach, jakby chciała przypomnieć, że nie jestem sam. Kiwam głową.



Quinn osłania mnie, gdy unoszę się z chłopcem do promu. Ostrze wciąż trzymam owinięte wokół szyi dzieciaka.

Quinn nie spuszcza oka z Pretorianów i rusza za mną. Posiadam tylko jedną kartę przetargową.

Co Władczyni miała na myśli? Chciała mi przypomnieć, że mogę zagrać chłopcem tylko raz? Że mogę zabić Lysandra tylko wtedy, gdy zostanę przyparty do muru? I wtedy dostrzegam, że Aja przygląda się Quinn z ziemi jak kot obserwujący mysz.

– Ajo, nie! – krzyczy Lysander.

– Quinn! – wrzeszczę mu do wtóru.

W okamgnieniu Aja skacze. Chwyta Quinn za włosy. Dziewczyna próbuje nerwowo ciąć ostrzem za siebie, aby pozbyć się wielkiej napastniczki. Ale jest za wolna. Aja uderza jej głową o ziemię. Zadaje cios w skroń. Opancerzoną pięścią w niechronioną kość. Cztery razy, zanim udaje mi się choć mrugnąć. Nogi Quinn podrygują, dziewczyna kuli się jak umierający pająk, jej ciałem wstrząsają konwulsje. Aja cofa się, a potem patrzy na mnie z uśmiechem.

## *Rozdział dziewiętnasty*

### *Prom*

Wiedzą, że jestem porywczy. Quinn stanowi przynętę. Aja to haczyk. Odbiją Lysandra, jeżeli tylko ruszę do ataku. Wykorzystają ten ułamek sekundy, gdy moje ostrze cofnie się od chłopca, i sparaliżują mnie lub zabiją. Słyszę odbezpieczaną broń za plecami, dlatego wciąż trzymam ostrze przy szyi Lysandra. Łzy przesłaniają mi wzrok, gdy unoszę się i nic nie mogę zrobić. Potrząsam głową, aby opanować ból. Nie mogę zostawić Quinn. Przesuwam buty, aby po nią wrócić. Zanim jednak do niej docieram, inny Złoty mija mnie, opada z góry, aby podnieść dziewczynę. Nie ma zbroi.

Szakał.

Unoszę się znowu w deszczu do śluzy i ląduję we wnętrzu promu. Moje buty z brzękiem

uderzają w metalowy pokład. Przyklękam i popycham Lysandra głębiej, w stronę Sevra.

Chłopiec pada na kolana. Parę tuzinów przemoczonych Augustianów spogląda na mnie ze

zdumieniem. Potem na chłopca. Szakal łąduje za mną, przytrzymując Quinn niezdarnie jednym ramieniem.

Nasz statek wznosi się, włącz zatrząskuje z sykiem. Roque przeciska się przez tłum, aby spojrzeć na mnie, potem na Szakala i Quinn. Z sekundy na sekundę siły opuszczają mojego przyjaciela. Szakal kładzie dziewczynę ostrożnie na podłodze i zrzuca źle dopasowane buty grawitacyjne, które pożyczył chyba od jednego z Wyjców.

Roque porusza ustami. Nie dobywa się z nich żaden dźwięk.

– Czy ona... – udaje mu się w końcu wydusić.

– Są na pokładzie Żółci? – pyta mnie Szakal. Spoglądam na Oset, wskazuję jej główną kabinę.

– Znajdź Mustang. Spytaj ją.

Oset odbiega.

– Apteczka – rozkazuje Szakal, sprawdzając puls Quinn i jej źrenice. – Już!

Roque, potykając się, zaczyna szukać. Kamyczek zrywa pakiet medyczny ze ściany i rzuca mu szybko. Roque podchodzi, podaje apteczkę Szakalowi. Mój umysł odbiera tylko szum, gdy patrzę, jak ciałem dziewczyny wstrząsa kolejny skurcz, a z jej ust dobywa się nieludzki jęk.

Twarz Roque'a wydaje się całkowicie pozbawiona krwi. Jego dłonie wyciągają się bezradnie do ukochanej, jakby chciał siłą woli uleczyć to, co zostało połamane, ale w głębi duszy młodzieniec zdaje sobie sprawę, że jest całkowicie bezradny. Osuwa się na kolana.

Szakal otwiera apteczkę i przeszukuje jej zawartość.

Jego jedyna ręka porusza się pewnie nad narzędziami, dopóki nie znajduje srebrzystej

pałeczki nie dłuższej od mojego palca wskazującego. Szakal wyciąga ją i włącza. Urządzenie mruczy cicho i emituje słabą niebieską poświatę.

– Potrzebuję unipada. Mój się spalił od impulsu elektromagnetycznego! – Nikt się nie rusza. – Dziewczyna umrze. Dawać ten przeklęty unipad. Już!

Podaję mu swój. Szakal nie podnosi na mnie oczu, chociaż nieruchomieje na ułamek

sekundy, gdy rozpoznaje moją rękę.

– Dziękuję za ratunek, Kosiarzu – mówi szybko.

– Podziękuj siostrze.

Lysander podnosi się i staje obok mnie. Obserwuje w milczeniu, nie roni ani jednej łzy.

Kamyczek i Klaun przysiadają na piętach. Nikt nie dotyka Roque'a, chociaż wszyscy zerkają na niego, zaciskając dłonie na udach lub broni, gdy szeptem życzą jemu i Quinn powodzenia.

Szakał przesuwa srebrzystym magnetycznym rezonatorem nad głową rannej i przygląda się trójwymiarowemu obrazowi wyświetlonemu na moim unipadzie. Z ust chłopaka wyrwa się przekleństwo.

– Co się dzieje? – pyta Roque.

– Jej mózg puchnie – odpowiada Szakał z wahaniem. – Jeżeli nie zdołam opanować ciśnienia krwi, będziemy mieli problem.

Grzebie znowu w wyposażeniu medycznym i wyciąga urządzenie z przezroczystym przewodem.

– Takie ciśnienie nie zapewnia odpowiedniego dopływu krwi do mózgu. Dziewczyna nie wytrzyma, jeżeli naczynia krwionośne zwężą się od opuchlizny.

– Ona umrze? – pytam cicho.

– Nie od opuchlizny – zapewnia Szakał. – Nie umrze, jeżeli uda mi się odessać płyn i wyrównać ciśnienie. Ale musimy unieść jej głowę, żeby krew mogła płynąć przez naczynia krwionośne w szyi. Trzeba zapewnić jej tlen.

Unosi głowę, taki szczupły i mokry, że mógłbym go uznać za Czerwonego, nie za Złotego, gdyby nie przysypane pyłem włosy.

– Kamyczek, prawda? Znajdź tlen. Może być maska do oddychania, o ile nie będzie zasłaniała całej głowy, tylko twarz.

Kamyczek odchodzi pośpiesznie.

Nowy spazm ściska ciało Quinn. Patrzę na to bezradnie, kładę rękę na ramieniu Roque'a.

Odsuwa się.

Oset wraca do ładowni.

– Żadnego przeklętego Żółtego.

– Szlag – krzywi się Klaun. – Szlag, szlag, szlag.

Kopie w ścianę.

Szakał nieruchomieje, zerka na Roque'a, potem przystępuje do działania. Wskazuje na

Klauna, Oset i paru stojących obok członków rodu Augustusa.

– Musicie przytrzymać jej nogi i ręce oraz głowę. Będzie miała ataki, a podejrzewam, że nie zapowiada się łagodny przelot. Musimy zabrać ją z tej przeklętej ładowni i przypiąć do stołu operacyjnego. – Zbiera włosy Quinn w kucyk, każe mi je przytrzymać, po czym wyjmuje mały jonizator z apteczki. Ścisną go w zębach nad ręką, krzywi się, gdy urządzenie niszczy bakterie i wysusza meszek na skórze. – Klaun, pozbaw ją włosów. Wszystkich.

Szakał wstaje i rzuca jonizator Klaunowi. Wyjec pochyla się i już ma zacząć przesuwac urządzeniem nad jasnymi włosami, kiedy Roque wyciąga rękę. Pochyla się nad Quinn.

– Jak ma na imię? – pyta Szakał Roque'a.

– Quinn.

– Mów do niej. Opowiedz jej bajkę.

Z drzeniem Roque pociąga nosem i zaczyna cicho mówić.

– Dawno, dawno temu, w czasach Starej Ziemi, żyły sobie dwa gołębie, które bardzo się kochały... – Włącza jonizator i przesuwa nad jej włosami. To intymny gest. Jakby Roque obmywał Quinn. Jakby byli tylko we dwoje w jakimś odległym miejscu. Na długo przed tym, gdy opowiadała historie przy ognisku w Instytucie. Na długo przed tym, zanim rozpętała się groza.

Czuję odór palonych włosów. Szakał podchodzi do mnie.

– Co się stało tam na dole? – pyta. – To była pulsRękawica?

Spoglądam na niego z zaskoczeniem.

– Nie widziałeś? Aja użyła własnych pięści.

– Niech to szlag... – Zaciska zęby. Beznamiętnym wzrokiem wodzi po ładowni. – Jak

doszło do tego wszystkiego?

– Octavia przygotowała to już dawno – przyznaję cicho. – Zanim jeszcze przybyliśmy na Marsa, zamierzała oddać ArcyGubernatorstwo Bellonie. Gala była pułapką.

– Kiedy to odkryłeś? Przed czy po pojedynku?

– Przed – kłamię.

– Dobrze rozegrane. Wychodzimy na ofiary. A Mustang chyba nie wypełniła swojego zadania.

– Twój ojciec posłał ją na dwór Octavii, żeby szpiegowała?

– Nie. Przypuszczam, że to pomysł mojej siostry. Podejść jak najbliżej do smoka...

– Ród Julii jest także przeciwko nam.

Szakal kiwa głową w zamyśleniu.

– To ma sens. Politycy próbowali zabrać od nas Victrę, zanim pojawili się Karnus i Aja.

– Nie wydajesz się zmartwiony.

– Victra jest ulubioną córką matki. – Potrząsa głową, gdy sobie coś przypomina. – Ale zabiła trzech Obsydianów w mojej obronie. Trzech. Jest z nami, ciałem i duchem.

Zerkam na Roque'a, który już skończył usuwać włosy Quinn.

– Przeżyje? – pytam niemal szeptem.

– Ma kawałki kości w tkance mózgowej. Nawet jeżeli uda się powstrzymać opuchliznę, krwawi do wnętrza czaszki. Mocno.

Patrzymy na bezwłosą Quinn. Ma taką spokojną twarz. I tylko niewielkie wgniecenie z

boku głowy. Nie widać wcale, że wewnątrz umiera. Roque głaszcząc ją delikatnie po czole, szepcze cicho do ucha.

– Możesz ją ocalić? – Podnoszę oczy na Szakala. – Jest szansa?

– Nie tutaj. Jeżeli zabierzesz nas do gabinetu medycznego, wtedy tak, jest mała szansa.

Roque śpiewa cicho dziewczynie, gdy podnosimy ją i przenosimy do kajuty. Wymyślił tę

pieśń przy ognisku, gdy moja armia obozowała w górach. Quinn była wtedy z Cassiusem –

chyba każda kobieta kiedyś z nim była. Ale nawet wtedy zauważyłem, że szukała spojrzeniem oczu

Roque'a. Byli jak te dwa gołębie z jego baśni, przecinające niebo raz po raz. Roque tak się cieszył, że znowu ją spotka.

Pękam w środku. Wciąż mogę ocalić Quinn. Mogę to naprawić.

Władczyni miała rację, nie pojmowałem powagi sytuacji. Co zamierzałem zrobić?

Zamordować wnuka Octavii, gdyby Aja zabiła Quinn? A gdyby zabiła Sevra, Mustang,

Roque'a? Miałem szczęście, że nie skrzywdziła reszty moich przyjaciół.

Odwracam się, żeby popatrzeć na Sevra.

Stoi cicho w pełnej zbroi i obserwuje nas, obserwuje Roque'a podtrzymującego

dziewczynę, którą Sevro kocha, choć nigdy tego nie wyznał, ponieważ nigdy nie mógł jej mieć.

Ból jest silny i żłobi głębokie bruzdy w ptasiej twarzy przywódcy Wyjców. Nieprzemakalny Sevro, odporny na rany, na smutek, niewzruszony po wyłupieniu mu przez Lilath oka – to wszystko spada teraz na niego. Quinn nigdy nie przeżywała go Goblinem, jak reszta z nas.

Victra kładzie chłopakowi rękę na ramieniu, gdy dostrzega cierpienie, choć nie pojmuje, skąd

się wzięło. Sevro odpycha jej dłoń.

– Nie znam cię – warczy.

– Wybacz – wycofuje się Victra.

– Na co czekasz, Kosiarzu? – prycha Sevro. – Jeszcze się nie oderwaliś od tej skały.

Ruszam za nim. Proszę jeszcze Victrę, aby przyprowadziła wnuka Władczyni.

Razem z Sevrem wspinamy się na drabinę i spotykamy z Tactusem w wąskim korytarzu,

który wiedzie do kajut pasażerskich i dyspozytorni.

– Oj, szlachetny przyjacielu – woła Tactus, podtrzymując zranione ramię. Mokre włosy

spadają mu na błyszczące oczy. Głos ma tubalny, nie przejmuje się stanem Quinn. – Następnym razem, gdy będziesz planował tak dramatyczne przedstawienie, uprzedź nas, że się pojawisz, przynajmniej nie zsikamy się w gacie.

Przepycham się obok niego.

– Nie teraz, Tactusie.

– Zawsze nudziarz – wzdycha i spogląda na Sevra. – Proszę, proszę, Goblin. Choć wydaje się to

niemożliwe, skarłałeś jeszcze bardziej, mój drogi.

Sevro wyjątkowo nie rewanżuje się uśmiechem.

Wchodzimy do części pasażerskiej, gdzie Augustianie i Wyjce przypinają się do foteli przed wzniesieniem się poza atmosferę. Tactus depta nam po piętach.

– Czołem, psychopaci – wita Wyjce Tactus. – Co za przyjemność widzieć znowu wasze miłe osobki, zwłaszcza ciebie, Kamyczek.

– Wal się – odpowiada Kamyczek, po czym pochyła się do jednego z młodocianych krewnych Augustusa i pomaga mu zapiąć pas.

Tactus mówi do mnie, gdy mijamy przedział pasażerski:

– Dobrzy przyjaciele, którzy przybywają na ratunek. Myślałem, że są rozproszeni na Obrzeżach.

– Byli – stwierdza Sevro.

– Co was sprowadziło z powrotem? – dziwi się Tactus. – Pogoda?

Sevro milczy.

Tactus wybucha śmiechem pomimo dziur w swoim pancerzu.

– Właśnie takimi ich lubimy, co, Darrow? Przyjaciele, którzy narażą życie i kończyny, aby na zawsze pozostać w twoim cieniu? – Szturcha mnie, chyba trochę zbyt rubasznie, i zostawia mi na ubraniu smugę swojej krwi. Dochodzimy do zamkniętych drzwi sterowni. Tactus krzywi się, gdy zahacza ramieniem o gródź. Sevro idzie tuż za nim.

– Jak twoje ramię? – pytam.

– Lepiej niż głowa tamtej dziewczyny w ładowni. Quinn, tak? Najszybsza z Domu Marsa.

Aja porządnie ją sprąła. Szkoda. Wziąłbym ją na...

Sevro kopie Tactusą w jądra od tyłu, wbija mu stopę między nogi z taką siłą, że metal osłony się wygina. Potem uderza go łokciem w skroń i płynnie przesuwając nogi do pozycji bojowej z Kravat. Trzy kolejne ciosy wreszcie powalają Tactusą na ziemię. Sevro przyciska kolano do zranionego ramienia przeciwnika, przedramieniem uciska mu gardło, a drugim

kolaniem jądra. W wolnej ręce ściska nóż uniesiony tuż nad okiem Tactusą.

– Jeszcze raz powiesz coś o Quinn w ten sposób, a odetnę ci jaja i wsadzę do dziurek w nosie.

– Brat zawsze powtarzał... nie spuszczaaj oka... z jaj – udaje się wydusić Tactusowi.

Metalowe drzwi sterowni otwierają się z sykiem. Augustus staje w progu. Przygląda się scenie. Na szczęście podchodzi Victra, prowadząc Lysandra.

– Już prawie skończone, panie mój – mówię. Przechodzę nad Tactusem i Sevrem, aby

dołączyć do ArcyGubernatora w kabinie. Victra robi to samo, tyle tylko, że następuje na Tactusa i mocno wbija w niego obcas.

– Pierwszorzędna robota – rzuca jeszcze dziewczyna do Sevra.

– Odczep się, krowo.

– Kim jest ten mały? – pyta Victra, gdy drzwi się za nami zamykają. Mówię jej.

– Syn Rycerza Gniewu? Wredny człowiek. Chyba mnie nie lubi.

– Nie bierz tego do siebie.

Kokpit jest większy niż moje pokoje w willi Cytadeli. Rzędy świateł otaczają fotele pilota i nawigatora. Mustang siedzi po lewej, Niebieska pilot po prawej stronie. Jest wpięta do systemów promu. Błękitna poświata jarzy się pod skórą na jej lewej skroni. Mustang

prowadzi, prawą rękę trzyma na holograficznym pryzmacie sterowniczym, przekazuje

Niebieskiej pośpieszne meldunki. Za zakrzywionym panoramicznym iluminatorem wznosi się Ziemia. Augustus, Pliniusz i komicznie skulony Kavax au Telemachus dyskutują o naszych możliwościach za plecami Mustang.

Zapada cisza.

– Dobra robota, Darrow. – Augustus nie odwraca głowy, żeby na mnie spojrzeć. – Chociaż mogłeś wybrać lepszy statek...

– Co się dzieje w ładowni? – przerywa mu Mustang. – Podobno ktoś jest ranny?

– Quinn umiera – wyjaśniam. – Musimy jak najszybciej dostarczyć ją do ośrodka medycznego.

– Nawet po opuszczeniu orbity czeka nas pół godziny lotu, zanim dotrzemy do naszej floty.

– Leć szybciej.



Prom drży, gdy Mustang i Niebieska wyciskają z niego więcej, niż można.

– To był dobry plan – uśmiecha się Kavax do Mustang. – To był dobry plan, Virginio, żeby infiltrować siedzibę Władczyni. Zupełnie jak wtedy, gdy byłaś mała i razem z Paxem ukryłaś się w krzakach, żeby podsłuchiwać obrady ojca. Tylko że Pax był większy niż krzaki!

Wybucha tubalnym śmiechem, który sprawia, że opanowana Niebieska obok Mustang wyraźnie się wzdraga.

Mustang obraca się, żeby uścisnąć mu ramię. Ręką nawet nie obejmuje jego łokcia. Kavax mruży oczy z zadowoleniem jak ogar z bażantem w pysku i zerka na wszystkich, aby

sprawdzić, czy komplement został zauważony. Mustang ma talent do radzenia sobie z mężczyznami większymi od niedźwiedzi.

Miłość malująca się na twarzy tego człowieka sprawia, że obojętność Augustusa wydaje

się jeszcze bardziej potworna. A co gorsza, na myśl, że Szakał zabił tak łatwo przybranego syna tego mężczyzny, wzbierają we mnie mdłości.

Mustang zerka, ale nie na mnie. Włosy ma spięte z tyłu, uśmiech błąka się w kącikach ust, a ja mam wrażenie, jakbym dostał pięścią w serce. Nie dla mnie jej uśmiech. Na palcu nie nosi też pierścienia z koniem.

Na długi czas zapada cisza. Przerywa ją Augustus.

– Przypuszczam, że Octavia próbowała włączyć cię do swojego stada? – zwraca się do mnie.

– Próbowała.

– Niech się wypcha. Założę się, że tak jej właśnie powiedziałeś, co, chłopcze? – śmieje się Kavax. Klepie mnie po ramieniu tak mocno, że zataczam się na Victrę.

– Wybacz. – Chyli się jak drzewo w patio, które wyrosło za wysoko. Z jego rozwidlonej brody kapie woda. – Wybacz – powtarza Victrze.

– Właściwie, jaśnie panie Telemanusie, uznałem jej propozycję za kuszącą. W przeciwieństwie do innych Octavia traktuje Lansjerów z szacunkiem.

Augustus nie traci czasu na pogaduszki.

– Wszyscy próbujemy. Mam wobec ciebie dług, Darrow. Zakładając, że uda nam się

dotrzeć do mojej floty.

– Masz ten sam dług wobec Mustang i Wyjców – zwracam uwagę.

– Wyjców? Kto to? – dziwi się ArcyGubernator.

– Moi przyjaciele w czarnych pancerzach. Ich przywódcą jest Sevro.

– Sevro. Ten pokurcz, który stał nad moim Lansjerem, tak? – Augustus unosi brew. –

Rzeczywiście wydawał mi się znajomy. Chłopak Fitchnera.

Nie podoba mi się jego ton. Zwłaszcza gdy ArcyGubernator dodaje:

– To on zabił tego gówniarza Priama podczas Chrztu.

– Jest z nami, panie mój. Lojalny jak ja.

Drzwi otwierają się z sykiem i dołącza Sevro z Tactusem. Odwracamy się jak jeden mąż, aby na niego spojrzeć. Sevro garbi się czujnie.

– Co? – rzuca wyzywająco.

– Wobec kogo jesteś lojalny, Sevro, wobec mnie czy swojego ojca? – pyta Augustus.

– Jakiego ojca? Jestem bękartem bękarta. – Sevro mierzy ArcyGubernatora ze sceptyczną miną. – I z całym szacunkiem, panie, za ciebie też nie dałbym złamanego grosza. Twoja córka sprowadziła mnie z Obrzeży. Moja lojalność należy się jej. Ale przede wszystkim Kosiarzowi.

I tyle.

– Zachowuj się, szczeniaku – warczy Kavax.

– Musisz być ojcem Paxa. Przykro mi, że zginął. Był człowiekiem, za którego mógłbym umrzeć. Ale podejrzewam, że przystojny był raczej po matce.

Kavax nie jest pewien, czy został obrażony.

Augustus przygląda się uważnie niskiemu wojownikowi.

– Darrow, winien ci jestem przeprosiny. Miałeś rację. Lojalność, jak się wydaje, może przetrwać poza Instytutem. – Kiwa głową. – Ale teraz zajmijmy się Lysandrem.

Zerka przez iluminator. Prom wznosi się nieustannie. ArcyGubernator klęka, aby porozmawiać z chłopcem.

– Słyszałem, że jesteś wyjątkowym młodzieńcem.

– To prawda, panie. – Lysander stara się, aby w jego głosie brzmiała pewność. – Jestem testowany regularnie i wszechstronnie edukowany. Rzadko przegrywam w szachy, ale kiedy tak się stanie, uczę się, co powinienem zrobić, aby wygrać następnym razem.

– Jak teraz? Miałem kiedyś syna podobnego do ciebie, Lysandrze. Ale na pewno o tym wiesz.

– Adriusa au Augustusa. – Lysander zna rodowód.

– Nie – zaprzecza ArcyGubernator. – Nie. Mój młodszy syn wcale nie jest do ciebie podobny.

Chłopiec marszczy brwi.

– Zatem starszy, Claudius au Augustus?

Mustang patrzy przez ramię.

– Tak. Dobry, wyjątkowy chłopiec o sercu lwa. Lepszy ode mnie. Życzliwszy. Władca. –

Rzuca mi dziwne, znaczące spojrzenie. – Zostalibyście przyjaciółmi.

Lysander stara się wyglądać godnie.

– Co się z nim stało?

– Pominięto tę część, co? Cóż, wielki młody człowiek z rodu Bellona imieniem Karnus

zniewolił pewną dziewczynę, do której zalecał się mój syn. Claudius uznał to za obelgę i wyzwiał Karnusa na pojedynek. Na koniec, gdy mój chłopiec leżał połamany i zakrwawiony, Karnus ukląkł, ujął go za głowę – Augustus kładzie rękę na szyi Lysandra – i zaczął uderzać nią o bruk, dopóki cała wyjątkowość Claudiusa nie wypłynęła.

Klepie Lysandra po policzku.

– Miejmy nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał czegoś podobnego oglądać.

– Czy taki masz plan wobec mnie, panie? – pyta odważnie chłopiec.

– Potworem jestem tylko wtedy, kiedy mi się to opłaca – uśmiecha się Augustus. – Nie

sądzę, aby tym razem tak było. Bo widzisz, próbujemy jedynie dotrzeć do domu. Gdy tylko twoja babka zezwoli nam na odlot, będziesz bezpieczny.

– Babcia twierdzi, że jesteś kłamcą.

– Co za ironia. Przekażesz jej, mam nadzieję, że dobrze cię traktowaliśmy.

– Jeżeli będę dobrze traktowany.

– Słusznie. – Augustus dotyka ramienia chłopca. – Victro. Zabierz go do przedziału pasażerskiego.

Victra krzywi się. Oczywiście Augustus wybrał jedyną kobietę oprócz Mustang. Tactus dostrzega jej reakcję i występuje śmiało.

– Mógłbym ja, panie mój? Od dawna nie widziałem swoich braci. Nie mam nic przeciwko temu, żeby porozmawiać sobie z chłopakiem.

Augustus zezwala skinieniem głowy, jakby chciał powiedzieć, że mało go to obchodzi.

Victra dziękuje, choć jest zaskoczona tą uprzejmością. Tactus mruga do niej

porozumiewawczo, uderza mnie pięścią w ramię i klepie mocno Lysandra po głowie – niemal dzieciaka przewraca. W życiu nie chciałem poznać braci Tactusa.

– Chodź, mały. Powiedz, byłeś kiedyś w klubie Perel? – Tactus prowadzi Lysandra do wyjścia. – Są tam wyjątkowi chłopcy i dziewczęta.

Niezdarny prom wznosi się coraz wyżej. Za dwie minuty opuścimy atmosferę.

– Próbowano mnie zabić podczas snu – szepcze Augustus. – Octavia wiedziała, że tego nie wybaczę.

– Przyleci na Marsa – zauważam.

– Nie ma żadnych szans, aby jakoś to wynagrodzić? – wtrąca Pliniusz.

– Wynagrodzić? – syczy Mustang. – Kobiectwo, która spaliła księżyc, Pliniuszu? Zgłupiałeś?

– *Pokój* ocali twój ród, panie mój, nie wojna. Jeżeli stawisz opór Władczyni, nie będzie już żadnej nadziei. – Pliniusz nie jest głupcem, gdy sięga po retorykę. – Władczyni dysponuje ogromną flotą. I niewyczerpanymi funduszami. Twoje imię, twój honor, nieważne, jak potężne, nie wytrzymają konfrontacji z Elitą. Panie mój, wyniosłeś mnie do swego boku ze względu na moją przydatność. I dlatego, że ufasz moim radom. Bez ciebie jestem nikim. Cenię sobie tylko twoją opiekę. Dlatego, jeżeli nadal mi ufasz, posłuchaj mojej rady i nie pozwól, aby krzywda zwróciła cię przeciw Władczyni. Nie dopuść do wybuchu wojny. Przypomnij sobie Reę, o tak.

Przypomnij sobie, że została spalona. Za wszelką cenę ochroń swój szlachetny ród. Zachowaj pokój.

– Kiedy Władczyni naciskała na mnie, ugiąłem się, jak przystało na Złotego, z godnością i spokojem.  
– Augustus podniósł głos. – Ale teraz mnie atakuje, a jej ostrze uderzy z nieugiętą siłą i przebije się przez opanowanie i spokój. Ruszamy na Marsa i na wojnę.

– Dolatujemy do górnych warstw atmosfery – wtrąca Mustang. – Trzymajcie się.

– Co to za światełko? – pyta Sevro. – To migające nad wysokościomierzem?

Odpowiedź rzuca Niebieska pilot:

– Śluza towarowa jest otwarta, *domine*.

– Śluza towarowa... – Marszczy brwi. – Możesz ją zatrzasnąć?

– Nie, *domine*, jestem odcięta.

Dlaczego śluza została...?

– Zgłosił się na ochotnika. – W głosie Mustang brzmią nutki paniki. – Tactus zgłosił się na ochotnika.

– Nie – syczę, czym zaskakuję wszystkich oprócz Mustang. Oboje domyśliliśmy się w tej samej chwili.

– Sevro, Victra, za mną! – Odwracam się na pięcie i pędzę do wyjścia. Chcę jak najszybciej dotrzeć na rufę.

– Przygotować się do uników i ucieczki – słyszę jeszcze rozkaz Mustang.

– Co się dzieje? – piszczy Pliniusz.

– Tactusie! – ryczę. Victra i Sevro depczą mi po piętach. Inne Wyjce i członkowie rodu wołają mnie zaskoczeni zamieszaniem, gdy przedzieram się przez przedział pasażerski.

Śrubokręt rozpina pasy swojego fotela.

– Przeszedł tędy z chłopcem.

– Siedź! – Popycham go na fotel. – Wszyscy zostają na swoich miejscach!

Tactus by tego nie zrobił. Nie mógłby. A niby dlaczego nie? Dlaczego zawsze zakładam, że nie zrobiłby tego, co dla niego najlepsze? Przecież ma to we krwi.

Ześlizgujemy się wzdłuż poręczy na poziom ładowni, mijamy pomieszczenie, gdzie Szakal operuje Quinn. Wpadam do ładowni. Wita mnie wycie wiatru. Drzwi są otwarte, w dole

rozciąga się ciemność przetykana światłami miasta. Klaun i Lansjer Augustusa leżą

nieprzytomni i zakrwawieni. Powoli ześlizgują się do otwartej śluzy. A Tactus jest już tylko odległym punktem wśród nocy. Nie widzę go wyraźnie, ale wiem, że nie ucieka sam. Zabrał

Lysandra.

– Sevro. – Chwytam przyjaciela za ramię. – Stój!

Kipi gniewem. Wygląda, jakby zaraz miał wyskoczyć z promu i ruszyć w pogoń za

Tactusem. Nic z tego. Już za późno. Łapiemy nieprzytomnych Złotych, zanim spadną z

opuszczonej rampy. Victra zamyka ładownię z panelu sterowniczego. Drzwi zatrząskują się z sykiem.

– Nie działa żadna łączność – rzuca Victra bez tchu. – Nie po impulsie

elektromagnetycznym!

– Nie potrzebuje przeklętej łączności. – Sevro wskazuje na nagie stopy Klauna. – Drań wzięł buty grawitacyjne. Gdy tylko wykryją go skanery szturmowców, zostanie podjęty na pokład.

W pamięci robię szybkie obliczenia.

– Mamy dwie minuty, zanim zostanie wysłany abordaż.

## *Rozdział dwudziesty*

### *Helldiver*

Powinienem był się domyślić, co zrobi Tactus. Przecież w Instytucie zabił swojego pierwszego Prymusa, Tamarę. Zawsze ulegał sile. I zawsze szukał tylko zwycięstwa.

Wiedziałem, jaka z niego bestia, lecz wydawało mi się, że to moja bestia. Sądziłem, że można mu ufać. Nie, sądziłem, że mogę go *zmienić*. Przeklinam się w duchu. Arogancki głupiec ze mnie. Wycofuję się po cichu do kokpitu, gdzie Augustus właśnie rozmawia z Niebieską pilot.

– Zdołasz nas stąd wydostać?

– Nie, *domine*. Według modeli geometrycznych nie ma prawdopodobnej drogi ucieczki.

Pilotka mówi jak typowa Niebieska – z emocjonalnym dystansem, skutecznie i

oznajmująco. Ciało ma drobne, niemal ptasie. Przypomina gałązkę – długa szyja, łysa, nieduża głowa. Wielkie oczy są niesamowicie lazurowe, niemal tak intensywnej barwy jak

cybertatuaze na czaszce. Kiedy ta kobieta wykonuje jakiś ruch, jest on powolny jak pod wodą.

Sądząc po akcencie, Niebieska urodziła się na asteroidzie.

– Jaki jest najbardziej prawdopodobny przebieg wydarzeń?

– Nasze silniki zostaną zniszczone przez ostrzał ze szturmowców. Kadłub będzie

rozszczelniony, co zabije wszystkich na pokładzie. Alternatywnie takie rozszczelnienie może powstać przy abordażu krążownika. Wtedy wszyscy na pokładzie zostaną pojmani.

– Albo zostaniemy po prostu zestrzeleni bronią ciężką – dodaje Sevro.

– Niebieska, dostarcz mnie na okręt, a otrzymasz dowództwo nad fregatą – oferuje

Augustus.

– Wolałabym krążownik – stwierdza Niebieska.

– Zatem krążownik będzie twój – godzi się ArcyGubernator.

– Dobrze. – Niebieska poprawia ustawienia kilku pokręteł. – Polecę jak należy, ale jeżeli mamy przeżyć, paradygmat musi być zmieniony, aby nie dopuścić do bezpośredniego starcia.

Prom przedziera się przez najwyższe warstwy atmosfery Księżyca. To pękata jednostka, z wielką ładownią przeznaczoną do transportu żołnierzy i wyrzucania ich na pole walki. Tacy jak ja rozdarliby ten statek na kawałki przy pomocy szturmowca. Podobnych promów

używaliśmy w Akademii, aby przerzucać oddziały w skafandrach pancernych do baz na wrogich asteroidach.

Kadłubem wstrząsa uderzenie ostrzału.

– Jeżeli powłoka została przerwana, radzę wstrzymać oddech, *domini* – oznajmia pilot. –

Na pokładzie nie ma wystarczająco dużo hełmów awaryjnych.

Victra marszczy brwi.

– Pękną nam płuca, jeżeli to zrobimy.

– Zatem trzeba wypuścić powietrze – odpowiada spokojnie Niebieska. – Pozostanie wtedy

trzydzieści sekund, zanim pękną błony bębenkowe, a naczynia krwionośne zapadną się jak przebite baloniki. Ja wstrzymam oddech.

Sevro spogląda na mnie przez ramię, oczy ma wytrzeszczone.

– Nienawidzę przestrzeni kosmicznej.

– Ty wszystkiego nienawidzisz.

Wydostajemy się z atmosfery. Ostrzał milknie, gdy wyslizgujemy się w otwartą przestrzeń, gdzie okręty flagowe armady suną jak behemoty w oceanicznych głębinach Europy. Z

kadłubów wystają wieżyczki strzelnicze niczym krosty, a grodzie ogromnych ładowni dzielą podbrzusza tych monstrów. Kupieckie statki przelatują między nimi powoli. Szturmowce i sondy krążą na patrolach. Nikt nie poświęca uwagi naszemu promowi oprócz jednostek

lejących za nami z Księżyca. Władczyni nie chciała zapewne rozgłaszać swojej akcji. Czas płynie.

Nie mamy dokąd uciec. Zamierzaliśmy przemknąć się pod działami Wielkiej Armady, gdy mieliśmy Lysandra za zakładnika. Ale teraz musimy uciekać bez osłony.

Nasza pilot jest spokojna i niewzruszona jak skała.

Powiedziała, że paradygmat musi zostać zmieniony.

Co mogę zrobić? Myśleć. Myśleć.

– Połączymy się z jednym z okrętów – mówi Augustus. – Przekupimy kapitana, aby udzielił nam schronienia. Każdy ma swoją cenę.

– Jesteśmy odcięci. Nie możemy nadawać – przypomina mu Mustang.

Umrzemy. Wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę. Augustus nie panikuje ani nie rozważa kapitulacji. Kładzie dłoń na ramieniu Mustang. Zaskoczona dziewczyna wzdraga się lekko.

– Czy to będzie pocisk, czy abordaż, umrzyjmy jak Złoci – oznajmia ArcyGubernator z powagą. Nie dlatego, że w swojej ostatniej godzinie chce pokazać nam, jaki jest silny.

Szczerze wierzy w to, kim jest – nadczołowiekiem, panem swoich ludzkich słabości. Dla niego śmierć to tylko ostateczna słabość. Ludzie jęczą, gdy umierają. Czepiają się życia, nawet gdy nie ma już nadziei. Lecz nie Augustus. Śmierć nie może złamać jego dumy.

Pod wieloma względami Złoci są jak Czerwoni. Helldiverzy poświęcają życie dla rodziny i w imię swojej klanowej dumy. Nie jęczą i nie płaczą, gdy wokół nich zapadają się



podziemne tunele kopalni, a z mroku wypełzają zmije jaskiniowe. Upadają i giną, a

przyjaciele z płaczem wydobywają ich ciała. Ale mamy Dolinę, której możemy wypatrywać, a co mają Złoci? Kiedy umierają, ich ciała się rozkładają, a imiona i uczynki pozostają w pamięci, dopóki nie wymaże ich czas. I tyle. Jeżeli ktokolwiek miałby się rozpaczliwie czepiać życia, to właśnie Aureaci.

I ja. Czepiam się życia, ponieważ niosę zarzewie czegoś, co nie może umrzeć, nie może przepaść. Dlatego chwytam Sevra za ramię i z przerażającym, niesamowitym śmiechem

rozkazuję Niebieskiej pilot, aby zbliżyła się do najgroźniejszego okrętu na orbicie, tego, który właśnie zmieniał kurs, aby przeciąć nam drogę.

– Zbliź się do „Awangardy” – powtarzam Niebieskiej.

– Nasze szanse przeżycia spadną wtedy do...

– Nigdy nie mów mi, jakie są szanse, po prostu wykonaj – napominam ją stanowczo.

Wszystkie oczy zwracają się na mnie. Nie dlatego, że powiedziałem coś dziwnego, lecz

dlatego, że zgromadzeni tylko czekali, aby na mnie spojrzeć. Zanosili w duchu milczące modły, żebym wymyślił jakiś plan. Nawet Augustus.

Eo mówiła, że ludzie zawsze będą się na mnie oglądać. Wierzyła, że mam w sobie coś, co budzi nadzieję. Sam rzadko to czułem. Teraz też nie ma we mnie ani odrobiny nadziei. Tylko zgroza. Czuję się jak mały chłopiec – rozzłoszczony, rozpieszczony, samolubny, smutny i samotny, na dodatek z poczuciem winy – a jednak wszyscy patrzą na mnie. Niemal załamuję się pod tymi spojrzeniami, niemal garbię i cofam, pragnę, aby ktoś inny przejął dowodzenie.

Ale nie mogę tego zrobić. Jestem nikim. Tylko oszustem w wyrzeźbionym ciele. Ale nie mogę dopuścić, aby marzenie Eo przepadło.

Dlatego gram, a reszta patrzy.

– Popadłeś w kosmiczny obłąd? – pyta Victra. – Kiedy zorientują się, że nie mamy chłopca...

– Weź kurs na mostek „Awangardy” – nakazuje Mustang Niebieskiej.

Augustus kiwa mi krótko głową. Domyślił się już, co planuję.

– *Hic sunt leones.*

– *Hic sunt leones* – powtarzam. Ostatnie spojrzenie rzucam na Mustang, nie na człowieka, który powiesił moją żonę. Dziewczyna nawet tego nie dostrzega. Z Sevrem u boku opuszczam szybko sterownię. I wtedy kadłubem wstrząsa uderzenie. Prom został czymś trafiony. Wróg wie, że nie mamy

Lysandra.

– Wyjcie! Wstawać! – wołam.

Kamyczek unosi ręce.

– Przecież powiedziałaś...

– Wstawać! – ryczę.

Światła awaryjne rzucają na korytarze krwawą łunę, gdy z Sev-rem wbijamy się w opancerzone skafandry kosmiczne. Potrzeba po dwa Wyjce, aby pomóc nam w zakładaniu mechaniczno-cybernetycznych pancerzy. Spoczywam w swoim skafandrze, a Kamyczek zapina mi nogi w strzemionach i zamyka nagolenniki. Wyjce poruszają się sprawnie i szybko pomimo kolejnego wstrząsu od trafienia pociskiem. Wycie syren ostrzega, że kadłub został przerwany.

Próbuję spowolnić oddech, gdy Victra wciska mi głowę w pancerny hełm.

– Powodzenia. – Przysuwa się blisko. Zanim udaje mi się ją powstrzymać, przyciska usta do moich. Nie cofam się, nie wtedy, gdy grozi mi śmierć. Pozwalam, aby mnie pocałowała. A potem ten ludzki odruch się kończy i Victra odsuwa się, po czym zamyka mi masywną

przesłonę. Wyjce na ten widok pokrzykują i wyją. Wolałbym, aby to Mustang zamknęła mnie w tej metalowej puszcze i pocałowała na pożegnanie, ale trudno. Na wewnętrznym ekranie

wyświetla się cyfrowy obraz, po czym zostaję wepchnięty w tunel wyładunkowy. Przyjaciele zostają w tyle. Jestem sam. Przerażony.

*Skup się.*

Zsuwam się szybko na brzuchu przez tunel. W tej ciasnej przestrzeni większość się pewnie moczy, oddzielona od przyjaciół, od życiodajnego ciepła. W tunelu nie ma grawitacji. Ani ciśnienia. Nienawidzę panującej tutaj nieważkości.

Nie mogę unieść głowy, złamałbym sobie kark, gdy zostanę wystrzelony. Nie mogę się

obrócić w lewo ani w prawo. Mój pancerz jest przyczepiony do tysiąca zębatych haczyków magnetycznych. Wsuwają się na miejsca z cichym kliknięciem.

Za chwilę zostanę wystrzelony w kosmos. Oddycham chrapliwie. Serce wali mi w piersi.

Napawam się strachem własnego ciała i uśmiecham się lekko. Kiedy chciałem się wystrzelić w Akademii, usłyszałem, że to samobójstwo. Może tak, może nie.

Ale taki właśnie jestem. Zstępuję do piekieł.

Przypominam ludzkiego żuka w tym metalowym pancerzu, z bronią i napędem, który

kosztował więcej niż spory statek. W prawej ręce mam działo pulsacyjne. W razie potrzeby zakwitnie jak kwiat haemanthusa.

Przypominam sobie czasy, gdy Eo kładła haemanthus pod moimi drzwiami. Wspominam,

jak zerwałem ten kwiat ze ściany tej nocy, gdy miałem wygrać Laur. Tamte dni wydają się odległe o lata świetlne od zimnego miejsca, w jakim się znajduję. Tutaj płatki są z metalu i nie mają miękkości jedwabiu.

– *Zostaliśmy otoczeni. Oddział abordażowy w drodze* – rozlega się z komunikatora głos

Mustang. – *Ustawiam wyrzutnię.*

Prom jęczy, gdy kolejny pocisk niemal trafia. Tarcze mamy wyłączone. Chroni nas jedynie stary kadłub.

– Wymierz dobrze – mówię.

– *Zawsze, Darrow...* – Jej milczenie wyraża więcej niż tysiąc słów.

– Przykro mi – wzdycham.

– *Powodzenia.*

– *Tu wcale nie jest zabawnie* – skarży się Sevro.

Słyszę syk hydraulicznych układów promu i metalowe zębki wypychają mnie tunelem do

ładowni wyrzutni. Tuż przy głowie magnetyczny strumień zasilający mruczy śmiercionośnie, jakby chciał mnie sprowokować, abym na niego popatrzył.

Podobno wielu Złotych nie może tego znieść, nawet Niezrównani Naznaczeni panikują i

krzyczą lub płaczą w tunelu wyrzutni. Wierzę. Pixie dostaliby chyba ataku serca. Niektórzy nie mogą nawet podróżować na statkach kosmicznych ze strachu przed małymi pomieszczeniami i pustką przestrzeni. Mięczaki. Urodziłem się w domu mniejszym od ładowni tego promu, a pracowałem w podziemnych korytarzach, przy których ten tunel wygląda jak plac zabaw dla dzieci, i jeszcze musiałem obsługiwać potężne wiertło.

A jednak odczuwam strach.

„Obserwuj, jak atakuje żmija jaskiniowa, synu”. Ojciec chwycił mnie kiedyś za nadgarstek i zmusił do tej gry. „Obserwuj, jak się zwija i unosi, aż osiągnie dogodną pozycję. Nie ruszaj się wcześniej. Nie atakuj slingiem. Jeżeli tak zrobisz, żmija cię dopadnie. Zabije cię. Ruszaj, gdy zaczniesz opadać. Zrób to ze strachu o życie. Nie działaj, dopóki nie ogarnie cię całkowite przerażenie, a wtedy...”

Pstryknął palcami.

Ten moment właśnie nadchodzi, gdy ogarnia mnie muzyka maszynerii. Kliknięcia i trzaski, syk i pomruki wibrujące przez pancerz. Rozpoczyna się odliczanie.

– Jesteś gotów do odlotu, Goblinie? – pytam Sevra przez komunikator.

– *Cacatne ursus in silvis?*

Czy niedźwiedź sra w lesie?

Prom obraca się z drzeniem. Wyją kolejne syreny.

– Łacina w takiej chwili?

– *Audentes fortuna iuvat* – chichocze Sevro.

– Los sprzyja śmiałym? Jeżeli to mają być twoje ostatnie słowa, zasługujesz na śmierć.

– *Tak? Możesz mnie pocałować w...*

Moje serce bije w rytmie maszyny.

Metalowe zębki wrzucają mnie w magnetyczny strumień wyrzutni. I oto się dzieje. Nawet w pancernej zbroi przeciążenia miażdżą mnie niczym cios boga piorunów czczonego przez Obsydianów. Przed oczyma mam tylko ciemność. Serce podchodzi mi do gardła. Światło

migocze. Nie widzę ścian tunelu wyrzutni, gdy następuje wystrzelenie. Z mroku wynurza się twarz Eo. Mdleję. Ciało nie może tyle znieść. Za duża szybkość.

Mrok.

A potem w ciemności pojawiają się jasne punkty.

Gwiazdy.

Nie ma przerwy. Sekundę temu byłem na promie, teraz mknę przez kosmos z prędkością

kilku tysięcy kilometrów na sekundę.

W tej chwili wielu wypróżnia się w skafander. Nie ze strachu. To biologia i psychika.

Ludzkie ciało nie może tyle znieść. Mickey Snycerz upewnił się, że moje wytrzyma trochę więcej. Mam nadzieję, że Sevro również sobie poradzi.

Bezdźwięcznie pokonuję przestrzeń. Ufam, że towarzysz jest u mojego boku. Nie mogę go dostrzec, nawet na czujnikach. Gnamy do największego okrętu w armadzie – tego, którego powinno się unikać. Mija zaledwie sześć sekund. Obok przelatują pociski. Artylerzyści już nas widzą. Wiedzą, co się

dzieje. Nie używamy jednak silników odrzutowych, więc pociski nie mogą nas namierzyć. Nie można też ręcznie zdetonować ładunków na tak krótkim dystansie.

Puste zbiorniki paliwowe przelatują obok nas, jeden prawie się ze mną zderza. Nasza pilot wymierzyła doskonale.

Broń automatyczna też nie może nas trafić. Naboje przelatują obok. Sevro wyje do komunikatora. Tarcze ochronne są wyłączone. Przeciwnicy nie zdążą ich włączyć na czas.

Opalizujące iskry przepływają po kadłubie, gdy ładują się osłony pulsacyjne.

*Za późno, sukinsyny. O wiele, cholera, za późno.*

Nie mogę myśleć. W duchu tylko krzyczę. I śmieję się, choć szaleje we mnie płomień.

Śmieję się, ponieważ wiem, że logiczni i rozsądni wojownicy na pokładzie ogromnego krążownika nie wygrają z moim szaleństwem.

Mostek jest już blisko. Zerkam w górę. Dostrzegam tam Żółtych, którzy krzyczą na siebie bez opamiętania. Biegną do swoich kapsuł ratunkowych lub skafandrów próżniowych. Patrzą na nasze natarcie tak samo, jak Mustang, gdy moje konie z Domu Marsa wpadły na błotniste pole jej i Paxa. Nasz gniew to coś wyjątkowego. Coś, czego urodzeni na Księżycu nie pojmują.

Niebiescy się rozbiegają. Obsydiani wyciągają broń. Dwóch Żółtych zakłada maski

tlenowe i rozwija ostrza, szykując się do walki na śmierć i życie. Tuż przed uderzeniem strzelam z działa pulsacyjnego w panoramiczny iluminator. Strzelam raz po raz. A potem zwijam się w kłębek i uderzam w pancerne, grube szkło z prędkością, jaką nadała mi

wyrzutnia. W ostatniej chwili uruchamiam silniki przy butach.

Z ust wrywa mi się szaleńczy krzyk.

*Rozdział dwudziesty pierwszy*

*Skalany*

Wbijam się w mostek, miażdżę panele i pulpity sterownicze, a potem przebijam kolejne metalowe ściany i stal korytarzy, nim wreszcie zatrzymuję się o sto metrów dalej, oszołomiony. Nie widzę Sevra. Wzywam go przez komunikator. Z jękiem mamrocze niewyraźnie o swoim tyłku. Może naprawdę się zesrał.

Przez hełmy nie możemy tego słyszeć, ale na pokładach niesie się wycie, gdy członkowie załogi zasysani są w próżnię wraz z powietrzem. Tak czy inaczej Niebiescy, Pomarańczowi i Złoci z krzykiem wylatują w przestrzeń. Obsydiani przyjmują śmierć w milczeniu.

Czuję coraz silniejsze mrowienie w lewym ramieniu. Działo pulsacyjne jest zniszczone.

Wewnątrz skafandra ręka zaczyna mnie cholernie boleć. Mam wstrząśnienie mózgu. Wymiotuję w hełm. Nozdrza wypełnia mi gorzki odór. Ale podnoszę się mimo wszystko. Prawe ramię mam sprawne. Wyświetlacz jest zniszczony.

Przeciskam się przez dziury w ścianach. Docieram do mostka, na którym panuje chaos.

Członkowie załogi przytrzymują się, czego mogą, aby nie wypaść w przestrzeń. Młoda Złota przelatuje obok mnie i znika w ciemności. Wreszcie zapalają się czerwone światła. Awaryjne grodzie zamykają tę część okrętu, jedna opada na uszkodzone iluminatory, aby odciąć wyciek powietrza, inna zasuwana się na rozbitą ścianę za moimi plecami, aby ją wzmocnić.

Przytrzymuję ją, gdy dostrzegam nadchodzącego Sevra. Metal jęczy pod naciskiem mojego ramienia, wspomaganego serwomechanicznym systemem skafandra. Sevro przeciska się przez szczelinę, a zaraz potem gródź się zatrząskuje. Mostek jest odcięty, a my znajdujemy się w środku. Doskonale.

Podmuch zanika, gdy durostalowe płyty zamykają zniszczone iluminatory. Oficerowie

okrętu i niżsi rangą załoganci podnoszą się z podłogi i próbują odetchnąć, jednak w

pomieszczeniu nie ma powietrza. Tlen pod ciśnieniem dopiero jest pompowany, dlatego ci, którzy mają maski – Złoci, Obsydianowi i Niebiescy – obserwują spokojnie, jak paru

Różowych lokai i Pomarańczowych techników próbuje nabrać tchu, niczym ryby wyrzucone z wody. Jeden z Różowych wymiotuje krwią, jego płuca pękły, gdy starał się wstrzymywać

oddech. Niebiescy przyglądają się śmierci ze zgrozą. Nigdy nie widzieli czegoś podobnego.

Przywykli tylko do widoku gasnących diod na wyświetlaczach i monitorach. Może zdarzyło im się również widzieć z oddali eksplodujący okręt lub wyrzut płomieni podczas cumowania jednostek

Obsydianów i Szarych. Właśnie zaczynają lepiej rozumieć kruchość ludzkiej

egzystencji.

Obsydiani i Złoci nie reagują wcale. Niektórzy z Szarych próbują udzielić pomocy, ale jest już za późno. Gdy ciśnienie i poziom tlenu wracają do normy, PodKolory już nie żyją. Nigdy nie zapomnę ich twarzy. Przecież ja to na nich sprowadziłem śmierć. Ile rodzin zapłacze z powodu tego, co tutaj uczyniłem?

W gniewie tupię metalowym butem w stalową podłogę pokładu. Trzykrotnie. A ci, którzy nie zrobili nic, gdy ginęli ich towarzysze, odwracają głowy i patrzą na mnie i Sevra w pancernych skafandrach próżniowych.

Och, nareszcie na twarzach Złotych i Obsydianów malują się uczucia!

Jeden z Obsydianów naciera na nas z piką. Sevro uderza go raz, miazdzy potężnego mężczyznę żelazną pięścią. Pozostali czterej łączą siły i atakują, śpiewając jedną ze swoich obrzydliwych pieśni wojennych. Sevro stawia im czoła, zachwycony, że wreszcie jest największym osiłkiem na polu bitwy. Ja ruszam na Szarych, którzy właśnie rozbiegają się po swoją broń.

I tak to się rozgrywa. My, ludzie ze stali, walczymy z niezorganizowanymi ludźmi bez pancerzy. To jak bicie młotami w arbuzy. Nigdy nie zabiłem człowieka z taką obojętnością. I przeraża mnie, jak łatwo przychodzi mi to podczas wojny. Nie ma w tym dwuznaczności, nie ma naruszenia przekonań moralnych. Ci ludzie należą do Kolorów bojowych. Albo ja ich zabiję, albo oni mnie. To prostsze niż Chrzest. Tym bardziej że ich nie znam, nie znam też ich braci i siostr, a moje pięści nie są nagie, lecz opancerzone metalem, z łatwością posyłają przeciwników za mroczne wrota śmierci.

Jestem w tym dobry, o wiele lepszy niż Sevro, i właśnie to przeraża mnie najbardziej.

Jestem Kosiarzem. Wszelkie wątpliwości, jakie mnie kiedyś dręczyły, zniknęły. Czuję, jak moją duszę kazi piętno.

Staramy się z Sevrem chronić Niebieskich. Mostek jest wielki, na szczęście nie ma tu

wielu Obsydianów i Szarych z pociskami i bronią energetyczną. Nie było powodu, aby się tutaj znajdowali, nikt nigdy nie wdarł się do sterowni przez iluminatory. Dwie Złote z mieczami stanowią większe zagrożenie. Jedna jest postawna i wysoka. Druga, która na nas naciera, ma szczupłą twarz wykrzywioną w grymasie desperacji. Miecze mogłyby przeciąć nawet nasze pancerze, dlatego Sevro strzela do nich z działa na ramieniu, co powoduje przeciążenie tarcz, a energia, która się przedziera, topi nie tylko ich pancerze, lecz także ciała.

Właśnie dlatego Złoci kontrolują technologię. Ludzie, niezależnie od Koloru, okazują się słabi i łatwo giną w machinie wojny.

Po pozbyciu się zagrożenia odwracam się do Niebieskich na pokładzie mostka.

– Jest tu kapitan? – pytam.

W skafandrze bojowym góruję nad nimi co najmniej o metr. Niebiescy przyglądają się

jednak tylko zabitym, których po sobie zostawiłem. Zapewne wyglądam dla nich jak

ucieleśniony koszmar. Iskry strzelające z ramienia. Na wpół zniszczony pancerz. Przeróżające ostrze w dłoni.

– Nie mam czasu na zastraszanie. Jesteście wykształceni. To nie wasz okręt. Zajmujecie się nim na rozkaz Złotego, który dowodzi. Teraz jednak to ja dowodzę. Dlatego pytam jeszcze raz.

Jest tu Niebieski kapitan?

Kapitan przeżył. To wymuskany, uległy mężczyzna, długonogi i długoręki, za to z wątłym torse. Na twarzy ma świeże rozcięcie, które chyba bardzo go boli. Mężczyzna drży i pociąga nosem, przyciska dłoń do rany, jakby w obawie, że twarz mu odpadnie. Matka nazwałaby go rozpieszczonym mięczakiem. Eo jednak przyjęłaby inną taktykę, dlatego podchodzę i odzywam się łagodnie:

– Jesteś już bezpieczny. Nie próbuj niczego głupiego.

Unoszę przyłbicę. Resztki wymiocin rozpryskują się wokół. Nakazuję kapitanowi, aby

cofnął się w kąt i zdjął gwiazdzistą oznakę swojej rangi. Ręce mu drżą tak, że nie ma szans wypełnić polecenia. Sevro wyciąga rękę, zabiera odznakę i unosi go jak szmacianą lalkę.

Kobieta o końskiej twarzy i ciemnooliwkowej skórze prostuje się dumnie i prycha na tę demonstrację. Spogląda na Niebieskich z podejrzaną złością. Jest łysa jak cała reszta, ale jej lazurowy cybertatuaż wiję się nie tylko na czole i skroniach, lecz także na dłoniach i szyi.

Sevro wraca do mojego boku po rzuceniu byłego kapitana w kąt.

– Przestań się popisywać, Sevro.

– Lubię być duży.

– Wciąż jestem większy.

Próbuje mnie poczęstować podstępny kiksańcem, ale mechaniczne palce nie są

wystarczająco zręczne.



Wydaję rozkazy Niebieskim w sekcji technicznej na dole, żeby wpuścili naszych przyjaciół z promu do jednego z hangarów w ładowniach. Załoganci podłączają się do swoich stanowisk, po czym wykonują polecenie. Wszyscy są posłuszni, ponieważ mam nad nimi przewagę siły. Ale na innych pokładach okrętu? Nie wiadomo. Może pozostają lojalni wobec Władczyni. Albo okazują posłuszeństwo jedynie temu, kto dowodzi okrętem. Byłbym głupcem, gdybym wierzył, że wszyscy działają z tych samych pobudek. Trzeba będzie ich zmusić.

Obserwuję na monitorze, jak prom ląduje w hangarze. Ledwie trzyma się kupy. Dwa szturmowce wlatują zaraz potem. Moje Wyjce będą musiały walczyć z oddziałami zabójców, którzy zejda z pokładów. Wiedziałem, że Wyjce sobie poradzą, ale jeżeli Obsydiani i Szarzy z „Awangardy” dołączą do zabójców Władczyni, wszystko przepadnie.

Zza grodzi, które oddzielają mostek od reszty okrętu, rozlega się przenikliwy syk. Płyty zaczynają się jarzyć czerwienią od gorąca, na środku pojawia się czarna kropka na srebrzystej hartowanej stali. Obsydiani albo Szarzy komandos, bez wątpienia prowadzeni przez jakiegoś Złotego, próbują odzyskać okręt. Powinno im to trochę zająć.

– Czy w korytarzach są holokamery? – pytam Niebieskich.

Wahają się.

– Do czarnej próżni, wy durne worki smrodu – przeklina Niebieska, na którą wcześniej zwróciłem uwagę. Przepycha się przed innych i synchronizuje swoje tatuaże z konsolą. Na jednym z ekranów pojawia się hologram, który potwierdza moje obawy. Złoci prowadzą oddziały, które mają pomóc im w odzyskaniu mostka.

– Pokaż mi maszynownię, węzeł systemów wspomagania życia oraz ładownie – nakazuję.

Niebieska spełnia polecenie. Znowu Złoci prowadzą oddziały Szarych komandosów i

Obsydianowych niewolnych rycerzy, aby zabezpieczyć najważniejsze systemy okrętu.

Spróbują odebrać mi kontrolę. Co gorsza, będą próbowali również przejąć lub zniszczyć prom, aby zabić albo pojmać Mustang i moich przyjaciół.

Przechodzę przez podium dowodzenia, kopnięciem usuwam sobie z drogi zwłoki, po czym spoglądam na Niebieskich w sekcji łączności poniżej. Unikają moich spojrzeń. To dwie kobiety, niewiele starsze ode mnie. Twarze mają pobladłe, młode jak pierwszy śnieg o

poranku, ale już poznaczone bruzdami łez i smugami brudu. Lazurowe wielkie oczy są lekko przekrwione. Te Niebieskie widziały dzisiaj śmierć swoich przyjaciół, a ja puszę się przed nimi samolubnie, jakby to był mój triumf. Tak łatwo się zatracić...

Nigdy nie zapominaj, kim jesteś, napominam się w duchu. *Nigdy nie zapominaj.*

Z okrętem chcą się połączyć dziesiątki innych oraz dowództwo naziemne w Cytadeli. Co

się dzieje? – pytają. Jednostki zwiadowcze i niszczyciele czujnie podlatują bliżej. Włączam kanał wewnętrznej łączności, który umożliwia komunikację z całą załogą mojego nowego okrętu.

– Uwaga, załoga jednostki nazywanej dotychczas „Awangarda”, a obecnie przemianowanej

na „Pax”. – Robię dramatyczną pauzę, ponieważ wiem, że każda dobra pieśń, każdy

wyjątkowy taniec to gra napięcia doprowadzającego do crescendo muzyki lub ruchu.

Sevro nie przestaje się uśmiechać do mnie jak mały chłopiec. Przypomina chochlika w za wielkiej zbroi, zwłaszcza że jego głowa wydaje się taka mała po schowaniu hełmu. Wykonuje

zamaszyste ruchy ramionami, żeby mnie rozśmieszyć. Kręcę głową i spoglądam na niego karcąco. Nie pora na żarty.

– Nazywam się Darrow au Andromedus, jestem Lansjerem marsjańskiego rodu Augustus i

właśnie przejąłem ten okręt jako zdobycz wojenną. Jest mój. Przykro mi, ponieważ zapewne z tego powodu wszyscy zginiecie.

Robię kolejną pauzę.

– Poświęćcie swoje życie różnym powołaniom – elektronice, nawigacji gwiazdnej, broni, służbie pomocniczej, naprawom serwisowym, sztukom walki. Moim powołaniem jest podbój.

Uczymy się tego w szkołach. Wyszkolono mnie w prawidłowych metodach inwazji, najazdu i przejmowania wrogich okrętów. Gdy już się przejmie mostek takiej jednostki, następny etap procedury, jakiej nas uczono, jest prosty: rozhermetyzować okręt.

Sevro włącza ukrytą konsolę za stanowiskiem nawigacyjnym. Mają do niej dostęp tylko

Złoci. Niebiescy cofają się z zaskoczeniem. To jak wejść do czyjejś kuchni i pokazać jej właścicielowi bombę jądrową ukrytą pod zlewem. Konsola skanuje Złoty Sigil Sevra i

migocze złotem. Wystarczy, aby mój towarzysz wprowadził kod, a cały okręt otworzy się na kosmos. Dwadzieścia tysięcy ludzi umrze.

– Przejęliśmy ten okręt, zatem możemy go opróżnić. Czemu? Nie z powodu braku zaufania do waszej lojalności, tak naprawdę polegamy właśnie na niej, ale dlatego, że na pokładzie znajduje się nadal...  
– zerkam na tablet podany mi przez jednego z Niebieskich –

sześćdziesięciu jeden Złotych. A oni są lojalni tylko wobec Władczyni. Ja zaś jestem jej wrogiem. Nie będą mi zatem posłuszni. Spróbują sabotażu, aby odebrać mi mostek tego

okrętu. Będą was szczyć, szargać waszą lojalność i sprowadzą na was pewną śmierć. Przez nich i ich nienawiść do mnie nigdy nie ujrzycie już swoich bliskich.

Przerywam na chwilę.

– Jest jeszcze jeden problem. Władczyni właśnie zastanawia się, co się tutaj dzieje.

Wkrótce dowie się, że ten wspaniały okręt już do niej nie należy. Jest mój. Jednostki Pretorianów Władczyni zaczną zatem wypływać eskadry transportowców z legionami

Obsydianów i Szarych. Prowadzić ich będą Złoci rycerze, którzy pragną mojej głowy i zabiją każdego, kto stanie im na drodze. Jeżeli wyrzucę was w próżnię, nie będzie nikogo, kto mógłby im przeszkodzić i powstrzymać ich, zanim mnie zabiją. Dlatego, jak widzicie,

jesteście moim ocaleniem, a ja waszym. Nie poświęcę dwudziestu tysięcy ludzi, aby zabić sześćdziesięciu jeden moich wrogów. Wybrałem tę jednostkę spośród innych ze względu na załogę. Najlepszą, jaką mogło stworzyć nasze społeczeństwo. Dla mnie nie jesteście zbędni.

Dlatego chcę, abyście zdecydowali: wybierzcie mnie na dowódcę i uwięźcie tych Złotych, którzy uważają, że mogą was spisać na straty. Macie moje zezwolenie, gwarancję i słowo ArcyGubernatora Marsa, Nerona au Augustusa, żeby złapać lub zabić Złotego, który dowodził

tym okrętem. Zabierzcie innym Złotym broń i skujcie ich, a potem przygotujcie okręt do odlotu, zanim najeżdźcy, którzy tu przylecą, spróbują go zniszczyć. Uczynicie to od razu. Jeżeli będziecie czekać, zginiecie! Będę wiedział, kto pierwszy wykonał moje polecenia. A jako wasz nowy dowódca, wynagrodzę was. I ArcyGubernator również was nagrodi. Do dzieła

zatem! Właśnie otworzyłem wszystkie arsenały na pokładzie okrętu. Chwyćcie za broń i pokonajcie tyranów.

Zapada przytłaczająca cisza, zanim na okręcie zapłoną pierwsze iskry rewolty.

Sevro podchodzi bliżej.

– Poruszająca przemowa.

– Zbyt demokratyczna? – pytam szeptem.

– Nie sądzę, żeby demokracja autokratyczna się liczyła. – Sevro marszczy nos. – Przecież groziłeś, że

wymieci ich w próżnię.

– Groziłem? Myślałem, że poinformowałem ich o tej ewentualności wcale gładko.

– Gładko jak żwir, gnojku. – Sevro chichocze z nieco zbyt dużym entuzjazmem, po czym

klepie się po udach. Serwomechaniczne dłonie zostawiają wgniecenia na pancerzu. Sevro krzywi się i zerka na mnie nieco zakłopotany. – Pieprzyć to.

Gródź za naszymi plecami zaczyna syczeć. Zerkam na gorejący metal. Moi wrogowie przywlekli tu wiertło. Ręce mi się trzęsą od adrenaliny. Czuję na karku ciężkie spojrzenia Niebieskich. Czerwień na grodzi staje się coraz intensywniejsza, coraz wyraźniejsza.

Niewiele czasu nam zostało.

Moje ostrze prostuje się w długi, budzący grozę miecz.

– Wkrótce będziemy mieli towarzystwo – ostrzegam Sevra, ale przyjaciel nie zwraca na mnie uwagi. Patrzy na jeden z holokranów. Rozkazuję Niebieskim, aby się ukryli.

– Robią to – szepcze Sevro. – Niech to, Darrow, chodź i zobacz.

Przełącza kolejne obrazy z holokamer. Wszystko, co widać, dzieje się na żywo.

Pomarańczowi i Niebiescy w prowizorycznych pancerzach tłoczą się w korytarzach. Pomagają im niektórzy Szarzy. Inni stoją obok, niepewni, co powinni zrobić, pomimo że ich towarzysze strzelają do tej fali załogantów. Jednak żadna kula nie powstrzyma powodzi. PodKolory chwyciły za broń i przetaczają się niezdarnie korytarzami, a ich szeregi rosną. Najbrutalniejsi prowadzący – nie Niebiescy, lecz Pomarańczowi z obsługi hangarów oraz maszynowni, wraz z Szarymi... Jednego rozpoznaję. Kapral w średnim wieku, który służył na moim okręcie w Akademii, ten, który z nami uciekł. Właśnie kieruje sporą grupę mężczyzn i kobiet do kabin Złotego. Skuwają go z szacunkiem. Jednak to pokojowe postępowanie nie staje się regułą.

Trzy potężne oddziały Złotych prowadzą Obsydianów i Szarych do pomieszczeń z

systemami podtrzymywania życia, a także do maszynowni oraz pod grodzie mostka. Okręt ma pięć kilometrów od dziobu do rufy, czeka ich długa droga. Pod sterownią pojawia się czterech Złotych i sześciu Obsydianów. Za ich plecami dziesięciu Szarych ładuje broń.

– Chyba jednak będziemy mieć towarzystwo – stwierdzam.

W każdej chwili mogą przebić się przez grodzie. Iskry strzelają od środka stalowej płyty, gdy przeciska się przez nią wiertło. Roztopiony metal z sykiem kapie na podłogę. Niebiescy drżą z przerażenia, a Sevro i ja prostujemy się, zamykamy przyłbice i przygotowujemy się do walki. Ponownie nozdrza wypełnia mi odór wymiocin. Przypominam Niebieskim od

łączości, aby ukryły się za swoimi stanowiskami. Będą tam bezpieczniejsze.

Obok mnie na konsoli rozbłyskuje nagle światełko połączenia. Odbieram odruchowo. Głos niczym grzmot wprawia w drżenie nawet moje kości. Nie ma obrazu.

– Słyszysz mnie? – rozlega się grzmiące pytanie.

– Tak. – Zerkam na Sevra. Ktokolwiek się do nas odezwał, używa potężnego wzmacniacza głosu. Sevro wzrusza ramionami, jakby nie miał pojęcia, kto to jest. – Kto mówi?

– Jesteś Bogiem?

Bogiem? Ogarnia mnie niesamowita cisza. To nie wzmacniacz głosu. Powinienem od razu

się zorientować po beznamiętnym tonie i przeciągniętej wymowie. Dobieram bardzo ostrożnie słowa, przypomniawszy sobie to, co najważniejsze.

– Jestem Darrow au Andromedus, zrodzony w słońcu.

– Przejąłeś okręt, a nie jesteś jeszcze nawet Pretorem? Jak?

– Wleciałem na mostek.

– Sam z Otchłani?

– Z towarzyszem broni.

– Przybędę, aby spotkać się z tobą i twoim towarzyszem, dziecię boże.

Niebiescy spoglądają na siebie ze zgrozą. Poruszają ustami, choć nie wydają głosu.

*Skalany.* Ramiona przygniata mi brzemień strachu. Sevro i ja rozglądamy się po mostku, jakby gdzieś tutaj kryła się bestia. Na dodatek gródź ulega i rozpada się powoli w kawałkach rozgrzanego do czerwoności metalu.

Wtedy jeden z Niebieskich z zaskoczeniem łapie oddech. Spoglądam na monitor, w który

wbił wzrok. Obraz z kamery na korytarzu pod grodzią sterowni to czysta groza. Kiedy Złoci i ich oddział szykują się do wejścia na mostek, z tyłu naciera na nich... to. On. Obsydian, lecz największy, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Nie chodzi jednak tylko o jego rozmiary, ale głównie o to, jak się porusza. Przerazający stwór złożony z cieni, mięśni i pancerza. Nie biegnie, lecz nadciąga. Niesamowity. Jakby to było ostrze miecza wykonane z ciała. Takie, które nie powinno istnieć, chyba że na samym dnie piekieł.

Przybyły atakuje śmiercionośny oddział od tyłu dwoma pulsującymi oślepiającą bielą

ostrzami jonowymi, które wysuwają się z opancerzonych dłoni na trzy stopy. Monstrualny mężczyzna przechodzi po prostu przez szereg Szarych brytanów, rozgniatając ich na ścianach i łamiąc kości szerokimi barkami. A potem zaczyna prawdziwe zabijanie. To tak dzika rzeź, że muszę odwrócić wzrok.

Gorące wiertło nadal automatycznie roztopia gródź. Pojawia się już otwór. Widzę w nim umierających ludzi. Na rozgrzanym metalu skwierczy krew.

Kiedy Skalany kończy, krwawi z wielu ran, ale tylko jedna Złota trzyma się jeszcze na nogach. Przebija wielkoluda mieczem, ostrze zanurza się w czarnym napierśniku. Skalany wygina się, aby zablokować broń, a potem chwytą ostrze. Złota zmienia ostrze w bicz. Wtedy jednak Skalany chwytą ją za hełm. Złoty pancerz migocze w poświacie lamp na korytarzu.

Kobieta próbuje uciec, wyrwać się, ale potężny przeciwnik po prostu ściska mocniej, jak lew, który trzyma hienę w paszczy. Kiedy Złota wydaje ostatnie tchnienie, Skalany troskliwie układa jej ciało na podłodze. Niemal z czułością, skoro dał jej dobrą śmierć.

Sevro instynktownie cofa się od grodzi.

– Matko jedyna...

Skalany stoi po drugiej stronie grodzi, metalowa płyta, która nas rozdziela, powoli

topnieje. Kiedy otwór jest już szeroki jak jego tors, olbrzymi wojownik zdejmuje hełm. Widzę bladą twarz bez zarostu. I czarne oczy. Pobrużdżone policzki z odciskami od zbroi

przypominają skórę nosorożca. Z czubka łysej głowy wyrasta tylko długi na metr kosmyk białych włosów, który opada na kark nieznajomego.

Nasze spojrzenia się krzyżują i wojownik zwraca się do mnie:

– Andromedusie, dziecię boże, jestem Ragnar Volarus, Skalany pierworodny mojej matki, Alii Śnieżnej Jaskółki z Igllic Walkirii na północ od Smoczego Grzbietu i na południe od Upadłego Miasta, siedliska Uskrzydłonej Grozy, brat Sefiego Milczącego, zdobywca Tanosa, ongiś wznoszącego się nad wodami. Składam ci w darze piętno.

Rozkłada swoje ogromne, splamione krwią ręce, a potem sięga prawą do grodzi. Jonowe ostrze cofa się i znika w pancerzu. Ostrze Złotej wystaje mu spomiędzy żeber.

Cholera, zsikałem się w skafander.

– No, niech mnie – mruczy Sevro. – Zrób to, Darrow. Zanim ten potwór zmieni zdanie.

Chowam hełm i robię krok naprzód. Chcę tego olbrzyma.

– Ragnarze Volarusie. W samą porę. Widzę, że nie nosisz oznak. Masz pana?

– Noszę znak Pana Popiołów i zostałem przekazany w darze wraz z tym wspaniałym okrętem rodowi Julii. Lecz ty przejąłeś ten okręt, a zatem i mnie.

Ród Julii? Z pewnością był to dar za zdradę i wydanie Augustusa.

Czy mi się zdawało, czy ten Skalany wykorzystał właśnie lukę biurokratyczną, aby usankcjonować zamordowanie ludzi swojego pana? Jeżeli w jego głosie była ironia, ja jej nie usłyszałem. Dlaczego jednak to uczynił? Czy te czarne oczy mnie przejrzały? Skalani nie mogą używać technologii oprócz tej wykorzystywanej w broni. A ten olbrzym nigdy wcześniej mnie nie widział, a jednak czeka z wyciągniętymi rękami, aż je uścisknę.

– Dlaczego to robisz? – pytam. – Czy to przez Julii?

– Handlują takimi jak ja.

Zapomniałem. Przecież to statki rodu Julii transportują Obsydianowych niewolników przez próżnię. A zniewoleni boją się godła rodu Victry – włócznie na słońcu.

Ten Skalany nie nauczył się skrywać swojej nienawiści. Jest zimna jak lodowe pola, wśród których się urodził.

– Przyjmiesz to piętno, dziecię boże? – pyta, pochyliwszy się nieco. Głos ma błagalny, w kącikach ust czai się zaskakujące zmartwienie.

Złoci mu to zrobili. Wszystkim jego pobratymcom. Po Mrocznej Rebelii, jedynym

powstaniu, które zagroziło władzy Aureatów. Odebrano im historię i technologię, starto z oblicza świata całe pokolenie, a potem dano im rasie bieguny wszystkich planet i nordyckie wierzenia. I wmówiono im, że Złoci są bogami. Wiele wieków później spoglądam w oczy

jednego z najbardziej przerażających potomków tej rasy i zastanawiam się, jak to możliwe, że widzi we mnie boga.

– Przyjmuję to piętno na swoje imię, Ragnarze Volarusie. – Z przerażeniem wyciągam ręce.

Wymieniamy uścisk, choć nasze ramiona spowijają rozgrzany do czerwoności metal. Nasze dłonie są niemal tej samej wielkości, tyle że moje okrywają serworękawice. Krwią, którą Skalany zostawił mi na rękach, maluję sobie smugę na czole. – Przyjmuję na siebie to brzemię.

– Dziękuję ci, zrodzony w słońcu. Dziękuję. Będę ci służył, przysięgam na honor mojej matki i jej matki.

– Mam przyjaciół w promie, który wylądował w hangarze trzecim. Ocal ich, Ragnarze, a

będę ci wdzięczny.

Skalany odsłania żółtawe zęby w uśmiechu, a z piersi dobywa mu się pieśń wojenna,

głębsza i potężniejsza niż sztorm na oceanie. Wypełnia grozą korytarze okrętu. A we mnie wzbiera nie tylko lęk, lecz także radość i pierwotna ciekawość.

W co też się właśnie wpakowałem?

## *Rozdział dwudziesty drugi*

### *Rozniecona iskra*

Trzęsę się jeszcze po odejściu olbrzyma. Uspokajam się i spoglądam na Niebieskich,

którzy wyglądają jak zahipnotyzowani. Nie wiedzą, czy patrzeć na mnie, czy na wyświetlacze lub ekrany, które pokazują otaczające nas krążowniki Władczyni.

– Nie macie się czego bać – zapewniam. – Kapitan tego okrętu został zdjęty ze stanowiska, ponieważ zostawił nieosłonięte iluminatory. Głupota. Ranga nie usprawiedliwia błędów.

Potrzebuję nowego kapitana. Nie mamy wiele czasu. Dlatego mam sześćdziesiąt sekund na decyzję.

Dumnie wyprostowana Niebieska występuje spośród swoich pobratymców. Początkowo

wydawało mi się, że tatuaże na jej rękach przypominają roślinne pędy, ale dostrzegam, że to pasma matematycznych wzorów: promień Larmora, równania Maxwella na zakrzywienie

czasoprzestrzeni, teoria odbicia Wheelera-Feynmana oraz setki innych, których nawet nie rozpoznaję.

– Daj mi funkcję kapitana, a wydostanę cię na Marsa, chłopcze. – W jej głosie nie ma

intonacji, jest zupełnie beznamiętny. Precyzyjny i senny zarazem. Emocje z niego uleciały, pozostały tylko litery i głoski wyrazów jak równania w powietrzu. – Przysięgam na życie.

– „Chłopcze”? – powtarzam.

– Jesteś o połowę młodszy ode mnie. Mam cię tytułować paniczem? Byłoby to dla ciebie obraźliwe?



Sevro unosi brew, zmieszany obojętną śmiałością Niebieskiej.

– Wybacz jej, *domine* – wtrąca się gładko inny Niebieski. – Jest tylko kadetką w...

Unoszę dłoń.

– Jak masz na imię, Niebieska?

– Orion ze Aquarii.

– To imię dla chłopaka – zauważa Sevro.

– Naprawdę? Nie wiedziałam. – Niebiescy potrafią być sarkastyczni? – Sekcja planowała, że będę mężczyzną. Zaskoczyłam ją.

– Która sekcja? – pyta Sevro.

– Ona nie pochodzi z żadnej sekcji. Została przyjęta do Sekcji Kopernikowskiej, ale

wydalono ją wkrótce z oczywistych powodów – ugrzeczniony Niebieski wtrąca się znowu. –

To dokerka.

Orion garbi się. Zerka na Niebieskiego. Nie podnosi głosu, gdy się do niego zwraca.

– A ty jesteś tylko pedantycznym wypierdkiem, Pelusie, co?

– Jak widzisz, to dokerka – tłumaczy pokornie Pelus. – Nie można opanować jej wzorców emocjonalnych. To nie jej wina, lecz *zanieczyszczonego* środowiska, z którego się wywodzi.

– Wypchaj się. – Orion podchodzi bliżej do Pelusa.

A potem wali go pięścią w twarz. Niebieski z jękiem zatacza się, jakby nigdy wcześniej nie oberwał. Chyba naprawdę był to jego pierwszy raz. Dlaczego Niebieska uderzyła innego Niebieskiego? Przecież potrafią tylko rozwiązywać testy, obliczać równania, rysować

wykresy. Ale nie walczyć.

– Podoba mi się ta niegrzeczna – mówi Sevro.

– Poczekaj, *domine!* Pragnę tego okrętu! – Kolejny Niebieski występuje z szeregu i zerka

na Pelusa leżącego na podłodze. – Ja... Ja na niego zasługuję. Orion jest... opóźniona! Jej stopień opanowania astrofizyki pozostawia wiele do życzenia, a o zrozumieniu kinetyki okołoplanetarnej nawet nie warto wspominać. Nie uczęszczała nawet do Obserwatorium.

Kolejny Niebieski wrywa się naprzód.

– Zapomnij o Arnusie! W astrofizyce jest słaby, a jego założenia w obliczeniach

teoretycznych są co najmniej nierozważne! Za Pana Popiołów byłem pierwszym oficerem tego okrętu przez pół roku. Służyłem u niego od początku. Logika nakazuje, aby mnie powierzyć stanowisko twojego kapitana, *domine*.

Okręty armady nieustannie próbują nas wzywać przez komunikatory. Krążowniki podlatują bliżej. W ich trzewiach odważni mężczyźni i kobiety zakładają skafandry próżniowe i zajmują miejsca w promach startujących w kosmos. A w tym samym czasie moi Niebiescy przepychają się i kłóca, który powinien sterować okrętem, wyśmiewają wzajemnie swoje umiejętności matematyczne i wykształcenie.

– Nie słuchaj ich, *domine!* – krzyczy kobieta, która przeciąga zgłoski. Opada na kolana. –

Nazywam się Virga xe Sedierta. Studiowałam fizykę prądów astralnych w Szkole Północy, o wiele lepszej niż Obserwatorium. Zdobyłam między innymi doktorat z ciemnej materii i

skupisk grawitacyjnych. Pozwól mi prowadzić swój okręt, *domine*. Wybór kogoś innego będzie nieodpowiedni, a co gorsza, nielogiczny!

Ci Niebiescy powinni użyć swojej logiki i zrozumieć, że interesuje mnie tylko kobieta, która nie uklękała jak reszta. Orion, która pierwsza się odezwała, nadal stoi dumnie i nie pochyła smukłego karku. Jej dialekt pochodzi z niższych klas, jest ostrzejszy i bardziej wymowny niż rozmarzony żargon akademików. Zapewne ta Niebieska urodziła się w dokach

na Fobosie albo w ciągu stoczni pod Akademią. Jeżeli tak jest i nie uczyła się ani w

Obserwatorium, ani w Szkole Północy, ciekawe, jak udało się jej trafić na mostek okrętu flagowego armady.

– Co to za hałas? – pytam Orion i wskazuję na Niebieskich.

– Gówna wiedzą, *domine*. – Puka smukłym palcem w skroń. – Ale ja nie mam tu gówna.

Uśmiecha się i skinieniem głowy wskazuje ekrany, gdzie mniejsze okręty zwiadowcze zbliżają się coraz bardziej.

– A tobie kończy się czas.

Zerkam na stanowisko namierzania, gdzie migocze alarmowy sygnał podkradających się promów z krążowników i niszczycieli Władczyni.

– Wiem, że potrafię się stąd wyrwać, inaczej bym się nie odzywała. *Daj mi szansę*.

Kiwam głową, a Sevro rzuca kobiecie uskrzydloną gwiazdę kapitana.

– Zabierz nas do naszej floty.

– Zasady walki? – pyta mnie świeżo mianowana kapitan.

– Minimalne straty – odpowiadam. – Jesteśmy tymi dobrymi. Władczyni to tyranka.

Dlatego musimy to rozegrać w ten sposób.

– Tak jest, *domine*.

Patrzemy z Sevrem, jak Orion przejmuje dowodzenie nad okrętem i wydaje rozkazy, aby

ruszyć na spotkanie jednostek Augustusa za Bojami Rubikonu. Przepychanki urywają się od razu po mianowaniu. Niebiescy wiedzą, że stracili okazję, więc wracają do swoich zadań, jakby wcale nie chcieli ich przerywać. W przyćmionym świetle ich błękitne Sigile wyglądają jak trójzęby na przedramionach.

W Niebieskich jest intrygujące odosobnienie. To wyspiarze wśród otchłani kosmosu,

wychodowani, aby przetrwać i nie buntować się podczas długich podróży z Księżyca. Dlatego się dzielą. Dzielą ten sam tlen, to samo pożywienie, te same koje, rutynowe prace, stanowiska, dowódców, kochanków, te same sekcje i te same ambicje – wykonać swoją pracę z jak

największą precyzją i awansować dzięki wiedzy, aby w ten sposób uhonorować swoją sekcję.

Włączam kanał łączności z resztą floty i satelitami Księżyca. Nie można zagłuszyć tego sygnału. Nie tego okrętu. Nasze systemy nadawania są równie zaawansowane jak pozostałych jednostek we flocie Władczyni.

– Synowie i córki Elity. Mówi Darrow au Andromedus z rodu Augustus. Przynoszę

straszne wieści. Dziś w nocy Władczyni złamała Konwencję naszego społeczeństwa. Kiedy mój pan, ArcyGubernator Marsa Nero au Augustus, spał pod jej ochroną, Władczyni podjęła próbę zamachu na życie jego oraz członków rodu, a także jego Pretorów i adiutantów. Wraz z rodem Bellona Władczyni dokonała nielegalnej i niemoralnej próby morderstwa ponad

trzydziestu Niezrównanych Naznaczonych. Nie udało się jej. W odwecie odebrałem okręt

flagowy jej armady. I jestem teraz obleżony. I mnie, i mojemu panu oraz jego rodzinie grozi śmierć. Jeżeli nie będziemy walczyć, zginiemy. Jeżeli się poddamy, także zginiemy. Nie rozhermetyzowałem okrętu. Ci, którzy znajdowali się na pokładzie, zrozumieli moje pobudki i sprzymierzyli się z rodem stawiającym opór żadnej władzy tyrance, jaką jest Octavia au Lune.

To nawet prawda, choć nie cała.

– Kilka godzin temu wasza Władczyni kazała mi zdradzić mój ród. Złamać złożone

przysięgi. Jak jej ojciec wcześniej, tak Octavia au Lune upaja się władzą i wierzy, że jest Imperatorką. Kazała nam ugiąć kark, niech ujrzy teraz naszą odpowiedź.

Wyłączam nadajnik.

– Panie Pelus, jeśli można – oznajmia Orion. – Niech ci dranie się udławiają, gdy jeszcze trochę się zbliżą.

Kapitan aktywuje swoje tatuaże i pogrąża się w wirtualnej rozmowie z resztą swojej załogi.

Na mostku zapada cisza. Mijają sekundy. Na jednym z głównych ekranów widzę trzech

Szarych, którzy strzelili właśnie Złotemu w głowę. W hangarach Pomarańczowi kulą się pod ścianą, gdy Złoci prowadzą Kolory bojowe do zacumowanego promu. A potem przybywa tam

Ragnar, a Pomarańczowi tłoczą się wokół niego, podobnie jak uzbrojeni Czerwoni, którzy szli za Skalanym korytarzami. Wielu ginie. Te Kolory dopadła wściekłość. Chociaż umierają, wyczuwam w nich tłącą się iskrę, zarzewie buntu. Wystarczy, że dam im zezwolenie, a uczynią to, czego pragnęli przez całe swoje życie. Tli się w nich ta iskra, choć dopiero tuż przed śmiercią zdają sobie sprawę z jej istnienia – ta iskra niezależności, pragnienie wolności.

Śluza promu otwiera się i Mustang atakuje z Wyjcami, aby pomóc PodKolorom i Ragnarowi, chociaż nawet Telemansowie trzymają się na dystans od monstrualnego wojownika.

Wrogie okręty w końcu się pokazały. Skanery zamigotały czerwienią. Nieprzyjacielskie promy, wystrzelone niedawno z hangarów armady wokół nas, przecinają przestrzeń, aby dotrzeć do kadłuba „Paxa”. Zamierzają wziąć okręt szturmem.

Orion otwiera osłony na burtach.

– Ten okręt jest piękny – szepcze Sevro. Ja milczę. Broń automatyczna zaczyna strzelać seriami w promy, pociski rozrywają metal i ludzi, ale nie zatrzymują się, lecz wbijają się w kadłuby i osłony tych samych krążowników, które wystrzeliły promy.

Moja kapitan dotyka płytki na stanowisku dowodzenia, po czym składa ramiona na piersi.

Mój pięciokilometrowy okręt zaczyna się obracać i niszczyć jednostki, które próbowały go otoczyć. Wraki dryfują na czoło floty Władczyni. Orion odwraca się w moją stronę z lekkim uśmiechem.

– A teraz jeśli chodzi o wyrwanie się stąd, *domine*.

Rozkazuje przetoczyć do napędu ciemną materię. Zrywamy się do lotu i przebijamy przez dwa zniszczone krążowniki.

Na mostku panuje milczenie, poza rzucanymi szybko poleceniami technicznymi. Pociski

rozbłyskują za naszym kadłubem. Uruchamiamy osłony podobnie jak nasi przeciwnicy, przez co pociski samonaprowadzające stają się nieprzydatne. Otacza nas poświata jak na

pustkowiach. Salwy z broni automatycznej uderzają w nasz kadłub, ale na mostku nie czuje się nawet wibracji. Nasze wyposażenie nie krzesze iskier. Z sufitu nie zwisają żadne przewody.

Ten okręt to szczyt osiągnięć siedemsetletniej tradycji wzornictwa.

Sevro trąca mnie łokciem.

– Mamy pieprzoną szansę, że to się jednak uda.

Armada wokół nas jest liczna i potężna. Bardziej niż potężna. Została tutaj sprowadzona, aby wprowadzić w drżenie zgromadzonych panów i ich floty stacjonujące poza granicą

wyznaczoną przez Boje Rubikonu, a przecież to nawet nie połowa sił kosmicznych Władczyni.

Ale teraz ta ogromna armada rozrywana jest od środka niczym opuchnięte ciało, z którego obcy pasożyt próbuje sobie wygryźć drogę na wolność.

Wyrywamy się szybko jak pocisk.

Okręty nie ruszają za nami w pościg poza Boje Rubikonu, gdzie czeka niewielka flota

ArcyGubernatora, jak i równie małe siły Cordovanów, Telemanusów i Norvo. Mam nadzieję, że po dzisiejszej niespodziance dołączy pod nasze sztandary jeszcze więcej jednostek.

Spoglądam na nasz ślad – szczątki po starciu. Za moim okrętem pozostają ciała tych, którzy zostali wyssani ze zniszczonych promów i krążowników. Niektórzy jeszcze żyją, ale wkrótce umrą z wyziębienia lub braku powietrza. Zostawiam za sobą tylko trupy. Ilu jeszcze będzie musiało zginąć?

Oddaję mostek pod komendę Orion. Sevro i ja wyszukujemy przejście do sekcji

inżynierskiej, gdzie Pomarańczowi uwalniają nas ze zniszczonych opancerzonych skafandrów.

Potem pędzimy do hangaru, metalowej hali pełnej promów, wyposażenia, a teraz również

rannych. Żółci krzątają się przy opatrywaniu i przenoszeniu pacjentów do sal medycznych, Szarzy i Pomarańczowi pomagają przy noszach.

Chwast prowadzi paru rozbrojonych Żółtych pod groźbą obnażonego miecza. Kamyczek i

Oset pomagają Żółtym. Rozglądam się nerwowo w poszukiwaniu Mustang. Odnajduję ją pod

uszkodzonym skrzydłem promu. Rozmawia z ojcem. Przez jej lewe ramię ciągnie się długa rana. Nie wspominam o tym. Oboje znajdowali się na ściganym promie i zdołali odepchnąć wrogów, gdy wylądowali w hangarze.

– Uciekliśmy siłom Władczyni – melduję Augustusowi.

– Gdzie Quinn? – przerywa mi ostro Sevro. – Zabrano ją już do sali medycznej?

Mustang nie odpowiada, tylko odwraca głowę i patrzy na rampę promu, po której schodzi Roque. W ramionach niesie Quinn. Dziewczyna jest blada. Bezwładna. Bez życia. Sevro nie rusza się. Nie odzywa słowem. Jego nozdrza rozchylają się, gdy wstrzymuje oddech, a potem z piersi chłopaka, który nigdy nie zapłakał, wrywa się żalostny jęk. Sevro drętwieje. Zamiera jak posąg. Wyciągam do niego rękę, ale uchyla się – nie dlatego, że się gniewa, lecz dlatego, że jeszcze nie rozumie. Jakby poznał przyszłość, a to, co się dzieje na jego oczach, ani trochę nie przypomina rzeczywistości, jaką mu obiecano. Sevro zatacza się i cofa od ciała Quinn,

rozgląda nieprzytomnie, a potem odwraca się na pięcie i wybiega z hangaru.

Roque mija mnie z Quinn na rękach. Twarz ma znużoną i bez wyrazu. Chce powiedzieć coś gorzkiego, ale gryzie się w język i tylko potrząsa głową, spojrzawszy mi w oczy. Nadal nie wie, dlaczego przed przyjęciem zaatakowałem go w komnacie. A teraz jeszcze Quinn. Nigdy nie widziałem Roque'a tak załamane.

– Popatrz na nią – mówi zdławionym głosem. – Popatrz na swoją przyjaciółkę, Darrow.

Patrzę na Quinn i czuję, jak ogarnia mnie spokój. Oto ona, uszpięta na wieki. Dlaczego nie możemy ponownie tchnąć w nią życia? Dlaczego nie możemy po raz drugi odtworzyć

minionego dnia? Zrobić wszystko, ale tym razem jak należy. Ocalić tych, których kochamy.

Roque rusza znowu i niesie Quinn do przezroczywej tafli pola pulsacyjnego, które otwiera się na próżnię. Mój przyjaciel garbi się z żalu, gdy podchodzi i wypycha swoją zmarłą dziewczynę w gwiazdy.

Zatrzymuję Szakala, gdy opuszcza prom, chcę wiedzieć, co się stało. Mówi mi, że umarła. I tyle. Szakal jest równie zmęczony jak każdy z nas. Opuszcza podwinięte rękawy.

– Nie będę przeproszał. Zrobiłem, co mogłem.

– Oczywiście. – Biorę się w garść. – Oczywiście, że tak.

A potem Szakal pyta, gdzie jest kamera z mojego hełmu. Patrzę na niego bez zrozumienia.

– Nagranie – wyjaśnia Szakal. – Zdajesz sobie sprawę, czego właśnie dokonałeś?

Potrząsam głową.

– Dwaj ludzie zdobyli największą ze wszystkich jednostek w naszym wszechświecie. –

Szakał macha ręką i kikutem z podnieceniem. – Złoci przyjdą chmarą pod nasze sztandary.

Wystarczy tylko, że nagłośnię twój wyczyn w swoich mediach.

Mówię mu o rejestratorze danych, o którym prawie zapomniałem. Synowie Aresa

zainstalowali mi go w zębie, abym nagrał wybuch podłożonej bomby. Włącza się go przez zaciśnięcie zębów. Zrobiłem to, gdy tylko usiadłem przed Władczynią w jej komnacie.

Wsuwam palce do ust i ostrożnie podważam urządzenie, aby odkleić je od dziąsła. Jest mniejsze i cieńsze od włosa. Szakałowi rozbłyskują oczy.

– Skąd to masz? – pyta radośnie.

– Z czarnego rynku. Władczyni się doigrała. Użyj nagrania. Spraw, aby na tej wojnie siły były wyrównane.

Pozostawiam Szakała i już mam wyjść za innymi, aby się umyć, gdy dostrzegam, że

Pomarańczowi i PodKolorzy obserwują mnie uważnie. Nie mogę tak po prostu rządzić żelazną ręką. Dlatego przyłączam się do Kamyczek i Oset, aby pomóc przy opatrywaniu i noszeniu rannych do sal medycznych. Reszta Wyjców również pomaga. A potem Mustang i wreszcie

nawet Victra.

Kiedy ostatni z Szarych zostaje bezpiecznie położony na noszach, okazuje się, że jestem sam w hangarze. Augustus poszedł na mostek. Szakał stara się wymknąć Telemansom, którzy mu towarzyszą, i w końcu rusza do węzła łączności. Tylko ja stoję sam jak palec. Roque odszedł. Nie wiem, co zrobić, gdzie iść.

Pokład znaczą smugi krwi i spalenizny. Spuszczam wzrok na swoje ręce. Oto skutki moich działań. Czuję się taki samotny. Opieram głowę o zimną, metalową ścianę.

Podchodzi do mnie od tyłu. Nie wydaje mi się, żeby wymówiła moje imię. Nie jestem

pewien. Czuję tylko zapach jej mokrych włosów, gdy obejmuje mnie w pasie. I ściska mocno.

– Wiem, że jesteś zmęczony – mówi cicho Mustang. – Ale Sevro bardzo cię teraz potrzebuje.

– A Roque? – Odwracam się do niej. Dzieli nas tak wiele niewypowiedzianych słów, tak wiele pytań

bez odpowiedzi. Tak wiele zbrodni bez wybaczenia. Tak wiele gniewu, a jednak wciąż tli się we mnie coś więcej. Czuję to, gdy Mustang obejmuje mnie za szyję, i przyciągam ją bliżej.

– Nie teraz. – Kręci głową.

Roque myśli, że to moja wina. I powinien mnie obwiniać. Wszyscy powinni obarczyć mnie winą. Bo przecież będzie tylko gorzej.

## *Rozdział dwudziesty trzeci*

### *Zaufanie*

Znajduję go we wspólnej łazience. Zasłużył na pojedynczą kajutę, jakie zajęli inni na czas podróży powrotnej na Marsa, ale on tak nie myśli. To nadal chłopiec, który ukrył się w końskim brzuchu.

Nie, napominam się w duchu. Już nie chłopiec.

– Zależało jej na tobie, Sevro.

Opiera dłonie na kolanach, pęgowe i chude. Na biodrach ma ręcznik, drugi zwisa mu z ramion. Złoci nie przejmują się nagością, ale Sevro zawsze był inny. Widzę, że zrobił sobie tatuaż. Wielkiego czarno-szarego wilka na plecach. Wyjce są dla niego wszystkim. Kiedyś dla mnie stanowiły tylko narzędzie, teraz liczą się o wiele bardziej. Ale jakie to ma znaczenie, skoro wykorzystuję je tak samo?

Sevro przygląda się, jak woda spływa z prysznicza. Nieustannie w dół po spirali.

– Myślę, że w końcowym rozrachunku spodoba mi się wojna – oznajmia. – Trochę

wzmocni mi kręgosłup. Nabawię się odcisków na dłoniach. A dranie wmawiali nam, że to same róże i chwała.

Unosi głowę.

– Czujesz zapach róż, Kosiarzu?

Siadam obok niego na ławce.

– Słyszałeś, co powiedziałem?



– Jasne, że słyszałem. Straciłem oko, nie słuch. – Wskazuje kościstym palcem bioniczną protezę. – I wiem, że jej zależało. Ale nie tak, jak pragnąłem. Zaslugiwała, żeby żyć. Jeżeli ktokolwiek z nas, gównojadów, zasługiwał na życie, to właśnie Quinn. Nie było w niej ani odrobiny okrucieństwa. Ani trochę. Ale i tak nie miało to znaczenia. Nie ma znaczenia, czy jesteśmy dobrzy, czy źli. Wszystko zależy od przypadku.

– Przypadek sprawił, że w ogóle ją poznałeś – mówię cicho. – Przypadek sprowadził ją do Domu Mars.

– Nie, to był mój ojciec. On ją nakłonił, zrobił wymianę z Junoną, żeby ją dostać. – Sevro potrząsa głową. – I tylko dlatego, że jego zdaniem mogła nas utemperować, zapanować nad naszym gniewem. Gdyby jej nie wybrał, nie spotkalibyśmy się i teraz by żyła.

– Może – odpowiadam, a myślami wracam do Eo. – Ale postanowiła przybyć tutaj. Pójść za mną. Pójść za tobą.

– Tak jak Pax.

Dotykam mojego pegaza.

– To wszystko wielkie gówno. Nieprawdaż? – stwierdza Sevro. – Nie ma znaczenia, jak ładnie opakowane. Wciąż jesteśmy w grze. Zawsze będziemy w tej przeklętej grze. Pluńmy na imperium Złotych. Plujmy na to gówno. Przyszedłem do ciebie, ponieważ powiedział mi, kim jesteś.

Spoglądam na niego niezdolny zrozumieć.

– Co masz na myśli? – pytam z nerwowym uśmiechem.

– Włącz to – nakazuje Sevro. – Wiem, że je wzięłeś. Jesteś czujny, Kosiarzu. Zawsze czujny.

– Dlaczego zachowujesz się tak...

– Zamknij się i włącz.

Kiwam głową i uruchamiam urządzenie, które noszę w kieszeni. Minigenerator pola

zakłócającego. Nie jestem tak pyszny jak Władczyni i nie wierzę, że nikt nie ośmielił się podsłuchiwać. Sevro przygląda się mi długo, zaczynam się nerwowo wiercić.

– Zatem kim jestem? – pytam wreszcie.

– Nawet teraz? – Ze zdziwieniem kręci głową. – Jesteś bardzo napięty. Wypowiedz imię

osoby, która mnie przysłała.

– Mustang cię przysłała. Sam mi powiedziałaś, że wezwała cię z Obrzeży. Podobnie jak resztę Wyców.

– Zgadza się, zrobiła to. Pół roku trwał powrót tutaj z Plutona. Ale zgadnij, kto do mnie przyszedł, gdy odpoczywałem na Trytonie. Śmiało, Košku, zgadnij.

– Lorn? – Sevro krzywi się niechętnie, więc zgaduję dalej. – Fitchner?

Pluje mi w twarz, prosto pod oko.

– Jeszcze jedna zła odpowiedź, a zostawię cię tutaj.

Pstryka palcami.

– Nie wrócę. Nie pomogę ci. Nie przeleję dla ciebie krwi. Nie poświęcę *przyjaciół* dla człowieka, który boi się zaryzykować dla mnie i choć raz odsłonić szyję. Zaufanie działa w obie strony, Darrow. Twoja kolej, żeby się wykazać.

Nie blefuje. I wiem, co chcę powiedzieć. Ale jak to możliwe? Sevro to Złoty. Cholerny Złoty. Słyszał, jak powiedziałem „cholerny” do Apolla. Krył to, prawda? A może to był błąd?

Może Sevro próbuje mnie przyłapać? Nie. Gdyby to była prawda, gra by się już skończyła.

Marzenia Eo by upadły. Kto jest ze mną bliżej niż ten chłopak? Kto kocha mnie bardziej niż ten dziwny, wredny wyrzutek? Nikt.

Zatem spoglądam mu w puste Złote oczy.

– Przysłał cię Ares.

Cisza zawisa między nami.

Przerażające pięć sekund. Sześć. Siedem. Sevro wstaje i zamyka drzwi, po czym z kieszeni pogniecionych spodni wyjmuję mały czarny kryształ.

– Tylko na twoje tchnienie.

– Szeptokryształ...

Biorę go ostrożnie, bo wiem, ile kosztował. Dmucham na jego powierzchnię. Mój oddech

sprawia, że kryształ drży, a potem pęka. Unoszą się czarne smużki, wirują jak świetliki w trawie, gdy późnym latem zapada zmierzch. Lśnią. Ulatują i tworzą niewyraźny obraz

holograficzny, który zawisa między mną i Sevrem. Hełm ze szpicą. Hełm Aresa.

*– Synu mój – odzywa się warkotliwie – przykro mi. Harmony zdradziła mnie i rozpoczęła działania godzące w nasze cele. Zapóźno dowiedziałem się, jak chce cię wykorzystać. Ale ty okazałeś się mądrzejszy. Dlatego cię wybrałem. Zostaną podjęte kroki, aby powstrzymać wysiłki Harmony. A ty działaj samodzielnie jak wcześniej. Nastaw Augustusa przeciw Bellonie i zerwij Pax Solaris.*

Chciałbym zadać parę pytań, ale to tylko nagranie. Zrobiono je chyba po gali.

*– Zdaję sobie sprawę, że to musi być trudne. Już i tak wymagam od ciebie zbyt wiele. Ale musisz kontynuować zadanie. Rozpętaj chaos. Osłab ich. Masz wiele powodów, aby we mnie wątpić. Nie kontaktowaliśmy się aż do teraz, ponieważ byłeś obserwowany przez Pliniusza i Szakala, a także przez szpiegów Władczyni. Ci, którzy sprawiają kłopoty, przyciągają uwagę. Ale i ja cię obserwowałem, synu. Jestem z ciebie dumny. Wiem, że Eo także byłaby*

*dumna. Na wypadek gdybyś wątpił w autentyczność tej wiadomości, załączam pozdrowienia od przyjaciela.*

Hełm Aresa rozmywa się i widzę uśmiechniętą twarz Tancerza.

*– Darrow, chcę tylko przekazać, że jesteście z tobą. Twoja rodzina ma się dobrze. Koniec się zbliża, przyjacielu. Wkrótce będziesz z nami. A do tego czasu ufaj człowiekowi, którego przysłał Ares. Sam go zwerbowałem. Zerwij pęta.*

Obrazy znikają, czerniejące smugi rozwiewają się w powietrzu. A ja tylko patrzę w podłogę prysznicza.

– Dobrze wyglądasz, jak na tyle operacji – stwierdza Sevro. Jego uśmiech jak zawsze jest wredny. – Ares przysłał do mnie tego kalekę. Tego, który umieścił cię w Instytucie. Tancerza.

Nie ma szans dokończyć, bo rzucam mu się na szyję i ściskam go z płaczem. Szlocham i

obejmuję go mocno. Przerazam go, jest wstrząśnięty. Nie rusza się, tylko klepie mnie po głowie. Z ramion spada mi brzemień ciężkie jak głaz. Ktoś wie. On wie i jest tutaj. Wie i przybył, aby mi pomóc. *Pomóc mi.* Nie mogę opanować drżenia, powtarzam „dziękuję ci” raz po raz. Eo miała rację. I ja miałem rację.

– Jesteś moim przyjacielem. – Trzęsę się jak dziecko. Doprowadzam Sevra niemal do płaczu, gdy widzi mnie w takim stanie.

Prawdziwy przyjaciel.

– Oczywiście – zapewnia gorąco. – Pod warunkiem że przestaniesz się mazać, człowieku.

Nadal jesteśmy Żłotymi.

Puszczam go zawstydzony, wycieram łzy rękawem. Chyba mamroczę przeprosiny. Wzrok mam rozmyty. Pociągam nosem. Sevro wręcza mi ręcznik, w który wydmuchuję nos. Wyjec krzywi się paskudnie.

– Co?

– To było tylko dla twoich oczu.

Parskamy razem śmiechem, a potem siedzimy w skrępowanym milczeniu. Wreszcie pytam go, od jak dawna wie. Wyjaśnia, że miał już niejasne podejrzenia w Instytucie, gdy usłyszał, jak mówię „cholerny” do Apolla. Głos mi się zmienił na ochrypli, zardzewiały niemal. A potem Tancerz pokazał mu nagranie z mojego rzeźbienia.

– Jakoś domyślili się, że mógłbyś mi zaufać, nawet gdy jeszcze mi nie ufałeś, gównojadzie.

Zawsze możesz mi ufać. I to się nigdy nie zmieni.

– *Nieprzeszkadza ci to?* – pytam. – To, kim jestem?

– Przeszkadza. Gówniane słówko na koszmarnie wielką sprawę. – Drapie się w głowę. –

Przeszkadza mi wysypka na jądrach. Nieświeża ryba też mi przeszkadza. Albo chwasty na grządce. To... – Wzrusza ramionami. – Olać to. Lubisz moje podejście bardziej niż każdy inny gównojad na świecie. Zatem oddaję przysługę, chociaż tak naprawdę jestem wysoko ponad twój Rdzawy tyłek.

Parskam na to szczerym śmiechem. Zmiażdżyłby takiego Czerwonego jak ja.

– Musisz wiedzieć, co mam tu zrobić. Nie chodzi tylko o infiltrację. Skończy się upadkiem Elity.

– Wznies się zbyt wysoko, a upadniesz w błoto.

– I tyle? – pytam z niedowierzaniem. – Wszedłeś w to?

Prycha pogardliwie.

– Pół roku na pokładzie okrętu transportowego zajęło mi dotarcie do ciebie. Trzy miesiące leciałem z Trytona po tym, jak Tancerz ujawnił mi prawdę. Czy byłem zaskoczony i

zmieszany? Jasne! Ale jednak nadal pozostałem na pokładzie i miałem trzy miesiące na przemyślenie sprawy. Wciąż tu jestem. Wydaje mi się zatem, że czas na wycofanie się z tego wszystkiego minął. Zresztą moi Złoci „pobratymcy”, odkąd się urodziłem, próbowali mnie tylko zabić. – Sevro rozgląda się, skrępowany pomimo włączanego pola zakłócającego. –

Jedyni ludzie, którzy traktowali mnie przyzwoicie, to ci, którzy wcale nie mieli powodów.

Kolory niższej rangi. Ty. Myślę, że czas odwzajemnić przysługę.

– A co z innymi? – pytam z naciskiem. – Z Kamyk, Klaunem?

– Nie moja tajemnica, żeby się nią dzielić. Quinn by zrozumiała – stwierdza cicho, walcząc ze sobą. – Reszta by się dostosowała. Oset nie. Roque też nie. Nawet za milion lat.

Za bardzo kochają swoją klasę. Nie wiedzą o pewnym wysokim arogancie.

– Victra. I Mustang? – dopytuję się.

– Nie udzielam porad sercowych, gównojadzie. – Sevro wstaje. – Umówmy się, mimo że jestem rewolucjonistą, nie znaczy, że nie skorzystam z masażu Różowej, prawda? To by było beznadziejne.

– Nie wiem. – Wybucham śmiechem. – Szczerze mówiąc, sam się jeszcze w tym nie odnajduję.

– Pieprzyć to. Wezmę sobie masażystkę. Bołą mnie plecy. – Szczerzy krzywe zęby w uśmiechu. – Dobrze będzie poczuć ulgę. Dzięki temu właśnie wiem, że to słuszne, Kosiarzu. Pomimo tego *gówna*. Tutaj czuję się dobrze.

Uderza się w pierś.

– Tutaj czuję się... jak ty to powiedziałaś.... *Cholernie dobrze*.

Victra odnajduje mnie, gdy już wyszedłem od Sevra.

– Augustus przysłał mnie, żeby ci przekazać, że kajuta Pana Popiołów należy do ciebie.

– Augustus przydzielił mi największą kwaterę?

– Twój okręt, twoja nagroda, tak powiedział. Wiesz, jak dba o porządek.

– Mam nadzieję, że znasz drogę. Ja już się zgubiłem.

Zaprasza mnie ruchem ręki, żebyśmy szedł z nią. Mijamy w milczeniu korytarze. Jestem

znużony, ale szczęśliwy, że Sevro o mnie wie i że Ares nadal we mnie wierzy, a Tancerz jednak żyje. Koi to mój ból po śmierci Quinn.

– Wiesz już, jak przypuszczam, że moja rodzina zdradziła ArcyGubernatora – oznajmia

Victra.

– Słyszałem. Ale ty nadal jesteś z nami.

– Jak powiedziałam, robię, co chcę. Matka nie ma władzy ani nade mną, ani nad moimi

funduszami. Nie może mnie kontrolować jak Antonii. – Uśmiecha się krzywo, gdy na mnie zerka. –  
Lubię, jak jesteś właśnie taki.

– To znaczy jaki? – Nie mogę się powstrzymać od śmiechu. – Co masz na myśli?

– Sama nie wiem. Wydajesz się spokojny. Swobodny. Pomimo tego, co się stało.

– A ty wydajesz się wyjątkowo miła.

– Miła? Osobliwe odczucie. Ale oboje wiemy, że raczej taka nie jestem.

Znowu milczymy, dopóki nie docieramy do drzwi mojej kajuty. Zerkam przez ramię.

Korytarzem nadciąga Ragnar. Gdyby nie opatrunki na ciele, w ogóle bym go nie zauważył.

Macham, żeby odszedł.

Przy drzwiach podchwytuję świdrujące spojrzenie Victry.

– Mogłaś wysłać kogoś z PodKolorów, żeby mi przekazać wiadomość o kajucie.

– Ale wtedy bym się z tobą nie zobaczyła.

– To jedyny powód?

Uśmiecha się psotnie.

– Chyba zachowam swoje tajemnice dla siebie. – Ale po chwili podnosi na mnie wzrok. –

Jednak zaczynam się o ciebie martwić.

– O mnie? – Przewracam oczami. – W co pogrywasz, Victro?

– W nic – oburza się. – Ależ z ciebie hipokryta, Darrow.

– Ze mnie?

– Pamiętasz, jak Tactus sprzedał skrzypce, które mu podarowałaś, ponieważ podejrzewał, że czegoś  
od niego będziesz oczekiwał? A teraz traktujesz mnie tak, jak Tactus ciebie. Tak samo było, kiedy  
przyszłam do ciebie w Ogrodach na Księżycu. Tak trudno uwierzyć, że

jestem twoją przyjaciółką i zależy mi na tobie? – Marszczy nos. – Przez ciebie robię się uczuciowa i

strasznie tego nie znoszę.

– Wybacz. Po prostu jesteś... – próbuję znaleźć odpowiednie słowo na opisanie tej

wysokiej kobiety. Ale nie ma wielu takich słów, więc tylko wzruszam ramionami. – To trudne, bo jesteś siostrą Antonii. I tyle.

– Ale nie jestem Antonią.

– Doskonale o tym wiem...

– Doprawdy? – Victra dotyka mojej twarzy. Jej usta rozchylają się kusząco. Pamiętam, jak te wargi dotknęły moich, zanim wystrzeliłem się z promu. Pozwoliłem wtedy, żeby mnie

pocałowała. Chociaż jest oziębłą kobietą, w jej sercu skrywa się trochę miejsca dla mnie.

Zupełnie inaczej niż w przypadku Eo. Zupełnie inaczej niż u Mustang. Cofam się łagodnie od jej dłoni i potrząsam głową.

– Dziwny z ciebie człowiek – stwierdza Victra z cichym westchnieniem. Wrażliwość, którą w niej widziałem jeszcze przed chwilą, znika. Dziewczyna wysuwa znowu pazury. Opiera się o ścianę naprzeciw mnie, zgina nogę, przybierając kuszącą pozę, a potem spogląda na mnie z bezczelnym uśmiechem. Oto Victra, jaką znam.

– Kochasz kobiety, ale nie potrafisz się nimi cieszyć.

Zmarszczki mimiczne wygładzają się, gdy rozchyła usta. Nic nie mogę poradzić, że wodzę spojrzeniem po jej smukłej szyi, silnych, choć szczupłych ramionach i wzniesionych piersi. Victra świdruje mnie spojrzeniem.

– Jest więcej radości. Wiesz chociaż, jak miękką mam skórę?

Krztuszę się śmiechem.

– Drwisz ze mnie.

– Jak zawsze.

Victra to intrygantka. Taką ma naturę. Ale przez chwilę odsłoniła się. A ten widok... ten widok sprawił, że ujrzałem ogromną różnicę. Duszę seksualne napięcie najlepiej jak umiem.

– Dobrej nocy, siostrzyczko. – Całuję ją w czoło.

– Siostrzyczko? – Wybuchła śmiechem, gdy odchodzę. Trochę jej to zabiera czasu, ale jednak woła za mną: – To dlatego, że uważasz mnie za podstępłą?

Unoszę brew.

– Podstępna?

– Dlatego nigdy mnie nie pragnąłeś? – Urywa, aby jak najlepiej dobrać słowa. – Ponieważ patrzysz na mnie z góry?

– Dlaczego tak sądzisz? – pytam łagodnie.

Wzrusza ramionami, po czym rozgląda się po korytarzu. Dziwne widzieć jej wahanie.

– Ja nie... – Wykręca dłonie, próbując wydusić właściwe słowa. Wskazuje na siebie. –

Tylko tak mogłam przeżyć, rozumiesz? Tak nauczyła mnie matka. Bo to działa.

– A co byś powiedziała, gdybyśmy spróbowali czegoś nowego? – proponuję, a potem podchodzę do niej znowu. Wyciągam rękę. – Darrow. Wbrew powszechnym plotkom nie jadam szkła. Lubię muzykę i taniec, a świeże owoce uwielbiam, zwłaszcza truskawki.

Victra parska śmiechem.

– To głupie. Przedstawiamy się sobie ponownie?

– Żadnych pancerzy. Tylko dwoje ludzi. Czekam – rzucam z rozbawieniem.

Przewraca oczami, ale podchodzi. Wcześniej rozgląda się po korytarzu. Wyciąga rękę, starając się opanować dziecinny śmiech.

– Victra. Lubię zapach kamieni tuż przed deszczem. – Krzywi się, na policzkach wykwita jej rumieniec. – I... Tylko się nie śmieję. Naprawdę nie znoszę złotego koloru. Zielony lepiej pasuje do mojej karnacji.

Nie mogę spać. Ciało tych, których zostawiliśmy, unoszą się w ciemności wokół mnie.

Budzę się dziesiątki razy przy rozbłyskach bomb i świstach mieczy przecinających moje sny.

Zasłużyłem sobie na te bezsenne noce. Wiem o tym, ale przez to tylko trudniej je znieść.

Wstaję i chodzę po mojej kajucie. Jest cudownie przestronna. Sześć pokoi. Mała sala do ćwiczeń. Wielka łazienka. Gabinet. Wszystko to należało do człowieka, który spalił księżyc.

Ojca Furii. Jak miałbym spać w tych komnatach? Wyjmuję z kieszeni mój medalion z pegazem.

Niemal zapominam, że skrywa bombę radową.



Kiedy wędruję po korytarzach okrętu jak duch, oglądam się i zastanawiam, czy Ragnar

idzie za mną. Kazałem mu spać, ale niewiele wiem o jego nastrojach, sposobie myślenia... i nic o tym, co robi nocą. Tak wiele muszę się jeszcze nauczyć.

Mijam ciemne sale, Pomarańczowych techników przy pracy i Niebieskich zajmujących się zarządzaniem systemami. Kłaniają się w milczeniu, kiedy przechodzę przez metalowe

pomieszczenia na dno okrętu, gdzie Złoci nigdy nie zagląдают. Sufit tutaj znajduje się niżej, to miejsca dla Czerwonych robotników i Brązowych woźnych. Ten okręt to istne miasto. Żyją tu wszystkie Kolory. Przypominam sobie zestawienie. Tysiące zajęć. Miliony ruchomych części.

Sprawdzam na panelu stan bieżący. A jeżeli Pomarańczowy, który pracował tutaj, przeciążyłby urządzenie? Co by się stało? Nie wiem. Założę się, że niewielu Złotych naprawdę wie.

Zapamiętuję to.

Idę dalej, a głód przyciąga mnie do mesy. Jedzenie łatwo by można dostarczyć do mojej kwatery, ale nie dostałem jeszcze lokajów. Zresztą nienawidzę, gdy mi się usługuje. W mesie natykam się na kogoś, kto jak ja nie może spać i siedzi przy długim metalowym stole.

Mustang.

## *Rozdział dwudziesty czwarty*

### *Jajka na bekonie*

Siadam naprzeciw niej.

– Nie możesz spać?

Zaciska dłonie na skroniach.

– Za duży hałas. – Skinieniem wskazuje na brzęki i klekoty z kuchni. – Kucharz przechodzi sam siebie. Myśli, że potrzebuję uczyty. Powiedziałam mu, że chcę tylko jajecznicę z boczkiem.

Z pewnością nic z tego do niego nie dotarło albo się nie zgodził. Mamrotał coś o chłopach.

Ma akcent z Ziemi. Trudno zrozumieć.

Chwilę później Brązowy kucharz wytacza się z kuchni z tacą, na której niesie nie tylko jajka i bekon, ale razowy chleb, wędzoną szynkę, sery, parówki, owoce i tuzin innych dań. Ale żadnych chłopskich. Na mój widok wytrzeszcza oczy. Przeprasza wylewnie, stawia tacę i znika tylko po to, aby donieść jeszcze więcej jedzenia.

– Myślisz, że ile możemy zjeść? – pytam go. Kucharz tylko na mnie patrzy.

– Dziękuję – mówi mu Mustang. Brązowy mamrocze coś niewyraźnie, kłania się i wychodzi.

– Pan Popiołów chyba się od nas troszkę różnił – zauważam. Mustang podsuwa mi owoce.

– Myślałem, że nie lubisz bekonu?

Wzrusza ramionami.

– Jadłam to codziennie na Księżycu. – Smaruje kromkę chleba masłem. – Przypominało mi o tobie.

Unika mojego wzroku.

– Dlaczego nie śpisz? – pyta cicho.

– Nie jestem w tym dobry.

– Nigdy nie byłeś. Chyba że miałeś dziurę w brzuchu. Wtedy spałeś jak dziecko.

Wybucham śmiechem.

– Myślę, że śpiączka się nie liczy.

Nie rozmawiamy o tym, o czym powinniśmy. Niewinnie i cicho, jak dwie ćmy tańczące wokół tego samego płomienia.

– Zdumiewające, jak wielkie są łóżka. Nawet na okręcie gwiazdnym – mówi Mustang. – Moje jest monstrualne. Właściwie to za duże.

– Nareszcie ktoś, kto myśli podobnie. Większość czasu śpię na podłodze.

– Ty też? – Kręci głową. – Czasami słyszę odgłosy i chowam się w szafie. Wydaje mi się, że jeżeli ktoś po mnie przyjdzie, tam nie zajrzy.

– Też tak czasami robię. Naprawdę pomaga.

– Ale nie wtedy, gdy szafa jest tak wielka, że mogłaby pomieścić rodzinę Obsydianów.

Wtedy jest tak samo źle jak w łóżku. – Nieoczekiwanie dziewczyna marszczy brwi. –

Zastanawiam się, czy Obsydiani się przytulają.

– Nie.

– Sprawdziłaś to? – Unosi brwi.

Kończę garść truskawek. Wzruszam ramionami, gdy Mustang krzywi się na mój brak manier przy stole.

– Obsydiani wierzą w trzy rodzaje dotyku. Dotyk Wiosny, Dotyk Lata i Dotyk Zimy. Po

Mrocznej Rebelii, gdy podnieśli broń przeciw żelaznym przodkom, Zarząd Kontroli Jakości rozważał zniszczenie całego Koloru. Wiesz przecież, że w końcu Zarząd dał im religię i skradł

technologię. Jednak najbardziej pragnął zniszczyć niewiarygodną więź i poczucie wspólnoty, jakie wtedy dzielili Obsydiani. Dlatego poinstruowano szamanów plemion, kupiono i

zapłacono kłamcom, aby ostrzegali przed dotykiem i rozpowiadali, że dotyk osłabia ducha.

Dlatego teraz Obsydiani dotykają innych tylko podczas seksu. Dotykają się nawzajem, aby zapobiec śmierci. I dotykają, żeby zabijać. Żadnego przytulania. – Podchwytuję spojrzenie Mustang i jej lekki uśmiezek. – Ale rzecz jasna wiedziałaś o tym od początku.

– Owszem. – Uśmiecha się szeroko. – Ale czasami miło jest przypomnieć sobie, co siedzi w tobie.

– Och. – Odwracam wzrok, gdy dziewczyna próbuje mi spojrzeć w twarz.

– Zapomniałam, że się rumienisz! – Przygląda mi się uważnie. – Zapewne tego nie wiesz, ale jedno z moich opracowań na Księżycu dotyczyło błędów w manipulacjach prawami

socjologicznymi popełnionych przez Zarząd Kontroli Jakości.

Elegancko kroi parówkę.

– Uznałam te posunięcia za krótkowzroczne. Choćby seksualna sterylizacja Różowych doprowadziła do tragicznie wysokiego współczynnika samobójstw w Ogradach.

*Tragicznie.* Większość powiedziałyby „niekorzystnie”.

– Surowe prawo utrzymujące hierarchię jest tak sztywne, że pewnego dnia pęknie. Za

pięćdziesiąt lat? Za sto? Kto wie? Studiowaliśmy przypadek Złotej, która zakochała się w Obsydianie. Czarnorynkowi Snycerze zmienili ich organy reprodukcyjne, żeby jego nasienie było kompatybilne z jej jajeczkami. Odnaleziono jednak tę parę i skazano na śmierć, a ich Snycerzy zabito.

Jednak tego rodzaju sytuacje zdarzyły się setki razy. Tysiące. Tyle tylko, że wymazuje się je z oficjalnych zapisów.

– To straszne – mówię.

– I piękne.

– Piękne? – wzdragam się.

– Nikt nie wie o tych ludziach – wyjaśnia Mustang. – Nikt oprócz garstki Złotych, którzy mają dostęp. Ludzki duch próbuje się wyrwać na wolność, raz po raz, jednak nie w nienawiści jak podczas Mrocznej Rebelii, lecz dla miłości. Ci ludzie nie naśladują innych par. Nie kierują się doświadczeniami tych, którzy próbowali przed nimi. Każda chce podjąć ryzyko, myśląc, że jest pierwsza. To odważne. A także znaczy, że to część tego, kim jesteśmy jako ludzie.

Odwaga. Czy powiedziała by tak, gdyby wiedziała, że jeden z takich ludzi właśnie przed nią siedzi? Czy Mustang żyje w hipotetycznym świecie, wspomnianym przez Harmony? Czy

też naprawdę umiałaby zrozumieć...

– Dlatego zastanawiam się, ile minie czasu, aż ugrupowanie, takie jak Synowie Aresa,

odnajdzie te zapisy i rozpowszechni. Zrobili tak z Persefoną. Dziewczyną, która śpiewała. To tylko kwestia czasu. – Mustang przerywa i mruży oczy. Nieświadomie drgnąłem na wzmiankę o Eo. – Coś nie tak?

Nie mogę jej powiedzieć, o czym myślałem, więc kłamię.

– Opracowanie. Dysertacja. Socjologia. Ty i ja specjalizujemy się w bardzo różnych dziedzinach. Zastanawiałem się, jak wyglądało twoje życie na Księżycu.

Mustang zerka na mnie psotnie.

– Och. Myślałeś o mnie?

– Może.

– Dzień i noc? Co nosi Mustang? O czym śni? Którego chłopaka całuje...? – Krzywi się na ostatnie słowa. – Darrow, chcę coś wyjaśnić...

– Nie musisz. – Macham ręką.

– Z Cassiusem...

– Mustang, nie masz wobec mnie zobowiązań. Nie byłaś moja. I nie jesteś. Możesz robić, co chcesz, kiedy chcesz i z kim chcesz. – Wzdycham. – Nawet jeżeli to przeklęty dupek.

Prycha śmiechem. Ale dobry nastrój znika równie szybko, jak się pojawił. Widzę w jej oczach ból. W jej rozchyłonych ustach. Prosty nóż i widelec zawisają nad zapomnianym talerzem. Mustang spuszcza oczy i potrząsa głową.

– Chciałam, żeby było inaczej – szepcze. – Wiesz o tym.

– Mustang... – Przykrywam jej dłoń swoją. Choć dziewczyna jest silna, jej nadgarstek wydaje się kruchy w mojej twardej ręce. Kruchy jak dłoń innej dziewczyny, dłoń, którą trzymałem głęboko w kopalni. Nie mogłem pomóc tamtej dziewczynie. A teraz czuję, że nie mogę pomóc tej młodej kobiecie. Gdyby moje ręce były zdolne do tworzenia, wiedziałbym, co powiedzieć. I co zrobić. Może w innym życiu byłbym takim mężczyzną. Ale w tym moje

słowa, podobnie jak dłonie, są niezdarne. Potrafię nimi tylko ranić. Tylko niszczyć. – Chyba wiem, co czujesz...

Mustang cofa się.

– Co ja czuję?

– Nie chciałem... – Urywam, bo słyszę hałas.

Odwracamy się. Kucharz stoi w progu skrzepowany. Trzyma kolejną tacę. Podchodzi na paluszkach, stawia dania, a potem wycofuje się z pomieszczenia niezdarnie.

– Darrow. Zamknij się i słuchaj. – Mustang wbija we mnie przenikliwie gniewne

spojrzenie przez kosmyki, które opadły jej na czoło. – Chcesz wiedzieć, co czuję? Wyrzucę z siebie wszystko. Całe życie uczono mnie, abym przedkładała ród nad wszystko inne. To, co stało się z moim bratem w Instytucie... Kiedy wydałam go tobie, postąpiłam wbrew temu, jak mnie wychowano. Ale myślałam, że ty... – Dziewczyna nabiera głęboko tchu, ale wypuszcza powietrze z drzeniem. – Że jesteś osobą, która zasłużyła na moją lojalność. Wydawało mi się, że będzie to o wiele bardziej znaczące, jeżeli stanę lojalnie po twojej stronie, nie po stronie Adriusa, który nigdy nie ruszył palcem, żeby mi pomóc. Wiedziałam, że postąpiłam dobrze, ale było to również wyrzeczenie się ojca i wszystkiego, czego mnie nauczył. Wiesz chociaż, co to znaczy? Ojciec rozbijał rodziny równie łatwo, jak inni łamali patyki. Ma niewyobrażalną władzę. Ale to także mężczyzna, który nauczył mnie jeździć konno i czytać nie tylko historię wojen, lecz także wiersze. Ten mężczyzna stał przy mnie i pozwalał, abym podnosiła się o własnych siłach po upadku. I nie mógł na mnie spojrzeć przez trzy lata po śmierci matki.

Właśnie takiego mężczyzny wyrzekłam się dla ciebie. Nie – poprawia się – nie dla ciebie. Dla innego życia, dla pełni życia. To ważniejsze niż duma. W Instytucie ty i ja postanowiliśmy złamać zasady, postępować porządnie w tym miejscu grozy. Dlatego nie stworzyliśmy armii niewolników, lecz lojalnych przyjaciół. Postanowiliśmy być lepsi. A potem ty na to wszystko splunąłeś, aby stać się jednym z zabójców mojego ojca. – Mustang unosi palec. – Nie, nic nie mów. To nie twoja kolej

tylko dlatego, że przerwałam.

Nie śpieszy się z zebraniem myśli, odsuwa talerz.

– Na pewno rozumiesz, że czułam się zagubiona. Po pierwsze, ponieważ wydawało mi się, że w tobie znalazłam kogoś wyjątkowego. Po drugie, ponieważ czułam, że porzuciłeś pomysł, który pozwolił nam na podbój Olimpu. Zapewne byłam wrażliwa. Samotna. I pewnie weszłam

Cassiusowi do łóżka, ponieważ czułam się zraniona i potrzebowałam kogoś, kto ukoji mój ból.

Potrafisz sobie to wyobrazić? Możesz odpowiedzieć.

Wierzę się niepewnie.

– Chyba tak.

– Dobrze. A teraz wsadź sobie w tyłek to wyjaśnienie. – Mustang zaciska wargi. – Nie

jestem jakąś dziwką w koronkach i falbankach. Jestem genialna. Mówię to, ponieważ to fakt.

Jestem mądrzejsza niż ktokolwiek, kogo spotkałeś, może poza moim bratem bliźniakiem. Moje serce nie ogłupia mi umysłu. Związałam się z Cassiusem z tych samych powodów, dla których pozwoliłam Władczyni wierzyć, że udało się mnie nastawić przeciwko ojcu, chciałam chronić moją rodzinę.

Spuszcza wzrok na jedzenie.

– Zawsze umiałam manipulować ludźmi. Bez różnicy, czy mężczyznami, czy kobietami.

Cassius był chodzącą raną, Darrow, otwartą i krwawiącą, pomimo że minęło już dwa lata od śmierci Juliana z twojej ręki. Zobaczyłam to w nim od razu i wiedziałam, jak sprawić, żeby mnie pokochał. Dałam mu kogoś, kto go słuchał, kogoś, kto wypełni pustkę.

Jej głos nie jest już taki surowy. Dziewczyna rozgląda się, jakby mogła umknąć od

rozmowy, którą sama zaczęła. Gdyby przestała, byłbym chyba szczęśliwszy od niej.

– Postarałam się, aby myślał, że nie może beze mnie żyć. Wiedziałam, że tylko tak mogę zapewnić bezpieczeństwo reszcie rodziny. Wiedziałam, że to najlepsza broń, jaką dysponuję w tej grze. Jednak... wydawało się to takie zimne. Takie straszne. Jakbym była okrutną

czarodziejką, która więzi Odyseusza przez skłonienie go do miłości, zatrzymuje go dla własnych, samolubnych celów. Wydawało się to takie logiczne. Lecz kiedy Cassius mnie

obejmował, czułam, że tonę. Jakbym się zgubiła i dusiła pod ciężarem swoich uczynków oraz świadomości, że czeka mnie życie u boku kogoś, kogo nie darzę uczuciem. Jednak robiłam to dla najbliższych. Dla ludzi, których kocham, chociaż na to nie zasłużyli. Wiele osób

poświęciło więcej. Ja mogłam poświęcić chociaż to.

Mustang potrząsa głową, a łzy, które wzbierają w jej oczach, odbijają się w moich. I zaczynają płynąć.

– Kiedy wszedłeś na galę... to było, jakby ziemia się otworzyła, żeby mnie pochłonać.

Czułam się jak opętana. Zła dziewczyna, która zamiast rozsądku uległa głupocie. – Próbuje wytrzeć oczy. – Nie rozumiesz, dlaczego to robiłam? Nie chciałam, żebyś zginął. Nie

chciałam... Nie tak, jak mój brat, Claudius. Nie jak Pax. Zrobiłabym wszystko, aby temu zapobiec.

– Sam mogłem to powstrzymać.

– Nie jesteś niepokonany, Darrow. Wiem, że wydaje ci się inaczej, ale pewnego dnia przekonasz się, że nie jesteś tak silny, jak sądzisz, a ja zostanę sama.

Milknie, jakby to, co w sobie dusiła i wyrzuciła, dobiegło końca. Mustang nie szlocha. Ale łzy płyną. A Mustang to kobieta, którą łzy zawstydzają.

Ten widok rozdziera mi serce.

– Nie jesteś zła – mówię, ujmując ją za rękę. – Nie jesteś okrutna.

Kręci głową, próbuje się wyrwać. Ujmuję ją pod brodę i zmuszam, żeby spojrzała mi w oczy.

– A tego, co zrobiłaś dla ludzi, których kochasz, nie można osądzać. Rozumiesz? –

Podnoszę głos. – Rozumiesz?

Mustang kiwa głową.

Nie powinno tak być. Złoci mają wszystko, a jednak wymagają poświęceń nawet od swoich. To miejsce jest chore. To imperium upadłe. Pożera swoich władców równie łakomie jak nędznych chłopów orzących jego ziemię. Ale nie może pożreć tej młodej kobiety tak, jak pochłoneło dziewczynę, którą pochowałem. Nie pozwolę na to. Nie pozwolę na pożarcie

moich bliskich w Lykos. Zniszczę to Imperium, nawet jeśli mnie to w końcu zabije.

Kciukami ścieram łzy z policzków Mustang. Jest inna niż jej ludzie. A kiedy próbuje robić to samo, co oni, pęka jej serce. Kiedy na nią patrzę, wiem, że się myliłem. Nie jest

odwróceniem uwagi. Nie stanowi przeszkody dla mojej misji. Jest ośrodkiem tego

wszystkiego. Jednak nie mogę jej pocałować. Nie teraz, gdy muszę złamać jej serce przez zniszczenie tego Imperium. Byłoby to nieuczciwe. Zakochałem się w niej, ale ona pokochała tylko moje kłamstwa.

– Nie możesz mu ufać – mówi cicho.

– Komu? – pytam zaskoczony nagłą zmianą tematu.

– Mojemu bratu – szepcze, jakby myślała, że jej bliźniak siedzi w kącie sali. – On nie jest taki jak ty. Jest kimś więcej. Kiedy patrzy na nas, kiedy przygląda się ludziom, widzi tylko kości i mięso. Dla niego tak naprawdę nie istniejemy.

Marszczę brwi, gdy Mustang zaciska dłoń na mojej.

– Posłuchaj mnie, Darrow. On jest potworem, którego nikt nie potrafi opisać. Nie możesz mu ufać.

Sposób, w jaki to mówi, niesie mi wiarę, że Mustang rozumie nasz pakt.

– Nie ufam mu – przyznaję. – Ale go potrzebuję.

– Możemy wygrać tę wojnę bez niego.

– Przecież powiedziałaś, że nie jestem na to dość silny.

– Bo nie jesteś. Nie sam.

Posyła mi swój krzywy uśmiezek.

– Potrzebujesz mnie.

Gdyby to było takie proste...

Zostawiam Mustang wkrótce potem i ruszam do siebie. Korytarze są ciche i czuję cienie przepływające przez metalowe królestwo. Nie wiem, czy przyjąć propozycję pomocy od

Mustang. Ani też jak powinienem do tego podejść. Patrzenie na nią u boku Cassiusa zraniło mnie mocniej, niż byłbym zdolny wyznać, a w głębi duszy wiedziałem, że nie wszystko z tego było tylko manipulacją. Cassius nigdy nie był potworem, a jeśli kiedyś taki się stanie, wiem, że będzie to przeze mnie.

Drzwi do moich komnat otwierają się z sykiem. Na moje ramię opada dłoń. Odwracam się i widzę tors Ragnara. Nie słyszałem, kiedy ten olbrzym do mnie podszedł.

– Ktoś oddycha wewnątrz.

– Zapewne Teodora. To moja Różowa służąca. Polubisz ją.



– Oddech Złotego.

Kiwam głową. Nie pytam, skąd wie, tylko wyjmuję ostrze z pochwy na ramieniu. Zmienia się w miecz, gdy wchodzę. Światło jest zapalone, przytłumione. Przeszukuję pomieszczenia i natykam się na Szakala, który siedzi w salonie z kieliszkiem sherry. Na widok broni tylko chichocze.

– Muszę przyznać, że jestem przerażony.

Szakal ma na sobie szlafrok i kapcie.

Przepraszam Ragnara. Ze swoimi ranami powinien odpoczywać. Olbrzym niechętnie się wycofuje.

– Wygląda na to, że na tym okręcie nikt nie śpi. – Przyłączam się do Szakala na sofie. –

Wyobrażam sobie, że powinniśmy nieco przearanżować nasze porozumienie.

– Lubisz nieudomówienia, co? – Upija trochę trunku i wzdycha. – Myślałem, że utonę w tej przeklętej lagunie. A zawsze sądziłem, że moja śmierć będzie jakaś taka wielka. Pomknę prosto w słońce. Zostanę ścięty przez politycznego rywala. Więc kiedy przyszła... – Wzdraga się. Wygląda tak krucho i chłopięco. – Okazało się, że to tylko obojętne zimno. Jak w Instytucie te głazy, które spadały raz po raz w podziemiach.

Ma rację, w śmierci nie ma ani odrobiny ciepła. Sam płakałem jak dziecko, gdy myślałem, że umrę od rany zadanej mi przez Cassiusa.

– Oczywiście to zmienia naszą strategię, ale nie sądzę, że musi wpływać na nasz sojusz.

– Ani ja – zgadzam się. – Będziemy jednak potrzebować twoich szpiegów. Pliniusz nie pogodzi się tak łatwo z moim powrotem. A ty ugrzązłeś na dworze ojca. Polityk spróbuje pozbyć się nas obu.

Nie wspominam o Synach Aresa. Podejrzewam, że zostali zapomniani, gdy tylko rozlałem wino na kolana Cassiusa.

– Pliniusz będzie musiał odejść – mówi stanowczym tonem. – A ty i ja powinniśmy utrzymać towarzyski dystans, żeby nie zorientował się, iż zagraża mu zorganizowany front. Lepiej, żeby nie wiedział, że jest naszym wspólnym celem.

– No i jeżeli nie będę z tobą utrzymywał stosunków, Telemanusowie nadal będą się do mnie odzywać.

– To prawda. A oni naprawdę pragną mojej śmierci.

– I powinni.

– Nie zaprzeczam i nie winię ich. Tylko to paskudnie utrudnia mi działanie. – Podaje mi holokomunikator wyjęty z kieszeni. – Zsynchronizowany. Będę wzywać moje statki na

spotkanie z nami i zakładam, że zostaniesz tu ze swoją nową zabawką. Nie możemy sobie pozwolić na promy latające w tę i z powrotem.

Chcę go zapytać o Leta. Dlaczego Szakal go zabił? Ale wolę nie ujawniać diabłu, że

poznałem jego mocną stronę. Wtedy stanowiłbym zagrożenie. A widziałem, jak Szakal radzi sobie z zagrożeniami. Lepiej udawać, że o niczym nie mam pojęcia, i upewnić się, że zawsze pozostanę przydatny.

– Wojna daje nam więcej możliwości – stwierdzam. – W zależności od tego, jaki będzie mieć zasięg...

– Z pewnością bym cię zrozumiał, gdybyś mówił trochę jaśniej.

– Wszyscy będą próbowali zdusić płomień, żeby chronić to, co mają. Zwłaszcza Pliniusz i twoja siostra.

– Cóż, będziemy musieli wykazać się większym sprytem niż oni.

– Nie wolno ci jej skrzywdzić. Ta część naszego porozumienia nie ulega zmianie.

– Jeżeli zostanie skrzywdzona, to nie przeze mnie, lecz przez ciebie. – Zapewne Szakal ma rację. – Ale zgadzam się z tobą co do reszty: trzeba rozniecić płomień. Rozpętać wojnę o jak największym zasięgu. Wygrać ją. Zebrać łupy.

– I chyba wiem, jak tego dokonać. Co twoja sieć może mi powiedzieć o stoczniach na

Ganimedesie?

## CZEŚĆ TRZECIA

### Podbój

*Kiedy pada Stalowy Deszcz, bądź odważny. Bądź odważny.*

– Lorn au Arcos

*Rozdział dwudziesty piąty*

*Pretorzy*

– Jesteśmy zgubieni, tak powiedział ArcyGubernator Kallisto.

ArcyGubernator Nero Augustus bacznie przygląda się zgromadzonym przy stole i sprawdza, czy zdajemy sobie sprawę z wagi jego słów. Ptasie rysy twarzy skąpane w świetle lamp pokładowych, które podkreśla bruzdy na policzkach mężczyzny, upodabniają go do sokoła wypatrującego ofiary.

– Ależ dlaczego miałby tak nie powiedzieć? Przeciw nam gromadzą się siły Centrum, a

Neptun znajduje się w stosunku do nas daleko na orbicie. Okręty Vespasiana mogą przybyć na pomoc za sześć miesięcy. A przez cały ten czas moi podwładni będą chować się za tarczami swoich miast na Marsie i wysyłać mi tylko drugich i kolejnych potomków jako wsparcie. –

Rozgląda się po zgromadzonych. – Ich niepewność nas paraliżuje. A teraz zasiadam z moimi Pretorami, z moimi mężnymi wojownikami, i chciałbym wiedzieć, jaki wspaniały plan mają mi do zaproponowania?

Uciekać. Właśnie to zaproponowali. Chcą uciekać. Uciekliśmy z Księżyca miesiąc temu i dalej uciekamy, ponieważ Władczyni przechytrzyła nas i zepchnęła na Marsa.

Wszystko poszło nie tak, jak się spodziewałem. Jednak to nie moja cholerna wina. Ani

trochę. To wina tych ostrożnych głupców otaczających ArcyGubernatora. Złoty zbyt

przerażonych, żeby ryzykować utratę pozycji i władzy, o które zabiegali tak długo. Co gorsza, powstrzymują mnie, blokują. Już powstały sojusze skierowane przeciwko mnie. Widać to w oczach niektórych zgromadzonych, w ich postawach. Gdy coś zyskuję, oni tracą. Nawet ci, którzy podążyli za mną na Księżyc. Nawet ci, których ocaliłem od niechybnej śmierci. To samo robią Szakalowi i uważają za zwycięstwo, że go tutaj nie ma, żeby się im przeciwstawił.

Ich błąd.

Siedzę o dziesięć krzeseł od mojego pana, przy stole wykonanym z wiśniowego drewna, w sali narad wewnątrz długiego na sześć kilometrów okrętu flagowego Augustusa, niszczyciela

„Niezwycięzony”. Sufit znajduje się czterdzieści metrów nad naszymi głowami. Sala narad jest przestronna i imponująca. Płaskorzeźba lwa na środku blatu wpatruje się groźnie w uczestników spotkania.

Około czterdzieści miejsc pozostało pustych. Zaufani doradcy, którzy zwykle je zajmowali, opuścili Augustusa jak szczury uciekające z tonącego okrętu. Pozostali tylko Pliniusz, Pretor Kavax, jego syn Daxo oraz ponad pół setki innych potężnych Pretorów, Legatów i chorążych.

Nawet na mnie nie spojrzą. Nie zniżają się do tak dziecinnego zachowania. Ci Złoci

przewodzą miliardowi ludzi. Dlatego po prostu ignorują mnie i podważają przed Augustusem wszystkie moje pomysły.

– Zgadzą się zatem, że zgodnie ze słowami ArcyGubernatora Kallisto jesteśmy

zgubieni? – pyta z naciskiem Augustus.

Zanim ktokolwiek zdąży odpowiedzieć, ciężkie drzwi uderzają z łomotem w marmurową

ścianę. Mustang wchodzi na salę, przerzucając z ręki do ręki jabłko.

– Przepraszam za spóźnienie! – Uśmiecha się promiennie, podchodzi do ojca i z przesadną pokorą całuje sygnet rodowy Augustusa z emblematem lwa.

– Posłałem wiadomość ponad godzinę temu – mówi Augustus.

– Doprawdy? – Mustang zerka na Pliniusza. – Musiała do mnie nie dotrzeć. Zauważyłam, że tu jesteś, bo szukałam brata, żeby zagrać w szachy.

Śmieje się z dowcipu. Jedyne Telemanusowie rozumieją żart. Mustang z westchnieniem

podchodzi do swojego miejsca przy końcu stołu. Po drodze wita Daxa i Kavaxa uściskiem w ramię. Kavax o grzmiącym głosie odpowiada jej ciepłym słowem. Mustang siada i zarzuca nogi w oficerkach na stół.

– Ominęło mnie coś ważnego? Oczywiście, że nie. Jak zawsze niezdecydowani?

Policzek jej ojca drga nerwowo.

– To nie stajnia. – Augustus znacząco patrzy na jej buty. Mustang zdejmuje nogi z teatralnym westchnieniem i zaczyna wycierać jabłko o czarny rękaw.

Jest jedną z niewielu kobiet na sali. Powinna tu zasiadać jeszcze Agrippina au Julii, ale to właśnie jej zdrada zmniejszyła liczebność floty Augustusa potrzebnej do szybkiego przejścia Marsa. I właśnie jej zdrada zmusiła Augustusa do sprawdzenia, czy Victra jest wobec niego naprawdę lojalna.

Jesteśmy ścigani od światów wewnętrznych aż za orbitę Marsa. Nasze kopalnie w pasie

asteroid zostały przejęte. Majątek Augustusa na kontach bankowych zamrożony. Jego miasta, te, które się nie poddały Władczyni, znalazły się pod oblężeniem. Na dodatek za nasze głowy wyznaczono nagrody. Nie wszystkim się podoba, że moja głowa jest warta tylko trochę mniej niż Augustusa.

– Zanim nam przerwano – podejmuje przemowę Augustus – ktoś chyba uzasadniał stanowis...

*Chrup.*

Augustus przerywa, gdy Mustang głośno wgryza się w jabłko. Dziewczyna z miną niewiniątka rozgląda się po zirytowanych twarzach.

Tłumię śmiech.

– Panie mój. – Pliniusz wstaje. – Obawiam się, że nie ma innej alternatywy niż dalszy taktyczny odwrót. Jeżeli sytuacja się nie zmieni, przegramy. A ty, panie mój, staniesz przed sądem za... – *Chrup.* Pliniusz krzywi się, ale kończy. – Za... zdradę.

Przebiega wzrokiem po swoich przekupionych sojusznikach.

– Nie mamy innego wyjścia.

– Mamy uciekać, dopóki wsparcie Vespasiana nie dotrze do nas z Neptuna – podsumowuje z namysłem Augustus. – Przez pół roku.

Polityk kiwa głową.

– Albo się poddać.

– Szkoda, że nie zabiłeś Octavii, gdy miałaś okazję, chłopcze – wtrąca Kavax.

– Gdybym to zrobił, wszyscy obecni byliby martwi – odpowiadam.

Daxo przytakuje.

– Nie chciał cię obrazić. To tylko pobożne życzenia.

– Dlaczego nie zabiłeś Octavii? – Pliniusz patrzy na mnie i sceptycznie mruży oczy.

– Nie mogłem. Oprócz mnie w komnacie była Aja au Grimmus. Zapewne gdybyś ty tam był, poszłoby ci lepiej, ja jednak jestem tylko śmiertelnikiem.

Pretorzy, którzy znajdują się na swoim rzemiośle, wybuchają śmiechem.

– Nawet Lorn au Arcos by się nie odważył – mruży Augustus z namysłem. – A widziałem, jak zabił Skalanego bez użycia broni. Darrow uczynił, ile zdołał.

Podnosi na mnie wzrok.

– Też uważasz, że powinniśmy uciekać?

– Wtedy wszyscy będą uważać, że jesteś słaby.

– Jesteśmy słabi – przerywa Pliniusz. – Lecz odwrót sprawi, że nasz pan będzie uważany za mądrego.

– Mądrzy ludzie czytają książki o historii, Pliniuszu. Silni je piszą.

– Przestań cytować Lorna au Arcosa! – wrzeszczy Pliniusz.

– Myślałem, że jesteś otwarty na wiedzę.

– Skoro żyjesz tak długo, na pewno stałeś się ekspertem w niezliczonych dziedzinach –

odpowiada melodyjnie Pliniusz. – Proszę bardzo, wygrzeb i zacytuj jeszcze trochę maksym dawnych wojowników, abyśmy mogli posiąść większą wiedzę i lepiej zrozumieć życie.

– Tu nie chodzi o mnie, drogi Pliniuszu, więc przestań używać *argumentum ad hominem*. –

Wskazuję ArcyGubernatora. – Tu chodzi o naszego pana. O jego los.

– Co za dramatyczne przypomnienie, Darrow, ale miło, że zauważyłeś. – Augustus

przeciera oczy, wyraźnie męczą go nasze kłótnie.

– Młody nic nie poradzi na to, że jest porywczy – wzdycha teatralnie Pliniusz. – Musimy jednak pamiętać, że rozwaga nie przynosi ujmy na honorze, panie mój. Sześć miesięcy zwłoki to niewielka cena za zwycięstwo.

Rozkłada ręce o długich palcach.

– Doprawdy, czas nam sprzyja. Octavii nie stać, aby szukać nas po całym Układzie

Słonecznym. Nie wtedy, gdy w jej domenie Senat jest w rozsypce. Wprowadzi rządy żelaznej ręki. A to da się mocno we znaki innym ArcyGubernatorom i nie potrwa długo, aż nawet ci najwierniejsi Władczyni zaczną kwestionować jej rozkazy. Zrozumieją, dlaczego się jej przeciwstawiamy – ponieważ nie jest naszą reprezentantką, lecz Imperatorką. Zyskamy na czasie. I na sile, a siła pozwoli nam walczyć o korzystny pokój.

Pretor Kavax wali pięścią w stół.

– Ołać to.

Tytan, nie człowiek. Wyrzeźbiony ze skały raczej niż z ciała. Jego szyja jest tak gruba, że nie zdołałbym jej objąć obiema rękami. Inaczej niż większość Złotych Kavax ogolił głowę i zapuścił brodę, gęstą i zafarbowaną na krwisty odcień czerwieni. W przyziemnym świetle ta broda lśni jak latarnia w nocy. W lewej ręce ma tylko trzy palce. Podobno jego syn Daxo odgryzł pozostałe jeszcze jako dziecko. Daxo jednak zapewnia zawsze z łagodnym uśmiechem, że zrobił to jego młodszy brat Pax.

Telemanusowie to jedyni Pretorzy w sali narad, którzy nie mają żadnych zobowiązań

wobec Pliniusza. Lubię Kavaxa.

– Odpadną mi jaja. Od gadania tego Pixie odpadną mi jaja! – krzywi się Kavax. – Nie

powinniśmy znajdować się w takiej sytuacji. Pozwól mi wyruszyć, panie mój, a wezmę tysiąc swoich gwardzistów i polecę dać nauczkę tchórzom, którzy nie odpowiedzieli na twoje

wezwanie. *Przepraszam, maleńki* – szepcze do swojego czerwono-złotego lisa Sofoklesa, który drgnął nerwowo, gdy jego pan krzyknął. Kavax na swojej wielkiej dłoni podsuwa

Sofoklesowi drażetki, by uspokoić zwierzę.

Czekamy wszyscy, aż uwaga Telemanusa skieruje się z powrotem na dyskusję.

– Mówiłeś coś, Kavaxie? – Augustus przypomina o sobie z lekkim uśmiechem, którym

obdarza tylko swoich ulubieńców.

– Ojczy. – Daxo szturcha Kavaxa. Wielkolud podnosi lekko zaskoczone spojrzenie.

– Och tak. A kiedy *urwę* im jaja i zawieszę jak kolczyki w ich uszach, reszta zapamięta, że to ty *rzządzisz* Marsem i będą cię błagać o pomoc, Nero.

Zadowolony Pretor wraca do karmienia Sofoklesa drażetkami.

– Będą też wiedzieli, że jako nieliczni wytrwaliśmy wiernie u boku swojego pana – dodaje szybko Daxo, wskazując na zebranych przy stole, którzy teraz mu potakują. Daxo ssie kawałek cynamonu. Uśmiecha się szerzej niż Pax, chociaż jego uśmiech jest mniej wyniosły, za to bardziej psotny. Tylko raz widziałem, żeby marszczył brwi. Wtedy kiedy zobaczył Szakala na gali.

Ta waśń nie zniknie. I nie powinna. Szakal zabił Paxa. Telemanusowie zażądali za to jego głowy. Augustus wygnał wtedy Szakala z Marsa. A teraz wojna przyniosła nowe komplikacje i konieczności. Wydaje się, że Augustus wybaczył Szakalowi. Telemanusowie nie. Obserwuję ich uważnie. Nie są głupcami, pomimo że lubią takich udawać. Mam nadzieję, że nie

dowiedzą się o moim sojuszu z zabójcą Paxa.

– Niektórym powinno się przypomnieć, że wierności nie można wypowiedzieć ot, tak

sobie – kończy przemowę Daxo zaskakująco serdecznym tonem. – Wizyta mojego ojca i sióstr przypomni twoim chorążym, że mają zobowiązania wobec ciebie, zwłaszcza w czasie wojny.

Pochyla lekko głowę, co pozwala nam podziwiać złote anioły wygrawerowane na ogolonej skórze.

– W naturze Telemanusów leży wywieranie wrażenia. Może to wpłynie na nasze szeregi.

– Moi jeźdźcy burzy – uśmiecha się Augustus. – Zawsze chętni do przemocy.

Przesuwa palcem wzdłuż grzbietu swojej smukłej lewej dłoni.

– Ale nie. Ta nauczka musi poczekać. Tylko zwycięzcy mogą karać. Inaczej wyglądałoby to marnie, smutne wymachiwanie bronią przez upadającego człowieka, którego flota jest w

rozsypanie, a legiony zostały uwięzione pod tarczami miast.

Po czym odwraca wzrok na Pliniusza i pyta o nasze przymierza handlowe. Zerkam

ukradkiem na Mustang. Podchwytuje moje spojrzenie i unosi brew w niemym pytaniu, kiedy wreszcie zaczniemy.



– Wszyscy nasi Politycy zostali *zabrani* – mówi powoli Pliniusz. Dzisiaj nosi bardzo poważną czarną szminkę. – Jak wiesz, naradziłem się z nimi zaraz po naszym odlocie z

Księżycu. Udało się stworzyć przełomową, zaawansowaną teorię o potencjalnych zmianach w sojuszach...

– Na komputerach? – wtrąca Kavax, rycząc ze śmiechu.

– Na komputerach – potwierdza Pliniusz z irytacją. – Symulację przeprowadzili moi

Zieloni analitycy. Żaden z Księżyców Galileuszowych – Io, Kallisto, Ganimedes czy Europa – nie poprze nas i nie da wsparcia. Ani na symulacjach, ani w rzeczywistości.

– Nic nowego – komentuje Pretor o ptasich rysach twarzy. – Tak samo nie mamy poparcia na księżycach Saturna.

Pliniusz mówi dalej, nie zwracając uwagi na komentarze:

– Naturalnie, boją się reperkusji, jeśli opowiedzą się po złej stronie. Gubernatorzy Saturna są dla nas straceni. Codziennie widzą na niebie martwą Reę. W sektorze galileuszowym

obecność Lorna au Arcosa na Europie stanowi problem. Jego... polityka izolacji okazała się zakaźna, ArcyGubernatorzy Jowisza ją naśladują, głównie dlatego, że osobista armia Lorna jest dwukrotnie większa niż siły któregośkolwiek z nich.

– Izolacja? Raczej emerytura – odpowiada z westchnieniem Augustus. – Może Lorn ma do niej prawo.

– Ale ty, ojcze, na emeryturze popadłbyś w obłąd – zauważa Mustang z końca stołu. –

Żadnych intryg i planów, żadnej strategii. Tylko rodzina i czas spędzony ze mną i Adriusem.

Uśmiech Augustusa jest wymuszony, emocje nie do odczytania.

– Córka zna mnie za dobrze.

– *Mnie* najbardziej martwi – podejmuje Pliniusz – że Księżycy Galileuszowe, jak same powiedziały, wąpią w słusność naszej sprawy.

– Pewnie dlatego, że nie mamy sprawy – jęczę, pamiętając o swej roli. – Przynajmniej nie takiej, która by kogoś obchodziła.

– Wyjaśnij – żąda ArcyGubernator.

– Właśnie do tego zmierza, ojcze – zapewnia Mustang. – Darrow lubi dramatyzm.

Rozglądam się ostentacyjnie po sali.

– Można bezpiecznie założyć, że szlachetni Złoci na tej sali rozumieją naturę ludzką. Tak?

Nawet jeśli nie, to co nas motywuje? Sprawa? *Nie*. Nikt z nas nie ma sprawy, o którą by walczył. Wolność? Sprawiedliwość? – Przewracam teatralnie oczami. – Wątpliwe. Co nas

obchodzi, że Władczyni udaje Imperatorkę? Co nas obchodzi Konwencja i wolność, jaką zapewnia Złotym? Nic.

Patrzę twardo po zgromadzonych.

– Chodzi o władzę. Zawsze chodzi o władzę. Walczymy, bo zwiąaliśmy się z gwiazdą, ArcyGubernatorem. Ale ta gwiazda właśnie spada, blednie...

Kavax na wpół zrywa się z krzesła.

– Nie obrażaj swego pana, jakby był...

– Kim? Głupcem? Nie jest, więc milcz. Bellona przejęła Marsa. Przejmą umowy handlowe

i stanowiska w rządzie. Zostaniemy zepchnięci na obrzeża, martwi lub nieważni. – Gram tonem głosu na uczuciach zebranych. – Na tym świecie liczy się tylko władza. Przypomnijcie sobie Tactusa au Valii-Rath, mojego wiernego sojusznika przez trzy lata. Ale gdy tylko moja gwiazda zaczęła blednąć, okradł mnie i uciekł tylnymi drzwiami. Jak złodziej w środku nocy.

Głęboko nabieram tchu.

– Ile jest tutaj pustych miejsc, a ile było przed wizytą na Księżycu? Tylu mężczyzn i tyle kobiet chciało oddać życie za Augustusa. Tylu mężczyzn i tyle kobiet patrzyło tylko na Augustusa, gdy pojawiał się na podium w Agei. A teraz...

Wzruszam ramionami.

– Przegrywamy. Ucieczka równa się powolnej śmierci. Jeśli chcemy ponownie powstać,

musimy przeciągnąć na swoją stronę Księżyce Galileuszowe i zaciągnąć Gubernatorów

Saturna pod nasze sztandary. Wtedy dowiedziemy, że nie jesteśmy bezsilni, że mamy tej siły aż nadto. Dowiedziemy, że to my jesteśmy panami życia i śmierci. My, nie Bellona. Stanowimy prawdziwy Dom Marsa.

Pliniusz chce coś powiedzieć, ale Augustus gestem nakazuje mu milczeć.

– Co proponujesz?

– Rody z Księżyców Galileuszowych są przychylnie Octavii au Lune tylko z jednego

powodu. Handel. Ganimedes ma stocznie, Kallisto to tylko większa fabryka Szarych i

Obsydianów dla armii Złotych. Europa to świat oceanów, banków i kopalń podwodnych oraz wakacyjnych kurortów. Io to spichlerz dla wszystkich światów w pobliżu orbity Jowisza.

Wszystkie te światy są uzależnione mocno od handlu z Centrum Układu Słonecznego, dlatego nie chcą przejść na naszą stronę. Tam każde, nawet najmniejsze dziecko wie, co się stało, gdy Pan Popiołów pojawił się na Rei. – Pretorzy kiwają głowami, zgadzają się ze mną. – Musimy zatem im zaimponować. Musimy przerazić ich siłą i potęgą, która im zagrozi. Wtedy

zrozumieją, że nie należy się od nas odsuwać.

– Jak to zrobić? – pyta Augustus. Jak inni obecni, on też złapał się na moją przynętę.

Kładę na stole moje ostrze, żeby od razu domyślili się, jaki rodzaj działań proponuję.

– Zdobędziemy ich okręty. Zabierzemy ich dzieci. Weźmiemy je jak Spartanie, gdy brali sobie żony. Siłą, w nocy.

Zapada cisza. A potem wybucha wrzawa. Pliniusz pozwala swoim Pretorom głośno

krytykować pomysły. Sam szepcze Augustusowi do ucha. Zerkam na Mustang, ale ona

obserwuje panujący wokół harmider.

– Dość – ArcyGubernator ucisza zgromadzenie, po czym zwraca się do mnie. – Nie

usłyszałem jeszcze planu.

– Jeden plan, dwie części.

Dotykam unipada i wyświetlam hologram Ganimedesa, który dostałem od agentów

Szakala. Księżyc pokryty jest oceanami i lasami, odcinającymi się od marmurowej bieli i jaskrawych odcieni oranżu gazowej powierzchni Jowisza. Szare stocznie otaczają księżyc pierścieniem. Robię zbliżenie, żeby obraz był widoczny, długi i szeroki jak stół narad. Potem dodaję listę zadokowanych okrętów. Podświetlam jeden, szczególny.

– Ganimedes ma niszczyciela światów.

Nad stołem przebiega szmer. Ktoś szepcze:

– Niszczyciel światów?

– Czy to potwierdzona informacja? – pyta Augustus.

Potwierdzam ruchem głowy.

– Jak najbardziej. – Przesunięciami palców obracam obraz stoczni. W cieniu orbitalnego doku spoczywa okręt podobny do mojego „Paxa”, ale nowszy i większy. Czarny jak noc, długi na ponad osiem kilometrów. – Zamówiła go Władczyni jako prezent dla swojego wnuka.

Kavax zaczyna się ślinić na widok tego okrętu monstrum.

– Kochana kobieta.

– Założmy, że to nie fałszywka. – Pliniusz przygląda się uważnie holoprojeksji. – Skąd wzięłeś tę informację?

– Ptaszki mi wyćwierkały.

– Nie zachowuj się jak dziecko, to ważne.

– Moje źródła to moja sprawa, tak samo jak twoje są twoją, Pliniuszu.

– Chcesz ukraść niszczyciela światów z Ganimedesa? – krzywi się Pliniusz. – To oznacza wypowiedzenie wojny.

Parskam śmiechem.

– Nic nie rozumiesz. Chcę ukraść stamtąd wszystkie okręty.

## *Rozdział dwudziesty szósty*

### *Władca marionetek*

Pliniusz spogląda na Augustusa zmartwionym wzrokiem.

– Zrób to, a ta wojna nie skończy się, dopóki jedna ze stron nie zmieni się w popiół.

– Już tak jest... – zaczyna Kavax.

– Teraz jest inaczej – chrypi Pliniusz. – Ale konflikt rozprzestrzenia się coraz bardziej.

– Mój ojciec ma rację – oznajmia Daxo. – Otwarcie wypowiedzieliśmy już bunt i mamy

rebelię.

Pliniusz uderza dłońmi w blat.

– Teraz jest *inaczej*. To będzie wypowiedzenie wojny Elicie, nie Bellonie, nie Władczyni jako osobie. Ganimedes nas nie skrzywdził. A to przełamie wszelkie bariery.

Augustus siedzi w milczeniu, jego zimne oczy wbijają się w niszczyciela światów na holomonitorze. Nie patrzy na mnie, gdy rzuca:

– Powiedziałaś, że ten plan ma dwie części. Jaka jest druga?

Zmieniam obraz. Stoczną zastępuje widok na Akademię. Okręty otaczają szarą, płaską powierzchnię. W oddali krążą asteroidy.

– Te okręty to zabytki – łysy Pretor, Licenus, wtrąca, zanim mam okazję się odezwać. –

Bezużyteczne w walce. Planujesz je także ukraść?

– Nie, Pretorze Licenusie. Zamierzam ukraść uczniów. – Dodaję kolejne obrazy. Instytut na Marsie łączy się z Akademią. A potem kolejne instytuty – ten na Wenus, dwa na Ziemi, a także Instytut Galilejański i Saturnijski. A potem jeszcze więcej, aż ponad tuzin obrazów unosi się wokół nas. – Chcę ukraść wszystkich studentów. Żadnej walki. Dla okupu.

– Niech to szlag. – Mustang wybucha śmiechem. – Oszalałeś, Darrow?

Augustus marszczy brwi.

– Panuj nad sobą, Virginio.

– Panuję, ojciec. Twój pies bojowy nie.

– Zapominasz się.

– A ty zapomniawszy, jak wyglądał Claudius, gdy leżał martwy na ziemi. I Leto. Chcesz tego dla reszty z nas? – padają słowa, ale Mustang żałuje ich niemal natychmiast.

– Milcz, dziewczyno. – Augustus drży z gniewu. Jego kościste palce zaciskają się na

krawędzi blatu, aż drewno trzeszczy. – Stałaś się niezdolna, odkąd wzięłaś tego chłopaka z Bellony do swojego łóżka. Wchodzisz tutaj jak naćpana Pixie, jesz jabłko jak dziecko.

Przestań się popisywać i zachowuj stosownie do swojego nazwiska.

– Jak twój jedyny żywy jeszcze syn? – prychnął Mustang.

Augustus nabiera głęboko tchu, aby się uspokoić.

– Będziesz milczeć albo stąd wyjdiesz.

Mustang zaciska zęby, ale robi się nietypowo milcząca. Pliniusz wykrzywia usta w uśmiešku satysfakcji.

– Nie należy winić dziewczyny, że już jest zmęczona wojną – stwierdza Pliniusz, po czym dobija rannego wroga. – Po tak wielu nocnych wezwaniach na horyzontalne sesje dyplomatyczne z Belloną jej wytrzymałość trochę spadła.

Kavax pochyla się nad Politykiem, ale Daxo odciąga ojca rychło w czas. Jednak to

Mustang pierwsza się odzywa, zanim wybuchnie kłótnia.

– Potrafię bronić swojego honoru, szlachetni mężowie. Ale jeżeli chodzi o Pliniusza, należało się spodziewać takich obelg. Też bym była zgorzkniała, gdyby moja żona pokładała się z każdym młodym najemnikiem, aby upewnić się, że nauczą się prawidłowo wsuwać miecz do pochwy.

Pliniusz spogląda na nią gniewnie, a Mustang podnosi nieco głos.

– Opuściłam Marsa, aby poszerzać wiedzę na dworze Władczyni. Nie porzuciłam swojej rodziny, jak wielu z was imputowało. I nie zamierzam przeproszać za wyjście lub opuszczenie takich dyskusji jak obecna. Ponieważ, szlachetni panowie, wydaje się, że tylko w jednym jesteście dobrzy – w sprzeczkach. Jednak szybko się godzicie, gdy trzeba zaatakować mnie albo ośmieszyć. Ciekawe, czy to dlatego, że uważacie mnie za zagrożenie dla swojej władzy?

Czy chodzi po prostu o to, że jestem kobietą? – Spogląda na nieliczne kobiety przy stole. –

Jeżeli stanowi to problem, zapominacie się. To społeczeństwo rozwinęło się dzięki zaletom zarówno mężczyzn, jak i kobiet.

Uśmiecha się.

– Nasz drogi Polityk, Pliniusz, ma w jednym rację. Wolalabym uniknąć tej wojny. I

rzeczywiście jestem zmęczona. Myślicie, że dlaczego pozwoliłam, aby Cassius au Bellona się do mnie zalecał? Ale wojna już się rozpoczęła. I będę chronić swoją rodzinę przed każdym zagrożeniem, zarówno zewnętrznym, jak i wewnętrznym.

Augustus pozwala sobie na leciutki uśmiech, właściwie cień uśmiechu. Jego miłość jest warunkowa, w życiu nie widziałem czegoś podobnego. Jakże szybko potrafi nazwać swoją

córkę dziwką, a potem uśmiechać się, gdy dziewczyna przejmuje władzę, którą straciła w tej sali.

Nagle Mustang zaczyna coś dla niego znaczyć.

– Co zatem myślisz o moim planie? – pytam.

– Myślę, że jest niebezpieczny. Pozwoli rozszerzać się wojnie bez pewności, że przyniesie nam to korzyści. Na dodatek jest nieetyczny i wprowadza ryzykowny precedens. Ale też wojna jest z gruntu nieetyczna. Dlatego musimy tylko zdecydować, jak daleko chcemy się posunąć.

– Znasz Octavię lepiej ode mnie – przyznaję. – Jak daleko ona się posunie?

Mustang zastanawia się przez chwilę.

– Jeżeli odniesiemy zwycięstwo i zaproponujemy pokój, niezależnie, czy z pozycji siły, czy słabości, Octavia przyjmie ofertę...

– Widzicie! – cieszy się Pliniusz.

Ale Mustang jeszcze nie skończyła.

– Zaproponuje neutralną lokalizację. I w dniu, gdy przybędziemy na rozmowy pokojowe, zrobi wszystko, co w jej mocy, aby nas zabić.

Pliniusz zerka to na nią, to na mnie, gdy uświadamia sobie, jak łatwo został wmanewrowany.

– Zatem nie będzie już powrotu? – pytam beznamiętnie. – Zwycięstwo albo śmierć.

– W rzeczy samej, Darrow – odpowiada Mustang z uśmiechem. – Zwycięstwo albo śmierć.

– Zdaje się, że cię przechytrzyła, Pliniuszu. Zrealizujemy zatem plan Darrowa – decyduje Augustus. – Jutro Pretor Licenus obejmie dowództwo nad tą jednostką i resztą floty.

Odciągniesz flotę Władczyni, niech ruszy za tobą w pogoń, podczas gdy ja zabiorę niewielką grupę uderzeniową korwet i fregat na Gazowe Giganty. Z nimi to *ja* poprowadzę natarcie na stocznię Ganimesesa.

– Polecę z tobą, panie! – wrywa się Kavax. Lis umyka z jego kolan i chowa się roztrzęsiony pod stołem.

– Nie.

Na twarzy Kavaxa maluje się rozczarowanie.

– Nie? Ale, Nero... Obrona tutaj – stacje bojowe, niszczyciele, brandery – zniszczy każdą eskadrę korwet, jaką sprowadzisz. – Gestykuje wielkimi rękami. – Pozwól nam zrobić to dla ciebie.

– Zapominasz, kim jestem, przyjacielu.

– Wybacz, nie chciałem...

Augustus macha ręką na przeprosiny i odwraca się do Mustang.

– Cóрко, weźmiesz z floty te jednostki, które uznasz za potrzebne do przeprowadzenia drugiej części planu Darrowa.

Patrzenie teraz na Pliniusza przypomina obserwowanie dziecka, które usiłuje utrzymać

garść piasku w dłoni. Pliniusz nie rozumie, jaki obrót przybrały właśnie sprawy. Ale nie jest takim głupcem, aby prowadzić własną rozgrywkę. Poczekaj w trawie na dogodny moment

niczym wąż, którego tak przypomina.

ArcyGubernator spogląda na mnie.

– Darrow, co powiedziałeś mi, zanim przelałeś krew Cassiusa?

– Powiedziałem, że powinieneś być królem Marsa.

– Przyjaciele. – Augustus opiera się dłońmi o stół, palce ma sztywne. – Darrow okazał siłę, jakiej żaden z was nie posiadał. Przewidział, czego pragnę. Chcę być królem. Uczyńcie mnie nim. A teraz możecie odejść.

Sala pustoszeje. Czekam z Augustusem, aż wszyscy wyjdą. ArcyGubernator chce zamienić ze mną słowo na osobności.

Mustang mijają mnie blisko i mruga porozumiewawczo z psotnym uśmiechem.

– Ładna przemowa – szepczę.

– Ładny plan – odpowiada.

Ścisną mi krótko rękę, a potem znika.

– Znowu w grze – zauważa Augustus. Gestem nakazuje mi zamknąć drzwi. Siadam obok

niego. Twarde rysy jego twarzy napinają się, gdy mężczyzna patrzy mi w oczy. Z daleka nie widać zmarszczek, ale z bliska to co innego. Bruzdy znaczą jego twarz. Takie głębokie zmarszczki pozostawia porażka. A to mi przypomina, że tego mężczyzny lepiej nie drażnić. I lepiej nie być mu nic winnym.



– Darujmy sobie święte oburzenie, zanim dasz mu wyraz. – Macha dłonią, po czym spogląda na swoje wypielęgnowane paznokcie. – Pytanie będzie proste, a ty odpowiesz szczerze: jesteś demokratą?

Tego się nie spodziewałem. Próbuje nie rozglądać się nerwowo.

– Nie, panie, nie jestem demokratą.

– Ani reformatorem? Nie jesteś kimś, kto chce zmienić naszą Konwencję, aby stworzyć lepsze, bardziej sprawiedliwe społeczeństwo?

– Ludzie są odpowiednio zorganizowani – zapewniam i na chwilę milknę. – Poza paroma znaczącymi wyjątkami.

– Pliniusz?

– Pliniusz.

– Obaj jesteście utalentowani. A ty lepiej na tym wyjdiesz, jeśli nie będziesz kwestionował mojej decyzji, aby trzymać go blisko.

– Tak, panie mój. Jednak jestem tak samo demokratą, jak ty członkiem rodu Lune.

Liczyłem, że się uśmiechnie, ale nic z tego. Naciska tylko guzik i z głośników płynie mowa, której użyłem, aby zwyciężyć na „Paxie”. A wysokiej jakości obraz holograficzny ukazuje oblicza różnych Kolorów.

– Przyglądaj się ich twarzom – nakazuje Augustus, ale patrzy w moją twarz, gdy zmienia kolejne nagrania, pokazujące członków załogi z różnych części okrętu podczas słuchania mojego przemówienia przed powstaniem przeciwko Złotym dowódcom. – Widzisz to?

Właśnie tam. Tę iskrę? Widzisz?

– Widzę.

– To nadzieja. – Mężczyzna, który zabił mi żonę, oczekuje, że zdradzi mnie wyraz twarzy.

Powodzenia. – Nadzieja.

– Chcesz powiedzieć, że popełniłem błąd?

Nero przypomina wersy ze starego eposu:

– *W równej mam nienawiści z Hadesem obludnika / W którym chytrze odbiega serce od języka.*

– U mnie było zawsze co w sercu, to na języku.

– Skoro tak twierdzisz. – Augustus rozchyła usta i syczy kolejne słowa: – Ale kiedy

terroryści rozpuszczają kłamstwa przez sieć, gdy przez nasze miasta przetaczają się zamachy bombowe, kiedy PodKolory burzą się z niezadowolenia, a my rozpoczynamy wojnę wbrew podstawom naszego społeczeństwa, ty mówisz *coś takiego*.

– Chaos jest...

– Zamknij się. Wiesz, co by się stało, gdyby inni Gubernatorzy uznali nas za reformatorów?

Gdyby inne rody patrzyły na mój jak na bastion równości i demokracji? – Wskazuje na szklankę. – Nasi potencjalni sojusznicy.

Strąca szklankę ze stołu, naczynie rozpryskuje się na podłodze w drobny mak. Potem wskazuje na następną.

– Nasze życie. – Ona również spada ze stołu. – Niedobrze, że moja córka słuchała reformatorskich wystąpień na Księżycu. Ale ty nie możesz wydawać się *polityczny*. Pozostań wojownikiem. Pozostań prostym człowiekiem. Rozumiesz?

Chcę zapytać: „A jeżeli PodKolory napadną na nas?”, ale wtedy Nero au Augustus wezwałby swoich Obsydianów, żeby mnie zabili.

– Rozumiem.

– To dobrze. – Augustus spogląda na swoje ręce, obraca pierścień na palcu. Zaczyna się wahać. – Mogę ci ufać?

– W jakim sensie?

Parska lekceważącym śmiechem.

– Większość odpowiedziałaby „tak” bez zastanowienia.

– Większość ludzi to kłamcy.

– Mogę ci zaufać i powierzyć władzę niezależną od mojej? – Nerwowo drapie się po policzku. – Tak jest, gdy wielu opuszcza swoich panów. I wtedy głód wypełnia ich spojrzenia.

Rzymianie przekonali się o tym niejednemu raz. Właśnie dlatego nie pozwalali generałom

przekraczać Rubikonu z armiami bez pozwolenia Senatu. Ludzie z armiami szybko zaczynają uświadamiać sobie, jaką dysponują siłą. I zawsze wiedzą, że ich szczególna siła nie jest dana raz na zawsze. Musi być użyta szybko, zanim armie ich opuszczą. Ale pośpieszne decyzje mogą zniszczyć imperium. Mój syn, na przykład, nigdy nie może otrzymać takiej władzy.

– Ma swoje interesy.

– To powolna władza. Sprytnie z jego strony zdobyta, choć nie pasuje do godności mojego rodu. Powolna władza może zmiażdżyć lub odepchnąć wroga, który trwa w stagnacji. Jednak szybka władza, która może się przemieszczać tam, gdzie się pójdzie, zrobi wszystko, czego dowodzący sobie zażyczy, równie skutecznie jak młot wbijający gwóźdź. I właśnie taka

władza pozbawia głów i kradnie korony. Mogę ci taką powierzyć?

– Musisz. Jestem jedynym, który może pójść po Lorna.

Zdumienie błyska w jego oczach. Augustus nie przywykł, że ktoś inny może przejrzeć jego machinacje. Szybko opanowuje zaskoczenie, ponieważ nie chce udzielić mi należytą pochwały.

– Wiedziałeś wcześniej.

– Pragniesz, abym udał się do Lorna i poprosił o pomoc, ponieważ to on uczył mnie szermierki.

– I ponieważ on cię kocha.

Mrugam tępo, zupełnie bez zrozumienia.

– Nie jestem pewien, czy to właściwe określenie.

– Lorn miał czterech synów. Trzech zginęło na jego oczach. Ostatni, ojciec Lysandra, w wypadku, jak wiesz. Przypuszczam, że przypominasz Lornowi jego synów, chociaż jesteś

lepiej wyszkolony i mniej etyczny, co stanowi twoją przewagę. Jednak pomimo że ciebie kocha, Lorn nienawidzi mnie.

– Nienawidzi bardziej Octavii, panie mój.

– Mimo wszystko nie będzie łatwo przekonać go, aby do nas dołączył.

– Zatem nie dam mu wyboru.

## *Rozdział dwudziesty siódmy*

### *Drażetki*

Telemanusowie czekają na mnie w holu. Kavax bierze mnie w ramiona i ściska tak, że omal nie łamię mi kręgosłupa. Daxo wita się skinieniem. Pomiędzy tymi dwoma dostaję zawrotów głowy. Po raz pierwszy rozmawiam z nimi bez przemocy w tle. Prawdę mówiąc, unikałem ich ze wstydu po tym, co się stało z Paxem.

– Mój chłopak zatracił się tylko dla ciebie – mówi Kavax. – Mały Pax. Padł na kolana dla przyjaźni i nie ma w tym żadnej hańby. Szkoda tylko, że nie zdobył z tobą Olimpu. Cóż to byłby za widok.

– Chciałbym zobaczyć, jak zabiera zbroję Cenzora Jupitera.

Daxo szczerzy się na te słowa.

– Byłem w Domu Jupiter. Zdobyłem nawet tytuł Prymusa, ale potem odebrał mi go Karnus au Bellona.

– Czyli mamy wspólnego wroga.

– Oprócz tego małego wrednego intryganta, który zabił mi młodszego brata? – pyta cicho Daxo. – Mamy wielu wspólnych wrogów, Andromedusie.

Kavax podnosi swojego lisa. Zwierzę liże wielkoluda po szyi, po czym świdruje mnie

ognistym spojrzeniem, zanim wtula się w rudą, gęstą brodę swojego pana. Lis ma białe futro na piersi, czarne nogi i ciemnordzawą sierść na reszcie ciała, grubszą i sztywniejszą niż u normalnych przedstawicieli tego gatunku, na dodatek waży prawie trzydzieści pięć

kilogramów. Rozmiarami bardziej przypomina wilka.

– Lisy to piękne stworzenia – stwierdza Kavax, głaszcząc swoją bestię.

Daxo potwierdza ruchem głowy.

– Psotne. Wszystkożerne. Oporne na tresurę. Monogamiczne. Bardzo wyjątkowe. Potrafią

rozszerzyć swoje tereny łowne nawet na terytoria wilków. – Spogląda na mnie ponuro. – Ale ze względu na przekłętą porywczosć lisy słabo sobie radzą z szakalami. Poprosiliśmy

Augustusa, aby wygnał Adriusa. Na jakiś czas tak się stało, ale teraz Szakal powrócił do floty.

– Zbrodnia – stwierdzam.

Kiwają głowami.

Daxo kładzie mi rękę na ramieniu.

– Kobiety, moje siostry i matka, to znaczy... chciały, żebyś wiedział, że nie uważamy cię za winnego śmierci Paxa. Kochaliśmy tego chłopaka i wiemy, że pragnąłeś dla niego zaszczytów.

Wiemy, że nazwałeś swój okręt na jego cześć. I nigdy o tym nie zapomnimy. Raz przyjaciele, na zawsze przyjaciele. Tak to jest w naszej rodzinie.

Kavax potwierdza ruchem głowy każde słowo wypowiedziane przez swojego jedyne żywego syna. Rzuca lisowi garść drażetek.

– Dlatego jeżeli nas będziesz potrzebował – wyjaśnia Daxo, wskazując salę narad – wystarczy, że poprosisz, a ród Telemanusów poświęci się dla twojej sprawy.

– Mówicie szczerze? – upewniam się.

– To by uszczęśliwiło mojego małego Paxa – grzmi Kavax.

Składam ręce i sprawdzam, czy rzeczywiście mam szczęście.

– Wybaczcie mój brak manier, ale potrzebuję was już teraz.

Krzącaste brwi unoszą się równocześnie w wyrazie niemal identycznego zaskoczenia.

– Szukaj, Sofoklesie, szukaj! – mówi Kavax z podnieceniem. Wielki lis u jego stóp prześlizguje się czujnie, aby mnie obwąchać, zwłaszcza kolana, potem buty i dłonie. Przesuwa się między moimi nogami, węsząc. A potem skacze na mnie, opiera przednie łapy o moje

biodra i wsuwa mi nos do kieszeni. Cofa się z dwoma drażetkami i przeżuwa je z zadowoleniem.

– Magia! – wybucha radośnie Kavax, po czym klepie mnie po plecach. – Sofokles znalazł

pomyślny znak dzięki magii! Co za dobry omen! Daxo, synu mój, wezwij swoje siostry i

matkę. Kosiarz wzywa, Telemanusowie muszą odpowiedzieć!

– Dziewczęta przebywają z wizytą na Neptunie, ojcze. Wrócą za parę miesięcy.

– Cóż, zatem to *my* musimy odpowiedzieć na wezwanie.

– Trudno się nie zgodzić, ojcze.

– Przyślę dokładne instrukcje w ciągu godziny – zapewniam.

– Słodkie oczekiwanie! – Kavax rusza do siebie. – Będziemy czekać niecierpliwie!

Po drodze ryczy komplement dla przechodzących Pomarańczowych, przerażając je swoim szerokim uśmiechem. Daxo i ja tylko patrzymy.

– On naprawdę wierzy w magię? – pytam.

– Mówi, że nocą gnomy wykradają mu wosk z uszu. Matka myśli, że zbyt wiele razy

oberwał w głowę. – Daxo rusza za ojcem. Ale nie potrafi ukryć przebiegłego uśmiechu, gdy wrzuca sobie do ust drażetkę. A ja wiem, skąd się wzięły w mojej kieszeni. – Powiedziałbym, że ojciec żyje w świecie zabawniejszym od naszego. Wezwij nas wkrótce, Kosiarzu. Ojciec już nie może się doczekać.

Po rozmowie z Szakalem przez holosiec i przekazaniu mu wieści o przyśpieszeniu moich planów oraz wprowadzeniu kilku jego sugestii mówię Orion, żeby wzięła kurs na Europę.

Podróż zajmie dwa tygodnie. Roque dołącza do mnie na mostku i obserwuje podstawową załogę Niebieskich. Nie odzywa się, jednak to pierwszy raz, kiedy do mnie przyszedł od opuszczenia Księżyca. Czuję na barkach ciężar tego milczenia.

– Tak mi przykrr... – zaczynam.

– Nie chcę rozmawiać o Quinn – przerywa mi cicho Roque. – Wiem, że dążyłeś do tej wojny. Doprowadziłeś do niej, zamiast zaufać mi, że wykupię twój kontrakt i będę cię chronił.

Nie wiem tylko, dlaczego mnie uspiłeś.

– Chciałem cię chronić. Ponieważ wiedziałem, że będę cię potrzebował po gali, i nie mogłem ryzykować twojego bezpieczeństwa.

– A co z tym, czego ja potrzebuję? Nie miałeś prawa podejmować za mnie decyzji tylko z powodu obawy, że mogę przeszkodzić ci w planach. Przyjaciele tak nie postępują.

– Masz rację. To był błąd z mojej strony. – Powoli kiwam głową i naprawdę tak uważam.

– Błąd, że wbiłeś mi igłę w szyję?

– Więcej niż błąd. Ale wiedz, że intencje były dobre, nawet jeżeli pomysł i wykonanie okazały się głupie. Jeżeli mam paść na kolana...

– To dopiero byłby widok. – Wiem, że Roque żartuje, ale na jego twarzy nie pojawia się nawet cień uśmiechu. Mój przyjaciel odwraca się i wychodzi.

## *Rozdział dwudziesty ósmy*

### *Synowie burzy*

– Przychodzisz do mnie tuż przed burzą – mówi mój przyjaciel. Jego siwą brodą targa

wiatr. Spogląda w fale na dole. – Wiesz, że na tym oceanicznym świecie są chłopcy, którzy pływają w łódkach podczas wichury gorszej niż ta? Młodzieńcy, wyrzutki z Szarych,

Czerwonych, nawet Brązowych. Ich odwaga jest szaleństwem, zupełnym obłędem.

Wskazuje z balkonu na przetaczające się ciemne wody piętrzące się w

dziesięciometrowych falach.

– Nazywa się ich synami burzy.

Grawitacja tutaj jest koszmarna. Wszystko pływa. Przy zaledwie zero koma sto trzydzieści sześć ziemskiego ciężenia każdy krok, jaki stawiam, musi być wymierzony, kontrolowany albo wyskoczę na piętnaście stóp w górę i będę musiał czekać, aż podmuch wiatru pchnie mnie z powrotem na powierzchnię. Walka tutaj byłaby jak balet pod wodą. Noszę buty grawitacyjne, żeby czuć się bardziej swobodnie.

Starzec przygląda się bezkresowi oceanu, który opływa wysepkę. Ten mężczyzna zawsze

powtarzał mi, jaki jest, i taki właśnie jest – jak głaz wśród skał. Słona woda pryska mu na brodę. Płonące Żłote oczy mruży przed ostrym, sztormowym wiatrem.

– Kiedy wokół jest tyle soli, wydaje się, że każda wichura sprowadza koniec świata.

Każda fala jest największa ze wszystkich znanych. Ci chłopcy ujeżdżają wicherę w ekstazie, pragną zdobyć sławę. Ale od czasu do czasu podnosi się prawdziwy sztorm. Łamie maszty ich łódek i zdziera im włosy z głów. Nie wytrzymują długo i wkrótce morze ich pochłania. Jednak matki oplakują ich śmierć o wiele wcześniej, podobnie jak ja płakałem za tobą już od pierwszego dnia, kiedy się poznaliśmy.

Wbija we mnie przenikliwe oczy, zaciska usta pod długą brodą.

– Nigdy ci nie powiedziałem, ale nie wychowałem się w pałacu ani w mieście jak

większość Niezrównanych Naznaczonych, których znasz. Mój ojciec uważał, że na świecie występują dwa rodzaje zła – technologia i kultura. Był twardym człowiekiem. Zabójcą, jak oni wszyscy. Ale jego twardość nie polegała na tym, co mógł uczynić, lecz na tym, czego nie czynił, na oporach, które w sobie miał. Odmawiał sobie i swoim dzieciom wszelkich

przyjemności. Dożył wieku stu sześćdziesięciu trzech lat bez pomocy terapii odnawiania komórek. I przeżył osiem Stalowych Deszczów. A jednak nigdy nie cenił życia, ponieważ zbyt często je odbierał. Nie był człowiekiem stworzonym do szczęścia.

Obserwuję dawnego Pana Gniewu, Lorna au Arcosa. Opiera się o balustradę na balkonie

swojego zamku. To forteca z piaskowca, wzniesiona pośrodku morza głębokiego na

dziewięćdziesiąt kilometrów. Zamek ma nowoczesną linię, nie przypomina średniowiecznego, jest raczej połączeniem nowego i starego – szkło i metal tworzą ostre kąty na kamiennych fundamentach wyspy. Podobnie jak mężczyzna, którego szanuję najbardziej ze wszystkich Złotych jego pokolenia.

I podobnie jak Lorn, to miejsce nie jest przyjazne podczas burzy. Ale kiedy sztorm cichnie, słońce opromienia zamek, odbija się w szklanych ścianach i lśni na stalowych podporach.

Dzieci wybiegają wtedy do dziesięciokilometrowych ogrodów wokół murów, a potem gnają

niżej do przystani. Wiatr igra w ich włosach, a w bibliotece Lorn słyszy tylko krzyk mew, szum morza i śmiech swoich wnuków oraz ich matek, których strzeże w zastępstwie swoich

zmarłych synów. Nie ma tutaj tylko Lysandra.

Gdyby wszyscy Złoci byli jak Lorn, Czerwoni nadal wgrzyzaliby się w głąb ziemi, ale

znaliby swój cel. Lorn by im powiedział, po co tak pracują. Nie czyniłoby go to dobrym, ale przynajmniej szczerym.

Jest krępy, szeroki w ramionach i niższy ode mnie. Puszcza szklanę, z której wypił

whiskey, i pozwala, aby wiatr turlał ją na boki. Wreszcie naczynie spada i znika w morzu.



– Podobno można usłyszeć umarłych synów burzy, którzy wiwatują na wietrze – szepcze. –

Mnie się zdaje, że to lament ich matek.

– Burze na dworze sprawiają, że ludzie się wycofują i kryją – stwierdzam.

Śmieje się, lecz drwiąco, jakby gardził myślą, że mógłbym cokolwiek wiedzieć o burzach na dworze, cokolwiek o wiatrach, które wtedy dmą.

Przylatuję do niego w tajemnicy, samotnym okrętem – moim pięciokilometrowym „Paxem”.

Powiedziałem mojemu panu, że Lorn nam nie pomoże. Ale czepiam się nadziei, że będzie

*chciał* pomóc mnie. Jednak teraz, gdy znowu widzę żyłastą postać Lorna au Arcosa, przypomina mi się charakter tego mężczyzny i zaczynam się martwić. Lorn wie, że moi

kapitanowie i porucznicy słuchają naszej rozmowy przez komunikator w moim uchu. Okazałem mu szacunek i pokazałem urządzenie, żeby nie zakładał, że nasza konwersacja będzie należała do prywatnych.

– Po więcej niż stu latach życia moje ciało jeszcze mnie nie zdradza.

Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że Lorn ma trochę ponad sześćdziesiątkę. Tylko blizny naprawdę zdradzają jego wiek. Ta na szyi, przypominająca uśmiech, pochodzi sprzed czterech dekad – zadana została przez Skalanego podczas Buntu Księżycowych Rycerzy, gdy Gubernatorzy Księżyców Jowisza sądzili, że mogą stworzyć własne królestwo po tym, jak Octavia zastąpiła ojca na szczytach władzy. Szrama na nosie podchodzi od rany, którą zadał

Pan Popiołów, gdy pojedynkowali się w młodości.

– Słyszałeś takie powiedzenie: „Obowiązkiem syna jest chwała ojca”?

– Sam to powtarzam.

– Ja żyłem zgodnie z tymi słowami – mruczy. – Straciłem wielu dla własnej chwały.

Celowo wprowadziłem swój okręt prosto w burzę. Za każdym razem ciągnąłem za sobą kobiety i dzieci.

Pozwala, aby przez dłuższy czas przemawiały tylko fale. Rozbijają się na skałach i cofają z chlupotem, wciągając wszystko, co złapią, w morze nazywane Discordia.

– Nie powinno się żyć tak długo, jak mi się zdaje. Moja praprawnuczka urodziła się zeszłej nocy. Wciąż na palcach mam zapach krwi. – Unosi je, guzowate i poznaczone odciskami od ściskania broni. Lekko drżą. – Tą ręką wyjąłem ją z ciemności na światło, z ciepła na chłód.

Sam przeciąłem pępowinę. Byłby to dobry świat, gdyby tylko takie ciało przecinać.

Opuszcza ręce, opiera je o zimny kamień. Ciekawe, co temu mężczyźnie powiedziałyby

Mustang. Gdyby spotkali się twarzą w twarz, byłoby to jak patrzenie na płomień, który próbuje spalić kamień. Okazywała publicznie niechęć do mojego planu, ale tak właśnie mieliśmy to rozegrać. Plany w planach wśród planów.

– I pomyśleć, czego te ręce dotykały – mruczy Lorn. – Krwi moich synów, gdy wypływała z ich ciał. Zimnej rękojeści ostrza, które ukradło marzenia młodości. Poznały miłość

dziewczyny i kobiety, a potem czuły, jak te serca zamierają i milkną. Wszystko dla mojej chwały. Wszystko dlatego, że postanowiłem ujeździć morze. I dlatego, że zwykle niełatwo mnie zabić.

Marszczy brwi.

– Myślę, że ręce nie powinny tyle czuć.

– Moje również poczuły więcej, niżbym sobie życzył – przyznaję. Pamiętam ich skurcz,

gdy Eo zawisła. Pamiętam dotyk jej włosów pod palcami. Ciepło krwi Paxa. Chłód białych policzków Lei w mroźny ranek po zaszlachtowaniu jej przez Antonię. I ziarniste czerwone płatki kwiatu haemanthusa. I nagie biodro Mustang, gdy leżeliśmy przy ogniu.

– Wciąż jesteś młody. Kiedy posiwiejesz, będziesz pamiętał jeszcze więcej.

– Niektórzy ludzie nie dożywają starości. – Żaden Helldiver nie posiwiał.

– Niektórzy nie. – Lorn wskazuje na odznakę Augustusa, lwa przypiętego do mojego ciemnego uniformu. – A lwy nie żyją tak długo jak gryfy. My potrafimy odlecieć.

Bawi się swoim rodzowym pierścieniem, po czym macha ramionami jak skrzydłami. Nie mogę powstrzymać się od uśmiechu. Lorn nosi swój rodzowy sygnet wraz z pierścieniem Domu Mars.

– Ale kiedyś byłeś pegazem, prawda?

– To był symbol... to jest symbol Andromedusów. – Mojej fałszywej Złotej rodziny. Jednak ten znak przypomina mi o Eo. Kiedyś, jeszcze przed śmiercią, wskazała mi Mgławicę

Andromedy. Znaczy to dla mnie tak wiele, a zarazem tak mało.

– To honor pozostać tym, kim się było – stwierdza Lorn.

– Czasami musimy się zmienić. Nie wszyscy urodziliśmy się bogaci jak ty.

– No to chodźmy do Ikara. Trzeba poszukać go w lesie. – Na Marsie Lorn wspominał

często swojego ulubieńca, ale nigdy tego zwierzęcia nie widziałem. – Carolina spiskowała z Vincentem, żeby zrobić mu nową zabawkę. Myślę, że tobie też się spodoba.

– Właściwie to gdzie są twoje dzieci? Z przyjemnością znowu bym je zobaczył.

– We wschodnim skrzydle, dopóki nie odleczysz.

– Aż tak jestem niebezpieczny?

Lorn nie odpowiada.

Idę w ślad za przyjacielem z balkonu. Chmury na ciemnym niebie Europy przecina błękitna błyskawica. Oceany kołyszają się i unoszą falami, rozbijają się na białych ścianach, jakby nawet morze postanowiło pochłoniąć stworzoną rękami człowieka wyspę. Jednak nawet zamek i

sztorm wydają się małe w obliczu Jowisza, który za chmurami przesłania nieboskłon –

pobliżniony gazowy olbrzym spogląda na nas z góry niczym wielki marmurowy bóg.

Kiedy wychodzimy z kamiennych przybudówek, Lorn radośnie wita każdego sługę, którego

mijamy. Widzi ludzi, nie Kolory. Większość sług jest z nim od lat. Powinienem się od niego uczyć. Ale wtedy skończyłbym tutaj, jako lepszy człowiek, niezdolny jednak do wprowadzenia zmian, tak daleko od Centrum Układu.

Dziecięce zabawki leżą na korytarzach. Rodzina Lorna jest tutaj – tuziny bliskich, których ten mężczyzna zabrał do swojego zamku, gdy wycofał się z życia publicznego. Większość mieszka na południowych archipelagach w cieplejszych wodach bliżej równika. Huragany

zmusiły ich jednak do powrotu na północ, gdzie schronili się u dziadka Lorna. Sztorm chyba przyszedł za nimi.

Lorn otwiera wielką szklaną bramę, prowadzi mnie do środka swojej cytadeli. Tutaj

stworzył dla siebie las, na kilku akrach ziemi pod otwartym niebem. Ściany ciągną się wokół

drzew, chronią je przed dzikością fal. Lorn zadbał o wszystko. Na gałęzie pada deszcz, szemrze w igłach, dopóki mężczyzna nie włącza bańki pola pulsacyjnego. Wtedy krople syczą i parują na jej powierzchni, po czym ulatują w niewielkich obłoczkach. Lorn idzie przodem, a

ja zwlekam trochę, wydaję małe czarne igły, nie dłuższe niż mój paznokieć, z ukrytej w rękawie kieszeni. Rozrzucam je na mchu tuż przy bramie.

– Przylatujesz do mnie skradzionym okrętem i prosisz o moje jednostki i moich ludzi.

Dlaczego? – Lorn z ciekawością ogląda się na mnie przez ramię. Przyśpieszam kroku i

wyrzucam resztę igieł, kiedy Lorn znowu odwraca się plecami. Czekam, aż wypomni mi

Lysandra.

– Ponieważ połowę Marsa trzymają we władzy siły lojalne wobec Bellony i Władczyni.

Aby wyzwolić od nich Mars, potrzebujemy twoich okrętów i ludzi. Gdy tylko będziemy je mieli, Władcy Księżyców i ArcyGubernatorzy na Obrzeżach przyjdą nam na pomoc przeciwko Centrum Układu Słonecznego.

– Potrzebujesz mnie zatem do pomocy w swojej zdradzie?

– Czy pies zdradza, gdy kąsa dłoń pana, który próbuje go zabić?

– Koszmarna metafora. – Lorn przystaje, rozgląda się po lesie, szuka. – Ach...

Ruszamy dalej.

– Niezależnie od metafor, jedno się nie zmienia: potrzebuję twojej pomocy.

Lorn spluwa na ziemię, po czym gestem nakazuje mi iść za nim na wzgórze. Moje buty trzeszczą w podmokłym runie.

– Dlaczego miałbym się tobą przejmować?

– Ponieważ mnie wyszkoliłeś.

– Wyszkoiliłem także Aję au Grimmus.

– Z pewnych powodów przypuszczam, że lubisz mnie bardziej niż ją.

– A to dlaczego?

– Bo mam poczucie humoru.

Parska śmiechem.

– Aja też potrafi być zabawna.

– Na pewno żartujesz.

– Spotykasz mężczyznę, poznajesz go. Spotykasz kobietę, ona poznaje ciebie. – Wybucho śmiechem na jakieś wspomnienie. – Łatwiej by było myśleć o niej jak o nocnym koszmarze.

Jednak to kobieta z krwi i kości. Ma przyjaciół. Ma rodzinę. A ciebie uważa za zagrożenie dla swoich bliskich.

– A jednak to ona zabiła mi przyjaciółkę.

– Tak, słyszałem. A ty miałeś dziecko. Przebiegła taktyka. – Odwraca się i spogląda na ostrze owinięte wokół mojego przedramienia. – Wszyscy teraz noszą ostrza jak głupcy?

– Taka moda.

– Powinno owijać się je wokół biodra. Inaczej przypadkowo można sobie odciąć rękę –

wzdycha Lorn. – Twoje pokolenie... Takie aroganckie. Chce zmian bez powodu. Ciekawe, mój arogancki chłopcze. Wydaje ci się, że jak przylecisz tutaj na ukradzionym okręcie, to ja, prawie stulatak, ruszę za tobą do walki? Przecież naraziłbym na śmierć swoją służbę, rodzinę i wszystkich, których kocham. I dla kogo? Dla chłopaka, który odmówił, gdy poprosiłem, aby przyłączył się do mojego rodu?

Ignoruję gorycz jego słów.

– Opuściłeś Elitę nie bez powodu, Lornie. Pamiętasz dlaczego?

– Aby uniknąć hałaśliwych głupców.

– Myślę, że odszedłeś, bo uznałeś, że społeczeństwo jest chore. Ponieważ nie było warte już poświęceń.

– Przestań na mnie szczekać, szczeniaku.

– A zatem się nie mylę.

– Nie masz racji. – Odwraca się gniewnie. – Opuściłem Elitę nie dlatego, że jest chora, lecz dlatego, że jest martwa. Społeczeństwo powstało, aby wprowadzić porządek. Ludzi

stworzono do poświęceń, żeby ludzkość przetrwała. Dostali Kolory, ograniczone życie i cele, żebyśmy mogli wyjść poza wieczny krąg naszego gatunku – dobrobyt prowadzący do

chciwości, a potem wojny. Złoci mieli opiekować się i prowadzić inne Kolory, a nie je pochłaniać. Jednak znowu jesteśmy uwięzieni w tym samym cyklu, którego próbowaliśmy

uniknąć. Zatem co z Elitą? Z tą piękną sumą wszystkich ludzkich przedsięwzięć? Umarła i gnije od setek lat, a ci, którzy z tym walczą, to tylko sępy i robactwo.

– Zatem nie chodziło o śmierć Brutusa. – Mówię o jego najmłodszym synu, który poślubił nieżyjącą już córkę Octavii au Lune.

– To był wypadek.

– Bardzo dogodny wypadek. Krążą plotki, że córka Octavii przygotowywała zamach na

swoją matkę.

– Nie słucham plotek – stwierdza ponuro.

– Jeżeli mi pomożesz, będę mógł oddać ci wnuka.

– Lysander od dawna jest wychowywany na Księżycu i sączy mu się do uszu truciznę. Ma ją już we krwi. Nie jest z mojego rodu.

– Nie jesteś tak zimny, Lornie. Spotkałem tego chłopca. Przypomina bardziej ciebie niż Octavię. Nie jest zły. Walcz dla niego.

Lorn przygląda się w milczeniu kroplom deszczu padającym na pole siłowe.

– Walczysz z despotką, aby zastąpić ją despotą – rzuca ze znużeniem. – Widziałem tę rozgrywkę setki razy. Wiesz chociaż, komu służysz?

– Mam przeczucie, że zaraz mi powiesz.

– Nie przestanę być twoim nauczycielem tylko dlatego, że przestałeś mnie słuchać. Siadaj.

Nie chcę niepokoić Ikara tą przeklętą opowieścią. – Lorn siada na wielkim głazie i wskazuje mi miejsce naprzeciw. Siadam. Mężczyzna opuszcza ramiona, bawi się grubym pierścieniem Domu Marsa na palcu.

– Ród Augustus zawsze był silny, jak z pewnością wiesz. Nawet kiedy Mars był dopiero

niewielką kopalnią helium. Augustianie przekupywali lub zabijali tych, którzy mogliby stanąć im na drodze do rządowych kontraktów. A kiedy kieszenie im się napełniły, wzrosły też ich wpływy. Stali się, wraz z innymi rodami, w tym Belloną i moim, władcami Marsa. Jednak była jedna rodzina o większej władzy – Cylus. Cylusowie kontrolowali stanowisko

ArcyGubernatora, faworyzował ich także Senat oraz ówczesny Suzeren. Kiedy twój pan,

wtedy jeszcze nazywany po prostu Nero, miał siedem lat, jego ojciec wdał się w dysputę z Juliusem au Belloną, dziadkiem Cassiusa. Ojciec Nerona próbował skłonić Brązowych

służących Bellony, aby zatruli jedzenie podawane na rodzinną kolację. Plan się nie udał.

Rozpoczęła się wojna domowa. Ojciec Nerona wezwał swoich zbrojnych i poprowadził

przeciwko Bellonie i ArcyGubernatorowi Cylusowi, który właśnie Juliusowi oddał

dowództwo nad swoimi siłami. Ówczesny Suzeren nie interweniował, pozwolił obu rodom

wdać się w wojnę. W końcu ojciec Nerona został oblężony na Agei, a jego flotę osaczono i

zniszczono w pobliżu Fobosa. Cylus skazał ród Augustus na śmierć, oszczędził tylko młodego Nerona. Chłopcu pozwolono żyć, aby pradawna linia, która brała udział w Podboju, nie zniknęła zupełnie. Podobno ArcyGubernator poczęstował nawet Nerona winogronami, aby chłopak mógł zaspokoić pragnienie, ponieważ wokół nie było wody – miasto płonęło. Potem wychował chłopca na swoim dworze. Dwadzieścia lat później Nero, którego uważano za honorowego i uczciwego człowieka, w przeciwieństwie do podstępного ojca, poprosił o rękę Iony au Bellony. Iona była najmłodszą córką i ulubienicą starego Juliusa.

Lorn spogląda na krople połyskujące na igłach otaczających nas wiecznie zielonych drzew.

– Dobrze ją znałem. Moi synowie się z nią bawili. I znałem Nerona. Lubiłem go, choć jako dziecko był trochę oziębły... W nadziei, że uda się uleczyć niezagojone rany zadane przez poprzednie pokolenia oraz zjednoczyć i umocnić Marsa, ArcyGubernator Cylus wyraził zgodę.

Bellona miała poślubić Augustusa. Wesele było piękne. Wziąłem w nim udział jako przedstawiciel Suzerena, Pan Gniewu. I wspaniale się bawiłem. Nigdy nie widziałem Iony tak szczęśliwej jak w ramionach surowego młodzieńca, którego przyjął na męża. Lecz tamtej nocy, kiedy ród Bellona powrócił do swojej siedziby wraz z krewnymi, przyniesiono paczkę.

Wewnątrz stary Julius znalazł głowę swojej córki. W jej usta wciśnięto winogrona oraz ślubne obrączki. Julius wezwał córki i synów, w tym ojca Cassiusa, i pognął do cytadeli, aby żądać od ArcyGubernatora Cylusa sprawiedliwości, jak dwadzieścia lat wcześniej, kiedy ród

Augustus podniósł bunt. Jednak zamiast starego przyjaciela zastał na tronie ArcyGubernatora młodego Nerona otoczonego Pretorianami i dwoma Rycerzami Olimpijskimi. Byłem jednym z nich, ponieważ mój Suzeren powiedział mi, że Cylus stanowi zagrożenie dla społeczeństwa.

Zrobiłem to, co mi nakazano. Ród Cylusa został starty z powierzchni Marsa i z oficjalnych zapisów. Później dowiedziałem się, że Nero umówił się z córką Suzerena. Znasz ją jako Octavię au Lune. Wtedy była młodsza. Przekonała ojca, żeby dał Neronowi stanowisko

władcy Marsa i pozwolił mu się zemścić, dzięki czemu zyskała wsparcie Augustusa, kiedy zawiązała frakcję i pięć lat później pozbawiła ojca władzy oraz życia. I właśnie dla tego człowieka rozpętała wojnę.

– Nic o tym nie wiedziałem – przyznaję cicho.

– Historię piszą zwycięzcy.

Lorn podnosi na mnie wzrok. Bruzdy na jego twarzy wydają się głębsze.

– Nie chcę iść na wojnę, Darrow. Za moich czasów spalono cały księżyc, ponieważ jeden człowiek nie chciał ugiąć karku. Prowadziłem miliony wojowników wystrzelonych z okrętów wojennych, aby

przeprowadzili inwazję na planecie. Nie potrafisz jeszcze zrozumieć, jakie to przerażające. Myślisz tylko, że wojna będzie piękna. Ale to są ludzie. Mężczyźni i kobiety.

Mają rodziny. I giną tysiącami. A ty nie zdołasz ochronić nawet swoich najlepszych przyjaciół.

Wzdycha, unosi głowę.

– Ach! – Wskazuje na wzgórze. – Tam jest Ikar.

Krople spadają z sosen, gdy przedzieramy się przez zagajnik, żeby dotrzeć do Ikara,

ulubieńca Lorna. Zwierz śpi na mchu na wielkiej polanie w małym lesie. Nogi ma podkulone i ukryte pod brzuchem. We śnie osłania się skrzydłami – migotliwymi i lśniącymi od kropel deszczu. Jego głowa wielkiego orła jest większa ode mnie, oko prawie tak duże jak moja twarz. Snycerze się spisali.

– Wygląda tak spokojnie, kiedy śpi – mówi Lorn.

– Jest większy od wszystkich, jakie widziałem. – Nie udaje mi się ukryć zachwytu.

– Nie byłeś zatem na biegunie Marsa albo Ziemi.

– Nie. Gdzie go kupiłeś?

– Marsjańscy Snycerze wykonali go dla mojej rodziny. Nieważne, co twierdzi ten głupi

modniś Zanzibar, Ikar pochodzi z tego samego gatunku, który latał w wysokich warstwach

atmosfery nad biegunem północnym Marsa. Straszono nimi Obsydianów, żeby wierzyli, że magia istnieje naprawdę. – Głaszczesz śpiącego olbrzyma. – Nadal kochasz się w córce

ArcyGubernatora?

Lorn zerka na mnie z nadzieją.

– Czy właśnie dlatego to robisz? Słyszałem o niej i tym młodzieńcu z Bellony.

– Nie chodzi o to, co zaszło między nią i Cassiusem.

– Nie? – Starzec wzdycha. – To przynajmniej bym rozumiał. Byłeś niezdarny w tamtym

starciu, powinieneś poradzić sobie lepiej. Irenicus Błazen załatwiłby Cassiusa w trzech ruchach.

– Nie byłem niezdarny. Dawałem pokaz.

– Niezdarny. Od pokazów są Fioletowi. Nie wyszkoliłem cię, żebyś się popisywał.

Przechodzę obok niego, żeby pogłaskać Ikara.



– Więc jednak zależy ci na mnie.

Lorn nie odpowiada, a ja czuję, że oto zbliża się chwila, której tak bardzo się obawiałem.

– W innym życiu mógłbyś być moim synem, Darrow. Znalazłbym cię wcześniej, zanim to, co ci się przydarzyło, wypełniło cię takim gniewem. Nie wychowałbym cię na wielkiego człowieka. Wielcy ludzie nigdy nie zaznają spokoju. Wychowałbym cię na porządnego człowieka. Dałbym ci ciszę i siłę, żebyś zestarzał się u boku ukochanej kobiety. Ale tu i teraz mogę dać ci tylko szansę. *Ikarze!* – wybucha nagle.

Gryf porusza się przy nim, jego bursztynowe oko otwiera się i widzę w nim swoje odbicie.

Ziemia drży, gdy stworzenie wstaje i wrywa drzewo z korzeniami równie łatwo, jak ja mógłbym wyszarpnąć sobie włos.

Cofam się przed bestią, niepewny intencji Lorna.

– Co się dzieje? – pytam.

– Spójrz na swój okręt. – Starzec wskazuje na nocne niebo. W przerwie między chmurami dostrzegam mój długi okręt lśniący na orbicie. Nie jest już samotny. Otaczają go brandery i okręty ogniowe, które prześlizgnęły się pod równikiem Europy, żeby przejąć „Paxa”.

– Pretoriański szwadron śmierci czeka na ciebie w mojej siedzibie, Darrow. Prowadzi ich Aja au Grimmus. Złapią cię, zakują w łańcuchy i przyprowadzą przed oblicze Władczyni.

– Zdradziłeś mnie? – pytam cicho.

– Nie. Przybyli wiele dni temu. Grozili mi. Co miałem robić? Kellan au Bellona prowadzi ich flotę. Nic nie mogę na to poradzić. Ale nie chcę patrzeć na twoją śmierć. Dlatego Ikar zabierze cię na wyspę, gdzie ukryłem dla ciebie prom. Wykorzystaj go do ucieczki.

– Czy Pretorianie skrzywdzą twoją rodzinę, jeśli ucieknę?

– Mogą próbować – warczy Lorn. – To konsekwencje twojej i mojej decyzji.

Odwraca się plecami do morza.

– Chcę umrzeć w spokoju. Dlatego proszę, Darrow, odejdz i nigdy nie wracaj.

Wskazuje na Ikara i widzę na grzbiecie bestii małe siodło – jedna z nowych zabawek, o których mi opowiadał. Jednak wcale nie muszę uciekać. Kręcę głową nad tym, co zaraz się wydarzy.

– Przykro mi, przyjacielu, ale nie mogę na to pozwolić.

– Pozwolić? – Lorn odwraca się ze zdziwieniem.

– Przyłączysz się do nas na tej wojnie. – Moje ostrze prostuje się. – Czy ci się to podoba, czy nie.

Przez komunikator przekazuję Wyjcom, żeby przygotowali się i wymierzili Tytanów w okrążające ich jednostki.

Lornowi krew odpływa z twarzy. Mężczyzna patrzy na bestię wyszytą na plakietce przy mojej bluzie.

– A zatem jednak lew.

## *Rozdział dwudziesty dziewiąty*

### *Gniew starego człowieka*

Przygotowałem pułapkę, zanim jeszcze odłączyłem się od floty. Wszystkie sekrety dotarły szybko do ucha Pliniusza, który o niczym bardziej nie marzył niż o mojej czasowej dymisji, zwłaszcza po tym, jak sprowokowałem go na spotkaniu z ArcyGubernatorem. Dlatego tak się postarał. Knuł i spiskował, a przede wszystkim znalazł sobie sojusznika przeciwko dużemu złemu Darrowowi au Andromedusowi w osobie samej Władczyni, o czym zamierzałem

radośnie poinformować Augustusa, gdy tylko nadarzy się okazja.

Okręty Władczyni ukryły się wśród ruin w opuszczonej przestrzeni, która ongiś służyła jako baza do operacji terraformowania. Kellan au Bellona był sprytny, ale przewidywalny.

Moje zaplecze – eskadra okrętów Telemanusa, którą ukryłem za jednym z niewielkich

naturalnych satelitów, zaskoczy flotę Bellony za minutę, gdy wyslizgnie się zza księżyca, wykorzystując jego grawitację do zyskania większej prędkości. Mając Roque'a jako

dowódcę, zdobędę jeszcze dziesięć jednostek Bellony i zanim dzień dobiegnie końca, dołączę je do swojej osobistej armady.

– Wiedziałeś – stwierdza Lorn oskarżycielskim tonem, gdy zaciska guzowate palce na

kołnierzu mojego uniformu. – Wiedziałeś.

I wie, co to znaczy dla niego. To nie będzie po prostu moje zwycięstwo, lecz także jego porażka. Tak czy inaczej, będzie musiał stanąć po którejś stronie. A ja ułatwiłem mu wybór.

– „Jeżeli jesteś lisem, udawaj zająca”. Czy nie tego mnie uczyłeś? A teraz będzie to

wyglądać tak, jakbyś *wiedział* od początku, że zastawię pułapkę na flotę Władczyńni. I że ostrzegłeś mnie przed jej pułapką. – Dotykam jego ramienia, gdy mnie puszcza. – Przykro mi, przyjacielu. Naprawdę. Ale jesteś częścią tej wojny.

Lorn zaciska zęby, ale milczy.

– Władczyńni wyśle ponownie Pretorianów na Europę, gdy tylko odleczę – wyjaśniam. –

Tyle że tym razem przyjdą po ciebie i twoich bliskich. Czarno-purpurowe okręty zmieniają twoje wyspy i miasta na archipelagach, kontynencie i w górach w puste skorupy ze szkła, pochłonięte przez morze. Ocean zaleje strzaskane wieże, a z twojej siedziby zostaną tylko głębokie krypty. Chyba że zwyciężymy.

Lorn spogląda mi w oczy, szukając czegoś, co pozwoli mu zyskać na czasie, ale zamiast tego znajduje tylko to, co sprawiło, że wziął mnie pod swoje skrzydła – siebie. Większość ludzi oddałaby wszystko, aby to zobaczyć, ale tu i teraz Lorn wolałby tego nigdy nie widzieć.

– Naraziłem swoją rodzinę, gdy chciałem ci pomóc w ucieczce. Przyjąłem cię i uczyłem. A ty zdradzasz mnie jak inni. Jak Aja.

– Chcesz współczucia? Wpuściłeś mnie tutaj, Lornie. Skazałbyś moich przyjaciół tam w

górze na tortury i śmierć, nawet gdybyś zapewnił mi drogę ucieczki. Ale moi przyjaciele nie będą więźniami.

Wskazuję w niebo na jasne smugi, gdy moja odsiecz nadlatuje nad Europę.

– Możesz mnie nienawidzić, ale walcz po mojej stronie – mówię Arcosowi. – Tylko tak

ocalisz swoich bliskich.

Kładę dłoń na ramieniu mojego dawnego nauczyciela. Lorn wyciąga ostrze.

– Powinienem cię zabić.

– *Mogę wpaść i zastrzelić staruszka?* – pyta Sevro przez komunikator.

– Poczekaj – nakazuję mu.

– Zapomniałeś jednak. – Lorn wyjmuje swój unipad z kieszeni. – Moja flota mogłaby

zniszczyć twoją, chłopcze.

– Ale najpierw moja przejmie flotę Władczyni.

– Władczyni wie, po czyjej stronie stoi ród Arcos. Będzie wiedziała, że mnie zwiodłeś, a mój ród nie miał z tym nic wspólnego.

– Zatem uczyn tak. – Wzruszam ramionami. – Wypuść swoje okręty, jeżeli uważasz, że moja sprawa jest zła. Pokonaj mnie, jeśli uważasz, że jestem potworem.

Podchodzę do niego bliżej.

– Dobrze znasz serce tej bestii. Wybierz mnie. Albo wybierz tamtą ciemność. – Skinieniem głowy wskazuję podnóże wzniesienia porośnięte leśnym ogrodem, skąd przyszliśmy.

Dwunastu Obsydianowych Pretorianów przechodzi właśnie przez szklaną bramę, którą wcześniej przekroczyłem z Lornem. Postawni, wielcy mężczyźni i kobiety w czarno-purpurowych zbrojach i hełmach przypominających czaszki. Tylko jeden Skalany – szczuplejszy niż pozostali, jak śnieżna żmija stojąca na ogonie. Jego pancerz jest biały, znaczony smugami barw podobnych do krwi.

Znajdują się od nas o mniej niż pięćdziesiąt metrów. Wraz z nimi idzie niższa, ale o wiele wspanialej się prezentująca Pani Przemian w swojej złotej chwale. Jej ostrze lśni kolorami mgławicy, a pancerz faluje niczym ocean bijący w białe mury wyspy Lorna. Aja spogląda w nocne niebo. Dostrzega zamykającą się pułapkę. Chowa swój hełm w kryzę pancerza.

– A zatem zdrajców było dwóch – woła. – Ród Arcos również dopuścił się zdrady, Lornie!

Dołączyłeś do lwów?

– Ród Arcos trzyma się osobno – krzyczy w odpowiedzi Lorn.

– Osobno? – Zabójczyni Quinn marszczy brwi i przechyla głowę, dzięki czemu mogę dostrzec pojedynkowe blizny po prawej stronie szyi. Jej kocie oczy przeczesują las w poszukiwaniu zasadzki. – Nie ma takiej opcji.

– Zostałem oszukany tak samo jak ty, Ajo! – zapewnia Lorn. – Darrow wiedział, że na niego czekasz. Nie wiem skąd. Ale nie jestem twoim wrogiem, pragnę tylko, aby pozostawiono mnie w spokoju.

– Nigdy nie miałeś takiego wyboru! – odkrzykuje Aja. – Wiesz to lepiej niż wszyscy inni.

Jesteś z nami, Lornie, albo przeciw nam!

– Ajo, nie. Nie mam z tym nic wspólnego! Nic!

– „Silni zawsze są zamieszani” – szepczę.

– Nie pozwolę się zmusić. – Lorn mierzy mnie złowrogim spojrzeniem. – Nie mam sporu z żadnym z was dwojga. Jestem teraz człowiekiem pokoju.

– To dlaczego masz obnażone ostrze? – uśmiecha się Aja. – Wiesz, co masz robić. Zejdź i mów, nauczycielu. Nie powinniśmy do siebie krzyżeć! Czy nie to mi powtarzałeś, gdy

podnosiłam w gniewie głos?

Zerka na gryfa, który prostuje się nad nami i warczy. Jest większy niż cztery konie.

Ciekawe, co jego wielkie szpony mogą zrobić z pancerzem Ai.

– Straciła swoje okręty – szepczę do Lorna. – Co nakazała jej zrobić Octavia?

– Zabić nas. Na przekór.

Jeszcze bardziej ściszam głos.

– Zatem nie masz wyboru.

– Na to wygląda.

Aja patrzy, jak przyklekam i biorę garść ziemi. Studiowała mnie, więc wie, co to oznacza. I na pewno się zastanawia, jaki mam plan. Dlaczego przyszedłem sam. Jeżeli naprawdę to ja zastawiłem sidła w kosmosie, dlaczego nie przygotowałem pułapki na powierzchni? Już mam do niej krzyknąć, gdy kolejna osoba przekracza bramę i dołącza do Ai. Osoba wysokiej rangi.

Skóra ciemniejsza od mojej. Uśmieszek na znudzonej twarzy o rysach patrycjusza. Tactus. W

pretoriańskim pancerzu. Podchodzi bliżej, cień w purpurze i czerni, zerka w niebo z aprobatą, po czym posyła mi krzywy uśmiech.

– Skoro mowa o zdrajcach – wołam. – Cześć, Tactusie! Śliczna zbroja.

– Kosiarczy, mój szlachetny przyjacielu! – ryczy Tactus i unosi skrzyżowane pięści. – Gdzie Sevro?

Po czym pochyła się i mówi coś do Ai. Pani Przemian prostuje się i rozgląda po drzewach.

Jej ludzie zacieśniają szyk w gotowości do obrony. Tactus ostrzegł ich przed moimi

sztuczkami. Wiedzą, że coś się szykuje. Włączają egidy, które migoczą im na ramionach.

Lorn zamyka oczy i unosi rękę, aby sprawdzić, z której strony wieje sztormowy wiatr.

– Zostaw Aję mnie. Będziesz miał większe szanse ze Skalanym.

– Nie. Oni wszyscy są moi. *Sevro, ruszaj.*

Wyjce wynurzają się z morza za zamkiem. Woda kapie z nich, gdy lecą bezszelestnie nad stumetrowymi murami, zbroje lśnią jak czarne pancerze żuków. Na każdym napierśniku pręży się wymalowany złoty lew. Złoto migocze przy uderzeniu błyskawicy. Wyjce w milczeniu

lądują wokół nas.

– Oto moi synowie burzy – przedstawiam ich Lornowi. Dwudziestu nowych rekrutów

dołączyło z rodzin Wyjców oraz z szeregów Telemanusów. Sevro sam ich wybrał. Słyszałem, że było cholernie zabawnie. Pojawiły się węże, alkohol i grzybki. Nic więcej mi nie chcieli powiedzieć.

– Goblunku! Dlaczego zawsze się chowasz? – Głos Tactusa brzmi wesoło, jakby to był żart, ale dawny przyjaciel i obecny zdrajca z niepokojem znówu zerka w niebo. – Przynajmniej lepsze to niż brzuch konia, co?

Sevro wyjmuje nóż do skórowania o zakrzywionym ostrzu, ten sam, którego używał do

zdejmowania skalpów parę lat temu. Klepie ostrzem o swoje podbrzusze, po czym wskazuje na Tactusa. Wreszcie obraca wzrok na Aję.

– Zabiłaś Wyjca, Ajo – mówi. – Złe posunięcie.

Jak się spodziewałem, pojawienie się Wyjców upewnia Aję i Tactusa, że przygotowałem

pułapkę. To ich zdaniem sensowne – miałem ukrytych żołnierzy. A teraz już nie mam. Zatem będzie walka na śmierć i życie. Honor. Duma. Siła przeciw sile. Obsydianowi Pretorianie zaczynają nucić swoją koszmarną, gardłową pieśń. Wszyscy ci wojownicy pragną chwalebnej śmierci. Aby przyłączyć się do krewnych w salach radości Valhalli. Pragną umrzeć z bronią w ręku. Występują na komendę Ai. Najniebezpieczniejsi ludzie w Układzie Słonecznym, a wśród nich Skalani.

Ale ja nauczyłem się czegoś od Evey.

Upewniwszy się, że Aja stoi na miejscu, detonuję miny naziemne, czyli igły, które

upuściłem, gdy za Lornem wchodziłem w las. Tylko Tactus reaguje szybko. Chwyta Aję od tyłu i odciąga, mocno – tak mocno, że w niskiej grawitacji oboje przetaczają się do bramy, gdy pierwsza eksplozja wstrząsa słonym powietrzem.

Eksplozje są warstwowe. Pierwsza wywołuje wstrząs, który niszczy tarcze pulsacyjne,

wyrzuca wysoko Pretorianów. Następne tworzą dół grawitacyjny, który wciąga ich z

powrotem do miejsca wybuchu jak odkurzacz muchy. A potem nadchodzi trzecia – czysto kinetyczna – która roztrzaskuje pancerze, kości i mięśnie, a szczątki wojowników rozrzuca jak puch dmuchawców w niskiej grawitacji Europy. Kończyny szybują majestatycznie w dół.

Krople krwi opadają na ziemię. Eksplozje zniszczyły również pole ochronne nad lasem – deszcz gasi ogień i rozcieńcza krew, która sączy się do ponad dwudziestu lejów po bombach.

Tylko trzech Pretorianów przeżyło. Nie są w najlepszym stanie.

– *Nie pozwól jej uciec* – słyszę głos Roque'a. Ogląda moje działania z pokładu okrętu.

A moje Wyjce jeszcze się nawet nie ruszyły.

Wściekły na mnie Lorn mówi coś o honorze.

– Co? – krzywię się. – Myślisz, że walczę uczciwie?

– Darrow... – syczy Sevro, bo zwlekam. – Darrow...

– Czekaaj.

– *Ona ucieka!* – Głos Roque'a przeraża mnie. Ocieka jadem. Nie wiedziałem, że Roque tyle ma go w sobie. – *Darrow!*

Warknięciem każę mu się skupić na jego zadaniu w tej bitwie.

– Darrow... – błaga Sevro. – Dość długo.

Lorn obserwuje, może nawet zaczyna rozumieć.

Pstrykam palcami.

– Polujcie.

Wyjce rzucają się w pogoń jak uwolnione wilki, aby skończyć, co zaczęły bomby.

Likwidują pozostałych Pretorianów. Sevro wyje i wykrzykuje imię Tactusa, gdy przedziera się z resztą do zamku i szuka Ai.

– *Darrow, w co ty pogrywasz?* – pyta Roque przez komunikator. Pozwalam, aby jego twarz wyświetliła się w rogu wewnętrznego ekranu w moim hełmie. Drżą mu mięśnie szczęki. –

*Jeżeli morderczyni Quinn uciekną...*

– Załatw lepiej tamtego – mówię towarzyszowi, gdy widzę raport, z którego wynika, że

nasze jednostki ogniowe mają duże uszkodzenia. Uwaga Roque'a jest rozproszona. – Ludzie tam giną. Skup się na swoim zadaniu.

Na wyświetlaczu pojawia się obraz Oset.

– *Wybrzeże nasze.*

– Dobrze. A Tactus?

– *Ani śladu.*

– Przyjąłem. – Wyłączam się.

– Aja uciekła w morze. Ale ani śladu Tactusa – melduje mi Sevro parę minut później, gdy Wyjce rozbiegają się po zamku i zaczynają zaglądać do kolejnych pomieszczeń. – Ukrywa się.

No, chyba że się teleportował.

Spluwa na ten komentarz rodem z fantastyki naukowej.

– Zapytaj drania, gdzie są.

Zaczynają mnie ogarniać mroczne przeczucia. Odwracam się do Lorna.

– Co Lune rozkazała im zrobić, jeżeli nie uda się zabić ciebie ani mnie? Jeżeli uważa, że ktoś jest zbędny, co rozkaże z nim zrobić?

Lorn nieruchomieje w deszczu. A potem twarz mu blednie.

– Dzieci...

Przepycha się obok mnie i pędzi po zrytej bombami ziemi do szklanej bramy.

– Zamierzają zabić moje wnuki! – woła przez ramię.

– Gdzie są dzieci? – pytam Sevra.

– Jakie dzieci? Żadnych nie widzieliśmy.

Przeklinając, biegnę za Arcosem.

– Ukryłem je – wyjaśnia mi, gdy pędzi korytarzami zamku. Jest szybki, jak na starca, ale grawitacja nas spowalnia, dopóki nie zaczynamy używać także rąk, żeby przeciągać się po ścianach i sufitach, a na długich przejściach korzystać z butów grawitacyjnych. Mijamy zakręt za zakrętem. A kiedy Lorn dotyka głowy kamiennego gryfa i stalowa ściana przesuwa się, ukazując ukryty korytarz, wyczuwam krew. Dwa ciała leżą pod ścianami. Szary i Obsydian.

Przepycham się obok Arcosa i lecę naprzód, dopóki nie stoję przed parą drzwi. Otwieram jedne.



Tylko schowek. Przy kolejnych ostrze wsuwa mi się w dłoń.

– Tactusie – cedzę powoli.

Stoi plecami do mnie. Trzy ciała Obsydianów leżą wokół niego, ich krew tworzy kałużę pod nogami Tactusa. Z ostrzem w dłoni Złoty wkracza do pokoju pełnego dzieci i kobiet.

Krew kapie z klingi, którą zadał cios łaski.

Kiedy przyleciałem, Arcos ukrył tutaj dzieci przede mną – niektóre Złote, ale też Srebrne, Różowe i Brązowe. Tactus mógłby połowę z nich zabić leniwym machnięciem swojej broni, zanim zdążyłbym go dopaść.

– Tactusie, przypomnij sobie *własnych* braci – mówię mu, patrząc na dzieci.

– Moi bracia to gnoje – śmieje się ochryple, a jego głos brzmi obco. – Powiedzieli, że powinienem wyjść z twojego cienia. Matka nazywa mnie „wszechmocnym sługą”. Wiedziałaś o tym?

Dzieci popłakują w kącie. Jedno kryje głowę w podołku matki. Kobiety nie są uzbrojone.

To nie wojowniczkę jak Victra i Mustang. Brązowa niańka zasłania oczy Złotemu dziecku.

Słyszę za plecami nadchodzącego Arcosa.

– Rozkazy Octavii au Lune są złe – mówię Tactusowi.

– Zapytała, czy umiałbym zająć twoje miejsce, *Kosiarzu* – stwierdza Tactus cicho. –

Powiedziała, że nie sądzi, abym zdołał cię zastąpić. Ponoć tak długo byłem w twoim cieniu, że chyba tylko stałbym się słabym echem ciebie. Zapewniłem ją, że mogę zrobić wszystko to, co ty.

– Tactusie, ona jest zła.

– Doprawdy? – Spluwa krwią na podłogę, ale nadal nie odwraca się w moją stronę. – To

samo powiedziała o tobie. Wszyscy zastanawiają się, za kogo ty się uważasz i co właściwie robisz. Dlaczego rzucasz wyzwanie ludziom. Pytali, jakim prawem.

– Wszyscy mamy prawo rzucać wyzwanie, komu chcemy. O to właśnie chodzi.

– O to chodzi. O to właśnie chodzi? – prycha. – Nikt mi nie powiedział. Przyjąłeś za

pewnik, że zawsze będę z tobą. Nic mi nie mówiłeś.

Zupełnie jak teraz w przypadku Roque’a.

– Zawsze szeptałeś z innymi. Odprawiałeś mnie jak głupca. Jesteś taki sam jak ona...

– Twoja matka?

Nie odpowiada. Arcos staje obok mnie. Unoszę rękę, nakazując mu, aby się zatrzymał.

– Zabiłbyś te dzieci, gdyby Augustus ci kazał? – pyta Tactus, odwracając się nieco.

– Nie – zapewniam. – Wolałbym umrzeć.

– Nie wydaje mi się. Miała rację, jestem wszechmocnym sługą.

Wyciągam do niego otwarte ręce.

– Nie wiem, co mam teraz zrobić, Tactusie.

– Pierwszy raz. – Śmieje się z goryczą, głos mu się lekko zacina.

– Wcale nie. Nie wiedziałem, co robić, kiedy cię chłostałem – przyznaję. – W Instytucie nie chciałem cię stracić z powodu twoich talentów. Ale nie mogłem cię *nie* ukarać.

– Talenty. Talenty. *Talenty*. Zatem tym właśnie się różnimy. – Głos Tactususa staje się jeszcze bardziej zdławiony. – Gdyby to była moja armia, zabiłbym cię, arogancki dupku.

Odwraca się jeszcze bardziej i mogę dostrzec ślady, jakie bomba zostawiła na jego twarzy.

– Wiesz, co się stanie, jeżeli zabijesz któreś z nich?

Kiwa głową mnie, potem Rycerzowi Gniewu, jakby chciał powiedzieć, że lepiej któryś z nas niż on.

– Nie jest mi przykro, że zabrałem Lysandra, jak wiesz.

– Nie sądzę, aby kiedykolwiek było ci przykro.

– Ani trochę – chichocze, po czym przesuwa nogę w kałużę krwi wokół niego. – Ale chyba nie powinienem był go zabierać. W Instytucie sprawdzałem cię... Chciałem wiedzieć, co zrobisz. Upewnić się, że warto za tobą podążać.

– I warto?

– Znasz odpowiedź.

– A teraz?

Kiwa głową.

– Zawsze.

Mówi to tak żałośnie, że ściska mnie w gardle. Tactus to zdrajca, kłamca i oszust. A jednak wciąż widzę w nim przyjaciela. Chciałbym go naprawić i uzdrowić. Co też mi się roi w

głowie? Muszę go powalić. Jednak uczyniłem tak z Titusem. Ten cykl nas niszczy. Śmierć pociąga za sobą śmierć, ta kolejną śmierć i tak bez końca.

– A jeżeli pozwolę ci żyć? – pytam nieoczekiwanie. Tactus zerka na mnie bezgranicznie zaskoczony. Oczywiście nie rozumie przebaczenia. – A jeśli pozwolę ci wrócić?

– Co?

– A jeżeli ci wybaczę?

– Kłamiesz. – Odwraca się jeszcze bardziej i widzę dokładnie, co z jego twarzą zrobiła bomba. Nos ma skrzywiony, złamany. Reszta wygląda jak wiśnia obdarta ze skóry. Mój

przyjaciel...

– Nie kłamię. – Nie pokładałem wcześniej w Tactusie wiary i straciłem go. Ale teraz pora to zmienić. Muszę sam wykonać zwrot, jakiego oczekiwałem od niego. Robię krok naprzód. –

Wiem, że jest w tobie dobro. Widziałem twoją twarz, kiedy zabijano dzieci na gali. Nie jesteś potworem. Wróc do mnie. Znowu staniesz się jednym z oficerów, Tactusie. Dam ci

dowództwo nad legionem, kiedy odbijemy Marsa. Będziesz nosił jeden z moich sztandarów, ale nie możesz chodzić w tej paskudnej zbroi.

– Jest niewygodna. – Wciąga ze świstem powietrze i uśmiecha się lekko. – Ale Sevro,

Roque, Victra...

– Tęsknię za tobą – kłamię. – Opuść ostrze i wróc do mojej armii. Obiecuję, że będziesz bezpieczny.

Broń opada. Jedno z dzieci uśmiecha się z nadzieją do młodszego rodzeństwa.

– Zostaw dzieci w spokoju, a wszystko będzie wybaczone.

Naprawdę tak myślę. W głębi serca szczerze jestem tego pewien.

– Wszyscy popełniamy błędy – przyznaje Tactus.

– Wszyscy popełniamy błędy. Po prostu wróc. Nie skrzywdzę cię. – Opuszczam własne

ostrze. – Ani Arcos.

Patrzę na Lorna, dopóki nie skinie głową na znak zgody.

– Chcę wrócić do domu – szepcze Tactus z bólem. – Chcę wrócić do domu.

– Zatem wróć do domu.

Ostrze Tactusa z brzękiem uderza w podłogę, a on opada przede mną na kolano. Charczy z bólu. W pomieszczeniu daje się wyczuć opadające napięcie. Dzieci zaczynają znowu płakać –

z ulgi, po straszliwym przejściu od zagrożenia śmiercią do życia. Ich opiekunki przytulają podopiecznych, łzy żłobią bruzdy w ich twarzach. Podchodzę do Tactusa i podnoszę go z kolan. Obejmuję mnie mocno i szlocha. Cały się trzęsie, zakrwawione policzki zostawiają smugi na naramienniku mojego pancerza.

– Przepraszam – powtarza raz po raz Tactus. Płacze mi w ramię i mocno ściska. Ma taką zniszczoną twarz. Obejmuję go. Ogarnia mnie znużenie. Jego smutek jest brzemieniem, pod którym sam omal nie zaczynam ronić łez. Jednak uczucie, że mam znowu Tactusa, że znowu stoi po mojej stronie, pozwala mi trzymać się, sprawia, że nad sobą panuję. Świadomość, że ktoś nie może żyć beze mnie, i wiedza, że chociaż mnie zdradził, pragnie tylko przebaczenia, jest upokarzająca. Dlatego obejmuję Tactusa równie mocno jak on mnie i próbuję się nie rozplakać. Nawet okrutni cierpią. I nawet okrutni mogą się zmienić. Mam nadzieję, że to zmieni Tactusa. Gdyby się tego nauczył, wiele mógłby dokonać.

Pod wieloma względami stanowi ucieleśnienie swojej rasy. Zatem jeżeli Tactus może się zmienić, wszyscy Złoci potrafią. Trzeba ich złamać, ale potem dać szansę. Chyba tego właśnie chciała Eo.

Kiedy wreszcie Tactus się uspokaja i cofa z moich objęć, staje obok, lojalny jak szczeniak.

Zerka na mnie w oczekiwaniu oznak aprobaty. Jego dłonie drżą z bólu od ran, a jednak patrzy w milczeniu wraz ze mną i Arcosem, jak dzieci, małe i duże, wychodzą do tunelu, aby wraz z opiekunkami opuścić ukryty bunkier. Kamyczek podbiega, aby gorliwie zakomunikować, że Roque przejął panowanie nad bitwą w kosmosie. Na widok ran Tactusa dziewczyna blednie.

Mówię, żeby znalazła Żółtego.

Wkrótce Lorn, Tactus i ja zostajemy sami w lochu.

Lorn mierzy nas wzrokiem.

– Teraz, gdy dzieci wyszły, pora na konsekwencje. – Jego dłonie poruszają się szybciej niż skrzydła kolibra. Pojawia się sztylet jonowy, który wbija się cztery razy w pachę Tactusa – w miejsce, gdzie pancerz jest najszlubszy. Zrywam się, aby powstrzymać Lorna, ale już skończył.

Wykręca dłoń, jakby wyciskał ręcznik, i przecina arterię Tactusa. Starzec zabijający

młodzieńca. Zniszczoną twarz wykrzywia ból, Tactus gwałtownie nabiera tchu po raz ostatni, jakby wiedział, że sprawiedliwość jednak go dopadła.

Lorn wychodzi. A ja trzymam przyjaciela w ramionach i patrzę, jak umiera. Jego oczy

gasną wpatrzone w dal, gdzie może znaleźć ten spokój, którego zawsze pragnął dla niego Roque.

*Rozdział trzydziesty*

*Nadciągająca burza*

– Jak daleko do punktu spotkania? – pytam Orion na mostku. Poza naszymi pomocnikami

jesteśmy sami przed panoramicznymi oknami „Paxa”, skąd oglądamy, jak nasz okręt pochłania przestrzeń. Najnowsze nabytki naszej rozwijającej się armady są pomalowane na biało i noszą symbol Lorna, purpurowego gryfa, który wygląda na rozwścieczonego. Obok nich mkną

czarno-niebiesko-srebrne jednostki bojowe odebrane Kellanowi au Bellonie nad Europą.

Pomarańczowi i Czerwoni pełzają po ich kadłubach i naprawiają dziury zrobione przez promy abordażowe. Przygotowują je na oblężenie Marsa.

– Trzy dni do stacji Hildas. Inne jednostki nas nie wyprzedzą, *domine*.

Kavax i Daxo podchodzą z tyłu. Odwracam się do nich i wskazuję za naprawione okna na dziesięć okrętów Kellana au Bellony.

– Dziękuję wam za prezenty – mówię.

– Twój plan, twoje łupy – stwierdza Kavax.

– Naturalnie minus nasz procent od nagrody – dodaje Daxo gładko, jak zawsze, i unosi złociste brwi. – Pięćdziesiąt procent.

Zerkam na niego z rozbawieniem.

– No, trzydzieści procent, bo Pax cię lubił.

– Dziesięć procent! – wtrąca się Kavax.

Przechylam głowę.

– Jesteś beznadziejnym negocjatorem, Pretorze.

Kavax wzrusza ramionami i wskazuje radośnie drażetki na podłodze. Stawia Sofoklesa i

zachęca go, żeby wyjadł wszystkie.

– Dwadzieścia. – Daxo składa ręce, co według mnie pasuje bardziej do drobniejszego

człowieka, zainteresowanego książkami. – To uczciwe, nie? Straciliśmy stu sześćdziesięciu Szarych i trzynastu Obsydianów należących do rodu.

– A zatem trzydzieści procent, aby zrekompensować straty. Dla przyjaciół.

– Trzy okręty! Co za targowanie się! – oznajmia uroczyście Kavax. – Co za targowanie.

Czasami człowiek musi się porządnie potargować.

Klepie mnie w plecy, aż trzeszczą mi kości.

– Gdybyśmy jeszcze złapali Aję. To dopiero byłby łup do podziału!

– Uciekła w morze, niestety. – Wskazuję na Ragnara, który stoi na skraju mostka. –

Słyszałem, że dobrze się spisał.

Wysoki blady wojownik spogląda na mnie spod runicznych tatuaży. Wydaje się

beznamiętnym przeciwieństwem uczuciowego Kavaxa lub Daxa.

– Dowódca jego oddziału abordażowego został niestety zabity. Podobnie adiutanci. Wiele głów spadło. Natarli na paru przyjaciół Kellana – wyjaśnia ponuro Kavax. Przeszukuje

kieszenie dla swojego niecierpliwego lisa, który wspiał mu się na nogę w prośbie o więcej drażetek. – *Nie mam już więcej, mój mały książę.* – Uśmiecha się do mnie z nadzieją. – Masz trochę drażetek?

– Nie. Przykro mi.

– Ragnar przejął dowództwo. Bardzo dobrze sobie poradził – mówi Daxo.

– Przejął dowództwo? – dziwię się.

Kavax wyjaśnia:

– Walczyli ze szwadronem śmierci Niezrównanych Naznaczonych. Pół tuzina tancerzy ostrza Bellony, naprawdę szlachetnie urodzonych chłopców, pokonało naszych Złotych i większość Obsydianów. A ten tutaj Skalany zebrał ocalałych Szarych brytanów i paru Obsydianowych, po czym udało mu się przejąć okręt.

– Któryś z tych tancerzy ostrza przeżył?

– Nie.

Ragnar znowu spuszcza wzrok, jakby spodziewał się reprimendy.

– Świetna robota, mój szlachetny przyjacielu – mówię mu zamiast tego.

I Kavax, i Daxo mrużą oczy na ten grzecznościowy tytuł. Ale było warto, bo Ragnar uśmiecha zaskoczony. To szeroki, żółtozębny uśmiech.

– Myślicie, że mógłby dokonać więcej? – pytam.

Daxo waha się.

– Co masz na myśli?

– Mógłby dowodzić, gdyby nie było Złotego?

Daxo i Kavax spoglądają po sobie z niepokojem.

– Jaka byłaby z tego korzyść? – dziwi się Daxo.

– Mógłbym go wysłać tam, gdzie nie poszedłby Złoty.

– Nie ma takich miejsc. – Kavax splata ramiona na piersi. Posunąłem się za daleko.

Uśmiecham się, żeby go uspokoić.

– Oczywiście. Tylko teoretyzowałem. Od czasu do czasu myśli wędrują. – Klepię Kavaxa w ramię. Obaj Telemanusowie wyruszają na swój okręt.

– Przekroczyłeś granicę – stwierdza Orion.

– Co proszę?

– Słyszałeś.

Spoglądam uważnie na jej błękitne tatuaże znaczące ciemną skórę, jakby zawarta w nich matematyka skrywała klucz do przejrzenia jej myśli.

– Jesteś spostrzegawcza, jak na Niebieską.

– Bo wiem, jak wygląda świat poza wirtualną rzeczywistością, z którą się synchronizuję?

Wyniosłam to z doków, *domine*. Kiedy jest się na dnie, zauważa się wszystko.

– Z których doków? – pytam.

– Fobosa. Ojciec był dokerem urodzonym poza sekcjami. Umarł, gdy byłam małą.

Dziewczynka musi być czujna, jeżeli chce dorosnąć w miastach doków Ula. Tylko tak można pokonać potwory.

– Nie tylko – stwierdzam.

– Nie? – dziwi się Orion.

– Zawsze możesz sama stać się potworem.

Orion odwraca się od okna, aby popatrzeć na mnie z dołu. Z jej arktycznych, błękitnych oczu wyziera inteligencja.

– I jest jeszcze piękno kosmosu. Miliardy ścieżek do wyboru.

Nie muszę odpowiadać, ponieważ na jej stanowisku odzywa się komunikator.

– *Domine*, zbliża się śmigacz bojowy. To Virginia au Augustus.

## *Rozdział trzydziesty pierwszy*

### *Zamach*

– Ojciec został pojmany – oznajmia mi Mustang, gdy tylko zeskakuje z rampy swojego

dymiącego okrętu. Otacza ją kilku Obsydianowych ochroniarzy w zbrojach noszących ślady niedawnej walki. Tuzin Szarych brytanów wychodzi za nimi z promu, prowadzi ich Sun-hwa z Księżycy. Wszyscy to najemnicy, prości i niebezpieczni. Łowcy Szakala. Sevro przygląda się im czujnie.

Wokół nas setki śmigaczy i kilka szturmowców wylądowało w hangarze – wystarczająco

wielkim, aby pomieścić osadę Lykos i wszystkie jej pojazdy. Pomarańczowi tłoczą się wokół maszyn, dokonując przeglądów przed inwazją na Marsa.

Czekam na Mustang w otoczeniu własnego orszaku – Lorna, Sevra z Wyjcami, Victrą i

Ragnarem. Roque nie odpowiedział na moje wezwania. Chciałbym objąć i uściskać Mustang, ale



dziewczyna jest wściekła. Z ust tryska jej ślina. Ciemne podkowy pod oczami odcinają się od bladych policzków, z twarzy bije wyczerpanie.

– Pliniusz dokonał zamachu. Aresztował mojego brata. Moja ciotka zginęła, a jej dzieci zostały zamordowane wraz z sześcioma Pretorami. Ponad dwudziestu wasali ojca złożyło

nową przysięgę poddaństwa. I straciliśmy władzę nad flotą.

Pytam Mustang, czy jest ranna.

– Ranna? – Krzywi się na to pytanie. – Jakby to miało jakieś znaczenie. Moi ludzie zginęli.

Podeszliśmy ukradkiem pod Akademię, a gdy tylko wypuściliśmy promy na stację kosmiczną i jednostki szkoleniowe, flota Bellony wyleciała zza asteroidy i zniszczyła wszystkie moje okręty. Dziesięć tysięcy ludzi nie żyje. Nie musieli tego robić. Mieli dość broni, żeby zmusić nas do kapitulacji bez jednego wystrzału. To było bezlitosne.

– Wygląda na robotę Karnusa – domyślam się.

Mustang potwierdza skinieniem głowy.

– I Pliniusza. Nie poprowadzili Bellony w ciemno. Ruszyli dokładnie w obszar moich działań.

– Dlaczego Pliniusz po prostu cię nie zabił?

– Ktoś taki jak Pliniusz pragnie prawomocnego uznania – stwierdza Lorn u mojego boku.

Skinieniem głowy wita Mustang. Jeżeli dziewczynę dziwi jego obecność, nie daje tego po sobie poznać. – Taką ma naturę. Przyszedł wcześniej do ciebie, prawda?

Mustang spogląda na mojego mentora.

– Ten Pixie zamknął mnie pod strażą w moim pokoju, a potem skierował moją pojmaną

flotę na Hildas. Podczas podróży przyszedł i pokazał mi nagrania z nieudanego najazdu ojca na Ganimedesa. – Wzdrygnęła się z gniewu. – Po czym powiedział, że chociaż mój ród popadł w ruinę, nie chce widzieć, jak moja linia krwi znika. On i Władczyni doszli do porozumienia.

Jeżeli Pliniusz zapewni jej pokój, Octavia da mu pozycję, uprawnienia i nagrodę, jakiej ten drań sobie zażyczy. I kiedy na holoeckranie płonęły okręty mojego ojca, Pliniusz zatrzepotał

rzęsami i stwierdził, że rozwiedzie się z żoną i pozwoli, abym dostąpiła zaszczytu, jakim są zaślubiny z nim.

Nie odzywam się. Wyjce pomrukuje z niechęcią.

– I co odpowiedziałaś? – pyta Victra.

Mustang ignoruje jej pytanie.

– Powiedział, że dawno już wpadłam mu w oko. – Sięga do kieszeni i wyjmując coś, co rzuca na podłogę. – Więc odebrałam mu to oko.

Sevro i Oset ryczą ze śmiechu. Lorn krzywi się z dezaprobatą. Jakby miał prawo sprzeciwić się okrucieństwu po tym, czego sam się dopuszczał.

– Dobrze cię znowu widzieć, Rycerzu Gniewu – mówi Mustang. – Przykro mi, że zostałeś w to wciągnięty. Ale potrzebujemy cię teraz najbardziej.

– Zaczynam to rozumieć.

– Gdzie twój brat? – pytam Mustang, ale spoglądam na wydłubane oko.

– W niewoli. Powinniśmy porozmawiać, bo chodzi o coś więcej. – Dziewczyna zerka na Pomarańczowych i Szarych w hangarze. – Ale w cztery oczy.

– Oczywiście, przejdźmy do sali obrad...

– W swoim czasie, Darrow. – Na twarzy Lorna maluje się ojcowska niemal troska, gdy patrzy na Mustang. – Pani moja, sporo przeszłaś. Może powinnaś odpocząć, gdy my...

Wyjce i ja cofamy się od Arcosa.

– Odpocząć? – Mustang podnosi głos. – Dlaczego miałabym odpoczywać?

– Mój błąd – wycofuje się Lorn uprzejmie.

– Teodoro – wołam. Występuje od razu. – Kawa, gorące napoje i jedzenie do sali narad.

Dla dziesięciu.

Przypominam sobie jednak o obu Telemachusach.

– A lepiej dla dwudziestu.

Teodora parska śmiechem.

– Tak, *domine*. – Po czym odchodzi do swoich podwładnych, aby wydać polecenia.

Mustang wskazuje głową na swój okręt.

– Ma tutaj tak stać?

– Bosman! – wzywam Pomarańczowego zarządzającego pokładem hangarów. Smar znaczy jego brodę. Podchodzi, wycierając masywne dłonie w swój pomarańczowy kombinezon. – Wyrzuć tę jednostkę przez służbę powietrzną.

– Można ją naprawić – stwierdza Pomarańczowy.

Zerkam na Mustang.

– Uciekłaś czy pozwolono ci uciec?

– Nie wiem. To brat mnie ocalił. Złapano jego śmigacz, gdy pomagał mojemu uciec.

Szakał wciąż potrafi mnie zaskoczyć.

– A jeżeli jest w nim bomba? – niepokoi się Sevro. Spogląda na śmigacz podejrzliwie.

– To nie będzie bomba – zapewniam.

– Pliniusz chce mnie, a Darrowa pragnie oddać Władczyni. Ale co więcej, chce też twojej floty, Darrow. Kiedy nie pojawisz się pod Hildas, domyśli się, że zostałeś ostrzeżony albo czekasz na kodowane potwierdzenie, którego Pliniusz nie zna.

– I domyślił się, że właśnie ty na pewno będziesz wiedzieć, gdzie mnie szukać.

– Dlatego musiał mnie śledzić, żeby dowiedzieć się, gdzie jest twoja flota – kończy

Mustang.

Lorn zerka to na mnie, to na nią.

– Kiedy zdążyliście to przedyskutować?

– Właśnie teraz. – Mustang patrzy na niego, zmieszana pytaniem.

Sevro klepie Arcosa po plecach.

– Nie martw się, wcale nie jesteś stary, tylko oni są dziwni.

Lorn spogląda na brudną rękę Sevra. Rękawica umazana jest tłuczonymi ziemniakami i brązowym, mięsnym sosem. Szeroki uśmiech znika z twarzy Wyjca, chłopak cofa dłoń zawstydzony.

Odwracam się do Pomarańczowego.

– Wyrzuć jednostkę za służbę. Jak najszybciej. – Mechanik wydaje się wahać. Kiwa się na piętach. – Chyba że masz lepszy pomysł?

Drapie się w głowę, zerka z niepokojem na przyglądających mu się Żłoty. Pracownicy hangaru obserwują to ukradkiem.

– Mów! – warczy Sevro.

– Jasne, cóż... Mógłbym wyrzucić ją za służbę, *domine*. Albo, znaczy, mógłbym znaleźć skaner i materiał radioaktywny, jeżeli o to chodzi. Mamy tu sporo przydatnych ludzi i urządzeń. Możemy znaleźć pluskwę i przyczepić ją do sondy dalekiego zasięgu, żaden

problem. Byłoby nieźle, gdyby psy Pliniusza pogoniły w złym kierunku, nie?

– Jak masz na imię i z którego świata pochodzisz? – pytam.

– *Domine*... Uch. – Mruga powoli. – Na imię mi Cyther. Z Księżyca. Trzy dziewczyny.

Żona pracuje w Ośrodku Automotywacji, więc mamy...

Przerywam mu szybko.

– Zrób to dobrze, a podprowadzimy ich na Marsa i skierujemy na Cytadelę, Cytherze. Masz dziesięć minut.

– Tak jest, sir! – Z podnieceniem odwraca się do swoich ludzi.

Prowadzę Mustang i moich towarzyszy do wind.

– Pliniusz powiedział, że cię zabił – szepcze dziewczyna po drodze.

– Aja i flota Bellony czekały na nas, jak się spodziewaliśmy. – Uśmiecham się do niej, a potem wyciągam mój unipad. – Orion, przejmij dowodzenie nad flotą. Chcę być daleko od tego sektora, zanim pojawi się towarzystwo. Sevro, wezwij Telemanusów. Chcę ich widzieć w... Sevro?

Rozglądam się za nim. Krąży wokół oka Pliniusza jakieś dwadzieścia metrów z tyłu. Kiedy się odwracamy i patrzymy, Sevro zatrzymuje się skrępowany.

– Mogę...? – Wskazuje na oko.

– Co? – pyta Mustang.

– Mogę je wziąć?

Dziewczyna krzywi się lekko.

– Jest twoje.

Sevro zabiera oko, wsuwa do kieszeni i uśmiecha się szeroko. A potem dołącza do nas pośpiesznie.

– Mam nadzieję zebrać komplet.

## *Rozdział trzydziesty drugi*

### *Umrzeć młodo*

Mustang nalegała. Chciała spojrzeć na Tactusa przed spotkaniem. Teodora nas prowadzi.

Przy ciele zastajemy Roque'a, siedzi w gabinecie medycznym okrętu. Sądząc po jego postawie, po złożonych rękach i zgarbionych plecach, może się wydawać, że Tactus ma jeszcze szansę przeżyć. Może w innym świecie, gdzie tacy ludzie jak Lorn nie istnieją.

– Siedzi tak od chwili odlotu z Europy – mówi cicho Teodora.

– Nie powiedziałaś mi, że tu jest – wyrzucam jej.

– Prosił, żebym tego nie robiła.

– Słyszysz *mnie*, Teodoro.

– A on jest twoim przyjacielem, *domine*.

Mustang szturcha mnie lekko.

– Przestań zachowywać się jak drań, ona jest równie skonana jak Roque, nie widzisz?

Spoglądam na Teodorę. Mustang ma rację.

– Powinnaś się przespać, Teodoro.

– Doskonały pomysł, co tu kryć, *domine*. Zawsze miło cię widzieć, *domina*. – Teodora kiwa głową Mustang, a mnie rzuca niechętnie spojrzenie. – Pan był raczej ponury pod twoją nieobecność.

Mustang zerka na odchodzącą Teodorę.

– Poszczyło ci się z nią.

A potem kładzie rękę na ramieniu Roque'a. Młodzieniec niechętnie otwiera oczy.

– Virginia.

Zbliżyli się do siebie przez rok, który spędziliśmy razem w Cytadeli. Żadne nawet nie próbowało zapraszać mnie na wspólne wyjście do opery. Nie chodziło o to, że nie lubię muzyki, ale Lorn po prostu wymagał poświęcenia całego czasu na szkolenie.

Mustang ujmuję Roque'a za rękę.

– Jak się czujesz?

– Lepiej niż Tactus. – Zerka na mnie. Założę się, że powiedziała by więcej, gdyby mnie tutaj nie było. Dostrzega, że Mustang jest w niezbyt dobrym stanie, i marszczy brwi. – Co poszło nie tak?

Gdy mu wyjaśniamy, przeczesuje dłonią falujące włosy.

– Cóż, to niedobrze. Nigdy bym nie przypuszczał, że Pliniusz wykaże się tak otwarcie odwagą.

– Spotykamy się o dziesiątej, żeby przedyskutować plany – oznajmiam.

Roque mnie ignoruje.

– Przykro mi z powodu twojego ojca i brata, Virginio.

– Mam nadzieję, że jeszcze żyją. – Mustang spogląda na Tactusa i łagodnieje. – I przykro mi, że Tactus nie żyje.

– Odszedł, jak żył – wzdycha Roque. – Szkoda, że żył tak krótko.

– Myślisz, że mógłby się zmienić? – pyta Mustang cicho.

– Zawsze był naszym przyjacielem – zapewnia Roque. – A naszym obowiązkiem było pomóc mu w tej próbie. Nawet jeśli przypominałoby to obejmowanie płomienia.

Przez chwilę patrzy na mnie.

– Wiesz, że nie życzyłem mu śmierci – stwierdzam. – Chciałem, aby do nas wrócił.

– Tak samo jak chciałeś złapać Aję? – prychna Roque.

– Powiedziałem ci, dlaczego to zrobiłem.

– Naturalnie. Zabiła naszą przyjaciółkę. Zabiła Quinn, jednak my pozwalamy jej odejść w imię wyższych celów. Wszystko ma swoją cenę, Darrow. Może wreszcie zmęczysz się zmuszaniem, aby twoi przyjaciele ją płacili.

– To niesprawiedliwe – wtrąca się Mustang. – Wiesz, że to niesprawiedliwe.

– Wiem tylko, że mamy coraz mniej przyjaciół – odgryza się Roque. – Nie wszyscy jesteśmy tak twardzi jak *Kosiarz*. I nie wszyscy z nas pragną być wojownikami.

Oczywiście Roque uważa, że takie życie to mój wybór. Jego dzieciństwo sprowadzało się do czytania i zabaw, przenoszenia się do rodowych posiadłości w Nowych Tebach lub na

wyżynach Marsa. Jego rodzice nie wierzyli w wymianę wiedzy, więc zatrudnili Fioletowych i Białych, aby uczyli Roque'a pedagogicznie – na spacerach i podczas rozmów na spokojnych pastwiskach i przy czystych jeziorach.

– Tactus nie sprzedał skrzypiec – oznajmia Roque po dłuższym milczeniu.

– Tych, które podarował mu Darrow?

– Tak. Stradivarius. Sprzedał je, a potem poczuł się tak winny, że nie pozwolił

sfinalizować transakcji w domu aukcyjnym. Kazał im anulować ofertę. Ćwiczył prywatnie, żeby odzyskać wprawę. Powiedział, że chce zrobić ci niespodziankę i zagrać sonatę, Darrow.

Ciężar w mojej piersi staje się jeszcze większy. Tactus zawsze był moim przyjacielem.

Pogubił się po prostu, gdy próbował sprostać wymaganiom swojej rodziny i stać się

mężczyzną na miarę ich oczekiwań, podczas gdy wszyscy jego przyjaciele kochali go takim, jaki był. Mustang kładzie mi rękę na plecach. Wie, o czym myślę. Roque pochyla się i całuje Tactusa w policzek, aby przekazać mu błogosławieństwo.

– Lepiej odejść w pełnej chwale i namiętności, niż pomarszczyć się i przygarbić z wiekiem. Żyj szybko. Umieraj młodo, mój nieobliczalny przyjacielu.

Roque wychodzi, zostawiając mnie i Mustang sam na sam ze zmarłym.

– Będziesz musiał to naprawić – mówi dziewczyna. Ma na myśli Roque'a. – Napraw to, zanim go stracimy.

– Wiem. Jak tylko naprawię sto innych spraw.

Siedzimy w sali narad przy okrągłym drewnianym stole. Nie brakuje kawy i jedzenia.

Mustang siedzi obok mnie, opiera nogi o blat, jak zwykle. Dziewczyna wyjaśnia, co poszło źle podczas misji jej ojca. Kavax pochyla się na swoim krześle, przerażony myślą, że Augustus mógł zostać pokonany. Nerwowo wykręca ręce, tak zaniepokojony, że Daxo zabiera mu z

kolan Sofoklesa i podaje zwierzaka niezbyt z tego zadowolonej Vitrze. Głos Mustang

wypełnia salę, a holonagranie przekazane jej przez Pliniusza ożywa nad stołem. Brygada korwet przecina w ciszy przestrzeń kosmiczną i dociera do sławnych stoczni na Ganimesie.



Ich konstrukcja otacza pierścieniem księżyc znaczony przeplatającymi się pasmami zieleni, błękitu i wirującej bieli.

– Wysłał zwiad Szarych brytanów ukrytych w dwóch transportowcach. Udało im się

rozbroić trzy z obronnych stanowisk reaktorów jądrowych. Wtedy mój ojciec nadciągnął ze szturmowcami i korwetami typowo w swoim stylu – z rykiem silników i salwami, po czym

zrobił zwrot. To była zdradziecka pułapka... Prawie siedemnaście niszczycieli i cztery krążowniki w suchym doku, wszystkie gotowe lub prawie gotowe. Spodziewaliśmy się, że na okrętach pozostała tylko podstawowa załoga, dlatego ojciec zajmował je równocześnie.

Rozkazał nawet, aby promy z dwoma Skalanymi dokonały abordażu na jeden z niszczycieli.

Ale na okrętach nie było podstawowej załogi. Nie było żadnej załogi. Za to czekali tam Pretorianie, Szarzy zwiadowcy i Rycerze Olimpijscy.

– I Augustus... *poddał się?* – pyta z przerażeniem Kavax.

Mustang śmieje się z goryczą.

– Ojciec? Niemal wyrąbał sobie drogę na wolność. Zabił Pana Ogniska, a potem wpadł na naszego starego znajomego.

Holo pokazuje Augustusa, który przebija się przez dwunastu Szarych jak człowiek

przedzierający się przez wysoką, suchą trawę. Jego ostrze świszczące i brzęczy, krzesze iskry ze ścian, prześlizguje się po ludziach i zbrojach, aż wreszcie Nero staje naprzeciw wojownika w pancerzu o barwie ognia. Pan Ogniska. Potem widać starcie pełne szybkich ataków i czerwoną mgłę. Głowa uderza o podłogę. Wtedy pojawia się dwóch ludzi. Jeden w hełmie z symbolem słońca, drugi to Fitchner w swoim nakryciu głowy udającym łeb wilka. Razem zabijają

Skalanego i rzucają krwawiącego Augustusa na kolana.

Lorn spogląda nade mną.

– Pani... Mustang, kim był człowiek w hełmie ze znakiem słońca?

Dziewczyna milczy.

– To zbroja Rycerza Świtu – odpowiadam. – Cassiusa. Pewnie opatrzone mu ramię. Albo dano nowe.

Mustang podejmuje opowieść.

– Były tam też okręty Julii. – Zerka na Victrę. – To one pokonały eskadrę ojca.

Sevro rzuca Victrze groźne spojrzenie, zabiera od niej Sofoklesa, jakby myślał, że dziewczynie nie można powierzyć nawet lisa.

– Czujesz się skrępowana? I powinnaś.

– Rozmawialiśmy już o tym. – Victra krzywi się na oskarżenie, ale wyraźnie już się nimi znudziła. – Władczyni zastraszyła moją matkę. Matka nie miesza się do polityki. Obchodzą ją tylko pieniądze, nic więcej.

– Nie obchodzi jej lojalność? – pyta Mustang. – Interesujące.

– Pff, Agrippina to wredna suka – mruczy Kavax. – Zawsze taka była.

– Ostrożnie, wielkoludzie – ostrzega Victra. – To jednak moja matka.

Kavax splata muskularne ramiona na piersi.

– Przepraszam. Za to, że to twoja matka.

– A skąd mamy wiedzieć, że nie jesteś z nią w zмовie, Victro? – pyta cicho Daxo. – Może szpiegujesz? Może tylko czekasz. Jak możesz jej ufać, Darrow? Mogłaby łatwo wysłać wiadomość...

Mustang podnosi na mnie wzrok.

– Sama się nad tym zastanawiałam.

– A dlaczego ufam tobie, Daxo, albo tobie, Kavaxie? – pytam. – Każdy z was otrzymałby wybaczenie i nagrody, stanowiska, większe terytoria i pieniądze, gdyby tylko dostarczył

Władczyni moją głowę.

– A serce matce Cassiusa – przypomina mi Sevro.

– Dziękuję, Sevro.

– Proszę, częstuj się! – Sevro chwyta nóżkę z kurczaka i podsuwa Sofoklesowi. Po namyśle sam też bierze kęs i mówi coś cicho do lisa.

– Ufam Victrze z tych samych powodów, co każdemu z was. Z przyjaźni. – Udaje mi się oderwać wzrok od Sevra.

– Z przyjaźni. Ha! – Mustang z trzaskiem odstawia kubek. – Powiem otwarcie. Nie ufam nikomu z rodu Julii.

– Ponieważ czujesz się przeze mnie przytłoczona, mała.

Mustang prostuje się na krześle.

– Mała?

– Jestem starsza o dekadę, kochana. Pewnego dnia wspomnisz przeszłość i będziesz się z siebie śmiała, że byłaś tak głupia, tak prosta. Aż trudno ci będzie uwierzyć. Na dodatek nie jesteś za wysoka. Dlatego nazwałam cię „mała”.

– Nie znoszę takich sprzeczek – odpowiada Mustang zimno. – Nie ufam ci, ponieważ cię nie znam. Ale znam reputację twojej matki. Nie jest wcale apolityczna. To intrygantka.

Przekupuje i daje łapówki. Mój ojciec o tym wiedział. Ja też to wiem. I ty również.

– Owszem, do pewnego stopnia moja matka to intrygantka. I ja też. Również ty. Ale na pewno pod jednym względem się różnię – nie kłamię. Nigdy nie kłamię i nigdy nie zamierzam.

W przeciwieństwie do wielu innych. – Uniesieniem brwi Victra jasno wskazuje, kogo ma na myśli.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni, Darrow – ostrzega Daxo. – Zapomnij o uczuciach w jej przypadku. Wychowała ją niebezpieczna kobieta. Nie trzeba traktować jej źle, ale nie powinna przebywać na tej naradzie. Zachęcałbym, aby Victra au Julii poczekała w swojej kabinie, aż skończymy.

– Właśnie. – Kavax uderza pięściami w stół. – Zgadza się. Zgniłe jabłko.

– Nie do wiary, że wciągnęłaś mnie w ten bałagan, Darrow – szepcze Lorn. Wydaje się, jakby nie pasował do tego miejsca. Zbyt stary i posiwiasty, aby brać udział w sporach. – Nie możesz ufać nawet swojej radzie.

– Marudny. Pewnie obniżony poziom cukru? – Sevro rzuca Arcosowi na wpół ogryzione udko. Lorn pozwala, aby spadło na blat. Pokaz nie zrobił na nim wrażenia.

– Wysłuchamy twojej mądrości, Arcosie – odzywa się Kavax z szacunkiem.

– Posłuchałbym swoich doradców, Darrow. – Lorn prostuje swoje guzowate palce. – Mam bliźny starsze od nich, ale ci młodzi nie są tak zupełnie naiwni. Przezorny zawsze

ubezpieczony. Zamknij Victrę w jej kwatery.

– Nawet mnie nie znasz, Arcosie! – protestuje Victra i wreszcie zrywa się z krzesła.

Wychodzi z niej wojowniczką, która porzuca kulturalny spokój. – To dla mnie afront.

Walczyłam u boku Darrowa, kiedy ty ukrywałeś się w swoim pływającym zamku i udawałeś, że nadal jest Anno Domini tysiąc dwieście.

– Czas nie stanowi świadectwa dla lojalności – krzywi się Lorn i przesuwając palcem po szramie na przedramieniu. – Ale bliźny tak.

– Dorobiłeś się ich, walcząc dla Władczynie. Byłeś jej mieczem. Ile krwi dla niej przelałeś? Ilu ludzi spłonęło na twoich oczach, gdy stałeś obok Pana Popiołów?

– Nie wspominaj o Rei, dziewczyno.

Zęby Victry błyskają w okrutnym uśmiechu.

– Ach, więc jednak pod tymi zmarszczkami i podziurawionymi przez mole łachmanami skrywa się Rycerz Gniewu.

Lorn mierzy ją spojrzeniem, dostrzega w niej młodzieńczy bunt, po czym patrzy na mnie, jakby się dziwił, że jakiś Złoty mógł zatrzymać u swego boku takich ludzi jak Tactus albo Victra. Czy choć trochę mnie znał? – zastanawia się. Nie, uświadamia sobie. Oczywiście, że nie.

– „Honor na początku, honor na końcu”. To motto mojego rodu. Podczas gdy twoje, młoda damo... Cóż, pochodzenie z rodu Julii niezbyt skłania do służenia szlachetniejszym celom, nieprawdaż? Jesteście tylko handlarzami.

– Moje pochodzenie nie ma nic wspólnego z tym, kim jestem.

– Węże płodzą węże – odpowiada Lorn, choć już nie patrzy na Victrę. – Twoja matka była wężem. Spłodziła ciebie. Ergo: jesteś wężem. A co robią węże, moja droga? Pełzają.

Zimnokrwiste i okrutne czekają ukryte w trawie, a potem kęsają.

– Możemy zażądać za nią okupu – proponuje Sevro. – Zagrozić, że ją zabijemy, chyba że Agrippina dołączy do nas albo przynajmniej przestanie nam psuć plany.

– Jesteś wrednym, małym gówniarzem, co? – rzuca Victra.

– Jestem Złotym, suko. Czego się spodziewasz? Ciepłego mleka i ciasteczek tylko dlatego, że mam

kieszonkowe rozmiary?

Roque chrząka, zwracając na siebie uwagę.

– Wygląda na to, że jesteśmy niesprawiedliwi. Można powiedzieć, hipokryci z nas –

zauważa. – Wszyscy tutaj wiemy, że moja rodzina to sami politycy. Niektórzy mogą nawet uznać, że pochodzę ze szlacheckiego rodu i równie szlacheckiej krwi. Ale my, Fabii, jesteśmy niehonorowym rodem. Matka to Senator, która napełnia sobie kieszenie z funduszków rolnych i subsydiów medycznych Podkolorów, żeby mieć więcej rezydencji niż jej matka. Mój dziadek ze strony ojca otrął swojego bratanka za romans z Fioletową aktoreczką młodszą od niego o ćwierć wieku, co skończyło się tym, że gwiazdka przebiła dziadka nożem, a siebie oślepiła, gdy dowiedziała się, że jej kochanek zginął z jego ręki. Ale to nic w porównaniu z moim praprawujem, który nakarmił minogi swoimi służącymi, ponieważ dowiedział się, że

Imperator Tiberius uznał to za swoje nowe hobby. A jednak jestem tutaj, spłodzony z tych grzechów, i założę się, że nikt tutaj nie kwestionuje mojej lojalności.

Spogląda na nas beznamiętnie.

– Dlaczego zatem wątpimy w Victrę? Stała twardo po stronie Darrowa od Akademii. Nikt

z was tam nie był. Nie wiecie o tym nic. Dlatego nalegam, abyście się zamknęli. Gdy matka zażądała, aby córka porzuciła Darrowa i Augustusa, Victra odmówiła. Kiedy Pretorianie przyszli nas zabić na Księżycu, Victra została. A teraz jest tutaj, gdy została z nas co najwyżej obdarta koalicja bandytów, a jednak podważacie jej lojalność. *Brzydzę się wami*. Przykro mi i smutno, że muszę przebywać wśród was. Zatem jeżeli ktoś jeszcze zakwestionuje lojalność Victry, stracę wiarę w to, co nas łączy. I odejdę.

Victra uśmiecha się do niego jak słońce – najpierw nieco krzywo, powoli, a potem

promiennie. Ten uśmiech znika wolniej, niżbym się spodziewał, a jego ciepło zaskakuje również Roque'a, na którego policzkach wykwita rumieniec.

– Nie jestem jak moja matka – oznajmia Victra. – Ani jak moja siostra. Moje okręty należą tylko do mnie. Moi ludzie to tylko moi ludzie.

Jej oczy, szeroko otwarte, są zimne, niemal senne, ale błyskają, gdy się pochyła.

– Ufajcie mi, a spotka was nagroda. Ale liczy się tylko to, co myśli Darrow.

Wszystkie oczy wbijają się we mnie. Milczę. Szczerze powiedziawszy, nie myślałem o

Victrze, lecz o Tactusie. Jak łatwo mógłby powiedzieć, że trzymałem go na odległość

wyciągniętego ramienia. Kiedy okazałem mu miłość, a on odrzucił skrzypce, poczułem się zawstydzony i zraniony. Dlatego się wycofałem. Lepiej by było, gdybym okazał szczerze, co czuję, i

trzymał się tego cały czas. Mógłbym się przedrzeć przez mur, jakim się otoczył. I

Tactus nigdy by nie odszedł. Byłby tu z nami. Nie zamierzałem popełnić ponownie tego błędu, a zwłaszcza wobec Victry. Zbliżyłem się do niej w korytarzu i zrobię to wśród tych ludzi.

– Przypadek sprawił, że urodziliśmy się Żłoci – mówię. – Moglibyśmy pochodzić z

każdego innego Koloru. Przypadek sprawił, z jakich rodów pochodzimy. Ale przyjaciół

wyberamy sami. Victra wybrała mnie. Ja wybrałem ją, jak was wszystkich. A jeżeli nie umiemy

zaufać swoim przyjaciołom – spoglądam błagalnie na Roque'a, szukając w jego

oczach odpuszczenia win – to po co w ogóle oddychać?

Odwracam głowę do Victry. Jej spojrzenie wyraża więcej niż tysiąc słów, ale mnie

przypomina się to, co powiedział Szakał, gdy po wybuchu bomby leżał poparzony w łóżku –

że Victra mnie kocha. Czy naprawdę byłoby to tak proste? Robi to wszystko nie dla przyrodzonego rodowi Julii pragnienia, aby zdobyć bogactwo i zyski, lecz dla zwykłego ludzkiego uczucia. Zastanawiam się, czy i ja mógłbym ją pokochać? Nie. W innym świecie Mustang nigdy nie stałaby się wojowniczką, nigdy nie byłaby okrutna. Ale Victra w każdym świecie zawsze będzie taka sama. Zawsze wojowniczką, właściwie tak jak Eo. Zawsze zbyt dzika i pełna pasji, aby odnaleźć gdziekolwiek spokój.

Mustang dostrzega, że coś się dzieje między mną i Victrą.

– A zatem ustalone – rzuca. – Wróćmy do bieżących spraw. Pliniusz czeka już z główną

flotą. Zebrał wszystkich dowódców mojego ojca i oficjalnie poddał się Władczyni oraz podjął

uchwałę o restrukturyzacji Marsa. Porozumienie, na ile zdołałam zrozumieć, ustanawia

Pliniusza głową jego rodu. I wraz z Julii i Belloną będzie teraz władał Marsem. Gdy tylko zostanie podpisany pokój, przypieczętuje go egzekucja mojego ojca na dziedzińcu Cytadeli na Agei. – Mustang patrzy na zebranych przy stole, pozwalając, aby dotarł do nich ciężar jej słów. – Jeżeli nie ocalimy mojego ojca, wojna się skończy. Władcy Księżyców nie przyjdą nam z pomocą. Co gorsza, wyślą przeciwko nam okręty. Siły Vespasiana z Neptuna odwrócą się od nas. Zostaniemy sami przeciwko całej Elicie. I zginiemy.

– Dobrze. To upraszcza sprawę – stwierdzam. – Zabieramy naszą flotę, a potem

zawracamy na Marsa. Jakież pomysły?

## *Rozdział trzydziesty trzeci*

### *Taniec*

Śnię o przeszłości. O swoich palcach zanurzonych w kosmykach jej włosów. O nas drzemiących w spokoju otaczającej nas doliny. Nawet dzieci jeszcze się nie zaczęły wiercić w łózkach. Ptaki ucichły i odpoczywają na gałęziach pobliskich sosen. Pośłanie przesiąkło zapachem kobiety. Nie aromatem perfum ani kwiatów, tylko ziemistą wonią jej skóry, włosów owiniętych wokół moich dłoni, gorącym oddechem, który łaskocze mnie w policzek. Jej włosy to nasza planeta. Skołtunione jak moje, brudne jak moje, czerwone jak moje. Ptak w oddali skrzeczy głośno. Nieprzerwanie. Głośniej. Coraz głośniej.

Budzę się, gdy słyszę, że ktoś stoi pod moimi drzwiami.

Odrzucam przepoconą pościel, siadam na brzegu materaca.

– Podgląd.

Pojawia się holograficzny obraz Mustang stojącej na korytarzu. Zrywam się odruchowo,

żeby ją wpuścić, ale kiedy podchodzę do drzwi, zamieram. Mamy nasz plan. Nie ma już o czym dyskutować o tej porze. Nic dobrego z tego nie przyjdzie.

Obserwuję Mustang na hologramie. Przeszępuje z nogi na nogę, coś trzyma. Jeżeli ją wpuszczę... w końcowym rozrachunku może nas to sporo kosztować. Zraniłem już Roque'a.

Zabiłem Quinn, Tactusa i Paxa. Dopuszczenie Mustang blisko byłoby samolubne. W najlepszym wypadku dziewczyna przeżyje tę wojnę i pozna o mnie prawdę. Cofam się.

– Darrow, przestań zachowywać się jak dupek i wpuść mnie.

Dłoń decyduje za mnie.

Włosy Mustang są mokre i rozpuszczone, kombinezon zastąpiło czarne kimono. Jakże krucho ta dziewczyna wygląda przy Ragnarze, który pilnuje korytarza.

– Mówiłam ci – rzuca Mustang Ragnarowi. A do mnie dodaje: – Wiedziałam, że nie śpisz.

Ragnar się upierał. Powiedział, że potrzebujesz snu. I nie chce wziąć jedzenia, które dla niego przyniosłam.

– Potrzebujesz czegoś? – pytam chłodniej, niż zamierzałem.

Szura nerwowo nogą.

– Boję się... ciemności. – Przepycha się obok mnie. Ragnar obserwuje, ale jego oczy pozostają beznamiętne.

– Powiedziałem ci, idź spać, Ragnarze.

Wojownik ani drgnie.

– Ragnarze, nie ma bezpieczniejszego dla mnie miejsca niż to. Idź spać.

– Śpię z otwartymi oczami, *domine*.

– Doprawdy?

– Tak.

– Cóż, zatem rób to na swojej pryczy, Skalany. To rozkaz. – Wypowiedziane autorytatywnie słowa budzą moją odrazę chwilę po wyrwaniu się z ust.

Ragnar niechętnie kiwa głową i bezszelestnie znika za załomem korytarza. Patrzę na jego odejście, dopóki drzwi nie zamkną się z sykiem. Wtedy odwracam się do Mustang, która

rozgląda się po mojej kajucie. Więcej tu drewna i kamienia niż metalu, na ścianach

umieszczono płaskorzeźby. Dziwne, ile wysiłku ci ludzie włożyli, żeby poczuć się częścią historii, a nie przyszłości.

– Sevro musi być wściekły, że nie tylko on pilnuje twoich pleców.

– Sevro trochę dorósł, odkąd widziałas go ostatni raz. Nawet używa łóżka do spania.

Wybuchła na to śmiechem.

– Cóż, Ragnar tak bardzo chciał, żebym sobie poszła, że pomyślałam, jak bardzo przydać ci się może towarzystwo.

– Wiesz, że nie korzystam z Różowych.

– Wielka ta kajuta. – Mustang zmienia temat. – Sześć pokoi. Nie zaproponujesz mi czegoś do picia?

– Masz ochotę...



– Nie, dziękuję. – Dziewczyna nakazuje systemowi kajuty włączyć muzykę. Mozarta. – Ale tak naprawdę nie przepadasz za muzyką, prawda?

– Nie tego rodzaju. Jest... nudna.

– Nudna? Mozart był buntownikiem, odważnym i bezprecedensowym geniuszem! Łamał schematy i zakazy, wszystko, co nudne.

Wzruszam ramionami.

– Może. Ale po nim nastali nudni ludzie, którzy go naśladowali.

– Czasami jesteś taki prostacki. Myślałam, że Teodora zdołała ci wbić do głowy trochę kultury. Co zatem lubisz? – Mustang przesuwa palcami po wyrzeźbionym łośiu prowadzącym swoje stado. – Chyba nie to elektroniczne szaleństwo, którym Wyjce ranią sobie uszy? Zieloni wymyślili ten łomot i chyba ma to sens... to jak słuchanie robota, który dostał drgawek.

– Masz doświadczenie z robotami? – pytam, a Mustang obchodzi Zbroję Zwycięstwa

znajdącą w pokoju tuż przy wejściu. Władczyni podarowała ten pancerz Panu Popiołów, gdy spalił Reę. Palce dziewczyny muskają metal, który wygląda jak zamrożony.

– Pomarańczowi i Zieloni ojca mieli kilka robotów w maszynowniach i pracowniach.

Stare i zardzewiałe maszyny, które ojciec kazał oczyścić i umieścić w muzeach. – Śmieje się do siebie. – Zabierał mnie tam, gdy matka jeszcze żyła, a ja nosiłam sukienki. Nienawidził

robotów. Pamiętam, jak matka śmiała się z jego paranoi, zwłaszcza gdy Adrius próbował

uruchomić jeden z modeli bojowych wyprodukowanych w Eurazji. Ojciec uważał, że roboty mogłyby pokonać ludzi i władać Układem Słonecznym, gdyby Imperium Ziemi nie zostało

zniszczone.

Parskam śmiechem.

– Co? – pyta zdziwiona Mustang.

– To tylko... – Chichoczę cicho. – Próbuję sobie wyobrazić wielkiego ArcyGubernatora Augustusa, jak ma koszmary o robotach.

Nie mogę powstrzymać śmiechu. Zginam się wpół w paroksyzmach wesołości.

– Myślał, że zażądamy więcej smaru? Albo więcej wolnego czasu?

Mustang przygląda mi się rozbawiona.

– Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest. – Śmiech mnie opuszcza. Rozmasowuję sobie brzuch. – Naprawdę.

A jednak nie mogę przestać się szczerzyć.

– Czy boi się także obcych?

– Nigdy nie pytałam. – Dziewczyna klepie zbroję. – Ale oni gdzieś tam są, wiesz.

Wytrzeszczam na nią oczy.

– Tego nie ma w archiwach.

– Och nie, nie. To znaczy nigdy nie znaleźliśmy obcych. Ale równanie Drake’a –

Roddenberry’ego wskazuje, że matematyczne prawdopodobieństwo ich istnienia wynosi  $N =$

$R^* \times f_p \times n_e \times f_l \times f_i \times f_c \times L$ , gdzie  $R^*$  to średni wskaźnik układów gwiazdnych w naszej Galaktyce, a  $f_p$  to odsetek gwiazd, które mają planety... Nawet mnie nie słuchasz.

– Jak sądzisz, co by o nas pomyśleli? – pytam. – O ludziach?

– Pewnie uznaliby, że jesteśmy piękni, dziwni i niewytłumaczalnie straszni dla siebie nawzajem. – Wskazuje na przejście. – Czy to sala ćwiczeń?

Zrzuca kaptur i przechodzi marmurowym korytarzykiem do następnego pomieszczenia.

Zerka na mnie przez ramię, więc ruszam za nią. Światła zapalają się, gdy idę. Mustang mnie wyprzedza, ale zaraz widzę ją znowu – stoi na środku okrągłej sali ćwiczeń. Biała mata ugina mi się pod stopami. Płaskorzeźby z drewna zdobią ściany.

– Ród Grimmus należy do starych. – Mustang wskazuje na fryz z mężczyzną w pancerzu. –

Widzisz tu najstarszego przodka Pana Popiołów. To Seneca au Grimmus, pierwszy Złoty, który dotknął ziemi w Stalowym Deszczu, przejął amerykańskie Wschodnie Wybrzeże po tym, jak przodek Cassiusa, zapomnijmy jego imię, rozbił Flotę Atlantycką. Obok widzisz Vitalię au Grimmus, Wielką Wiedźmę. O, tutaj. – Odwraca się do mnie. – Znasz chociaż historię tego, co chcesz zniszczyć?

– Flotę Atlantycką pokonał Scipio au Bellona.

– Doprawdy?

– Studiowałem historię – zapewniam. – Podobnie jak ty.

– Ale starasz się trzymać od niej z daleka, nieprawdaż? – Mustang okrąża mnie powoli. –

Jak zawsze. Jesteś outsiderem, przyglądasz się z boku. Toczyła się obok kopalń na asteroidzie twoich rodziców. Czy właśnie dlatego zadajesz pytania typu: „Co obcy by sobie o nas pomyśleli”?

– Jesteś taką samą outsiderką jak ja. Czytałem twoje opracowania.

– Doprawdy? – Tym ją zaskoczyłem.

– Wierz lub nie, ale umiem czytać. – Kręcę głową. – Wszyscy chyba zapominają, że na testach w Instytucie opuściłem tylko jedno pytanie.

– Oj. Opuściłeś pytanie? – Dziewczyna marszczy nos, a potem podnosi ostrze ćwiczebne z ławki. – Chyba dlatego nie trafiłeś do Minerwy.

– A jak Paxowi udało się dostać do Domu Minerwa? Zawsze się nad tym zastanawiałem.

Nie był typem myśliciela.

– A jak Roque skończył w Domu Mars? – Mustang wzrusza ramionami. – Każdy z nas ma

ukrytą głębię. Może Pax nie był tak bystry jak Daxo, ale mądrość rodzi się w sercu, nie w głowie. I Pax właśnie tego mnie nauczył.

Uśmiecha się na wspomnienie.

– Jedyłą łaską, jaką okazał mi ojciec po śmierci matki, było pozwolenie na wyjazd do

posiadłości Telemanusów. Trzymał mnie i Adriusa osobno, aby utrudnić zamach na życie

swoich dziedziców. Miałam szczęście, że znalazłam się blisko nich. Chociaż gdyby tak się nie stało, może i Pax nie byłby tak lojalny. Może nie poprosiłby, żeby go przydzielić do Domu Minerwa. Może nadal by żył. Wybacz... – Otrząsa się ze smutku, a potem patrzy na mnie z wymuszonym uśmiechem. – Co sądzisz o moich opracowaniach?

– O których?

– Zaskocz mnie.

– „Owadzia specjalizacja”. – *Trzask*. Ostrze ćwiczebne uderza mnie w ramię, odskakuję okrzykiem zdumienia. – Co, u diabła?

Mustang udaje niewiniątko i macha ostrzem w przód i w tył.

– Upewniałam się, że skupiasz uwagę.

– Skupiam uwagę? Odpowiadałem na twoje pytanie!

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– No dobrze. Może po prostu chciałam cię uderzyć. – Naciera na mnie znowu.

Robię unik.

– Dlaczego?

– Bez szczególnego powodu. – Uderza. Robię unik. – Ale podobno nawet głupiec nauczy się czegoś nowego, gdy go to uderzy.

– Nie cytuj mi... – przerywam, bo Mustang atakuje, tym razem robię unik przez obrót – Homera.

– Dlaczego właśnie ta praca ci się spodobała? – pyta chłodno i znowu mnie atakuje. Ostrze ćwiczebne nie ma krawędzi, ale jest twarde jak dębowa laska. Robię przewrót, zrywam się i znowu muszę wykonać unik w bok jak akrobata z Lykos.

– Ponieważ... – Kolejny unik.

– Kiedy stoisz pewnie, jesteś kłamcą. Na palcach wyznasz prawdę. – Dziewczyna wyprowadza uderzenie. – A teraz mów.

Podcina mi kolano. Odtaczam się, próbuję sięgnąć po inne ostrze ćwiczebne, ale Mustang zastawia mi drogę uderzeniami.

– Mów!

– Spodobało mi się... – odskakuję w tył – ponieważ napisałaś: „Specjalizacja czyni nas ograniczonymi, prostymi owadami, na co... Złoci... nie są odporni”.

Mustang przerywa atak i patrzy oskarżycielsko, a ja uświadamiam sobie, że wpadłem w pułapkę.

– Skoro się z tym zgadzasz, dlaczego upierasz się przy pozostaniu tylko wojownikiem?

– Bo tym właśnie jestem.

– Tym właśnie jesteś? – Dziewczyna parska śmiechem. – Ty, który ufasz Victrze z rodu

Julii. Ty, który ufałeś Tactusowi. Ty, który pozwalasz, aby Pomarańczowy dawał ci rady dotyczące strategii. Ty, który powierzasz dowodzenie okrętem dokerce i zachęcasz do

brawury? – Grozi mi palcem. – Nie bądź hipokrytą, Darrow au Andromedusie. Jeżeli

zamierzasz mówić wszystkim innym, że mogą wybrać swoje przeznaczenie, to lepiej, przekłety draniu, zrób to samo.

Ta dziewczyna jest za mądra, aby ją okłamywać. Dlatego czuję się przy niej tak

skrępowany, kiedy zadaje mi pytania i wynajduje wszystko, czego nie mogę jej wyjaśnić.

Właściwie dla wielu moich posunięć nie ma zadowalającego wytłumaczenia, o ile byłbym naprawdę Andromedusem, który wychował się w kolonii górniczej na asteroidzie rodziców.

Dla Mustang moja historia jest pusta. A moja motywacja mogłaby ją zmylić, gdybym urodził się Złotym. Zapewne wydaje się, że do działania popycha mnie ambicja i żądza krwi. I bez Eo pewnie by tak było.

– To spojrzenie... – Mustang cofa się ode mnie. – Gdzie wędrujesz, gdy tak na mnie patrzysz?

Blednie nagle, a potem opanowuje się, choć jej uśmiech znika.

– To Victra?

– Victra? – Omal nie parskam śmiechem. – Nie.

– A zatem tamta. Dziewczyna, którą straciłeś.

Nic nie mówię.

Mustang nigdy nie była wścibska. Nigdy nie wypytywała mnie o Eo, nawet gdy

spędzaliśmy razem czas po Instytucie, gdy dopiero zaczynałem jako Lansjer. Ani wtedy, gdy jeździliśmy konno w rezydencji jej rodu lub spacerowaliśmy po ogrodach czy pływaliśmy przy rafach koralowych. Myślałem, że Mustang zapomniała, jak wyszeptałem imię innej, gdy leżeliśmy pod śniegiem w Instytucie. Głupio z mojej strony. Jak mogłaby zapomnieć? W głębi duszy musiało ją to dręczyć, zmuszać do zastanawiania się, gdy leżała z głową opartą o moją pierś i słuchała bicia serca, czy nie należało ono do innej dziewczyny, zmarłej.

– Milczenie nie jest najlepszą odpowiedzią, Darrow.

Po chwili Mustang zostawia mnie samego w sali. Jej kroki cichną. Mozart też.

Ruszam za nią, zatrzymuję, zanim dotrze do drzwi na korytarz. Chwytam ją za rękę.

Wrywa się.

– Przestań!

Cofam się zaskoczony.

– Dlaczego to robisz? – pyta dziewczyna. – Dlaczego mnie przyciągasz, a zaraz potem odpychasz?

Zaciska pięści, jakby chciała mnie uderzyć.

– To niesprawiedliwe. Po tej przemowie w obronie Victry... o tym, jak ważna jest przyjaźń... – Pstryka palcami tuż przed moim nosem. – Wciąż potrafisz mnie odciąć, *ot tak*.

Zależy ci, a zaraz potem wcale. Może właśnie dlatego tak cię lubi...

– Kto?

– Mój ojciec.

– On mnie nie lubi.

– Jak mógłby cię nie lubić? Jesteś jak on.

Cofam się tak, że siadam na łóżku.

– Nie jestem jak twój ojciec.

– Wiem – wzdycha i gniew z niej trochę opada. – Porównanie było wobec ciebie niesprawiedliwe. Ale staniesz się taki jak on, jeżeli podążysz tą samą ścieżką samotnie.

Dziewczyna unosi rękę do panelu kontrolnego drzwi.

– Dlatego poproś, żebym została.

Jak mógłbym jej na to pozwolić? Jeżeli Mustang odda mi serce, złamię je. Moje kłamstwo jest zbyt wielkie, aby miłość mogła to znieść. Kiedy dziewczyna się dowie, kim naprawdę jestem, odrzuci mnie. I nawet gdyby mogła to przeżyć, ja bym nie zdołał. Wbijam wzrok w swoje dłonie, jakbym chciał z nich odczytać odpowiedź.

– Darrow. Poproś, żebym została.

Kiedy podnoszę głowę, Mustang już nie ma.

## *Rozdział trzydziesty czwarty*

### *Braterstwo krwi*

Zwiadowcy Lorna pojмали jednostkę zaopatrzenia, gdy transportowała zapasy jedzenia dla floty Pliniusza zgromadzonej wokół stacji Hildas, przypominającego kształtem rozgwieżdżone węzła handlowego i komunikacyjnego na skraju pasa asteroid pomiędzy orbitą Marsa i

Jowisza. Przez piętnaście godzin ukrywam się z Victrą, Sevrem i Wyjcami, Telemanusami, Lornem i Mustang. Jest z nami także Roque. Oraz Ragnar wciśnięty między skrzynie

pakowanych próżniowo posiłków protobiałkowych. Skalany pierwsze pudło rozgniół, gdy na nim usiadł – opakowane racje rozsypały się wszędzie – po czym wyszedł z wilgotnej ładowni do chłodni, gdzie panują temperatury niższe od zera.

Sevro rozdziera połowę racji i podjada podczas lotu, dzieląc się z Telemanusami i

Wyjcami, podczas gdy Roque siedzi i rozmawia z Victrą w kącie. Mustang opiera się o Daxa, wspominając z Kavaxem Paxa. Unika mojego wzroku.

Próbowałem przeprosić, zanim zacumowaliśmy okręt, ale szybko mi przerwała.

– Nie ma za co przepraszać. Jesteśmy dorośli. Nie oburzajmy się i nie kłóćmy jak dzieci.

Mamy wiele do zrobienia.

Słowa wydają mi się coraz chłodniejsze, gdy powtarzam je sobie w pamięci raz po raz.

Lorn trąca mnie butem.

– Spróbuj zachowywać się mniej ostentacyjnie, chłopcze. Gapisz się.

– To skomplikowane.

– Miłość i wojna. Dwie strony tego samego medalu. Jestem za stary na obie.

– Może wojna tchnie trochę życia w twoje stare ciało.

– Cóż, miesiąc temu próbowałem miłości. – Pochyla się do mnie bliżej. – Nie wychodziło jak ongiś.

– To było za szczere jak dla mnie, Lornie. – Nie mogę się powstrzymać i parskam

śmiechem.

Arcos z pomrukiem poprawia się na pudłach, po czym z głośnym jękiem cofa się, gdy coś uwiera go w plecy.

– A zatem to jest powód tego zamieszania? Żeby pomóc biednemu starcowi w rozruszaniu

się na wojnie. – Jego gniew jeszcze nie zelżał, ale też wcale tego nie oczekiwałem. – Pozwól, że odwzajemnię ci tę przysługę. W dzisiejszych czasach kluczem jest taktyka. Pretorzy, Legaci i adiutanci, których chcesz przyciągnąć, nie są głupcami. I nie znoszą głupców. Pliniusz dał im znaczący argument. Połączył ich interesy z własnymi. Musisz wykorzystać ten sam sposób, żeby mu się przeciwstawić.

– Pliniusz to pijawka – zauważam. – I kłamca. W przeciwieństwie do ciebie nie ma też honoru.

– I to czyni go niebezpiecznym. Kłamcy składają najlepsze obietnice. – Lorn bawi się

swoim pierścieniem z gryfem, bez wątpienia myśli o swojej bestii i o wnukach, które znajdują się na okrętach jego floty. Arcos zabrał z Europy wszystkich, trzy miliony kobiet i mężczyzn we wszystkich Kolorach. „Nie mogę ich zostawić” – powiedział mi, gdy zauważyłem

liczebność jego formacji, kiedy opuszczaliśmy ten wodny księżyc. „Octavia przyleciałaby tutaj i spaliła zamek, gdy bylibyśmy daleko”. Dlatego ludzie porzucili pływające miasta i ruszyli w gwiazdy. Cywile wkrótce opuszczą pokłady, aby ukryć się w nieskończonej pustce

międzyplanetarnej. Poprowadzą ich trzy synowe Lorna, którym udało się przeżyć.

– Pliniusz ma za sobą wsparcie Władczyni – podejmuje mój stary nauczyciel. – Trudno

będzie ich rozdzielić. A skoro już mowa o Władczyni... Zauważyłem, że masz coś, co należy do niej.

– „Paxa”?

– Nie, coś mniejszego. Choć nie tak bardzo. Tego Skalanego, który tu był przed chwilą.

– Ragnara?

– O ile tak to nazywasz.

– *Jego* – poprawiam. – Miał być prezentem dla Julii za zdradę Augustusa.

– Widziałem go raz na arenie Cytadeli. Przerażający, jak niektóre stwory skrywające się w oceanach Europy.

– Może to Obsydian, ale nadal człowiek.



- Biologicznie zapewne. Ale został zrodzony tylko do jednego celu. Nigdy o tym nie zapominaj.
- Sam traktujesz swoją służbę łagodnie. Oczekuję, że podobnie będziesz się odnosił do mojej.
- Ludzi traktuję łagodnie. Różowi, Brązowi, Czerwoni to ludzie. Twój *Ragnar* to broń.
- Wybrał mnie. Narzędzia nie wybierają.
- Skoro tak chcesz. Ale pamiętaj o konsekwencjach. – Lorn wzrusza ramionami i mamrocze jeszcze coś, czego nie słyszę.
- Powiedz, co masz do powiedzenia.
- Poniesiesz porażkę, ponieważ wierzysz, że wyjątek od reguły tworzy nową regułę.

Wydaje ci się, że zły człowiek zrezygnuje z wykorzystywania cudzych słabości, bo ty tego chcesz. Ludzie się nie zmieniają. Dlatego właśnie zabiłem tamtego chłopaka w zamku. Naucz się tego teraz, a nie przekonasz się o tym później na własnej skórze, gdy będziesz miał nóż wbity w plecy. Kolory istnieją nie bez powodu. Reputacja istnieje nie bez powodu.

Po raz pierwszy wydaje mi się mały i stary. I nie chodzi o jego zmarszczki, lecz o słowa.

Jest reliktem. Jego myślenie należy do epoki, którą próbuję zniszczyć. Lorn nic nie może poradzić na to, w co wierzy. Nie widział tego, co ja. Nie pochodzi stąd, skąd ja. Nie miał Eo, która by go popchnęła do działania, ani Tancerza, który by go poprowadził, ani Mustang, żeby dawała mu nadzieję. Dorósł w Elicie, gdzie miłość i zaufanie są tak rzadkie jak trawa na pustyniach Helionu. Ale zawsze pragnął właśnie miłości i zaufania. Jest jak człowiek, który zakopuje w ziemi nasienie, patrzy, jak wyrasta drzewo, które potem ścinają sąsiedzi. Tym razem jednak będzie inaczej. I jeżeli wszystko pójdzie dobrze, oddam mu wnuka.

– Kiedyś mnie uczyłeś, Lornie. I jestem dzięki temu lepszym człowiekiem. Ale teraz nadeszła moja kolej i role się odwróciły. Ludzie mogą się zmienić. Czasami ponoszą porażkę.

Czasami muszą zawrócić. – Klepię go w kolano i wstaję. – Zanim umrzesz, zrozumiesz, jakim błędem było zabicie Tactusa, ponieważ nigdy nie dałeś mu szansy, żeby uwierzył, że jest dobrym człowiekiem.

Odnajduję Ragnara. Leży na podłodze w chłodni. Wygodnie mu w kąsającym mrozie. Zdjął koszulę, więc mogę się przyjrzeć przerażającym płaszczyznom jego wytatuowanego ciała.

Wszędzie runy. *Ochrona* na plecach. *Choroba* na dłoniach. *Matka* na gardle. *Ojciec* na stopach. *Siostra* za uszami. I tajemnicze symbole czaszek Skalanych na twarzy.

– Ragnarze – odzywam się i siadam. – Nie masz ochoty na towarzystwo, co?

Kręci głową. Biały kucyk wije się na podłodze. Oczy jak plamy czerni zwracają się na

mnie i szacują. Druga para oczu, tatuaż na powiekach, jest dziwna, jak u smoka lub węża, więc kiedy Ragnar mruga, jego zwierzęca dusza ogląda otaczający świat.

Obserwuję go i zastanawiam się, jak powiedzieć to, co chciałbym mu przekazać.

Obsydiani są najbardziej obcym z Kolorów.

– Przez ofiarowanie mi piętna zostałeś ze mną związany. Co to dla ciebie znaczy?

– Znaczy, że jestem posłuszny.

– Bezwarunkowo? – Nie odpowiada. – A gdybym rozkazał ci zabić siostrę albo brata?

– Prosisz mnie o to?

– Nie. Hipotetycznie. – Olbrzym nie rozumie pojęcia, więc mu je wyjaśniam.

– Dlaczego planować? – dziwi się. – Ty planujesz. Ty decydujesz. Ja wykonuję lub nie.

Nie ma planu.

Następne słowa dobiera bardzo ostrożnie.

– Śmiertelnicy, którzy planują, umierają tysiące razy. My, którzy słuchamy rozkazów, umieramy tylko raz.

– Tego chcesz? – pytam. Ragnar ani drgnie. – Mówię do ciebie, Skalany.

– Chęć – chichocze ponuro. – Co to jest „chęć”?

Pogarda w jego głosie wypływa z głębi, jakich nie zna nasz bezbożny świat. Ten wojownik jest tu obcy, ponieważ wyhodowaliśmy jego lud na lodowych planetach z potworami i wiarą w pradawne bóstwa. I dostaliśmy, czego chcieliśmy.

– Nazywasz to, więc myślisz, że to rozumiem. Chęć .

– Nie pogrywaj ze mną, a i ja nie będę tego robił z tobą, Ragnarze. – Odczekuję chwilę.

Długo. – Muszę się powtarzać?

– Złoci planują. Złoci mają chęć – grzmi powoli Ragnar. Pomiędzy każdym zdaniem mija

sporo czasu. – Chcenie jest twoim pulsem, tętnem serca. My, zrodzeni z Wszechmatki, nie mamy

chęci. My jesteśmy posłuszni.

– Na kolanach? – Nie odpowiada, więc mówię dalej: – Kiedyś nosiłeś kajdany, Ragnarze.

Teraz okowy cię nie pętają. Zatem... czego chcesz?

Nadal nie odpowiada. Czy się obraził?

– Na pewno czegoś chcesz.

– Zrywasz kajdany innych i pragniesz przywiązać mnie pętami jak twoje. Twoimi chęciami.

Twoimi marzeniami. Ale ja nie mam chęci – powtarza z naciskiem. – Nie mam marzeń. Jestem Skalani. Przeznaczony przez Wszzechmatkę Śmierć do wypełnienia Jej obietnicy. – Jego twarz nie zdradza żadnych uczuć ani myśli, ale wyczuwam urazę w tym mężczyźnie. – Nie

wiedziałeś?

Przyglądam mu się bacznie.

– Specjalnie sprawiasz wrażenie głupszego, niż jesteś naprawdę.

– Dobrze. – Ragnar siada płynnie, zanim mam czas, żeby się cofnąć. Jasna cholera, szybki jest. Wyjmuje nóż i błyskawicznie przecina sobie dłoń. – Kiedy ofiarowałem piętno,

związałem się z tobą. Na zawsze. Za nic.

Wiem, że to właśnie ich sposób. I wiem, przez jaką grozę musiał przejść, aby uzyskać tytuł

Skalanego. Ragnar nie jest człowiekiem połowicznym, nie składa przysięg lekko ani niczego tak nie traktuje. Dotrzymuje słowa. Zawsze i bez wyjątku. Być Obsydianem oznacza znać nędzę. Być Skalanym to nędza. I w swoim życiu tacy jak Ragnar kierują się tylko jednym –

służą swoim Złotym bogom, takim jak ja, o ile mają tyle szczęścia. A my zabieramy ich siłę. I zostawiamy im słabość. Wysyłamy Fioletowych z technikami, żeby przygotowywali pokazy

świąteł na wzgórzach. Wywołujemy głód, aby zjawić się z jedzeniem. Wysyłamy zarazy, po czym łaskawie przyprowadzamy Żółtych, aby uzdrowili chorych i przywrócili im wzrok.

Mamy Snycerzy do hodowania w oceanach potworów, a w górach gryfów lub smoków. A

kiedy jesteśmy niezadowoleni, bombardujemy miasta Obsydianów z orbity. Uczyniliśmy się ich bogami. A potem zabraliśmy ich do naszego świata, aby służyli naszym żądzom. My

chcemy. Oni są posłuszni. Jak Ragnar ma się stać taki, jakiego potrzebuję?

– A jeżeli chcę, abyś był wolny?

Cofa się. W jego oczach pojawia się bezdenny strach.

– Wolność topi.

– Zatem naucz się pływać. – Kładę dłoń na jego potężnym ramieniu. Pod skórą ma mięśnie twarde jak skała. – Bądźmy braćmi.

– Nie jesteśmy braćmi, zrodzony ze słońca. – Jego głos drży. – Ty jesteś panem. Nie rozumiesz? Ja jestem posłuszny. Ty wydajesz rozkazy.

Mówię mu, że przecież wybrał mnie na swojego pana. Nie wziąłem go, jak mu się wydaje.

To on, nie ja, dowodził i wydawał rozkazy grupie abordażowej, która zdobyła okręt Kellana au Bellony. Ragnar tego dokonał. Sam. Nie było żadnego Złotego, aby go poprowadzić. Żaden Złoty nie rozkazał mu dowodzić. Ale to nie wystarcza. Co powiedziałyby Eo temu

wielkoludowi? Co powiedziałyby Tancerz?

– Nasz Kolor jest ten sam – mówię mu. Nie rozumie, więc rozcinam sobie palec. Wypływa czerwona krew. Rozsmarowuję ją na jego rękach. Na czerni Sigilów, które oznaczają jego Kolor i rangę. A potem dotykam jego krwi i rozsmarowuję ją na złocie, które znaczy grzbiety moich dłoni.

– Bracia. Składamy się z tej samej wody, z tego samego ciała. I obaj obrócimy się w proch.

– Nie rozumiem – odpowiada z przerażeniem. Skulił się i cofnął przede mną do kąta jak złęknione dziecko. – Nie jesteśmy tacy sami. Ty pochodzisz od słońca.

– Nie. Urodziłem się sześć cali od pyłu. Ragnarze Volarusie, uwalniam cię od służby dla mnie, czy ci się to podoba, czy nie. Nie pozwolę, żebyś był związany, nie pozwolę, żeby tobą sterować. Zostań w tej lodowej puszczy, dopóki nie będziesz na tyle mężczyzną, aby

zdecydować, czego chcesz. Strzel sobie w głowę. Zamarznij na śmierć. Proszę, rób, co chcesz.

Ale cokolwiek zrobisz, będzie to twój wybór. Może wybierzesz pójście za mną. Może

postanowisz, że mnie zabijesz. Zrobisz to, co postanowisz. Ale będziesz musiał zdecydować sam.

Patrzy na mnie. Oczy ma wytrzeszczone z przerażenia.

– Dlaczego? – grzmi. – Dlaczego mnie hańbisz? We wszystkich światach żaden człowiek nie odrzucił Skalanego. Wybrałem i ofiarowałem siebie, a ty na mnie splunąłeś. Co ci uczyniłem?

– Kiedy ofiarujesz siebie, oddajesz też swoich braci i siostry w niewolę. Oddajesz lud w niewolę.

– Nie rozumiesz – krzywi się Ragnar. – Żyjemy, aby służyć. Jeżeli nie będziemy służyć, Złoci nas zniszczą. Nie będzie nas wcale. Widziałem deszcz ognia spadający z nieba.

Setki lat temu podczas Mrocznej Rebelii Złoci zabili ponad dziewięćdziesiąt procent populacji tego Koloru. Eksterminacja na miarę uboju nadmiaru drapieżników. To jedyna historia, jaką znają Obsydiani. Ta, którą im daliśmy. Strach.

– Ukrywano przed tobą historię ludzkości, Ragnarze. Złoci uczą was, że zawsze byliście niewolnikami. Obsydiani żyją, aby służyć, aby zabijać. Ale były czasy przed Złotymi, gdy ludzie byli wolni.

– Wszyscy ludzie?

– Wszyscy. Każdy mężczyzna i każda kobieta. Nie urodziłeś się, aby służyć Złotym.

– Nie – grzmi Obsydian. – Kuisz mnie. Podpuszczasz. Widziałem to już. Fałszywe słowa, które stanowią pułapkę. Szczere słowa znane są mnie, nam. Nasze matki nas uczą. „Lękaj się i służ ludziom ze Złota. Albo oni przyjdą i spuszczą z nieba żelazo. Złoto potraktuje cię ogniem zrodzonych ze słońca. Ponieważ nie są związani miłością. Nie są związani strachem. Nie są związani z ziemią, lecz z niebem i słońcem. Lękaj się i służ ludziom ze Złota”.

– Ja im nie służę.

– Ponieważ jesteś jednym z nich.

– A gdybym powiedział, że nie jestem?

Ragnar podnosi na mnie oczy. Żadnej odpowiedzi ani ruchu. Nic. Tylko zmieszanie. I

dlatego mu mówię. W tej chłodni opowiadam mu, co powiedział mi Tancerz w apartamencie.

Że nas oszukano.

– Miałem żonę – mówię mu. – Odebrali mi ją. Powiesili. Zmusili, abym pociągnął ją za

nogi, złamał jej kark, żeby nie cierpiała. Zabiłem się po tym, pochowałem ją i dałem im wygrać. Pozwoliłem, żeby mnie powiesili. Utonąłem w smutku.

Opowiadam mu, jak przyszli do mnie Synowie Aresa.

– I Ares dał mi drugą szansę. Taką samą masz teraz ty, aby powstać z kolan. Przez

siedemset lat byliśmy niewolnikami, Ragnarze. Twój lud. Mój lud. Pozostawaliśmy w

ciemności. Ale nadejdzie dzień, kiedy wyjdziemy na światło. I nie stanie się tak dzięki miłosierdziu Żłoty. Nie dzięki przeznaczeniu. Nadejdzie, gdy powstaną waleczni i

postanowią zerwać pęta i żyć pełnią życia. Musisz sam wybrać, Ragnarze. Czy wkroczysz na ciernistą i niełatwą ścieżkę? Czy też podążysz śladami innych i nigdy nie dowiesz się, co by było, gdybyś wybrał inaczej?

A potem wychodzę. Nie nakazuję mu milczenia. Nie żądam odpowiedzi. Tancerz też jej ode mnie nie żądał. Musiałem sam dokonać wyboru. Gdybym tego nie zrobił, gdybym został

zmuszony do służby, poddałbym się już tysiąc razy. Niewolnicy nie mają odwagi wolnych ludzi. Właśnie dlatego Żłoci okłamują Czerwonych i wmawiają im, że są odważni. Dlatego okłamują Obsydianów i wmawiają im, że służenie bogom jest zaszczytem. To łatwiejsze niż wyznanie prawdy. A jednak tylko prawda skruszy królestwo kłamstw.

Ragnar musi się do mnie przyłączyć, ponieważ samotny Czerwony to za mało.

## *Rozdział trzydziesty piąty*

### *Spotkanie*

Udawanie, że jesteśmy statkiem dostawczym, przebiega z powodzeniem. Zbliżamy się do

floty wokół stacji Hildas i kierujemy na okręt flagowy, „Niezwyciężony”, niedawno jeszcze należący do Augustusa, teraz do Pliniusza. Szturmowce przelatują obok nas obojętnie,

wymagają tylko kodów rozpoznawczych. Nasz pilot wysyła je, a szturmowce eskortują nas, gdy przyłączamy się do procesji jednostek zaopatrzeniowych powoli znikających w hangarze załadunkowym „Niezwyciężonego” jak karawany przekraczające bramy pustynnej warowni.

Działka śledzą nas, gdy lądujemy.

Nasz transporter przyziemia z łomotem. Pilot otwiera śluzy na rufie, a ja i mój oddział

zeskakujemy z pokładu. Zamiast powitania przez Brązowych tragarzy, jak należałoby się spodziewać, natykamy się na Pomarańczową dokerkę. Kiedy podnosi głowę znad unipadu,

widzi oddział szturmowy w pełnym opancerzeniu i uzbrojony po zęby. Bez wahania siada. Nie chce

mieć z tym nic wspólnego.

Sevro parska śmiechem i klepie ją po głowie.

– Mądrzejsza niż Złoci.

Rozmaitość jednostek wypełnia hangar. Na wysokim suficie palą się lampy. Pomarańczowi i Czerwoni przemykają we wszystkie strony, noszą spawarki i palniki pod kadłuby. Moi podwładni ruszają za mną, przechodzą do wind, którymi dostaniemy się do wnętrza okrętu.

Tam, gdzie przechodzimy, cisza rozprzestrzenia się jak pożar. Spawacze wyłączają urządzenia. Robotnicy przestają się nawoływać. Wszyscy tylko patrzą. Wysuwam się na czoło obok Lorna. Mustang i Kavax strzegą naszych boków. Z tyłu kroczy Roque z Daxem i Sevrem.

Victra za nimi trzyma się Wyjców. A na samym końcu, jak jakiś blady, ogromny pasterz, kroczy Ragnar.

Postanowił do nas dołączyć i wyszedł z chłodni. Wymieniliśmy spojrzenia. Obsydian skinął mi głową i wiedziałem, że oto mam nowego generała dla swojej rebelii. Nadałem się dumnie.

Nikt nie ośmiela się przeszkodzić w naszym przejściu, choć z naszej postawy wynika jasno, że nie wpadliśmy na pokojową pogawędkę. Moja zbroja jest czarna. Ozdobiona

ryczącymi lwami, nad którymi migocze cienka tarcza pola pulsacyjnego. Na lewym ramieniu włącza się egida, jej przejrzysta błękitna poświata pochłania światło. Biel ostrza otacza mi przedramię. Na metalowym pokładzie niesie się echem nasz rytmiczny krok. Wysyłam

Kamyczek, aby ze swoim Zielonym oddziałem zniszczyła systemy łączności okrętu.

Miedziany na nasz widok zaczyna się bawić swoim unipadem. Ragnar prześlizguje się i podchodzi, po czym kładzie mężczyźnie rękę na ramieniu. Na tyle mocno, żeby zmusić Miedzianego do osunięcia się na kolana.

– Nie.

Wchodzimy do windy i wnętrza okrętu bez jednego strzału. Przejeżdżamy na pokład nad poziomem dowodzenia. Drzwi windy się otwierają i stajemy twarzą w twarz z Szarymi komandosami.

– Kapitanie, będzie pan towarzyszył Virginii au Augustus do maszynowni – mówię do

Szarego. W jego spojrzeniu pojawia się satysfakcja, że powierzono mu tak poważne zadanie.

Po krótkim wahaniu Szary salutuje. Jego zmieszani podwładni stają za Mustang i

Telemanusami, gdy ruszają korytarzem.

Rozlega się alarm pokładowy.

Wyjce idą do silników i systemów podtrzymywania życia, podczas gdy mój oddział wspina się trzy poziomy wyżej i kieruje nie na pokład dowodzenia, gdzie Pliniusz będzie przyjmował

swoich nowych sojuszników, lecz do aresztu. Roque, Victra, Lorn, Sevro i Ragnar wślizgują się do pomieszczeń i unieszkodliwiają strażników w progach.

Więźniowie, około czterdziestu Niezrównanych, lojalistów Augustusa, zamknięci są w małych celach z duroszkłą. Sevro przechodzi obok każdej i otwiera zamki przy pomocy cyfrowego klucza.

– Podziękujcie Kosiarczowi – mówi każdemu uwolnionemu więźniowi. Powtarza to cztery

razy starej, wysokiej Naznaczonej, dopóki kobieta nie zrozumie, że nie wyjdzie, zanim nie weźmie udziału w tej grze. Wszyscy uwolnieni przewracają tylko oczami i mówią

„dziękuję”.

– Co za wspaniała, nienormalnie wysoka i nieudolna Niezrównana z ciebie. Wyjątkowa – stwierdza Sevro i pozwala kobiecie wyjść. – Lorn? Chyba znalazłem ci towarzyszkę do łóżka.

Zatrzymuje się dopiero przed przezroczystą szklaną klatką Szakala.

– Cóż to moje piękne oko wypatrzyło? – grucha radośnie Sevro. – Zaraz, zaraz! Przecież mam znowu dwoje oczu!

– Wypuść mnie – rzuca beznamiętnie Szakal. – Nie zamierzam bawić się w twoje gierki,

Goblinie.

– Podziękuj Kosiarczowi. A na imię mi Sevro, o czym doskonale wiesz.

Szakal przewraca oczami.

– Dziękuję ci, Kosiarzu.

– Ukłoń się jak dobry sługa.



– Nie.

– Och, po prostu go wypuść – warczy Lorn.

– Musi najpierw zagrać w moją grę! – oponuje Sevro. – Gównojad nie wylezie, dopóki nie zagra ładnie. Dam mu więc zagadkę. Zgadnij, co mam w kieszeni?

Zaczyna mnie to męczyć, więc za plecami Sevra pokazuję na swoje oko.

– Oko – mówi Szakal.

– Niech to jasny szlag! Kto mu podpowiedział?

Roque wyjmuje klucz z dłoni Sevra i skanuje nim konsolę celi. Potem Szakal do nas dołącza.

– Dorośnij, mały – mruczy Roque.

– Masz jakiś problem? – oburza się Sevro. – I tak musimy czekać. Nie mogę się trochę zabawić?

Nie śpieszymy się, żeby Pliniusz zaczął się bać, co możemy zrobić. Na pewno podejrzewa, że nie wszyscy w jego załodze są lojalni. Ale bez wątplenia na pokładzie ma kontyngent dobrze opłaconych żołnierzy. Zapewne najemników. I ukryje się za ich plecami jak za tarczą.

– Gdzie twój ojciec? – pytam Szakala.

– Nie wiem. Nie wydaje mi się, żeby jeszcze był na pokładzie. Co z moją siostrą? Dotarła do ciebie bezpiecznie?

– Znalazła nas.

– Dobrze. – Szakal odwraca się szybko, aby przywitać Lorna. – Co za przyjemność,

Arcosie. Gdy byłem dzieckiem, ojciec zabronił mi czytać o twoich dokonaniach. A jednak i tak to robiłem. Opowieść o starym Kamiennoskórym nie dawała mi spać.

– Podobnie jak mnie twoje dokonania w Instytucie – odpowiada Lorn i posyła mi lekki uśmiech. – Bałem się zamknąć oczy po zobaczeniu twojej kampanii.

Szakal chichocze.

– Zdaje się, że twoja misja na Europie się powiodła, Darrow.

– Zastawili pułapkę, jak się spodziewaliśmy. A Aja uciekła.

– Zatem rozwiążmy ten problem i zajmijmy się naszą wojną.

Roque spogląda to na mnie, to na niego, zapewne zauważa swobodę, z jaką rozmawiamy. O tym także mu nie powiedziałem. Przepaść między nami rośnie.

Spotykamy Mustang w mesie dla niższych rangą Kolorów podczas lunchu. Setki

Pomarańczowych elektryków i pracowników ładowni mieszają się z Czerwonymi robotnikami oraz Brązowymi nadzorcami. Gwar rozmów i trzask plastikowych talerzy na metalowych

stołach cichnie, gdy tylko Ragnar wkracza do sali. Zapada śmiertelna cisza, przzerwana tylko panicznym krzykiem nadpobudliwego nadzorcy. Jego towarzysze szybko zatykają mu usta.

Ragnar wychodzi na środek mesy i szarpie za stół. Nie czeka, aż ci, co siedzieli przy posiłku, uciekną. Obsydian wrywa stół przyśrubowany do metalowej podłogi, a PodKolory wciąż siedzą na przykręconych ławkach. Zamierają w bezruchu, oczy mają wytrzeszczone ze strachu. Widok mojej kadry pięćdziesięciu Złoty tylko dodatkowo pogłębia ich przerażenie.

Telemanusowie idą za Ragnarem i niosą obłe metalowe urządzenie – metr wysokości, dwa metry średnicy. Właśnie po to zeszli do maszynowni. Ramiona rudych wojowników okrywają pancerze, ale na czołach występują im żyły od ciężaru, który dźwigają. Mustang prowadzi ich, sprawdzając dane na unipadzie.

– Tutaj – oznajmia, a Telemanusowie stawiają urządzenie we wskazanym miejscu. Szarzy idą za nią z wielkimi zasilaczami, które umieszczają na sąsiednim stole.

– Wyjcie, zróbcie trochę hałasu – nakazuję przez komunikator.

– Przepraszam. Proszę wybaczyć. Przepraszam. – Kamyczek macha swoimi pulchnymi, drobnymi rękami. Podnosi przewód z zasilacza i przypina do dysku.

Wśród trzasków i pisków włączają się głośniki okrętu.

– *Pliniuszu* – rozlega się melodyjny słodki głosik. Rozglądam się. Sevro stoi przy terminalu z dwoma Zielonymi.

– Sevro! – wołamy z Mustang w oburzeniu.

Chłopak unosi palec, nakazując gestem, żebyśmy się wstrzymali i poczekali.

– Wszedł do systemu łączności. – Jeden z Zielonych krzywi się szczerze, gdy nam o tym donosi. –

Jeszcze chwilka.

– *Drogi Pliniuszu* – śpiewa Sevro przez komunikator.

*Gdy ci serce wali jak szalony młot,*

*A po udach spływają moczu strugi,*

*Wiedz, że to Kosiarz przybywa w lot,*

*Żeby odebrać wreszcie swoje długi.*

Zdażył wyśpiewać to trzy razy, nim Ragnar cisnął stołem w konsolę łączności. Dookoła

tryskają iskry. Sevro milknie i patrzy na blat wbity tuż obok swojej głowy. O włos bliżej, a z mojego naczelnego Wyjca nie zostałyby mokra plama. Chłopak odwraca się gwałtownie.

– Co ci się uszkodziło, ty przeklęty nadpobudliwy trollu?

– Rymowanie... nnngh – Ragnar kończy dziwnym jękiem chyba skrępowania.

– Ty go znalazłeś – szepcze Mustang, gdy wymieniamy niepewne spojrzenia.

– Który rym ci się nie podoba? – pyta Sevro, po czym przeklina Skalanego na wszystkie sposoby, jakie zna. I dodaje nawet znak skrzyżowanych pięści.

– Piszczysz jak... jak kurczak – odpowiada na to Ragnar.

– On nie może mnie obrażać – oburza się Sevro. Spogląda na mnie. – Opanuj go.

Umywam od tego ręce.

– Jeśli mógłbym doradzić, lepiej bierzmy się do pracy – wtrąca Lorn.

– Racja. Powaga na twarze, wszyscy.

Hełmy wysuwają się z kryz naszych zbroi, aby osłonić głowy i ukryć twarze. Sprawdzam na wewnętrznym wyświetlaczu odczyty temperatury i poziomu mocy.

– Przejmij sterowanie – nakazuję Mustang.

Dziewczyna podłącza się do wiertła termicznego z promu. Urządzenie służy do przebicia się przez zewnętrzny pancierz kadłuba i zrobienia wyłomu na tyle dużego, żeby oddział

abordażowy mógł przejść do wnętrza atakowanego okrętu. Dlatego przebicie się przez

podłogę to żaden problem. A znajdujemy się tylko poziom wyżej, bezpośrednio nad mostkiem.

Wskakuję na wiertło.

Dla Helldivera pęd to wszystko, to operacja wojskowa, to życie. Ruszać się i lepiej, żeby nic nie stało na drodze.

– Wiesz, co powiedziałem wcześniej? – pyta mnie Lorn.

– O taktyce?

Uśmiecha się złowrogo spod brody.

– Olać taktykę. Przeraż ich.

Zerkam na Mustang.

– Odpalaj.

Dziewczyna naciska guzik. Wiertło rozjarza się na czerwono. Gorąco bucha na wszystkie strony. PodKolory porzucają jedzenie i uciekają z sali, gdy podłoga zaczyna się wybrzuszać i topić. Wygląda jak piasek przesypujący się w klepsydrze. Wiertło ze mną na szczycie spada przez kapiące sklepienie na mostek. Znowu jestem Helldiverem, choć tylko przez okamgnienie.

Spadam prosto na rozbity wiertłem wielki stół Augustusa, pchany impetem odtaczam się na marmurową posadzkę, która wciąż się topi. Odcinam przewód mocy ostrzem i wstaję wśród dymu, pary i tańczących płomieni pożerających okrągły drewniany blat.

Stu Złoty z Elity patrzy na mnie z zaskoczeniem. Pretorzy, Legaci, Sędziowie i rycerze z najpotężniejszych rodów obnażają ostrza. Wszyscy kiedyś lojalni wobec Augustusa. Teraz ugięli karki przed Pliniuszem. Chorągiewki na wietrze, jak to mówią.

A oto i on, u szczytu długiego stołu. Twarz mu blednie. Śliczny, sprytny Pliniusz. Zostało mu jedno oko, zamiast drugiego ma tymczasowo bioniczny zastępnik. Po prawicy siedzi jedna z Furii Władczyni, Polityk Moira. W porównaniu z Ają jest pulchna jak ciasto. Ale jej słodki uśmiech jest prawie tak złowrogi jak ostrze siostry. Obok niej widzę Rycerza Olimpijskiego, Pana Burzy z Wysp Japońskich na Ziemi.

– Szlachetni panowie i panie! – ryczę przez wzmacniacz głosu w swoim hełmie. –

Przyszedłem po Pliniusza .

Zeskakuję z wiertła, hełm cofa się w kryzę zbroi, więc wszyscy widzą moją twarz.

Podchodzę do Pliniusza. Moi towarzysze zeskakują przez wypalony otwór. Arcos jako pierwszy. Potem Mustang i Sevro.

– Powiedziałeś, że on nie żyje! – warczy ktoś z lewej, ostrze na wpeł wyciągnięte.

– Lorn au Arcos? – mamrocze ktoś inny. Jego imię powtarzane jest na sali, podczas gdy Sevro i Roque zabezpieczają drzwi.

– I Kavax au Telemanus – ryczy Kavax, gdy ląduje. Łatwo się domyślić, od kogo Pax się tego nauczył.

– Kosiarz żyje – dodaje Mustang, po czym zeskakuje z wiertła. – Ja też. I mój brat.

Przyszliśmy, aby odebrać to, co należy do naszego ojca.

Nieźrównani Naznaczeni nie wiedzą, co robić.

– Kłamcy! – krzyczy Pliniusz. – Zdradziliście ArcyGubernatora! Związać zdrajców!

Lorn ucina to prostą deklaracją:

– Jeżeli ktoś zbliży się do Darrowa na choćby dwa metry, zabiję *wszystkich* w tej sali.

Nikt nie wydaje się chętny, żeby sprawdzić ten blef. Mężczyźni, pomiędzy którymi

przechodzę, odskakują. Reputacja Lorna wycina mi wyrwę w murze ciał, wiodącą prosto do Pliniusza. Nie zwalniam kroku. Nie muszę.

– Pliniuszu – rzucam – musimy porozmawiać.

– Zabić go! – woła Pliniusz. – Zabić Kosiarza!

Młody mężczyzna podkrada się i umiera z ręki swojego sąsiada, który wbija mu nóż w plecy. A potem ze strachem spogląda na Lorna.

– Dwa i trzy dziesiąte metra – stwierdza Lorn. – Blisko.

– Zabić go! – krzyczy Pliniusz, lecz bez skutku. – To tylko chłopiec!

Odzywam się cicho, jednak wszyscy mnie słyszą.

– Pliniuszu au Velocitorze, zdradziłeś ArcyGubernatora Nerona au Augustusa.

Spiskowałeś, aby zniszczyć jego ród, chciałeś zmusić do małżeństwa jego córkę, zabić jego syna, a głowę rodu wydać Władczyni, która postanowiła go zgładzić. Twój pan cię

wywyższył, a ty próbowałeś go pogrążyć. Zdradziłeś jego zaufanie, a wszystko dla własnych korzyści. I co najgorsze, poniosłeś klęskę.

– Powstrzymać go! – Pliniusz już wrzeszczy i gestykuje nerwowo. – Moiro!

Moira szepcze do Pana Burzy, po czym oboje odstepują o krok.

– Miałeś zginąć – mamrocze Pliniusz. – Aja powiedziała, że zabije cię na Europie.

– *A znasz kogoś, kto może mnie zabić?* – W moim głosie narasta ten absurdalny gniew Złotych, więc mogę zaimponować tym, którzy tego pragną. – Szakalowi się nie udało. Antonia au Severus zawiodła. Cenzorzy Apolla i Jupitera ponieśli klęskę. Cassius au Bellona nie zdołał. Karnus też. Cagney zawiodła. Aja au Grimmus i jej Pretorianie nie dali rady.

Katu, który mnie powiesił, też się nie udało. Kopalni i żmijom jaskiniowym również.

– A teraz ty do nich dołączyłeś.

I właśnie wtedy podchodzę, szybciej niż atakująca żmija jaskiniowa, po czym go

policzkuję. Pliniusz zatacza się na krześle jak liść targany wiatrem, opiera się na Złotej stojącej obok niego. Kobieta splota i cofa się jak najdalej.

– Jesteś robakiem, który uważał się za węża tylko dlatego, że pełza. Lecz twoja władza nie była prawdziwa, Pliniuszu. Przyśniła ci się. A teraz pora się obudzić.

Pliniusz niezdarnie zrywa się na równe nogi i próbuje uciec. Jego starannie zaczesane włosy już się potargały, a na prawym policzku rośnie czerwony ślad. Odwracam go

szarpnięciem i policzkuję ponownie, tyle że mocniej. Pliniusz zamiera zaskoczony. Nie wie, co robić. Nigdy nie był w Instytucie, nie wyrwano go z łóżka już pierwszego dnia, a Obsydiani

go nie pobili. Nie pędził przez zaśnieżoną, zamrożoną plażę na czele zbrojnej kawalkady. Nie głodował. Dlatego teraz może się tylko kulić i płakać.

Łapię go, podnoszę wysoko. Ale nie zamierzam go już krzywdzić. Nie sięgnę po

okrucieństwo jak Karnus albo Titus. Moją bronią jest rozwaga. Sadzam Pliniusza na krześle ArcyGubernatora. Poprawiam mu muchę. Przyglądam włosy jak troskliwa matka. Poklepuję po wilgotnym od łez policzku. A potem podsuwam mu dłoń, na której noszę pierścień Domu Mars.

Pliniusz całuje go bez wahania, nie muszę prosić.

– Żegnaj, Pliniuszu. Zostań ze swoimi przyjaciółmi.

Wychodzę, śledzony spojrzem wszystkimi Niezrównanych Naznaczonych. Porzucili już

Pliniusza. Słyszę młaśnięcia, ale nie odwracam nawet głowy – wiem, jaki odgłos wydaje ostrze przy zabijaniu. Nawet nie czekali. Pliniusz znika w pomroce zapomnienia.

Ci sami Naznaczeni uderzają się pięściami w pierś, aby mi zasalutować. Potwory. Pójdą za każdym, byle dorwać się do władzy. Ale nie zdają sobie sprawy, że władza się nie waha.

Władza jest pewna. To góra, nie wiatr. Gdyby tak łatwo się zmieniała, straciłaby pokładane w niej zaufanie. A tylko zaufanie utrzymywało mnie jak dotąd przy życiu. Zaufanie do przyjaciół i ich zaufanie do mnie.

Władczyni zdaje sobie z tego sprawę. Właśnie dlatego trzyma Furie blisko. Poświęcą dla niej życie, jak moi przyjaciele dla mnie. Ponieważ w ostatecznym rozrachunku jakie znaczenie ma władza nad wszystkimi światami, jeżeli najbliższy przyjaciel może okazać się zdrajcą?

Ojciec Władczyni zrozumiał to dopiero, gdy córka ścięła mu głowę. Pliniusz pojął to za cenę życia. A ja zapomniałem o tym, odsunąłem się od przyjaciół i przez to omal wszystkiego nie straciłem. Straciłem w ten sposób Tactusa, który poczuł się przygnieciony i odrzucony w mój cień zupełnie, jakby przebywał wśród swoich braci. Dlatego zacząłem od nowa z Victrą i dlatego powiedziałem Ragnarowi prawdę. I dlatego będę musiał ułagodzić Lorna i Roque'a.

Tylko dzięki zaufaniu Czerwoni mają szansę. Jesteśmy ludźmi związanymi pieśnią i tańcem, rodziną i przyjaźnią. A ci Naznaczeni są sojusznikami tylko z przymusu i konieczności.

Przyglądam im się z zadumą. Stali się tak surowi i napięci, że złamią się i rozbiją jeden o drugiego, nie przeze mnie, ale przez to, kim są.

Unoszę się na butach grawitacyjnych, ale zanim odejdę, rzucam jeszcze:

– Powiedzcie wszystkim, którzy będą słuchać, że Kosiarz leci na Marsa. I przywołuje

Stalowy Deszcz.

*Rozdział trzydziesty szósty*

*Pan życia i śmierci*

„Władza to korona, która przeżera głowę” – powiedział mi Szakał, gdy planowaliśmy

inwazję. Przywołał za przykład Octavię. Ale prawda jest jeszcze bardziej okrutna. Złoci już tak długo mieli władzę. I jak się zachowują? Czego pragną? Korzystają z pierwszej lepszej okazji, żeby rozpętać wojnę. Przybywają z daleka i z bliska, ich okręty ścigają się, by dołączyć do mojej armady, gdy tylko rozniosła się wieść, że wzywam Stalowy Deszcz po raz pierwszy od dwudziestu lat. Wykorzystałem kanały Szakala, aby rozpowszechnić wezwanie oraz informację o klęsce Pliniusza. Wielu ze Złotych to młodszy synowie i córki, którzy nie odziedziczą majątków po rodzicach. Podżegacze, uczestnicy pojedynków, młodzi spragnieni sławy. I każdy przyprowadza swoich podwładnych, Szarych i Obsydianów. Światy Elity

czekają, wstrzymując oddech, aby zobaczyć, co się dzisiaj stanie. Jeżeli przegramy, Władczyni zachowa tron i dalej będzie rządzić. Jeżeli wygramy – przypieczętujemy wojnę domową.

Żaden świat nie będzie mógł pozostać obojętny.

Legiony odbywają musztrę na moim okręcie, gdy armada gromadzi się wokół doków na

Fobosie. Niosę swoje ostrze, teraz wygięte jak sling, wyszczerbione i okrutne. Teraz to moja buława. Żelazny pierścień Domu Mars uciska mi palec, gdy zamykam dłoń i spoglądam przez panoramiczne okna na księżyc Marsa. Pegaz kołysze mi się na piersi.

Nie widzę wrogów, ale wiem, że Bellona i większość miejscowych sił Władczyni czekają

między mną i moją planetą. Stary Pan Popiołów nadlatuje Władczyni na odsiecz z wnętrza Układu Słonecznego na czele swojej Wielkiej Armady, ale jest jeszcze o tydzień drogi od Marsa. Nie pomoże dzisiaj Bellonie.

Moi Niebiescy obserwują mnie, podobnie jak generałowie – z osobistej floty Victry, która porzuciła siły swojej matki, a także z okrętów flot rodów Arcos i Telemanus – oraz dowódcy sił zbrojnych Augustusa.

Mars jest zielony i niebieski, z plamami chronionych tarczami miast. Białe kopuły znaczą bieguny planety. Błękitne oceany rozciągają się wzdłuż równika. Pola trawy i gęstych lasów porastają lądy. Na niebie kłębią się chmury, kłaczki bawełny, które czasami przesłaniają warowne miasta. Jest też broń. Wielkie posterunki na pustyniach oraz wokół miast, z

potężnymi działami wymierzonymi w moją flotę.

Jednak myślami wracam nie na powierzchnię Marsa, lecz w głąb ziemi. Zastanawiam się,

co robi moja matka. Czy przygotowuje śniadanie? Czy zdaje sobie sprawę, co ma się zaraz wydarzyć? Czy ktokolwiek z moich bliskich czuje choć, że coś się dzieje, gdy zaczniemy?

Palce mi nie drżą, choć bitwa jest blisko. Oddech mam spokojny. Urodziłem się w rodzinie Helldiverów, żeby trudzić się w pyłe i nędzy i żeby służyć Złotym. Urodziłem się do

szybkości.



A jednak jestem przerażony. Mickey wyrzeźbił mnie na boga wojny. Ale dlaczego czuję się jak chłopiec stojący w śmiesznej zbroi? Dlaczego znowu chcę być pięciolatkiem, wrócić do czasów, gdy mój ojciec jeszcze żył, a ja sypiałem w jednym łóżku z bratem i słuchałem, jak mamrocze przez sen?

Odwracam się. Przede mną morze Złotych głów.

Cóż za piękna rasa. Pięknych potworów. Mają wszystkie najlepsze cechy ludzkości, oprócz jednej. Empatii. Ale mogą się zmienić. Wiem to. Może nie teraz, może nie przez najbliższe

cztery generacje. Lecz to jest właśnie początek – koniec ich Złotego Wieku. Jeżeli pokonam Bellonę, osłabię Złotych. Pociągnę wojnę domową na Księżyc i zniszczę Władczynię. A wtedy powstanie Ares.

Nie chcę tu być. Chcę wrócić do domu, być z Eo i z dzieckiem, które nigdy nie miało szansy się narodzić.

Ale nie mogę. Czuję, jak wzbiera we mnie fala gniewu, jak otwierają się stare rany.

To dla ciebie, mówię w duchu do Eo. Dla świata, w którym powinnaś żyć.

A potem wracam do swojej roli, żeby nakarmić wpatrzone we mnie wilki.

– W ostatnich dniach jesieni – mówię śmiało i głośno – Czerwoni, którzy pracują w

kopalniach Marsa, zakładają maski szczęśliwych ghuli, aby uświęcić zmarłych, których

zabrała czerwona ziemia, aby wspominać i ukoić ich duchy. My, Aureaci, zabraliśmy te maski i uczyniliśmy je swoimi. Dajemy im twarze legendarnych bohaterów i mitologicznych postaci, aby przypominać sobie, że nie istnieje dobro ani zło. Nie ma bogów. Ani demonów. Są tylko ludzie. I tylko ten świat. Śmierć przyjdzie po każdego z nas. Jednak co wykrzyczymy na wiatr?

Jak zostaniemy zapamiętani?

Zdejmuję rękawice i płytko przecinam sobie dłoń. Zaciskam palce, aż krew popłynie po skórze, po czym przyciskam rękę do twarzy.

– Sprawcie, aby wasza krew była wspominana z dumą, gdy już zabierze was śmierć.

Rozlega się tupnięcie. Tylko jedno.

– Księżyc to nowa Ziemia. Władza nami i zmusza, abyśmy gięli karki i błagali o łaski.

Nasze poświęcenie oznacza jego zysk. Ponownie słabi powstrzymują silnych. Po dzisiejszym dniu, gdy zdobędziemy Tysiąc Miast Marsa, nasze szeregi się powiększą. Władcy Księżyców Galileuszowych poprzysięgną nam wierność. Gubernatorzy Saturna ugną przed nami karki.

Neptun przybędzie z okrętami, a my odetniemy pijawkę, jaką jest Octavia au Lune.

I posadzimy na tronie tyrana. Dla nich to ma sens. Nie wiem, jak to możliwe. Wymienić tyrankę na tyrana. Jak taka sytuacja może ich zachęcać do walki? Jednak do walki ludzie zawsze znajdą powód.

Kolejne tupnięcie.

– Daliśmy wam holokamery, aby utrwalić każdą chwilę dzisiejszego dnia. – Jak w

Instytucie i kiedy przejąłem „Paxa”. Pomysł Szakala. – Każda chwila zostanie zapamiętana.

Jeżeli zdobędziecie chwałę, zostanie to nagłośnione przez holosieć i holowizję na wszystkie światy. Jeżeli zhańbicie siebie lub swój ród, wieść o tym nie zginie wraz z wami.

Zerkam na Ragnara, jakby to on był moim zastępcą. Lorn przewraca oczami na ten dramatyzm.

– Będziemy pamiętać.

*Tupnięcie.*

– Miasta zdobędziemy. Złoci, którzy się nie ugną, zostaną zabici, ale niższe Kolory

podlegają ochronie. Nie zasypimy kopalń. Nie zniszczymy osiedli ani nie spalimy roślinności na żyznych ziemiach. Mamy zdobyć łup, jakim jest Mars. Nie chcemy martwej planety. To przecież dom wielu z was, więc pozbadźmy się tylko zarazy, która zżera go od środka. A kiedy sława tego dnia przeminie, kiedy wytrzecie miecze z krwi i oddacie zakrwawione szmatki swoim synom i córkom, aby zapamiętali, że braliście udział w jednej z największych bitew od Upadku Ziemi, wspomnijcie, że wybraliście sami swoje przeznaczenie. Nie dostaliście go od Władczyni. Nie dostaliście go od Gubernatora. Wzięliście własny los w swoje ręce, jak nasi przodkowie brali całe światy. Jesteśmy Nowymi Zdobywcami.

Tym razem rozlega się ryk. Nienawidzę siebie, bo drzę na myśl o chwale. W głębi każdego człowieka skrywa się to pragnienie. Ale ja uważam to za słabość, nie siłę – nie chcę porzucić prawości dla tego obcego, mrocznego pragnienia.

Spoglądam na Szakala stojącego obok mostka. W tym dniu ma niewielkie znaczenie.

Wykonał już swoje zadanie, sprowadził tych ludzi tutaj. Przejął łączność i rozpowszechnił

falszywe informacje, przez co wiele z sił Władczyni, które ruszyły Bellonie na pomoc, rozproszyło się w pogoni za pogłoskami, jakoby część mojej floty wymknęła się, aby

ukradkiem zaatakować Księżyc. Był to oczywiście tylko podstęp. Wszystkie moje siły są razem.

– Niezły z ciebie władca marionetek – szepcze Szakal, gdy czekamy na Białych, którzy

mają wejść na mostek za Złotymi. Sevro przysuwa się do mnie bliżej, jakby chciał

przypomnieć Szakalowi, gdzie jego miejsce.

– Wykonałeś najwięcej pracy z pociąganiem za sznurki. Nie zdążyłem ci podziękować – mówię cicho do Szakala, zanim odejdzie.

Jego płaską twarz wykrzywia grymas odrazy.

– Musimy się bawić w sentymenty?

– Pomogłeś uciec Mustang. Dlatego Pliniusz cię złapał. – Szakal nigdy o tym nie

wspominał, nie wykorzystał tego, aby się pochwalić ani jako elementu nacisku. Był to prosty uczynek brata, który pomógł siostrze. Wzruszam ramionami. – I starałeś się ze wszystkich swoich przeklętych sił, żeby uratować Quinn. Może jesteś lepszym człowiekiem, niż ci się wydaje.

Wybuchają tym swoim warkotliwym śmiechem.

– Wątpliwe. Jutro zdrajca zostanie królem, a Imperatorka stanie się zdrajczynią, zatem może wredny człowiek zmieni się w prawego.

Spoglądam w okno.

– Przygotowałeś satelity?

– Na wirusa? – Kiwa głową. – Moi Zieloni zamkną całą łączność, gdy tylko dasz mi znak.

Na piętnaście minut robi się cicho jak w grobie. Dla wszystkich. Planetarne i lokalne naziemne jednostki obronne nie mają kamer ani czujników. Wystarczy czasu na uszkodzenie lub zniszczenie większości stałych posterunków.

Szakal spuszcza wzrok na swoje buty, jakby nagle stracił pewność siebie.

– Jeżeli możesz, ocal mojego ojca.

Sevro przestępuje z nogi na nogę, rozdrażniony naszymi szeptami.

– Zrobię to.

Wolałbym raczej zostawić Augustusa, aby zgnił w jakiejś podziemnej dziurze. Ale będę go potrzebował, gdy tylko Mars zostanie zdobyty. Chociaż wiele potrafię zrobić, jednak nie jestem Gubernatorem ani królem. Potrzebna mi legitymizacja moich czynów, o czym

przypomniała mi zeszłej nocy Teodora. Bez tego będę tylko uzbrojonym bandytą.

– I jesteś pewien co do Agei? – pyta Szakal. – I nagrody? Inaczej to lekkomyślne.

– Na sto procent – zapewniam.

– To dobrze, dobrze... A zatem życzę szczęścia, Kosiarzu. – Wycofuje się.

– Już chcesz mnie zastąpić? – prycha Sevro, patrząc za odchodzącym Szakalem.

– On jest jednoręki. Ty jednooki. Mam widać swój ulubiony typ.

Ceremonie się ciągną. Dwustu Złotych opada na kolana, gdy Białe przechodzą między ich szeregami. Próbuję myśleć, że taka powaga jest głupia. Ci wszyscy ludzie klęczący w nadętej

ciszy w imię idiotycznej tradycji. Lecz tak właśnie powstaje historia ludzkości. I jest w tej ciszy szlachetność.

Pancerze lśnią w sztucznym świetle. Eteryczne Białe wędrują między szeregami, bosc

dziewice w śnieżnobiałych pelerynach. Niosą sztylety z żelaza i laury ze Złota. Białe dziecko niesie trzy Złote atrybuty – berło, miecz i zwój owinięty laurem. Czuję dłonie na ramionach.

Czuję ich wagę.

Podobno tak właśnie Dawni Zdobywcy przygotowywali się do bitwy – dziewice z Bieli

kaleczyły ich żelazem. Teraz dotykają naszych czoł laurem, a potem przecinają nam lewą dłoń żelaznym ostrzem i szepczą do ucha:

– Synu mój, córko moja, teraz, gdy krwawisz, nie wolno ci zaznać lęku i porażki, tylko zwycięstwa. Twoje tchórzostwo niech odstąpi. Twój gniew niech zapłonie jasno. Powstań, wojowniku ze Złota, i zbierz w sobie potęgę swojego Koloru.

A potem każdy wojownik odciska sobie skrwawioną dłoń na twarzy i na czole hełmu z

obliczem demona. Jeden po drugim wstajemy w ciszy. Każdy Złoty reprezentuje swoje

legiony. To właśnie ten sztorm, który spadnie na Marsa deszczem żelaza. Miliony Złotych, Szarych i Obsydianów.

– Nie będziemy walczyć z planetą. Będziemy walczyć z mężczyznami i kobietami.

Odetnijcie im głowy, a ich armie pójdą w rozsypkę – przypomina nam Lorn.

Zebrani wojownicy ze smugami krwi na twarzach recytują wraz ze mną imiona naszych głównych wrogów.

– Karnus au Bellona, Aja au Grimmus, Imperator Tiberius au Bellona, Scipia au Falthe, Octavia au Lune, Agrippina au Julii i Cassius au Bellona. Chcemy ich śmierci.

W salach moich wrogów wojownicy na pewno recytują imię moje oraz wszystkich moich przyjaciół. Ten, który zabije Kosiarza, otrzyma nagrodę i zaszczyty. Łowcy i grupy zabójców przeskanują nasze sygnały łączności, żeby mnie odnaleźć. I będą przybywać w stadach. Jedni zapragną starcia sam na sam, inni wybiorą nóż w plecy lub kulę snajpera. Niektórzy nie wezmą nawet udziału w bitwie o Marsa – Szarzy najemnicy, wyzwoleni Obsydianowi łowcy

nagród. Rycerze Wenus i Merkurego chcą tylko mojej krwi, wykorzystują możliwości swoich rodów i żołnierzy, aby pomogli w prywatnym polowaniu – szukają własnej chwały. Szakał zablokował informacje, że przybyło tutaj trzech Rycerzy Olimpijskich. Wszyscy obserwowali mnie, studiowali nagrania z moich zwycięstw i porażek. I poznali moją naturę oraz naturę Wyjców. A ja nie poznałem ich.

Zatem niech przybędą i się przedstawią.

Bardziej zajmuje mnie spotkanie z Cassiusem. A przynajmniej tak powiedziałem Lornowi.

Jednak stary Arcos wie, że to nieprawda. Głęboki wstyd pali mnie po tym, jak krzyczałem na jego bliskich niczym potwór. Pokonałem go uczciwie, ale nie musiało mi się to tak bardzo podobać. Czasami zastanawiam się, czy gdyby Lorn urodził się jako Czerwony, a ja jako Złoty, to nie skończyłbym jako gorszy człowiek, niż jestem, a on jako lepszy?

Wydaje mi się, że byłbym zdolny do wielkiego zła. Może stąd to poczucie winy. Może to strach przed życiem, w którym nigdy nie poznałbym Eo. Albo może to strach przed tym, że tak łatwo mi popaść w dumę.

Moi wojownicy rozchodzą się do swoich jednostek. Obserwuję przez okno na mostku, jak

pół setki szturmowców znika wśród potężnej armady, która się przy nas zebrała. Chociaż wrogowie wiedzą, że lecimy na Marsa, nie mają pojęcia, że pojawimy się tak szybko.

Odwracam się i skupiam uwagę na pozostałych dowódcach. Orion poprowadzi „Paxa”, a

Roque całą armadę ze wsparciem Victry. Zgadzam się na ich plan. Reszta mojego najbliższego kręgu przyjaciół zwleka, oprócz Mustang, która już idzie do hangarów.

Wyciągam rękę, aby poklepać Telemanusów po ramionach.

– Pax wyglądałby dzisiaj wspaniale – mówię. Sofokles kręci się przy nogach Kavaxa.

– Mój brat zawsze wyglądał wspaniale – dodaje Daxo ciepłym tonem. – Głupek. Krzyczał

i próbował naśladować ojca. Ale i tak był wspaniały. Zabijemy Tiberiusa au Bellonę, nic się nie martw.

– Wyglądam, jakbym się martwił?

Obaj tytani kiwają wielkimi głowami. Kavax idzie do bitwy w milczeniu. Nie może się zdobyć na mówienie, mamrocze jedynie niewyraźnie, więc Daxo odzywa się za niego.

– Uważaj na siebie, Kosiarzu. – Zerka na Szakala. – Wiemy, że to małżeństwo z rozsądku, ale nie ufaj mu.

– Wiesz, że nie ufam.

– Nie ufaj mu – powtarza Daxo z naciskiem.

– Ufam tylko przyjaciółom.

A potem się żegnamy.

Orion marszczy brwi w zamyśleniu. Pytam ją, czy coś nie w porządku, gdy pochyla się nad wyświetlaczem skanera. Sterniczka ocenia siły wroga w rzeczywistości wirtualnej.

– Zauważyli nas, gdy wchodziliśmy na orbitę godzinę temu. Jesteśmy wystawieni na atak, gdy się przekradamy, ale wrogowie nie ruszyli, zachowali formację obronną nad Ageą.

– To dziwne – zgadza się Roque. – Pozostawiają większość planety bez obrony. Może

będzie lepiej, jeżeli rozpoczniesz atak od południa...

– Chcę Ageę – upieram się zimno.

– Wystrzelimy cię w środek bitwy, bracie. Stolica może poczekać. Zdobądźmy inne miasta, a stolicę weźmiemy bez jednego wystrzału. Po co ten pośpiech?

– Jeżeli zdobędziemy stolicę, inne miasta skapitulują.

– Umrze wielu ludzi.

– To wojna, Roque. Wierz mi.

– To twoja wojna. – Roque saltuje. A gdy podchwytuje groźne spojrzenie Victry, przyciąga mnie bliżej. – Żegnaj, Prymusie.

Całuje mnie w oba policzki, czym całkowicie mnie zaskakuje.

– To była długa droga – mówię ostrożnie.

– I mamy do przejścia wiele mil, zanim położymy się spać.

– Bracie mój. – Chwytam go za kark i przyciskam swoje czoło do jego. – Przepraszam. Tak bardzo mi przykro.

Potrząsam głową.

– Za Quinn. Za Leę. Za galę. Za tysiące drobiazgów, którymi cię obarczyłem. Jesteś moim najdroższym przyjacielem. – Cofam się i odwracam wzrok. – Powinienem powiedzieć ci to wcześniej. Ale bałem się.

– W jakim świecie mógłbyś się mnie bać? – pyta Roque.

Kręcę głową.

– Wybacz mi. Wszystko.

– Później będziemy się godzić. – Klepie mnie po ramieniu. – Niech szczęście ci sprzyja.

Zostawiam go. Lorn i ja razem schodzimy z mostka, ale nasze drogi szybko się rozbiegają.

Lorn ogolił się na wojnę i założył swoją starą zbroję Pana Gniewu. Wygląda wspaniale, ale

cuchnie okropnie. Ci starzy Rycerze są jak Wyjce – przesądni. Nie chcą czyścić swoich pancerzy ze strachu, że wymyją szczęście, które sprawiło, że jak dotąd przeżyli.

– Odezwało się do mnie wielu starych przyjaciół – oznajmia Lorn. – Stanęli po stronie Bellony.

– Starzy mężczyźni i kobiety?

– Starzy mają już dawno młodość za sobą. – W jego oczach pojawia się błysk

rozbawienia. – Ale pytali mnie o ciebie. Pytali, czy chłopiec-wódz ma naprawdę cztery metry wzrostu. I czy naprawdę towarzyszy mu stado wilków. I czy to niszczyciel światów.

– I co powiedziałaś?

– Że masz pięć metrów wzrostu, towarzyszy ci olbrzym i karzeł, a na śniadanie jadasz

jajecznice z tłuczonym szkłem. – Parskamy śmiechem. – Nie podoba mi się, że mnie tu

sprowadziłeś. Nie wierzę, że jesteś mężczyzną, za jakiego pragniesz uchodzić. Jeżeli

przeżyjesz, a ja nie, bądź lepszy niż człowiek, który zwabił przyjaciela podstępem.

Tępy ból przeszywa mi głowę. Lorn prosi. Nie po to, abym czuł się winny, ale dlatego, że naprawdę mu zależy. Powinienem być lepszy. Chcę taki być. I w ostatecznym rozrachunku będę. Jednak koniec nadejdzie z konsekwencjami... Czy jestem jak wszystkie zagubione dusze?

Czy jestem jak Harmony? Albo Titus?

– Obiecuję – zapewniam, chociaż zamierzam go zranić jeszcze niejedną raz.

– To dobrze. – Prostuje się. – Zatem po Agei ruszaj na półkulę północną. Ja zajmę się południową. A potem spotkamy się tutaj i wypijemy whiskey. Zgoda, mój szlachetny panie?

Kiwam głową, ale Lorn wciąż nie odchodzi.

Przygląda mi się, a potem odwraca wzrok, jakby niezdolny spojrzeć mi w oczy. Emocje rwą mu głos.

– Za każdym razem, gdy wracałem do żony, mówiłem jej, że chłopcy mieli dobrą śmierć. –

Bawi się nerwowo swoim pierścieniem. – Nic takiego nie istnieje.

– Achilles miał dobrą śmierć.

– Nie. Achilles pozwolił, aby pochłonięły go duma i gniew, a w ostatecznym rozrachunku strzała wypuszczona przez Pixie trafiła go w stopę. Warto żyć dla czegoś więcej. Mam

nadzieję, że zestarzejesz się na tyle, aby zrozumieć, że Achilles był przeklętym głupcem. A my jesteśmy jeszcze większymi głupcami, ponieważ nie zdajemy sobie sprawy, że Achilles wcale nie był bohaterem Homera, lecz ostrzeżeniem. Mam wrażenie, że ludzie kiedyś to wiedzieli. –

Gładzi ostrze końcami palców. – To cykl. Śmierć przynosi śmierć, która przynosi śmierć.

Takie było moje życie. Nie sądzę, że powinienem był zabić tego chłopaka. Twojego przyjaciela.

– Dlaczego to mówisz?

– Ponieważ widzę, jak inni na ciebie patrzą. Myślę, że zrobiliby dla ciebie wszystko, ponieważ w nich wierzysz.

Pochylam się i całuję go w pomarszczony policzek tak, jak Czerwoni całują ojców lub wujów.

– Tactus by cię nie winił. Ja też nie. Masz jeszcze wnuka, którego musisz wychować. Może zdołasz nauczyć go tego, czego ze mną ci się nie udało – że warto żyć w pokoju. Dlatego wyświadczyć nam przysługę i nie zgiąć, starcze.

– Ha! – Posiwiwały wojownik śmieje się, początkowo z przymusem. Potem jeszcze bardziej wymuszenie. Wreszcie odwraca się na pięcie. – Ha! Nie narodził się jeszcze człowiek, który może zabić starego Kamiennoskórego!

Jego rycerze, starzy mężczyźni i kobiety, otaczają go. Żadne nie ma mniej niż siedemdziesiąt lat. Rozpoznaję jednak ich twarze z historycznych zapisów buntu na Księżycu oraz innych wielkich



wojen. Ich przyjaciele i towarzysze broni czekają teraz na Marsie.

Ruszam do hangaru, pożegnawszy się krótko z Victrą. Woła mnie jeszcze. Czuję, że Roque się nam przygląda. Dziewczyna próbuje coś powiedzieć. Czerwone słońce na jej czarnym

pancerzu niemal kapie od krwi. Czarna farba ukośnie przecina jej twarz. Oczy płoną, a jednak wydają się wrażliwe, łagodne, gdy szukają mojego spojrzenia i odbicia tego, co czuje kobieta.

– Po dzisiejszym dniu nazwisko Julii będzie znaczyć więcej niż pieniądze – mówię. Jej plan zmieni przebieg bitwy w kosmosie.

– Nie obchodzi mnie to. – Muska palcami mój napierśnik, a usta rozciągają się w ten jej złośliwy, ironiczny uśmiešek, który tak dobrze znam. – Jeżeli zginiesz, chcę, żebyś w swoich ostatnich chwilach zastanawiał się, jak wielki popełniłeś błąd, że spędziłeś tyle nocy samotnie na pryczy w Akademii.

Puka w moją zbroję, wywołując brzęk.

– Jak wspaniale moglibyśmy się wtedy poczochnąć.

Teodora czeka w korytarzu. Spogląda na mnie znacząco.

– Och, zamknij się.

– Mogłaby cię przeżuć i wypluć, *domine*.

– Dlaczego nie jesteś w magazynach, gdzie będzie bezpiecznie?

– Nigdzie nie będzie bezpiecznie. – Teodora gestem nakazuje mi się pochylić. Wpina mi we włosy mały czerwony kwiatek, jaki mogłaby nosić młoda dziewczyna.

– Każdy rycerz potrzebuje daru – stwierdza, po czym się odsuwa. – Nie zgrywaj za bardzo bohatera. Jesteś za sprytny, żeby zginąć w głupiej bitwie.

A potem odchodzi. Po drodze ściska ramię Ragnara. Nie wiedziałem, że się znają. Ragnar rusza za mną, ale trzyma się z tyłu jak wahający się cień, gdy podchodzi do mnie Sevro.

– A zatem zrobione? – pytam naczelnego Wyjca.

Wzrusza ramionami.

– Wysłałem już.

– Rozmawiałeś z *nim*?

– Zostawiłem informację przez holosieć – wyjaśnia. – Posłałem wiadomość. Dostali ją.

Mam nadzieję.

– Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, czy ją dostali?

– A skąd miałbym wiedzieć? Powiedziałem, że ją wysłałem. Zgodnie z instrukcją.

Przeklinam cicho. Sevro pogwizduje tę przeklętą melodię, którą śpiewał Pliniuszowi.

Przerywam mu. Skręcamy za róg i mijamy sześć tuzinów Szarych brytanów z oddziałów specjalnych, którzy biegną do kapsuł. Sześciu Obsydianów idzie za nimi. Otwierają dłonie do Ragnara i do mnie na znak szacunku.

– Widzisz, co noszą? Slingi na pancerzu. – Sevro uśmiecha się do mnie. – To się rozprzestrzenia.

– Zastanawiałeś się, co się stanie, jeżeli twój ojciec tam będzie? – pytam.

– Nie. – Poważnieje. – Nie myślałem o tym.

## *Rozdział trzydziesty siódmy*

### *Wojna*

Hangar na dziobie jest ogromny. Gigantyczna jaskinia w brzuchu mojego okrętu, wypełniona tłumami ludzi we wszystkich Kolorach. Długa na sześćset metrów. Po lewej stronie czekają setki kapsuł bojowych. Do każdego rzędu dostęp zapewniają schody i galeryjki, którymi przechodzą ludzie w pancerzach. Tysiące w gotowości szykują się do podziału na grupy w zależności od legionu.

Przez pokłady przetacza się alarm bojowy. W głośnikach chrypi głos Orion. Już poza kadłubem Roque, obecnie najmłodszy Imperator od setek lat, rozdzieli naszą armadę na flotylle, aby walczyć z rodem Bellona nad Marsem. Eskadry szturmowców i śmigaczy

przelatują w tę i z powrotem. Niebiescy latają po śmierć. Złote szwadrony wśród nich

prowadzą pozostałych. A wszystko po to, aby zrobić wyłom dla promów bojowych – kiedy

dotrą do kadłuba wrogiego okrętu, przedrą się na pokład. Niektórzy Pretorzy zacieśniają szyki, aby bronić własnych okrętów przed abordażem, inni wyprowadzają ataki. Tak czy inaczej to loteria. Nie mogę o tym myśleć. Victra, Roque i Orion mają swoje obowiązki, ja mam swoje.

Przystaję, rozglądam się po hangarze.

– A jeżeli Ares nie istnieje? – pytam cicho.

– O czym ty mówisz? – prychna Sevro.

– A jeżeli to tylko sztuczka Złotych? Ktoś pociągnął za sznurki, aby pchnąć Elitę w

określonym kierunku, bo tego właśnie potrzebował? A jeżeli to wszystko kłamstwo?

Sevro przygląda mi się przez długi czas, a potem wskakuje na poręcz i wyje ze wszystkich sił, aż echo się niesie po hangarze.

A hangar odpowiada mu wyciem.

Wyją Szarzy. Wyją Obsydiani. I Pomarańczowi. I Czerwoni przygotowujący kapsuły. A także Złoci, którzy prosili o przeniesienie na mój okręt.

– To nie jest kłamstwo.

I wtedy widzę, jak sztandary legionów opadają, zastąpione nowymi. Nie ma na nich

piramid Elity, lauru i berła ani miecza i zwoju. Nie ma nawet lwa Augustusa. Wszystkie sztandary, które legiony niosą do bitwy, przedstawiają teraz wilki i ostrze slinga.

Te legiony są moje.

Wśród ludzi najbliżej mnie wyczuwam napięcie. Jakiś fizyczny niemal fanatyzm. Tylko w Złotych nie buzują te emocje. Złoci kochają mnie, ponieważ przynoszą im zwycięstwo i

chwałę. Ale te inne Kolory kochają mnie za coś zupełnie innego, coś o wiele potężniejszego.

Każdy inny Złoty po przejściu okrętu rozhermetyzowałby pokłady, jednak ja tego nie

uczyniłem. Pozwoliłem im wybrać, a oni postanowili służyć mnie zamiast Złotym, którzy wcześniej byli ich panami. Pozwoliłem im wybrać.

Sevro chwyta mnie za ramię.

– Masz świadomość, że musisz dzisiaj walczyć inaczej?

– Pojmuję to, Sevro. – Próbuję wyrwać ramię.

– Nie rozumiesz. – Przyciąga mnie, abym popatrzył mu w oczy, i odgania machnięciem ręki Ragnara.

– Każdy ruch, który dzisiaj wykonasz, zostanie nagrany i rozpowszechniony do wszystkich, nawet najdalszych zakamarków Układu Słonecznego. Ta bitwa ma sprawić, że

flota będzie *twoja*.

Ścisza głos do ochryplego szeptu.

– Synowie rozpowszechnią te nagrania. Szakał również. I cały ród Augustusa. Zachowuj

się jak bóg, a inni pójdą za tobą jak za bogiem. Pojmujesz?

– Wygramy czy przegramy, to nadal flota Augustusa – oponuję.

– Nie, jeżeli Augustus nie żyje.

Przydzieliłem Sevrowi zadanie infiltrowania Cytadeli w Agei, gdzie więziony jest

ArcyGubernator. Ale nie kazałem mu zabić Augustusa.

– Nie zabijesz go – nakazuję twardo. – Zabraniam. To...

– Konieczne. Nie potrzebujesz jego poparcia. Jeszcze tego nie pojąłeś? Tutaj możesz

wziąć, co zechcesz, i nie przejmować się, czy to *prawomocne*. – Sevro spluwa na podłogę. –

Masz dwadzieścia lat. Jeżeli podbijesz Marsa, Darrow, staniesz się ucieleśnionym bogiem. I jeżeli wówczas ujawnisz, kim jesteś naprawdę... wzniesiesz się ponad Kolor. Pojmujesz to?

Sevro dojrzał i zmądrzał od naszego pierwszego spotkania. Nie ma co do tego

wątpliwości. Ale obawiam się, że mnie przecenia. Apollo uważał się za boga. Augustus myśli, że jest bogiem. Nie sądzę, że powinienem być bogiem. Bogu się służy, oddaje mu cześć. Nigdy tego nie pragnąłem. Eo także tego nie chciała. Sevro będzie się musiał nauczyć. Chodzi tylko o wolność.

Wydaje się jednak, że wszyscy myślą tylko o tym, żeby iść za mną.

Mustang nadzoruje dzisiaj oddziały specjalne. Przelatuje z Milią, Złotą o końskiej twarzy, którą adoptowaliśmy w Instytucie. Obok mnie prześlizguje się bez wahania Złoty, który wygląda znajomo. Parskam śmiechem i wskazuję go Sevrowi, któremu wyrzywa się

wzruszające przekleństwo.

– Cenzor Jupiter? – wołam mężczyznę. – Niech mnie, czy to naprawdę ty?

– A któż inny, ty nieznośny gówniarzu? – Jupiter staje przede mną. Jest wysoki. Na

pierwszy rzut oka lekkomyślny. Włosy ma ciasno związane. Pół stopy wyższy ode mnie, jest grzeszną, hedonistyczną bestią z arogancją, która bije od niego na kilometry, i szybko staje się jasne, że on i Ragnar rzucą się później do wypruwania sobie flaków. Jupiter zerka na moje ostrze owinięte wokół przedramienia. On też nosi je na ten nowy, modny sposób. – Słyszałem, że to ty odpowiadasz za ten nowy styl? – Unosi rękę. – Naprawdę mi się podoba. Odważne jak wsadzenie kutasa do mrowiska.

– Wciąż kulejesz? – wtrąca Sevro.

– Zamknij się, Goblinie – syczy Jupiter.

– Drogi tatuś miał mały pojedynek z Cenzorem Jupiterem o stanowisko Rycerza Gniewu –

wyjaśnia z uśmiechem Sevro. – Stary ciął go w to samo miejsce, co kiedyś ja. Prosto w tyłek.

– Ten oślizgły, przekłety Fitchner jest... przebiegły. – Jupiter niechętnie kiwa głową. –

Bardzo, bardzo przebiegły. Pomagałem pani – stwierdza tubalnie i wskazuje na Mustang.

– To znaczy? – pytam.

– Większość miast Augustusa ma zakaz łączności. Nie można ani nic nadać, ani odebrać.

Jestem emisariuszem tych wciąż lojalnych. Wkradam się i wykradam. Robię tak od tygodni i przesyłam wieści do przypadkowych skrzynek i innych lojalnych miast. Toczy się tutaj

regularna walka, prowadzona przez agentów jej i jej brata. A ty w tym czasie zbierałeś flotę.

Nie było łatwo, mój dobry człowieku.

– I co możesz mi powiedzieć?

– Cóż, tatuś z Bellony dowodzi rodową flotą przeciw twoim przyjaciołom. Cassius i

Karnus zostali przeniesieni do zadań na terenie Agei. Zamierzam pomóc ci znaleźć ich i zabić.

– Jupiter unosi krzaczaste brwi, jakby chciał powiedzieć, że to zadanie uważa za wyjątkowo

nużące. – O to przecież chodzi, zabić członków rodu Bellona, a wszyscy ich sojusznicy zaczną się zastanawiać, po co właściwie walczą, nieprawdaż? – Mruga porozumiewawczo do Sevra.

– Prawie tak dobre jak ścięcie tej księżycowej Władczyni.

– Jesteś pewien, że wszyscy z Bellony są w Agei?

Jupiter, pomrukując, kiwa głową.

– Ostatnim razem, kiedy ich widzieliśmy, tak było. Jednak minęło już parę dni od

sprowadzenia tam Augustusa w łańcuchach. – Lekko unosi palec. – Na dodatek zeszłej nocy odbyła się seria lądowań ciężkozbrojnych promów.

Macham ręką na wzmiankę o promach. Jupiter mruży oczy, ale nakazuję mu się zamknąć i iść za mną. Podchodzę do Mustang i jej oddziałów.

– Wszystko gotowe – zapewnia dziewczyna. – Czekamy na rozkaz wystrzelenia.

A potem marszczy nos, jakby poczuła odór.

– Sevro, pilnuj Jupitera. Ma skłonność do srania, gdy je.

Jupiter ziewa.

– Praca z tobą to także prawdziwa przyjemność.

– Milio, jak cudownie, że się umyłaś – stwierdzam.

– Kosiarzu. – Kiwa mi głową i uśmiecha się, a uśmiech ma naprawdę paskudny. – Nadal bawisz się nożami? Serce rośnie.

– Masz serce? – chichocze Sevro.

Milia mierzy go spojrzeniem od stóp do głów.

– Owszem, w pełnym rozmiarze. – Przechyla głowę. – Widziałam Polluxa, niedawno,

ledwie wczoraj. Niestety, po drugiej stronie. Przekradałam się z Jupiterem. Zaaranżowałeś dla nas spotkanie po latach. Słyszałam o Tactusie. Był draniem.

Sama prawda, co tu kryć. Zerkam na swój unipad. Wystrzelenie za pięć minut. Moi

towarzysze rozpraszają się, aby się przygotować. Mustang zwleka, twarz ma zamyśloną.

– O co chodzi? – pytam. – Już się o mnie martwisz?

– Trochę – przyznaje. Podchodzi tak blisko, że mogę poczuć jej zapach. – Ale bardziej o ojca. Co będzie, jeżeli zabiją go, zanim jeszcze zdążymy wylądować?

– Nie zabiją. Będzie im potrzebny jako karta przetargowa. A jeżeli przegrają, darują mu życie w nadziei, że my też nie zabijemy wszystkich z rodu Bellona. Nie zabija się ludzi tak ważnych jak twój ojciec.

Wyciągam do niej rękę w pocieszającym geście, ale dziewczyna cofa się i odwraca.

– Musimy się przygotować do inwazji na planetę.

Patrzę, jak Mustang odchodzi, wykrzykując po drodze rozkazy dla swoich ludzi.

## *Rozdział trzydziesty ósmy*

### *Stalowy Deszcz*

Wokół widzę tylko metal. Jestem jednym z tysiąca zbrojnych szykujących się do wystrzelenia w kapsułach bojowych. Za otaczającymi mnie ścianami z metalu szaleje bitwa.

Nic nie czuję. „Pax” nie drży. Żadnego pocisku posłanego z dalekiego zasięgu, aby przyniósł

mi cichą śmierć. Tylko serce trzepocze. Mickey powiedział mi, że to najsilniejsze serce, jakie widział u Czerwonego, i że to dzięki jadowi żmii jaskiniowej, który pozostał w moim

krwiobiegu, gdy byłem mały. Teraz to serce sprawia, że ręce mi drżą, gdy łopocze mi w piersi.

Ogarnia mnie lęk. Tak wiele lęków. Lęk, że porzucam przyjaciół, lęk, że ich stracę. Lęk przed wyznaniem przyjaciołom, kim naprawdę jestem. Lęk, że nie podołam zadaniu, które przede mną stoi. Lęk wywołany przez wątpliwości – wątpliwości wobec samego siebie, wątpliwości co do planów powstania. Lęk przed śmiercią. Lęk, że się zgubię w czerni kosmosu za ścianami kapsuły. Lęk przed tym, że zawiodę Eo, moich ludzi, siebie. Ale nade wszystko lęk przed rozgrzanym metalem.

Przez kanał łączności słyszę rozmowy. Plan już został wdrożony i jestem teraz tylko

trybikiem w jego maszynie. Bitwa staje się zbyt wielka, abym mógł brać udział we wszystkim.

Chciałem dowodzić z mostka „Paxa”, skąd widziałbym okręty wroga atakujące moją flotę.

Jednak Orion i Roque lepiej sobie radzą w przestrzeni niż ja.

Chciałem znaleźć się w promie bojowym transportującym oddziały przez wąłomy w

kadłubach wrogich jednostek, chciałem zdobywać mostek, odpychać napastników od moich

okrętów, przeskakiwać z niszczyciela na krążownik i przejmować je na własność. Ale nie schwytam Imperatora rodu Bellona. Tytani tego dokonają. Ostatecznie to wróg wskazuje, dokąd się udam. Ruszę w pościg po największe trofeum.

Trofeum, które jest moim celem od opuszczenia Księżyca.

Mój prawdziwy medalion z pegazem chłodzi mi skórę na piersi. Włosy Eo spoczywają w środku.

*Wystarczy skupić się tylko na tym. Na tym, jak jej włosy się poruszały. Falowały w podmuchach powietrza na dnie kopalni. Wspominać. Gdy o niej myślę, przepełnia mnie poczucie winy. Lubię obecne życie. Nieważne, że niechętnie odgrywam Złotego, nieważne wszystkie żalosne usprawiedliwienia, jakie wymyślę, w głębi duszy lubię to życie. Może urodziłem się, żeby być Dwukolorowy.*

Pieprzyć to. Człowiek nie powinien rodzić się do żadnego Koloru. Nasi władcy postanowili, że podzielą nas na Kolory. Ale byli w błędzie.

– *Audentes fortuna iuvat, kochany* – odzywa się Sevro na prywatnym kanale łączności.

Parskam śmiechem, gdy słyszę łacinę.

– Jeszcze więcej bredni w stylu „los sprzyja mocnym”? Czemu od razu nie zawołać: *Carpe diem?*

– *Ponieważ tradycyjnie mówi się...*

– *Czy wy, chłopcy, zawsze flirtujecie tak przed bitwą? To takie czarujące* – wtrąca się Victra.

– *Szkoda, że nie słyszałaś ich w Instytucie, to była miłość od pierwszego wycia* – śmieje się Mustang.

– *Widziałam klamerki. Co za śliczna para.*

W głosie Mustang słychać śmiech.

– *Nosili nawet takie same stroje. Stylowe, nieprawdaż, Roque? I cuchnące.*

– *Na pewno tego nawet nie poczułem.*

– Dlaczego nie?

– *Sevro przerażał mnie do nieprzytomności. Nie patrzyłem, co nosił* – odpowiada Roque, wzbudzając kolejne parsknięcia śmiechu. – *Myślałem, że ugryzła go wiewiórka i zaraził się wścieklizną czy czymś.*

– *Roque?* – woła Sevro słodkim tonem.

– *Sevro.*



– Hej.

– Hej?

– *Następnym razem, jak się spotkamy, na pewno cię ugryzę.*

– *Muszę iść.* – Śmiech Roque’a cichnie. – *Właśnie zaczynamy starcie z główną jednostką wroga.*

– *I co zamierzasz jej zrobić? Zanudzić na śmierć deklamowaniem wierszy?* – to znowu Sevro.

– *Ależ z ciebie lizus* – prycha Roque z rozbawieniem. – *Niechaj Furie wasze miecze prowadzą, a los niech was wiedzie do domu. Do tego czasu moja miłość pozostanie przy was wszystkich.*

Wyznanie miłości zaskoczyło Złotych. Komunikator Roque’a przełącza się z kliknięciem i możemy usłyszeć naszego przyjaciela na zbiorczej częstotliwości, gdy wydaje rozkazy ataku na niszczyciel wroga.

– *Co za Pixie* – mamrocze Sevro, ale nawet dziecko usłyszałoby drzenie w jego głosie.

Sevro się boi.

– *Hic sunt leones* – mówię moim przyjaciołom. – *Bądźcie odważni. Bądźcie odważni, a zobaczymy się po drugiej stronie.*

– *Hic sunt leones* – odpowiadają, nie w imię Augustusa, lecz dlatego, że chcemy być odważni jak lwy.

Jedno po drugim żegnamy się. Zanim mogę się powstrzymać, wywołuję Mustang na prywatnej częstotliwości. Dwadzieścia sekund muszę czekać na odpowiedź.

– *O co chodzi?* – W jej głosie drży wahanie.

– *Przeżyj* – mówię.

Cisza. Uczucie? Zniecierpliwienie?

– *Ty też.*

Wyłącza kanał. Wkrótce zębatki zaczynają się kręcić i trzaskać, gdy moja kapsuła zostaje załadowana do mechanizmu wyrzutni.

Zachowywałem się przez cały czas, jakbym wiedział, co się stanie. Jakbym wiedział, co to jest Stalowy Deszcz. Ale to czai się przede mną niby mroczna, zniewalająca bestia.

Tajemnica, chociaż widziałem jej oblicze. Widziałem wirtualne symulacje i nagrania

holograficzne. Wiem, co to jest jak dziecko, które zna latanie tylko z obserwacji ptaków.

– *Osiągnięto współrzędne docelowe.* – Głos Roque’a dociera do uszu każdego Złotego we flocie. – *Niechaj spadnie Deszcz.*

Tubę wypełnia brzęczenie magnetycznych ładunków. Wsuwam się do kabiny, przygotowuję, opuszczam głowę, żeby nie złamać sobie karku. A potem kapsuła zostaje wystrzelona i ogarnia mnie prędkość i bitwa, a żołądek podchodzi mi do gardła wraz z żółcią.

Pędzę w magnetycznym strumieniu z wyrzutni okrętu w rozpętany chaos.

Przestrzeń kosmiczną wypełniają błyskawice i ogień. Potwory z metalu wypluwają pociski, atakują się wzajemnie każdą bronią znaną człowiekowi. Panuje cisza, niesamowita, taka dziwna. Obrona przeciwdesantowa wybucha wokół okrętów, spowija je w furję, niemal jak obłoczki surowej bawełny rzucone na wiatr. Szturmowce i śmigacze krążą wokół siebie, siekąc seriami z broni automatycznej. Szarpią i drapią się nawzajem po metalowych

pancerzach, ścierają się w gęstych, olbrzymich chmarach. Odrywają się małymi stadami od chaotycznego środka starcia, krążą cicho po spirali w stronę gromad promów bojowych,

podczas gdy niszczyciele i krążowniki wystrzelują żołnierzy falami do abordażu. To jak gra planszowa, tylko trójwymiarowa. Nad, pod i przez kurtyny obrony przeciwdesantowej

przedzierają się promy, szukając kadłuba, do którego się przyssa i wpompują swój ludzki ładunek w brzuch dużej jednostki, niczym muchy zostawiające larwy w otwartej ranie.

Wszystkie prowadzone przez Niebieskich wychowanych tylko do wykonywania tej jednej czynności. Odrzutowce Bellony ścierają się z tymi Augustusa, fala za falą, rozbijając się nawzajem.

A wszystko w ciszy.

Pociski mkną do promów, rozrywają poszycia w eksplozji. Nie ma ognia, płomienie widać tylko tam, gdzie z rozerwanego kadłuba ucieka tlen – wyglądają jak przebite harpunem

wieloryby ze Starej Ziemi, krwawiące z głębokiej rany. Broń automatyczna sieje nabojami przez pustkę, wybija otwory w pancierzach promów i mniejszych szturmowców. Przez

pęknięcie wysypują się mężczyźni i kobiety. Obie strony celują w silniki, w nadziei, że uszkodzą i przejmą jednostkę, lecz nie zniszczą. Wśród błękitnych i srebrnych wrogich flot potężne „Dziecko Wojny” miażdży korwety i brandery jak cyklop stado owiec – jego maczuga kołysze się niczym wahadło, szeroko i wolno.

Wstrzymuję oddech, gdy niszczyciel Victry chroniony przez dwa inne prześlizguje się do

„Dziecka Wojny”. Zасыpują ją łańcuchy pocisków i girlandy rakiet. Dowódcy z Bellony uznali zapewne, że Victra jest zbyt blisko, aby ją przejąć, ponieważ wbijają kolejną salwę w odsłonięty brzuch jej okrętu. Jednak niszczyciel wytrzymał ostrzał i wypływa czterdzieści promów abordażowych. Niemal dziesięciokrotnie więcej niż normalnie w tego typu

jednostkach. Wypruliśmy jej wnętrzności i niemal całkowicie opróżniliśmy, żeby zmieścić dodatkowe transportowce dla żołnierzy. To oddziały Telemanusów.

Okręt Victry odwraca się od „Dziecka Wojny” i niestrudzenie przebija się przez szyki wroga, gdzie flotylla jej matki składająca się z jednostek oznakowanych symbolem krwawiącego słońca wspiera orły Bellony. Victra szykuje kolejną niespodziankę.

Jej matka zmienia stronę, zdradziwszy Bellonę zgodnie z obietnicą Victry, złożoną mnie i Szakalowi. Okręty Agrippiny au Julii wyrzucają ponad dwieście promów w środku formacji Bellony. Flotę ogarnia chaos.

Moi Tytani lądują na kadłubie okrętu flagowego wroga i wkrótce „Dziecko Wojny” jest obwieszane jednostkami abordażowymi. Powodzenia, Tytani.

Przyjazne Bellonie promy zawracają w stronę „Dziecka Wojny”, aby wesprzeć załogi walczące na korytarzach wśród dymu i krwi. Szturmowce zygają obok i strzelają do lądujących transportowców, aby oderwać je od poszycia, zanim wstrzykną zbrojnych do wnętrza okrętu. To elegancki taniec akcji i reakcji, i reakcji, i reakcji...

Lecę po swojej trajektorii. Nie mogę jej zmienić. Po prawej i lewej mkną tysiące Żłoty i Obsydianów w opancerzonych serwoSkafandrach oraz Szarych w zbiorczych lądownikach po dwunastu. Gdy tylko opadniemy i zabezpieczymy główne punkty, legiony wślizgną się z niszczycieli i krążowników, wylądują w transportowcach i wyleją się za nami.

Wbrew temu, co wydaje się Bellonie i jej sojusznikom, nie można powstrzymać ani naszego lądowania, ani legionów. Orbita planety jest zbyt duża. Właśnie dlatego utrzymanie miast jest takie ważne. Są jak warowne wyspy. Zdobyć je można tylko w jeden sposób –

wylądować i wślizgnąć się przez dwustumetrową szczelinę między powierzchnią a tarczami pulsacyjnymi w kształcie dysku. A to wymaga ludzi na powierzchni. Milionów ludzi w skoordynowanym natarciu.

Ustawimy sto posterunków na głównych punktach wybrzeża, a potem rozpęta się

prawdziwa bitwa. W chaosie pociski mkną do naszych kapsuł i skafandrów. Przyjazne duże okręty zaczynają ostrzał przeciwlotniczy za nami, a śmigacze osłaniają nasze flanki. Wrogie szturmowce i śmigacze wślizgują się ze wszystkich stron i zasypują nas salwami pocisków.

Dziesiątki ludzi z deszczu ginie wokół mnie, ich pancerze marszczą się jak płonący papier. Nie mogę tego znieść. Chce mi się krzyczeć. Niektórzy właśnie krzyczą i trzeba odciąć im

łącność.

Nic nie mogę zrobić. Modlę się, żeby nie zginąć. Modlę się, aby moi przyjaciele przeżyli.

Ale do kogo się modlić? Złoci nie wierzą w Boga. My, Czerwoni, mamy Starca w Dolinie.

Ale on nie pomaga nam w tym życiu. On tylko czeka, aż się zbierzemy, a wtedy jak pasterz poprowadzi nas do innego świata.

Serce łomocze mi w piersi. Hiperwentylacja. Próbuję niemal wyskoczyć ze skóry. Czuję

się jak chłopiec. Chcę się schronić w domu. Zjeść matczynej zupy, poczuć dotyk jej surowej ręki i miłość, która spływała na mnie zawsze, gdy udało mi się mamę rozśmieszyć. Cokolwiek, byle poczuć radość z pewności, że Eo mnie kocha. Tęsknię za długimi, cichymi nocami przed miłością, gdy było tylko pożądanie i głód, gdy mogliśmy się całować tylko w sekrecie, serca nam trzepotały jak dwa ptaki zaczynające rozumieć, że mogą wspólnie uwić gniazdo. Takie właśnie powinno być życie. Rodzina. Pierwsza miłość. Nie opadanie w atmosferę, gdzie

zabójców nie obchodzi nic, byle tylko naszpikować mi ciało metalem, zanim zabiję ich przyjaciół.

Myśli mi ulatują, choć ciało działa.

Planeta rośnie coraz bardziej, aż staje się kolosem, który przesłania widok. Nie wiem, kto umarł, a kto jeszcze żyje. Mój wyświetlacz jest zbyt przeładowany. Uderzamy w atmosferę i z rykiem wracają dźwięki. Tęczowy kokon spowija moją drżącą kapsułę. Po prawej i po lewej spadający żołnierze wyglądają jak płonące robaki stworzone fantazją jakiegoś Snycerza.

Podziwiam żołnierza po lewej, wygląda jak słońce z brązu, otaczające go, unieśmiertelniające w tej jednej chwili – tej, której nigdy nie zapomnę – przez co wydaje się, że obok mnie w gniewie i chwale pędzi ku ziemi upadły anioł Milona. Z jego egzoszkieletu odpadają odpryski niczym z Lucyfera, który traci niebiańskie skrzydła – pióra płoną i znikają z tyłu. I wtedy pocisk przecina niebo, a wybuch w powietrzu znowu zmienia anioła w śmiertelnika.

Gdy tylko znajdujemy się w atmosferze, odzywają się działa na powierzchni, wybijając

dziury w naszym opadającym roju. Włączamy buty grawitacyjne i rozdzielamy się na tysiące różnych szwadronów, każdy zmierzający do własnego celu. Wrogie szturmowce ścigają nas w atmosferze, ale tutaj mamy większe pole manewru i niszczymy jednostki bez trudu. Zawracam na jedną z nich z

Wycjami u boku i tnę ją ostrzem. Odlatuję po spirali w chmury i do oceanu w dole.

Ostrzał przeciwlotniczy z powierzchni przeszywa obłoki i zabija Złotego po prawej –

Wyjca, chociaż nie wiem którego, dopóki nie sprawdzę na swoim unipadzie. Daria, czyli Oset nie żyje. Tak po prostu. Żadnego poświęcenia, aby ratować towarzyszy. Żadnego gniewnego wycia przed śmiercią. Żadnych szlachetnych gestów. Żadnych emocji. Lojalna towarzyszka broni, która nosiła pas skalpów w Instytucie, a także trzymała na wodzy Śrubokręta i Chwast, odeszła.

Ogarnia mnie fala paniki. Nurkuję w chmury z resztą awangardy mojego legionu. Mknijmy nisko nad oceanem, a dwa okręty plują w nas ogniem. Sevro posyła dwa ładunki – gdy

ekspodują, zmieniają się w tuzin mikropocisków, a każdy z nich w kolejny tuzin. Wybuchają jak ziarna kukurydzy w płomieniach.

Wojna to chaos. Zawsze taka była. Jednak technologia czyni ją jeszcze gorszą. Zmienia strach. W Instytucie bałem się ludzi. Bałem się tego, co Titus i Szakal mogą mi zrobić.

Widziałem nadchodzącą śmierć i przynajmniej mogłem się szarpać w nadziei, że się wyrwę.

Tutaj nie ma takiego luksusu. Nowoczesna wojna wzbudza strach przed powietrzem, przed cieniem, przed ciszą. Śmierć przychodzi i nawet jej nie widać.

Uderzam w okrytą śniegiem górę. Unoszą się kłęby pary, gdy wytapiam gorącym kapsuły dziurę w białym puchu. Reszta mojego oddziału ląduje w pobliżu, znajduje bezpieczne miejsca wokół mnie. Ludzie-meteory z trzewi metalowych potworów. *Łup. Łup. Łup.* I podnosi się mgła wojny.

– Przyziemienie – warczę.

Sevro opada na kolano, unosi przyłbicę hełmu i wymiotuje na śnieg. Inni się przyłączają.

Brzydki Śrubokręt wzdycha ze smutkiem. Chwast chwyta go za ramię. Klaun stoi nad nimi jak strażnik, na skroniach ma wymalowane czerwone pióropusze. Oset już nie ma. Nie

wiedziałem, że tak będzie. Myślałem, że wiem, co to groza. Nieprawda. W ciągu ostatnich minut zginęło więcej ludzi, niż kiedykolwiek poznałem. Wstrząsa mną strach Lorna przed wojną.

*Oto właśnie wojna.* Chaos. Przypadek. Śmierć.

Sevro kiwa mi głową, wyciera resztki wymiocin z ust. Jupiter pomaga mu wstać. Co

dziwne, Sevro mu pozwala. Szukam sygnatury Mustang na wyświetlaczu hełmu. Żyje i jest z głównymi siłami mojej armii, ale zostaliśmy rozdzieleni. Przy mnie znajduje się tuzin Złotych i czterdziestu Obsydianów, wyszkolonych specjalnie w obsłudze zaawansowanego sprzętu

technicznego.

– Zdjąć egzopancerze – rozkazuję Obsydianom. – Omega, pilnujcie okolicy.

Pozbywamy się zewnętrznych pancerzy termicznych, aby odsłonić lżejsze serwoSkafandry.

Rozkazuję otworzyć hełmy. Metalowe demony i zwierzęce pyski zmieniają się w twarze przyjaciół.

Jednak ta chwila jest piękna. W ułamku sekundy Złoci i Obsydiani wymieniają skinienia głowy, aby przekazać sobie pokrzepienie, zanim wyruszą do swoich zadań. Znajdują spokój w kokonie obowiązku, wśród towarzyszy – jak ja niegdyś w kopalni.

Zabieram Sevra z Wyjcami oraz Ragnara, oddzielonego od swojego legionu i stojącego w moim cieniu. Opadliśmy po dziennej stronie planety. A gdy druga fala wojowników w

skafandrach przecina atmosferę, ciągnąc za sobą czarne smugi dymu przez pobrużdzone

pociskami niebo, wygląda to jak deszcz meteorów. Setki dział naziemnych wciąż strzelają w spadający rój rozprzestrzeniający się przez horyzont, ale ostrzał powoli słabnie, gdy broń z kosmosu niszczy artylerię na powierzchni lub robią to grupy takie jak moja. Mój szwadron znajduje się jednak trzysta kilometrów od miejsca, gdzie powinien być. Jak to się stało?

Wzywam Mustang przez komunikator. Dziewczyna wylądowała na innej górze, pięćdziesiąt kilometrów bliżej zakładanej strefy zrzutu. Jej oddział liczy niemal czterysta osób.

– Wygląda na to, że jesteśmy głupcami – stwierdza Sevro.

Schodzimy po zboczu. Nie lecimy, lecz ześlizgujemy się. W Akademii nauczono nas,

żebyśmy myśleli o tym jak o omijaniu skał, gdy się płynie po powierzchni wody. Moglibyśmy polecieć w naszych butach grawitacyjnych, ale latanie czyni z człowieka cel dla pocisków obrony przeciwlotniczej, nie wspominając o oddziałach wroga. Dlatego skaczemy pięćdziesiąt metrów w górę, a potem przy pomocy butów opadamy łagodnie na ziemię.

Ostrzał zaczyna się z sąsiedniego szczytu. Sevro i jego grupa załatwiają to szybko –

przeskakują prawie tysięczmetrową rozpadlinę, ukrywają się za zboczem skalnej ściany,

podczas gdy ja z Ragnarem przemy naprzód. Głuchy łomot odbija się echem wśród turni, gdy Wyjce uwalniają nas od wieżyczki strzelniczej. A potem dołączają do nas przy opuszczaniu gór. Przyczajamy się na ścianie urwiska, gdzie gromadzą się niskie chmury. Po lewej, około dwudziestu kilometrów dalej, wznoszą się skąpane w bieli wieże Tesalonik, wczepione w poszarpane wybrzeże czystego Morza Ciepła. Dom Tactusa. Ogarnia mnie fala smutku.

Przemy na północ. Patrząc, jak wieże znikają, aż stają się tylko połyskiem metalu nad

dziwnie spokojną taflą wód. W oddali grzmiały wybuchy. Czuję ciężar dłoni, która spada na moje opancerzone ramię.

– Zupełnie jak wtedy, gdy zdobyliśmy Olimp – szczerzy się Sevro, spoglądając z kolejnego szczytu na równinę, która otwiera się przed nami.

– Tyle że tutaj wszyscy mają buty grawitacyjne.

Sprawdzam współrzędne na wyświetlaczu swojego hełmu. Inwazja trwa nad nami. Wrogie

okręty pojawiają się już rzadziej, szybko przecinają niebo. Jeden mierzy w nas. Pędzi z rykiem przez chmury i orze grunt seriami z broni automatycznej. Ukrywamy się pod nawisami

skalnymi. Śnieg tryska w pobliżu. A potem pocisk przeszywa ścianę i odrywa głaz, który spada mi na nogi i przyciska do podłoża. Kamyczek i Klaun stają nade mną, aby mnie bronić.

– Ragnarze – wołam – załatw go!

Nie widzę, co zrobił, ale odgłos jest przerażający, a okręt dymi i wiruje z wizgiem coraz bliżej ziemi, a potem znika w deszczu odłamków.

– Jak twoje nogi? – pyta nerwowo Sevro.

Ściągają ze mnie głaz. Mechanizmy zgrzytają, a elektryczne części terkoczą.

– Nadal działają.

Opuszczamy okryte śniegiem pasmo górskie i schodzimy na spękane marsjańskie równiny.

Legion ciężkiej piechoty idzie po lewej. Ich przekaźniki wysyłają sygnał identyfikacyjny –

nasi. Ale w oddali po prawej, prawie trzydzieści kilometrów stąd, gdzie ziemia wybrzusza się w subtropikalne wyżyny, kolumna Bellony skrada się w naszą stronę – może z trzystu ludzi w mniejszych oddziałach.

– *Złamano jeden z naszych kodów łączności.* – Zielony dowódca łączności w kosmosie przekazuje nowy sygnał. – *Polują na ciebie, Ikarze.*

Ikar – mój drugi kryptonim.

– I tak oto dowiemy się, kto wygrał na niebie – stwierdzam. Sevro kieruje laser

namierzający na oddziały wroga, w tym samym czasie tamci wymierzają swoją wiązkę w nas.

Odrywają się od ziemi jak nerwowe muchy. Rozpraszamy się. Sevro i ja lecimy razem, a

potem deszcz pocisków spada na przeciwników z dwóch stron. W tym samym momencie

Sevro identyfikuje drona, który strzela do nas seriami. Oznacza go, a najbliższe działo

naziemne – z Tesalonik – wypuszcza raketę, ciągnącą smugę błękitnego ognia. Dron eksploduje w  
rozbłysku czerwieni. Oto powielone szaleństwo wojny wykorzystującej

zaawansowane technologie.

Posuwamy się do współrzędnych podanych przez Mustang, oczy i czujniki nadal jednak



kierują się na góry w poszukiwaniu śmiertelnych zagrożeń, które mogą się tam skrywać.

Zagrożenie skrada się po równinach. Ukrywa się w lasach między wysokimi boskimi drzewami i w wodach rodzących się mórz.

Wielkie jezioro rozciąga się po lewej, a uśpiony wulkan, którego krater okrywa śnieg, góruje po prawej. Wznoszę się wyżej nad grzbietami gór, które przecinamy, aby lepiej się rozejrzeć po okolicy. Okresowe dane topograficzne migoczą na moim wyświetlaczu w hełmie, gdy drony przekazujące informacje zostają zestrzelone i zastąpione kolejnymi.

Wewnątrz skafandra panuje cisza. Nie słyszę wiatru, który na tak dużej wysokości na pewno świstałby mi w uszach. Chmura burzowa, jeden z marsjańskich dramatycznych

zwiastunów sztormu, kłębi się nad jeziorem. Kiedy dotrze do lasu u podnóża turni, spadnie deszcz, a błyskawice poprzecinają niebo. Nad poszarpanym szczytem wiruje śnieg, który roztopia się na moim pancerzu.

Dostrzegam ruch na sąsiednim szczycie. Zawisam, sięgając po broń, ale wtedy okazuje się, że to nie Bellona, lecz rzeźbiona bestia. Powiększam obraz i widzę gryfa wczepionego w skraj wielkiego gniazda, uwitego w wąskim przesmyku przy samym szczycie. Gryf z podziwem

spogląda na ludzi latających nad doliną. Co za świat stworzyli ci Złoci.

Moi ludzie dołączają na następnym szczycie. Zatrzymują się na chwilę, aby sprawdzić

ogniwa zasilające naszych pancerzy. Nie wystarczy energii na cały dzień. Grupa Mustang opada na ziemię wokół nas, rozrzucając kaskady śniegu. Czterystu zabójców w kosmicznych bojowych pancerzach dołącza do naszych sił. Mustang i ja wymieniamy uderzenie pięści w pięść.

– *Ikar...?* – słyszę urywany głos. – *Ikarze, słyszysz mnie?*

– Roque, słyszę. Co jest?

– *Ikarze... pilne... już... słyszysz?* – Sygnał się urywa, gdy błyskawica przecina niebo nade mną. Urządzenia zakłócające obu stron dodatkowo zniekształcają fale. – *Darr... szysz... w Agei.*

– Roque? Roque? – Znam plany bitwy w kosmosie, ale martwi mnie ton głosu Roque'a. –

Łączność jest słaba – mówię Mustang.

– Naziemne częstotliwości działają. To przez zakłócacze i burzę. – Deszcz rozpryskuje się na jej pancerzu.

Sevro wskazuje w niebo.

– Będziesz musiał ruszyć tyłek.

W górze błyskawica uderza w okręt. Jego systemy gasną, zaczyna spadać, zanim się włączą ponownie, ale wtedy zderza się z przelatującym szturmowcem.

– Och, szlag.

Wydaję Ragnarowi i Jupiterowi rozkazy, aby oddalili się od pasma gór i zabezpieczyli

dolinę na północy dla naszych głównych legionów Szarych. Podczas gdy trwa oblężenie

innych miast, mające odwrócić uwagę Bellony, dla mnie liczy się tylko Agea. Milion ludzi podejździe pod jej mury. Skalany otwiera do mnie dłoń w salucie, a potem zeskakuje z

górskiego szczytu z Jupiterem i setką Obsydianowych wojowników.

Mustang i Sevro czekają, gdy przebijam się przez chmury z zygzakami błyskawic wraz z

obstawą kilku strażników. Ponad chmurami panuje względny spokój, więc wywołuję Roque'a.

– *Ikarze!* – wykrzykuje do komunikatora. – *Ona tu jest. Nie wróciła na Księżyc ani z głównymi siłami Elity! Właśnie się dowiedzieliśmy. Ludzie Kavaxa znaleźli Pretorianów na pokładzie „Dziecka Wojny”... i ona tu jest! Przybyła w tajemnicy bez swojej floty, przyłapaliśmy ją.*

– Zwolnij, Roque. O czym mówisz?

– *Władczyni jest na Marsie, Darrow. Jej prom utknął pod tarczami Agei. Znalazła się w pułapce.*

– Roque, już to wiem. Właśnie dlatego chcę zdobyć Ageę.

## *Rozdział trzydziesty dziewiąty*

### *Pod ścianą*

Nie pyta, skąd wiem. Później powiem mu, że właśnie dlatego pozwoliłem uciec Ai z

Europy – żebyśmy mogli śledzić jej powrót do Władczyni dzięki sygnaturze promieniowania moich bomb. Aja jest przecież osobistą zabójczynią Octavii. Oczywiście musiała wrócić do Władczyni. Nie zdradziłem tego nikomu oprócz Mustang, Szakala i Sevra. Nie mogłem

ryzykować, że ten podstęp wyjdzie na jaw, zwłaszcza po tym, jak zachowywał się Roque.

Przyjaciel wyłącza się bez jednego słowa, wyczuwam wyraźnie gorycz.

Awangarda moich sił, ludzie Ragnara, wylądowała w dolinie. Widzę opadające

corpulentne promy, które potem znikają w wąwozach i rozpadlinach rozciągających się na kilometry przez Valles Marineris. Z kosmosu nasi Niebiescy ostrzeliwiają Ageę. Deszcz

pocisków rozgrzewa tarcze i sprawia, że pulsują, tracąc przejrzystość. Podejmiemy do miasta z powierzchni, dnem szerokiego na sto kilometrów kanionu ciągnącego się z północy na

południe, przez dwustumetrową szczelinę – tarcze nie mogą dotykać gruntu, żeby nie

powodować zakłóceń sejsmicznych.

Zeskakuję z góry i wyprzedzam strażników. Sevro i Mustang towarzyszą mi, gdy

przeskakujemy na kolejny szczyt, po czym ześlizgujemy się na podnóże. Po drodze ściągamy na siebie ostrzał.

Władczyni jest kluczem do tej wojny, kluczem, który nadweręży Elitę, a wtedy Synowie

Aresa będą mogli powstać. Gdybyśmy ją pojмали, Elita zastanawiałaaby się zmieszana, czy w ogóle istnieje bez Octavii na tronie. Senatorowie i Gubernatorzy spróbują wtedy przejąć władzę. Rozpęta się z tuzin lokalnych wojenek, które osłabiają ich i zniszczą jedność.

Pode mną spoczywa świat dolin i głębokich kanionów, z jeziorami i strumieniami, trawami do pasa, kwitnącymi drzewami i spartańskimi sosnami, które rosną pod dziwnymi kątami ze ścian wielokilometrowych, stromych urwisk. A nad tym wszystkim wznosi się w niebo

ogromny szczyt Olimpu. Dostrzegam tam ciche zamki i łanie przemykające przez doliny Marsa.

Ale nie widzę dzieci nad szerokimi rzekami, żadnych chłopców ani dziewcząt w zbrojach.

Mam tylko wspomnienia i błotnisty grunt. Uczniowie zapewne zostali już ewakuowani. Jak dziwne musiało się to wydawać – walczyli o życie średniowieczną bronią, a potem zabrano ich promami, gdy z kosmosu nadlecieli najeźdźcy.

Spotykamy się z Jupiterem i Ragnarem na jednej z białych iglic wznoszących się nad

Olimpem. Na zboczu i w korytarzach leżą zabici.

– Używali tego miejsca jako bazy – stwierdza Jupiter radośnie. – Twojemu Skalanemu nie spodobała się ich pycha. On mi się podoba, prawdziwa bestia!

Nasi ludzie zabezpieczają sektor Valles Marineris położony obok Instytutu, z dala na

wschód od Agei, na wyższym ramieniu wielkiego kanionu. Obserwuję przez okno, jak setki sojusznicznych transportowców lądują na nierównym podłożu. W pół godziny wychodzi z nich ponad trzysta tysięcy ludzi. Złoty wybiega z każdej opuszczonej rampy, zawsze pierwszy na terytorium wroga.

– Żadnego oporu – mówię cicho. Przyłbice mam podniesioną. Niepewnie spoglądam na Mustang. Dziewczyna odgarnia z czoła jasne włosy.

– Im dłużej będziemy się okopywać, tym trudniej im będzie nas zmusić do zmiany pozycji.

Dlaczego więc czekają?

– Bo chcą, żebyśmy się zebrali. Wtedy będziemy jak kiść winogron i łatwo nas rozdepczą

– domyśla się Sevro. – Atomówki?

– Głupie dzieciaki. – Jupiter przeszukuje kieszenie jednego z zabitych. – Właśnie dlatego mamy Szarych. Niech wróg spróbuje nas rozdeptać. Tylko nasmarują nam ścieżkę.

– Żadnych atomówek – oznajmia Mustang. – Czujniki wykryłyby je ze stu kilometrów.

Spogląda na równinę.

– Czekają, ponieważ nie mają dość ludzi, aby przeszkodzić nam w przejściu przez dolinę.

Albo ich zaskoczyliśmy, co jest raczej wątpliwe. Może wysłali zbyt wielu ludzi, żeby powstrzymać zbliżanie się Lorna. Albo utworzyli barykadę w dolinie. Albo podchodzą wokół Cytadeli. Albo przed nami jest pułapka.

Jej umysł jest jak maszyna.

– Pułapka – stwierdza Mustang po chwili namysłu. – Ale za bardzo na niej polegają, licząc, że wpadniemy, podczas gdy wrogowie będą przenosić ludzi i materiały na inne pozycje.

Prycha z pogardą.

– Obrona pozycyjna bez wsparcia dużych sił mobilnych przestała się liczyć od Linii Maginota.

– Ale wróg wie, że nie chcemy niszczyć miasta ani tamtejszej populacji – wtrącam.

– Wie na pewno. – Mustang poprawia dane na unipadzie i przygląda się mapie. – Co ogranicza naszą elastyczność taktyczną.

– Wojna totalna jest łatwiejsza – burczy Jupiter. – Użyjmy Szarych do przetarcia nam szlaku, a potem spuśćmy bomby na ściany pod tarczami. Wejście gwarantowane.

– Zburzenie miasta zajmie dzień, jego rekonstrukcja pięćdziesiąt lat – warczy Mustang. –

Chcesz się zgłosić na ochotnika do nadzorowania odbudowy?

– A wyglądam na budowniczego? – prycha Jupiter.

– Przejście do Agei ma średnio osiemdziesiąt kilometrów szerokości i

siedmiokilometrowej wysokości mury po obu stronach. Wszędzie ciągną się pola i farmy

hodowlane zapewniające żywność. Bellona zapewne rozstawiła na tych obszarach miny. O ile mieli czas. Nie powiedzieliśmy im przecież, że zaraz nadchodzimy.

Czy mieli czas?

Mustang wzywa mnie na stronę.

Odchodzę z nią dalej od reszty moich dowódców, którzy przewracają na to oczami.

Przestronne sale pałacu powinny przypomnieć mi o dawnych zwycięstwach, ale czuję tylko ogarniającą mnie falę melancholii.

Tak wiele wspomnień. Tak wielu utraconych przyjaciół, myślę, gdy widzę Szarych

lądujących blisko zamku Minerwy, gdzie kiedyś ja i Pax toczyliśmy pojedynek.

– Stąd mamy osiemdziesiąt kilometrów do murów – mówi Mustang. – Możemy dokonać

natarcia zgodnie z planem. To, że nie napotkaliśmy na opór przy lądowaniu, nie oznacza, że przed nami jest coś paskudnego.

Dostrzega w moich oczach wahanie.

– Przybyliśmy tutaj po mojego ojca tak samo jak po Władczynię. Więc musimy działać szybko.

– Boisz się, że Lorn go zabije, jeżeli przebije się pierwszy przez mury miasta na południu – domyślam się. – Prawda?

- Znasz ich historię.
- Owszem.
- A czy ufasz Lornowi, że nie zakończy starej waśni?

– Lorn nie jest mordercą.

– Nie. Rani ludzi, którzy na to zasłużyli, jak Tactus. Mój ojciec zasłużył na to tak samo jak każdy inny człowiek. Dlatego musimy się pośpieszyć. A ty powinieneś powiedzieć reszcie o Władczyni.

– Roque już się dowiedział. Pretorianie na „Dziecku Wojny”.

Wracamy, a potem mówię do mojego małego sztabu:

– Wiecie, że przybyliśmy tutaj po Augustusa, ale istnieje też drugi powód, dla którego nacieramy na Ageę. Władczyni też jest tutaj.

– Nie pieprz? – mamrocze Klaun.

Chwast drapie się po głowie.

– Jasny przeklęty szlag.

– W Cytadeli? – pyta Kamyczek, podniecona trąca towarzyszy kolanami.

– Najprawdopodobniej. Śledziliśmy Aję i dotarliśmy tutaj. Dzięki pozostałościom promieniowania z bomby, która uderzyła w Aję na Europie. Inne natarcia służyć mają

odciągnięciu sił od Agei, dzięki czemu zyskamy szansę, żeby przebić się przez mury i pojmać Octavię, zanim Pan Popiołów przybędzie wraz z całą jej armadą. – A jeżeli Synowie Aresa wykonali swoje zadanie, jak obiecali, powinniśmy dostać się do miasta bez walki z setkami tysięcy uzbrojonych i opancerzonych ludzi.

– Czy Cassius jest w mieście? – pyta Sevro.

Mustang przytakuje.

– Tak sądzimy.

Sevro uśmiecha się szeroko.

– Jeżeli napotkacie Cassiusa, nie walczcie z nim – mówię. – Ani z Karnusem, ani z Ają.

– Chcesz, żebyśmy uciekali? – oburza się Klaun.

– Chcę, żebyście przeżyli – odpowiadam. – Nagrodą jest Władczyni. Nie pozwólcie, aby

waszą uwagę rozproszyła zemsta lub duma. Jeżeli złapiemy Władczynię, staniemy się nową potęgą w Układzie Słonecznym, przyjaciele.

Wyjce wymieniają wilcze uśmiechy. Sevro krzyżuje ramiona.

– Więc ruszmy tyłki i w drogę.

– Nie mógłbym tego lepiej ująć.

Sojusznicze szturmowce ryczą nad nami, żeby pozbyć się jednostek wroga i oczyścić nam drogę.

Całymi siłami maszerujemy przez zielony kanion. Żadnych kolumn i szyku. Poruszamy się szybko. Odrzutowe motocykle mają lepszą prędkość niż pancerne skafandry. Brytani z Szarych i reszta w pojazdach wysuwają się naprzód za szturmowcami i ciężkozbrojnymi promami,

które przeniosą ludzi jeszcze bliżej muru. Błyski wskazują, że zdetonowali miny albo pole minowe spełniło swoje zadanie. Trudno powiedzieć. Kanion się zwęża. Bujnie porośnięte zbocza wznoszą się wysoko po obu stronach, kolosalne i nierzeczywiste, jakby to była ziemia istot większych od ludzi. Nie widzę wszystkich moich sił na tak ogromnej przestrzeni, tylko szpicę. Idziemy za poruszającymi się szybko Szarymi – truchtająca kolumna przerażających rycerzy w czarnych zbrojach. Deszcz pada coraz mocniej. Za nami toczą się czołgi i kolumny piechoty w odrzutowych transportowcach z lekkim pancernem, żeby mogły przenieść stu ludzi przez płaski teren. Kilometr od murów żołnierze wysiądą. Atak Lorna od południa będzie

wyglądał podobnie.

– *Drony!* – woła Sevro przez komunikator. Chmura metalu leci w naszą stronę z małego posterunku na wschodniej ścianie kanionu. Wyjce rozpierzchają się, a ich broń wyrywa dziury w powietrzu. Drony jednak dziesiątkują oddział Obsydianów. Wojownicy padają, ich ciała są nierozpoznawalne. Przemykamy już między domami. Małe miasteczka. Osady. Posiadłości.

Silosy zbożowe. Natrafiamy na jezioro. Widać nasze cienie, gdy błyskawica przecina chmury i spowija nasze sylwetki oślepiającym światłem.

Widzę także mur obronny. Opada nad horyzontem jak żelazna kurtyna. Ciągnie się na

dziewięćdziesiąt kilometrów, przynajmniej na tym odcinku kanionu, i ma dwieście metrów wysokości, niemal dotyka krawędzi tarczy. Nie zatrzymuje jezior i rzek, przepływają pod nim przez grubą sieć durostalowych prętów. Stu ludziom zajęłoby dziesięć godzin przewiercenie się przez tę sieć.

Większość miast nie ma tak wytrzymałych murów – za dużo kosztują. Agea i Korynt jako

jedyne mogą się szczycić fortyfikacjami takiej jakości. Moglibyśmy przejść tunelami, które sięgają w głąb Marsa i łączą wszystkie miasta kopalnianymi szybami, ale nie chcę. Istnieje taktyka, którą muszę zachować w tajemnicy. No i muszę dawać przykład.

Ataki takie jak ten nie trwają długo. Słyszałem opowieści. Podobne natarcia są dzikie i szalone. Dawno temu zamki wydawały się niemal niemożliwe do zdobycia, gdy bronił ich

doświadczony garnizon, chyba że za cenę pyrrusowego zwycięstwa. Dlatego armie polne

ustawiały się wokół murem i głodziły obrońców, dopóki się nie poddali. Teraz nikt nie ma tyle cierpliwości.

Agea to dwudziestomilionowe miasto, ale ilu z jej mieszkańców obejdzie, kto dzisiaj

zwycięży? Nie ma różnicy między rządami Bellony i Augustusa. Miedzianym i Srebrnym może zależy. Ale Czerwoni, Brązowi czy Różowi będą jedynie patrzeć, jak inny władca sprawdza ich łańcuchy.

Teraz zobaczą okręty przesłaniające niebo. Spadające bomby. I będą się kulić w miejskich kamienicach, drzeć przed żołnierzami bez twarzy. Od zarania ludzkości zajęciu miasta

towarzyszyły krzyki gwałtu, kradzieży i przerażającego pijaństwa odbijające się od ścian budynków. Niezrównani Naznaczeni nie biorą udziału w tej dzikiej jatce. Nie przynosi to zysków ani nie zaspokaja arystokratycznych gustów. Ale kiedy bierze się miasto siłą, panuje przekonanie, że takie miasto i wszyscy, którzy się w nim znajdują, stają się własnością zdobywcy. Gdy jest się wystarczająco silnym, zasługuje się na łupy. Niektórzy ich nie biorą.

Inni oddają je wilkom na pożarcie, pozwalają, aby miasto przejęły armie Obsydianów i

Szarych w nagrodę za przelaną krew.

Jeżeli mogę ochronić to miasto, jeżeli mogę pokazać jego mieszkańcom, że istnieje lepszy rodzaj człowieka, wtedy może jednak zdobędę serce Agei. Skradnę je. Ochronię. I będę

kochany przez jej mieszkańców tak, jak jestem kochany przez moją armię. Ale najpierw muszę się tam wedrzeć.

Na całym wielkim murze obronnym ogień uderza w stal. Dwa pozorowane ataki

prowadzone są po lewej i po prawej stronie. Szturmowce prowadzą ostrzał z karabinów i zawracają, gdy wpompują amunicję w ścianę. Ostrzał zwrotny z wieżyczek na murze huczy i wibruje mi w uszach. Chciałbym ująć Mustang za rękę. Kiwa mi głową i łagodzi mój strach.

Ale tylko na chwilę.

Szarzy w bojowych pancerzach pędzą naprzód jak mrówki. Drużyny artylerii ustawiają się i zaczynają siać śmierć na obrońców. Zbyt wiele się dzieje, żeby to ogarnąć, podobnie jak

podczas bitwy w kosmosie – warstwa po warstwie działania i przeciwdziałania. Tyle że tym razem z dźwiękiem.

Miny wybijają dziury w moich siłach. Oddziały Bellony wyslizgują się zza muru sto



metrów wyżej i lecą w chwale – łopoczą sztandary, błyska złoto. Ich tarcze migoczą

przecinane ostrzałem. Dostrzegam symbol orła wśród proporców Bellony i gotuję się do ataku w przekonaniu, że to Cassius, ale Mustang chwyta mnie za ramię.

– *Plan!* – przypomina mi i wskazuje na rzekę. – *Inaczej wszyscy zginiemy pod murem.*

*Plan!*

Trudno to zapamiętać. Trudno zapamiętać, bo chaos wokół rozprasza myśli. A przecież

liczy się rzeka i praca wykonana w nocy przez Synów Aresa. O ile ją wykonali. Rzeka

prześlizguje się pod murem. Szeroka na sto metrów i jeszcze głębsza, niesie już ciała poległych do miasta.

Nurkuję. Czuję napięcie, gdy prąd zwalnia, a potem przyśpieszam. Ryby umykają nam z

drogi. Dziwne, ale nie czuję chłodu. Obok mnie Wyjce przepływają jak torpedy. A dalej Ragnar ze swoją grupą Obsydianów. I Jupiter, wszyscy nurkują w rzece. Mustang trzyma się blisko mnie. Rozglądam się przez mętną wodę, aby odnaleźć dar Aresa.

*Tam.* Sto metrów pod wodą – widzę go. Jedno, co Czerwoni naprawdę potrafią robić, to wiercić. A Synowie poświęcili całą noc, aby zapewnić nam przejście do miasta. Moi ludzie będą pewnie myśleć, że przygotował je jakiś oddział zwiadowczy wysłany przed armadą. Nie będą pytać, w jaki sposób ogromne pręty zostały przecięte albo jak oszukano czujniki, które miały wykrywać zniszczenia.

– *Jeszcze jeden do wylotu* – mruczę, jakby Roque, Victra lub Tactus mogli mnie usłyszeć.

Włączam buty grawitacyjne i ruszam naprzód.

Otwór jest wąski, tuż przy dnie rzeki. Najwyżej dla dwóch na raz. Dlatego zabieram ze sobą najlepszego wojownika, Ragnara, i jako pierwsi przeciskamy się przez podwodne

przejście. W komunikatorze trzeszczą meldunki o bitwie na górze. Tracimy mur.

Ragnar i ja przepływamy tunel razem. Niemal spodziewam się zasadzki Bellony, ale żadnej nie ma. Synowie Aresa wykonali swoje zadanie. Czekamy po drugiej stronie muru, nadal pod wodą, na głębokości stu metrów, tuż przy dnie koryta rzeki. Reszta mojej kadry dołącza do mnie i Ragnara – Mustang, Sevro i pozostałe Wyjce, pięćdziesięciu innych Złotych i trzy razy tyle Obsydianów oraz Szarych.

Kiedy już wszyscy jesteśmy po drugiej stronie i gromadzimy się na dnie rzeki, mówię przez komunikator:

– Znacie swoje rozkazy.

Sevro wymienia ze mną uderzenie opancerzonej pięści, Mustang robi to samo. Ragnar

salutuje, przykładając dłoń do piersi. Jupiter ziewa do nadajnika. Klaun, Kamyczek i Chwast szykują się, wzruszając muł na dnie. Sekundy mijają. Ostrze mam owinięte wokół ramienia, kastet pulsacyjny w lewej ręce. Zaciskam pięści Helldivera. Zamykam oczy. Sevro wysyła na powierzchnię sondę, aby sprawdzić, czy brzeg jest czysty.

Mam znaleźć Władczynię.

Ragnar otworzy bramy.

Mustang ma opuścić tarcze, aby Roque mógł wysłać posiłki – wtedy zdołamy zdobyć

miasto w jednym starciu. Nie chcę się rozstawać z dziewczyną, ale nikomu innemu nie mogę powierzyć tego zadania – nikomu nie ufam tak bardzo.

Zaufanie. Muszę ufać, że Mustang przeżyje, ufać, że jej Obsydiani ją ochronią, a ona obroni

się sama. To brzemię ciąży mi na sercu wraz z lękiem, że ona nie wróci. Mam wrażenie, jakby spadała już w ciemność. Jeżeli zginie, będzie to śmierć z wiarą w kłamstwo. Obiecuję sobie, że powiem jej prawdę, jeżeli uda nam się przeżyć. Mustang na to zasługuje.

*Tylko niech przeżyje. Niech przeżyje. Niech przeżyje.*

Dziewczyna oddziela się, rusza dnem rzeki, żeby dotrzeć do parku przy generatorach parę kilometrów dalej. Obserwuję jej odejście i próbuję znaleźć w sobie siłę, aby to znieść. I kogoś, do kogo mógłbym się pomodlić. Mój ojciec jest ze mną, podobnie jak Eo. Czuję ich obecność w biciu swojego serca.

Zamykam oczy.

Sevro ściąga sondę, którą wysłał na powierzchnię wody, a potem melduje mi, że droga wolna – w błocie przy brzegu bawi się tylko mała dziewczynka.

– Walczcie za siebie – mówię przez komunikator do wszystkich, którzy są przy mnie na dnie rzeki. – Albo za mnie.

Włączamy nasze buty grawitacyjne i mkniemy przez wodę. Wynurzamy się jak mroczne

monstra, a woda ocieka z naszych czarnych pancerzy, gdy lecimy nad brzegiem rzeki. Pełno tu błota po deszczu, który spadł, zanim tarcze zostały podniesione, aby bronić miasta.

Pod nami samotna mała Brązowa stoi po kostki w wodzie i błocie. Przyglądam się jej

przez mój przerażający czarny hełm. Dziewczynka powinna się kryć ze swoją rodziną, a nie bawić

się w obłożonym mieście. Coś jest nie tak.

Kiedy mała nas widzi, wyciąga z koszyka niewielkie okrągłe urządzenie. Błyskawica przecina niebo. Rąbek najlepszej sukienki dziecka brudzi błoto, przez co tkanina staje się tam ciemnobrązowa.

– Zastrzelić ją! – warczy Sevro.

Odpycham jego ramię i strzał trafia w drzewo. A kiedy podnoszę wzrok, na murze w oddali – poza zasięgiem sondy wysłanej przez Sevra i znacznie poza zasięgiem kuli

wysyłającej impuls elektromagnetyczny, którą trzyma dziewczynka, czają się rycerze Bellony i ich Obsydianowi wojownicy. Czekają.

Dziewczynka naciska guzik na kuli.

I wtedy właśnie zaczynamy umierać.

## **CZEŚĆ CZWARTA**

### **Ruina**

*Wspinasz się tak wysoko, że upadniesz w błoto.*

– Karnus au Bellona

Urządzenie wyzwała impuls elektromagnetyczny. Brzmi to tak, jakby ogromne dziecko zatchnęło się po ukluciu szpilką. Nasza elektronika zamiera. Buty grawitacyjne przestają działać. Synapsy pancerzy gasną, a grawitacja chwyta potężne metalowe skafandry w swoje szpony. Spadamy. Większość ląduje w błocie na brzegu rzeki. Ja wpadam w nurt. Tonę. Tonę.

W uszach mi trzaska. Coraz głębiej i głębiej, aż opadam w muł na dnie. Uderzam mocno. Nogi uginają mi się pod ciężarem pancerza. Przewracam się na plecy. Nie widzę swoich ludzi.

Tylko niewyraźne kształty nad powierzchnią wody. Jestem zbyt głęboko, żeby dostrzec szczegóły, widzę tylko, jak rzeka ciemnieje od krwi. Błyskawice od czasu do czasu podświetlają tonące szybko ciała.

Nie mogę się ruszyć. SerwoPancerz jest zbyt ciężki. Leżę na dnie bezradny jak żółw, na wpół zanurzony w mule. Zdezorientowany. Ogarnia mnie strach. To stało się tak szybko. Nie mogę nawet popatrzeć w lewo lub w prawo, aby sprawdzić, kto jest ze mną. Łączność nie działa. Gdyby działała, zapewne usłyszałbym krzyki i przekleństwa.

Ten pancerny skafander przeniósł mnie z kosmosu na powierzchnię planety. Był jak tratwa ratunkowa i prywatny zamek w samym środku wojny. Teraz stał się moją trumną.

Serce mi wali. Chcę krzyczeć.

Znowu oddycham spazmatycznie – hiperwentylacja. Przerazenie zaciska mi klatkę piersiową, sprawia, że połykam powietrze, zjadam je, jakby mogło dać mi siłę do ruchu.

Powoli, upominam się w duchu. Powoli.

Muszę myśleć. *Myśleć.*

Dwa ciała opadają obok mnie. W śmierci nie ma wdzięku, tylko krew, która wypływa spod pancerzy. Kiedy zabójcy skończą z tymi, którzy utknęli w błocie, przyjdą po nas na dno rzeki.

Choć przecież nie muszą. Uspokajam oddech. W pancerzu mam ograniczoną ilość powietrza.

Recyrkulator się wyłączył.

Cassius znał mój plan. To musiał być on. A może zostałem zdradzony? Ale nie

powiedziałem nikomu oprócz Synów Aresa, Sevra i Mustang. Żadne z nich nie mogło donieść.

Cassius po prostu wiedział. Cholerny drań. Gdybym mógł się poddać, już bym to zrobił.

Ocaliłbym życie swoim ludziom. Ale nie mam łączności.

Szarpię się, próbując obrócić się na bok. Ale znajduję się za głęboko w mule, a pancerz waży ponad tonę. Nie mogę go udźwignąć. Nie mogę go też zdjąć. Do tego potrzebuję

elektroniki. Próbuję unieść ramiona. Nic. Muł mnie wciąga. Mustang jest daleko. Tak mi się zdaje. Dowie się, że trafiliśmy na dno?

Rozglądam się za Sevrem, za Ragnarem, za moimi Wycjami. Ciemne kształty dookoła.

Mam zawroty głowy. Muszę oddychać spokojniej, do cholery. Wolniej. I myśleć. Nikt z

Bellony nawet się nie pofatyguje tutaj, żeby mnie dobić. Umrę na dnie rzeki, patrząc z dołu na powierzchnię, gdy moi przyjaciele będą tonąć obok mnie jeden po drugim. Tak samotnie.

Sevro. Ragnar. Kamyczek. Chwast. Klaun. Już nie żyją. Zginęli. I patrzyli przed śmiercią na to samo co ja. Albo leżą na brzegu w błocie, a członkowie rodu Bellona przechodzą pomiędzy sparalizowanymi pancerzami i zabijają, kogo mają ochotę. Chce mi się wyć z bezsilności.

Dość. Muszę coś zrobić. Ruszyć się.

„Wspinasz się tak wysoko, że upadniesz w błoto” – wracają z pamięci słowa.

To już trzeci raz, jak zostałem rzucony w błoto i brud, żeby umrzeć. Zaciskam zęby, aż szkliwo pęka, gdy z całej siły napieram na swoje prawe ramię. Powoli, tak bardzo powoli, unosi się z wsysającego je mułu. Ale to wszystko, co mogę zrobić. Nie zdołam podnieść się z pleców. Za głęboko wpadłem w muł. W pancerzu jestem zbyt ciężki. I wtedy sobie

przypominam. Impuls elektromagnetyczny wyłączył elektryczne synapsy, co znaczy, że

serwoPancerz się wyłączył, ale ostrze nadal działa. I mam je – przypomina białego węża owiniętego wokół mojego ramienia.

*Ocali życie w zamian za kończynę.* Tak mi powiedziano, gdy wkładano mi ostrze slinga w dłoń. Ocalenie wymaga poświęcenia. Impulsy, które sterują ostrzem, są chemiczne. Włączone odpowie mi. Wyprostuje się. Ale wokół mojego ramienia... Będę musiał się śpieszyć.

Nabieram tchu, zamykam oczy. Czuję włącznik przez rękawicę. Muszę być szybszy niż

plomień. Szybszy niż żmija jaskiniowa. Włączam.

Ostrze ściska się przy prostowaniu i przechodzi przez metal jak nóż przez masło.

Wyłączam sling. Zatrzymuje się na mięśniach, ale nie sięga kości. Jęczę z przeraźliwego bólu na przedramieniu. Woda wpływa w rozcięcie, koi przypaloną ranę. Głupiec. Wkrótce wypełni skafander. Czuję już na karku pierwsze strużki. Za minutę, najwyżej za trzy zaczną tonąć. Uwalniam przedramię z rozciętego pancerza i przesuwam ostrze. Faluje jak macka.

Wtedy znowu je włączam. Formuje się w śmiercionośny znak zapytania, a ja kieruję je w stronę drugiej rękawicy.

Mój pancerz wypełnia się wodą, która dociera już do piersi. Powietrza mam coraz mniej.

Przy każdym oddechu przed oczyma rozbłyskują gwiazdy. W głowie mi się kręci, czuję się lekki – skutek utraty krwi z rany na przedramieniu. Mogę przeżyć długo, wstrzymując oddech, ale przez wcześniejszą hiperwentylację teraz wdycham dwutlenek węgla. Jednak moja druga ręka też jest już wolna od pancerza. Naga i blada w dziwnym, przyciemnionym świetle.

Unoszą się z niej rzadkie obłoczki krwi.

Gdyby nie uczyniono ze mnie Helldivera, umarłbym na dnie tej rzeki. Ale skoro jestem

Helldiverem, ścinam z siebie pancerz i zbroję pod spodem. To właśnie zręczność mnie ratuje.

Nie mogę ruszyć głową, bo hełm jest za ciężki. Nie widzę, gdzie tnę. Ból, jaki odczuwam, służy mi za oczy. Cał po cał uwalniam się z pancerza. Cał po cał przesuwam śmiercionośne ostrze wzdłuż mojego ciała. Pozostawiam w wodzie krew i skorupę, która mnie więziła.

Rozcinam ezgoshkielet. Jestem jak szarańcza wydostająca się z martwej wylinki. Bardzo delikatnie pozbywam się hełmu, przecinając go przy szyi. Wstrzymuję oddech, gdy ostrze dotyka gardła.

Draśnięcie. Tak blisko krtani.

Na końcu uwalniam nogi. Siadam, a rozcięte fragmenty pancerza drapią mi skórę. Metal

jest powyginany. Żyję, choć ranny i w zimnej wodzie. Hełm zdjęty. Wstrzymuję oddech. Przed oczyma latają mi czarne plamy. Nareszcie mogę zobaczyć zapadające się w mule ciała moich ludzi. Podpływam do największego. Oczy Ragnarara są zamknięte za przyłbicą jego skafandra.

Płyną z nich łzy. Obsydian ma ogromne płuca, a wewnątrz pancerza nie pozostało zapewne dużo powietrza. Może się poruszać sprawniej niż ja wcześniej, ponieważ jest silniejszy. Ale żaden człowiek nie zdoła pływać w zbroi.

Nie sądziłem, że Ragnar umie płakać. A jednak teraz szlocha bezgłośnie. Żadnych

wielkich, dramatycznych lamentów. To co innego. Cichy, spokojny płacz. A kiedy Ragnar otwiera oczy, dostrzegam w nich coś więcej. Jakby uśpiona częśćka jego duszy zapłonęła. Był

martwy, poddał się swojemu losowi. Lecz oto nadpłynąłem w poszarpanym mundurze,

zakrwawiony i wyglądający jak upiór, ale wolny od ciężkiej skorupy. Jestem jego mroczną nadzieją. Zaczynam ciąć, chociaż płuca mi płoną. Potrzebuję Ragnara. Nie mogę odnaleźć Sevra. Nie ma czasu. I nie mogę wypłynąć tylko po to, aby mnie zabito.

Tnę jak zawodowy Snycerz, dopóki Ragnar nie wydostanie się z pancerza. Inni widzą, co robimy. Ale nie możemy im pomóc. Jeszcze nie. Muszą wytrzymać.

Ragnar i ja ruszamy z mocnym nurtem na powierzchnię. Płuca mnie bołą. Bładoskóry, wytatuowany Ragnar porusza się w wodzie z gracją, jakiej nie mógłbym sprostać. Nie wiedziałem, że Obsydiani pływają tak dobrze. Chociaż to ma sens, skoro rodzą się na krze.

Jesteśmy już przy powierzchni, gdy tracę zmysły. Na dziesięć stóp przed wynurzeniem wdycham wodę.

Ciemność.

Czuję muł między palcami. I poruszenie w klatce piersiowej. Woda. Wymiotuję nią,

wykrztuszam w szorstką dłoń przyciśniętą do moich ust, uciszającą mnie. Kaszlę i wymiotuję przez palce. A potem następuje eksplozja przyjemności, gdy wreszcie udaje mi się zaczerpnąć powietrza. Cudownego powietrza. I przez chwilę nie ma nic. Tylko czysty orgazm napełniający mi płuca. Tlen, który dociera do moich pustych, obolałych organów. I nagle z oddali

nadciągają odgłosy walki. I jęki ludzi. Znajdujemy się na polu ciał. Nad głowami góruje mur.

Rzeka płynie szybko wokół naszych stóp. Impuls elektromagnetyczny uderzył może parę minut temu, ale wydaje się, jakby nie wiadomo kiedy minął dzień.

Ragnar przyciągnął mnie w błoto między dwóch Obsydianów. Dwaj Złoci z Bellony,

sześciu Obsydianów i sześciu Szarych idą wzdłuż ciemnego brzegu rzeki, aby dobić leżących bezwładnie pokonanych. Mamy szczęście, że reszta przerwała rzeź, aby powrócić do walki pod murem. Cassius ich poprowadził z powrotem. Co znaczyło, że nie miał pojęcia o moim udziale w starciu, za to doskonale wiedział przynajmniej o dziurze wykonanej przez Synów Aresa. Dla mnie mógłby zostać. Na szczęście nie wziąłem proporca, który wykonali dla mnie Klaun i Chwast. Jeszcze większe szczęście, że nie pozwoliłem im założyć wilczych skór.

To błoto stało się cmentarzem. Moi żołnierze zostali na wpół pogrzebani. Niektórzy

próbują unieść ciężkie, zabójcze pancerze, ale tylko opadają głębiej w rozmokły brzeg albo przyciągają uwagę Złotych, którzy szlachtują ich bez litości. Większość moich ludzi leży spokojnie. Jak opancerzone żuki, z których wycieka krew.

Szarzy żartują między sobą, gdy metodycznie wypełniają swoje zadanie. Nie śpieszą się przy

Obsydianie przygniecionym do ziemi, przebijają go pikami ze wspomaganiami i

przyszpilają do błota niczym chłopcy znęcający się nad związanym krabem. W końcu zabijają go przy pomocy strzelb z nabojami „świdrującymi”, które przewiercają pancerze.

Ragnar wskazuje na błoto. Wpólnadzy, obaj smarujemy się nim w ciemności. Chłodna maź

koi skaleczenia na mojej skórze, a u Ragnara zasłania tatuaże. Wskazuję na jeden z hełmów Złotych i pokazuję, że tym, którzy przeżyli, zaczyna brakować tlenu. Ragnar kiwa głową.

Zabieram ostrze zabitego Złotego. Nie umiem powiedzieć czyje. Wręczam je Ragnarowi.

Ostrze to zaznało tylko Złotej ręki. Żaden Pretorianin, żaden Obsydian, nawet noszący herb Władczyni, nigdy nie dotknął tej broni od czasów Mrocznej Rebelii. Dotknięcie jej oznacza śmierć z głodu. Żadnej możliwości dotarcia do Valhalli. Tylko głód, zimno i nieuchronny koniec. Jednak nasi wrogowie mają tarcze pulsacyjne. Żadna inna broń nie będzie skuteczna.

Ragnar upuszcza ostrze, jakby go sparzyło. Wciskam mu je ponownie w drżące dłonie.

– Oni nie są bogami.

Niczym cienie wynurzające się ze Styksu przemykamy przez cmentarzysko. Nasi wrogowie

nie są przygotowani do walki. Łatwe cele. Podkradam się na czworakach jak jakiś potworny pająk. Podnoszę się z ziemi, żeby zabić dwóch Obsydianów, zanim zdążą się odwrócić.

Ragnar łamie kolejnemu kark i wykręca innego tak, że pęka pancerz. Zrywam się, podbiegam do najwyższego Obsydiana, skaczę i wbijam mu miecz w ciało. Upadam niezdarnie przez

zranione ramię. Nawet nie czuję bólu. Za dużo adrenaliny. Dostrzegam oddział Szarych.

Rozglądają się, więc kryję się za powalonym Obsydianem i wciskam w błoto. Leżę w brudzie i ciemności wśród ciał poległych. Strzelby i broń pulsacyjna Szarych mogłyby mnie obedrzeć do kości, gdyż nie mam pancerza ani tarczy. Ragnar też znika. Nie wiem gdzie.

Czas mija. Ile tlenu zostało moim towarzyszom broni? Szarzy polują na nas i wołają coś o pelerynach Niewidkach. Pozostali Obsydianowi grupują się przy dwóch Złotych. Szarzy

przechodzą między ciałami i dobijają moich ludzi, aby wypłoszyć mnie i Ragnara. Lea tak zginęła, głęboko w błocie. Ja nie. Nie po raz drugi.

Wstaję. Bez krzyku, bez wycia. Cicho. Niech Szarzy spróbują mnie wypatrzeć. Jestem

szybki. I prawie ich dopadam, gdy otwierają ogień. Przedzieram się do nich, robię uniki, odskakuję jak balon na sznurku. W moich ruchach nie ma gracji. Tylko dzika groza. Nie widzę pocisków. Tylko wyczuwam ich bliskość. Czuję gorąco, gdy świstają w pobliżu. I uderzenie, gdy jeden trafia mnie w biceps. Moim ciałem wstrząsa ból. Skóra rozrywa się, gdy nabój przedziera mi się przez ścięgna i



mięśnie, a potem leci dalej z odłamkiem kości. Z ust wyrywa mi się pomruk. A potem rzucam się na Szarych. Oni nie zdążą wydać choćby jednego dźwięku.

Stracili okazję.

Dwunastu wrogów pada ofiarą lekcji Kravat Lorna. Dwanaścioro mężczyzn i kobiet.

Złoci i Obsydianowi ruszają teraz na mnie. Złoci wykorzystują swoje buty grawitacyjne.

Ragnar podnosi się z błota i pcha ostrzem jak włócznią. Ogromny Obsydian pada, a Ragnar rusza na obu Złoty, zgarnawszy drugiego slinga z ziemi.

Podziwiam jego siłę. Chwyta jednego z przelatujących Złoty za nogę. Tarcza pulsacyjna razi Obsydiana, przeszywa bólem jego ciało. A jednak Ragnar tylko ryczy, trzyma i z krzykiem dobywającym się nie z jego ust, lecz z duszy, ciska Złotym niczym zrąbanym pniakiem. Udaje mu się nawet zerwać jakoś buty. Smukły Złoty odtacza się i krzyczy:

– Skalany!

Ostrzega swojego towarzysza, który śpieszy mu na ratunek – obaj rzucają się na Ragnara.

A ja ruszam mu na pomoc.

– Kosiarz! – Jeden ze Złoty chowa hełm w kryzę, odsłaniając wyniosłe oblicze

Nieźrównanego. Pewnego swojej siły i rangi. Swojego dziedzictwa i swojego miejsca. Z jego twarzy bije radość. Zaraz jednak wykrzywia się w grymasie na widok ostrza w dłoni Ragnara.

– Dałeś ostrze swoich przodków tej bestii? – Z nienawiścią spogląda na Obsydiana, a potem z niedowierzaniem i wściekłością na broń. – Nie masz honoru?

Postanawiam nie odpowiadać.

– Wiedz, z kim walczysz, Andromedusie – warczy starszy Złoty. – Jestem Gaius au Carthus z rodu Carthii. Zbudowaliśmy Filary Wenus. Jako pierwsi pokonaliśmy otchłanie między

Wewnętrznym i Zewnętrznym Obrzeżem, a potem wydobywaliśmy surowce w gromadzie Helsy.

– To nie „Iliada”. Ragnarze, zabij tego głupca. Potrzebne nam jego buty.

Złoty splota.

– Posyłasz psa, aby za ciebie walczył?

– Jestem *człowiekiem!* – Ragnar krzyczy głośniejszym głosem niż przelatujący nieopodal statek. Ślina

tryska mu z ust, twarz wykrzywia grymas wściekłości, na szyi występują żyły. Z wyciem rzuca się do ataku, nim choćby uniosę ostrze. Używa ciała zabitego Obsydiana jak tarczy, aby chronić się przed cięciami Złotych. Uderza Gaiusa. Żadnej broni, tylko pięść. Cios w tarczę pulsacyjną jest tak mocny, że mężczyzna upada na plecy. Wtedy Ragnar zabija drugiego, przedarłszy się przez jego obronę czystą furją. Przecina Złotego wpół. Odpycha górną część zwłok i skacze na Gaiusa, który zapada się w ciemnym błocie. Ragnar powala go kopniakiem, wielkie mięśnie kurczą się konwulsyjnie, gdy dotykają tarczy pulsacyjnej, po czym Skalani przysuwa ostrze do gardła przeciwnika.

– Poddaj się i żyj – grzmi.

Gaius splota, dźwiga się na kolana.

– Poddaj się mnie jak człowiek innemu człowiekowi.

– Nigdy. – Usta Gaiusa wykrzywiają się goryczą. Wymawia ostatnie słowa wyraźnie i

czysto, z wyzwaniem i odwagą. Ma w sobie wszystko, co dobre, i całą słabość tych

nadzwyczajnych ludzi. – Jestem Niezrównany Legat Gaius au Carthus. Stanowię sumę człowieczeństwa. Zatem nie poddam się. Albowiem człowiek nie może poddać się psu.

– Zatem obróć się w proch. – Ragnar głęboko wbija ostrze.

Wydostajemy naszych ludzi z dna rzeki. Najszybciej, jak to możliwe, przy użyciu

zdobycznych butów grawitacyjnych. Niestety, nie dość szybko. Sevro żyje, ale wiele mu nie brakowało. Odnajduję go zassanego po szyję w mule. Przeklina i pluje, gdy wyciągam go z pancerza przy pomocy Klauna i Kamyczek.

– Ofiary? – pyta cicho Sevro. – Moje Wyjce?

– Zbyt wielu – odpowiada szeptem Klaun.

– A Mustang? Przedarła się?

Wszyscy patrzą na mnie.

– Tak myślę – mówię. – Ale nie możemy jej wywołać na żadnym kanale. Zresztą i tak

musimy się śpieszyć. Jeżeli Mustang przeżyła i wysadzi generator, żeby mogły wylądować posiłki, tarcza zniknie, a Władczyni zyska drogę ucieczki. Bo na razie jest uwięziona jak mucha w słoiku.

Sevro kiwa głową. Niska Kamyk unosi rękę, aby go pocieszyć. Drobną Chwast, która

ledwie sięga Ragnarowi do splotu słonecznego, dostrzega w dłoni Obsydiana ostrze. Ragnar właśnie przy pomocy slinga uwalnia kolejnego ze swoich pobratymców z pancerza.

– Rzuć to – rozkazuje dziewczyna.

Ragnar puszcza ostrze i patrzy na mnie z dziwną paniką. Gestem nakazuję mu czekać.

Po uwolnieniu z pancerzy tych, którzy wpadli do rzeki, znamy liczbę ofiar. Jest tak

przygniatająca, że Sevro odchodzi na bok. Harpia nie żyje. Ciemno grzbiet nie żyje. Oset zginęła, zanim dotknęła ziemi. Zostali jedynie Chwast, Klaun, Śrubokręt i Kamyczek. A z pięćdziesięciu Obsydianów tylko jedenastu.

Kamyczek i Klaun głaszczą po głowie jedną z zabitych. Identycznie postawione w grzebień włosy opadły im na deszczu, moczącym nas wszystkich. Kamyczek przyciska do zmarłej

drobne dłonie, szarpie ją za ubranie na piersi, jakby myślała, że to przywróci dziewczynie życie. Chwast podchodzi, żeby ją odciągnąć, a Klaun błotem usztywnia przyklapnięty czub zmarłej. Sevro nie może na to patrzeć. Podchodzę i staję obok niego.

– Myliłem się, gdy chodzi o wojnę – mówi Sevro.

– Nie poradzę sobie bez ciebie – odpowiadam, a po chwili rozpaczliwej ciszy pytam: –

Jesteś ze mną? Sevro?

Prostuje się i wyciera nos grzbietem ręki, rozmazując przy tym błoto po twarzy. Łzy żłobią jasne bruzdy w jego ciemnej od brudu twarzy, gdy podnosi na mnie oczy. Głos mu się załamuje jak u dziecka.

– Zawsze, Darrow. Zawsze.

## *Rozdział czterdziesty pierwszy*

### *Achilles*

Nie ma czasu na żalobę. Moje siły są zdziesiątkowane, a musimy się jeszcze podzielić.

Armia pod miastem naciera na niezdobyte mury. Oczekuje mojego wsparcia. Ale żadnego nie otrzymała. Legaci będą szukać mojego sygnału i zastanawiać się, czy zginąłem. Przez takie pogłoski można przegrać bitwę.

Wysłałam Ragnara i ocalonych Obsydianów, aby otworzyli jedną z bram dla moich

Legatów, którzy czekają na nas z tysiącami Szarych i Obsydianowych w odwodzie.

– Nie posyłam z tobą żadnego Złotego – mówię cicho, po czym pochylam się i podnoszę brudne ostrze z młazszczącego błota. – Obowiązkiem człowieka jest wybrać swoje przeznaczenie. Wybierz swoje.

Wyciągam do niego ostrze.

Ragnar zerka na Obsydianów. Po uwolnieniu ich z pancerzy zbroje mają zniszczone. I są uwalani błotem. Mniejsi niż Ragnar. Niektórzy smukli i spokojni. Inni potężni – przestępują nerwowo z nogi na nogę, niecierpliwie rwą się do działania. Wszyscy mają czarne oczy i białe włosy. Zabrali już broń Szarych i Obsydianów, których zabiłem. Na niewiele im się to zda, jeżeli napotkają Złotego.

Ragnar wybiera. Wyciąga rękę. Wyjce napinają się za moimi plecami. Chwast wciąż zerka na wielkoluda złowrogo.

– Wybieram służbę dla ciebie – grzmi Ragnar. – I wybieram dowództwo nad nimi.

Wkładam mu broń do ręki.

– Darrow! – oburza się Chwast. – Co robisz?

– Zamknij się – warczy Sevro.

– Nie może tego zrobić! – Chwast wysuwa się naprzód i próbuje wyrwać sling z ręki

Ragnara. Na próżno. Ragnar nie puszcza.

– Oddaj mi to, *niewolniku*. Oddaj mi broń. – Wyciąga własne ostrze. – Oddaj mi broń albo obetną rękę, w której ją trzymasz.

– Wtedy ja rozetnę ciebie, Chwast – krzywi się Sevro.

– Sevro? – Chwast odwraca się z wytrzeszczonymi oczami. Spogląda na mnie, potem na

pozostałe Wyjce, które stoją w milczeniu, niepewne, co się właśnie stało. – Oszaleliście? Tak nie można. To nasza broń. On nie...

– Nie zasługuje? – wtrąca Sevro. – Kim jesteś, żeby o tym decydować?

– Jestem Złota! – piszczy Chwast. – Klaun, Kamyczek...

Kamyczek milczy. Klaun przekrzywia głowę.

– Co się dzieje, Darrow?

– To moja armia – odpowiadam spokojnie. – Przypomnijcie sobie Instytut. Przypomnijcie sobie, jak przelewałem własną krew dla tych, którzy szli za mną. I jak nie brałem

niewolników. Dlaczego teraz jesteście zaskoczeni? Bo to się dzieje naprawdę?

– To śliska sprawa i tyle. – Klaun rozgląda się po polu bitwy. – Nawet tutaj.

– To prawda. – Pochyliam się i podnoszę kolejne ostrze, które upadło w błoto. Rzucam je złowrogo wyglądającej Obsydianowej połowy moich rozmiarów. Kobieta trzyma broń, jakby to był wąż, i spogląda na mnie z lękiem. Wychowano ich w przekonaniu, że jesteśmy bogami.

A teraz dostała młot Thora... Jak ma go używać? Sevro przechodzi między ciałami poległych i znajduje jeszcze kilka slingów. Rzuca je Obsydianom.

– Nie pokaleczcie się – ostrzega.

– Liczę na was. Idźcie – mówię im. Biegają pod ogromny mur i znikają w mroku.

Odwracam się do Wycjów.

– Jakiś problem?

Wszyscy szybko kręcą głowami, oprócz Chwast.

– Chwast? – ponagla ją Sevro.

Klaun szturcha ją i dziewczyna również potrząsa głową.

– Nie, żaden problem.

I wszystko jasne. Chwast nie pójdzie za mną, gdy ta bitwa dobiegnie końca. Czuję już, jak przyjaciele się ode mnie odwracają. A przecież nie znają nawet połowy prawdy. Ale to

problem na inny dzień.

Musimy poruszać się szybko. Ale mamy tylko dwie pary butów grawitacyjnych. Daję je

Sevrowi. Próbujemy sprawdzić, czy uniosą nas jak wtedy, gdy przeniosłem Wycje na Olimp, ale kiedy się na nich zawieszamy, buty trzeszczą i iskrzą. Mogą unieść tylko Sevra. Zapewne zostały uszkodzone podczas walki albo akcji ratunkowej. *Cholera*.

Zatem czeka nas wędrówka pieszo. I nie możemy zwlekać.

Wskazuję na zbroje, jakie niektórym udało się zachować po wycięciu z pancernych

serwoSkafandrów.

– Zdjąć zbroje.

– Co? – prycha Chwast.

– Zbroje. Zdjąć. Tylko kombinezony bojowe.

– Bez osłony przeciw Pretorianom? – jęczy Chwast. – Chcesz, żebyśmy wszyscy zginęli?

– Musimy poruszać się szybko. Jeżeli tarcza zostanie wyłączona, zanim dotrzemy do

Cytadeli, Władczyni się wymknie. Jeżeli jej nie złapiemy, będzie miała czas, żeby

przegrupować siły. Dołączy do swojego Pana Popiołów. Wezwie całą Elitę, a wtedy przybędą tu siły dziesięciokrotnie większe niż nasze, żeby nas zniszczyć. Wygramy bitwę, ale przegramy wojnę.

– Ale jeżeli ją złapiemy... – warczy Sevro, który staje u mojego boku.

– Mówimy o Władczyni – wtrąca Klaun. – Będzie miała Pretorianów, Rycerzy

Olimpijskich...

– I co z tego? – krzywi się Sevro. – My też mamy.

– Sześciu. – Klaun wzrusza ramionami trochę zawstydzony, gdy wbijamy w niego wzrok. –

Pomyślałem, że ktoś powinien zwrócić na to uwagę.

– Musimy pieszo pokonać pięćdziesiąt kilometrów – przypominam. Wyjce i reszta kiwają głowami. – W moim tempie.

Wtedy wymieniają zmartwione spojrzenia i zaczynają ściągać zbroje.

– Jeżeli zostaniecie w tyle, znajdźcie kryjówkę.

Jedna trzecia ziemskiej grawitacji. Ciała w najlepszej kondycji. A jednak będzie ciężko.

Zwłaszcza że ramię mam rozharatane własnym ostrzem.

Sevro siada obok mnie, gdy Wyjce pozbywają się zbroi. Słyszę ich przerażenie w brzęku części pancerzy i broni odkładanych drżącymi rękami, dostrzegam ten lęk w nerwowych

ruchach, gdy smarują sobie twarze błotem, aby ukryć swoje Złote cechy.

– Byli z tobą od początku, Darrow. – Sevro rozgląda się po poboju, patrzy na

Cytadelę w oddali i smugi płomieni przelatujących okrętów. – Została nas już tylko połowa z tych, którzy wyruszyli za tobą z Księżyca. Możesz zastąpić Paxa Ragnarem, ale nie zdołasz zastąpić ich. Ani mnie.

– Myślałem, że jesteś ze mną.

– Jestem twoim sumieniem. Wszędzie ciągnę się za twoim tyłkiem. Więc nie bądź gnojkiem.

– Przyjąłem. – Kiwam głową, a potem wołam do wszystkich: – Za mną!

Bez zbroi poruszamy się bezszelestnie. Mamy tylko broń i stroje bojowe. Biegniemy w butach z gumową podeszwą, nie używamy antygravitatorów. Posuwamy się wzdłuż rzeki, oddalamy od muru. Kluczemy przez połacie trawiastych parków i lasy, które oddzielają miasto od obwarowań, gdzie trwa mechaniczna wojna. Szturmowce i inne jednostki przelatują z

rykiem, od którego drżą wierzchołki drzew i spadają liście. Po prawej naziemny pociąg migocze wśród pni – transportuje żołnierzy na front. W oddali unosi się pióropusz eksplozji.

Chmury przesłaniają niebo nad ogromną tarczą chroniącą miasto. W ich wnętrzu błyskają wybuchy.

Mustang zapewne już dotarła do generatorów, o ile oczywiście przeżyła.

Biegniemy nierówno, piętnaście kilometrów pokonujemy sprintem. W boku czuję klucie.

Mięśnie błagają o tlen. A moim prawym ramieniem targa szarpiący ból od rany postrzałowej i rozcięcia od nadgarstka po łokieć. Zażywam pół opakowania stymulantów, dzięki czemu mogę w ogóle używać tej ręki. Ból mnie nie oślepia. Sprawia, że się bardziej koncentruję. Nie pozwala mi myśleć o zmarłych.

Kiedy docieramy do skraju lasu, nie zatrzymujemy się na odpoczynek, lecz pędzimy przez chodniki dzielnicy handlowej, mijamy gmachy wznoszące się jak wielokilometrowe wieże.

Przecinamy opustoszałe dzielnice PodKolorów i bazar, którego zaułki wiodą nas na brudne uliczki wśród ścian pomazanych graffiti. Od czasu do czasu Brązowy, Różowy lub Czerwony umyka nam z drogi albo przygląda się ukryty za oknem. Nawet tutaj, w stolicy królestwa Żółtych, dostrzegam graffiti poświęcone śmierci Eo. Jej włosy płoną jak ranni wojownicy spadający z nieba nad przezroczyłą tarczą Agei. Ktoś za mną wymiotuje. Nie zatrzymuje się.

Odór wymiocin ciągnie się za nami.

Sevro przylatuje i ląduje obok mnie.

– Pluton Szarych z przodu. Idź na południe jeden kwartał, potem zawróć, żeby ich ominąć.

– Po czym znika znowu. Postępujemy zgodnie z jego poleceniem.

Nagle na niebie robi się ruch i zwalniamy do truchtu, żeby popatrzeć. Kamyczek korzysta z okazji i opada na trotuar, oddychając ciężko. Wysoko nad naszymi głowami, ale wciąż nad tarczą, horda promów wypuszcza żołnierzy do starcia pod południową częścią muru. Lorn próbuje się przebić z południa na północ, gdzie poszedł Ragnar i jego Obsydiani. Tuziny promów opróżniają ładownie w hangarach i portach rozrzuconych od wschodu do zachodu po wznoszącej się na siedem kilometrów skalnej ścianie Valles Marineris. Znajduje się tam większość baraków, a także fabryk, gdzie wyższą rangą Czerwoni niewolnicy wytwarzają

części broni i towary komercyjne. Ukrywamy się przed odrzutowcem. Coś się stało przy

północnym murze. Znowu ruszamy do biegu. Kamyczek jęczy. Chwast podnosi ją z trotuaru i zmusza do wysiłku.

Niedługo potem dołącza do nas Sevro. Lewe ramię zwisa mu bezwładnie. Zerkam na niego z niepokojem, ale Wyjec ignoruje moją troskę.

– Ragnar otworzył przeklęte bramy. – Rozciąga usta w szerokim uśmiechu. – Dwunastu z nich jest na murze. Nasi chłopcy przechodzą. I...

Szczerzy się jeszcze szerzej.

– I co?

– I Ragnar zabił Pana Wiatru. I prawie pociął Cassiusa.

– A Olimpijczyk? – pyta zaskoczony Klaun.

– Ragnar rozciął go na oczach całej armii. Obsydiani w szeregach wpadli w szal.

A potem Sevro unosi się i pędzi naprzód. Oddział Szarych policjantów zaczyna nas ostrzeliwać. Rozpierzchamy się i kryjemy, a potem skręcamy w uliczkę, aby uciec.

Cztery kilometry do celu.

Kaszląc i dysząc, wtaczamy się na zewnętrzne tereny Cytadeli, chowamy się za drzewami.

Za wąskim pasem zieleni i wysokim murem wznosi się sieć iglic. Nie złotych, lecz białych, przetykanych czerwienią i wciąż ozdobionych posągami lwów Augustusa, choć na szczytach łopoczą srebrno-błękitne sztandary Bellony. Ich srebrzyste orły wydają się tak dumne... Wtedy jednak pojawia się Sevro. Macha do nas z góry i odcina jeden z proporców. Nie spodziewano się, że



ktokolwiek dotrze tak daleko.

Pomimo swojego piękna Cytadela to jednak forteca. Jedna z tych, w których nie chciałbym się zgubić. Będziemy przechodzić z sali do sali, zapewne natkniemy się na żołnierzy i możemy zostać przyciśnięci do ścian z oszalałymi drogim czerwonym dębem albo zabici na

marmurowych posadzkach. Cytadela nie ma tarczy, lecz całą sieć pancernych schronów

głęboko pod ziemią. Martwiłem się, że tam może się właśnie ukrywać Władczyni. Jeżeli

schroniła się pod Cytadelą, może przemienić taką sieć bunkrów w osobną twierdzę. Minęłoby wiele dni, zanim udałoby się nam wykopać Octavię, o ile w ogóle byśmy zdołali tego

dokonać. Dlatego zostawiłem jej drogę ucieczki. Wszystko to zależy od Mustang – tarcza musi opaść w odpowiednim czasie. Wykurzyć Octavię.

Ozdobny mur, zwykle niestanowiący przeszkody dla kogoś w butach grawitacyjnych,

oddziela nas od cichych terenów Cytadeli. Wokół znajduje się park. Drzewa. Fontanny. Białe skwery, gdzie Złoci i Srebrni piją popołudniową herbatę. Teraz jest tam pusto. Cicho jak w oku cyklonu. Sevro ląduje u mojego boku.

– Możesz nas przenieść nad murem? – pytam.

– Łatwo nie będzie – mamrocze. – Ale spróbujmy.

Obejmujemy się i Sevro unosi mnie, krzywiąc się i chroniąc lewe ramię. Buty trzaskają i iskrzą, dwa razy tracimy wysokość. Wreszcie docieramy na mur. Zeskakuję, a Sevro opada po kolejnego Wyjca. Chwilę potem pojawia się jego głowa, zaraz jednak znika, gdy buty

grawitacyjne krztuszą się z jękiem. Z ostatnim mechanicznym prychnięciem grawitatory się poddają i Sevro z Wyjcem spadają z wysokości dziesięciu metrów.

Ogłuszający grzmot niesie się nad miastem. W oddali bucha dym.

Mustang się udało.

Nad nami opada przejrzysta tarcza, która oddzielała Ageę od świata okrętów i walki. Drży i zniekształca ostrzał w mieście, rozbłyskuje jak popękane szkło, a potem rozpada się w pryzmatyczną mgłę. A przynajmniej jedna ósma tarczy się rozpada, a spiętrzona fala opada w tym miejscu na miasto jak szara rzeka.

– *Nie udało się!* – krzyczy Kamyczek z drugiej strony muru.

Ale jednak. Jeden po drugim węzły, które utrzymują tarczę, zostają przeładowane. Reakcja łańcuchowa jak fala powodzi wreszcie uderza w Ageę. Roque, jeżeli wygrywa, wyśle posiłki.

Miasto jest już praktycznie zdobyte. A Władczyni zapewne zostanie wyciągnięta z bunkra przez swoich strażników, aby uciec ze straconej planety. Ale promy znajdują się o dwa

kilometry dalej, po drugiej stronie Cytadeli. To miało się potoczyć inaczej. Powinienem być w pancernym skafandrze, mieć ze sobą stu Obsydianów i tuzin swoich najlepszych Złotych. A zamiast tego prowadzę najlepszych przyjaciół prosto w maszynkę do mielenia mięsa. Muszę zmienić wzorzec, nie chcę ryzykować ich życia. Zerkam z wysokości muru na Sevra, a on od razu rozpoznaje moje spojrzenie.

– Nie, Darrow – mówi. – Pomyśl o swojej misji.

Błaga mnie, podskakuje i próbuje wspiąć się na mur, gdy się odwracam.

– Nie rób tego, Darrow. *Czekaj!* Zginiesz!

Zeskakuję na drugą stronę muru do Ogrodów Cytadeli.

Niektórzy ludzie mają tak mocną nić życia, że przecina ona istnienia tych, którzy są blisko.

Zbyt wielu przyjaciół zapłaciło za moją wojnę. Tym razem moja kolej.

– Darrow! – wrzeszczy Sevra z przerażeniem i rozpaczą. – Stój!

Biegnę tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu. Władczyni mi nie ucieknie. Zrobiłem to wszystko, żeby ją pojmać. Porwać ją, złamać Elitę. Pojmać Władczynię i gra skończona.

Będziemy mogli powstać z kolan. Będziemy mogli zwyciężyć.

Przeskakuję żywopłoty, omijam fontanny, przedzieram się przez krzewy róż. Z ramienia spływa mi krew. Nie czuję ciała. Unoszę się niemal nad ziemią. W dłoni ściskam sling.

*Tam.*

Skręcam za róg Cytadeli. Za różanym ogrodem znajduje się biały dziedziniec, przypalony na czarno silnikami prywatnych jednostek. Cztery samotne maszyny stoją na lądowisku, które pomieściłoby setki takich. Wszystkie wahadłowce są czarne, z wielkim złotym półksiężycem na burtach, ale najbardziej pękate, ten z najmocniejszym napędem i wzmocnionym kadłubem, należy do Władczyni. Pozostałe to przynęty, niemal równie pękate, niemal równie dobrze uzbrojone. W powietrzu byłyby nie do odróżnienia.

Z pewnością już wykryły mnie czujniki. Szarzy brytani podchodzą. Obsydianowi

ochroniarze zostali wypuszczeni z ukrytych baraków i posłani, aby mnie zabić. Uda im się tylko wtedy, gdy się zatrzymam. Ale nawet gdy przyglądam się dokładnie lądowisku, nie zwalniam kroku. Pomarańczowi krzątają się wokół promów, przygotowując je do startu. Nie spóźniłem się. Jeszcze

nie. Ale wrota do Cytadeli znajdują się o wiele bliżej statków niż ja.

Orszak wychodzi w pośpiechu. Nie widzę Władczyni. Tylko purpurowe peleryny

łopoczące na wietrze i deszczu. Uciekinierzy chowają głowy pod kapturami, ale spoglądają w niebo, gdzie smugi Stalowego Deszczu płoną wśród burzy, przez co ciemne chmury wyglądają jak stal rozgrzewana powoli w kuźni. Przybyli moi Tytani.

Pretorianie śpieszą się, biegną z Władczynią po długiej rampie do promu. Dostrzegam

wśród nich Aję. I Karnusa. I Fitchnera, tego wstrętnego, zdraдлиwego sukinsyna. Przyśpieszam.

Nogi mam odrętwiałe ze zmęczenia. Płuca mi płoną. Resztki sił wykorzystuję w tej jednej chwili. Moje życie w kopalni, godziny cierpienia z Harmony, groza Instytutu. Miłość, którą poznałem i straciłem i dla której wciąż pragnę żyć – pozwalam, aby to wszystko we mnie spłonęło.

Połowa świty czeka na chodniku – pozostała, aby obserwować prom. Statek zapala światła i włącza napęd. Przynęty naśladowują jego ruchy. Złoty z Bellony biegnie, gdy się zbliżam. Jego wytrzeszczone oczy płoną, a ja tnę go w biegu. Słyszę tylko zduszony krzyk. Więcej osób się odwraca – kobiety, mężczyźni, wojownicy, Politycy, Złoci i Srebrni. Znam ich z czasów, gdy służyłem Augustusowi.

Nie od razu mnie rozpoznają. Spodziewają się wroga przy bramach, nie pośród świty

Władczyni, dlatego wzdragają się na mój widok. Unikam wyciągniętej ręki Szarego, zrywam mu z pasa małą torbę z uzbrojeniem. Uderzam ostrzem na oślep, czuję, że trafiłem w ciało.

Krzyki. Sięganie po broń. Kule i ładunki pulsacyjne z miotaczy przelatują mi nad głową.

Rampa zamyka się, gdy prom się unosi.

Z wrzaskiem wybijam się ze wszystkich sił, jakie w życiu miałem. Zraniona dłoń zaciska się na krawędzi rampy. Przeszywa mnie oślepiający ból od palców w górę. Prom się wzbija.

Ryk silników wstrząsa mną, łomocze mi w sercu i odbija się od żeber. Rampa wciąż się

zamyka. Z rozpaczliwym jękiem dźwigam się niezdarnie pod niewygodnym kątem, ale

mniejsza grawitacja nieco mi pomaga. Przetaczam się do ładowni. Opadam na kolana, dyszę ciężko. Sling opieram o podłogę. Huk silnika cichnie, gdy rampa się zamyka i uszczelnia.

Słyszę już tylko swój urywany oddech i grzmot śmiertelnego promu, który zrywa się do ucieczki.

Unoszę wzrok.

Obserwuje mnie sześciu Pretorianów. Wśród nich Karnus. I Aja. I krępy Fitchner.

Wytrzeszcza oczy na mój widok. Władczyni stoi przed swoimi Pretorianami. Chociaż jest wysoka, ledwie sięga im do ramienia.

*Cholera.* Nie pomyślałem, że wszyscy zostaną w ładowni.

– Darrow? – Fitchner niemal jęczy.

– Co? – śmieje się Karnus i zerka na innych, żeby sprawdzić, czy zauważyli, jak

absurdalny prezent wpadł im ręce. – *Co...?* Andromedusie, *skąd* tyś się tu wziął? Wyglądasz, jakby sam Jupiter właśnie cię wysrał.

Podnoszę się z kolan, dysząc, kapiąc od krwi, deszczu, potu i błota.

– Możemy wykorzystać go jako zakładnika – mówi szybko Fitchner, gdy prom unosi się coraz wyżej.

– Nie – odpowiada stanowczo Władczyni. – Achilles nigdy nie zostałby zakładnikiem, ponieważ gdyby trafił do niewoli, straciłby to, co czyni go Achillesem.

Przygląda mi się zimno. Spluwam flegmą.

– Ajo, zetnij mu głowę.

Aja podchodzi do mnie nieśpiesznie.

– Głupi chłopak. Bez przyjaciół. Bez armii. Bez nadziei.

Chichoczę ponuro.

– Na co komu nadzieja, gdy ma granaty pulsacyjne?

Unoszę torbę z uzbrojeniem, którą zerwałem z pasa Szarego. Wszyscy się cofają.

– Czego chcesz, Andromedusie? – pyta z namysłem Władczyni.

– Żebyś udowodniła, że nie jesteś niepokonana. Rozkaż, aby ten prom wylądował.

Pilot wykonuje beczkę. Bez butów grawitacyjnych tracę równowagę i uderzam w sufit, po czym spadam na pokład. Upuszczam granat. Moi wrogowie ani drgną. Aja kopie granat

pulsacyjny za otwarty właz. Wybuch następuje daleko w dole.

Spoglądam w noc, gdzie właśnie rozpadły się moje plany.

– Duma – uśmiecha się Octavia. – Chyba z wszystkich nas robi głupców.

Uświadamiam sobie, jak głupio było myśleć, że potrafię kontrolować wszystkie zmienne. I teraz właśnie zaczynam za to płacić.

– Nie uciekniesz – mówię cicho.

– Wiesz, że tak. Inaczej nie ryzykowałbyś wskakiwania mi do statku. – Skinieniem głowy przywołuje jednego z Rycerzy Olimpijskich, a dziwny pisk wibruje w powietrzu dwukrotnie, nim wreszcie cichnie. Kamuflaż. Peleryna Niewidka na cały kadłub. Niewyobrażalnie

kosztowny system ukrywający cały statek. Przyjaciele nie przybędą mi na ratunek.

Octavia spogląda na Fitchnera.

– Rycerzu Gniewu, masz nanokamerę? – Fitchner kiwa głową i wyciąga pierścień. –

Nagraj, jak Aja zabija Kosiarza.

Fitchner blednie.

– Pozwól zabić go mnie – błaga Karnus. – Pani moja, pozwól zabić go mnie. Za moją rodzinę. Mam do tego prawo.

– Prawo? – pyta Octavia zdziwiona. – Przez twoją rodzinę straciłam Marsa. Nie masz żadnych praw.

– Będzie lepszy jako jeniec. – Fitchner podchodzi do Władczyni. – Pozwól, że z nim porozmawiam. To mój uczeń.

Władczyni powoli obraca wzrok na Fitchnera i mierzy go uważnym spojrzeniem. A

Fitchner uświadamia sobie ponieważ, że popełnił błąd.

– Czekaj, Ajo – uśmiecha się Octavia. – Niech Fitchner go zabije.

Brzydki mężczyzna po prostu patrzy. Chyba po raz pierwszy widzę, jak brakuje mu słów.

– Zabij swojego ucznia – rozkazuje Władczyni. – A może nie jesteś lojalny?

– Oczywiście, że jestem. Już tego dowiodłem.

– Zatem dowiedź raz jeszcze. Daj mi jego głowę.

– Musi być inny sposób.

– Nastawił przeciw tobie syna – wskazuje Octavia. – I wiesz dobrze, że nie trzymam

blisko nikogo, komu nie mogę zaufać. Zatem zabij go.

– Tak, pani. – Twarz Fitchnera marszczy się w skupieniu. W jego brązowych oczach

pojawia się dziwne zawirowanie smutku. Czy tak strasznie jest patrzeć na śmierć swojego najlepszego ucznia? Czy też to dlatego, że jestem przyjacielem Sevra? Czy po prostu martwi się o syna?

– Sevro żyje – mówię mu. – Przeżył Deszcz.

Fitchner kiwa głową i dotyka swojego ostrza. A potem zatacza się, pchnięty przez Karnusa.

Ogromny syn rodu Bellona rusza na mnie w pancerzu, który ukazuje chwałę rodu. Karnus ryczy moje imię.

Udaje cios z wysoka, zakrzywia ostrze ukośnie do mnie, szybki jak żmija. Uchylam się

skokiem w przód, kiedy klinga przeciwnika jest najwyżej, i wbijam sling w brzuch Karnusa.

Puszczam rękojeść i odskakuję za plecy przeciwnika, który opada na kolana.

– *Wspiąłeś się tak wysoko, że upadasz w błoto* – szepczę, gdy wyszarpuję swoje ostrze z jego pleców, po czym ścinam Karnusowi głowę.

Jeden z Pretorianów rusza na mnie. Rzucam w niego slingiem. Trafiam w tors i mężczyzna upada. Wyciągam ostrze i cofam się przed obserwującymi mnie pozostałymi Pretorianami.

– Głupcy – szepcze Władczyni.

– Mam to nagrywać? – Fitchner drapie się w głowę.

Prom drży, ale zaraz odzyskuje płynny lot po wstrząsie. Świat kołysze mi się przed oczyma, opadam na kolano. Podpieram się ręką o pokład. Odzyskuję równowagę. Czuję nowe ciepło na plecach i na brzuchu. Nie będę klęczał. Nie przed tyranką. Wstaję niezdarnie. Karnus chybił. Ale nie całkiem. Krew spływa mi z zagięcia między szyją i ramieniem, gdzie ostrze wielkoluda z Bellony sięgnęło

celu. Przecięło mi obojczyk. Chwieję się.

– Co za pokaz. – Zimne spojrzenie Octavii au Lune przesuwa się po mojej ranie. –

Wyobraź sobie tego chłopca ukształtowanego przez mój ród, Ajo.

Potrząsa głową i patrzy na mnie z całkowitym brakiem zrozumienia. Zauważa inne moje rany. Moją krew. Moje wyczerpanie. Moją młodość. A jednak ja tego wszystkiego dokonałem.

Dwa ciała u moich stóp. Oblężone i zdobyte miasto, które zostawiłem. Inne miasta Marsa również przejęte. Moja flota niszcząca siły Bellony. Elita na skraju rozpadu. Władczyni nie rozumie i nigdy nie zrozumie. Ale Fitchner chyba tak. Oczy ma zaszkłone. Dłonie zaciśnięte w pięści.

– Nie mogłabyś mnie ukształtować – mamroczę. Tylko Czerwoni mogli. Tylko rodzina i tylko miłość dały mi tę siłę. Jednak siła już się wyczerpuje. I właśnie wtedy Aja rusza do ataku. Wymieniamy trzy ciosy, zanim wytrąca mi ostrze i uderza pięścią tak mocno w pierś, że wydaje mi się, jakbym umarł. A potem rzuca mną o sufit jak szmacianą lalką. I kiedy mam już dość, powraca do Władczyni, a ja z jękiem zapadam się w ból.

– Przynieś mi jego głowę, Fitchner – powtarza rozkaz Władczyni.

Fitchner patrzy na mnie bezradnie i wyciąga rękę, niemal dotyka Władczyni.

– Powinniśmy nagrać jego egzekucję dla holosieci. Propaganda. Powieszenie.

Prawomocny wyrok śmierci.

– Fitchner... – Octavia unosi brwi, aż Fitchner się cofa. – Dość.

Zaciska zęby, gdy się zastanawia.

– Chcę, żeby zginął. Żadnych więcej zmiennych. *Już*. Zachowaj głowę, żeby nabić ją na pikę. I to sfilmujemy.

Paciorkowate oczy Fitchnera błyszczą smutkiem. Urodzony wśród najniższych rangą

Złoty doszedł na szczyt tylko dzięki sobie. Co za człowiek. I pomyśleć, że uważałem go kiedyś za słabego.

Tutaj, gdzie wszystko ma się skończyć, wiem, że musimy zdobyć Marsa. Augustus musi być wolny. A wojna trwać. Złoci osłabną. A Czerwoni rozpoczną bunt. Może, chociaż tylko może powstaną i odnajdą wolność. Zrobiłem, o co prosił Ares. Rozpętałem chaos. Resztą zajmą się inni. Eo byłaby zadowolona.

Uśmiecham się lekko i czuję słabość w nogach. Jestem zmęczony. Klęczę. Kiedy opadłem

znowu na kolana? Nieważne. Jak przyjemnie będzie spocząć w Dolinie, podczas gdy inni będą musieli realizować marzenie Eo. Szkoda tylko, że przed śmiercią nie zobaczę Mustang.

Szkoda, że nie powiedziałem jej, kim jestem. Przynajmniej ona by zrozumiała.

– Twój chłopiec płonął jasno. I szybko spłonął – mówi Aja do Fitchnera. Nie widzę jej, wzrok spowija mi cień. – Zachowaj głowę. Ale ciało możesz zakopać w ziemi na sposób

marsjański.

Aja otwiera rampę. Metal stęka. Czuję na twarzy wiatr z Doliny. I chłód mgły. Zapach

deszczu. Zaraz zasnę. I wkrótce obudzę się u boku Eo. Obudzę się w naszym ciepłym łóżku, z palcami wplątanymi w jej włosy. Obudzę się do miłości i z wiedzą, że w poprzednim świecie zrobiłem, co mogłem.

Ale będzie mi ciebie brakowało, Mustang. Bardziej, niż byłem gotów przyznać.

Przed oczyma mam tylko cienie i mgłę. Przez chwilę zapach rdzy sprawia, że mam

wrażenie, jakbym znalazł się znowu w kopalni. Czy śpię? Słyszę metaliczny rytm butów. Przez mgłę idzie człowiek. Nie widzę jego twarzy. Ale kogoś mi przypomina. Ojciec? Nie, nie ojciec. Mrużę oczy.

– *Wujek Narol.*

– Nie, chłopcze. To ja, Fitchner.

Jego głos brutalnie przywraca mnie na pokład promu. Jak haczyk wędkę, który rozdziera jedwab, choć nie tam miał polecieć.

– *Och, cieszę się, że to ty – mówię cicho. Znajduję w sobie dość sił, aby unieść głowę i popatrzeć mu w oczy. Wypełniają je łzy. Kasłaniem maskuje śmiech. Za mną świszczce wiatr.*

Nie ten z Doliny. Z Marsa. Żadnej mgły. Tylko chmury. Rampa jest opuszczona, żeby można było wyrzucić moje ciało. Powiedziałem Arcosowi, że nie jest mi przeznaczone osiwieć.

Głowa mi opada. Wypluwam trochę krwi z ust. Jest mi niedobrze, tracę przytomność.

– Powiedz Mustang... Eo... że je kocham.

– *Ty cholerny głupcze* – odpowiada przejmującym, chrapliwym szeptem Fitchner, kręcąc

głową. – *Miałem to wszystko pod kontrolą.*



– Ja nie... – Mrugam, aby odpędzić mgłę. – Co?

– To ja. To zawsze byłem ja, chłopcze.

Mgła się rozwiewa. Spoglądam na Fitchnera. Spoglądam na Aresa, gdy zamyka swój hełm

Rycerza Gniewu i strzela z pulsacyjnych rękawic w Pretorianów. Zbrojni się rozpraszają, niektórzy przewracają. Ares rzuca granat soniczny.

– Fitchner! – wrzeszczy Władczyni. – Zdrajco!

Eksplozja. Czuję uderzenie w pierś i spadam. Koziółkuję. Lecę? Ogarnia mnie chłód. Ostry wiatr zacina w twarz. Żołądek podchodzi mi do gardła. Wiruję. A potem chwyta mnie silne ramię. Unoszę się. Wiatr świszczę w uszach. Słyszę jednak coś jeszcze, zanim zapadnę w ciemność. Fitchner – Ares – przywódca terrorystów i podziemia wyje jak wilk, gdy niesie mnie do bezpiecznej przystani.

## *Rozdział czterdziesty trzeci*

### *Morze*

Budzę się i czuję zapach morza. Sól i wodorosty niesione orzeźwiający jesiennym wiatrem. Mewy krzyczą. Jedna przysiada na parapecie z białego kamienia w otwartym oknie.

Przekrzywia głowę, zerka na mnie i odlatuje w poranne niebo. Chmury płyną w oddali na horyzoncie, obiecując deszcz, chociaż w słońcu lśni jeszcze rosa.

Obok mnie porusza się kobieta. Jej szczupłe ciało na kołdrze kuli się przy moim poturbowanym ramieniu. Jest ubrana. A ja nie mam koszuli. Moją skórę znaczą świeże przeszczerpy. Lśniące, różowe i wrażliwe na dotyk. Mustang porusza się znowu, mimowolnie przywraca mi pełną przytomność. Znowu czuję ból i niewygodę, ale też przyjemność z bliskości dziewczyny. Powieki mi opadają i wzdycham głęboko, gdy zapadam się w zapomniane poczucie bycia człowiekiem. Oddech Mustang na mojej szyi. Wibrujące bicie innego serca przy mojej piersi. Złote włosy łaskoczące mnie w nos, gdy chłodny wiatr rzuca mi na twarz kosmyk. Poranna bryza jest świeża, pełna życia.

Oddycham głęboko i zapadam w sen.

Spokój rozbijają wspomnienia metalu.

Krzyki odbijają się echem w mroku. Przyjaciele umierają.

Otwieram oczy na światło, rozpaczliwie przypominając sobie, gdzie jestem. Powtarzam

sobie w duchu, że nic mi nie grozi. Czuję ciepło. Nie ma tutaj metalu. Tylko bawełniane prześcieradła. Łóżko. Ciepła dziewczyna. Jednak wspomnienia są tak blisko. Jak przeżyłem?

Spadłem z nieba z Fitchnerem.

*Aresem*. Prawda, którą znałem zawsze, ale wydaje się tak nowa, że nie potrafię nawet jej ogarnąć. Budziłem się wśród narzędzi Żółtych w mojej klatce piersiowej, które zmuszały serce do bicia. A potem budziłem się znowu pod dotykiem skalpela Snycerza na swojej

skórce. Towarzyszyły mi ból i agonía. Przyływy przytomności i odpływy. Goście

przychodzący i wychodzący. Wolę budzić się do tych wizyt.

Boję się zamknąć znowu oczy. Boję się tego, co zobaczę, gdy się obudzę. Jako Czerwone dziecko dzieliłem wąskie posłanie z Kieranem. Co rano budziłem się przed bratem i leżałem w bezruchu, słuchając przyciszonych głosów rodziców za cienkimi drzwiami, gdy zaczynali dzień. Słyszałem szuranie stóp ojca. Odgłos płukania gardła, gdy mył się po przebudzeniu.

Matkę robiącą mu kawę, rozgniatającą ziarna, które dostawała od Szarych w zamian za jaja zmij jaskiniowych lub szpulki jedwabiu ukradzione z Pajęczarni.

Szkoda, że każdego ranka nie budzą mnie te właśnie dźwięki. Rozgniatanie, aromat kawy.

Szkoda, że już te dźwięki nie przypominają mojemu ciału o poranku i powrocie ze snu do rzeczywistości. Ale to nie zapach kawy czy herbaty matki ani odgłos wody wypływającej z rur, czy też artretyczne trzeszczenie linowych drabin, gdy w Lykos ludzie z nocnej zmiany w kopalni i Pajęczarni wracali do domów, przywoływały mnie ze snu. Ani zmęczone szepty tych z dziennej zmiany, którzy przygotowywali się do wyjścia do pracy.

Budził mnie lęk przed zamkniętymi drzwiami.

Każdy poranek kończył się tak samo. Najpierw gliniane naczynia klekotały w metalowym

zlewie. Potem plastikowe krzesło ojca szurało po kamiennej podłodze. Rodzice stawali razem w progu, szeptali. Potem następowała cisza. Zawsze wyobrażałem sobie, że wymieniali wtedy długi pocałunek. Wreszcie się zegnali. Frontowe drzwi się otwierały ze zgrzytem

zardzewiałych zawiasów. I wreszcie, pomimo moich modłów, zamykały się cicho.

Przysuwam się blisko do Mustang i całuję ją w czoło. Mocniej, niż zamierzałem.

Dziewczyna budzi się, przeciąga jak kot po drzemce w słońcu. Nie otwiera oczu, ale przytula się do mojego boku.

– Nie śpisz – mruczy. Powieki jej drżą, po czym zrywa się gwałtownie. – Przepraszam, zasnęłam... – Zerka na krzesło, na którym powinna siedzieć. – Na łóżku.

– W porządku. Zostań. Proszę. – Zapomniałem, że mieliśmy odnosić się do siebie chłodno.

– Ile czasu minęło?

– Od obłączenia? Tydzień. – Odgarnia kosmyki spadające jej na czoło. – Cieszę się, że do nas wróciłeś.

– Kogo straciliśmy? – pytam cicho.

– Straciliśmy? – Dłonie Mustang wykręcają się ze skrępowaniem, kiedy wymienia ofiary.

Potem na długo zapada cisza. Liczby wgniatają mnie w posłanie. Przypominam sobie, żeby oddychać.

– Władczyni?

– Uciekła. Ale nie bez paskudnej rany, dzięki uprzejmości Fitchnera.

– A twój ojciec?

– Nie wiesz? – Uśmiecha się niepewnie i wzdycha nieco zbyt obojętnie, próbując pozbyć się napięcia. Przysuwa się znowu bliżej na łóżku, chociaż stara się mnie nie dotknąć. –

Przekazywanie nowin jest strasznie nudne...

– Na pewno jakoś sobie poradzisz.

– Ojciec żyje. Kiedy tarcze opadły, paru Złotych, którzy ukrywali się w Cytadeli, zebrało oddział i ruszyło mu na ratunek. Okazało się, że ręce mojego brata sięgają daleko. Kiedy więc Rycerze Olimpijscy przyszli po ojca z Octavią, zastali pustą celę.

Mustang poprawia się i mówi dalej:

– Holosiec nazywa Roque'a „nowym wcieleniem Nelsona”. Przejął ponad osiemdziesiąt

procent floty Bellony. – Jej głos staje się bardziej ponury. – Co znaczy, że jako dowódca bitwy ma prawo do przynajmniej trzydziestu procent zdobytych okrętów, a reszta należy do rodu Augustus.

– Czyli ma więcej niż ja, technicznie rzecz ujmując.

– Eksperci zastanawiają się, jak długo pozostanie lojalny teraz, gdy...

– Szakal rozgrywa swoje gierki – przerywam jej ze śmiechem.

– I nigdy nie przestanie.

– Nie sądzę, aby Roque zwrócił się przeciwko mnie – stwierdzam. – A ty?

Mustang wzrusza ramionami.

– Władza tworzy okazje. Mówiłam ci, żebyś naprawił łączące was stosunki.

– Roque to nasz sojusznik. Zawsze nim będzie. Znasz go.

– Przychodził tutaj równie często jak Sevro. – Uśmiecha się w zamyśleniu. – Zeszłej nocy nawet zasnął, gdy czuwał przy twoim łóżku. Przepędziłam go wcześniej. Ale nie wykonałabym swojego zadania, gdybym udawała, że nie stanowi dla nas potencjalnego zagrożenia.

Dla nas, powtarzam w duchu.

– Twojego zadania? – pytam zdziwiony. – To znaczy...?

– Wyznaczyłam się na twojego naczelnego Polityka.

– Tak po prostu?

– Owszem. Dworskie rozgrywki zwykle są wredne i dwulicowe. Jesteś na to zbyt szczery.

Jak jagnię, które myśli, że zaproszenie na bankiet wilków to dla niego zaszczyt.

– A jeżeli to przed tobą powinienem się chronić?

– Cóż... – Mustang unosi lewą brew. – W takim przypadku myślę, że jesteś już zgubiony.

Parskam śmiechem, a potem pytam o Sevra.

Mustang udaje, że się rozgląda.

– Nie śpi w nogach twojego łóżka? Zatem chyba wyszedł do ojca. Wróciłam w nocy ze spotkania z Kavaxem na orbicie, a Teodora powiedziała, że Sevro po kolacji wyszedł z

Fitchnerem. Myślałam, że chłopak nienawidzi ojca.

– Bo nienawidzi.

– To się zmieniło.

Wzruszam ramionami i zastanawiam się, od kiedy Sevro znał prawdziwą tożsamość ojca.

Wydaje się niemożliwe, żeby był równie ślepy jak ja. Czy ktoś mnie dla odmiany okłamywał?

– A Lorn? – pytam.

– Jest z tą harpią, Victrą.

– Co masz przeciwko Victrze?

– Oprócz tego, że flirtuje ze wszystkim, co się rusza? Nic.

– Zaraz, zaraz. Victra flirtuje też z tobą? Opowiedz mi o tym dokładniej.

– Zamknij się. – Mustang uderza mnie lekko w ramię. Ale jej uśmiech znika tak szybko, jak się pojawił, i dziewczyna cofa rękę. – Lorn wziął Victrę pod swoje skrzydła. Wygląda na to, że dobrze mu w sojuszu z rodem Julii. Matka Victry zgodziła się na ten pakt. Trzy z

najpotężniejszych rodów na Marsie zjednoczyły się przy mojej rodzinie. Triumwirat

przeciwko Władczyni. Gubernatorzy Gazowych Gigantów już lecą do Agei na spotkanie.

Podobnie jak reformatorzy. Miałeś rację. Zdobycie Marsa dało nam szansę przeciwko Octavii.

To już nie jest tylko bitwa. To wojna domowa. I chyba nie bezcelowa. Ojciec zaczyna mówić, że da szansę reformatorom podczas negocjacji. To... to *coś* znaczy.

Pamiętam swoją rozmowę z Neronem.

– Wierzysz mu?

– Tak, Darrow, wierzę. – Mustang uśmiecha się z nadzieją. – Po raz pierwszy od dłuższego czasu naprawdę mu wierzę.

Mnie brakuje takiej pewności.

– A co z...

– Cassiusem? – domyśla się ze spokojem dziewczyna. – Jego ojca zabił Telemanus, a

Cassius walczył na murze z Ragnarem. Według raportów wszyscy jego bracia i siostry nie żyją. Ale on i jego matka zniknęli.

Dostrzegam jej brak emocji.

– Martwisz się, że nie żyje?

– Jest naszym wrogiem – stwierdza Mustang beznamiętnie. – Jego dobre samopoczucie

mało mnie obchodzi.

Przygląda mi się uważnie.

– A ty się martwisz?

– Nie wiem – przyznaję po namyśle.

– Niech to szlag. Czasami jesteś taki wrażliwy. Żałujesz też, że odciąłeś mu ramię?

– Żałuję, że zabiłem Juliana.

– Wszystkich nas plami nasza przeszłość – stwierdza Mustang w zamyśleniu. –

Zapominasz, że i ja musiałam kogoś zabić podczas Chrztu. Każdy Niezrównany Naznaczony,

którego poznałeś – Lorn, Sevro, Kamyczek, Tactus, Octavia, Daxo – wszyscy od tego zaczynaliśmy. Często wydaje mi się, że tak wiele musimy żałować.

Czy mówi o nas? Żałuje mnie?

– Chciałbym nienawidzić Cassiusa – przyznaję cicho. – Naprawdę chciałbym. Nawet myśl o nim sprawia, że mam ochotę coś zniszczyć. Rozbić okno. A najlepiej jego wstrętną, przebiegłą mordę.

– Wstrętną? – prychnął Mustang sceptycznie.

– Jest tak piękny, że wręcz odrażający.

Dziewczyna śmieje się z tego opisu.

– Ale ciężko jest podsycać nienawiść, prawda?

Kiwam głową. Nienawiść pchnęła ród Cassiusa przeciwko Augustusowi. I proszę, do czego ich to doprowadziło.

– Współczuję mu. Gdziekolwiek jest.

– Wcześniej powiedziałam ci, żebyś nie ufał mojemu bratu. – Mustang zmienia temat. –

Naprawdę tak myślę. Wiem, że nadal masz z nim przymierze. Jego współpracownicy w mediach robią z ciebie boga. Ale to się musi skończyć. Nie jesteś mu nic winien. Bądź miły.

Bądź uprzejmy. Nie okazuj mu publicznie braku szacunku. Ale żadnych więcej spotkań.

Żadnych obietnic. Odetnij go. Nie potrzebujesz już mojego brata. Masz mnie.

Co za dziewczyna! Chciałbym ją przedstawić matce, Kieranowi i Leannie. Spodobałby im się jej ogień. Czuję ucisk w gardle. Eo też by polubiła Mustang.

– Nie mam cię – zauważam.

– Darrow...

Coś się we mnie rozpręża. Jakby ciasno skrępowane uczucia wreszcie mogły się uwolnić.

– Kiedy znalazłem się na dnie rzeki... Wiedziałem, że więcej cię nie zobaczę.

Mustang waha się, chce mnie dotknąć, ale powstrzymuje się ze względu na to, co powiedzieliśmy sobie wcześniej.

– Wiesz, nie musisz umierać, żeby się mnie pozbyć – żartuje. – Zresztą Sevro i Wyjce nigdy by mi nie darowali, gdybyś tego spróbował. Nikt by nie wybaczył. Masz tak wielu przyjaciół, Darrow. Tak wielu ludzi rzuciłoby się dla ciebie w ogień.

I tak wielu by spłonęło. Wzdragam się, nabieram głęboko tchu i zamykam oczy, żeby nie pochłonęło mnie poczucie winy. Łzy przychodzą w milczeniu, wypływają mi spod powiek.

– Darrow, *nie płacz*. – Mustang tym razem mnie dotyka. Przytula mnie mocno. – Wszystko w porządku. To już koniec. Jesteśmy bezpieczni.

Z piersi wyrywa mi się szloch.

Mustang się myli. To wcale nie koniec. Przed oczyma, gdy je zamykam, widzę tylko świat ogarnięty wojną. Nie ma innej przyszłości – ani dla mnie, ani dla nas. A jednak ile to już razy mnie składano? I jak długo wytrzymają szwy, które łączą mnie w całość? Czy w ostatecznym rozrachunku zostanie po mnie chociaż cząstka? Nie mogę opanować płaczu. Nie mogę nawet złapać tchu. Mustang, która waży o połowę mniej ode mnie, trzyma mnie w ramionach tak długo, aż wyczerpanie sprawia, że bezwładnie osuwam się na posłanie. Z czasem serce mi zwalnia i dostosowuje się do rytmu jej serca.

Siedzimy tak chyba przez godzinę. Wreszcie dziewczyna całuje mnie w ramię i w szyję,

zatrzymuje usta na pulsującej tętnicy. Unoszę ręce, żeby odepchnąć Mustang, ale mi nie pozwala, odsuwa je na pościel, po czym dotyka mojego policzka.

– Wpuść mnie.

Ręce opadają mi na łóżko. Jej dotyk rysuje ciepłą ścieżkę na moim ciele. Dzielimy się smakiem moich łez, gdy nasze wargi się dotykają, a dziewczyna wsuwa mi język do ust. Jej dłoń głaszcze mi szyję, paznokcie drapią skórę, palce wplątują się we włosy. Moje ciało przeszywa dreszcz.

Znikają choćby pozory oporu. Poczucie winy, które powstrzymywało mnie od zdradzenia

Eo z Mustang, tonie w chaosie, jaki we mnie wiruje. Znika też poczucie winy wynikające ze świadomości, że Mustang to Złota, a ja jestem Czerwony. Pozostaje tylko pożądanie – jestem mężczyzną, a ona kobietą, której pragnę.

Moje dłonie same zaciskają się na ciele Mustang, przyciągają ją blisko, przesuwiają się po jej nogach i brzuchu. Od dawna tłumione pragnienie budzi się we mnie ze zdwojoną siłą.

Wypełnia mnie gorącem, pożądaniem. Wszystko dla niej. Zapominam o wszelkich oporach.

Zapominam o smutku. Ta dziewczyna jest wszystkim, czego potrzebuję. Nie ucieknę. Nie tym razem.

Zdzieram z niej ubranie z powolną siłą. Pod moimi dłońmi tkanina przypomina mokry

papier. Skóra Mustang jest gładka, przypomina gorący marmur rozgrzany słońcem. Mięśnie kobiety napinają się, gdy wygina plecy. Jej ciało jest stworzone do ruchu, owija się wokół

mnie. Przesuwam palcami po krzywiźnie kręgosłupa Mustang. Dziewczyna napiera na mnie, pulsuje tchnieniem, przyciska biodrami do łóżka.

Dla niej może minął tylko tydzień, ale ja klęczałem na stalowej podłodze ocieplonej

jedynie własną krwią zaledwie parę minut temu, może nawet sekund. Pamiętam doskonale, jak czekałem, by ścięto mi głowę. Pomyślałem wtedy, że taka chwila już się nie powtórzy.

Sądziłem tak samo w momencie, gdy grzebałem Eo drżącymi rękami. Chwila z kobietą, której pragnę i którą kocham. Jaki sens przeżyć w tym zimnym świecie, skoro miałbym uciec od jedynej ciepła, jakie mogę na nim znaleźć?

*Rozdział czterdziesty czwarty*

*Poeta*

Idę z Mustang powoli kamiennym korytarzem. Za oknami strażnicy patrolują teren

posiadłości. Są tutaj nie tylko po to, by nas chronić, lecz także pilnować i zatrzymać w razie potrzeby. Pada lekki deszcz. Śmiech niesie się przez otwarte drzwi wraz z zapachem



smażonego boczku i kawy.

– Jak to nie potrafię być zabawny? – oburza się właśnie Roque.

– Tak po prostu – odpowiada uprzejmie Daxo. – Z pewnością próbujesz, ale jesteś za bardzo... akademicki.

– Świetnie, to powiedz, kto był pierwszym stolarzem na świecie.

– Czy to żart? – upewnia się Daxo.

– Z założenia taki ma być.

– Jezus z Nazaretu...? – zgaduje Telemanus. – To żart historyczny, prawda?

– Noe? – próbuje swoich sił Kamyczek. Mustang i ja stajemy w drzwiach i wymieniamy uśmiechy.

– Jezus z Nazaretu? – śmieje się Roque. – Postaraj się bardziej, przecież potrafisz.

– Gdybym wiedział, że zostanę wyśmiany za zgadywanie, nie próbowałbym zgadywać.

– Pax twierdził, że jesteś bystry – wtrąca Chwast. – Rozczarowujące, Daxo, naprawdę rozczarowujące.

– Cóż, w porównaniu z nim zapewne... – zaczyna Klaun, ale Kamyczek bije go po głowie.

– Au!

– Nie waż się źle wyrażać o Paxie – warczy Kamyczek. – Wielkolud był słodki.

– Nikogo nie interesuje odpowiedź? – pyta Roque melodyjnie. – Jasne, jasne. Rozumiem.

Uważacie mnie wszyscy za nudziarza.

– Umieramy z ciekawości – syczy Chwast. – No, powiedz.

– Kto był pierwszym stolarzem na świecie? – powtarza Roque.

– Chyba nie chcesz zaczynać od nowa? – jęczy Kamyczek.

– Wtedy wychodzi najlepiej – wzdycha Roque. – Ewa.

– Ewa? – dziwi się Daxo.

– Ponieważ... – ciągnie Roque – ona pierwsza ciosała Adamowi kołki na głowie.

Rozlega się zbiorowy jęk.

– To koszmarne – wzdycha Kamyczek. – Nigdy nie myślałam, że zatęsknię za Tactusem.

I wtedy Daxo wybucha głośnym, piskliwym śmiechem. Zupełnie jak Pax.

– Ewa! Powiedział, że Ewa! Kołki na głowie. Ach! – To jakby ci giganci mieli w sobie

małe absurdałne skrzaty, które tylko czekają, żeby wydostać się i zacząć chichotać. Wystarczy tylko trochę wysiłku... No, sporo wysiłku, żeby je sprowokować.

– Chyba złamał Daxa – chichocze Kamyczek.

– Czujecie? – pyta Klaun.

– Czuję boczek – odpowiada Daxo. A potem słycać chrupnięcie, gdy gryzie kawałek upieczonego plastra.

– Nie o to mi chodzi – mówi Klaun. – Cuchnie, jakby zjawił się szalony samobójca, zmartwychwstały niedawno po podbiciu planety i opuszczeniu przyjaciół, aby dać się zaszlachtować jak głupiec.

Daxo węszy.

– Specyficzny zapach.

– Och, Darrow, mój drogi – woła Klaun. – Czaisz się za drzwiami?

Mustang wpycha mnie niezdarnie do sali.

– Ty podsłuchujący Pixie! – Daxo dźwiga się i chwyta mnie w delikatny uścisk. Złote anioły na jego ogolonej głowie lśnią w porannym słońcu. – Cieszę się, że cię widzę, przyjacielu.

Wszyscy zaczynają mnie witać po kolei. Nigdy tylu Złotych mnie nie ścisnęło. Roque obejmuje mnie machinalnie. Grzecznościowo. Wciąż pozostało wiele do naprawienia.

Siadam do śniadania wśród przekomarzania przyjaciół. Potem spędzamy dzień w posiadłości, zabijając czas rozmowami i grami. Od tak dawna mi się to nie zdarzyło, że teraz z

trudem przypominam sobie, jak to jest leniuchować. Mustang musi trzy razy całować mnie w ucho i szeptać, żebym się rozluźnił, zanim to do mnie dociera. Siedzimy w bibliotece i słuchamy muzyki, gdy dziewczyna dostrzega przez okno Roque'a przechodzącego przez

trawnik. Szturcha mnie.

– Idź.

Odnajduję Roque'a przy starej stodole. Obserwuje łanie u paśnika. Nie odwraca się, żeby na mnie spojrzeć, gdy się przysiadam. Pachnie świeżo skoszoną trawą. Morze szumi gdzieś za wzgórzem.

– Zaczynam rozumieć, jak to miejsce wpłynęło na Mustang, gdy tu dorastała – mówię. –

Jest dzikie, ale spokojne.

– Mój dom miał być w mieście – odpowiada Roque. – Ale pod nieobecność matki

wymykałem się na wieś z nauczycielami. Czyli często. Matce chyba się wydawało, że poza miastem nie ma nic wartościowego. Że interesy są ważniejsze niż to. Ale właśnie dlatego walczymy, prawda?

– Dla ziemi? – pytam.

– Dla spokoju, jaki musimy znaleźć. – Odwraca się do mnie. – Czy nie o to walczysz?

– Niektórzy z nas nie urodzili się dla pokoju. – Wskazuję na łanie i łąkę. – Nie miałem tego, gdy dorastałem. Wszystko, co mam albo będę miał w przyszłości, muszę zdobyć. Ale masz rację. Właśnie dlatego walczę. Żebym mógł to zdobyć dla siebie i ludzi, na których mi zależy.

Roque wbija wzrok w moją twarz.

– Uczciwie.

– Chcę cię przeprosić, Roque.

– Znowu?

– Od Akademii trzymałem cię na dystans. Przyjmowałem za pewnik, że zawsze przy mnie będziesz. Nie powinienem tak myśleć. Nie, kiedy zawsze byłeś dla mnie tak dobry.

Roque nie patrzy mi w oczy.

– Nie przeszkadzało mi, że wszystko kręci się wokół ciebie, Darrow. To właśnie zżerało Tactusa, ale nie mnie. Nie jestem w tobie zakochany jak Mustang. I nie czczę cię jak Sevro albo Wyjce. Byłem prawdziwym przyjacielem. Kimś, kto widzi twoje zalety i wady, ale

akceptuje wszystko bez osądzania, bez ukrytych motywów. A co ty mi w zamian uczyniłeś?

Wykorzystałeś mnie jak człowiek konia. Jestem na to za dobry. Quinn była na to za dobra.

– Jesteś za dobry na tę przyjaźń? – pytam cicho, choć obawiam się odpowiedzi.

– Myślę, że jestem lepszy od ciebie – stwierdza Roque. Cofam się zraniony. Roque

przygląda się łaniom skubiącym ziarno w paśniku. – W tym roku siedziałem przy łózkach trojga moich przyjaciół. Quinn, Tactusa i twoim. Za każdym razem wiedziałem, że z radością zamieniłbym się z nimi miejscami. Pragnąłeś tego samego?

– Oddałbym własne życie, gdyby to miało ich przywrócić – mówię, chociaż wiem, że to

kłamstwo. Bardzo kochałem tych Złotych, jednak spoczywa na mnie większa

odpowiedzialność. Dopóki to się nie skończy, nie mogę rozporządzać swoim życiem.

Roque odwraca się od łań i patrzy na mnie. W jego oczach, ciepłych i smutnych, widać

ciężar o wiele większy, niż powinno się dźwigać. Roque jest inny niż ja, niż Cassius.

Nazywaliśmy go bratem i był nim, ale lepszym, na jakiego żaden z nas nie zasłużył.

– Zastanawiałeś się, dlaczego przydzielono mnie do Domu Mars? Nie byłem typowym, pasującym tam kandydatem. Większość z pewnością przypisałaby mnie raczej do Apolla lub Junony.

– Quinn zawsze miała wyzwanie we krwi. Ale ty... Tak, zastanawiałem się.

– Darrow. – Odwracam się. Sevro stoi za nami w mundurze. – To ważne.

– Nie teraz, Sevro.

– Nie żartuję, Kosiarzu – powtarza Sevro z naciskiem.

Oglądam się na Roque'a.

– Idź – mówi i rusza do łań, po drodze sięgając do kieszeni po jagody.

– Roque – wołam za nim błagalnie.

– Przyjaźń rodzi się w jednej chwili i w jednej chwili umiera, ale jej naprawienie trwa latami. – Patrzy na mnie przez ramię. – Wkrótce znowu porozmawiamy.

Patrzę za nim, gdy odchodzi, i kielkuje we mnie nieśmiało nadzieja. Wracam do Sevra i klepię go w ramię.

– Dobrze cię widzieć. Wybacz, że...

– Olej to. Nie jestem małym jęklwym gnojkiem jak ten poeta. Chodzi o *Aresa*. Twój przyjaciele, Czerwoni, Różowi i Fioletowi, wpadli w zasadzkę.

– Czyją?

– A jak myślisz? Szakala.

## *Rozdział czterdziesty piąty*

### *Dary*

Mój okręt ląduje w Attyce. To miasto w górach na południu usytuowane na siedmiu szczytach. Pada poranny śnieg. Poszarpane budynki ze stali i szkła znaczą szczyty jak lodowa korona cierniowa przysypana teraz białym puchem. Wschodzące czerwone słońce wznosi się nad górami. Siedem szczytów łączą mosty, a pomniejsze dzielnice miasta przytulają się do podnóża zboczy. Mój prom leci nad nimi. Płozy topią śnieg jak pulsujące pomarańczowe

ostrza. Niedługo pojazdy Kolorów średniej rangi wyjadą na ulice. A Kolory najwyższe uniosą się w promach ze Srebrnymi i Złotymi zmierzającymi do swoich biur wśród wysokich turni.

Słynna ze swoich banków Attyka stanowi najważniejszą siedzibę władzy. I należy teraz do Szakala.

W eskorcie uzbrojonych szturmowców ląduję na platformie otoczonej wiecznie zieloną roślinnością. Kilku zwiadowców czeka tam w białych taktycznych mundurach. Wśród nich dostrzegam samotną Złotą. Victra obejmuje mnie mocno, białe futro ciasno opina jej ramiona.

Jadeitowe kolczyki klekoczą na wietrze, gdy Szarzy sprawdzają otoczenie mojego promu.

– Victra. – Cofam się, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Dziewczyna szczyrzy się diabelsko i całuje mnie w policzek, po czym ściska mi przy okazji pośladek. Podskakuję zaskoczony.

Victra parska śmiechem.

– Upewniałam się tylko, czy wszystko masz na miejscu. Martwiliśmy się o ciebie, kochany.

Roque informował mnie o twoim stanie, gdy byłam z Lornem.

– Utrwalasz kolejny sojusz, jak słyszałem.

– Kto by pomyślał, Victra au Julii działająca dla pokoju.

Szarzy brytani informują mnie, że dostali rozkaz przeszukania mojego promu.

– Ragnarze – wołam. Obsydian wychodzi z kabiny. Jest prawie dwa razy większy od największego z Szarych. – Pozwól, niech myszy przeszukają pokład. Szukają...

Szary zerka na Ragnara i przełyka nerwowo.

– Bomb, *domine*.

Victra prowadzi mnie do nowej siedziby Szakala – fortecy na najwyższym szczycie Attyki.

Miasto rozciąga się pod nami. Szpaler drzew ocienia drogę z lądowiska do cytadeli.

– Adrius przejął to miejsce zaraz po odlocie ostatniego promu z Bellony. Wszedł z tysiącem zwiadowców i zastąpił sojuszników Bellony, do których należała ta budowla. Zabrał wszystko, co mieli. Opróżnił im konta bankowe. Dokładna kradzież. Ale na tym właśnie polega wojna. – Victra skinieniem głowy wskazuje na zachód. – Wspaniałe stoki, zaledwie kilka kilometrów stąd. Weźmiemy parę dni wolnego, gdy wszystko już się uspokoi. Ty przywieziesz Virginie, a ja znajdę sobie jakiegoś mężczyznę.

Zerka na mnie jak mała dziewczynka, choć jest mojego wzrostu.

– Jeździsz na nartach, prawda?

Parskam śmiechem.

– Nigdy nie miałem czasu.

Szakala zastajemy w salonie. Podłoga i ściany są tutaj ze szkła. Ogień buzuje pod podłogą, płomienie liżą kolumny przy oknie. Na futrzanych dywanach stoi kilka minimalistycznych foteli i skórzana sofa. Szakal pochyla się nad holowyświetlaczem i mówi do kogoś szybko. Gestem zaprasza nas, żebyśmy usiedli. Na trójwymiarowym wyświetlaczu dostrzegam Harmony w

ciemności, otoczoną przez Szarych. Jeden z nich pochyla się nad kobietą i ustawia coś w urządzeniu, którego nie widzę.

Siadamy przy płomieniach, ale przeszywa mnie chłód, jakiego nie odpędzi żaden ogień.

Szakal kończy, przekazuje dane do Sun-hwa, która wychodzi. Adrius dołącza do mnie i

Victry. Pociera sobie kark.

– Tak wiele zmiennych. – Krzywi się. – Szlag, samo organizowanie dostaw żywności

wymaga stu Miedzianych. A te nudne małe gównojady cały dzień będą się kłócić, czy statek powinien mieć w ładowniach ziarno, czy musli. Bo oba są opcjonalne. Oba! Doprawdy, jak to może być tak trudnym problemem do rozwiązania? Oni chyba uwielbiają arkusze kalkulacyjne i dłubaninę. Można oszaleć.

– Powtarzam mu, że powinien delegować kompetencje bardziej skutecznie – wtrąca Victra.

A zatem rozmawiają. A ja zostałem wypchnięty poza nawias.

– Nie cierpię delegowania kompetencji. – Szakal drapie się w głowę. – Przynajmniej przy liczbach i równaniach. Wy dwoje możecie zabrać sobie tę przeklętą planetę. Tylko zostawcie mi, proszę, moją biurokrację.

– Miło z twojej strony. – Parskam śmiechem. – Tylko trzymaj mnie z daleka od zapewniania dostaw żywności.

Pochyłam się nieco.

– Słyszałem, że flota będzie gotowa, żeby lecieć do Centrum Układu za dwa tygodnie. A tak w ogóle piękną masz siedzibę.

– Podoba mi się – wzdycha Szakal. – Oczywiście ojciec jest wściekły, że ją sobie wzięłem. Chciał ją podarować jednemu z Gubernatorów Gazowych Gigantów.

– Myślę, że sobie na nią zasłużyłeś – stwierdzam. – I na znacznie więcej.

– Właśnie. – Szakal macha swoją jedyną ręką z wyraźnym znużeniem. – Przyjechałem tutaj jako chłopiec na narty z matką. Zawsze patrzyłem na tę siedzibę i mówiłem, że będzie moja.

Ojciec powtarzał, że nie można mieć wszystkiego, co się chce.

– A ty zapytałeś: „Dlaczego nie?” – uśmiecha się Victra. Już słyszała tę historię.

– Dlaczego nie? – powtarza Szakal z zadowoleniem. – Jeżeli zatem ojciec chce ją z powrotem, sam będzie musiał się zająć regularnymi dostawami żywności.

Wszyscy troje wiemy, że bynajmniej nie dostawy jedzenia zajmują mu czas. A na pewno nie tylko one.

Przyjmuję filiżankę herbaty od Różowej. Kobieta stawia też przede mną niewielką tacę z jedzeniem.

Jestem opóźniony o siedem godzin w stosunku do tej strefy czasowej, ale nie chcę ujawnić zdenerwowania.

Szakał przygląda się, jak widelcem dziobię melona. Kto wie jakie myśli skrywają się za tymi brudnymi, Złotymi oczami.

– No i oto Darrow, wyleczony i poskładany do kupy w samą porę na wielką bitwę.

– W trakcie leczenia – poprawiam. – I dziękuję za twoje media. Holosiec przedstawia mnie, jakbym był nieśmiertelny, odkąd Karnus mnie rozplątał.

– To część gry, mój szlachetny przyjacielu. Percepcja, ułuda i media! – Biję się w udo jedną ręką, chociaż w oczach nie ma radości. – Rzeknij słowo, a upublicznię wieść o twoim szybkim powrocie do zdrowia. Ustalimy termin konferencji prasowej. Ubierzemy cię w

zbroję. Moi Fioletowi właśnie przygotowują dla ciebie skafander na miarę. Spiskują nawet z Zielonymi, żeby dodać ci do szyku cuda najnowszej technologii.

– Wiesz, jak nie znoszę kamer.

– Och, przestań marudzić. Zawdzięczamy im połowę naszych sojuszników. I dzięki temu Władczyni ślizga się jak pająk na lodzie. W jej koalicji panuje... napięcie.

– Zatem załatwmy to dzisiaj – decyduję. Spoglądam w okno, przypominając sobie słowa Roque'a. – Chciałem chwili spokoju, ale...

Victra i Szakał stają przy oknie obok mnie. Przyglądamy się, jak śnieg pada na miasto w dole.

– Chyba będziemy musieli sobie na to jeszcze zapracować. Co przypomina mi, w jakim celu zwołałem to spotkanie.

– Przyznam, że jestem ciekaw – mówi Szakał.

– Umiera z ciekawości – poprawia Victra.

Kiwam głową na Ragnara, który przyszedł za mną i Victrą do salonu. Obsydian podchodzi z dwoma pudełkami, które przyniósł z promu.

– Chciałem dać wam obojgu prezenty. Nasz sojusz miał... interesujący początek. Ale chcę, abyście oboje wiedzieli, że jestem przywiązany nie tylko do niego, ale i do was. Mam nadzieję, że uznacie to za dowód mojego zaufania.

– Zawsze ufaj Skalanym przynoszącym dary – chichocze Victra, patrząc na Ragnara. –



Niech to, podejdź tutaj. Jesteś jak drzewo, które zasłania światło, Ragnarze.

– Poczekaj przy drzwiach, Ragnarze – mówię.

Szakał nawet nie patrzy na Obsydiana. Fizyczna siła go nudzi. Victra pstryka palcami, żeby przyciągnąć moją uwagę, po czym otwiera pudełko i wyjmuję małą kryształową fiolkę.

Kazałem Teodorze zamówić u Snycerzy na „Paxie” zawartość tej buteleczki, jeszcze zanim rozpoczęło się oblężenie Marsa.

– Zapach po deszczu – mówię, gdy dziewczyna otwiera fiolkę. Salon wypełnia się zapachem rozgrzanego kamienia i wilgoci. Victra dziękuje mi dotykiem poblížnionej dłoni na przedramieniu. Przyciska buteleczkę do piersi.

– Nikt nie pamięta o takich drobiazgach. Dziękuję, Darrow.

Siada na chwilę, ale zaraz wstaje i całuje mnie w usta. Wolałbym w policzek.

– Moja kolej. – Szakał otwiera swoje pudełko jedną ręką. Rozrywa papier z szerokim uśmiechem. Otwiera skórzany futerał i patrzy długo w milczeniu.

– Darrow, nie powinienes...

Urywa, gdy piskliwy alarm przenika ściany.

Szara ochroniarka wpada do pokoju z wyciągniętą bronią. Czterech innych biegnie za nią.

– *Domine*, mamy wyłom na niższym poziomie. Musimy cię odprowadzić do schronu.

– Kto? – chrypi Szakał, a Victra i ja wyciągamy ostrza. Szara już ma odpowiedzieć, gdy alarm milknie, zastąpiony coraz głośniejszym, pozbawionym radości śmiechem w głośnikach.

Śmiech niesie się echem przez pokój, nawet gdy gasną światła. Śpieszymy do drzwi. Mały metalowy pajak przywiera do okna. Szkło się topi. Tracę wzrok i słuch. Pozostaje tylko brzęczące piskliwie wycie. Zataczam się oszołomiony od wybuchu granatu błyskowego.

Czarne kształty wlatują do salonu. Mrugam, dostrzegam maski demonów jak z koszmarne go snu. Oczy lśnią im czerwienią na wykrzywionych obliczach. Synowie przyszli. Zastrzelili Szarych i rzucili nas na podłogę. Ragnar wbiega z korytarza i otrzymuje trzy uderzenia w pierś rękawicą pulsacyjną. Pada jak podcięte drzewo. Jeden z zamaskowanych intruzów pochyła się nad Szakalem. Gdy powraca mi słuch, docierają do mnie strzępki pytań o kody głównego

panelu sterowniczego. Mężczyzna wpycha Szakałowi lufę miotacza do ust, dopóki Złoty się nie poddaje.

– Też mi Złoty – chrypi zniekształcony głos.

Wiem, że pod maską Sevro z przyjemnością pociągnąłby za spust, i przez chwilę wydaje

mi się, że to zrobi. Ale czeka na mnie, jak było ustalone. I na tę wskazówkę podnoszę się niezdarnie, otrząsam ze skutków wybuchu ogłuszającego i wyrywam broń jednemu z

napastników. Strzelam. Intruzi odpowiadają ogniem. Każde z nas celowo chybia. A potem wszyscy znikają, wyskakują przez okno. Szarzy leżą zabici. Victra krwawi z płytkiej rany na głowie i podnosi się bez pomocy. Szakal też próbuje wstać, z nosa tryska mu krew.

Bez słowa napieramy na drzwi. Są zamknięte. Synowie Aresa przejęli kontrolę nad

głównym sterowaniem. Szakal opiera czoło o drzwi. A potem cofa głowę i uderza nią w metal raz po raz, dopóki krew nie zaczyna spływać mu po twarzy. Muszę go odciągnąć, zanim

rozbije sobie czaszkę. Szakal śmieje się ponuro, a potem się otrząsa.

– Dwa razy – cedzi gniewnie. – Dwa razy mnie napadli.

Przez ciało przebiega mu zwierzęce niemal drżenie.

– Prawie udało mi się ich złamać. Jeszcze dzień. Może dwa. I śpiewaliby aż miło.

– Kto? – pyta Victra.

Szakal nie odpowiada. Naciskam zatem:

– Kto, Adriusie? Kto to, u diabła, był?

– Terroryci. Przyszli po złapanych Synów – odpowiada niecierpliwie. – Jedną była

Różowa suka, która próbowała nas zabić na Księżycu, Darrow. To jednak nie Pliniusz, jak się okazuje. To byli Synowie Aresa. Złapałem nawet jedną z zastępczyń Aresa. Nazywa się

Harmony. Był z nimi Fioletowy. Przygotowywał armię rzeźbionych żołnierzy.

– Więziłeś tutaj Synów Aresa? – warczy Victra, która podniosła się właśnie po sprawdzeniu pulsu zabitej Szarej. – Kiedy zamierzałeś nam o tym powiedzieć?

– Nie zamierzałem. Przynajmniej dopóki się nie dowiem, kim jest Ares.

– Co jeszcze przed nami ukrywasz? – pytam. – Przecież to ma być partnerstwo.

Kopię w stół, żeby go odsunąć.

– Po co jestem potrzebny, jeżeli nie do ochrony przed takimi przeklętymi incydentami?

– Moja wina – przyznaje Szakal. – Moja wina.

Przetyka krew i podchodzi do pozbawionego szyby okna. Po drodze chwytą mnie za ramię.

W salonie wyje wiatr.

– Naprawdę mnie ochroniłeś. Po raz kolejny. Dziękuję.

Marszczę brwi i zamyślam się w prawdziwie aktorskim stylu.

– To nie mogli być Czerwoni – stwierdzam z goryczą. – To nie Synowie. Synowie nigdy nie zrobiliby, nie zdołaliby tego zrobić. Nie mnie. Ani Ragnarowi.

Pomagam Obsydianowi wstać z podłogi.

– Byli zbyt dobrze zorganizowani – podkreślam. – I wszyscy mieli buty grawitacyjne.

– Nie doceniasz ich, przyjacielu – oponuje Szakal. – Oni też potrafią pociągać za spust. I zrobiliby to, gdy wycelowali lufy w nasze głowy, gdybyś ich nie powstrzymał.

– Jak tym przeklętym intruzom udało się przejść przez twoją ochronę? – dziwi się Victra. –

Gdzie były urządzenia śledzące? Wykrywacze sygnałów? Rejestratory sygnatury butów grawitacyjnych?

– Nie wiem – wzdycha Szakal.

Nic dziwnego, Synowie Aresa przyczepili się do kadłuba mojego promu jak małe kleszcze i ukryli pod strojami maskującymi.

– Kto jeszcze mógł tu wchodzić i wychodzić swobodnie? – pytam.

Szakal rozgląda się, jak mam nadzieję. Wywołuje swoich ludzi przez system łączności na biurku. Po chwili podnosi na nas wzrok.

– Sun-hwa – szepcze. – Jej ludzie nie żyją, a ona rozwiała się jak dym. Poprzedni atak też przeżyła.

Szakal wybucha śmiechem.

– Zdradziła mnie!

A kiedy zobaczy pieniądze przelane na konto Sun-hwa, znajdzie wszystkie dowody, jakich będzie potrzebował, żeby potwierdzić winę szefowej ochrony. Tyle tylko, że Sun-hwa jest wierna jak pies i martwa jak amen w pacierzu – spoczywa w ładowni promu, który właśnie odrywa się od zimowej cytadeli Szakala. A na pokładzie ucieka Fitchner, Sevro i moi pojmani niedawno przyjaciele.

Podchodzę do Szakala, gdy Victra znowu próbuje otworzyć drzwi. Razem patrzemy, jak prom znika za górami. I wtedy mówię złowrogim, cichym tonem:

– Wybijemy szczury razem, przyrzekam. Co do jednego.

– Po Władczyni. – Szakal klepie mnie po plecach. – Po Władczyni.

## *Rozdział czterdziesty szósty*

### *Braterstwo*

Obejmuję Tancerza tak mocno, że trzeszczą mu kości. Klepie mnie w panice. Przepraszam i cofam się, przy nim czuję się wielki jak Telemachus. Za garażem zmienionym w prowizoryczny sztab pracuje maszynieria Synów Aresa. Przeprowadzono mnie tutaj przez boczne drzwi i

kazano czekać na Tancerza wśród starych silników i pordzewiałych turbin.

Tancerz podnosi głowę i przygląda mi się uważnie. Zaczerwienione oczy lśnią mu od łez. I pomyśleć, że kiedyś uważałem go za przystojnego. Skończył czterdziestkę, jak na Czerwonego jest już stary. Włosy przyprószyła mu siwizna. Twarz pożłobił wiek i ciężka praca. Jego prawe ramię nadal zwisa bezwładnie, wciąż powłóczy nogami. Ale uśmiech rozciąga mu szeroko

usta i odsłania nierówne, niedoskonałe zęby.

– Mój chłopiec – mówi Tancerz i chwytą mnie za ramię lewą ręką. Jest silniejsza niż reszta jego kończyn i mięśni. Tancerz pachnie tytoniem. Paznokcie ma żółtawe. – Mój cholerny, piękny, gniewny chłopiec. Wyglądasz tak piekielnie wyniośle!

Śmieje się i śmieje, potrząsając głową.

– Nie mam słów. Wybacz, że nie mogłem się z tobą skontaktować. Wybacz, że Harmony

wykorzystała cię tak po prostu. Tak wiele jest do zrobienia, Darrow.

– Przestań. – Klepię go po karku. – Jesteśmy braćmi. Nie musisz przeproszać. Łączy nas krew i przeszłość. Ale proszę, proszę, nie pozwól, aby to się powtórzyło.

Tancerz kiwa głową.

– Wiesz, co się dzieje z moją rodziną?

– Wszyscy żyją – zapewnia. – Nadal pracują w kopalni. Wiem, wiem. Ale to

najbezpieczniejsze miejsce dla nich, zwłaszcza teraz, gdy wybuchła wojna. Nikt nie chce niszczyć marsjańskiego przemysłu, rozumiesz?

Machnięciem ręki zaprasza, żebym usiadł.

– Nie znam wielu Żółtych, ale ten Sevro to wredny mały gnojek. Kiedy dostarczyłem mu

instrukcje od jego ojca na Obrzeża, myślałem, że mnie wypatroszy. – Zapala papierosa, mruga do mnie porozumiewawczo. – Nigdy nie spotkałem nikogo takiego jak on.

– Jest lojalny, skoro o to chodzi – zapewniam. – Jak ty.

– Nie! Chodzi o to, że on przeklina lepiej niż jakikolwiek cholerny Czerwony!

– Sevro przeklina? – Uśmiecham się. – Podejrzewam, że będziesz musiał do tego

przywyknąć. Chociaż ostatnio używa słowa „cholerny” naprawdę często.

– To dobre przekleństwo. Ładnie leży na języku. Poszperałem trochę. – Tancerz nadyma

pierś. – Używaliśmy go od czasów pierwszych przodków, wiesz? Pierwsi Żłoci, ci z

normalnymi oczami i w złotych mundurach, zebrali większość rekrutów spośród biednych

drani na wyspach Irlandii po tym, jak promieniowanie z Londynu obróciło wyspy w

pustkowia. Żłoci zabrali wysoko wykwalifikowaną siłę roboczą emigrantów i zwerbowali ich na pierwszych pionierów. A żargon tych rekrutów upowszechnił się, trochę zmienił i

wymieszał. Historia jest fascynująca, prawda?

– Harmony dodała do tego własną wersję. – Krzywię się lekko.

– To prawda. Jestem martwy! – Kręci głową i zapala kolejnego papierosa, a niedopałek po poprzednim wyrzuca na podłogę. Podnoszę peta i wrzucam do śmietnika. – Wyruszyła własną drogą mniej więcej rok po twoim odejściu. Odkryliśmy, że paru Senatorów zamierza spędzić

wakacje nad Morzem Gorgon. Więc podkradliśmy się, żeby przeszukać ich willę i sprawdzić, czy nie znajdziemy jakichś tajnych informacji. Informacji nie znaleźliśmy. Tylko mnóstwo...

niemoralnych świństw. I byłoby na tyle, pomyśleliśmy. Ale nie Harmony. Ostatniej nocy wróciła tam i zabiła wszystkich Senatorów oraz ich gości. Potem nas zostawiła.

– Więc nie było nigdy oddziału zwiadowców, którzy najechali wasz sztab?

Tancerz kręci głową.

– Przyszli przez nią. Zabili ponad czterdziestu Synów. Ale Harmony już wtedy leciała na Księżyc. Ares nas ocalił. Przybył z mieszanym stadem Obsydianów i Szarych. Pozbył się zwiadowców, a potem wymknął, zanim przybyły posiłki. Dobrze, że zabił wszystkich. Inaczej na pewno wyszłoby na jaw, że jest Złotym. Spotkaliśmy się wtedy po raz pierwszy twarzą w twarz. Cholernie przerażający człowiek.

– Tak bym tego nie nazwał. – Chociaż może to jednak odpowiednie określenie, wzięwszy pod uwagę, jak łatwo mnie zwiódł. – Nie martwi cię, że to Złoty?

– Jemu nie przeszkadza, że jesteśmy Czerwoni. Ares poświęciłby życie dla sprawy, Darrow. Szlag. On to zaczął. Wiesz, dlaczego to zrobił?

Przecząco kręcę głową.

– Niech sam ci opowie. – Tancerz przesuwając palcem po bliźnie od ukąszenia żmii jaskiniowej. – Człowiek powinien mieć prawo opowiadać swoją historię własnymi słowami.

Ale to nie jest opowieść ze szczęśliwym zakończeniem. Smutna jak twoja. I jak moja.

Wystarczy odebrać człowiekowi to, co kocha, i co mu pozostaje? Tylko nienawiść. Tylko gniew. Ale Ares był pierwszy, który uznał, że musi być coś więcej. Znalazł mnie. Znalazł

ciebie. Kim, do cholery, jesteśmy, żeby w niego wątpić?

Drzwi otwierają się gwałtownie. Odwracamy się. Do sali, kulejąc, wchodzi Mickey.

Wygląda jak trup, chudy jak patyk i bledszy niż wcześniej. Bez słowa kuśtyka do mnie i całuje w usta, a jego uczucie jest rozpaczliwe i szczerze. A potem zaczyna płakać jak dziecko. Tancerz i ja nie wiemy, co zrobić, więc tylko obejmuję go i pozwalam się wypłakać.

– Dziękuję – szepcze do mnie Mickey raz po raz.

Co mu zrobili? Nieważne. Wiem, jak szkoli się Szarych, żeby umieli wyciągać informacje.

Mickey twierdzi, że nic nie powiedział. A jednak będę musiał sprawdzić, co z tego

wywnioskował Szakal. I czego domyślił się po znalezieniu pracowni Mickeya.

Patrzę nad jego głową na Fitchnera, który stanął w progu ze smutnym uśmiechem. Po chwili Mickey się cofa.

– Próbowałem cię ostrzec, kiedy przyszedłeś do nas na Księżycu – wyznaje

przepraszająco. – Chciałem ci powiedzieć, żebyś uciekał. Ale Harmony by mnie zabiła, gdybym powiedział za dużo. Bałem się, że uwierzysz jej, nie mnie.

– Uwierzyłbym tobie, Mickey.

– Naprawdę? – Pociąga nosem. – Wiedziałem, że po mnie przyjdiesz. Mówiłem, że mój drogi chłopiec jest zbyt dobry, żeby zapomnieć o Mickeyu, ale ona tylko na mnie pluła.

Powiedziała, że jestem niewolnikiem.

Spuszcza głowę, znowu pociąga nosem. Jest taki słaby i wrażliwy, wycieńczony i niemal szalony po tym, co mu zrobiono w izbie tortur Szakala.

– Miała rację. Jestem. I jestem zły. Krzywdziłem chłopców i dziewczęta. Sprzedawałem, mimo że ich kochałem. Oczywiście, że miała rację. Dlaczego miałbyś przyjść? Dlaczego

miałbyś zrobić cokolwiek dla wrednego małego Mickeya?

– Ponieważ jesteś moim przyjacielem. – Unoszę jego dłonie do ust, całuję lekko, gdy

patrzy na mnie, a w oczach błyska mu nadzieja. – Chociaż jesteś wrednym dziwakiem. Ale wiem, że chcesz być lepszy. Chcesz żyć dla wyższych celów. Wszyscy tego chcemy. I nie ma mowy, żeby ktokolwiek odebrał mi przyjaciół, a ja bym ich opuścił.

Dobrze jest mówić tylko prawdę.

– Dziękuję ci, mój książę – mówi cicho Mickey. Po czym podnosi się z trudem, na tyle

jednak silny, aby wyjść z pomieszczenia. Fitchner zamyka za nim drzwi.

– Cóż, to było uczuciowe.

Kiwam głową. Oto człowiek, którym wolałbym być. Takim, który nie musi się nieustannie pilnować. Ani nie kłamie w żywe oczy. Zapewne do tej pory nawet nie zdawałem sobie

sprawy, jak mocno czułem się związany z Mickeyem. Nie dlatego, że pomógł mi stać się tym, kim jestem teraz. Dlatego, że zawsze kochał mnie za mocno. Nawet jeżeli była to dziwna miłość, jednak prawdziwa. I naprawdę wierzę, że Mickey chce stać się człowiekiem, którego darzyłbym szacunkiem. Tak samo jak ja chcę być takim człowiekiem, którego szanowałyby i Eo, i Mustang. A to właśnie dobra miłość.

– Musimy porozmawiać, Fitchner – oznajmiam. Wcześniej nie mieliśmy okazji. Sevro

przyszedł do mnie z gotowym planem Tancerza: zapowiedzieć spotkanie i polecieć na nie z Synami

Aresa przyczepionymi do promu, a potem ułatwić im wejście do budynku. Ja jedynie podsunąłem, żeby kozłem ofiarnym uczynić Sun-hwa i nakazać, aby nikt nie skrzywdził Victry.



– Zostawię was samych. – Tancerz odsuwa metalowe krzesło i wstaje.

– Nie, chcę, żebyś został – powstrzymuję go. – Mam zbyt wiele tajemnic przed zbyt wieloma ludźmi. Nie chcę żadnych między naszą trójką.

– Naucz się liczyć, gównojadzie – prycha Sevro, który wychodzi zza przerdzewiałego

silnika. Tanie metalowe drzwi zatrząskują się za jego plecami. Pachnie jak jesień nawet w agejskiej dzielnicy przemysłowej, brudnej od smaru i oleju. Wskakuje na zardzewiały kawałek kadłuba starego śmigacza i sadowi się, zwiesiwszy nogi. – No proszę, choć raz wszyscy mają kutasy. Zaczniemy opowiadać seksistowskie dowcipy.

Chichocząc, spoglądam na Fitchnera.

– Więc to ty jesteś Aresem.

– Chłopak obudził się ze śpiączki i od razu stał się geniuszem! – parska śmiechem Fitchner.

Zaciera ręce, ale spojrzenie ma śmiertelnie poważne. – Większość nazywa mnie Brązikiem.

Uczniowie zwracają się do mnie „Cenzorze”. Niektórzy nazywają mnie Rycerzem Gniewu.

Władczyni nazwała mnie zdrajcą. A własny syn nazywa mnie gnojem...

– Jesteś gnojem – wtrąca Sevro.

– ...żona zwracała się do mnie „Fitchner”. Ale Złoci uczynili mnie Aresem.

Wcześniej nie wiedziałbym, co to znaczy. Przecież Fitchner jest Złotym. Jak Złoci mogliby mu cokolwiek zrobić? Ale teraz wiem więcej, bo zajrzałem za kulisy.

– Dlaczego od razu nie powiedziałeś mi, kim jesteś?

– Miałbym zaryzykować życie dla umiejętności aktorskich nastolatka? – Chichocze. –

Chyba nie. Gdybyś się zdradził i trafił na tortury... Miałem alternatywne plany, inne sztaby żelaza na kowadle. Tak się tylko złożyło, że byłeś moim ulubieńcem. Ale nie wypadało

okazywać, że jestem stronniczy.

– Kim była twoja żona? – pytam, choć domyślam się już odpowiedzi.

– Chcesz usłyszeć krótką czy długą wersję opowieści?

– Długą.

– Zostałem wydelegowany do spółki terraformującej Trytona – zaczyna opowiadać

Fitchner. – Nie miałem tak wspaniałej pracy jak ty. Żadnych ostrzy. Żadnej zbroi. Tylko zarządzanie budową. Umowę leasingu zawarł Srebrny. Uruchamiałem ostatni z napędów

Lovelocka na biegunie północnym, kiedy erupcja gejzeru na tym przeklętym księżycu

wywołała trzęsienie ziemi. Pokrywa lodowa pękła. Cała maszyna wpadła do podziemnego morza. Utonęło trzy tysiące ludzi. Udało się mnie wyłowić. Następne miesiące spędziłem na rehabilitacji w arktycznym szpitalu. Znajdowałem się w skrzydle dla Kolorów wysokiej rangi.

Mieliśmy dobre jedzenie, porządne prysznice. Nowe łóżka. Ale PodKolory miały okno, które wychodziło na północną zorzę. A ona miała łóżko właśnie pod tym oknem.

Fitchner podnosi wzrok na Sevra.

– Była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem. Również z wyglądu. Straciła w

wypadku nogę. I nie planowano dać jej nowej. A przecież to nic trudnego. Prosta bionika. Ale koszty by się nie zwróciły, jak powiedzieli mi Miedziani. To najbardziej gówniany Kolor we wszechświecie, przysięgam na...

Sevro chrząka.

– Wiemy – zapewnia.

Fitchner rzuca w syna jakimś śmieciem, po czym podejmuje opowieść.

– Kiedy odlatywałem, zabrałem ją ze sobą. Zaoszczędziłem dość pieniędzy, żeby opuścić Trytona. Nie mogłem żyć na światach wewnętrznych, zbyt drogo, więc wybrałem Marsa. Na rok zamieszkaliśmy tuż pod Nowymi Tebami. Bardzo chcieliśmy mieć dziecko. Ale nasze

DNA nie było kompatybilne. No to poszliśmy do Snycerza, żeby sprawdzić, czy może coś

zaradzić. Udało się. Kosztowało mnie to niemal wszystko, co miałem, ale dziewięć miesięcy później ten oto mały Goblin przyszedł na świat.

Sevro macha ze swojej grzędy, po czym wraca do sprawdzania kosza na śmieci, czy nie znajdzie czegoś jadalnego.

– Dwa lata później Zarząd Kontroli Jakości przyłapał Snycerza na zmianach, które zrobił

jakiemuś Obsydianowemu gladiatorowi. Snycerz nas wydał w okamgnieniu, byle zmniejszyć sobie wyrok. Służby wkroczyły do naszego domu, gdy mnie nie było – wyszedłem z Sevrem.

Zastali tylko moją żonę, więc zabrali ją na przesłuchanie. Lekarze wykryli, że ma

zmodyfikowane jajniki i jajowody tak, aby mogła począć dziecko Złotego. A potem się jej pozbyli. W raportach wyglądało to tak elegancko: „wyeliminowana”. Zagazowano ją, potem wsadzono do pieca, a popioły wyrzucono w morze. Nie dano jej nawet imienia, tylko numer. I nie dlatego, że była złodziejką, zabójczynią albo naruszyła prawa innego człowieka, lecz dlatego tylko, że była Czerwoną, która ośmieliła się kochać Złotego. Moja samolubna miłość ją zabiła.

Fitchner potrząsa głową.

– Nie było to tak jak z twoją żoną, Darrow. Nie patrzyłem na śmierć mojej. Nie widziałem Złotych, którzy wkroczyli do mojego świata i zniszczyli wszystko. Poznałem tylko chłód bezdusznego systemu, który pochłonął wszystko, co było mi drogie. Miedziany wypełnił

arkusze kalkulacyjne, jakiś Brązowy przesunął dźwignie i wpuścił gaz. Zamordowali mi żonę.

Ale wcale tak o tym nie myśleli. Nie zostało w nich nawet wspomnienie po niej. Stanowiła tylko element w statystykach. Jakby nigdy nie istniała. Jak jakiś duch, którego kochałem, a którego nikt inny nie widział. Właśnie tak załatwia to Elita – rozmywa winę, przez co nie ma sprawcy, nie da się nawet znaleźć sprawcy, nie ma od czego zacząć i nie można znaleźć sprawiedliwości. To po prostu machina. Proces. I będzie tak się kręcił, dopóki nie powstanie całe pokolenie, które rzuci się w tryby tego mechanizmu.

– Jak miała na imię?

– Na imię? Jakie to ma znaczenie? – pyta czujnie Fitchner.

– Chcę ją pamiętać.

– Bryn – odpowiada mi z góry Sevro. – Moja matka miała na imię Bryn. Miała dwadzieścia dwa lata, kiedy została zabita.

Zaledwie o rok starsza ode mnie.

– Bryn – powtarzam i dostrzegam, że Fitchner kołysze się lekko na piętach. Wstrzymuję oddech.

– Więc jesteś pół-Czerwonym – mówię do Sevra. Chłopak kiwa głową.

– Dowiedziałem się parę dni temu. Dziwne jak cholera, nie?

– Jak cholera. Byłby z ciebie dobry Rdzawy.

– Lubię o sobie myśleć, że jestem zagrożonym gatunkiem.

Tancerz obraca pudełko zapalek w palcach.

– Wszyscy jesteśmy.

– Wiedziałeś o Titusie – mówię do Fitchnera.

– Ale Tancerz nie wiedział. Nie wini go za to. Myślałem, że w Instytucie zostanieie

braćmi, że poczujecie naturalną więź rasową. Ale Titus zaszedł głęboko w mrok i nie było sposobu, aby go stamtąd wyciągnąć. Spotkałem się z nim – pole zakłócające,

pelerynaNiewidka – jak z tobą. Ale jego umysł załamał się pod brzemieniem napięcia. Nie chciałem oglądać twojego załamania.

– Załamałem się. – Zerkam na Sevra, potem na Tancerza. – Ale miałem przyjaciół, którzy pomogli mi wziąć się w garść. Dlaczego nie powiedziałaś mi o Titusie ani jemu o mnie?

– Bo wtedy jego błędy stałyby się twoimi, a twoje jego błędami. Podczas burzy nie wiąże się dwóch łodzi ze sobą, bo jedna pociągnie drugą na dno. – Fitchner odchrząkuje. – Zawsze wiedziałem, że Żłoty nie może poprowadzić tego powstania. To musiał być ktoś z dołu,

chłopcze. Czerwoni cenią rodzinę. Bardziej niż inne Kolory szukają miłości wśród

okrucieństw naszego świata. Jeżeli Czerwoni powstaną, będą mieli szansę połączyć wszystkie światy. Środkowe Kolory tego nie uczynią. Różowi i Brązowi nie mogą. Obsydianowi już raz ponieśli klęskę. A gdyby im się udało samodzielnie, zniszczyliby wszystkie światy, zamiast je uwolnić.

– Zatem jaki jest plan? – pytam. – Zniszczyłem twoją pozycję u boku Władczyni.

– Trudno tobą manipulować, Darrow, więc przejdę od razu do sedna. Augustus zamierza cię adoptować. Nie jesteś zaskoczony...

– To ma sens. Chce związać mój los ze swoim rodem. Zapewne skłoni mnie do małżeństwa z Mustang. Ale jeżeli zostanę następcą, naruszy to moje przymierze z Szakalem.

– A Szakala to w ogóle obchodzi? – pyta Sevra. – Wygląda na to, że porzucił nadzieję na zyskanie aprobaty ojca. Cholerny drań właśnie buduje własne imperium.

– Będę musiał to sprawdzić – wzdycham.

Fitchner podejmuje wyjaśnienia.

– Szakala trzeba się albo pozbyć, albo uczynić częścią planu, to bez znaczenia. Augustus zaadoptuje cię i mianuje następcą. I wykorzysta cię jako Pretora w swojej armadzie. Jeżeli na dodatek pokonasz Władczynię, nie wystarczy mu tytuł króla Marsa. Sam będzie chciał zostać Monarchą. Pomóż mu w tym. A w rok po objęciu przez niego rządów Sevra zabije go i zwali winę na rywala, może na Szakala...

Moja kolej, by zakołysać się na piętach.

– Chcesz, żebym odziedziczył Imperium – domyślam się. – Rządy nad całą Elitą.

Wbijam w Fitchnera wzrok. Potem w Tancerza. Jak mogą na mnie patrzeć z taką powagą?

– Tak – potwierdza Fitchner. – Po śmierci Augustusa wszyscy będą się oglądać na

najsilniejszego. Bądź najsilniejszy. Wygraj wyścig o sukcesję, a zostaniesz Suzerendem tak, jak kiedyś zdobyłeś tytuł Prymusa. I jak zostałeś Pretorem. To wszystko gra. Tyle że tym razem pomożemy ci oszukiwać. Będziemy dostarczać informacje, strzec cię przed próbami

zabójstwa. Ze mną u boku będziesz miał sieć szpiegów, z którą nie mogą rywalizować siatki Szakala ani nawet Władczyni. Przekupimy, kogo trzeba, i zabijemy, kogo musimy.

Siedzę i w zamyśleniu spoglądam na swoje dłonie.

– Myślałem, że kłamstwa już się kończą. Chcę przyznać się, kim jestem naprawdę. Chcę wypowiedzieć wojnę.

– Jeszcze nie możemy. Wiesz o tym.

Wiem, ale nie chcę opuszczać tych ludzi.

– Nie będzie już żadnego ukrywania przede mną prawdy. Będziemy się kontaktować.

Będziemy wspólnie planować. Koniec z niedopowiedzeniami i przemilczeniami. Rozumiesz?

Nie mogę zostać sam, jak wcześniej.

– Powiedz tak, Fitchner – odzywa się Sevro. – Albo ja także w to nie wchodzę.

– Będziemy się kontaktować codziennie, jeśli zajdzie potrzeba. Nie mogę iść z tobą. Toczy się wojna wśród duchów, z którą muszę sobie poradzić. Ale wyślę ci najsprawniejszych

agentów. Będziesz miał najlepsze tajne wsparcie, ludzi, którym można ufać. Szpiegów.

Zabójców. Kurtyzany. Hakerów. Wszyscy z doskonałą przykrywką. I wszyscy gotowi bez wahania poświęcić życie, byle zerwać okowy. Nie jesteś już sam.

Ogarnia mnie ulga. Ale jest coś, co muszę zrobić, i wiem o tym.

– Muszę wrócić.

– Tak. Wszyscy już się pewnie zastanawiają, gdzie się podziewasz – przyznaje Fitchner.

– Nie – zaprzeczam. – Muszę wrócić do domu.

– Do domu? – powtarza Tancerz. – Do Lykos?

– Dlaczego? – pyta Fitchner czujnie. – Co tam na ciebie czeka?

– *Moja rodzina*. Minęły cztery lata. Muszę ich zobaczyć, zanim to się zacznie. –

Spoglądam w oczy każdemu z mężczyzn. Wszyscy mają blizny i rany, choć każdy inną. –

Musicie to zrozumieć. Wszystko wkrótce zacznie się rozpadać i zmieniać. Nie zdołamy

przewidzieć, co się stanie. Udajemy, że wiemy, co robimy, gdy popychamy Złotych do

konfliktu. Planujemy naszą własną wojnę. Jakbyśmy mogli ją kontrolować. Ale wcale nie możemy. Jesteśmy tylko śmiertelnikami, którzy zaraz otworzą puszkę Pandory. I zanim

wszystko wywróci się do góry nogami, muszę przypomnieć sobie, o co walczę. Muszę

wiedzieć, że warto.

– Chcesz ich błogosławieństwa – mówi Tancerz. – Jej błogosławieństwa.

Zna moje serce lepiej niż Fitchner. Jeżeli mam pozwolić, żeby Augustus mnie adoptował, muszę najpierw wrócić do domu.

– Nie możesz im ujawnić, kim jesteś. Nie rozumieją. – Fitchner podchodzi krok naprzód, ale czujnie, jakby bał się wybuchu mojego temperamentu. – Wiesz o tym.

– O ile łatwiej by było, gdybyśmy ty i ja spiskowali przez cały czas? – Kręcę głową. –

Kłamstwo rodzi kłamstwo. Musimy ufać.

Podnoszę wzrok na Sevra.

– Zabiorę ją do Lykos.

– Ją? – pyta Tancerz.

– Mustang – wyjaśnia Sevra.

– Nie! – Fitchner prawie krzyczy. – Absolutnie nie! Nie. Nie wolno ci tak ryzykować.

Wszystko jest już przygotowane. Ona cię kocha! Nie możesz stracić tej przewagi z powodu wyrzutów sumienia albo poczucia winy!

– A jeżeli ja też ją kocham?

– Szlag! – przeklina Fitchner. – Szlag. Szlag. Szlag. Mówisz poważnie? Myślałem, że to część twojej cholernej gry. Szlag. Chłopcze, wszystko zepsujesz. Przeklęty głupiec. Niech to szlag.

– To właśnie wszystko – podkreślam. – Ona mnie kocha. Nie wykorzystam jej nigdy

więcej. Nie będę jej oszukiwał. Jeżeli nie mogę zaufać Mustang, to znaczy, że Złoty nie może się zmienić, a Titus i Harmony mieli rację. Cholera, Elita ma rację. Ty i ja wiemy, że nie chodzi o nasz Kolor, lecz o nasze serca. No to poddajmy to próbie.

– A jeżeli się mylisz? Jeżeli Mustang cię odrzuci, gdy pozna prawdę?

Nie mam na to odpowiedzi.

Sevro zeskakuje ze swojej grzędy.

– Wtedy strzelę jej po prostu w głowę.

## *Rozdział czterdziesty siódmy*

### *Wolny*

Kocioł to kupa gówna – głębokie na trzysta metrów gniazdo metalu i betonu, wilgotne od odoru pomyj i środków czyszczących. Kiedyś wydawało się górować nad kolonią Lykos

niczym przestronny zamek. Ale kiedy mój prom opada, Kocioł okazuje się tylko brzydkim, metalicznym wrzodem na południu marsjańskiej tajgi, oddalonym od głównych miast, gdzie ludzie przygotowują się do wielkiej bitwy przeciwko Octavii au Lune.

Szarzy wewnątrz nie są wysportowani, płaci się im wyłącznie za straszenie Czerwonych. I pomyśleć, że kiedyś uważałem takich Szarych jak Brzydki Dan za byłych żołnierzy. To smutne widzieć, jak słabe, choć złośliwe są demony mojej młodości. Mam wrażenie, jakbym przybył

z innej bajki.

Nie wiedzieli, że mój prom przyleci. Nie wiedzą, dlaczego tu jestem, a ja nie muszę się tłumaczyć. Rozpraszają się jak gzy, gdy schodzę po rampie na poczerńały od wyziewów

silnikowych pas lądowiska, a przede mną kroczą Obsydianowi strażnicy. Ragnar góruje za moimi plecami, gdy przekraczam bramę ze stalowych prętów. Każdy z tutejszych Szarych

będzie wiedział, gdzie mam iść, ale szukam znajomych twarzy.

– Dan – zaczepiam jednego z Brązowych woźnych. – Gdzie jest?

Wpadam do jednej ze świetlic, gdzie tuzin Szarych gra w karty i pali papierosy. Dostrzega mnie jakaś kobieta. Odwraca się od holowizji, gdzie gadające głowy – jakiś Srebrny,

Fioletowy i dwóch Zielonych – debatują nad politycznymi konsekwencjami podboju Marsa oraz opisują moje dokonania. Kobięcie papieros wypada z ust. Mężczyzna obok niej strząsa niedopałek, który upadł mu na spodnie, i otrzepuje materiał.

– Carly, ty głupia suko. – Wstaje od stolika. – *Cholera*. Gdzie masz oczy...

Brzydki Dan zamiera, gdy widzi mnie po raz pierwszy od czterech lat. Czuję niemal, jak jeży mu się włos na karku, gdy włączają mu się wyuczone odruchy dyscypliny. Ciało ma

obwisłe. W jego oczach nie ma śladu rozpoznania ani cienia strachu, tylko posłuszeństwo.

Nie przynosi mi to ukojenia. Żadnego katharsis. Dan powinien skrzywić się pogardliwie, aby jego twarz upodobniła się do złośliwej hieny, która kryje się w jego wnętrzu. Ale nic z tego. Jest oswojony. Posłuszny. Twarz poznaczona tylko bliznami po przebytej w dzieciństwie ospie. Nie ma też tłustych włosów, z których ja i Loran kiedyś się naigrywaliśmy. Dan wyłysiał, gładki krater skóry otaczają pojedyncze kosmyki siwizny. Jest równie przerażający jak mokry pies. I temu mężczyźnie pozwoliłem zabić Eo...

Jak mogłem go nie powstrzymać? Naprawdę byłem kiedyś taki słaby?

– Ogrody na Błoniach – mówię do Dana, a mój głos wypełnia metalowe pomieszczenie. –

Zabierz mnie tam.

I odwracam się na pięcie. Ragnar klepie się w udo.

– Chodź, psie.

Minęły cztery lata, odkąd stałem tutaj po raz ostatni. Gwiazdy migoczą w szarości

zmięzchu, gdy noc zakłada swój kaptur. Ogród jest mniejszy, niż pamiętam. Mniej barwny, bardziej cichy. Zapewne należało się tego spodziewać po tym, gdzie byłem i co widziałem.

Tutaj jest więcej śmieci. Więcej śladów, że Szarzy używali tego miejsca do schadzki i picia.

Kopię puszkę po piwie. Opakowanie po batonie znaczy miejsce, gdzie po raz ostatni leżałem z Eo u boku.

Pamiętam, że było to posłanie z miękkiej trawy. Ale teraz rosną tu chwasty. Może rosły także wtedy, a



ja ich po prostu nie zauważyłem? Kwiaty wyglądają na przywiędłe i liche.

Dotykam jednego palcem i czuję smutek, gdy unoszę wzrok na kopułę, aby spojrzeć w gwiazdy przemykające po niebie. Prycham. Kiedyś myślałem, że to pewnie gwiazdy. Wydawało mi się tak, gdy byłem młodszy. Ale teraz już wiem, że to okręty wojenne szykujące się do ataku na Księżyc. Nie wiem, czego się spodziewałem. Nie pozostała tutaj żadna magia.

Powinienem był pozwolić, aby to miejsce stało się tylko doskonałym wspomnieniem.

Ciekawe, czy Eo jest bezpieczniejsza, ponieważ nie mogę jej zobaczyć? Gdybym ją teraz ujrzał, gdybym wrócił, kochałbym ją tak mocno? Wyglądałaby tak idealnie?

Przechodzę przez ogród. Tak naprawdę niewiele jest większy od moich kwater na „Paxie”.

Ramiona mam szersze niż drzewa, pod którymi idę. Trawa przerzedza się przy pniach, tam, gdzie korzenie przebijają się nad ziemię.

Odnajduję miejsce, którego szukałem. Kwiaty haemanthusa rosną nad grobem Eo. Tuziny.

Mogłoby się wydawać, że to cud, gdybym nie pamiętał pąka, który złożyłem wraz z żoną do grobu. Jej już tu nie ma, wiem to na pewno. Szarzy wygrzebali ją i wyrzucili poza kolonię, aby zgniła na pustkowiu, po moim powieszeniu.

Jest w tym ponura ironia, którą dopiero teraz sobie uświadamiam. Przyszedłem po

błogosławieństwo Eo, ale jej tutaj nie ma. Wyrwała się z tej klatki i uciekła do Doliny.

Siadam zatem ze skrzyżowanymi nogami i czekam, aż zajdzie słońce, jak kiedyś czekałem na wschód. Kiedy zapada ciemność, blednące światło dnia spowija ogród krwawą poświatą.

A potem słońce opada za horyzont i noc otula Marsa rozgwieżdżonym całunem.

Wybucham śmiechem.

Ragnar odrywa się od drzwi.

– Nic mi nie jest – zapewniam, nie odwracając głowy. – Eo by się ze mnie śmiała, że tu przyszedłem.

– Śmiech jest darem.

– Czasami.

Wstaję i otrzepuję spodnie, po czym po raz ostatni patrzę na to miejsce.

Ogród nie jest tak doskonały jak w moich wspomnieniach. Eo też nie była doskonała.

Niecierpliwa. Wybuchowa z nieważnych, drobnych powodów. Ale była przecież tylko

dziewczyną. Nie miała nawet siedemnastu lat. Ale oddała wszystko, co najcenniejsze, zrobiła wszystko, co mogła, z tym, co miała. I właśnie dlatego zawsze będę ją kochał. I dlatego wiem, że tak czy inaczej dałaby mi swoje błogosławieństwo i zgodziła się na to, co zamierzałem zrobić.

Moje serce nie może pozostać w klatce, z której Eo już uciekła. Muszę ruszać dalej.

## *Rozdział czterdziesty ósmy*

### *Główny zarządca*

Główny Zarządca kopalni Timony cu Podginus czeka na mnie w otoczeniu Szarych

strażników ubranych specjalnie na tę okazję w najlepsze i najjaśniejsze mundury. Jeden trzyma tacę z serami, krakersami i najlepszym, prawdopodobnie jedynym kawiolem Podginusa.

Brzydkiego Dana nie widać.

– Lord Andromedus, jak mniemam? – wita mnie Podginus z tą zarozumiałą wyniosłością,

którą tak lubią Miedziani. Jest grubszy. I włosy ma rzadsze. Na słońcu poci się jak świnia i wachluje się upierścienioną dłonią, zanim składa mi niski ukłon, spopularyzowany przez dramaty polityczne wyświetlane w holowizji.

– Sprawdziłem urządzenia do kompresji rudy... – zapewne burdel w pobliżu Yorkton na

skraju tajgi – kiedy doszły mnie wieści o twojej wizycie. Zjawiłem się najszybciej jak mogłem, ale błagam o wybaczenie. Jeśli mogę pozwolić sobie na tę śmiałość, chciałbym

zapytać o cel wizyty. – Żeby sprzedać tę informację ludziom podobnym do Pliniusza.

Miedziani rzadko mają na myśli to, co mówią. – Inspekcja przewidziana jest dopiero na...

– W dobrze wychowanym towarzystwie wypada najpierw się przedstawić, Miedziany.

Mówię jak Niezrównany, nie jak Pixie, których tak gorliwie naśladowuje.

– Proszę o wybaczenie! – jąka się przestraszony i kłania się tak nisko, że mógłby niemal dotknąć nosem podłogi, gdyby nie fałdy tłuszczu, które mu w tym przeszkadzają. – Jestem głównym zarządcą kopalni, Timony cu Podginus, twój uniżony sługa. I jeśli mogę dodać, o ile to nie za wielka śmiałość

– nadal trwa pochylony w ukłonie – jesteś wspanialszy, niż się spodziewałem! Nie wspominając nawet, że nie spodziewałem się kogoś tak atletycznego i wysokiego... Naturalnie, ArcyGubernator zatrudnia u siebie tylko najlepszych z najlepszych...

Ale holowizja nie oddaje twojej wspaniałości.

– Możesz przestać się kłaniać.

Prostuje się skrepowany i zerka za mnie do ogrodu, zastanawiając się nerwowo nad powodem, dla którego ktoś taki jak ja przybywa niezapowiedziany do kopalni.

– Jak wiesz bez wątpienia od innych, zarząd kopalń cieszy się niezmiernie z wyzwolenia planety od władzy Bellony. Ci ludzie znają się na wojnie, to pewne, ale na górnictwie? Phi!

Amatorzy.

– Na wojnie też najwyraźniej się nie znają.

Podginus przełyka nerwowo i zerka na moje ostrze, a potem znowu na ogród.

– Piękne miejsce, prawda? – pyta. – Przypomina mi o czasach nad rzeką Pyrrus. Rosną tam tulipany. Ach, co za barwy! Nie da się z niczym porównać, jak zapewne wiesz. A drzewa!

Czyż nie są podobne do brzóz ciągnących się wzdłuż stopni na Olimp? Byłem tam w Château le Breu.

Wykonuje dziwny, szeroki gest.

– Wiem, wiem, ale czasami człowiek potrzebuje odrobiny luksusu. W rzeczy samej właśnie tam odkryłem wyjątkowy ser, sottocenere. – Uśmiecha się z dumą. – Przyjaciele przezywają mnie Marco Polo, bo uwielbiam podróże. Szukam kultury. Jak zapewne się domyślasz, tutaj trudno o kulturalne towarzystwo...

Nie wiem, jak długo jeszcze próbowałby zrobić na mnie wrażenie, gdybym nie popatrzył

na mundury jego ludzi i na jego najdroższe pierścienie z dezaprobatą. Marszczę brwi.

– Czy coś jest nie w porządku? – niepokoje się Podginus.

– Masz rację.

Jego paciorkowate oczy przesuwają się po najlepszych Szarych w poszukiwaniu oznak

niestosowności, które dostrzegłem. W duchu krzywię się z pogardą, gdy patrzę, jak

rozpaczliwie ten człowiek próbuje mi się przypodobać. A przecież właśnie on ukradł mi rodzinę. Kazał mnie wychłostać. Patrzył, jak Eo została zabita. Powiesił mojego ojca. Wcale nie jest zły. Jest

tylko żaloszny w swojej chciwości.

– Co do czego mam rację? – mruga bez zrozumienia Podginus.

– Że w miejscu takim jak to trudno jest znaleźć kulturalne towarzystwo. – Mój wzrok

opada na niego ciężko. Aż się boję, że Podginus mógłby wybuchnąć płaczem. Kiedy na niego patrzę, kiedy patrzyłem na Dana, nie czuję nic oprócz wypełniającej mnie obcości. Chciałbym, żeby byli strasznymi, koszmarnymi potworami. Ale nie są. Są tylko wrednymi ludźmi, którzy niszczą cudze życie i nawet tego nie dostrzegają. Ilu jest takich jak oni?

W panice Podginus wskazuje na tacę z serami.

– Sottocenere, panie mój. To import prosto z Italii. Ser z nutą lukrecji i dodatkiem orzechów, szczypty kolendry, goździków i z lekkim, ale tajemniczym nieco posmakiem cynamonu i kopru na skórce. Na pewno przekonasz się, że...

– Nie przybyłem tutaj, aby próbować serów.

– Nie, nie. Oczywiście, że nie. – Zarządca rozgląda się nerwowo. – Jeżeli mogę zapytać, po co przybyłeś, panie mój?

Ruszam naprzód. Podginus śpieszy, żeby dotrzymać mi kroku.

– Ragnarze. – Skinieniem przyzywam tytana, który wyciąga z kieszeni mały tablet.

Nauczenie Ragnarza, jak się posługiwać tym urządzeniem, zajęło Kamyczek mniej niż godzinę.

– Twoja produkcja helium-3 spadła o czternaście procent przez ostatni kwartał. Twoje prognozy pokazują spodziewany spadek o trzynaście i pół tony w bieżącym kwartale rozliczeniowym. Pretor Andromedus chce usłyszeć wyjaśnienie.

Podginus nie wie, co zrobić. Patrzy to na mnie, to na Obsydiana i tablet. Jąka się przy odpowiedzi.

– J-ja... M-mieliśmy problemy z populacją. Graffiti, nielegalne hasła... – Zwraca się do mnie: – Wiesz, że byliśmy ośrodkiem zamieszek zapoczątkowanych przez Persefonę...

Ragnar kładzie mu ciężką dłoń na ramieniu.

– Pretor Andromedus jest zajęty.

– J-ja... – Podginus obraca się do koszmaru, którego nie pojmuje, ale nie może przed nim uciec. – Zapomniałem, co chciałem...

– Szukałeś wymówek.

– Wymówek. *Wymówek?* Jak śmiesz! – Prostuje się z oburzeniem. – Na Marsie tli się bunt.

Każdą kopalnię dotknęły zamieszki. Moja nie jest wyjątkiem. Zdarzały się zabójstwa. Sabotaż.

I nie było to dziełem wyłącznie Synów Aresa. Górnicy również się buntowali!

Podginus znowu obraca się do mnie, rozpaczliwie przeczuwając szybką utratę stanowiska.

Przebiera nerwowo nogami, żeby dotrzymać kroku mnie i Ragnarowi.

– Panie mój, aby zapobiec buntom, starałem się ze wszystkich sił stosować odpowiednie metody, jakie zawarto w rozdziale trzecim, podrozdział A „Przewodnika o zarządzaniu

kopalniami”, wydanego przez Departament Energii. Zmniejszyłem racje żywnościowe,

zastosowałem legalne środki przymusu bezpośredniego, a także zdyskredytowałem

przywódców wszelkich ruchów przez rozpuszczanie pogłosek i spreparowanych dowodów

wskazujących na pozostawanie tych ludzi w związkach homoseksualnych. Wdrożyłem nawet procedurę rekomendowaną w opracowaniu „Jak zapobiegać buntom?” i przez sześć lat

wprowadziłem scenariusze: „Zaraza i leczenie”, „Rebelia i zduszenie”, „Katastrofa

naturalna”, „Migracja żmij jaskiniowych”. Rozwazałem nawet pakiet „Przewrotu

pozaplanetarnego”!

Podginus dyszy i macha, żebym zwolnił.

– Nikt nie poradziłby sobie lepiej ode mnie!

– Twoje stanowisko nie jest zagrożone – zapewniam.

Oddycha z ulgą. Nagle jednak podnosi głowę.

– Niemożliwe... – Pochyliła się do mnie konfidencjonalnie. – Rozważasz wprowadzenie kwarantanny, prawda?

– Dlaczego nie miałbym wprowadzić kwarantanny w tej kopalni? – Idę dalej korytarzem na ładowisko, gdzie czeka mój prom. Tam dopiero się zatrzymuję. – Jak powiedziałaś, populacja nie zareagowała odpowiednio na strategię zatwierdzone przez Departament Energii i Zarząd Kontroli Jakości. Dlaczego nie wpompować do powietrza gazu achlys-9 i nie zastąpić

nieposłusznych Czerwonych klanami bardziej uległych z placówek bliżej równika?

– Nie! – Podginus chwytła mnie za rękę. Ragnar nawet nie fatyguje się z upominaniem grubasa.

– Dobieraj słowa ostrożnie – ostrzegam.

– Panie mój, nie rób tego. – Łzy lśnią w jego chciwych, przerażonych oczach. – Dochody z mojej kopalni może spadły, ale nadal są wysokie, a zakład funkcjonuje bez zarzutu. To wzorowy przykład działań, jak powstrzymać burzę.

– A ty jesteś jego zbawcą – rzucam z drwiną.

– Czerwoni tutaj to dobrzy górnicy. Najlepsi na świecie. Właśnie dlatego są tacy dzicy.

Ale teraz się już uspokoili. Podniosłem im racje alkoholu i zwiększyłem stężenie feromonów w jednostkach mieszkalnych. Rozmnażają się jak króliki. Mam też rośliny, które uszkadzają maszyny i mapy. Górnicy myślą, że złoża się kończą. Będą się starać ze wszystkich sił w obawie, że nie wyrobią normy. Potem wystarczy tylko, że naprawimy maszyny, a górników ogarnie znowu entuzjazm. Mogę im nawet powiedzieć, że terraformowanie się skończyło i za dziesięć lat rozpocznie się kolonizacja, a Ziemia wkrótce zacznie przysyłać imigrantów. Nadal pozostało wiele możliwości, zanim będziemy musieli się uciec do kwarantanny.

Obserwuję tego człowieka, gdy jąka się i garbi. Jest bez życia jak mokra koszula na

wieszaku. Czy chodzi o jego próżność, czy naprawdę troszczy się o górników? To się dopiero okaże. Sam nie umiem ocenić. Może na swój dziwny sposób ten Miedziany troszczy się jednak o Czerwonych. Kolejny potwór z mojej przeszłości okazuje się tylko człowiekiem

ukształtowanym przez Elitę.

– Twoja kopalnia na razie jest bezpieczna. Utrzymuj swoją siłę roboczą. Zwiększ racje żywnościowe, zaczynając od dziś. Chcę zadowolonych pracowników i wykonaną normę. W

moim promie znajdziesz zaopatrzenie. Jedzenie i napitki. Wydaj dla Czerwonych ucztę.

– Panie mój... ucztę? Dlaczego?

– Ponieważ tak powiedziałem.

Siedzę sam w sali widokowej i przyglądam się uczcie przez szybę pod moimi stopami.

Tysiące Czerwonych piją i jedzą, podczas gdy młodzi tańczą wokół szubienicy „Balladę o starym Hickorym”. Stoły uginają się od potraw, jakich ci Czerwoni nigdy wcześniej nie jadali, i napitków, jakich nigdy nie próbowali. A chociaż wszyscy się śmieją, chociaż tańczą, nie

znajduję w sobie radości. Ci ludzie żyją w koszmarze, ale przynajmniej go znają. I tylko w tym mogą znajdować ukojenie. Czy pozostanie jakieś ukojenie, gdy Synowie Aresa ujawnią

wielkie kłamstwo? To zniszczy styl życia tych ludzi. Będą zagubieni w ogromie światów. I zostaną przez nie zanieczyszczeni. Jak ja.

Rozpoznaję niemal wszystkich. Chłopców, z którymi się bawiłem, teraz już dorosłych.

Dziewczęta, które kiedyś całowałem, teraz matki z dziećmi. Krewniaków. Kuzynów. Nawet mojego brata, Kierana. Wycieram łzy z oczu, zanim ktoś zauważy.

Jakiś chłopiec porywa do tańca dziewczynę, którą wcześniej pocałował w policzek. Nigdy już nie będę taki jak ten chłopiec. Straciłem niewinność. I Czerwoni nigdy już nie przyjmą mnie jak swojego, niezależnie od tego, co przyniesie im przyszłość. Nie jestem bohaterem, który ulepsza świat. Jestem złem koniecznym. Nie ma tu dla mnie miejsca, a jednak nie potrafię odejść. Są prawdy, które należy powiedzieć. Tajemnice, które trzeba ujawnić.

– Wciąż próbujesz stworzyć kult? – rozlega się pytanie z progu. Odwracam się. Mustang opiera się o metalową framugę, włosy ma związane w kucyk, strój Polityka z wysokim

kołnierzem rozpięty nieformalnie przy szyi.

– Domyślam się, że następnym krokiem będzie postawienie sobie pomnika, tak? – rzucam.

– Ragnar już straszy wiejskich Szarych.

– Dobrze.

– Jesteś taki niemiły dla Szarych – śmieje się Mustang. – Czegoś w nich nie lubisz?

Przesuwa dłonią po moich włosach, a potem siada na oparciu fotela.

– Są zbyt posłuszni.

– Ach, więc dlatego mnie lubisz. – Wsuwa mi znowu palce we włosy, uwodzicielsko. –

Pomnik to zły pomysł. Zbyt łatwo pozbawić go twarzy. Wandale mogliby ci jeszcze dodać wąsy albo cycki w wolnej chwili. Zwłaszcza cycki to ryzykowny dodatek.

– Mogłoby być gorzej.

– Cóż, nie ma nic gorszego jak wąsy. Daxo próbuje właśnie sobie zapuścić. Myślę, że to ma być ironia? Nie jestem pewna. – Mustang śmieje się cicho, po czym siada na metalowym krześle obok mnie. – Jego siostry mu to wyperswadują.

Patrzy na kopalnię i na Blaszków.

– To miejsce jest odrażające. Napisałam parę przepisów legislacyjnych, które reformatorzy planują wdrożyć po wojnie. Oskóruję Departament Energii, zrestrukturyzuję Zarząd Kontroli Jakości. – Spogląda na Kocioł. – I zmienię zasady, na jakich prowadzony jest ten sklep mięsny. Widzisz

magazyny zaopatrzenia, które tu się znajdują? Jest tam jedzenia na siedem lat.

A jednak zarządcy wciąż domagają się maksymalnych dostaw. Zajrzałam do ich plików.

Główny Zarządca chce ładowni wypełnionych po sufit. Najprawdopodobniej sprzedaje racje żywnościowe na czarnym rynku. Kłamliwy Miedziany myśli, że nie zauważymy. Pewnie jakiś Złoty albo Srebrny zapewnił go, że wystarczy dobrze posmarować, a nikt nie będzie się czepiał. I robi się tak, podczas gdy miejscowa społeczność przymiera głodem. Wszędzie tylko korupcja.

Krzywi się i marszczy nos, a potem strzepuje odprysk obłazącej farby z podłokietnika krzesła.

– Dlaczego tu jesteśmy? – pyta Mustang. – Czy coś się stało mojemu bratu?

– To kopalnia, gdzie pewna młoda dziewczyna zaśpiewała zakazaną pieśń – wyjaśniam po chwili ciszy. Mustang otwiera szerzej oczy, gdy uważniej przygląda się tłumom na dole.

– Nieszczęśnicy.

Podnosi na mnie oczy, czeka na to, co mam do powiedzenia. Ale nie pozostały już żadne słowa. Tylko coś do pokazania. Ujmuję dziewczynę za rękę i wstaję.

– Chodź ze mną.

## *Rozdział czterdziesty dziewiąty*

### *Dlaczego śpiewamy*

Nigdy nie czułem takiego strachu.

Lykos jest mroczne nocą. Wszystkie światła zgaszone, żeby Czerwoni nie oszaleli od

wiecznego dnia. Gdzieś tam nocna zmiana tka jedwab i pracuje w kopalni. Ale tutaj, w tym szerokim tunelu, nie ma ruchu, nie ma dźwięku, tylko ciche mamrotanie hologramów,

przedstawiających stare nagrania z terraformowania, oraz odległy szum maszyn. Panuje tu zimno, a jednak się pocę.



Mustang milczy obok mnie. Nie odezwała się, odkąd wyłądownaliśmy w naszych butach grawitacyjnych na podłożu kolonii. Peleryny czynią nas niemal niewidzialnymi dla spóźnionych pijaków przygarbionych nad stolikami i śpiących głęboko na stopniach szubienicy. W milczeniu Mustang wyczuwam napięcie i zastanawiam się, co dziewczyna myśli.

Serce łomocze mi dziko w piersi, tak głośno, że Mustang na pewno je słyszy, gdy wchodzimy do miasta Lambd, gdzie z chłopca stałem się mężczyzną. Wszystko wydaje się mniejsze. Sufit znajduje się niżej. Linowe kładki i systemy bloków przypominają dziecinne zabawki. Hologram, na którym ongiś lśniło oblicze Octavii au Lune, przypomina zabytek, brakuje mu pikseli. Mustang rozgląda się uważnie, wyłączwszy maskowanie. Jej oczy przesuwają się od kładek do domów, jakby widziała coś wspaniałego. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że Złotemu tak proste miejsce wyda się interesujące.

Wspinam się po kamiennych stopniach do kładki prowadzącej do mojego domu – zupełnie tak samo jak wtedy, gdy byłem chłopcem. Tyle tylko, że teraz jestem za duży. Zapomniałem, że mam buty grawitacyjne. Mustang swoich również nie używa. Idzie za mną i otrzepuje dłonie, gdy staje na platformie, gdzie w skale wykuty został otwór i wstawiono cienkie metalowe drzwi mojego domu rodzinnego.

– Darrow – mówi cicho – skąd wiesz, gdzie iść?

Ręce mi się trzęsą.

– Chciałaś, żebym cię wpuścił. – Spoglądam na nią z góry.

– Owszem, ale...

– Jak daleko chcesz wejść?

Wiem, że przeczuwa, co się stanie. Zastanawiam się, jak długo już to czuje. Tę obcość we mnie. Dziwaczne odruchy. Dystans w duszy.

Dziewczyna spogląda na swoje dłonie ze smugami czerwieni od pyłu na kamiennych stopniach.

– Do końca.

Podaję jej holokostkę.

– Jeżeli naprawdę tak myślisz, włącz odtwarzanie i wejdź, gdy skończysz oglądać.

Zrozumiem, jeżeli odejdziesz.

– Darrow...

Całuję ją po raz ostatni, mocno. Mustang przytula się, chwyta mnie za włosy. Przeczuwa, że kiedy się rozdzielimy, coś się zmieni. Cofam się mimowolnie. Przykładam dłoń do jej

policzka. Oczy dziewczyny, zamknięte, otwierają się z drżeniem powiek, gdy odwracam się do drzwi.

I otwieram je.

Muszę się pochylić, żeby wejść. Dom jest ciasny. Cichy. Parter wygląda tak, jak go

zapamiętałem. Mały metalowy stół nie uległ zmianie. Ani plastikowe krzesła, mały zlew, suszarka na gliniane naczynia czy czajnik, duma matki, grzejący się na palenisku. Nowy dywan okrywa podłogę. Jeszcze pachnie świeżością. Inne buty stoją tam, gdzie ojciec zostawiał

swoje i gdzie potem ja zostawiałem obuwie – przy schodach. Zaraz... To moje buty. Jednak znoszone i zniszczone bardziej niż za moich czasów. Czy moje stopy były naprawdę tak małe?

Cisza panuje w całym domu. Śpią wszyscy, oprócz matki.

Czajnik syczy, gdy woda zaczyna bulgotać. Stopy szurają na kamiennych schodach. Niemal uciekam z pokoju. Ale przerażenie sprawia, że nogi jakby wrosły mi w ziemię, gdy kobieta schodzi niżej. I bliżej, aż dostrzega moją obecność. Zatrzymuje się na ostatnim stopniu, zapomina o jedzeniu, które niosła. Jej oczy odnajdują moje. Nie odwraca wzroku. Nie patrzy na moje Złote ciało. Zaczynam się bać, gdy tak nic nie mówi. Oddech. Kolejny. Trzeci.

Dziesiąty. Ta kobieta mnie nie zna. Jestem zabójcą w jej domu. Nie powinienem był tutaj wchodzić. Nie rozpoznała mnie. Jestem Złotym, który się zgubił i wdarł się tutaj nieproszony z czystej ciekawości. Mogę odejść. Właściwie uciec. Moja matka nie musi się nigdy

dowiedzieć, w co zmienił się jej syn.

Wtedy jednak kończy schodzenie i podchodzi blisko mnie. Płynie. Minęły cztery lata.

Wygląda, jakby postarzała się o dwadzieścia. Cienkie wargi, zwiędła skóra i pajęcza sieć zmarszczek, włosy przetykane nitkami szarości i siwizny, dłonie pomarszczone jak kora dębu i guzowate jak korzenie imbiru. Kiedy kobieta wyciąga rękę, aby dotknąć mojej twarzy, muszę uklęknąć. Jej oczy wciąż wpatrują się w moje. I spływają z nich łzy. Czajnik piszczy na palenisku. Kobieta unosi drugą rękę, ale nie może jej otworzyć, żeby mnie dotknąć. Dłoń pozostaje zaciśnięta i skurczona. Jak moje serce.

– *To ty* – mówi cicho kobieta, jakbym miał zniknąć niczym sen, gdyby odezwała się zbyt głośno. – *To ty.*

Głos ma inny, niewyraźny.

– Znasz mnie? – udaje mi się wydusić rozpaczliwie.

– Jak miałabym nie znać? – Jej uśmiech jest krzywy, lewa powieka opada. Życie było dla niej o wiele mniej łaskawe niż dla mnie. Miała wylew. Serce mi się ściska, gdy widzę, jak ciało ją zawodzi. Nie było mnie przy niej. Nie było mnie, a to złamało jej serce. –

Rozpoznałabym cię... wszędzie.

Całuje mnie w czoło.

– Mój chłopiec. Mój Darrow.

Łzy żłobią ciepłe bruzdy na moich policzkach. Pozwalam im płynąć.

– Matko.

Wciąż na kolanach obejmuję ją, a ciche łzy płyną mi z oczu. Przez długi czas nic nie

mówimy. Od matki niesie się zapach tłuszczu, rdzy i wilgotna woń haemanthusa. Czuję dotyk jej warg, gdy całuje mi włosy, jak to robiła wcześniej. Dłonie drapią mi plecy, jakby nie robiło im różnicy, że teraz jestem szerszy i silniejszy.

– Muszę zdjąć czajnik z ognia – mówi. – Zanim ktoś się obudzi i zobaczy cię tak...

– Oczywiście.

– Musisz mnie puścić.

– Wybacz. – Uwalniam ją i śmieję się skrępowany.

– Jak...? – pyta w końcu. Stoi i patrzy na Sigile na moich dłoniach, po czym kręci głową. –

Jak to możliwe? Ty... Twój akcent. Wszystko.

– Zostałem wyrzeźbiony. Wujek Narol mnie ocalił. Mogę dokładnie wyjaśnić.

Kręci głową, która nieznacznie się trzęsie. Matka pewnie myśli, że tego nie zauważę.

Czajnik piszczy coraz głośniejsze.

– Usiądź.

Odwraca się plecami i zdejmuje czajnik z ognia. Bierze dodatkowy kubek. Ten z

najwyższej półki. Pamiętam, że należał do mojego ojca. Kurz okrywa wypaloną glinę. Matka nieruchomieje, ale milczy, gdy przyciska stare naczynie do piersi. Pogrąża się we

wspomnieniach, które nie są przeznaczone dla mnie, wspomnieniach, gdy szykowali się

wspólnie na rozpoczęcie dnia. Z długim westchnieniem wrzuca suszone liście herbaty do naczynia i zalewa je wrzątkiem.

– Chcesz coś jeszcze? Mamy te herbatniki, które tak lubiłeś.

– Nie, dziękuję.

– I zabrałam swoją porcję z uczty. To delikatne jedzenie jak dla Złotych. Jadasz takie?

– Nie jestem Złotym.

– Mam też fasolę. Świeżą, z ogródka Leory. Pamiętasz ją?

Zerkam na swój unipad. Mustang odeszła, kieruje się do promu po obejrzeniu nagrania na holokostce. Obawiałem się tego. Odczytuję wiadomość od Sevra: „Zatrzymać ją?”.

Mam dwa wyjścia. Mogę pozwolić Sevrowi i Ragnarowi, żeby złapali Mustang i

przetrzymali do czasu, aż z nią porozmawiam. Albo mogę zaufać, że sama podejmie najlepszą decyzję. Jeżeli jednak zaufam Mustang, będzie mogła odejść i powiedzieć ojcu, kim naprawdę jestem. Wtedy wszystko się zakończy. Ale może dziewczyna po prostu potrzebuje trochę czasu.

Dałem jej wiele do myślenia. Jeżeli Ragnar i Sevro złapią ją za wcześnie, może się to obrócić przeciwko mnie. Ci dwaj mogą też postąpić przeciwko mnie i zabić Mustang.

Przeklinając w duchu, wpisuję szybko odpowiedź.

– Pamiętam wszystkich – mówię matce i podnoszę wzrok. – Wciąż jestem sobą.

Matka nieruchomieje, wciąż wpatrując się w palenisko. Kiedy się odwraca, krzywy smutny uśmiech przecina jej zdeformowaną wylewem twarz. Dłoń potrąca jeden z kubków, ale nie przewraca naczynia.

– Masz coś przeciwko krzesłom? – pyta ostro, gdy już wie, że zauważyłem jej niezdarność.

– Wręcz przeciwnie. Tylko obawiam się... – Unoszę krzesło. Pasowałoby dla Złotego

dziecka, nie dla dorosłego Niezrównanego Naznaczonego, który ma ponad siedem stóp

wzrostu i waży więcej niż trzech Czerwonych razem wziętych. Matka chichocze tym ponurym śmiechem, który w dzieciństwie sprawiał, że zastanawiałem się, czy nie zrobiła czegoś wyjątkowo wrednego. Z wdziękiem krzyżuje nogi i siada na ziemi. Naśladuję ją, choć czuję się tutaj niezdarnie.

Stawia parujące kubki między nami.

– Nie wydajesz się strasznie zaskoczona moim widokiem – stwierdzam.

– Zabawnie mówisz. – Zamyśla się na długo. Zaczynam się zastanawiać, czy jeszcze coś

powie. – Narol powiedział mi, że żyjesz. Ale zapomniał dodać, że odszedłeś i wykopałeś się w Złocie.

Upija trochę herbaty.

– Założę się, że masz wiele pytań.

Wybucham śmiechem.

– Myślałem, że ty będziesz miała więcej.

– I mam. Ale znam swojego syna. – Zerka na moje Sigile. – Jestem bardziej cierpliwa. Ty pierwszy.

– Narol... Czy on...?

– Umarł? Owszem. Umarł.

Tracę dech w piersi.

– Jak dawno?

– Dwa lata temu. – Chichocze. – Spadł do szybu kopalni z Loranem. Nigdy nie znaleziono ciała.

– Dlaczego, do cholery, śmiejesz się z tego?

– Brat twojego ojca zawsze był czarną owcą w rodzinie. – Matka upija herbaty. Dla mnie napor wciąż jest za gorący. – Pewnie dlatego trudniej go było zabić niż karalucha. No to uwierzę, że nie żyje, gdy zobaczę go w Dolinie. Przebiegły robał.

Mówi wolno jak większość Czerwonych. Zniekształcenia wymowy po wylewie są nieznaczące, ale jednak słyszalne.

– Myślę, że odszedł stąd i zabrał ze sobą Lorana. – Sposób, w jaki to mówi, każe mi się domyślić, że matka zdaje sobie sprawę z istnienia większego świata poza kopalnią. Może nie zna całej prawdy, ale przynajmniej część. Może wuj i kuzyn naprawdę nie zginęli. Może odeszli, żeby dołączyć do Synów Aresa.

– A co z Kieranem? Leanną? Dio?

– Twoja siostra wyszła ponownie za mąż. Mieszka u rodziny męża w osadzie Gamm.

– *U Gamm?* – Krzywię się. – Pozwoliłaś jej...

Urywam, gdy tylko widzę grymas na ustach matki. Złoty czy nie, lepiej się zamknąć, niż obrazić jej córkę, do cholery.

– Ma dwie córki, bardziej podobne do niej niż do któregokolwiek Gammy, jakiego widziałam. A Kieran ma się dobrze. – Uśmiecha się lekko. – Masz prawo być z niego dumny.

To już nie zasmarkane dziecko, które zapamiętałaś, niechętne do obowiązków w domu i mówiące przez sen. Pan domu i naczelnik brygady. Przejął stanowisko po zniknięciu Narola.

Ale Cora, jego żona, umarła przy porodzie. Parę miesięcy temu ożenił się po raz drugi.

Mój biedny brat.

– A co z Dio? I z rodzicami Eo?

– Jej ojciec nie żyje. Zabił się niedługo po tym, jak sam próbowałeś.

Spuszczam głowę.

– Tak wiele śmierci.

Matka dotyka mojego kolana.

– Tak to już jest.

– Co nie znaczy, że tak być powinno.

– Było ciężko po tym, jak ty i Eo nas opuściliście. Ale Dio ma się dobrze. W rzeczy samej śpi na górze.

– Na górze? Co chcesz powiedzieć?... To ona wyszła za Kierana?

– Owszem. I jest w ciąży. Mam nadzieję, że to będzie dziewczynka, ale z moim szczęściem pewnie urodzi się chłopak, który będzie chciał łowić żmije jaskiniowe. Gorącogłowy i

lekkomyślny do końca życia. O ile będzie miał wybór, rzecz jasna.

– To znaczy?

– Zrobiło się ciężko. Nadeszły zmiany. Kopalnia nie działa tak, jak powinna. Niektórzy mężczyźni szepczą po kątach, że złoża się wyczerpują, i zaczynają się bać. Co się stanie z górnikami, kiedy nie będzie czego wydobywać? Mają nadzieję, że terraformowanie

przyśpieszy, zanim skończą się zapasy helium.

– Nic wam się nie stanie, obiecuję. Potrafię ochronić tę kopalnię, nieważne, co się zdarzy.

– Jak?

– Po prostu.

– Moja kolej. – Matka spogląda na mnie znad kubka herbaty. – Gdzie byłeś, dziecko?

– Ja... Nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Myślę, że od śmierci Eo.

Wzdragam się. Matka zawsze była bezpośrednia. Potrafiła doprowadzić Kierana do

płaczu, gdy był mały. Ale ta bezpośredniość sprawia, że pęcherze zmieniają się w odciski, a nie otwarte rany. Dlatego winien jej jestem szczerą odpowiedzi. Mówię jej wszystko,

zaczynając od śmierci Eo i kończąc na obietnicy, jaką złożyłem ArcyGubernatorowi.

Wypijamy całą herbatę, zanim dochodzę do końca.

– To niezła opowieść – stwierdza matka.

– Opowieść? To prawda.

– Nikt ci nie uwierzy, nikt z tutejszych.

– Ale ty wierzysz, prawda?

– Jestem twoją matką. – Ujmuje mnie za rękę i przesuwa pokrzywionymi palcami po

Sigilach, które ciągną się od grzbietów moich dłoni przez przedramiona. Uśmiecha się, gdy widzi metalowe skrzydła wtopione w moje przedramiona.

– Nigdy nie lubiłam Eo – mówi cicho.

Przekrzywiam głowę, żeby popatrzeć jej w twarz.

– Umiała manipulować. Nie mówiła ci wszystkiego...

– Wiem o dziecku – przyznaję. – Wiem, co powiedziała Dio na szafocie.

Matka przysuwa się do mnie bliżej, chwyta mnie za ręce i przysuwa sobie moje kłykcie do ust. Nigdy nie umiała okazywać czułości. Teraz też wychodzi jej to niezdarnie. Ale mnie to nie przeszkadza.

Ojciec kochał ją za to samo co ja. Wszystko, co matka robi, czyni z pełnym i absolutnym przekonaniem. Szczerze. Nie ma w niej fałszu. Żadnego oszustwa. Kiedy więc mówi, że mnie kocha,

to kocha całym sercem i każdą cząstką siebie.

– Eo nie była okrutną dziewczyną, wiesz o tym. – Cofa się, żeby spojrzeć mi w oczy. –

Kochała cię bezwarunkowo. A ja kochałam ją właśnie za to. Ale zawsze bałam się, że skłoni cię, abyś walczył w jej bitwach. I zawsze bałam się, że za bardzo kochała walkę.

Nie jest to opis Eo, jaką zapamiętałem. Ale nie znajduję błędu w słowach matki. Nie mogę.

Każdy postrzega świat na swój sposób.

– Jednak w końcowym rozrachunku, matko, Eo miała rację. Nie myliła się co do Złotych.

– Jestem twoją matką. Nie obchodzi mnie, kto ma rację. Obchodzisz mnie ty, dziecko.

– Ktoś musi jednak to naprawić – stwierdzam. – Ktoś musi zerwać pęta.

– I tym kimś jesteś ty?

Dlaczego we mnie wątpi?

– Tak. Nie jestem głupi. Mogę wyprowadzić nas stąd. Z niewoli.

– A dokąd? Na powierzchnię? – Mówi o tym tak swobodnie, jakby prawdę o Marsie znała

od lat, nie od paru minut. Może rzeczywiście wiedziała od dawna. – I co tam będziemy robić?

Znamy jedynie kopalnie. Wiemy tylko, jak kopać i jak zbierać jedwab. Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, a na Marsie żyją setki milionów Czerwonych, gdzie znajdziemy miejsce na domy dla siebie? Gdzie znajdziemy pracę? Większość nie opuści kopalń, nawet gdy się dowie o możliwości życia na powierzchni. Sam zobaczysz. Zostaną dalej górnikami. A ich dzieci też

będą górnikami. I ich dzieci, i dzieci ich dzieci... Tylko szlachetność tego zajęcia zginie.

Pomyślałeś o tym?

– Oczywiście.

– I masz rozwiązanie?

– Nie.

– Mężczyźni. – Matka rozciera sobie prawą skroń. – Twój ojciec też był w gorącej wodzie kąpany.

Jej mina wyraźnie mówi, co sądzi o takim postępowaniu.

– Wszyscy Helldiverzy myślą, że zaopatrują klan. Nie. To kobiety. – Wskazuje na



otoczenie. – Wszystko, co widzisz, zrobiły kobiety. Ale to ty wiesz, jak ukształtować świat, prawda? Wiesz, jaki powinien być.

– Nie, nie wiem – przyznaję. – Nie mam gotowych rozwiązań.

Mustang ma. Eo miała. Matka też.

– Żaden mężczyzna i żadna kobieta nie wie wszystkiego. Tysiące, miliony wybitnych

umysłów będą potrzebne, aby odpowiedzieć na pytania, które mi zadałaś. I właśnie o to chodzi. To, co mogę zrobić, w czym jestem *dobry*, to pozbyć się tych, którzy więżą i pętają takie umysły. Dlatego właśnie tutaj jestem. Dlatego istnieję.

– Zmieniłeś się – stwierdza matka.

– Wiem. – Podnoszę odrobinę pyłu z podłogi i rozcieram między palcami. Pył wygląda dziwnie na tych Żółtych dłoniach. – Myślisz... Czy można kochać dwie osoby?

Matce nie dane jest odpowiedzieć, bo na schodach słysząc kroki.

Kobieta odwraca się.

– Babciu? – dziecięcy rozespany głosik dobiega ze stopni. – Babciu, a Dunlow nie jest w łóżku.

Dziecko stoi na schodach, koszula nocna dotyka podłogi. Córka Kierana. Ma trzy lata,

może cztery. Urodziła się niedługo po moim odejściu. Ma twarz w kształcie serca. Rude włosy gęste i faliste jak u mojej żony. Matka ogląda się na mnie – martwi się, jak wyjaśnić moją obecność. Ale gdy tylko usłyszałem hałas, włączyłem maskowanie peleryny Niewidki.

– Och, pewnie wymknął się, żeby napsocić – mówi moja matka.

Ściskam jej dłoń, po czym wyslizguję się z pokoju do drzwi. Mój czas tutaj się skończył, a jednak jeszcze zwlekam. Mała dziewczynka ostrożnie schodzi po stopniach, patrzy pod nogi i przeciera zaspane oczy.

– Z kim rozmawiałaś?

– Modliłam się, dziecko.

– O co się modliłaś?

– O duszę mężczyzny, który bardzo cię kocha. – Matka dotyka nosa małej guzowatym palcem.

– Taty?

– Nie. Twojego wujka.

– Wujka Darrowa? Ale on umarł.

Matka bierze małą na ręce.

– Umarli zawsze mogą nas usłyszeć, moje kochanie. Myślisz, że dlaczego śpiewamy?

Chcemy, żeby wiedzieli, że chociaż odeszli, wciąż umiemy się radować. – Przyniła moją bratanicę, po czym odwraca się, żeby na mnie spojrzeć, zanim wejdzie na schody. – Bo

przecież tego właśnie dla nas chcą.

## *Rozdział pięćdziesiąty*

### *Głębia*

Mustang odeszła. Miałem nadzieję, że przyjdzie. Ale chyba prosiłem o zbyt wiele.

Oczywiście, że tak. Głupiec ze mnie. Przypominam sobie, jak uznałem, że to mnie bardziej ucłowieczy w jej oczach. Myślałem, że spotkanie z moją matką wycisnie Mustang łzy z oczu i uświadomi, że wszyscy jesteśmy tacy sami.

Ogarnia mnie poczucie winy. Wręczyłem Mustang holonagranie z mojego rzeźbienia. Czego się spodziewałem? No czego? Że dziewczyna wejdzie do domu? Ona, córka ArcyGubernatora Marsa, usiądzie na podłodze z moją matką i ze mną? Przyszedłem tutaj, bo jestem tchórzem. A jestem tchórzem, bo pozwoliłem, żeby hologram przemawiał za mnie. Nie chciałem patrzeć, jak dziewczyna się dowiadyje, kim jestem naprawdę. Nie chciałem zobaczyć w jej oczach zdrady. Cztery lata kłamstwa. Cztery lata oszukiwania dziewczyny, która nigdy nie umiała nikomu zaufać. Cztery lata, a ja ujawniam jej prawdę o sobie i nawet mnie nie ma z nią w jednym cholernym pokoju. Jestem tchórzem.

A Mustang odeszła.

Sprawdzam mój unipad. Znacznik promieniowania, który Sevro uparł się jej podrzucić,

zanim przyszła ze mną do Kotła, wskazuje, że dziewczyna znajduje się o trzy tysiące

kilometrów ode mnie i szybko się oddala. Sevro śledzi ją w promie i czeka na moje rozkazy.

Ragnar i Sevro, obaj mnie wywołują. Nie odpowiadam. Będą nalegali, żebym pozwolił im ją zastrzelić. Nie zrobię tego. Nie mogę. Żaden z nich nie zrozumie.

Bez Mustang jaki sens ma to wszystko?

Wychodzę z osiedla, podążam coraz niżej i niżej, do starej kopalni. Próbuję zapomnieć o terażniejszości przez odnalezienie przeszłości. Staję samotnie i słucham zewu głębi. Wiatr lamentuje, przebijając się pod ziemią, w jego pieśni brzmi żaloba. W ciemności nic nie widzę, oczy mam zamknięte, podeszwy wbite w pyliste podłoże. Próbuję patrzeć w otchłań

ciemności, która rozciąga się w głąb mojego świata. Tak właśnie sprawdzaliśmy za młodu swoją odwagę. Stawaliśmy i czekaliśmy nad głębokim szybem, który wykopali nasi

przodkowie dawno temu.

Odwracam lewą rękę, w której mam unipad. Z wahaniem wywołuję Mustang.

Sygnal rozlega się dokładnie za moimi plecami.

Zamieram. A potem baterie miotacza włączają się z jękiem i ciepła, żółta poświata

pojawia się za mną, ukazując krawędzie wielkiego tunelu.

– Ręce tak, żebym je widziała.

Jej głos jest tak zimny, że ledwie go rozpoznaję. Odbija się echem od ścian tunelu. Powoli podnoszę rękę.

– Odwróć się.

Wykonuję polecenie.

Jej oczy lśnią w świetle lampy jak u sowy. Stoi dziesięć metrów dalej, wyżej niż ja, w rozkroku, z obcasami mocno wbitymi w pylisty grunt. W jednej ręce trzyma latarkę, w drugiej miotacz. Lufa wymierzona jest w moją głowę, palec na spuście. Dziewczynie aż pobieleały kłykcie. Twarz przypomina beznamiętną maskę, tylko w oczach czai się bezdenny smutek.

Sevro miał rację.

– Strzeli ci w łeb, ty cholerny głupcze – skrzywił się Sevro w promie. Czasami wydaje mi się, że dołączył do mojej małej krucjaty, żeby mieć wymówkę do przeklinania jak Czerwony.

Ragnar milczał, kiedy powiedziałem im, co planuję.

– Dlaczego poparłeś mnie, a nie swojego ojca? – zapytałem go.

– Ponieważ tak właśnie robimy.

– Mustang musi sama podjąć decyzję.

– I myślisz, że wybierze ciebie, nie własną rasę?

– Ty tak uczyniłeś.

– Och, przestań. Nie jestem cholerną Złotą królewną, co nie? – Uniósł wysoko rękę. –

Znajdowała się na tej pozycji przez całe życie. Tam, gdzie powietrze jest czyste i słodkie. –

Opuścił rękę. – Ja byłem poniżej gówna, odkąd się urodziłem, drobny i brzydki jak mój ojciec.

Twoja dziewczyna jest nieskazitelna. Kiedy wszystko jest dobrze, może mówić piękne słówka.

Ale kiedy stanie w obliczu mas, które odbiorą jej pałac i zdepczą ogrody... wtedy zobaczysz zupełnie inną dziewczynę.

– Jesteś Czerwonym – mówi teraz Mustang do mnie.

– Myślałem, że odeszłaś.

– Znacznik odleciał. – Porusza szczęką. – Sevro był sprytny. Nawet nie zauważyłam, kiedy mi go przyczepił. Ale domyśliłam się przez ciebie. Nigdy nie powiedziałabyś mi czegoś

takiego... *tego* bez zabezpieczenia. Przeszukałam swoje ubranie w promie.

– Dlaczego wróciłaś?

– Nie. *Nie*. – Przecina dłonią powietrze. – Odpowiadasz teraz na *moje* pytania, Darrow.

Czy w ogóle tak masz na imię?

– Matka nazwała mnie tak po swoim ojcu.

– I jesteś Czerwonym.

– Urodziłem się w domu, przed którym stałaś. Miałem szesnaście lat, gdy po raz pierwszy zobaczyłem niebo. Zatem tak, jestem Czerwonym.

– Rozumiem. – Waha się. – A mój ojciec zabił twoją żonę.

– Tak. Wydał na Eo wyrok śmierci.

– Kiedy śpiewałeś mi tę pieśń w jaskini... wszystko to sobie przypominałeś? To miejsce, rzeźbienie,

plan... wszystko to miałeś w pamięci, we wspomnieniach. Ten inny świat. Tę inną... osobę. – Mustang potrząsa głową, ale wcale nie chce usłyszeć mojej odpowiedzi. – I co się stało? *Mąż Eo* został powieszony. *Ty* zostałeś powieszony. Jak udało ci się uciec?

– Wiesz, dlaczego mnie powieszono?

Dziewczyna czeka, aż wyjaśnię.

– Kiedy Czerwony jest wieszany za zbrodnię zdrady, ciało nie może zostać pogrzebane. Ma wisieć i rozkładać się, gnić na oczach wszystkich jako przestroga, czym grozi bunt. – Wbijam kciuk w swój tors. – Pogrzebałem swoją żonę, więc również zostałem powieszony. Tylko że mój wuj napoił mnie olejkim z haemanthusa. Olejek zwalnia bicie serca, wydaje się, że człowiek umarł. Potem wuj mnie odciął. I oddał Synom Aresa.

– A oni... – Mustang unosi holokostkę, jej twarz wydaje się blada w blasku urządzenia. – A oni zrobili ci *to*.

– Byłem bledszy niż Niebieski. O głowę niższy niż Sevro. Słabszy niż Szary. Wiedziałem mniej o świecie niż Różowa, która uczy się sztuki w Ogrodach. Dlatego Synowie wzięli to, co było we mnie najlepsze, co najlepsze w moich ludziach, i zmieszali to z tym, co najlepsze u twojego ludu.

– Ale... to niemożliwe. Zarząd Kontroli Jakości ma testy. – Głos Mustang łamie się, traci chłód podczas przesłuchania. – Wykrywacze kłamstw, analizy DNA, testy genealogiczne...

Parska śmiechem, gdy sobie nagle uświadamia.

– *To dlatego* pochodzisz z rodu Andromedus – urodzony ze Złotych rodziców, którzy uciekli przed długami i próbowali zdobyć bogactwo dzięki górnictwu na asteroidach.

– Ich okręt zaginał, gdy wracali po tym, jak ich kopalnie wykupił Żywe Srebro.

– A Synowie Aresa zniszczyli ich statek, podmienili zapisy i kupili kopalnie, żeby mogli stworzyć ci przykrywkę.

– Możliwe. – Nie zastanawiałem się, jak dokładnie Tancerz tego dokonał. – Moi przyjaciele są zaradni.

– Jak w ogóle przeżyłeś rzeźbienie? – szepcze Mustang. – To wbrew fizjologii. To, co

zrobił ci Snycerz... *nikt* nie mógłby tego przeżyć. Sigile są połączone z centralnym układem nerwowym. A implant w korze czołowej nie może być usunięty, wpadłbyś w katatonię.

– Mój Snycerz miał wyjątkowy talent. Zdołał znaleźć sposób, żeby usunąć implant, chociaż za pierwszym razem zrobił to inny Snycerz.

– Dwa razy. Jest was dwóch? *Sevro*? – zgaduje dziewczyna. – Czy właśnie dlatego zawsze byliście sobie tak bliscy?

– Nie. Drugim był Titus.

– Titus? Ten rzeźnik? Jesteś taki sam jak on?

– Nigdy. Nie wiedziałem, kim był, dopóki cię nie pokonałem. Ares myślał, że moglibyśmy z Titusem pracować razem...

– Ale Titus był potworem.

– Złoci go takim uczynili.

– I to usprawiedliwia jego uczynki?

– Nie zachowuj się tak, jakbyś wiedziała, przez co przeszedł – warczę.

– Wiem, Darrow. Nie odwracam oczu. Znam politykę, wiem, w jakich warunkach żyją twoi ludzie i jak cierpią, ale to nie usprawiedliwia mordów, gwałtów i tortur, jakich się dopuścił.

– Właśnie tego doświadczamy codziennie. Titus zrobił to wszystko z nienawiści. Ze źle pojętej nadziei na zemstę. W innym życiu mógłbym być taki jak on.

Mustang szuka mojego spojrzenia.

– A dlaczego nie stałeś się taki jak on w tym życiu?

– Dzięki mojej żonie. – Unoszę głowę i patrzę jej w oczy. – I dzięki tobie.

– Nie mów tak. – Głos Mustang rwie się z żalu. Dziewczyna cofa się o krok, potrząsa głową. – Nie masz prawa tego mówić.

– Dlaczego nie? Zawsze zastanawiałaś się, co skrywam pod maską. Chciałaś poznać moje wnętrze.

– Darrow...

– Titus miał ból. I tylko ból. Ja miałem coś więcej. Marzenie Eo o świecie, gdzie nasze dzieci mogłyby być wolne. Ale straciłbym je, gdybym nie spotkał ciebie. – Robię krok

naprzód. – Właśnie dzięki tobie nie zmieniłem się w potwora. Nie rozumiesz?

Rozkładałam ręce, żeby pokazać ogrom mojej desperacji.

– Byłem otoczony przez ludzi, którzy niewolili moich przez stulecia. Myślałem, że wszyscy Złoci są okrutnymi, samolubnymi mordercami. Pragnąłem zemsty. Ale wtedy pojawiłaś się ty...

i pokazałaś mi, że istnieje też w nich życzliwość. Dobroć. A Roque, Sevro, Quinn, Pax i Wyjce również tego dowiedli.

– Czego dokładnie?

– Że nie chodzi o moich ludzi przeciwko twoim. Nie jesteście Złoci. A my nie jesteśmy Czerwoni. Jesteśmy ludźmi, Mustang. Każdy z nas może się zmienić. Każdy z nas może być tym, kim zechce. Przez stulecia próbowano nam wmawiać coś odwrotnego. Próbowano nas

złamać. Ale się nie udało. Jesteś tego dowodem. Nie jesteś taka jak ojciec. Widzę w tobie miłość. Widzę radość, życzliwość, niecierpliwość, wady. Też je mam. I miała je moja żona.

Każdy z nas ma wady, bo jesteśmy ludźmi. Twój ojciec chciałby, abyśmy o tym zapomnieli.

Elita chciałaby, abyśmy żyli według jej reguł.

Robię kolejny krok do Mustang.

– Powiedziałaś mi, że daję ci nadzieję na inne życie, życie dla czegoś więcej, gdy

zwyciężymy w Instytucie na własnych zasadach. A potem stwierdziłaś, że odwróciłem się od tej idei, gdy przyjąłem patronat twojego ojca i poszedłem do Akademii. Ale nigdy się nie odwróciłem. Ani na chwilę. – Kolejny krok.

– Zniszczysz moją rodzinę, Darrow.

– To możliwe.

– To moja rodzina! – Jej twarz wykrzywia żal. – Mój ojciec powiesił twoją żonę. Powiesił

ją. Jak możesz choćby patrzeć na mnie?

Z drżeniem nabiera tchu.

– Czego chcesz, Darrow? Powiedz mi. Chcesz, żebym pomogła ci ich zabić? Chcesz, żebym pomogła ci zniszczyć *mój* lud?

– Nie chcę tego.

– Nie wiesz, czego chcesz.

– Nie chcę ludobójstwa.

– Ależ tak! – prychnął Mustang. – I dlaczego nie? Po tym, co zrobiliśmy twoim ludziom. Po tym, co mój

ojciec zrobił *tobie*.

Rozpina guzik żakietu, jakby to miało jej ułatwić oddychanie. Broń drży w jej dłoni. Palec napina się na spuście.

– Jak mogę z tym żyć? Jeżeli nie pociągnę za spust, zginą miliony.

– Jeżeli pociągniesz za spust, zgodzisz się na to, aby miliardy żyły w niewoli. Wyobraź

sobie nienarodzone jeszcze dzieci. Jeżeli nie ja, powstanie ktoś inny. Za dziesięć lat. Za pięćdziesiąt. Za tysiąc. Zerwiemy pęta bez względu na cenę. Nie powstrzymasz nas. Jesteśmy jak przyływ. I możesz się tylko modlić, żeby ten, który zajmie moje miejsce, nie był jak Titus.

Mustang kieruje miotacz na moje prawe oko.

– Pociągnij za spust, a umrzesz – Ragnar przemawia jak sama ciemność.

– Ragnarze, nie! – wybucham. Nawet go nie widzę w mroku szybu. – Stój! Nie waż się jej zranić.

Nie poleciał za sygnałem znacznika, jak mu kazałem. Jak długo słuchał?

– Cofnij się. – Mustang przesuwa się, żeby jej plecy znalazły się przy ścianie. – On też wie? Wiesz, kim jest Darrow, Ragnarze?

– Kosiarz mi ufa.

Mustang odrzuca latarkę i wyjmuje swoje ostrze.

– On nie przyszedł tutaj cię zabić, Mustang.

– A co innego miałby zrobić Skalany?

Unoszę rękę.

– Ragnar nie robi nic. Prawda, Ragnarze?

Żadnej odpowiedzi. Przelykam nerwowo. Wszystko się rozpada.

– Ragnarze, posłuchaj mnie...

– Nie wolno ci umrzeć, Kosiarzu. Jesteś zbyt ważny dla ludzi. Pani z rodu Augustus, zostało ci dziesięć oddechów.

– Ragnarze, proszę! – błagam. – Zaufaj mi. Proszę.

*Dziewięć.*



– Zaufałem ci nad rzeką, bracie. Nie zawsze masz rację. To cena śmiertelności. – Głos dochodzi z góry. Gdzieś ze sklepienia niedaleko mnie tym razem. Ragnar się nie myli. Zaufał

mi podczas oblężenia Agei, a ja wprowadziłem wszystkich w pułapkę. Ocalałem, bo miałem szczęście.

Śmiejąc się z goryczą, Mustang napina mięśnie do skoku.

– Widzisz, Darrow? Rozpętałeś tę wojnę, ale to bestie jak on zakończą ją i dokonają swojej zemsty.

*Siedem.*

– Nie chodzi o zemstę! – Próbuję się uspokoić. – Chodzi o sprawiedliwość. Chodzi o miłość przeciw imperium wzniesionemu na chciwości i okrucieństwie. Przypomnij sobie

Instytut. Uwalnialiśmy tych, których mieliśmy brać w niewolę. Obdarzyliśmy ich zaufaniem. I to właśnie jest lekcja, której musimy się nauczyć. *Zaufanie.*

*Pięć.*

– Darrow – wzdycha dziewczyna – jak możesz być tak głupi?

Podjęła już decyzję.

*Cztery.*

– Nadzieja nie jest głupotą. – Zdejmuję swoje ostrze i swój unipad, a potem rzucam je na ziemię i opadam na kolana. – Ale jeżeli ty nie potrafisz się zmienić, nikt inny tego nie dokona.

Zatem zabij mnie i niech świat pozostanie taki, jaki jest.

*Trzy.*

– Za wiele o mnie myślisz, Darrow.

– Dwa.

– Darujmy sobie grę wstępną, Ragnarze. – Mustang obraca ostrzem. Przerażający pomruk broni wypełnia tunel. – Podejdz do mnie, psie, i pokaż Darrowowi, po co żyje *twoja* rasa.

Cisza ciągnie się długo.

– *Jeden*. – Mustang z warknięciem rozgniała stopą latarkę. Żadnego światła, żadnych barw, tylko ciemność. Cisza staje się głębsza niż tunel. Meandruje przez serce Marsa, rozciąga się w wieczności, odbija echem od miejsc, do których trafili tylko zagubieni.

Ragnar rozbija ją swoim głosem.

– Żyję dla moich sióstr.

Nie ma błysku miotacza. Nie ma wizgu ostrza. Żadnego ruchu. Tylko echo słów zagłębiające się w mroku wśród resztek ciszy.

– Żyję dla moich braci.

Od Ragnara bije światło. Obsydian kroczy jak samowolny pielgrzym, białe światło lśni w szczelinach jego zbroi. Nie dostrzegam żadnej broni. Mustang napina się zaskoczona. Nic nie rozumie.

– Jestem i zawsze byłem synem ludu z Iglic Walkirii. Urodzony wolny z Alii Śnieżnej

Jaskółki na dzikim biegunie Marsa, na północ od Smoczego Grzbietu i na południe od Upadłego Miasta.

Przechodzi przed Mustang z opuszczonymi dłońmi.

– Czterdzieści cztery blizny otrzymałem dla Złotych, odkąd niewolnicy Płaczącego Słońca przybyli z gwiazd i zabrali moją rodzinę na Wyspę Łańcuchów. Siedem blizn od innych z mojej rasy, kiedy umieszczono mnie w nagoge, gdzie zostałem wyszkolony.

Kłęka u mojego boku.

– Jedną od mojej matki. Pięć od szponów potwora, który strzegł Wiedźmiego Szlaku. Sześć od kobiety, która uczyła mnie kochać. Jedną od mojego pierwszego pana. Piętnaście od ludzi i bestii na arenie dla przyjemności Pana Popiołów i jego gości. Dziewięć zyskałem dla

Kosiarza.

Ziemia wzdycha pod ciężarem jego kolan.

– Dla Złotych pochowałem trzy siostry. Jednego brata. Dwóch ojców. – Milknie ze smutku.

– Ale... dla nich nie otrzymałem ani jednej blizny.

W bladą poświatę jego zbroi czarne oczy Obsydiana płoną jak magiczne płomienie.

– Teraz żyję dla czegoś więcej.

Ragnar zamyka oczy i zdaje się na miłosierdzie Złotej. Ma wiarę, tak jak ja. Jak Eo miała wiarę we mnie. Jak Sevro i Tancerz oraz wielu innych.

Patrzę w oczy Mustang, może po raz ostatni, i wyobrażam sobie, że czuję to samo, co moi przodkowie, pierwsi pionierzy Marsa, gdy spoglądali za siebie przez ciemność na Ziemię. Z

Mustang miałbym dom. I miłość. Ale zatrąłem tę dziewczynę, odepchnąłem od siebie.

Wiedziałem, że taki koniec zawsze był nam przeznaczony. A jednak nadal mam nadzieję. Jak zdesperowane dziecko.

– A po co ty żyjesz? – pytam.

## *Rozdział pięćdziesiąty pierwszy*

### *Złoty syn*

Dziś mój Triumf.

Dzień jest rześki, niebo błękitne, a przez atmosferę przebijają gwiazdy. Stoję skąpany w złocie, z purpurową szarfą przecinającą mi tors. Nie mam nakrycia głowy, pod koniec procesji zostanie mi włożony na skronie laurowy wieniec. A pod koniec dnia otrzymam Maskę

Triumfatora, stworzoną przez Fioletowych, aby uczcić moje zwycięstwo.

Pod moimi stopami turkocze rydwan. Drewniane koła podskakują na bruku. Wśród płatków

róż. Wśród kwiatów haemanthusa. Wśród setek tysięcy kwiatów ciskanych z otwartych okien drapaczy chmur, wznoszących się na straży po obu stronach wielkiej alei. Ludzie machają.

Wyciągają ręce. Uśmiechają się radośnie. Tak wiele Kolorów. Stoją też na ulicy, wzdłuż trasy parady. Wiwatują na cześć tego, co mnie poprzedza – cudownego pochodu. Połykacze ognia.

Tancerki. Gryfy i smoki. Kilku ostatnich jeńców z Bellony. Głowy Imperatora Bellony, jego braci i siostr zatknięte na pikach. Pomimo że Augustus woli ascetyzm, jednak docenia, jak ważny jest przepych. Szturmowce przelatują nad głowami tłumów. Transportowce z jazgotem przecinają powietrze.

Augustus docenia też brutalność. Muchy brzęczą nad ściętymi głowami. I drażnią cztery białe konie, które ciągną mój rydwan przez szeroki bulwar na Pole Marsa, wyłożone białym kamieniem, rozciągające się przed terenami Cytadeli.

Macham do tłumów, unoszę ostrze slinga. Ludzi ogarnia szaleństwo. Ojcowie podnoszą

dzieci, wskazują mnie i mówią, że swoim dzieciom będą opowiadać, jak widziały na własne oczy mój Triumf. Rzucają liście figowe i wiwatują głośno. Niektórzy wspinają się na posągi i obeliski otaczające Pole, żeby mieć lepszy widok.

– Jesteś tylko śmiertelnikiem – szepcze mi do ucha Roque zgodnie z tradycją. Jedzie obok rydwanu na koniu.

– I wypierdkiem dziwki – dodaje głośno Sevro z drugiej strony.

– Tak – zgadza się z powagą Roque. – To też.

Szkoda, że u mego boku nie ma Mustang. Jej cicha siła pozwoliłaby łatwiej znieść te

spojrzenia i wiwaty. W tłumie klaszczą Czerwoni. Wrzeszczą i śmieją się, doskonałe ofiary ekip rozrywkowych Elity. Wierzą w kłamstwo chwalebnej wojny i wspaniałość Złotych.

Miliony będą oglądać moje spadanie w Stalowym Deszczu, przynajmniej do momentu, gdy

impuls elektromagnetyczny nie zniszczył mojej kamery. Ale Fitchner schował nagranie, jak zabijam Karnusa.

Parada jest jak sen. Wyczarowana złuda. Przeplýwam przez nią, wiedząc, jak niewiele

znaczy. Moi przyjaciele są za mną i u mego boku. Wszyscy ci, których nazywam porucznikami.

Uśmiechają się do mnie. Kochają mnie. A ja wiodę ich z nadzieją na ruinę. Wszystko to kiedyś wydawało się wartościowe. Ale gdy przeniesiemy wojnę na Księżyc, co wtedy? Jeszcze

więcej kłamstw. Więcej śmierci. Więcej niemożliwych planów.

I co zrobi Mustang? Nie pojawiła się w Agei po tym, jak odwróciła się i wyszła z kopalni.

Fitchner jest bliski obłądu ze zmartwienia. Mustang zmieniła się w topór wiszący nad moją głową. W każdej chwili może podpisać na mnie wyrok śmierci. Może już to zrobiła. Może to jakiś wielki podstęp. Może jej ojciec już wie.

Szakał zauważył jej nieobecność w Cytadeli, kiedy przyszedł zeszłej nocy, przed

Triumfem. Powiedziałem mu, że pokłóciliśmy się o ich ojca.

– Nic zaskakującego – westchnął. – Po prostu nie pozwól mu wejść między was tak, jak

stanął między mną i nią, gdy byliśmy dziećmi.

Poklepał mnie przyjaźnie po ramieniu, a potem nalał nam dość trunków, żebym rano

obudził się z tępy bólem głowy, który jeszcze pulsuje mi za lewym okiem. Przysięgam sobie, że nigdy już nie będę pił.

Victra jedzie obok Roque'a i Lorna. Rozgląda się z zadowoleniem, pławi w słońcu i

uroczystościach. Przeciągnęła swoją matkę do stada Augustusa wraz z Antonią, która podobno pomogła odbić Tesaloniki z rąk Bellony. Trudno się zorientować, po której stronie są siostra i matka Victry. Ale sama Victra była lojalna, jak każdy. Posyła mi pocałunek.

Wyjce truchtają za nią, o połowę mniej liczne niż na początku. Telemanusowie obiecali, że przyprawdzą im nowych rekrutów. Za nimi jadą tuziny Pretorów i Legatów, którzy

prowadzili armię. A dalej maszerują tysiące Szarych i śpiewają pieśni o moich czynach. Dalej stępują legiony Obsydianów. To naprawdę potężna uroczystość – nie tylko dla mnie w

naprawdę, lecz także dla zaznaczenia początku nowej epoki. Teraz Układem Słonecznym rządzi Mars, nie Księżyc.

Fitchnera tu nie ma. Powinien być. Szukam go na szczycie ogromnych białych schodów,

wiodących na tereny Cytadeli. ArcyGubernator i jego świta stoją tam z dziesiątkami naszych sojuszników. Stoi tam także chuda jak szkielet i łyśa Biała, która trzyma laurowy wieniec.

Wysiadam z rydwanu i wspinam się po schodach ze swoimi porucznikami u boku. Nad

placem zapada cisza. Moja purpurowa peleryna łopocze na wietrze. Miasto pachnie płatkami róż i końskim nawozem. Augustus występuje przed innymi.

– Stalowy Deszcz został przywołany – oznajmia.

– I na wołanie nadeszła odpowiedź – odpowiadam. Mój wzmocniony głos niesie się echem

jak grzmot nad miastem. Ci, którzy spadli w Deszczu, odpowiadają dzikim rykiem. Biała podchodzi. Twarz ma pobrużdżoną po wielu latach wydawania wyroków na przestępców.

Zamglone, białe oczy, wpatrzone w przeszłość, lśnią łagodną troską.

– Synu Marsa. – Jej głos brzmi melodyjnie i sennie. – Dzisiaj nosisz purpurę jak etruscy królowie z dawnych czasów. Zapiszesz się w historii obok nich. Dołączysz do mężczyzn, którzy zniszczyli Imperium Wschodzącego Słońca. Do kobiet, które utopiły Sojusz Atlantycki w oceanie. Jesteś Zdobywcą. Przyjmij ten laur jako świadectwo swojej chwały.

Zakłada mi wieniec. Sevro obok mnie prychna.

Biała mówi dalej, kwieciście opowiada o mojej chwale przez całe popołudnie. Słońce

zachodzi, gdy wreszcie przemowa dobiega końca. Zaczynam rozumieć, po co robi się takie przedstawienia. Po co te oracje i posągi. Tradycja to korona tyranów. Zerkam na Żółtych, na ich odznaki, Sigile i sztandary, wszystko służące uprawomocnieniu skorumpowanej władzy i podzieleniu ludzi. Niech maluczkiem wydaje się, że patrzą na kogoś znajdującego się poza granicami ich pojmowania. Szakal chyba odczytuje moje myśli, ponieważ przewraca oczami na tę farsę. Wkrótce potem rozbrzmiewają ostatnie słowa.

– *Per aspera...* – Ciało Białej drży z wysiłku. Augustus podnosi rękę i kryształowy obelisk na cześć zwycięstwa w oblężeniu Marsa unosi się na antygravitatorach. Trzeszcząc,

przemieszcza się pięćdziesiąt metrów nad ziemią. Będzie się tak unosił, dopóki podczas następnego Triumfu jego miejsca nie zajmie kolejny monument, a wtedy ten stanie obok innych wokół placu. Dla mnie to tylko nagrobek dla milionów, które zginęły.

– ... *ad astra!* – ryczy tłum.

Pozostaję na schodach, gdy rozpoczyna się świętowanie na Polu Marsa. Złoci rozchodzą się po Cytadeli, udają się na prywatną ucztę. Augustus stoi obok mnie i obserwuje. Za nami słońce jak z brązu zachodzi nad jego miastem, a nasze cienie padają na niższe Kolory

zgrupowane na placu.

– Przejdź się ze mną – rozkazuje.

Idziemy w otoczeniu strażników. Ogarnia mnie niepokój, gdy widzę, jak zacieśniają wokół

nas krąg. Augustus rozmawiał ze swoją córką. I wie. Oczywiście, że wie. Mam ostrze, ale brakuje mi butów grawitacyjnych, a lekka zbroja jest przeznaczona tylko na potrzeby

uroczystości. Ilu Obsydianów zdołam zabić, zanim zmiążdżą mnie choćby liczebnością?

Niewielu.

I wtedy dociera do mnie, gdzie idziemy. Niemal wybucham śmiechem z własnej głupoty.

Sala tronowa spowita jest łuną zachodzącego słońca. Wygląda, jakby płonęła. Szklany sufit wznosi się na sto metrów, wsparty na marmurowych kolumnach. W tej ogromnej przestrzeni słychać brzęczenie jonowych pił, młotów i cichy pomruk siedmiu jonowych skalpeli przy kawałku onyksu dwukrotnie wyższym ode mnie.

– Precz – rozkazuje Augustus.

Fioletowi ześlizgują się z rusztowań przy onyksowym bloku i znikają z Pomarańczowymi

monterami i Czerwonymi robotnikami. Strażnicy Augustusa również wychodzą. Nasze kroki odbijają

się echem w pustej sali – samotny rytmiczny dźwięk w tej przestrzeni.

Czyli Nero nie zamierza mnie jednak zabić.

– Robią ci tron – stwierdzam. Podchodzę do bloku onyksu, żeby go dotknąć. Oddycham

głęboko, aby pozbyć się napięcia. Łapa lwa wynurza się z prawej strony podstawy. Po lewej widać już ogon owinięty wokół drugiej łapy.

– Złamałeś prawo, Darrow – mówi Augustus za moimi plecami. – Dałeś Obsydianowym ostrza. Broń naszych przodków w rękach jedyne Koloru, który zbuntował się przeciw nam.

– I to wszystko? – pytam z ulgą. – Zrobiłem, co musiałem.

– Rycerz Olimpijski został zabity przez twojego strażnika. Upubliczniono to.

– Gdyby Ragnar nie zdobył muru, przegralibyśmy, a ty, panie mój, byłbyś uwięziony lub zabity na oczach tłumów. Wiesz to lepiej ode mnie. Ragnar ma moje poparcie.

– Ojciec uczył mnie, że pytać innych, co o mnie myślą, to słabość. – Augustus zakłada ręce za plecami. – Ale muszę. Myślisz, że jestem zimnym potworem?

Odwracam się, żeby na niego spojrzeć.

– Bez wątpienia.

– Szczerść. – Nero unosi wzrok na sklepienie. – Można by pomyśleć, że będzie się odbijać innym echem niż reszta tego gówna. To, jaki jestem, Darrow, wynika z konieczności.

Jestem siłą korygującą tych, którzy się mylą. Powiedz mi, dlaczego dałeś Obsydianowi ostrze?

Dlaczego nakłaniasz PodKolory, aby podniosły bunt? Dlaczego pozwalasz, aby Niebieska prowadziła twój okręt, choć powinna jedynie wykonywać rozkazy, gdy nim steruje?

– Ponieważ potrafią zrobić to, czego ja nie umiem.

Augustus kiwa głową, jakbym potwierdził jego domysły.

– I właśnie dlatego istnieję ja. Wiem, że Niebiescy mogą dowodzić flotą. Wiem, że

Obsydianowi mogą używać technologii i dowodzić oddziałami. Najszybsi z Pomarańczowych, gdyby dać im szansę, byliby dobrymi pilotami. Czerwoni mogliby zostać żołnierzami albo muzykami czy księgowymi. Założę się, że niektórzy ze Srebrnych umieliby napisać powieść.

Ale wiem, jaką się za to płaci cenę. Porządek jest niezbędny dla naszego przetrwania.

Ludzkość pochodzi z piekła, Darrow. Złoci nie powstali przez przypadek. Pojawiliśmy się z konieczności. Narodziliśmy się z chaosu wśród rasy, która pożerała swoją planetę, zamiast inwestować w przyszłość. Przedkładała przyjemności nad wszystko inne, nie liczyła się z konsekwencjami. Najwybitniejsze umysły zniewolone były ekonomią, która żądała zabawek zamiast podboju kosmosu lub technologii do zrewolucjonizowania naszej rasy. Tworzyli

roboty, likwidowali etykę pracy ludzkości, tworzyli generacje utytułowanych pasożytów.

Kraje ukrywały swoje bogactwa z wzajemnej podejrzliwości. Powstało dwadzieścia różnych frakcji dysponujących bronią jądrową. Dwadzieścia – każda rządzona przez chciwość lub fanatyzm.

Spogląda na mnie przenikliwie.

– Kiedy podbiliśmy ludzkość, nie uczyniliśmy tego z chciwości. Ani dla chwały.

Musieliśmy ocalić nasz gatunek. Musieliśmy opanować chaos, wprowadzić porządek i

rozwinąć ludzkość w jednym celu – aby zapewnić sobie przyszłość. Kolory to podstawa tego celu. Jeżeli pozwoli się, aby hierarchia uległa zmianie, porządek zacznie się chwiać. To nie ludzkość jako całość aspiruje do wielkości. Poszczególni ludzie aspirują do wielkości.

– Złoci dążą do wielkości, a my zmuszamy Kolory do wojny – stwierdzam, przysiadłszy na czarnej łapie lwa. Augustus nie ruszył się z miejsca na środku sali.

– A jednak są ludzie tacy jak ja – odpowiada z taką szczerością, że niemal mu wierzę. –

Nie walczę tak naprawdę dlatego, że chcę być królem, imperatorem czy nosić inny tytuł, który pojawi się w historycznych tekstach przy moim imieniu. Wszechświat nas nie dostrzega, Darrow. Na koniec życia nie ma nadprzyrodzonej istoty, która czeka, aż ostatni człowiek wyda ostatnie tchnienie. Człowiek umiera. Akceptuje się to zawsze i nigdy nie dyskutuje. A wszechświat istnieje i nic go to nie obchodzi.

Augustus znowu spogląda w sklepienie.

– Nie pozwolę, żeby tak się stało, ponieważ wierzę w człowieka. Sprawię, że będziemy

istnieć wiecznie. Poprowadzę nas poza Układ Słoneczny, do obcych gwiazd. Poszukamy

nowego życia. Jako gatunek jesteśmy jeszcze dziećmi. Ale sprawię, że człowiek stanie się niezbędnym elementem wszechświata, nie tylko bakterią, która pojawia się i znika

niezauważona i zapomniana. Dlatego wiem, jak należy żyć. I dlatego uważam, że twoje

młodzieńcze idee są tak niebezpieczne.

Jego umysł jest ogromny. Świat poza moim. I może po raz pierwszy naprawdę rozumiem,



jak ten człowiek może działać. Nie ma w nim moralności. Ani boskości. Nie było złych

intencji, gdy zabił Eo. On po prostu wierzy, że jest poza moralnością. Jego aspiracje są tak wielkie, że stał się nieludzki w swoim rozpaczliwym pragnieniu ocalenia ludzkości.

Dziwnie jest patrzeć na jego sztywną, zimną postać i znać wszystkie te dzikie marzenia płonące w jego sercu i umyśle.

– A to wszystko, co powiedziałeś? Wszystko, co zrobiłeś? – pytam, myśląc o jego

pierwszej żonie, której usta wypchał winogronami. – Przyjmowałeś rady od tej kreatury, Pliniusza. Zrzuciłeś bomby na niewinnych cywilów, którzy nie złamali żadnego prawa.

Pozwoliłeś na wojnę domową... i twierdzisz, że próbujesz ocalić ludzkość?

– Robię, co muszę, żeby ocalić większe dobro.

Ocalić siebie. I swoje zyski.

– Ocalić ludzkość – powtarzam.

– Tak.

– Osiemnaście miliardów istnień żyje w całym Imperium. Ilu ludzi chcesz zabić, aby ocalić całość? Miliard? Dziesięć miliardów?

– Liczba nie zmienia konieczności.

– Piętnaście miliardów? – pytam. Czerwona czy Żłota cząstka mej duszy jest wstrząśnięta.

– Ktoś musi dokonywać takich wyborów. Reszta naszej rasy staje się codziennie bardziej chora. Pixie gonią za przyjemnościami zamiast osiągnięciami, podczas gdy Naznaczeni tak bardzo pożądamy władzy, że są gotowi mordować własnych rodziców, byle przejąć tron. Jak Władczyni. Trzeba nad tym zapanować.

– I ty to uczynisz.

– My. – Nawet nie drgnie mu powieka, gdy na mnie patrzy. – My – powtarza. –

Traktowałem cię źle, ponieważ obawiałem się twojej zapalczowości, twojej impulsywności.

Ale obiecałem, że to zmienię, i tak się stanie, ponieważ udowodniłeś, że potrafisz dorosnąć, umiesz się uczyć. Zostań moim dziedzicem. Nie moim Pretorem. Mam dość dowódców. Ale

potrzebuję... *chcę* mieć syna.

– Masz syna.

– Mam pasożyta, który pragnie mojej władzy. I tyle. Nie zrobiłby z niej żadnego użytku.

Nie posiada żadnego planu, gdyby ją przejął. On po prostu pragnie jak cała Elita, bo tego właśnie go nauczyła. – Na twarzy Nerona au Augustusa pojawia się zaciekawienie. – A jednak to był jego pomysł. Masz jego błogosławieństwo.

Bez wątpienia Szakal dał mi błogosławieństwo. A ponieważ znam swojego sojusznika, zastanawiam się, ile mnie to będzie kosztowało. Szakal jest biznesmenem. Będzie chciał zwrotu swojej inwestycji. Zwłaszcza tej inwestycji. Powinien był mnie uprzedzić.

– A co z Virginią? Nie potrzebujesz, żeby twój dziedzic był mężczyzną.

– Ale chcę. I chcę cię dla Virginii. Będziesz mężem, który sprosta jej umysłowi.

– Wykorzystujesz mnie. – Naraz udaje mi się przejrzeć plan. – Przywiążę ją do ciebie.

Zwłaszcza jeżeli się pobierzemy. Obaj wiemy, że nie chcesz reform.

Nawet teraz reformatorzy z całej Elity ściągają na Marsa, aby zjednoczyć się pod dowództwem człowieka, który obiecał, że da im Senat, kiedy pokona Władczynię i jej sojuszników.

– Reformatorzy to rak.

– Ale obiecałem im, że...

– Obietnice były konieczne, aby uzyskać ich wsparcie. Kiedy pokonamy Octavię, wtrącę reformatorów do więzienia albo skazę na śmierć za zdradę.

– Mustang nigdy ci tego nie wybaczy. Ona wierzy, że się zmieniłeś. Nie wiem, o czym z nią rozmawiałeś i co obiecałeś, ale dałeś jej nadzieję, że się zmienisz.

Może Mustang nie wybaczy żadnemu z nas.

– Będziesz musiał ją przekonać, gdy zostaniesz członkiem rodziny, Darrow. Podejrzewam, że do tego czasu będziecie już po ślubie i Virginia nie opuści cię, pomimo nienawiści do mnie.

Nasza rodzina pozostanie silna, jak należy. Ale ty musisz być zawsze mój. Odpowiadać przede mną. Nie przed moimi dziećmi.

Robi krok w moim kierunku.

– Octavia wiedzie ludzkość na powolną zgubę. Reformatorzy jak Synowie Aresa wbijają nas w glebę z prędkością tysiąca kilometrów na sekundę. Musimy chronić nasz gatunek. Pomóż mi. Augustus to szlachetny człowiek, który robi to, co w jego przekonaniu jest najlepsze dla ludzkości. Niech go szlag.

Nigdy nie prosiliśmy, żeby giąć karki. Kim on jest, żeby mówić, że Czerwoni i Brązowi mają harować na śmierć w imię wyższych celów? Kim on jest, żeby twierdzić, że Różowe dzieci powinny być zabierane i gwałcone, a Obsydiani i Szarzy mają ginąć w bitwach... Bo taka jest konieczność? Jak ten człowiek może stać tutaj i twierdzić, że tylko on wie, co jest dla mnie najlepsze, co jest najlepsze dla mojej rodziny? Nie ma prawa. Tak samo jak nie miał prawa wkroczyć do mojego świata i odebrać mi Eo. A jeżeli mu się wydaje, że władza daje mu takie prawo, to moim cholernym prawem jest od razu ściąć mu głowę.

Lecz zamiast tego wstaję i podchodzę. Klękam, ujmuję jego rękę i całuję cholerny sygnet ze znakiem lwa.

– Jak sobie życzysz, *panie mój*.

Jego zaciśnięte usta wykrzywia drapieżny uśmiech.

– Mów mi „ojcze”.

– Postaraj się nie wyglądać na zadowolonego z siebie jak szlag – mówi do mnie Lorn.

Stoimy pośród przyprószonych bielą ogrodów Cytadeli. Wiatr kołysze dzwonekami zawieszonymi na drzewach. To proste przyjęcie, nie tak spektakularne jak tamto na Księżycu.

Małe stoły ustawiono pod spowitymi bluszczem baldachimami. Różowi przygotowują je na ucztę. Na zielonych trawnikach wśród białych ścieżek Niezrównani Naznaczeni z kieliszkami szampana śmieją się i starają wyrzeć wrażenie na innych. W planowaniu czuć rękę Szakala.

Ma wyjątkowo dobry gust.

Na przyjęcie przyszło więcej dygnitarzy niż na uroczystości. Muszę ich witać wraz z Augustusem. Podchodzą do nas kolejno, oczywiście według hierarchii. Wkrótce mam dość ściskania rąk i wymiany uprzejmości, dlatego odnajduję Lorna pod smukłym białym drzewem. Arcos marszczy brwi, gdy przygląda się swojemu kieliszkowi, po czym wyrzuca go w krzaki.

– Ja też nie znoszę takich imprez – zapewniam. – Gdy tylko dostanę Maskę, Augustus chce, żebym porozmawiał z kilkoma panami księżyców. Ale potem pójdę spać.

Bez Mustang nie ma w tym dla mnie żadnej radości.

– Sam, jak widzę. Gdzie twoja dziewczyna? – Lorn mruży oczy. – Szukałem w każdym zakamarku.

– Nie wiem. – Wszyscy już zauważyli?

– Ach – mruży Arcos. – Kłótnia kochanków? Cóż, nie będę ci szeptał rad do ucha, ale jedno powiem: przełknij dumę. Ta dziewczyna to skarb, o ile zdołasz ją zatrzymać.

*O ile...*

– Cieszę się, że przyszedłeś. – Uśmiecham się. – Nawet jeżeli dajesz naprawdę główniane rady.

Lorn śmieje się, po czym skinieniem głowy wskazuje Szakala rozmawiającego z Rokiem i kilkoma Politykami z Ganimedesa.

– To dzięki twojemu przyjacielowi. Augustus jakoś zapomniał mnie zaprosić, chociaż moi ludzie zdobyli dla niego planetę. Dobre maniery są w dzisiejszych czasach tak łatwo

zapominane. A skoro już mowa o przyjęciach, myślisz, że jak długo będę musiał zostać, żeby moje wyjście nie było nieuprzejme?

– Nie ma nawet dziewiętej. I chyba za parę minut masz zaprezentować Maskę?

– Miałem nadzorować jej wykonanie, ale to było zbyt męczące zajęcie. Poprosiłem

twojego przyjaciela, Roque’a, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Właściwie to sam mnie poprosił. Bez różnicy.

– Żaden problem. To nawet jeszcze lepiej. – Wciąganie Roque’a do wszystkiego, co się da, jest teraz jak najbardziej pożądane. Muszę naprawić nasze stosunki, a publiczne okazywanie przyjaźni to dobry początek.

Lorn opiera się o drzewo.

– Moje stare kości trzeszczą nocą. Zamierzam sprawdzić ochronę, dzięki czemu nie będę musiał rozmawiać z żadnym z tych oślizgłych ludzi. – Przygląda się przelatującemu wysoko szturmowcowi.

– Niech ktoś inny się tym zajmie. – Różowa przynosi Lornowi szklaneczkę whiskey, którą zamówiłem. Jego ulubioną. Arcos wacha trunek. – Właściwie nie miałem okazji widzieć cię bez

zbroi. Zachowaj się jak prawdziwy mentor i zostań ze mną. Mamy dla ciebie dwie butelki Lagavulin.

– Znowu stosujesz swoje stare sztuczki. Dwie butelki za dwie dodatkowe godziny treningu, czy nie taka była umowa? Powinienem zażądać więcej, ha!

Oddała się, kulejąc, aby pograć ze swoimi wnukami pod drzewem. Przyglądam się

Różowej, która przyniosła whiskey. Kobieta właśnie znika w tłumie. Wydaje się jakoś znajoma.

Inna kobieta obejmuje mnie ramieniem. Odwracam się uradowany, ale okazuje się, że to tylko Victra. Nie zauważyła mojego rozczarowania.

– Naprawdę mam nadzieję, że Fioletowi ozdobią twoją maskę lwem, nie pegazem. –

Wybuchła śmiechem, widząc moją minę. – Tak, plotki już się rozeszły. Darrow au Augustus.

Wzdraga się z rozbawieniem.

– Kobiety będą walić drzwiami i oknami.

Przewracam oczami.

– Och, zamknij się.

– Zmusz mnie. – Przesuwa dłonią po moich plecach w dół. – Co za szkoda, że jesteś już zajęty.

W pobliżu przechodzi grupa młodych Niezrównanych z Gazowych Gigantów. Victra kiwa im głową, po czym przysuwa się do mnie bliżej.

– Ale czy to znaczy, że nie możesz się zabawić?

– Po prostu uwielbiasz sprawiać, że się rumienię.

Ściąga mi wieniec laurowy i zakłada sobie na głowę, po czym wykonuje drwiący dyg.

– Przejrzałeś mnie. A gdzie jest nasza mała Mustang?

– Dlaczego wszyscy są tak piekielnie ciekawi?

– Darrow. – Dołącza do nas Roque z beżową skrzynką dużą na tyle, by zmieściła Maskę

Triumfatora. Wygląda elegancko w czarnym uniformie Pretora i z przylizanymi włosami. –

Powinniśmy się zebrać na prezentację Maski. Wiesz gdzie? Trochę jestem zagubiony w tych uroczystościach.

Victra marszczy brwi.

– Personel Cytadeli nadal jest w rozsypce. Bellona władała tym miejscem przez miesiąc.

Adrius musiał przeczesać Różowych, żeby znaleźć szpiegów. Zwłaszcza po tym, co się stało w Attyce. Wszędzie porozstawiał swoich ludzi. Och, szlag, zaczyna się. – Wkłada mi wieniec laurowy z powrotem na skronie i ciągnie mnie na polanę, gdzie zbierają się Złoci. Sevro zastępuje mi drogę, przerywając nasz marsz.

– Darrow – mówi pośpiesznie, po czym spogląda na Victrę. – Idź sama.

Victra krzywi się, ale odchodzi.

– Lubisz ją – żartuję. – Widzę to.

Sevro ignoruje moje zaczepki.

– Wciąż go tu nie ma.

– Fitchnera? Wywoływałeś jego unipad?

– Nie odpowiada. Drań powiedział, że przyjdzie. Zatem jeżeli go tu nie ma, musiało się coś wydarzyć. Powinienem to wiedzieć.

– Sprawdź. – Chwytam jego ramię. – Ale weź Ragnara. I bądź ostrożny.

– Zawsze jestem ostrożny.

Dziwnie jest patrzeć na jego odejście. To jak obserwowanie odejścia swojego cienia i uświadomienie sobie, że jego przeznaczenie może być inne niż moje. W końcowym rozrachunku może się okazać, że Sevro jest ważniejszy niż ja. Prawdziwe dziecko dwóch światów.

Idę za tłumem między drzewa. Niewielkie latarnie ustawione wśród gałęzi zalewają

polanę ciepłą, białą poświatą. Nie ma tu Białych. Żadnych formalności. Zrozumiałe, że Triumf musiał odbyć się z przepychem. Tłum rozsuwa się, żeby mnie przepuścić. Przechodzę po

białych kamieniach do miejsca, gdzie Lorn bawi się z wnukami na skraju fontanny z delfinami.

Augustus wskazuje, abym stanął obok niego pod posągami ślepej dziewczyny trzymającej

wagę i miecz. Statuę spowija bluszcz. Dołącza do nas Szakał.

– Słyszałem, że mamy być braćmi – mówię mu.

– Cóż, kto powiedział, że rodziny nie można sobie wybrać? – odpowiada nieuważnie, zajęty swoim unipadem. – Lepiej ty niż ten drań Cassius.

– Jakiś problem? – pytam.

– Jeszcze więcej przeklętych zamówień. – Podnosi głowę znad wyświetlacza. – Wybacz.

Wszystko, co najlepsze na Marsie, mój dobry człowieku. Szkoda tylko, że mojej siostry tu nie ma. Wciąż nie wiesz, gdzie się podziała, prawda?

Wzdycham. Z każdą wzmianką Mustang staje się coraz bardziej odległa. Trzymam się nadziei, że jednak się pojawi. Zrobi wielkie wejście i wtedy będę wiedział, że wszystko jest dobrze. Niestety, nie wszystkie marzenia się spełniają.

– Proszę o uwagę, moi drodzy! – Głos Augustusa przebija się przez szmer rozmów. –

Dziękuję.

Augustus odchrząkuje i wita uprzejmie tak wielu gości Marsa, przechyla głowę do

ArcyGubernatora Trytona.

– Chociaż szkło lśni, a brzuchy mamy pełne, ta noc nie będzie trwała wiecznie. – Przygląda się gościom, a jego głos brzmi pewnie i oschle w wilgotnym powietrzu. Wśród drzew polatują świetliki. – Wiemy, że to tylko początek. Wojna będzie od nas wymagała wiele. Ale nie śpieszmy się i nie zapominajmy o zwycięstwie, które widzieliśmy zaledwie parę tygodni temu.

Był to triumf woli, lojalności i siły.

Spogląda na zebranych.

– Cały ten przepych parady był dla tłumów. Ciche chwile jak ta są dla nas. – Dotyka blizny na twarzy. – Gdzie my, pomimo dzielących nas różnic, możemy skinąć głowami i unieść

kielichy w toaście za wyjątkowe osiągnięcie i siłę woli. Nie było to dzieło jednej osoby. Ale Deszcz został przywołany przez jednego człowieka. Wznosimy zatem toast na twoją cześć, Darrow au Andromedusie.

– Niech żyje Kosiarz! – woła Lorn. Drwi ze mnie tylko trochę.

Zebrani unoszą kieliszki, powtarzają ciszej toast. I piją. Mam poczucie pustki, gdy patrzę w

lewo i widzę tam Szakala, nie Mustang. Uśmiechy wydają się fałszywe, zwłaszcza gdy się wie, że

wszystko zaraz się zawali. Victra zdaje się wyczuwać mój nastrój, bo mruga do mnie porozumiewawczo i unosi lampkę szampana.

Augustus skinieniem udziela głosu Roque'owi, który podchodzi z dużą skrzynką w ramionach. Podaje mi pakunek i kładzie rękę na pokrywie, żebym nie mógł go otworzyć.

– Ty i ja wiele razem przeszliśmy. – Jego głos jest spokojny i równy. – Tamtej nocy, gdy cię spotkałem, siedziałeś na podłodze zamku Marsa i patrzyłeś na swoje zakrwawione ręce.

Pamiętasz, co wtedy powiedziałem?

Jego druga dłoń dotyka mojego nadgarstka. Ten czuły gest przypomina przeszłość, gdy nasze ręce miały mniej odcisków i mniej blizn.

– Oczywiście. „Jeśli rzucą cię na głęboką wodę, a ty nie umiesz pływać, utoniesz. Więc pływaj, dobrze?” – recytuję. – Nigdy bym nie zapomniał.

– Daleko zaszliśmy. – Jego spojrzenie przesuwają się po mojej twarzy, odnajduje każdą bruzdę, każdą niedoskonałość. Przekrzywiam głowę, zastanawiając się, czego szuka. –

Zapłaciłbym tysiąc razy więcej, niż wart byłby twój kontrakt, byle cię chronić.

– Wiem, Roque.

– Umarłbym za ciebie tysiące razy, bo byłeś moim przyjacielem.

„Byłeś”. Ton jego głosu sprawia, że zaczynam się rozglądać. Za jego plecami widzę Victrę szepczącą coś zabawnego Antonii i ich chudej jak szkielet matce. Lorn podaje wnukom

talerzyki z ciastem przyniesionym przez niskiego Różowego. Kiedy jednak kelner się odwraca, zamieram. Ten ruch jest wyniosły. Władczy. Żaden Różowy nigdy się tak nie poruszał. Ten człowiek wypadł z roli tylko na okamgnienie. Ale ja znam ten ruch. I znam tego człowieka. To Vixus. To musi być on. Przenoszę wzrok na Różową, która przyniosła Lornowi whiskey.

*Lilath*. Dziewczyna Szakala, która nosiła kości wplecione we włosy. I która trzymała z Belloną. Są przebrani za Różowych. Złoci w cybermaskach i szklach kontaktowych.

Wilki przebrane za owce.

Cofam się od Roque'a, już chcę krzyknąć, ale wtedy czuję uścisk jego palców i

uświadamiam sobie, że się żegnał. Igła w jego pierścieniu przebija mi nadgarstek. Łagodnie jak pocałunek, który składa mi na policzku.



– Do tego prowadzą kłamstwa. Do *cholernego* pocałunku.

Jednym słowem rozbija tysiące kłamstw.

Z twarzą zimniejszą niż marmurowe posągi za nami Roque cofa się i otwiera wieko

skrzynki. Z cichym zgrzytem srebrnych zawiasów mój świat się kończy. Augustus ze zgrozą nabiera tchu na widok tego, co znajduje się w środku. A o stopę dalej Szakal z oczyma pełnymi nienawiści, skrywanej tak długo, uśmiecha się do mnie i odchyła głowę jak zwierzę, które zaraz zacznie szaleńczo i drwiąco wyć.

Oto znak końca.

Victra sięga po swoje ostrze. Antonia cofa się, chwytając miotacz z tacy kelnera i strzela dwa razy siostrze w plecy. Potem jeszcze dwa razy w szyję matki, zanim ktoś zdąży się choć poruszyć.

– Arcosie! – krzyczy Augustus, wyszarpnąwszy ostrze. – Do broni!

– Wyjcie do mnie! – ryczy Lorn, odpychając swoje wnuki. – Chronić Kosiarza!

Za późno. Choć Lorn już sięga po broń, Lilath wyciąga spod tacy sztylet pulsacyjny i

przeciąga nim od tyłu po gardle fehmistrza. Lorn unosi dłoń, by zasłonić gardło przed ostrzem. Cztery palce spadają na trawę. Arcos wygina się, napiera na Lilath, złapawszy ją za

rękę zakrwawionym ramieniem. Ostrze mruczy. Jęczy. Cicha groza poprzedza chaos, który ogarnia polanę.

Trucizna rozchodzi mi się w ciele.

Opadam na ziemię ze skrzynią na kolanach.

Opieram się o ślepą postać dziewczyny z pomnika.

Sparaliżowany.

Szakal prześlizguje się przez środek zamieszania jak gad po lodzie. Przygląda się ciosom i rzezi. I wtedy znajduje Lorna wciąż walczącego z Lilath, która próbuje podciąć mu gardło.

Lornowi udało się złapać odłamek stłuczonej szklanki i właśnie sięga nim do nogi dziewczyny, kiedy Szakal pochyla się, patrzy uważnie, a potem powoli wbija Arcosowi ostrze w brzuch.

– To nieprawda. Twoja skóra nie jest z kamienia.

Twarz Lorna wykrzywia grymas strachu, gdy Szakal wyjmuje ostrze. Mój nauczyciel

szermierki obraca wzrok na mnie, potem na wnuki. Próbuje wstać, próbuje wykrzesać z siebie ostatki

wściekłości. Próbuje coś powiedzieć. Ale ciało go zawodzi. Lorn au Arcos nigdy już nie zobaczy swojej wyspy. Nigdy nie pogłaszcze swojego gryfa. Nigdy nie usłyszy śmiechu swoich wnuków ani nie spotka Lysandra. Ja mu to uczyniłem. Sprowadziłem go tutaj z dalekiej wyspy spokoju, którego tak pragnął, choć wiedział, że nigdy na spokój nie zasłuży. I wkrótce jego oczy stają się puste. Szakał cofa ostrze, a Lilath kończy swoje zadanie długim, powolnym cięciem.

Wyrywa mi się jęk. Tylko tyle mogę zrobić. Ślina spływa do gardła. Victra czołga się do mnie, ciągnąc za sobą krwawy ślad. Wśród tej krwawej jatkii Roque stoi nieruchomo jak

posąg. Odległy.

W oddali słychać wizg broni pulsacyjnej. Grzmot przetacza się przez niebo, a potem cienie opadają niżej, przebijając barierę dźwięku. Przybywa zamaskowany statek. Wślizguje się przez ochronę. Gdzie są patrole?

Obsydiani i Pretorianie lądują na środku polany. Ich buty łomoczą o kamienie. Ścigają tych, którym udało się umknąć z ogrodu, polują ze spokojną ergonomią. Antonia kieruje rzezią, zabija dziedziców, przerywa linie krwi sięgające w przeszłość o pół tysiąclecia. Bierze zakładników. Lilath śmieje się z Vixusem. Oboje zdjęli już elektroniczne cybermaski i rozpuścili złote włosy. Za nimi ląduje Aja w pełnej chwale – jej zbroja błyszczy w świetle latarń. Rozgląda się po krwawym polu walki z mroczną satysfakcją. Ledwie ją jednak

dostrzegam, bo mój wzrok przyciąga stary przyjaciel u jej boku. Cassius.

– Virginia? – pyta.

– Obawiam się, że zniknęła – odpowiada Szakał.

– Ostrzeżona?

– Rozzłoszczona. Sprzeczka kochanków.

Victrze udaje się dopełnić do mojej kostki. Śliska krew znaczy jej drogę od miejsca, gdzie dziewczyna została postrzelona, do tego, gdzie się właśnie kuli. Na ustach ma czerwień.

Nie czuję dotyku ręki.

– Nie wiedziałam – szepcze Victra. – Darrow, nie wiedziałam.

Aja pochyla się nad ciałem Lorna, zabiera ostrze owinięte wokół jego pasa i zamyka oczy swojego mentora na wieki. Arcos nie zdążył nawet wyjąć broni. Cassius podchodzi bliżej, zatrzymuje się u moich stóp, po czym przykłada, żeby mi się przyjrzeć.

– Może się ruszać, poeto? – pyta Roque’a.

– Nie. Ale wszystko słyszy.

– Zamordowałeś moją rodzinę, Darrow. Wszystkich. Ja i Julian to jedna sprawa, ale dzieci? Jak mogłeś? – Nie wiem, o czym on mówi. – Znajdę Sevra. Znajdę Mustang. Nie

będzie litości.

Dotyka emaliowanej rękojeści swojego ostrza nowym ramieniem.

– Nie możesz go zabić. Wiesz, czym jest. – Roque kładzie rękę na plecach Cassiusa. –

Rozkazy Władczyni były jasne, Cassiusie.

– Rozczłonkowanie – mruczy Cassius. Patrzy na mnie i wydaje się, jakby czas, gdy ten

człowiek nazywał mnie bratem, nigdy nie istniał. Nigdy nie było nadziei, że możemy stać się tacy, jak teraz. Sięga sztywno do mojej dłoni. Przez chwilę myślę, że chce ją uścisnąć, ale Cassius kradnie mi pierścień, na który zasłużyłem. Żelazny wilk, którego dostałem za zabicie Juliana. Palec jest bez tego kawałka metalu jak nagi.

Podnosi się i staje znowu nade mną, bardziej jak piękny sęp niż orzeł.

– Julian. Lea. Pax. Quinn. Chwast. Harpia. Ciemnogrzbiet. Tactus. Lorn. Victra. Oni

wszyscy zasłużyli na coś lepszego, niż umrzeć za niewolnika.

I z tymi słowy zostawia mnie i Roque’a.

Świat jest cichy, oprócz szlochów i wycia syren. Obok mnie Victra patrzy na odejście

Cassiusa, a wraz z krwią uchodzi jej życie. Bystre oczy unoszą się na mnie zagubione.

– Musimy się śpieszyć – warczy Aja na środku masakry. – Wiedzą, że tu jesteśmy. Zabierz swojego ojca i ruszajmy.

Szakał kiwa głową.

– Jeszcze chwila, jeśli pozwolisz.

Parę metrów dalej Augustus leży przyciśnięty do ziemi przez trzech kelnerów. Podnoszą go, gdy zbliża się Szakał, przestępując przez zakrwawione ciało Lorna.

– Nie podoba ci się maska, Darrow? – woła do mnie. – Zrobiłem ją specjalnie dla ciebie po tym, jak ujawniłeś swoje prawdziwe oblicze w Attyce.

Po czym odwraca się do swojego ojca.

– Co myślisz, ojcze? Czy ten spisek godny jest naszego rodu?

– Ty potworze. – Augustus pluje mu w twarz. – Coś ty zrobił?

– Nie jesteś dumny? – Szakal wyciera ślinę i spogląda na wilgotny ślad. – Szlag.

– Przestań. Synu mój, właśnie nas zrujnowałeś.

– Adriusie – odzywa się Aja ze zniecierpliwieniem – musimy ruszać.

Szakal podchodzi bliżej.

– *Teraz nazywasz mnie synem?* – Cmoka z dezaprobatą i poprawia ojcu poły marynarki. –

Czy byłem twoim synem, gdy położyłeś mnie na skale, aby zabrały mnie żywioły? Trzy dni. A byłem tylko dzieckiem. Zarząd nawet nie chciał ekspozycji. Ale ty uważałeś, że jestem tak słaby, a Claudius tak silny. Czy był równie silny, kiedy posłałem Karnusa, aby wbił go w ziemię?

Usta jego ojca drżą.

– Co?

– Zapłaciłem Karnusowi au Bellonie siedem milionów kredytów i dałem mu sześć

Różowych, aby zhańbił dziewczynę Claudiusa. Wiedziałem, że honor doprowadzi Claudiusa na pojedynek. A najzabawniejsze jest to... że zapłaciłem za to twoimi pieniędzmi. Poprosiłem o nie, żebym mógł *zainwestować w swoją przyszłość*. I tak zrobiłem. – Marszczy brwi. –

Ojczy, naprawdę myślałeś, że dziesięciolatka obchodzi rynek Srebrnych? Powinieneś był

poświęcić mi więcej uwagi.

– Zabiłeś Claudiusa. – Głos Augustusa załamuje się i rwie, mężczyzna chwieje się w uścisku przytrzymujących go oprawców, trzęsie się ze smutku. – Zabiłeś mojego chłopca.

To złamie Mustang serce.

– *Ja jestem twoim chłopcem* – syczy Szakal. – Byłem *dobrym* synem. *Czcilem cię*. Bałem się ciebie. Byłem ci posłuszny. Uczyłem się tego, czego chciałeś, abym się nauczył. Szedłem tam, gdzie kazałeś mi iść. Robiłem tylko to, czego sobie życzyłeś. A jednak to nie wystarczało.

Augustus potrząsa głową, gdy powraca mu gniew. Szarpie się, gdy Pretorianie zapinają mu na rękach magnetyczne kajdany. Augustus podnosi wzrok, aby spojrzeć na potwora, którego stworzył.

– Powinienem był cię udusić w kołysce.

– Ależ, ojczy...

– Nie jesteś moim synem.

Adrius krzywi się. Tymi krótkimi słowami Augustus uwolnił coś. I cząstka Adriusa, która skrywała

jeszcze resztki nadziei, że może być kochany, zniknęła. Młodzieniec strząsa z siebie człowieczeństwo, pozostaje tylko Szakal.

– *Żegnaj, nadziejo, więc, a wraz z nadzieją / Żegnaj, mój lęku, żegnajcie, wyrzuty: /*

*Dobro wszelakie jest dla mnie stracone* – szepcze do odległej, zanikającej części siebie, gdy unosi leniwie miotacz do czoła ojca. – *Zło, będziesz moim dobrem.*

– Stój – próbuje powstrzymać go Aja. – Adriusie! W imię Władczyni...

Szakal strzela ojcu w głowę.

Zabójca Eo opada na ziemię, a ja czuję pustkę otwierającą mi się w sercu. Śmierć rodzi śmierć, która rodzi śmierć, która rodzi śmierć. Właśnie przed tym ostrzegał mnie Tancerz.

Dlatego Mustang powtarzała, abym nie ufał jej bratu. Właśnie dlatego moi przyjaciele zginą.

Właśnie dlatego ja też zginę. Ponieważ nie potrafię dorównać temu złu.

A kto może?

– Ty głupi mały wężu! – krzyczy Aja. – Władczyni potrzebowała go, żeby przemówić do

Zewnętrznego Obrzeża! Niech to szlag!

Spogląda w niebo. Płomienie przecinają rozgwieżdżony mrok. Ktoś uzbrojony nadlatuje z górnych warstw atmosfery. Broń pulsacyjna wywołuje jasne eksplozje wokół Cytadeli, gdy Pretorianie napotyka ją na odsiecz śpieszącą do Augustusa i Lorna.

– Dałem ci główną nagrodę. – Szakal wskazuje na mnie. – Przestań więc jęczeć.

Włącza swój unipad i wskazuje na smugi płomieni.

– Nadchodzą Telemanusowie. Jeżeli nie chcesz się z nimi bawić, doradzam odwrót.

Cassius przytakuje.

– Lorn i Augustus nie żyją. Ich armia się rozpadnie.

Aja rozkazuje swoim Pretorianom wracać do promu. Paru podchodzi, aby mnie podnieść.

Dłoń Victry na mojej kostce staje się bezwładna. Oczy dziewczyny są już zamknięte.

– *Roque...* – szepczę przez sztywność wywołaną trucizną. – *Bracie...*

– Nie, nie – odpowiada łagodnie. Nie jest potworem, tylko sobą, tylko cichym i

zamyślonym, choć straszliwym w swoim smutku poetą. – Jesteś synem Czerwonych. Ja synem

Złoty. Ten świat, w którym byliśmy braćmi, jest zgubiony.

Ale pochyla się blisko, przyklęka i sięga smukłymi dłońmi, aby przechylić skrzynię na moich kolanach i pokazać mi zawartość.

– A w tym świecie władza Złoty nigdy nie zniknie.

Patrzę do skrzynki i serce mi zamiera.

Wszystko, co miało być, wszystko, co było, rozpada się w pył. Marzenie Eo pochłania mrok. Gdziekolwiek jesteście, Sevro, Mustang, Ragnarze, nie wracajcie do tego świata. Tutaj jest zbyt wiele bólu. Zbyt wiele smutku, aby udało się cokolwiek naprawić.

Spoglądam do skrzyni, a z wnętrza patrzy na mnie Fitchner, jego odciętej głowie

wydłubano oczy, a do ust wciśnięto winogrona. Ares, jedyna nadzieja, jaką mieliśmy, jedyny człowiek, który pomógł mi się podnieść, gdy byłem załamany, i dał mi szansę na coś lepszego niż zemsta, został zamordowany.

I już wiem, że jesteśmy zgubieni.

*W powieści wykorzystano fragmenty „Iliady” Homera w przekładzie Franciszka*

*Ksawerego Dmochowskiego oraz „Raju utraconego” Johna Milтона w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.*

*Podziękowania*

Mój ulubiony fragment z „Władcy Pierścieni” pojawia się, gdy Frodo już się poddaje w

swojej wędrówce, a Sam mówi do niego: „Nie mogę przejąć pańskiego brzemienia, ale pana mogę przecież nieść z nim razem!”[1].

Pisanie to niekiedy samotna wędrówka. Gubi się drogę. Wspina się na szczyt tylko po to, żeby sobie uświadomić, że to błąd i trzeba się cofnąć dwa razy dalej na bardziej zdradliwą ścieżkę. Często nie ma czarodzieja, który posłużyłby za przewodnika. I żadnych znaków poza tymi, które się wyczaruje samemu. Wszystko zależy od pisarza i bywa to zniechęcające, przynajmniej dla mnie. Ale chociaż przyjaciele i rodzina nie mogliby poprowadzić mnie przez tę opowieść, unosili mnie jednak swoją miłością i przyjaźnią. I uważam, że mam wielkie szczęście.

Mam też szczęście, że znalazłem tak dobre wydawnictwo jak Del Rey. Ani razu nie czułem, że tłamsi

się moją kreatywność. Ani razu nie podejrzewałem, że pracownicy tej oficyny chcą czegoś innego niż najlepszej przeklętej powieści, jaką można przenieść na papier. David Moench, Joe Scalora, Keith Clayton, Tricia Narwani, Scott Shannon, Dave Stevenson – w moim przekonaniu jesteście wszyscy cholernymi świętymi.

Jeżeli chodzi o mojego redaktora, Mike'a Braffa – nigdy na żadnym świecie nie znajdzie się większy wykrywacz błędów/fanatyk Obsydianów. Możecie mu podziękować za porażające tempo akcji, bezkompromisową liczbę zabójstw oraz za Lisa Kavaxę, Sofoklesa. Dziękuję też Hannah Bowman, która – wraz z Lizą Dawson i Havis Dawson – postanowiła mnie reprezentować, a także Jonowi Cassirowi za cierpliwość i nadzwyczajną organizację dotyczącą praw filmowych.

Dziękuję też Joelowi Phillipsowi za piękne mapy i noce z whiskey, Nathanowi Phillipsowi za to, że został moim młodszym bratem, którego nigdy nie miałem. Tamarze Fernandez dziękuję za jej mądrość, wykraczającą poza przeżyte lata. Wdzięczny jestem też Jarrettowi Price'owi, dzięki któremu czułem się w Los Angeles jak w domu. Terry'emu Brooksowi dziękuję za poświęcenie czasu na lekturę debiutu młodego autora. Scottowi Siglerowi za jego hojne pochwały, a Joshowi Crookowi za wszystkie plany psot przy śniadaniu.

Wszystko zawdzięczam rodzicom. To wy włożyliście mi szpadel w ręce zamiast kontrolera gier video. Kopanie w lesie okazało się najlepszą edukacją, jaką mogłem otrzymać. Nigdy nie spotkałem bardziej szczerych i dobrych ludzi. Jesteście tacy, jaki pragnę się stać.

Chcę też podziękować mojej siostrze, Blair, za to, że uczyniła mnie mądrzejszym, ponieważ nauczyła mnie o wyjątkowych niebezpieczeństwach, na jakie naraża się ktoś, kto drażni nieprzeciętnie cierpliwą kobietę... och, a także za to, że była moją zabójczynią ninja.

Na koniec muszę jak zawsze wyrazić wdzięczność Aaronowi Phillipsowi. Bez niego nie

powstałaby żadna z części „Red Rising”. To prawdziwy przyjaciel od naszego spotkania podczas zagranicznych studiów w Niemczech. Aaron patrzył przez siedem lat, jak zaczynam piętnaście książek, kończę sześć, a potem zmagam się z odmowami agentów raz po raz. Kiedy nastaly naprawdę ponure dla mnie czasy, podnosił mnie na duchu i zachęcał do kontynuowania wędrówki. Prawdziwym szczęściem było patrzeć, jak wchodzi w dorosłość, żeni się i staje mężczyzną szczerym i głębokim jak Samwise Gamgee.

Dziwnie jest wspominać, że pisałem „Red Rising” cztery lata temu nad garażem moich

rodziców w Seattle. Jeszcze dziwniej przypominać sobie, jak myślałem, że tylko moi

przyjaciele przeczytają tę książkę. Dlatego dziękuję Wam, Czytelnicy. Dziękuję, że wyruszyliście ze mną w tę podróż. Dziękuję, że pozwoliliście mi wieść życie na opisywaniu swoich wyobrażeń – tylko tym pragnąłem się zajmować, odkąd ojciec przeczytał mi w

dzieciństwie „Hobbita”. Wtedy właśnie zrozumiałem, że magia człowieka kryje się w

słowach, w opowieściach, w legendach już utraconych i tych, które dopiero się narodzą.

[1] J.R.R.Tolkien *Władca Pierścieni. Powrót Króla*, Warszawa 1990,  
tłum. Maria Skibniewska.